

Elizabeth ELIZABETH
LOWELL



RUBINOWE BAGNA

Lowell Elizabeth

RUBINOWE BAGNA

Prolog

St. Petersburg

Nad złodziejami znajdowały się pawilony wystawowe: dwuizygodzienne budynki chroniące kilkusetletnie dzieła sztuki i przedmioty użytkowe zgromadzone przez władców, których kaprys stanowił sens życia ich poddanych. W licznych pomieszczeniach prezentowano tysiące wspaniałych rzeźb, starych ikon, gigantycznych gobelinów i obrazów, których widok skłoniłby anioły do płaczu, a świętych do zazdrości. Nie brakowało też niewyobrażalnych dla normalnego człowieka ilości złota, srebra i kamieni szlachetnych.

Na początku stycznia, podczas najciemniejszych godzin nocnych, upływ czasu odmierzał odgłos zdartych butów strażników stąpających po marmurach, które kiedyś stykały się jedynie z pełną wytwornością arogancją członków rodziny cara. Najcichsze dźwięki odbijały się echem po długich, okazałych korytarzach, ozdobionych pozłacanymi łukowymi sklepieniami, wspartymi na kolumnach tak wysokich jak starożytni bogowie.

Chociaż zwiedzającym udostępniano setki sal, wciąż brakowało miejsca na zaprezentowanie trzech milionów dzieł zgromadzonych w skarbcu. Przedmioty o mniejszej wartości albo drobiazgi, które z czasem wyszły z mody, przechowywano w podziemnych labiryntach, gdzie błyszczące marmury zastępował kruszący się gips i pogryzione przez szczury drewno. Na każdej powierzchni leżała gruba warstwa kurzu, przywodząca na myśl brudny śnieg. Urzędnicy, którzy swego czasu spisywali i katalogowali carskie zbiory, dawno temu zostali zwolnieni przez rząd, mający poważne problemy z zaopatrzeniem żołnierzy w kule.

Grupka składająca się z trzech kobiet i dwóch mężczyzn energicznym krokiem pokonała wąski podziemny korytarz. W świetle laterek ich oddechy przypominały białe obłoczki. Płynąca przed muzeum Newa zamarzała. Tak samo jak wszystko inne, co w St. Petersburgu nie mogło sobie pozwolić na elektryczność albo jej kradzież. Oprócz pawilonów wystawowych, w których zagraniczni dyplomaci, dygnitarze i turyści oglądali królewskie skarby, pozostałe budynki popadały w ruinę. Prawdziwe arcydzieła sztuki - obrazy Rubensa, Leonarda da Vinci i Rembrandta - utrzymywano w dobrym stanie. Reszta carskich skarbów musiała być tak twarda jak pragnący przetrwać Rosjanie. „

Jeden ze złodziei otworzył ogromne pomieszczenie i nacisnął przycisk światła przy drzwiach. Żadnej reakcji. Ktoś zaklął, chociaż nikt nie był zaskoczony. Wiedzieli, że każdy mieszkaniec tego miasta kradł żarówkę na własny użytek. Korzystając ze światła latarki partnera, ciemnowłosa kobieta zajęła się ogromnym, mającym dziesiątki lat sejfem. Bębny stawiały opór. Otwierane drzwi pisnęły jak zarzynana świnia.

Kobieta nie przejmowała się głośnym protestem metalu. Nawet gdyby ten dźwięk usłyszeli znajdujący się powyżej strażnicy, nie przerwaliby swojej wędrówki po ciepłych, pustych korytarzach i carskich komnatach. Ludzie ci dostawali zbyt marne pieniądze, by przejmować się dziwnymi dźwiękami. Żaden rozsądny mieszkaniec St. Petersburga nie myślał w ciemnościach, gdyż to mogło oznaczać tylko dodatkowe kłopoty. Wystarczająco dużo było ich w codziennym życiu.

Porozumiewając się szeptem, złodzieje zaczęli otwierać schowki i szufladki. Od czasu do czasu ktoś coś bąknął lub gwałtownie wciągnął powietrze w płuca na widok wyjątkowo pięknego klejnotu. Jeśli czyjeś ręce zawisły nad czymś nieco dłużej, ciemnowłosa kobieta natychmiast rzucała kilka

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
ostrzych słów. Otrzymała wyraźne rozkazy: brać tylko skromne, zapomniane klejnoty, bezimienne świecidełka, pozbawione znaczenia prezenty od arystokratów, kupców i zagranicznych urzędników zabiegających o względy carów. Drobiazgi - owe wymieniane były w królewskich księgach inwentarzowych jako: „perłowa broszka z czerwonym kamieniem w środku” albo „ozdoba stanika z błękitnych kamieni osadzonych w brylantach”. Żadnego z tych klejnotów nie ceniono na tyle, by uwiecznić go na którymś z carskich portretów wiszących na wyższych piętach. Nie utrwalono ich również na zdjęciach ukazujących carskie klejnoty. Dzięki temu były cudownie anonimowe.
Och, tylko ta pokusa, by sięgnąć po któryś z bardziej okazałych i niebezpiecznych klejnotów! Chęć zatrzymania szmaragdu wielkości kurzego jaja, poczucia w dłoni dwustukaratowego szafiru osadzonego w średniowiecznej sprzączce, wsunięcia do kieszeni garści brylantowych bransoletek, ukrycia za paskiem dwudziestokaratowego rubinowego pierścienia... Coś takiego wielokrotnie zdarzało się w przeszłości. Błyskawiczny ruch ręki w miejscu, gdzie nie dociera światło latarki, nagły słodki ciężar przesuwany się po udzie lub brzuchu... Czy przy tylu kilogramach świecidełek ktoś może zauważyć brak trzydziestu albo sześćdziesięciu gramów?

To samo zdarzyło się i tej nocy.
Jeden z mężczyzn metodycznie kradł co piąty z poplątanych klejnotów, znajdujących się w długiej szufladzie. Po wykonaniu tego zamysłu otworzył następną. Panował w niej większy porządek - każdy klejnot miał numerek, etykietkę i leżał w oddzielnej przegródce.
- Zostaw to, bałwanie! - syknęła kobieta. - Nie widzisz, że te rzeczy są zbyt cenne?
Widział. Dlatego zaparło mu dech w piersiach.
Mimo słabego oświetlenia część szuflady stanęła w płomieniach. W przegródce znajdował się rubin przypominający oko bożka. Stanowił część naszyjnika składającego się z innych, równie wspaniałych rubinów, które jednak bledły w zestawieniu z największym kamieniem. Otoczony perłami, przywodzący na myśl ogień na śniegu, ogromny lśniący rubinowy wisiorzek urzekał dawnym przepychem i przypominał o związanym z nim niebezpieczeństwie.
Mężczyzna mruknął i zaczął zamykać szufladę. Zacięła się lub tak to przynajmniej wyglądało. Złodziej wsunął latarkę pod pachę, kierując strumień światła w inną stronę. Potem dopóty mocował się z szufladą, dopóki się nie zamknęła, a rubinowy naszyjnik nie znalazł się w ukrytej kieszeni jego spodni.

Powoli zaczęła się przewracać pierwsza kostka w długim śmiertelnie niebezpiecznym rzędka domina.

Seattle

luty

Owen Walker zajmował niewielką pustą kawalerkę, której okna wychodziły na Pioneer Square - jedną z rzadziej uczęszczanych atrakcji turystycznych Seattle. Drzwi wejściowe nie wyróżniały się niczym szczególnym, a zbliżającego się Walkera nie witało radosne szczerkanie ani niecierpliwe miauczenie. Organizmem najbliższym zwierzęciu domowemu była pleśń, która zadomowiła się w lodówce, gdy właściciel mieszkania przebywał za granicą, wykonując zadanie dla Donovan International. Ostatnio robił to przez większość czasu.

Po wprowadzeniu się do kawalerki Walker zainstalował jedynie nowy, bardziej wytrzymały zamek, poza tym nie dołożył właściwie żadnych starań, by zamienić to miejsce w przytulne gniazdko. Łóżko było na tyle duże, że bez trudu się w nim mieścił, chociaż miał ponad metr osiemdziesiąt wzrostu. Służyło również jako kanapa, na której Walker się wyciągał, oglądając telewizję, jeśli był w domu dość długo, by dać się wciągnąć w tarapaty zespołów Seahawks, Mariners

albo Sonics.

Ostatnio wystarczało mu czasu jedynie na to, by zajmować się własnymi sprawami, gorzej było natomiast z kłopotami zespołów, w których zawodnicy zmieniali się szybciej niż najświeższe plotki. Ten dzień nie różnił się od innych. Jedne problemy pociągały za sobą drugie. Ostatnim z nich było zlecenie, które tego popołudnia Walker otrzymał od Archera Donovana.

Sprawdź, czy rubiny, które Davis Montegeau przysłał Faith, nie są poszukiwane w jakimś zakątku świata. Moja siostra jest dobrą projektantką. Nie chcę, by reputacja Faith ucierpiała, a tak by się stało, gdyby zaczęto kojarzyć jej nazwisko z kradzionymi kamieniami. Faith powiedziała, że otrzymała od Montegeau czternaście rubinów najwyższej klasy. Ważą od jednego do czterech karatów. Są to luźne kamienie, niemniej w przeszłości mogły wchodzić w skład jednego klejnotu.

Archerowi zależało na tym, by jego młodsza siostra nie wiedziała, iż brat wtyka nos w jej sprawy, chociaż go o to nie prosiła. W związku z tym Walker nie dostał do ręki owych rubinów, by móc nad nimi popracować. Dysponował jedynie słownym opisem.

Ostatnie cztery godziny Walker spędził przy telefonach należących do Donovan International, rozmawiając z gliniarzami z całego świata. Niczego nie osiągnął, jedynie jeszcze bardziej zesztyniała mu chora noga. Na razie wszystko wskazywało na to, że rubiny pochodzą z legalnego źródła. Dowodem mogły być odciski na uchu Walkera. Tego wieczoru miał zamiar poszukać jeszcze pewnych rzeczy w Internecie. Wcześniej jednak musiał coś zjeść.

Automatycznie przekreślił wszystkie zamki w drzwiach, powiesił laskę na kłamce i dokuśtykał do lodówki, chcąc sprawdzić, czy znajduje się w niej coś, co nadawałoby się na późny lunch albo wczesną kolację. Cokolwiek.

Walker wciąż nie był pewien, na jakim kontynencie się znajduje. Co prawda, miał na sobie czyste czarne spodnie i wyprasowaną ciemnoniebieską koszulę, idealnie pasującą kolorystycznie do jego oczu. Zdążył nawet starannie przyciąć czarną brodę, mimo to czuł się jak wywleczony przez kota śmieć, którego nie chciał tknąć nawet szczur. Z powodu zmęczenia spowodowanego różnicą czasu - albo ciągów, które w zeszłym tygodniu dostał od skorych do bójki afgańskich bandytów - wyraźnie czuł brzemień swych trzydziestu paru lat.

Myśli o zakończonej niemal całkowitą klęską wyprawie do Afganistanu ulotniły się, gdy poczuł zapach włoskiej kiełbasy, którą poprzedniego wieczoru kupił w barze szybkiej obsługi. Gdy ponownie nabrał powietrza w płuca, doszedł do wniosku, że kiełbaska wcale nie pochodzi z poprzedniego wieczoru. Raczej sprzed trzech dni. Albo czterech. Może nawet pięciu. Po powrocie z Afganistanu Walker miał ogromną ochotę na coś włoskiego, ale nie chciało mu się przedzierać przez Pike Place Market w poszukiwaniu świeżych składników. Poprzestawał więc na daniach na wynos, a przynajmniej w taki sposób postępował od momentu, kiedy z trudem wysiadł z należącego do firmy samolotu i zdał sobie sprawę, że w Seattle jest właśnie luty - najbardziej ponury miesiąc w rejonie północno-zachodniego Pacyfiku.

Walker ostrożnie otworzył najbliższe pudełko z resztkami. Nic nie zdążyło zzielenieć, zresztą i tak było tego za mało, by mógł się otruć. W myślach wruszył ramionami, po czym włożył zapadnięte opakowanie do kuchenki mikrofalowej, by podgrzać jego zawartość. W czasie kiedy niewidzialna energia próbowała tchnąć nowe życie w stare danie, Walker postanowił uznać ten posiłek za wczesną kolację. Dzięki temu mógł otworzyć jedną z czekających od dłuższego czasu długoszyich butelek z piwem.

Nim mikrofalówka zdążyła zapisać, Walker usiadł do

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna komputera, wszedł do Internetu i zajął się poszukiwaniem skradzionych rubinów o wadze przekraczającej jeden karat oraz gotowego klejnotu, składającego się z czternastu takich właśnie kamieni. Czekał, aż komputer wykona polecenie, Walker wrócił do swojej małej kuchni, otworzył mikrofalówkę i z pobliskiej szuflady wyjął widelec.

Pierwszy kęs niezbyt ciepłej kolacji wziął do ust już w drodze do komputera. Makaron miał smak i wygląd gumy, ale kiełbaska wciąż była tak pikantna, że paliła w ustach. Walker jadał w życiu dużo gorsze potrawy i był zadowolony, że w ogóle ma co położyć na talerzu. Coś takiego zdarzało mu się nie tylko w dzieciństwie, ale i ostatnio, kiedy wraz z afgańskimi górnikami zasiadał przy ognisku do wspólnej kolacji.

Między jednym a drugim kęsem przejrzał listę skradzionych rubinów, zgłoszonych przez wszystkich, od starych panien poczynając, a na Interpolu kończąc. Niektórzy właściciele proponowali nagrody i obiecywali, że nie będą zadawać żadnych pytań. Inni oferowali znaleźne i również o niczym nie chcieli wiedzieć. Różnego rodzaju organizacje, zajmujące się egzekwowaniem prawa, zamieszczały numery telefonów, umożliwiając dowiedzenie, że jest się prawym obywatelem. Szukano wielu małych rubinów, ale według opisów większość z nich miała współczesny szlif. Niektóre stanowiły podobno pamiątki rodowe. Walker wiedział jednak z własnego doświadczenia, że w taki sposób określa się klejnoty, które powstały między rokiem tysiąc pięćset pięćdziesiątym a tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Oczywiście, przysłane przez Davisa Montegeau rubiny, z których Faith Donovan miała wykonać naszyjnik, mogły pochodzić z jakiejś skradzionej pamiątki rodowej, znajdującej się na internetowej liście, jednak Walker szczerze w to wątpił. Zgłoszenia o zaginięciu pochodziły z dwudziestu trzech krajów. Część ich zamieszczono w ubiegłym tygodniu, ale były i takie, które po raz pierwszy opublikowano trzydzieści lat temu. W żadnym z nich nie wspomniano o czternastu najwyższej klasy rubinach - luźnych lub oprawionych - mających od jednego karata wzwyż.

To by było na tyle, jeśli chodzi o pracę. Pora na przyjemności. Walker zeszkrobał z kartonu resztkę cierpkiego sosu, wypił łyk piwa i przeniósł się na inną, często odwiedzaną przez siebie stronę internetową. Można na niej było znaleźć informacje na temat sprzedaży wszelkiego rodzaju biżuterii i drogich kamieni. Jak każdego wieczoru, kiedy znajdował się w pobliżu jakiegoś komputera, tak samo i tego dnia Walker kazał komputerowi poszukać rubinów z grawerunkiem lub inskrypcją. Znalazł czterdzieści dwa pliki. Szybko je przejrzał. Większość proponowanych kamieni tylko w nieznacznym stopniu różniła się od tego, co każdy turysta mógł znaleźć na plugawej tajlandzkiej ulicy. Grawerunki były kiepskie, a same kamienie wątpliwej jakości. Walker zatrzymał się przy wysokiej klasy rubinie, na którego wydłużonej płaskiej powierzchni widniał wyryty śmiejący się Budda. Po chwili Walker do niego wrócił. Miał w swojej kolekcji podobny, ale lepszy kamień.

Ciekawszy okazał się przepiękny czterokaratowy rubin, na którym z jednej strony wygrawerowano serce, a z drugiej krzyż. Przypuszczalnie niegdyś klejnot ten należał do jednego z krzyżowców. Walker z prawdziwym zalem spoglądał na kamień. Gdyby pod mikroskopem wyglądał w połowie tak dobrze jak na ekranie, stanowiłby dodatek do jego kolekcji. Walker zgłosiłby chęć kupna, gdyby kamień tak dużo nie kosztował.

Niestety, jego cena miała o jedno zero za dużo. Prawdę mówiąc, o dwa,

x?łw

- Niech to diabli. Może innym razem - wymamrotał.

Trzy miesiące w Afganistanie właściwie niczego nie zmieniły,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

no, może miały niewielki wpływ na sposób chodzenia walkera, ale to była przejściowa niedogodność. wrócił więc do szukania tańszych rubinów. Nic go nie zainteresowało. Walker skrzywił się, wyłączył komputer i rozejrzał się wokół siebie w poszukiwaniu zajęcia na kilka najbliższych godzin. Potem pójdzie do łóżka i dołoży wszelkich starań, by nie śnić o walących go po głowie kolbach karabinów. Nęciło go kilka książek, ale nie zdążył jeszcze przestawić się na czas obowiązujący w Seattle i był zbyt otumaniony, by zabrać się do tego, czym się ostatnio zajmował - to znaczy do samotnego przedzierania się przez arkana języka niemieckiego. Do tego kroku skłoniła go wspianała niemiecka książka na temat rzadkich kamieni szlachetnych i ich grawerowania. Zastanawiał się, czy nie zeskanować tejże książki do swojego komputera, potem przepuścić ją przez dziewięć programów do tłumaczenia i porównać rezultaty. Ta myśl wywołała na jego ustach uśmiech. Kiedy ostatnim razem zrobił coś takiego z artykułem na temat najbardziej znanych tajlandzkich handlarzy kamieniami szlachetnymi, razem z Archerem i kyle'em pękali ze śmiechu, widząc wyniki. Po tej przygodzie walker podjął samodzielną naukę niemieckiego, pragnąc dodać ten język do znanego już zachodnioteksaskiego slangu i opanowanego w młodości przeciągłego sposobu mówienia, tak charakterystycznego dla Karoliny Południowej. Właśnie zaczął robić prawdziwe postępy w czytaniu niemieckiego tekstu, kiedy firma Donovan International wysłała go do Afganistanu. Miał ocenić możliwości zakupu wydobywanych tam rubinów. Walker mówił po afgańsku, ale nie potrafił czytać w tym języku. Prawie w ogóle nie zwrócił uwagi na dochodzący zza okna krzyk. Nic mu nie groziło ze strony pijaka przeklinającego go gołębie za to, w czym są najlepsze - za zanieczyszczanie swoimi odchodami wszystkich ławek dookoła. Walker zerknął na nadgarstek, na sponiewierany zegarek z nierdzewnej stali. Nie było jeszcze piątej. Archer wciąż siedział w swoim biurze w Donovan International. Walker wypił ostatni łyk piwa i wybrał prywatny numer najstarszego z braci Donovanów.

- Taak - zabrzmiała natychmiastowa odpowiedź.
 - A więc to prawda, że zgadzasz się na podwojenie moich zarobków. Nie mogłem uwierzyć, kiedy...
 - Przestań pieprzyć, walker - powiedział Archer, ale w jego słowach nie było złości. - Co znalazłeś?
 - Powiedz swojemu bratu, że przeczucia go zawiodły. Przeczucia Kyle'a cieszyły się wśród Donovanów sporą sławą, nawet jeśli nie zawsze była ona najlepsza. Nie dało się traktować ich jako systemu wczesnego ostrzegania, gdyż brakowało im precyzji, zbyt często się jednak sprawdzały, by całkowicie je lekceważyć.
 - Nawet jeśli ktoś szuka rubinów, z których na zlecenie Davisa Montegeau Faith ma wykonać naszyjnik, to nie zamieścił ogłoszeń w żadnym z powszechnie dostępnych miejsc. Niczego na ten temat nie ma również w miejscach bardziej niezwykłych.
- Archer odsunął się od biurka i bezwiednie rozprostował kości.
- W porządku. Dzięki. Sprawdzenie tego było najłatwiejszą rzeczą pod słońcem.
 - Może dla ciebie rzeczywiście byłoby to łatwe. Mnie wciąż śwędzi ucho od tych wszystkich międzynarodowych rozmów.
- Archer parsknął śmiechem.
- Jakoś ci to wynagrodzę.
 - Dostanę podwyżkę?
 - Chyba śniesz - zripostował beztrąsko Archer. - Zapraszam cię dziś wieczorem do nas na kolację. Mam dla ciebie następną robotę. Tym razem będziesz mógł przysłużyć się ojczyźnie.
 - Mój organizm jeszcze nie zdążył się przestawić na obowiązujący

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

tutaj czas, więc z pewnością będzie ci za to bardzo wdzięczny. Kto robi kolację? Ty czy Kyle?

- Ja. Będzie świeży łosoś, którego zawdzięczamy mojemu szwagrowi, Jake'owi. I mojej siostrze, Honor, jeśli się zgodzisz, że połowa uznania należy się osobie, która wyciągnęła rybę podbierakiem.

- Zgadza się na wszystko, byle tylko zobaczyć na swoim talerzu świeżego łososia. Będzie coś jeszcze? - spytał Walker z nadzieją w głosie.

- Moja żona wspomniała coś o czekoladowych ciasteczkach.

- Cholera! Już pędzę.

Archer jeszcze przez dobrą chwilę się śmiał, chociaż jego rozmówca odłożył już słuchawkę. Walker początkowo był tylko pracownikiem, jednak z czasem stał się przyjacielem. Kiedy Archer wrócił do swojej poczty elektronicznej, na jego twarzy pojawiły się charakterystyczne głębokie bruzdy. Bezkonkurencyjna oferta Donovan International, dotycząca zagospodarowania syberyjskiej kopalni srebra, została przebita cenowo. Stało się to już po oficjalnym zamknięciu przetargu. Nie bez znaczenia był tu pewnie fakt, iż zwycięzcą został szwagier miejscowego kryminalisty.

Archer sięgnął po interkom.

- Mitchell, połącz mnie z Mikołajem. Taak, wiem, która jest tam godzina. Za kilka minut on również się tego dowie. Faith Donovan odłożyła na bok bryłkę ziemi okrzemkowej, której używała do polerowania kamieni. Poruszyła obolałymi dłońmi, pochyliła się i poddała oględzinom kawałek osiemnastokaratowego złota, stanowiący jeden z trzynastu elementów

naszyjnika Montegeau. Chociaż nie zdążyła go jeszcze dobrze wypolerować, złote ogniwo było eleganckie, a tworzący je łuk sprawiał wrażenie przypadkowego wygięcia.

Jednak wcale nie było ono przypadkowe - stanowiło rezultat pracochłonnego, lecz dającego ogromną satysfakcję procesu projektowania. To dlatego Faith, pomimo obolałych palców i łamania w krzyżu, miała ochotę się uśmiechnąć mimo wczesnego zimowego zimowca. Nie przeszkadzała jej nawet niewiarygodnie krótki termin - miała zaledwie dwa tygodnie na wykonanie pracy, która powinna trwać trzy miesiące. Jakby na przekór wszystkiemu naszyjnik w całości wyglądał ślicznie. W walentynki jej dawna przyjaciółka, Mel, założyła na ślub z Jeffem Montegeau naprawdę piękny i jedyny w swoim rodzaju klejnot.

Natomiast tydzień przed tym wydarzeniem Faith pokaże ów naszyjnik na wystawie biżuterii w Savannah. Bardzo jej na tym zależało. Chociaż ekspozycja miała trwać zaledwie kilka dni, była to jedna z najważniejszych prezentacji współczesnej biżuterii w Stanach Zjednoczonych. Faith chciała zwrócić na siebie uwagę. Naszyjnik Montegeau z pewnością się do tego nadawał.

Przynajmniej powinien, o ile Faith znajdzie jakiś sposób na to, by w ciągu najbliższych czterech dni, jakie zostały jej do wylotu do Savannah, załatwić dla niego polisę. Pozostałe klejnoty były już ubezpieczone, ponieważ Faith miała mnóstwo czasu, by zaplanować wszystko na tę wystawę. Natomiast jeśli chodzi o te rubiny, nie mogła zostawić ich u dyplomowanego rzeczoznawcy, gdyż wówczas nie zdążyłaby wykonać naszyjnika.

Zmarszczywszy czoło na myśl o problemach związanych z ubezpieczeniem, wzięła do ręki złote ogniwo i ponownie pochyliła się nad tarczą do szlifowania. Za oknami jej sklepu, a jednocześnie pracowni na Pioneer Square, zaczął lodowaty deszcz ze śniegiem i wiał zimny wiatr. Uliczne latarnie rzucały lśniące kręgi, które tylko w nieznacznym stopniu rozjaśniały zimowy wieczór.

Po jakimś czasie deszcz ze śniegiem tak głośno zaczął uderzać w okna, że słychać go było pomimo warkotu tarczy szlifarskiej. Faith wyprostowała się i z poczuciem winy spojrzała na zegarek. Było prawie wpół do szóstej. Powinna

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

być już w domu i wraz z trojgiem spośród pięciorga swojego rodzeństwa planować przyjęcie niespodziankę z okazji czterdziestej rocznicy ślubu rodziców. A przynajmniej dążyć do ułożenia jakichś planów. Archer i jego żona, Hannah, Kyle wraz ze swoją połówicą, Lianne, a także Honor z mężem, Jakiem, zastanawiali się nad tym już od kilku dni, ale nie potrafili dojść do porozumienia nawet w sprawie miejsca. Oczywiście, wszyscy lubili hałaśliwe i pełne śmiechu kolacje w rodzinnym domu Donovanów, gdzie każdy członek klanu miał swoją stałą lub czasową siedzibę. Pilnowanie międzynarodowych interesów Donovan International oznaczało, że przez większość czasu nie było w domu tego lub tamtego członka rodziny. W tym momencie bracia bliźniacy, Justin i Lawę, przebywali w Afryce, Hannah i Archer właśnie wrócili z aukcji pereł w Tokio, natomiast Jake i Honor mieszkali poza Seattle.

Cały urok spotkania większości członków rodziny pod jednym dachem polegał na tym, że była to już trzecia z rzędu kolacyjna „konferencja na szczycie”.

Tymczasem Faith wciąż przebywała w swoim sklepie, a na domiar złego miała na sobie stare dżinsy i była pokryta uroczym, błotnisto-brązowym pyłem, chociaż powinna właśnie pomagać w przygotowywaniu kolacji na siedem osób.

Dziesięć, jeśli liczyć dzieci.

Niewątpliwie zostawią jej mycie naczyń.

Westchnęła, po czym jednym szarpnięciem zdjęła z twarzy przeciwpyłową maskę i gogle. Krótkie, jasne włosy sterczały na wszystkie strony. Prawdopodobnie przeczesanie ich zakurzonymi palcami niewiele dało, ale najbliższy grzebień znajdował się w jej apartamencie w domu. Najbliższa wanna również. Faith uważała, że smugi ziemi okrzemkowej, zostawione przez jej palce na dżinsach, przedramionach i rękach, dawały całkiem niezły efekt, który równoważył braki w stroju. Wiedziała jednak, że Kyle znowu będzie bezlitośnie z niej drwił, utrzymując, iż jego siostra to kocmołuch z Seattle. No cóż, tego wieczoru rodzeństwo będzie musiało zaakceptować ją w takim stanie, w jakim jest, to znaczy zakurzoną i z zapadniętymi oczami, świadczącymi o tym, że przez kilka ostatnich dni zbyt ciężko pracowała. Gdyby nie zaryzykowała i nie zaczęła wykonywać trzynastu ogniw, nie mając ostatecznej zgody na projekt, nie zdążyłaby na czas. Na szczęście patriarcha rodu, Davis Montegeau, przyjął szkice bez żadnych zmian.

Dzięki Bogu. Davis był pobłażliwym przyszłym teściem, niestety, zostawił wszystko na ostatni moment. Gdyby nie fakt, że panną młodą miała zostać jej najlepsza przyjaciółka ze studiów, Faith nigdy nie przyjąłaby tego zlecenia, chociaż praca nad tak pięknymi kamieniami zawsze stanowiłaby ogromną pokusę, nie wspominając już o wynagrodzeniu w postaci najmniejszego rubinu. Na szczęście Davis zgodził się na złoto i nie upierał się przy platynie, inaczej ukończenie pracy w tak krótkim czasie w ogóle byłoby niemożliwe. Platyna jest najtrudniejszym do obróbki metalem szlachetnym używanym w jubilerstwie. Faith od czasu do czasu miewała z nią do czynienia, ponieważ nic nie mogło się poszczycić takim lodowatym blaskiem; zdecydowanie wolała jednak różne odcienie złota.

Faith wstała i zdjęła skórzany fartuch. Okrycie ochronne i długi drewniany stół warsztatowy nosiły wyraźne ślady zużycia. Proces tworzenia biżuterii nie był zbyt efektowny, chociaż w jego wyniku powstawał elegancki produkt końcowy. Były narzeczony Faith, Tony, nigdy tego nie rozumiał albo nie chciał zrozumieć. Był z natury bardzo leniwy, dlatego nie potrafił przyjąć do wiadomości, że Faith chce spędzić życie, garbiąc się w goglach nad urządzeniem, które zostawia na jej rękach wyraźne ślady, podobne do tych, które widać na stole warsztatowym. Tym bardziej że jej rodzice opływali we wszelkie dostatki i mogli nosić

ją na jedwabnej poduszce wykończonej brylantowymi frędzlami.

Faith odsunęła na bok niemiłe wspomnienia. Anthony Kerrigan był największą pomyłką w jej życiu. Teraz musiała jedynie pamiętać, że były narzeczonej to już przeszłość.

Wcześniej, czy później Tony też się z tym pogodzi. Wtedy przestanie wydzwaniać i „przypadkowo” na nią wpadać.

Ale do tego czasu...

Mrucząc coś pod nosem, sięgnęła po telefon i wybrała dobrze znany numer. Po drugim sygnale odezwał się Kyle.

- Przepraszam - powiedziała szybko. - Wiem, że jestem spóźniona. Chcesz, żebym po prostu zamknęła sklep i przyszła do domu?

- Sama? Nie ma mowy, siostrzyczko. Będę tam za dziesięć minut.

- Nie ma takiej potrzeby. Mogę po prostu...

Jej rozmówca już się rozłączył. Burknęła niezadowolona i powiesiła słuchawkę. Nie chciała się zgodzić na przydzielenie jej jednego z ochroniarzy Donovan International, ale przegrała tę walkę. W głębi duszy musiała przyznać, że przydałoby się jej rozsądne zabezpieczenie, jeśli nie przed Tonym, to przed serią napadów i włamań, które nękały Pioneer Square. Jednak w jakiś sposób czuła się urażona, że o wszystkim decydują za nią ogromni, władczy mężczyźni. Nawet jeśli byli nimi bracia, a nie tyranizujący ją, obdarzony twardymi pięściami były narzeczonej.

- Stop, nie wracaj tam - powiedziała sobie Faith przez zęby. - Wiesz już, że popełniłaś błąd. Niczego nie zyskasz, zadręczając się z tego powodu.

Zacinający śnieg z deszczem przywierał do szyb okiennych, a potem zsuwał się po nich strużkami zimowych łez.

Faith przez chwilę obserwowała przypadkowe ścieżki i zastanawiała się nad tym, jak wyglądałoby jej życie, gdyby poszła w ślady siostry bliźniaczki i obdarzyła miłością odpowiedniego człowieka. Jak by się czuła, gdyby w ciągu dnia mogła trzymać na rękach własne dziecko, a nocami leżeć w objęciach kochającego ją mężczyzny.

- Ta ścieżka również prowadzi donikąd - powiedziała

Faith na głos, przytłoczona panującą wokół ciszą.

Może pewnego dnia jej się poszczęści. Może nie. Tak czy inaczej, zawsze będzie miała dobre serce, wyjątkowy dar do projektowania biżuterii i kochającą rodzinę. Nie mogła się skarżyć, było z czego się cieszyć.

Zamykając pracownię, Faith zastanawiała się nad klejnotem, który mogliby dać matce z okazji czterdziestej rocznicy ślubu. Dużo gorzej wyglądała sprawa prezentu dla ojca, wielkiego Donovana. Faith liczyła na to, że jej bracia mają jakiś pomysł.

Liczyła na to, ale nie oczekiwała cudów. W końcu jej bracia to tylko mężczyźni.

Jednym słowem - ludzie trudni.

<

St. Petersburg

Newa była zupełnie biała. Taki sam kolor miał wiatr, z wyciem śmigający po bulwarach i wąskich przecznicach. Chociaż okna pokoju wychodziły na park z tradycyjnym pomnikiem rosyjskiego męstwa - i zniszczonymi pozostałościami monumentu

ukazującego sowiecką wizję - nie było na co patrzeć. Po ulicy przemykały jedynie czarne tobołki, pędząc od jednego do drugiego miejsca schronienia. Stożące pojazdy nie tyle zostały zaparkowane, co raczej utknęły na czas śnieżnej zawieruchy.

Pokój stanowił wspaniałe schronienie przed panoszącą się na zewnątrz okropną białą zimą. Orzechową podłogę pokrywały bajecznie kolorowe dywany, niegdyś zdobiące pałac

otomańskiego sułtana. Obrazy, które swego czasu wisiały w biurach żydowskich bankierów, dodawały ścianom gracji i powagi. Masywne biurko, stanowiące prawdziwe arcydzieło barokowej rzeźby w drewnie, podobno niegdyś należało

do kuzyna cara. Na wypolerowanym blacie leżało sześć telefonów komórkowych.

Mężczyzna, który według danych z amerykańskiego paszportu nazywał się Iwan Iwanowicz, zapalił kubańskie cygaro, pragnąc ukryć fakt, że ze złości trzęsą mu się ręce.

Idioci. Bałwany. Kretyni. Czyi nie płacę im dwa razy więcej, niż na to zasługują?

Jednak na głos powiedział tylko:

- Marat Borysowicz Tarasów jest bardzo niezadowolony z waszej wpadki.

Czarnowłosa kobieta tak bardzo się pociła, że tusz spływał jej po twarzy niczym błotniste łzy.

- Za nic w świecie nie oszukałabym pana ani jego. Wzięłam tylko to, co kazał pan zabrać. W życiu nie widziałam na oczy rubinowego wisiora, o którym pan mówi.

- Serce Północy. Duży jak piastka niemowlęcia. Czerwony jak krew, która tryśnie z twojego kłamliwego gardła, gdy ci je poderżnę. Gdzie jest naszyjnik? Jeśli powiesz mi to teraz, okażę ci litość.

Było to kłamstwo, ale mogło przynieść oczekiwany skutek.

Iwanowicz nawet nie chciał wiedzieć, co się stało z mniejszymi rubinami z naszyjnika, liczyło się tylko Serce Północy.

- Jeśli zdradzisz mi to później - a na pewno mi to zdradzisz

- będziesz cierpieć.

- Słowo daję, sir.

Trzęsła się, ale nie ze złości. W jej oczach czaił się strach.

Nie byłaby ani pierwszą, ani ostatnią osobą, której gardło poderżnął najbardziej lubiany przez Tarasowa zabójca. Co gorsza, Iwanowicz słyszał z tego, że lubi torturować swoje ofiary.

- Owszem, byliśmy w skarbcu, ale wydałam te same rozkazy co zawsze.

- Nikt nie grzebał tam, gdzie nie należało? Nikt nie otwierał środkowych szuflad? - Jego jasne i nieprzezroczyście jak kamienie oczy odnotowywały każde drgnięcie, każde przyspieszenie pulsu rozmówczyni. - Uważnie obserwowałam wszystkich swoich żałosnych złodziejasków?

- Coś takiego zdarzyło się tylko jeden jedyny raz. Jurij otworzył złą szufladę, ale na mój rozkaz bardzo szybko ją zamknął. Klejnoty były opisane i miały numerki - stanowiły część carskiego skarbu.

- Wiem o tym, idiotko. Marat Borysowicz również.

Wiedział o tym także największy wróg Tarasowa i jego rywal w walce o władzę, Dmitrij Siergiejew Sokołow, próbujący teraz wcisnąć Tarasowowi tę głupią kradzież do gardła,

żeby zakrzusił się nią na śmierć. Sama kradzież nie stanowiła żadnego problemu. Była to tak powszechna praktyka, że nawet nie wywoływała najcięższego protestu. Ale jeśli kradnąc, dawało się wrogom broń do ręki, to była już całkiem inna sprawa.

Jeżeli Serce Północy nie zostanie zwrócone przed otwarciem nowego skrzydła Ermitażu, Tarasów zawisnie. Wcześniej jednak wyprawi na tamten świat człowieka znanego jako Iwan Iwanowicz Iwanow.

- Przyślij do mnie Jurija - rozkazał Iwanowicz.

Jurij nie był tak odważny jak kobieta. Po dwóch minutach rozmowy z Iwanowiczem złodziejasek płakał, błagał i żałował chwili, kiedy chciwość wzięła górę nad strachem.

- J...ja n...naprawdę n...nie chciałem t...tego zr...zrobić - dukał Jurij. - T...to...

- Milczeć! n

Z trudem nabrał powietrza w płuca i czekał, aż Iwanowicz się odezwie. Nawet w najśmielszych marzeniach Jurij nie przypuszczał, że kiedykolwiek stanie przed człowiekiem mającym tak ogromną władzę.

Teraz chciał tylko jednego - wyjść stąd.

- Wzięłeś naszyjnik.

Jurij jęknął.

- Gdzie on teraz jest? Powiedz prawdę, bo inaczej umrzesz.

- T...tam g...gdzie r...reszta. Nie m...mogłem go...go z...zatrzymać. - Kamień wypełniony krwią i otoczony wianuszkiem pereł. Przyniosłby śmierć. Jurij dobrze o tym wiedział.

- B...bałem s...się g...go.

Iwanowicz wolałby nie wierzyć temu nędzemu robakowi, czuł jednak, że Jurij mówi prawdę. Ten człowiek nie był na tyle sprytny, by kłamać.

- Który transport?

- D...do A...ameryki, s...sir. U...ukryłem go z... z resztą.

- Kiedy? - spytał ostro Iwanowicz.

Jurij przełknął ślinę, ale wciąż nie mógł wydusić z siebie ani słowa. Spoglądał jedynie na swojego dalekiego kuzyna, który powiedział mu, jak łatwo wzbogacić się, pracując dla Marata Borysowicza Tarasowa.

Czarnowłosa kobieta, która stała bez słowa i przez cały czas się trzęsła, odpowiedziała zachrypniętym głosem:

- Kilka tygodni temu, tak jak pan rozkazał, sir.

Iwanowicz wcale nie musiał patrzeć na kalendarz, by zdać sobie sprawę, że od tego momentu długość jego życia można mierzyć w tygodniach, chyba że uda mu się odzyskać Serce Północy. Tarasów nie należał do ludzi cierpliwych.

Iwanowicz również.

- Zaczekajcie na zewnątrz.

Gdy spoceni złodzieje wyszli, wziął do ręki jeden z leżących na jego biurku telefonów komórkowych. Dopiero po kilku próbach uzyskał połączenie ze Stanami Zjednoczonymi. Udało mu się to, chociaż aż go korciło, żeby coś roztrzaskać, a nie przyciskać filigranowe guziki.

Kiedy w słuchawce rozległ się dobrze znany głos, Iwanowicz przeszedł do sprawy bez żadnych wstępów. Jego angielszczyzna nie była idealna, ale z pewnością przekazał, o co chodzi.

- Co ty z tym zrobić?

- Z czym?

- Z ogromny rubin, kretynie. Ty nawet nie zaprzeczać.

Wiem, że ty go dostać.

Zapanowała cisza, a potem rozległo się coś, co przypominało jęknięcie.

- Nie figurował w spisie, więc odesłałem go z inną partią towaru. Przecież wiesz, że podzieliłbym się z tobą pieniędzmi.

Iwanowicz uśmiechnął się, słysząc w głosie rozmówcy strach i rozpacz. Dochodził do wniosku, że lepiej się z ludźmi współpracuje, jeśli niemal robią w gacie ze strachu.

- Gdzie ty go wysłać?

- Do Seattle, w stanie Waszyngton.

- Gdzie?

- Do... - Przełknięcie śliny, a potem: - Do sklepu noszącego nazwę „Ponadczasowe Marzenia”.

- Kto być właściciel?

Następna przerwa i kolejne przełknięcie śliny.

- Faith Donovan.

Ciągnąc za sobą martwe ciała, dwaj mężczyźni weszli na skutą grubą warstwą lodu Newę. Ślad, który za sobą zostawiali, wyglądał na czarny. Nagle jeden z mężczyzn się potknął.

W chwilę później błysnęło światło latarki. Wówczas na lodzie zalśniła świeża krew w kolorze rubinów. Wyłączony latarki, wyrabiali siekierami spore zagłębienie w lodzie, wrzucili do niego zwłoki, po czym ruszyli z powrotem w stronę zimnych światła St. Petersburga.

Jurij i jego daleki kuzyn zostali, ale było im to już zupełnie obojętne. Nie czuli zimnego wiatru ani kłującego jak igiełki śniegu, który stał się ich całunem.

Pod pewnym względem dopisało im szczęście. Iwanowicz za bardzo spieszył się do Seattle, by pokazać swoim niewydarzonym złodziejazkom, jak biele potrafi posługiwać

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
się nożem. Tylko dzięki temu umarli szybko i niemal
bezboleśnie.

Faith Donovan, niezależnie od tego, kto to taki, nie będzie
miała tyle szczęścia.

Seattle

- Czy ktoś może go odebrać? Summer koniecznie chce mi
pomóc przy siekaniu koperku! - zawołał Archer z kuchni,
przekrzykując dzwoniący telefon.

Do szafu doprowadzały go przygotowania do następnego
kolacyjnego spotkania na szczycie, związanego z przyjęciem
jubileuszowym rodziców. Nie było nikogo, kto by mu pomógł
w przyrządzaniu posiłku. Lianne miała ręce pełne roboty
przy swoich bliźniakach, Jake i Honor właśnie ucinali sobie
podstawę dzisiejszej kolacji, Kyle i Faith byli w drodze do
domu, Hannah jeszcze nie wróciła z Giełdy Pereł, a jeśli jego
siostrzenica, Summer, nie przestanie z takim zapałem garnąć
się do pomocy, będzie musiał rozejrzeć się za taśmą klejącą.
Siedzący w salonie głodny Walker skrzywił się na myśl
o Summer, pomagającej Archerowi w siekaniu świeżego
koperku. Niedawno wyszła z wieku niemowlęcego, a ulubione
noże kuchenne Archera były niemal tak duże jak ona.
Prawdę mówiąc, to z powodu Summer Walker zostawił
swoją laskę w domu - wiedział, że będzie chciała mu ją zabrać.
Telefon odezwał się ponownie.

- Walker?! - krzyknął Archer. - Odbierz go, dobrze? To
prywatny numer.

- Taak, już się robi.

Walker niechętnie oderwał wzrok od ściany, na której wisiały
wspaniałe krajobrazy namalowane przez seniorkę rodu
Donovanów, Susę. Lekko utykając, ruszył na poszukiwanie
telefonu. Po następnym sygnale znalazł aparat bezprzewodowy
leżący na regale z książkami. Nacisnął guzik.

- Rezydencja Donovanów.

- Chciałabym rozmawiać z Faith Donovan. - Głos należał
do kobiety, był szorstki i brzmiał bardzo obcesowo.

- Jeszcze nie wróciła. Czy zechce pani zostawić jakąś
wiadomość?

- Kiedy się jej pan spodziewa?

- Łada chwila - wyznał śpiewnie Walker, poirytowany
złymi manierami kobiety.

- Zadzwoń później.

- Bardzo proszę - powiedział, ale w słuchawce panowała
już cisza.

Wzruszył ramionami, wyłączył aparat i poszedł do kuchni.

Radosny żółty kolor równoważył panujący na zewnątrz
ponury nastrój. Padał rzęsisty deszcz. Ciemne krople spływały
po oknach, z których rozciągał się widok na Elliot Bay
i fragment tonącego w światłach Seattle. Walker oparł się
o stojący na środku kuchni stół i obserwował poczynania
swojego szefa.

- Kto to był? - spytał Archer.

- Nie wiem.

Ogromny nóż na chwilę zawisnął w powietrzu nad gałązkami
świeżego koperku i listkami kolendry. Summer mocno
ściskała kolana wujka i próbowała sięgnąć po błyszczące
ostrze. Kiedy zabrakło jej mniej więcej stu centymetrów, pisnęła
zniecierpliwiona. Archer ją zlekceważył.

- Mężczyzna? - spytał walkera.

Archer przemawiał takim samym tonem, jakiego używał
wobec swojego rodzeństwa.

- Kobieta.

Archer burknął i wrócił do pracy. Ostrze z ogromną pręd-
kością i precyzją cięło delikatne gałązki. Na długim stole rósł
niewielki pierzasty kopczyk posiekanej zieleniny.

- Jesteś pewien?

- Taak. Czemu pytasz?

- Tony bez przerwy zawraca głowę Faith. Musieliśmy

zmienić zastrzeżony numer telefonu.

- Ktoś powinien wywieźć tego faceta do jakiejś leśnej chaty i nauczyć go dobrych manier.

Chociaż Walker powiedział to łagodnym głosem, jego oczy błysnęły jak granatowe kamienie.

- Dzięki, bardzo chętnie byśmy to zrobili - przyznał Archer sucho - ale obiecaliśmy Honor, że pozwolimy, by Faith samodzielnie uporała się z tym problemem.

- Obiecaliście Honor? - spytał Walker. - Chyba czegoś tu nie rozumiem, szefie?

Summer tym razem zaczęła pisać na żarty. Koniecznie chciała dostać śliczny błyszczący nóż.

- Bliźniaczki - wyjaśnił Archer lakonicznie, lekceważąc małą burzę szalejącą wokół jego kolan. - Bronią się nawzajem.

Zdaniem Honor, Faith jest zrozpaczona, że zaręczyła się z takim dupkiem jak Tony, a jeśli wygarbujemy mu skórę, nasza siostra poczuje się jeszcze gorzej.

- Kobiety. Czy ktokolwiek zdołał je zrozumieć?

Archer wybuchnął gromkim śmiechem.

- Ja już nie muszę. Znalazłem sobie partnerkę.

Summer krzyknęła.

- Na Boga - powiedział Walker, podnosząc głos i z niedowierzaniem spoglądając na rudowłosą dziewczyneczkę. -

Ma głos jak syrena na sterydach.

- Pod tym względem przypomina swoją ciotkę.

- Lianne? - spytał Walker zdumiony, mając na myśli drobniutką, przepiękną żonę Kyle'a. - To kochane małżeństwo?

- Nie, Faith. Na dźwięk jej krzyku blacha się roluje.

- Nie gadaj. - Walker blade się uśmiechnął. - Nigdy bym na to nie wpadł. To taka smukła, delikatna dama.

- Delikatna dama? Masz na myśli Faith? Moją młodszą siostrę?

Archer musiał niemal krzyknąć, żeby zagłuszyć swoją siostrzenicę. W końcu odłożył nóż, wziął Summer na ręce, uniósł jej małą dżersejową bluzeczkę z białym kołnierzykiem i połaskotał dziewczyneczkę brodą po brzuszku, przy okazji groźnie pomrukując. Krzyk zamienił się w śmiech. Summer zapomniała o nożu i zanurzyła ręczki w czarnych włosach wujka.

- Owszem, mam na myśli smukłą jak młode drzewko blondynkę o zamglonych niebieskich oczach i smutnym uśmiechu - wyjaśnił Walker spokojnie. - Twoją młodszą siostrę, Faith. Ona naprawdę jest delikatna.

- Uhm - mruknął Archer, wyplątując z włosów mocne małe paluszki.

Spojrzał w tak podobne do swoich oczy siostrzenicy i przez moment zastanawiał się, czy on i Hannah będą mieli szczęście, by doczekać się własnych pociech.

- Jakoś trudno mi uwierzyć, by prawdziwe utrapienie dziecięcych lat braci Donovanów można było uznać za delikatną istotkę.

- Prawdziwe utrapienie? Jestem gotów się założyć, że zawsze byliście dla niej dobrzy i mili.

W szarzielonych oczach Archera pojawiło się wyraźne zaskoczenie.

- Przegrałeś.

Walker roześmiał się i przypomniał sobie brata. Nim Lot zmarł, obaj z całkiem niezłym skutkiem w różnych częściach świata wzniecali istne piekło. Albo raczej to Lot je wzniecał. Do Walkera należało wyciąganie ich obu z tarapatów. W kilku przypadkach całkiem niezłe natarł Lotowi uszu, licząc na to, że za pomocą słów - albo siły - zdoła przemówić bratu do rozsądku. Czasami mu się to udawało. Czasami nie.

Na twarzy Walkera nie było widać żadnej z owych ponurych myśli. Miał co do tego całkowitą pewność, ponieważ

Summer wyciągnęła w jego stronę rączkę, jakby nigdy w życiu nie spotkała człowieka dorosłego, który by jej nie kochał.

- Weź ją - powiedział Archer, podając mu Summer. -

Zrób to, nim znowu zaczniesz krzyczeć.

- Nic z tego. Odmawiam. Mówiłem ci już, że nie umiem obchodzić się dziećmi.

I nie miał zamiaru się tego nauczyć. Nie chciał być odpowiedzialny za czyjeś życie. Za nic w świecie. Nigdy więcej.

Ledwo przeżył śmierć brata.

- Znudziła się pluszowym kotkiem, którego jej przyniosłem, i koniecznie chce dostać w swoje ręce ten cholerny śmiercionośny nóż, którego właśnie używasz.

- No i co z tego?

Archer podał mu swoją siostrzenicę, poprawił ułożenie rąk Walkera i wrócił do przygotowywania kolacji.

- Mam chorą nogę.

- Zaraz się rozpłaczę.

- Daj spokój, Archer, ja naprawdę... - zaczął Walker.

Archer ani na chwilę nie przestawał mówić. Niechęć Walkera do brania dzieci na ręce była czymś całkiem normalnym u kawalera, ale powinien ją pokonać, jeśli ma zamiar przebywać w towarzystwie Donovanów. Walker stawał się nie tylko coraz bardziej cenionym pracownikiem, ale i przyjacielem Archera, a to oznaczało, że coraz częściej będzie miał do czynienia z wszystkimi pokoleniami rodziny swojego szefa.

- Nikt nie przychodzi na świat z gotową wiedzą na temat dzieci - wyjaśnił Archer rzeczowo. - Jest to coś, czego człowiek dopiero się uczy, tak samo jak odróżniania dobrego rubinu od złego.

Walker spojrział w jarzące się szarozielone oczy Summer.

Były wyraziste, lecz wilgotnawe, z fosforyzującymi przebłyskami zieleni i delikatnymi smugami błękitu.

- Gdybyśmy znaleźli kamień w kolorze jej oczu, byłibyśmy bardzo bogaci.

Archer z uśmiechem wyjął z lodówki kilka cytryn.

W przedniej części domu ktoś zamknął drzwi, a potem dotarły głosy kłócących się Kyle'a i Faith.

- ...niemal tak zabawne jak wypadek na autostradzie, braciszku

- wypaliła Faith. - Zgadnij, który z moich brudnych

paluchów przeznaczony jest dla ciebie?

- Delikatna, co? - mruknął Archer.

Walker uśmiechnął się.

Summer odpowiedziała na jego uśmiech. Jej oczy i promienna

twarzyczka lśniły życiem i niewinnością. Słodkie

wygięcie małych usteczek jednoznacznie sugerowało, że

Walker jest jedyną istotą w jej wszechświecie.

I że jest piękny.

Walker odniósł wrażenie, że cały pokój wiruje mu przed oczami. Zapomniał o bólej nodze. Przez jego duszę przemknęła

ciemna błyskawica tęsknoty, której nie potrafił nazwać

i do której nie chciał się nawet przyznać. Rozpaczliwie

rozejrzał się, szukając bezpiecznego miejsca, w którym

mógłby złożyć małą bombkę tykającą w jego ramionach.

- Złała się? - spytał Archer, nie unosząc wzroku znad

wyciskanych cytryn.

- Hmm... chyba nie.

- Podejrzewasz, że ma zamiar to zrobić?

- Hmm...

Walker nie wiedział, co powiedzieć. Summer wciąż się do

niego uśmiechała, urzekając go, a jednocześnie przerażając

niewinną pewnością, że ogromny człowiek, który trzyma ją

na rękach, jest naprawdę wspaniały i potrafi zapewnić jej

bezpieczeństwo. <

- Przed chwilą ją przewinałem - zapewnił go Archer -

ale czasami załatwia pieluszki jedna za drugą.

Summer zacisnęła ciemnoróżowe usteczka i pacnęła nimi

w ramię Walkera.

- Chce całusa - wyjaśnił Archer.

- Hm...

Szarozielone oczy zrobiły się ogromne od łez. Summer

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
poklepała drobnymi paluszkami wargi walkera, jakby próbowała mu przypomnieć, do czego one służą.

- O Boże - powiedział. - Tylko nie płacz, złotko.
- Pocałuj ją, to się uspokoi.

Walker z ociąganiem pochylił głowę, by pocałować małą, wydatą usteczką Summer. Podskoczyła i ponownie go poklepała.

- Chce następnego - podpowiedział Archer, starając się nie wybuchnąć głośnym śmiechem na widok wyraźnego oszołomienia malującego się na twarzy walkera.

Faith oparła się o framugę kuchennych drzwi, złożyła zakurzone ręce i obserwowała, jak jej mała rudowłosa siostrzenica owija sobie wokół palca następnego mężczyznę.

Siostra Archera nigdy nie widziała na twarzy walkera takiego uśmiechu, z jakim właśnie spoglądał na Summer - był to uśmiech pełen wahania, zadowolenia, nieufności i oczarowania zarazem. Dzięki niemu Walker wyglądał na tak przystojnego, że mógłby zatrzymać ruch uliczny.

A już na pewno sprawił, że serce Faith zabiło dużo żywiej, co wcale jej nie ucieszyło.

- Musisz głośno cmoknąć - doradził Archer. - Wtedy będzie wiedziała, że naprawdę dajesz jej całusa.

Walker dodał odpowiedni efekt dźwiękowy. Summer ponownie go pocałowała, tym razem z większym entuzjazmem niż precyzją, po czym przytuliła się do niego i zaczęła gaworzyć. W końcu między jednym oddechem a drugim zasnęła.

- Archer? - Szept walkera był niemal niesłyszalny.

- Taak?

- Zasnęła.

- Na to wygląda - stwierdził Archer. - Świetnie się spisałeś.

Faith parsknęła śmiechem. Walker odwrócił głowę w jej stronę. Była zaskoczona, widząc w jego oczach płomień przypominający kolorem lapis-lazuli. W ciągu kilku ostatnich miesięcy przebywał w Afganistanie, szukając źródła nie szlifowanych, surowych rubinów, dlatego zapomniała, jak wspaniałe miał oczy. Prawdę mówiąc, dołożyła wszelkich starań, by o tym zapomnieć.

- Najwyższy czas - westchnął Walker, kiwnięciem brody wskazując na śpiące dziecko. - Masz szansę uratować swoją siostrzenicę.

- Dlaczego miałabym ją ratować, skoro właśnie jest w raju?

- spytała Faith.

- Może w takim razie uratujesz mnie.

- Nie mogę. Mam brudne ręce. - Pokazała mu wysmarowane palce. - Poza tym bardzo ładnie z nią wyglądasz.

- Dzieci mnie przerażają.

- Taak, jasne - mruknęła Faith obojętnie. - widziałam to,

gdy całowałeś ją po raz trzeci.

Faith podeszła do zlewu i zaczęła zmywać pył z rąk.

- Jak posuwa się praca nad naszymi Montegeau? -

spytał Archer, rozprawdzając marynatę po ogromnych filetach z łososia. - Zdasz na wystawę i ślub?

- Z ogromnym trudem.

Opłukała ręce, strzepnęła je i wytarła w dzinsy, przy okazji zostawiając na wyblakłym materiale brązowe smugi. Takie same ślady w nieregularnych odstępach znaczyły jej twarz.

Archer ponownie spojrzął na walkera. Delikatna, co?

Walker tylko się uśmiechnął.

- Czy twoja firma ubezpieczeniowa dała ci już znać, jak zamierza ubezpieczyć ten nasz jacht w drodze do Savannah?

- spytał Archer siostrę.

- Jeszcze nie. - Jej ton sugerował, że to nie sprawa Archera.

Archer zignorował sygnał ostrzegawczy. Tak samo od początku świata postępowali wszyscy starsi bracia.

- Będą pytali o wycenę AIKS-u lub jakiejś innej instytucji, mającej takie same uprawnienia.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Chcesz, żebym powiedziała ci coś, czego sama nie wiem - wypaliła.
- Amerykański Instytut Kamieni Szlachetnych był niezwykle miarodajny w swoich opiniach. Niestety, pracujący dla AIKS-u rzeczoznawcy potrzebowali tygodni, by wykonać swoją pracę. Faith nie miała na to ani tygodnia, tym bardziej kilku. Nie mogła na tak długo wypuścić rubinów z rąk, gdyż wówczas nie zdążyłaby wykonać naszyjnika na walentynki.
- Czy będziesz miała jakiś problem z uzyskaniem wyceny?
- ciągnął Archer.
- Milczała jak głaz.
- Faith? - spytał. Ale znał już odpowiedź, co sugerowało jego wnikliwe spojrzenie. - Do wyjazdu został ci niecały tydzień.
- Poradzę sobie.
- Nim Archer zdążył zadać następne pytanie, zadzwonił telefon.
- Odbiorę - zaproponowała Faith z wyraźną ulgą. Nie lubiła, gdy brat trzymał ją w krzyżowym ogniu pytań.
- Szczególnie wtedy, gdy miał rację.
- Telefon jest na półce z książkami, obok obrazów - podpowiedział Walker.
- Dzięki! - zawołała Faith przez ramię. Po następnym sygnale znalazła zmieniający miejsce pobytu aparat. - Halo?
- Chciałabym rozmawiać z Faith Donovan.
- Przy telefonie.
- Proszę chwileczkę poczekać.
- W słuchawce coś stuknęło - kobieta przełączała rozmowę. Potem rozległ się głos Tony'ego. Faith zamarła w bezruchu.
- Witaj, dziecińko. Miałem trochę trudności ze zdobyciem tego numeru, ale...
- Nie, dzięki. Nie potrzebuję folii aluminiowej.
- Zaczekaj, Faith! Nie rozłączaj się! Cholera jasna, musisz mnie wysłuchać! Nie miałem zamiaru cię uderzyć. Nigdy więcej tego nie zrobię. Kocham cię, chcę mieć z tobą dzieci i...
- Przykro mi - ucięła szorstko. - Podano panu zły numer.
- Cichym naciśnięciem widełek zakończyła rozmowę. Potem wzięła głęboki wdech, pragnąc się uspokoić. Była wściekła, że sam głos Tony'ego wywołuje u niej przypływ adrenaliny i taki strach. Jeszcze gorzej reagowała na widok byłego narzeczonego. Popełniła błąd, od którego po prostu nie mogła uciec.
- Tony w końcu przestanie mnie ścigać. Zmęczy się tym - wmawiała sobie ponuro. - Nikt nie uznałby nas za parę stulecia. Fakt, że byliśmy zaręczeni, nie przeszkodził mu w znalezieniu sobie innej kobiety. Oczywiście, to moja wina. Nie byłam dość dobra w łóżku.
- Telefon zadzwonił ponownie. Faith podskoczyła, jakby ktoś ją uszczyptał.
- Walker sięgnął przez nią i podniósł słuchawkę. Oparta o jego klatkę piersiową Summer ani drgnęła. Była przyzwyczajona do spania na czyichś rękach.
- Taak? - powiedział Walker szorstko. Nie podobało mu się, że Faith tak bardzo zbladła.
- Mówi Mitchell - przedstawił się sekretarz Archera. - Czy to ty, Walker?
- We własnej osobie - odparł Walker, przeciągając głoski.
- Wciąż jeszcze jesteś w pracy?
- Czeka na żonę. Wybieramy się do teatru. To eksperymentalne przedstawienie - aktorzy wciąż uczą się angielskiego i liczą na to, że publiczność będzie im podpowiadać brakujące słowa.
- Tym razem decyzja należała do niej, co? - spytał Walker z uśmiechem na ustach. Mitchell i jego żona na zmianę wybierali sposób spędzenia wieczoru.
- To był twój pomysł, pamiętasz? - wypalił sekretarz.
- Chcesz rozmawiać z Archerem?
- Prawdę mówiąc, szukam ciebie. Pamiętasz tego faceta z Myanmaru? Tego, który podobno może doprowadzić do dobrych surowych rubinów?

- Pamiętam.
- Przyszła od niego paczka.
- Czy tyka? - spytał walker sucho.
- Na razie nie.
- Wpadnę, żeby ją odebrać. Będę za dziesięć minut.
- Rozłączył się i spojrzał na Faith. Patrzyła na niego ze swego rodzaju uporem i przekorą.
- Czy to był Tony? - spytał walker prosto z mostu.
- Nie, ktoś pomylił numer.
- Walker coś burknął, nie wierząc jej słowom.
- Weź Summer. Muszę pobiec do biura i odebrać paczkę.
- Podczas przekazywania dziewczynki z rąk do rąk w salonie pojawił się Archer. Spojrzał na walkera, a potem przeniósł wzrok na siostrę.
- Jakież kłopoty?
- Nie - odparła spokojnie. - Summer się złała. Idę ją przewinać.
- Archer zaczekał, aż Faith zniknie z pola widzenia, po czym spytał po cichu:
- Kto dzwonił?
- Za drugim razem Mitchell. Mam do odebrania paczkę z surowym rubinem od mojego nowego człowieka w Birmie.
- Jednak gotów jestem dać głowę, że pierwszy telefon pochodził od zawsze kochającego byłego narzeczonego.
- Sukinsyn.
- Tylko wtedy, gdy ma dobry dzień - mruknął walker. - Kiedy indziej Tony jest zwyczajnym kurzym łajnem.
- Archer przeczesał smukłymi palcami krótkie włosy.
- Twoja siostra da sobie radę - stwierdził walker.
- Wolałbym zrobić to za nią.
- Walker również, ale z Faith nie łączyły go więzy krwi, więc nie miał zamiaru mówić tego na głos. Fakt, że Faith go pociągała, w najlepszym przypadku należało uznać za kiepski pomysł, w najgorszym - mógł oznaczać całkowitą klęskę.
- Archer jeszcze raz zaklął, po czym przestał zawracać sobie głowę Tonym.
- Idź do sklepu Faith, sprawdź rubiny pochodzące od Montegeau, a potem zgłoś się do mnie.
- Walker uniósł brwi, ale powiedział tylko:
- Kiedy?
- Dzisiaj. Najpóźniej jutro.
- A co z tą partią surowych rubinów, które miały nadejść z Afryki? Czy wciąż chcesz, żebym ci powiedział, ile są warte?
- Cholera! - Archer ponownie przeczesał palcami włosy. - Zrób to jutro zaraz z rana. A potem idź do sklepu Faith. Chcę, żebyś się tam kręcił, póki nie znajdę dla niej jakiegoś ochroniarza.
- Zmarszczywszy czoło, Archer odtworzył w myślach wszystkie sprawy, którymi aktualnie zajmowali się Donovanowie, przypomniał sobie również konkretne potrzeby każdego z członków rodziny. Ostatnio odnosił wrażenie, że większość czasu poświęca na zatrudnianie ochroniarzy, mimo to wciąż brakowało mu ludzi, których darzyłby pełnym zaufaniem. Zwłaszcza w przypadku swojej siostry. Co prawda nie mógł powiedzieć, że świat zamienia się w istne piekło... ale też z pewnością nie stawał się niebem.
- Zaplanuj wszystko tak, żebyś mógł jechać z nią do Savannah. Potrzebuję kogoś, kto zdoła zachować stoicki spokój.
- Czy oprócz Tony'ego - spytał walker, zaciągając - jest jeszcze coś, co cię szczególnie niepokoi?
- Kyle. Wciąż nękają go złe przeczucia, jeśli chodzi o rubiny Montegeau.
- Bardzo złe?
- Bardzo. I robią się coraz gorsze.
- Walker cicho gwizdnął. Kyle miał naprawdę złe przeczucia, gdy walker wyruszał w ostatnią podróż do Afganistanu. Mimo to pojechał.
- Niewiele brakowało, by zginął.
- Milion dolców za trzynaście rubinów?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Walker sceptycznie uniósł niemal czarne brwi. Zmienił uchwyt na lasce. Prawdę mówiąc, wcale jej nie potrzebował, ale ta staroświecka drewniana podpórka sugerowała, iż posługujący się nią człowiek jest nieszkodliwy. Laska przypominała mu również, jak niewiele brakowało, by zginął i rzeczywiście przestał stanowić jakiegokolwiek zagrożenie. Sporo czasu upłynie, nim Walker ponownie zdobędzie się na taką głupotę.

- Gdybym miał podpisać czek, musiałbym wcześniej zobaczyć te rubiny - ciągnął.

- Niczego nie będziesz podpisywał - burknęła Faith. Potem spojrzała na stojący przed nią stół warsztatowy, jakby chciała przypomnieć Walkerowi, że jej przeszkadza. - Ta sprawa nie ma nic wspólnego z tobą ani moimi braćmi. Walker pobiegł za jej wzrokiem. Gruba, drewniana powierzchnia mającego kształt litery U stołu nosiła ślady nacięć, zadrapań i przypaleń tak często pojawiających się w miejscach pracy projektantów biżuterii. Kombinerki różnej wielkości i kształtu, długie, wąskie, okrągłe pilniki, lutownice, okulary ochronne, szydła, zaciski, tarcze do polerowania, metalowa podstawka do wyklepywania, pokryty skórą pobijak i inne, trudniejsze do zidentyfikowania narzędzia leżały, tworząc wzór, który dla Walkera wyglądał na przypadkowy, nie wątpił jednak, że Faith potrafi sięgnąć po dowolną rzecz, nawet się nie odwracając. Każdy człowiek zarabiający na życie za pomocą takich czy innych narzędzi wie też, jak o nie dbać. Faith nawet nie starała się ukryć zniecierpliwienia, dlatego nie zwracała uwagi na to, że Walker bacznie się wszystkiemu przygląda, i wróciła do szkiców garnituru, nad którym właśnie pracowała. W jego skład wchodził naszyjnik, bransoletka, kolczyki, broszka i pierścioneł. Luźne kartki z ołówkowymi szkicami przyciśnięte zostały kosztownym kawałkiem lapis-lazułu. Faith spojrzała na niego - bryłka miała taki sam odcień jak oczy Walkera.

Ta myśl zaniepokoiła Faith. Po niefortunnym związku z Tonym poprzysięła sobie, że będzie unikać mężczyzn, tymczasem Walker bez przerwy zaprzętał jej myśli. Skierowała uwagę na ogromne, dyskretnie zabezpieczone frontowe okno „Ponadczasowych Marzeń” - miejsca, które stanowiło swoiste połączenie pracowni i sklepu jubilerskiego. Co prawda w życiu osobistym poniosła poważną porażkę, ale była dumna z tego, co udało jej się osiągnąć w pracy zawodowej.

Za szybą, na Pioneer Square, kłębiły się tłumy przechodniów, artystów, właścicieli sklepików i ludzi, którzy nie zważając na zimne lutowe popołudnie, postanowili coś kupić. Jesienne liście już dawno temu przemielone zostały na brązową pastę i zmyte przez deszcz. Turyści - nawet odporni na wszystko Niemcy - pojawiają się dopiero za kilka miesięcy. Deszcz wciąż ciężko pracował i z uporczywością kotki czyszczącej brudne kociątko zmywał ulice, budynki i przechodniów. Tymczasem Walker czekał, aż Faith poświęci mu chwilę uwagi.

- Cholera jasna - mruknął.

Nadal czekał. Był w tym dobry. Życie w bardzo niemiły sposób nauczyło go cierpliwości, kiedy jako chłopiec przemierzał słone bagna i czarne rozlewiska, szukając czegoś do jedzenia. Na szczęście Seattle znajdowało się bardzo daleko od znacznie cieplejszych nizin Karoliny Południowej, a Walker od swoich chłopięcych lat pokonał bardzo długą drogę. Nie zmieniło to faktu, iż Faith nie miała nawet tyle instynktu samozachowawczego co najbardziej bezbronne zwierzę, na jakie Walker polował na odwiecznych moczarach. Wiedział, jaką cenę płaci się za taką bezbronność, chociaż Faith w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy.

- O co ci chodzi? - spytała prosto z mostu.

- Czy rubiny Montegeau w ogóle są ubezpieczone?

- Póki znajdują się tutaj, obejmuje je polisa wystawiona

na mój sklep.

- W takim razie musisz mieć jakąś wycenę.

- Oczywiście. Ale tylko nieoficjalną. Właściciel rubinów przekazał mi pisemny opis kamieni i podał ich przybliżoną wartość.

- Powiedz mi, jakie ten człowiek ma kwalifikacje, jeśli podejmuje się wyceny rubinów?

Faith przymrugała szaroniebieskie oczy i zerknęła na walkera.

- Jego rodzina od dwustu lat para się jubilerstwem. Usatysfakcjonowany? Usatysfakcjonowany.

Było to jednak słowo, którego walker starał się nie używać, myśląc o Faith, zwłaszcza gdy stał tak blisko niej, że czuł słodki, powodujący zawroty głowy zapach, który przywołał mu na myśl letni ogród o świcie. Wolałby, żeby Archer Donovan zlecił pilnowanie sklepu swojej siostry komuś innemu. Komukolwiek. Walker wiedział, że irytuje Faith, ona sama zresztą nawet nie starała się tego ukryć. Biorąc pod uwagę fakt, jakim nieudacznikiem okazał się były narzeczony Faith, walker czuł się dotknięty jej wyraźną niechęcią. Na domiar złego Faith za bardzo na niego działała jako kobieta. wzbudzała jego pożądanie. Niestety, była młodszą siostrą szefa. A to oznaczało, że bagienny szczur z Karoliny Południowej nie miał prawa o niej myśleć.

Walker potarł krótką, niemal czarną brodę, a potem rozmasował kark. Te czynności działały jak liczenie do dziesięciu, dwudziestu, a nawet stu. Robił to tak długo, aż opanował złość.

- Czy Archer wie, że zaczęłaś handlować kamieniami szlachetnymi nie mającymi wyceny? - spytał w końcu Walker.

W jego głosie słychać było jedynie lekki południowy akcent.

Ukrywanie własnych uczuć to druga rzecz, w której był naprawdę dobry. Wiązało się z cierpliwością myśliwego.

- Wcale nimi nie handluję. Jedynie wykonuję z nich naszyjnik.

- Potarła skronie. - To praca, na którą mam bardzo mało czasu. Podjęłam jej się tylko ze względu na moją starą przyjaciółkę ze studiów. Mel była pierwszą dziewczyną, z którą mieszkałam w tym samym pokoju. Władze uniwersytetu uznały, że dobrze byłoby rozdzielić siostry Donovan. Walker ze zdumiewającą łatwością podążył za tą dość złożoną wypowiedzią.

- Czy to rodzina Mel od dwustu lat zajmuje się jubilerstwem?

- Nie, rodzina jej narzeczonego, Jeffa. Naszyjnik jest prezentem ślubnym od przyszłego teścia. To ma być niespodzianka.

Mel jest w szóstym miesiącu ciąży. Młodzi właśnie postanowili się pobrać. Moja przyjaciółka po raz pierwszy w życiu czuje się naprawdę szczęśliwa. Nie mogłam odmówić.

Poza tym ten naszyjnik to jeden z najlepszych klejnotów, jakie kiedykolwiek wykonywałam. Chcę pokazać go na wystawie w Savannah.

Lekkie mrowienie w nodze walkera zamieniło się w ból.

Starzy przyjaciele czasami potrafią przysporzyć człowiekowi wielu problemów. Poważnych problemów.

- Masz zamiar wykupić ubezpieczenie na czas podróży i wystawy?

Faith wbiła wzrok w sufit.

- Brałaś lekcje u moich braci, czy z natury jesteś taki wścibi i władczy?

- Lekcje? - Teraz dużo bardziej przeciągał głoski i mówił dużo wolniej. - To jest myśl. Muszę porozmawiać na ten temat z Archerem.

- Jest teraz zbyt zaabsorbowany swoją świeżo poślubioną małżonką.

- Hannah należy do kobiet, które potrafią całkowicie pochłoniąć uwagę mężczyzny - zgodził się walker.

Uśmiechnął się lekko na myśl o wczorajszej kolacji w domu

Donovanów. Denerwujący australijski akcent Hannah był

tak samo zaskakujący jak jej milczący upór. Swoją nieustępliwością dorównywała mężczyźnie, za którego wyszła za

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
 mąż. To bardzo dobrze. w pewnych okolicznościach Archerowi
 można było przypisać dziesiąty stopień w skali Mohsa*,
 tuż obok diamentów.
 - Archer się na nią nie skarży - szybko przypomniała mu
 Faith.
 - Zauważyłem. To zdumiewające, jak szybko mężczy
 przedstawiciele rodu Donovanów decydują się na kajdanki
 na nogi.
 - Kajdanki na nogi?! Co za dziwne określanie małżeństwa!
 - Najwyraźniej myślisz tak samo, bo inaczej już dawno
 temu poślubiłabyś tego zgniłka, z którym byłaś zaręczona.
 Faith próbowała nie parsknąć, słysząc, w jaki sposób Walker
 określa Tony'ego Kerrigana. Udało jej się ukryć śmiech
 pod wymuszonym kaszlem. Zauważywszy delikatne wygięcie
 ust Walkera, doszła do wniosku, że nie zdołała go oszukać.
 Szybkość myślenia była następną cechą, którą Walker
 przypominał jej braci.
 - Wróćmy do ubezpieczenia - powiedział. - Kto je wykupił?
 - Czy to ma jakieś znaczenie?
 - Miałoby, gdyby coś stało się z rubinami.
 - Nikt się nie odważy. Przez cały czas ktoś siedzi mi na
 karku - teraz na przykład ty. Dzieje się tak nie tylko wtedy,
 * Skala Mohsa używana jest do określania twardości minerałów. Ma dziesięć
 stopni: - talk, - gips, - kalcyt, - fluoryt, - apatyt, - ortoklaz, -
 kwarc,
 - topaz, - korund, - diament (przyp. tłum.).
 gdy wychodzę ze sklepu, ale też przez większość czasu, jaki
 tu spędzam.
 - Skargi kieruj do mojego szefa.
 - To na nic. Nawet - wyznała ze wzruszeniem ramion -
 nie zamierzam walczyć. Gliniarze nie mogą być wszędzie.
 - Ale bandyci tak. Ostatni dwadzieścia jeden godzin temu
 urzędował o dwie bramy dalej.
 Skrzywiła się. Właśnie z powodu serii napadów, włamań
 i kradzieży Archer postanowił przydzielić Faith i „Ponadczasowym
 Marzeniom” jednego z pracujących dla Donovan International
 ochroniarzy. Tego ranka poinformował siostrę, że
 jej nowym cieniem jest Walker. Kiedy wypaliła, że nie rozumie,
 na co może się jej przydać facet chodzący o lasce, Archer
 jedynie zmierzył ją dziwnym spojrzeniem, po czym
 wrócił do porządkowania podpisanych przez Donovan International
 kontraktów ze światem, w którym granice państw
 zmieniają się wraz z podawanymi o szóstej wiadomościami.
 - Wróćmy do ubezpieczenia - powiedział ponownie Walker.
 - Sprawdzam, ile będzie kosztować oddzielna polisa dla
 naszyjnika na czas wystawy w Savannah i podróży.
 - Nikt nie ubezpieczy ci go bez wyceny. Prawdziwej wyceny
 wydanej przez laboratorium AIKS-u albo inną pracownię
 cieszącą się równie dobrą reputacją.
 Milczenie.
 - Czy kamienie są u eksperta? - spytał.
 - Nie. - Potem niechętnie dodała: - Nie znalazłam wykwalifikowanego
 rzeczoznawcy, który mógłby oddać mi rubiny
 dość szybko, żebym zdążyła osadzić je w naszyjniku
 Meł przed wystawą w Savannah.
 - Nad tym właśnie zastanawiał się Archer.
 Walker również, ale mówiąc to, z pewnością niczego by
 nie zyskał.
 Faith zacisnęła wargi. Jej brat nie poprzestał na zastanawianiu
 się. Przycisnął ją do muru niemal tak samo jak Walker,
 tylko był mniej cierpliwy.
 - Powiedziałam Archerowi, że sobie poradzę.
 - Nie ma sprawy. Mogę ci oszacować te rubiny.
 - Jesteś dyplomowanym rzeczoznawcą? - spytała zaskoczona.
 - Znam się na rubinach. Jeśli powiem, że są warte milion,
 Archer ubezpieczy je na milion, wykładając na ten cel pieniądze
 Donovanów.
 - Nie wiedziałam, że jesteś ekspertem od rubinów.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Wielu rzeczy o mnie nie wiesz - zauważył Walker obojętnie.
- No dzięki Bogu. - Gdzie masz te rubiny?
- Tutaj.

Mówiąc to, otworzyła jedną z przepaścistych szuflad w stole warsztatowym i wyjęła z niego niewielkie kartonowe pudełko. Znajdowały się w nim małe, wąskie, eleganckie papierowe torebki zawinięte z jednej strony. Każda z nich zawierała jeden kamień.

- Niech to szlag trafi! - zaklął Walker. - Nic dziwnego, że Archer kazał mi być twoim cieniem, póki nie przekażesz naszyjnika. Nawet nie trzymasz tych cholernych rubinów w sejfie.

- Przecież jakoś muszę pracować nad tymi cholernymi rubinami - zwróciła mu uwagę Faith słodkim głosem. Potem uśmiechnęła się, pokazując dwa rzędy mocnych białych zębów. - Na tym polega moja praca. Projektuję i wykonuję biżuterię. Zresztą wbrew temu, co sądzą na ten temat moi bracia, jestem już dużą dziewczynką i potrafię zajmować się swoimi sprawami. Należy do nich również radzenie sobie z drogocennymi kamieniami szlachetnymi.

- Większość ludzi, mając do czynienia z kamieniami szlachetnymi wartymi milion dolarów, stawia przy drzwiach ochroniarza.

- Przecież mam człowieka, który mnie pilnuje.

- Jasne. Prawda, że świetnie się składa?

Tym razem Faith dostrzegła stał ukrytą pod delikatnym południowym akcentem.

- Dobrze, że jest ktoś, kogo to cieszy - mruknęła pod nosem. Walker usłyszał.

- Ale tym kimś nie jesteś ty?

- Czy to po raz pierwszy całą przyjemność z sytuacji czerpie mężczyzna?

- Czyżbyś porównywała mnie do pewnego zgniłka?

- Zgniłki nie mają oczu w kolorze lapis-lazuli.

Walker otworzył usta, żeby coś powiedzieć, po chwili jednak zrezygnował z tego pomysłu i potrząsnął głową.

- Pomóż mi. Chyba się pogubiłem. Co lapis-lazuli ma wspólnego z końskim gównem?

- No właśnie. Wcale nie straciłeś orientacji.

Nagle wybuchnął śmiechem, ciesząc się z jej błyskotliwego, choć może nieco dziwnego poczucia humoru.

Chociaż Faith obiecała sobie, że będzie w stosunku do Walkera zachowywała chłodny, godny profesjonalistki dystans, uśmiechnęła się do niego serdecznie, pokazując wszystkie zęby. Cieszyła się, że ktoś spoza rodziny rozumie jej abstrakcyjne żarty. Tony nie lubił „zasmarkanego” poczucia humoru Faith.

- Kyle zazwyczaj twierdzi, że próby podążania za rozmową moją i mojej siostry przypominają zgadywanie, na którym kwiatku usiądzie motyl - wyznała.

- To całkiem proste. Na tym, który ma najśłodszy nektar. Roześmiane, ciemnoniebieskie oczy zatrzymały się na dłużej na ustach Faith. Potem Walker przestał się uśmiechać i pokonał kilka kroków dzielących go od stołu warsztatowego. Własne utykanie bardziej go irytowało, niż bolało. Przypominało mu, jakimi był głupi. Teraz popełniał niemal taką samą głupotę, wymieniając uśmiechy z młodszą siostrą Archera i zastanawiając się, czy jej usta są takie gorące i słodkie, na jakie wyglądają. Uśmiech Faith stał się mniej pewny. Chociaż niepożądany ochroniarz nie był tak wysoki jak jej bracia - a tym bardziej Tony - miał w sobie coś, co świadczyło o ogromnej sile. Cieszyła się, że Walker utyka. W razie konieczności bez trudu mogłaby go prześcignąć.

- Czy w którejś z tych szuflad masz może lupe? - spytał.

- Jaasnee - powiedziała, naśladowując jego delikatny południowy akcent.

Zlekceważył ten żart, uważając, że jest to mądrzejsze rozwiązanie, niż zrobienie tego, na co właśnie miał ochotę.

- Przepraszam - dodała szybko, grzebiąc w szufladzie. -

Nie miałam takiego zamiaru.

Spojrzał na jej pochyloną głowę. Dostrzegł, że zagryzła dolną wargę.

- Jakiego?

- Nie chciałam sprawić ci przykrości. No wiesz. Mam na myśli twoje męskie ego.

Wiedział, że mężczyzn z rodziny Donovanów niełatwo urazić. To samo zresztą dotyczy każdego mężczyzny zasługującego na to miano.

- Podejrzewam, że znowu przypomniał ci się pewien zgniłek.

Faith zeszywniała.

- No cóż - ciągnął Walker z południowym akcentem. -

Jestem mężczyzną i oczywiście mam ego, ale naśladowanie sposobu, w jaki mówię, nie uraża mojej dumy, tak samo zresztą jak żaden z tematów poruszanych przez damsko-męskie grupy dyskusyjne. Nawiasem mówiąc, powinnaś trochę popracować nad swoim południowym akcentem. Dobrze się składa, bo jestem w tej dziedzinie prawdziwym ekspertem. Wypuściła powietrze z płuc i podała mu lupę.

- Na przyszłość zachowam dla siebie swoje szczeniackie próby zabawiania się cudzym kosztem.

Przymrużył oczy, ponieważ usłyszał w jej głosie echa dawnego bólu.

- Daj spokój, złotko. Byłbym bardzo zawiedziony. Nic człowieka nie męczy tak bardzo, jak kobieta, która nie potrafi podjąć gry.

- Złotko? - Faith gwałtownie uniosła głowę.

Walker uśmiechnął się od ucha do ucha i rozłożył lupę.

- Doskonale. Na tym właśnie polega przewaga niewiast, które mają braci. Już w dzieciństwie uczą się naprawdę szybko chwytac przynętę.

- Wiedziałam. Masz jakieś rodzeństwo.

Z oczu Walkera zniknęło rozbawienie, został w nich jedynie głęboki, pusty błękit wysokogórskiego zmierzchu.

- Już nie.

Oparł łaskę o stół i skupił uwagę na pudełku z maleńkimi papierowymi torebeczkami.

- Nie miałam zamiaru... - zaczęła. *'

- Wiem - przerwał jej, wyjmując pakietek wielkości zaledwie połowy jego dłoni. - Nie przejmuj się.

Wyczuła, że jego słowa są szczerze. Naprawdę. Nie mogła jednak zapomnieć pustki w jego oczach. Nie chciała sprawić mu przykrości. Wiedziała jednak, że to zrobiła. Nie miała jedynie pojęcia czemu.

Po chwili wahania Faith odłożyła tę sprawę na bok. Ból czy radość Walkera to nie jej sprawa. Nie była jego dziewczyną

- dbanie o jego męskie ego nie należało do jej obowiązków.

To dobrze. Była w tym tak samo kiepska jak w łóżku.

Za to jestem cholernie dobrym projektantem biżuterii - przypomniała sobie z zapałem. Z tym wiązała swoją przyszłość

- z pracą, a nie przyjemnościami. Będzie uzdolnioną artystycznie ekscentryczną ciotką, trzymającą koty i na Boże Narodzenie przynoszącą swoim siostrzenicom, bratanicom i bratankom prezenty z całego świata.

Z zamyśleniem obserwowała, jak Walker szybkimi, zręcznymi ruchami odwija pierwszy rubin. Sądząc po umiejętności obchodzenia się z cienkim papierem, miał w życiu do czynienia z wieloma kamieniami szlachetnymi.

Faith poczuła, że ogarnia ją ciekawość - ta sama ciekawość,

która zrodziła się podczas pierwszego spotkania z cichym,

zwinnie poruszającym się mężczyzną o łagodnym głosie

i wolnym sposobie mówienia. Walker sprawił wówczas

na niej wrażenie człowieka chętnie trzymającego się na uboczu,

niemal nieśmiałego. Jednak zdaniem bratowej Faith,

Lianne, opanowanie Walkera i jego szybki sposób myślenia

uratowały ich tego dnia, kiedy Donovanowie o północy przypuścili

atak na pobliską wyspę, by odzyskać bezcenny, skradziony

jadeitowy całun.

- Masz pincetę? - spytał walker.

Sięgnęła ręką do następnej przepastnej szuflady i wręczyła mu szczypczyki o zakrzywionych końcach.

Wziął narzędzie, nawet nie unosząc głowy znad kamienia, który płonął niczym ogień na tle białego papieru. Pogwizdując pod nosem, ustawił jedną z umocowanych na długim ramieniu lampek, przytrzymał rubin między okiem a źródłem intensywnego światła i spojrzał przez lupę.

Poczuł się tak, jakby wkroczył w inny świat czy osobliwy, obcy wszechświat, gdzie jedyną rzeczywistością, bogiem, sensem wszystkiego była czerwień.

Drobne nieregularności i „jedwab” we wnętrzu kamienia zmieniały kierunek światła. Każde najdrobniejsze zanieczyszczenie cieszyło walkera. Tylko człowiek ma obsesję na punkcie perfekcji. Naturalne rubiny powstały w rozgrzanym do czerwoności wnętrzu Ziemi, w rozżarzonej lawie, tajemnej ziemskiej krwi, która potrafi zamienić zwyczajny kamień w coś wyjątkowego, niezemskiego. Zawsze jednak pozostawia ślady pierwotnych składników.

To właśnie tych skaz walker szukał i z nich tak się cieszył.

Każda drobna wada, każdy obłoczek jedwabiu mówił mu, że krwistoczerwony kamień pochodzi z odległej, dawnej kopalni, a nie z wciąż udoskonalanych przez ludzi laboratoriów, dysponujących najnowszymi osiągnięciami techniki.

- No i? - spytała Faith.

- Ładna czerwień.

- Sama też to widzę.

- Wystarczająca ilość jedwabiu, by stwierdzić, że ten rubin nie został wysmażony w Bangkoku, w jakiejś kuchni, w której przyrządza się kamienie szlachetne, ani nie powstał w żadnym z amerykańskich laboratoriów.

- Tyle mogłam ci powiedzieć. Te kamienie zostały wyjęte ze starej biżuterii, należącej do rodu Montegeau.

Walker uniósł ciemne brwi.

- Ci ludzie muszą być naprawdę bogaci. Pochodzą z Karoliny Południowej - stwierdził, uważając, że powinien wykazać odrobinę ciekawości. Archer już wcześniej przekazał mu podstawowe wiadomości.

- Skąd wiedziałeś? - zdziwiła się Faith.

Próbował wymyślić, jak w najkrótszy sposób wyjaśnić, że tam, gdzie spędził dzieciństwo, członków klanu Montegeau traktowano jak miejscową szlachtę. Byli to bardzo bogaci ludzie, których dom lśnił jak kryształowy pałac, kiedy walker nocami przemierzał bagna i rozlewiska, próbując złapać coś do zjedzenia.

- W dzieciństwie mieszkałem w Karolinie Południowej.

Montegeau przypominali aligatory - żywi mieli dużą wartość, zawsze czaili się w pobliżu i czasami potrafili być wyjątkowo podstępni.

- A ja myślałam, że aligatory są pod ochroną.

- Złotko, nic nie uchroni się przed głodnym człowiekiem.

Faith ponownie gwałtownie uniosła głowę. Natychmiast się zorientowała, że walker wcale nie nazwał jej „złotkiem”, by ją zdenerwować. Prawdopodobnie nawet nie zdawał sobie sprawy, że użył tego słowa. Ponownie cicho pogwizdywał, całkowicie skupiony na kamieniu szlachetnym, płonącym między delikatnymi ramionami pincety. Przez chwilę zastanawiała się, do ilu swoich kobiet walker mówił „złotko” i czy robił to dlatego, że nie musiał zapamiętywać ich imion.

Tak przynajmniej było w przypadku jej byłego narzeczonego. Używany przez niego przy każdej okazji zwrot „dziecinko”

po prostu ukrywał luki w pamięci, zwłaszcza gdy pijany nie bardzo wiedział, z kim właśnie jest.

Na to wspomnienie Faith zadrżała, jakby owiał ją zimny podmuch wiatru. Przypomniała sobie, że jej związek z Tonym należy już do przeszłości. Wyciągnęła wnioski. Postąpiła wyjątkowo głupio, wybierając wysokiego i muskularnego

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
mężczyznę, który mógłby pokonać jej starszych braci. Mimo to bardzo chciała dowieść swojej rodzinie - i sobie samej - że tak samo jak Honor potrafi znaleźć kogoś, kto będzie ją szanował.

Po ślubie siostry bliźniaczki Faith poczuła się zagubiona i samotna. Obie z Honor tak dużo razem przeżyły - od pierwszych staników, poprzez chłopców, aż po prawa jazdy. Teraz wszystko się skończyło. Honor i Jake byli nierozłączni, na dodatek mieli cudowną córeczkę o imieniu Summer. Siostry wciąż dużo ze sobą rozmawiały, nadal śmiały się z tych samych żartów, nie przestały się też kochać, jak na bliźniaczki przystało, ale to już nie było to samo. I nigdy nie będzie. Póki Faith nie została tak bardzo w tyle, nie zdawała sobie sprawy, jak bliskie stosunki łączą ją z tak do niej niepodobną siostrą bliźniaczką.

- Następny - powiedział Walker.

Podał jej starannie zapakowaną torebkę, w której bezpiecznie spoczywał pierwszy rubin. Coś w spojrzeniu Walkera powiedziało Faith, że jej rozmówca nie po raz pierwszy próbuje zwrócić na siebie jej uwagę.

- Przepraszam - mruknęła - zamyśliłam się. - Pchnęła po stole w jego stronę pudełko z torebkami. - Proszę. Sięgając po następny kamień, Walker zastanawiał się, jakie myśli zasnuły mgiełką błyszczące, srebrnobłękitne oczy Faith i czemu jej piękne usta delikatnie wygięły się w podkówkę. Był tego bardzo ciekaw, ale nie zapytał. To nie jego sprawa. Fakt, że chciałyby, żeby było inaczej, świadczył jedynie o jego potwornej głupocie.

Walker bez słowa odłożył sprawdzony rubin i wziął z pudełka następną torebkę, po czym wyjął z niej kamień.

w chwilę później z powrotem znalazł się w czerwonym wszechświecie, w którym liczy się tylko kolor, wspaniała gra światła i podnosząca na duchu niedokładność. Ideał.

Walker otarł się o śmierć w nadziei, że uda mu się znaleźć surowe rubiny takiej jakości. Ironia polegała na tym, że znalazł je w przepaścistej szufladzie Faith, dlatego miał ochotę jednocześnie zakląć i się uśmiechnąć.

Faith z cichym szelestem wyjęła blok rysunkowy. Szybko przerzuciła zarysowane kartki. Roztargnione, dziwnie uspokajające pogwizdywanie Walkera powiedziało jej, że całkowicie skupił się na nowym rubinie. Wzięła do ręki ołówek automatyczny i zaczęła od nowa pracować nad szkicem dla bogatego i kapryśnego klienta. Człowiek ten chciał mieć coś, co odznaczałoby się „większą powagą” niż oszczędna, a zarazem liryczna elegancja, która stała się znakiem rozpoznawczym wyrobów Faith.

Zmarszczywszy brwi, przyjrzała się rysunkowi. Klient życzył sobie, by wykonywany dla niego klejnot był ozdob-

ny, lecz nie udziwniony, wytworny, ale bez odwoływania się do jakiegoś konkretnego stylu, okazały, a mimo to nie ciężki. Egzotyczna zmysłowość Lalićjue'a* była „zbyt kobieca”. Typowa dla końca dwudziestego wieku geometria - „zbyt męska”.

W głębi duszy Faith zastanawiała się, czy koniec końców nie odrzuci tego zamówienia. Niektórych klientów po prostu nie da się zadowolić.

Skrzywiła się i zaczęła nowy rysunek. Powoli zapominała, gdzie jest, przestawała dostrzegać, że Walker znajduje się zaledwie kilka metrów od niej, przestał się liczyć cały świat, a całą jej uwagę przykuły kształty i cienie projektowanej biżuterii. Niespokojne linie przywodziły na myśl paprocie wyrzeźbione w twardym złocie, ukryty wśród nich księżyc z opalu i drobnutkie opałowe kropelki deszczu porozrzucane tu i ówdzie w pobliżu koniuszków każdego listka. Ten pomysł można było wykorzystać przy wykonywaniu wisiora, broszki, bransoletki, pierścionka, kołczyków albo sprzączki do paska. Wystarczyło jedynie zmienić rozmiar i liczbę szczegółów.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

w pomieszczeniu przez jakiś czas słycać było tylko szelest papieru, ciche pogwizdywanie walkera i przypadkowy krzyk samozwańczego zbawcy ludzkości, snującego swoją wizję na Pioneer Square.

W końcu walker odłożył trzynastą torebkę. Spojrzał na przepastną szufladę i elegancką blondynkę, która zapomniała o całym bożym świecie, skupiona całkowicie na bloku rysunkowym. Kiedy machinalnie przesunęła kosztowny kawałek

lapis-lazuli, by zrobić sobie więcej miejsca, walker potrząsnął głową z niedowierzaniem. Faith naprawdę nie miała

* René Lalique (-) - francuski twórca zajmujący się jubilerstwem i sztuką artystycznym, przedstawiciel art nouveau i art deco (przyp. tłum.). nawet bladego pojęcia, jakie kłopoty mogą ściągnąć na jej głowę rubiny Montegeau.

Bez słowa podszedł do drzwi wejściowych, przekręcił w nich klucz i obrócił wywieszkę „ZAMKNIĘTE”.

- Co robisz? - spytała, nie odrywając wzroku od rysunku.

- Nie ja. My.

Uniosła głowę. Zostawiona przez walkera lampka na długim wycięgniku oświetliła z boku twarz Faith i nadała jej oczom błysk godny srebrnobłękitnych brylantów.

- Nie rozumiem.

- Potrzebuję paru rzeczy, które mam u siebie w domu. Ponieważ nie mogę być w dwóch miejscach jednocześnie, zabieram cię ze sobą.

- Mam mnóstwo pracy.

- Weź blok rysunkowy.

- To śmieszne! Bardzo często jestem w sklepie sama i nigdy...

- Jeśli ci się to nie podoba - przerwał jej - porozmawiaj na ten temat z członkami swojej rodziny. Ja tylko dla nich pracuję.

Poderwała się z krzesła, otworzyła drzwi i obróciła wywieszkę.

- Nigdzie nie idę.

- Rób, jak uważasz, kochanie - powiedział, zaciągając - ale rubiny zabieram ze sobą tam, gdzie będą bezpieczne.

Chwycił pudełeczko z kamieniami, wziął do ręki łaskę i lekko chromając, wyszedł ze sklepu bez oglądania się za siebie.

Nim dotarł do krawężnika, zadzwonił do wydziału bezpieczeństwa Donovan International. Jeśli te rubiny są

choćby w połowie takie dobre, na jakie wyglądały, gdy walker patrzył na nie przez lupę, to być może pojawiła się

możliwość obejścia nacisków tajlandzkiego kartelu, rzą-

-

dzącego rynkiem szlifowanych rubinów - firma Archera mogłaby wykorzystywać starą biżuterię i w ten sposób zagrać monopolistycznie na nosie. Jedyny problem polegał na tym, że tam, gdzie w grę wchodzi pieniądze i władza, bywa bardzo niebezpiecznie.

W amerykańskim mieście można zginąć równie łatwo jak w skalistych górach Afganistanu.

Faith uniosła głowę, gdy zadzwonił dzwonek przy drzwiach sklepu. Była ciekawa, kto zajmie miejsce walkera. Teraz już wiedziała.

Ray McGuire czekał cierpliwie. Był zastępcą szefa służby bezpieczeństwa Donovanów i często pilnował członków rodziny. Ostatnio spędził wiele czasu w sklepie Faith. Tłumaczyła Archerowi, że to zbyt bezpieczne. On z kolei zwrócił jej uwagę, że żadne zamki, alarmy ani sejfy świata nie wystarczą, jeśli zamknie się za sobą drzwi sklepu, a potem w drodze do samochodu poczuje przytknięty do pleców rewolwer. Wówczas człowiek nie ma już wyboru, może jedynie zawrócić, otworzyć zamki, wyłączyć alarmy, udostępnić sejfy i modlić się, by facet z rewolwerem nie pociągnął za spust. Lepiej unikać takich kłopotów i wychodzić ze sklepu tylko z uzbrojonym strażnikiem.

Nacisnęła guzik i otworzyła zamek wejściowy, wpuszczając Raya do środka.

- Musiałeś chyba przez całą drogę biec - zażartowała, zerkając

na zegarek. - Walker wyszedł prawie dziesięć minut temu.

- Jechałem. Miło cię widzieć.

Z uśmiechem obszedł dwie niewielkie szklane gablotki, w których wystawione były prace Faith. Złote wypukłości, blask srebra, błyski szafiru, opalu, brylantu, topazu, rubinu i turmalinu - fragmentów bożej tęczy. Ray zawsze był zdumiony, że takie piękne przedmioty mogą powstawać na koślawym, poprzypalanym stole warsztatowym stojącym na tyłach sklepiku.

- Robisz najlepszą kawę w Seattle.

- Twoje pochlebstwo zostanie nagrodzone potrójną kawą z ekspresu bez cukru.

Faith odłożyła na bok projekt. Właśnie utknęła w martwym punkcie, ponieważ bez przerwy miała przed oczami lapis-lazuły zamiast opalu, którego życzył sobie klient. Podeszła do ekspresu na zapleczu.

- Widzę, że pamiętałaś - powiedział, poruszając szpakowatymi brwiami, które kolorystycznie pasowały do krótkich przyprószonych siwizną włosów. - Czy to znaczy, że w końcu zgodzisz się ze mną uciec?

Para zasyczała, gdy Faith obsługiwała urządzenie z wprawą ulicznego baristy.

- Millie urwałaby mi głowę.

Millie od szesnastu lat była żoną Raya.

- Millie nie chce opanować sztuki robienia kawy z ekspresu.

Uważa, że francuski sposób parzenia jest lepszy.

- Nie ma sprawy. W takim razie nauczę cię.

- Mnie?! - krzyknął z udanym przerażeniem. - Do czego to doszło? - spytał, wbijając wzrok w sufit. - Mężczyźni uczą się, jak parzyć dobrą kawę, a kobiety noszą broń. Na litość boską, ostatni zatrudniony przez nas ochroniarz to kobieta.

- Naprawdę? Jeśli mi przypomnisz, następnym razem poproszę o nią.

- Za późno. - Uśmiechnął się. - W tym względzie szybszy był wielki Donovan.

Faith roześmiała się.

- Cały tata. Będzie krążył nad córkami jak jastrząb, a potem zawróci i jako swojego ochroniarza zatrudni kobietę.

- Hej, bądź sprawiedliwa. Twój ojciec ostatnio przestał już krążyć nad Honor.

- Po co ma się trudzić? Moja siostra ma teraz Jake'a.

To orzeł najwyższej klasy. - Faith podała Rayowi kawę. -

A teraz usiądź tutaj, przy ekspresie, i udawaj, że jesteś niewidzialny. Zostało mi jeszcze trochę papierkowej roboty.

Muszę ją odwalić przed trzecią, ponieważ na tę godzinę mam wyznaczone spotkanie. Potem chciałabym zamknąć sklep i pójść obedrzeć ze skóry Owena Walkera i Archera. Przy odrobinie szczęścia powinnam złapać ich razem.

Ray wiedział, że jej się to uda. Walker zdradził mu, że dwadzieścia po trzeciej jest umówiony z Archerem. Ale to była ich sprawa. Ray miał ochraniać Faith Donovan, przynajmniej na razie.

Upił łyk kawy, ciężko westchnął i wyznał:

- Jedyną rzeczą, którą robisz lepiej od parzenia kawy, jest projektowanie i wykonywanie biżuterii. Te dwie obrączki, które zrobiłaś na pięćdziesiątą rocznicę ślubu moich rodziców, były wprost idealne.

- Następne pochlebstwa? Przecież właśnie zrobiłam ci kawę. Czyżbyś zaczynał pracować na następną?

- Jeszcze nie. Poza tym to był fakt, nie pochlebstwo.

Ray podeszedł do krzesła w pobliżu ekspresu. Kiedy usiadł, rozpiął kurtkę, żeby nie utrudniała ewentualnego dostępu do broni. Oparł lewą kostkę na prawym kolanie i przez chwilę się poprawiał, póki rewolwer nie przestał ugniatać go w zębra. Ochroniarz wykonywał te ruchy całkiem automatycznie. Cztery lata temu zakończył pracę w komendzie policji w Los Angeles. Wystarczyło mu dwadzieścia lat poznawania wszystkich możliwych sposobów,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

w jakie człowiek potrafi dawać się we znaki innym.
Z tylnej kieszeni spodni wyjął kolorowe czasopismo i zaczął czytać o zbliżającej się aukcji. Oboje z żoną kolekcjonowali dawne ozdoby choinkowe.

Po kilku minutach w sklepie słychać było jedynie ciche szuranie ołówka po papierze i pisk obrotowego krzesła, na którym siedziała Faith. Ani ona, ani jej ochroniarz nie unieśli głów, kiedy po drugiej stronie Pioneer Square jakiś świecki kaznodzieja zaczął wykrzykiwać coś na temat końca świata. W przededniu nowego tysiąclecia niewiele osób interesowało się ponurymi przepowiedniami dotyczącymi rozlewu krwi.

Kiedy zadzwonił dzwonek przy drzwiach, Faith uniosła głowę. Za szybą z kuloodpornego szkła stał elegancko ubrany mężczyzna średniego wzrostu.

- Znasz go? - spytał Ray.

Spojrzał na błyszczący, kosztowny skórzany płaszcz, który sięgał mężczyźnie aż do łydek. Całość dopełniały rękawiczki i kapelusz. Prawdopodobnie Europejczyk. Większość obywateli Stanów Zjednoczonych woli skórzane kurtki.

- Nigdy nie spotkałam tego człowieka, przypuszczam jednak, że to pan Iwanowicz. Umówił się ze mną na третią.

- Przyszedł wcześniej.

- Czymże między przyjaciółmi jest głupie osiem minut?

- spytała oschle. - Wpuść go. Im wcześniej skończę, tym szybciej będę mogła dopaść mojego brata.

Ray odłożył czasopismo na bok i otworzył drzwi.

- Witam pana - powiedział uprzejmie.

- Dzień dobry.

Iwanowiczowi wystarczyło jedno spojrzenie, by ocenić Raya. Ochroniarz. Uzbrojony. Czujny. Żadna niespodzianka, ale też nie powód do radości.

- Ja być Iwanowicz.

Jako były gliniarz Ray nie lubił długich płaszczy. Za dużo można było pod nimi ukryć. Każdy, kto w Los Angeles nosił długi płaszcz, prawdopodobnie miał dużo do ukrycia. Pracując już jako ochroniarz z Seattle, Ray przyzwyczyił się do widoku takiego wierzchniego okrycia. Nie było ono tutaj powodem do natychmiastowych podejrzeń.

Chociaż i tak mu się nie podobało.

- Proszę wejść - zaproponował Ray. - Pani Donovan czeka na pana. Mogę wziąć pański płaszcz?

- Dziękuję. Ja nie być tu długo.

Ray zerknął na szerokie barki mężczyzny i okolice pasa.

Bardzo chciałby przebić wzrokiem skórę, ale było to niemożliwe, dlatego jedynie obserwował ukryte w skórzanych rękawiczkach dłonie i niebieskoszare oczy. Szukał charakterystycznych oznak zdenerwowania.

Faith z uśmiechem zrobiła kilka kroków do przodu. Kiedy wyciągnęła rękę, Iwanowicz jedynie się skłonił, zamiast uścisnąć jej dłoń, jak się spodziewała.

Z pewnością Europejczyk - uznał Ray. Cofnął się o dwa metry, ale nie wrócił na swoje krzesło. Nauczono go, jak wtapiać się w tło, zmieniając pozycję najwyżej o kilka centymetrów.

Był w tym dobry.

- Napije się pan kawy? - spytała Faith.

- Dziękuję.

Iwanowicz odczuwał coraz większe zmęczenie spowodowane różnicą czasu. Było ono dodatkowo spotęgowane przez wódkę i złość, mimo to Rosjanin zdobył się na pozornie szczery uśmiech.

- Pani wybaczyć. Ja mieć bardzo mało czas i dużo ważna sprawa.

Faith liczyła na to, że jej uśmiech zdołał ukryć uczucie ulgi. Prawdę mówiąc, wcale nie miała ochoty na zabawianie klienta banalną rozmową przy kawie.

- w takim razie dołożę wszelkich starań, by obsłużyć pana

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

jak najszybciej, panie Iwanowicz. wspomniał pan coś o grawerowanym, ale nie współczesnym kamieniu, prawda?

- Tak, o rubin - przyznał.

Obserwował ją z ogromnym natężeniem, wypatrując charakterystycznych oznak zdenerwowania. widział jedynie

czystą skórę, szczere błękitne oczy i odrobinę zniecierpliwienia, które nie miało nic wspólnego z zaniepokojeniem.

- Prezent, pani rozumieć? Dla matka. Ona lubić taka

rzecz. Mieć teraz osiemdziesiąta imieniny, więc ja chcieć dać dla niej coś odpowiednie. - wychylił się do przodu, oceniając każdy, nawet najdrobniejszy szczegół wyrazu twarzy

Faith. - Ktoś mi mówić, że pani być doskonała projektant i że mieć takie kamieni.

Faith nie zwracała uwagi na pochlebstwo. Dołożyła natomiast

wszelkich starań, by się nie cofnąć pod wpływem szorstkich manier mężczyzny i jego pełnego napięcia wzroku.

Czuła, że ten człowiek ją przytłacza, wręcz stanowi dla niej dziwne zagrożenie. Przypomniała sobie, że w każdej

kulturze podczas rozmowy zachowuje się inną odległość.

Gdyby odsunęła się od klienta, mógłby uznać to za nieuprzejmość.

Nie ustępowała pola.

- Mam kilka grawerowanych rubinów. Moi bracia podróżują po całym świecie. Szukają specjalnych kamieni, w które zaopatrują mój zakład jubilerski.

- Wszpaniale.

- Jeśli pan pozwoli, przyniosę je.

Iwanowicz przytaknął w sposób charakterystyczny dla człowieka przyzwyczajonego do tego, że to na niego się czeka.

Kiedy Faith podeszła do dużego jak szafa, mającego

wszystkie najnowsze zabezpieczenia sejfu, Rosjanin przejrzał

zawartość szklanych gablotek. Niezależnie od tego, co

pomyślał na temat niezwykłych klejnotów, nie dał po sobie nic poznać.

Gdy drzwi sejfu bezdźwięcznie się otwierały, Ray dyskretnie

obserwował klienta. Iwanowicz reagował tak, jakby

Faith otwierała szafę pełną środków czystości. Wyglądało

również na to, że nie przeszkadzało mu, iż najpierw zamknęła

za sobą sejf, a dopiero potem przyniosła mu kilka pudełeczek.

Ray przesunął się, by móc obserwować wszystko pod innym

kątem. Faith ustawiła pudełeczka na jednej ze szklanych

gablotek. Ray z prawdziwą przyjemnością zauważył, że

dziewczyna stanęła po przeciwnej stronie gablotki niż nieznany

klient. widocznie jego uwagi na temat bezpieczeństwa

uparta panna Donovan potraktowała poważnie. A może po

prostu nie odpowiadał jej zapach stęchłych papierosów, unoszący się z drogiego ubrania klienta.

Wykonując niemal niedostrzegalne ruchy, Ray dotarł do

miejsca, z którego wystarczyłoby mu jeden krok, by znaleźć

się między Faith a jej klientem. Chociaż prawdopodobnie nie

będzie to konieczne. Podobnie jak rozpinanie marynarki przy

siadaniu, Ray miał we krwi ustawianie się w odpowiednim

miejscu - na wypadek, gdyby działo się coś złego.

Iwanowicz widział i rozumiał każdy ruch Raya. Na szczęście

był przygotowany na kupno rubinu za każdą cenę. Tarasów

jasno dał do zrozumienia, że nie życzy sobie żadnych

wypadków, żadnego rozgłosu, niczego, co mogłoby świadczyć,

że rubin kiedykolwiek opuścił Ermitaż. Iwanowicz

wiedział, jaką cenę musiałby zapłacić w przypadku ewen-

tualnego niepowodzenia. Nie chciał brać ślubu z lodowatą

powierzchnią Newy i zniknąć w niej aż do wiosennych roztopów.

- Mam tylko trzy grawerowane rubiny pochodzące

z dawnych czasów - wyjaśniła Faith. - Są dość rzadkie.

Większość grawerunków wykonali Mughalowie i Persowie,

a i jedni, i drudzy woleli szmaragdy. Kolor szmaragdowy

uważano wówczas za święty, a sam kamień jest delikatniejszy

i w związku z tym łatwiejszy do obróbki niż rubin. Nie

ma kamienia twardszego od rubinu, z wyjątkiem diamentu.

Oczywiście, teraz dysponujemy urządzeniami pozwalającymi

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

na rycie w każdym kamieniu. Celują w tym Niemcy. Iwanowicz słuchał uprzejmie, ani na moment nie odrywając wzroku od pudełka, które otwierała Faith. Czekał na pierwszy sygnał, że Serce Północy jest w zasięgu ręki.

Widząc jego napięcie, Faith niemal się uśmiechnęła. Niezależnie od narodowości, kolekcjoner zawsze pozostawał kolekcjonerem - człowiekiem marzącym o tym, by kupić coś nowego.

Mogła się założyć, że pod drogimi skórzanymi rękawiczkami poca mu się dłonie. Wbrew wcześniejszym wyjaśnieniom wcale nie kupował kamienia dla swojej osiemdziesięcioletniej matki. Kupował go dla siebie.

Nie był pierwszym klientem, który grając na uczuciach związanych z takimi wydarzeniami jak rocznica ślubu lub urodziny, próbuje uzyskać niższą cenę. Iwanowicz przynajmniej nie utrzymywał, że ma umierającą narzeczoną, jak pewien mężczyzna, który liczył na specjalny rabat. Człowiek ten żarliwie zapewniał Faith, że odsprzeda jej klejnot, gdy tylko biedna narzeczona umrze.

Niektórzy ludzie naprawdę wierzą, że jasne włosy mają negatywny wpływ na iloraz inteligencji kobiety.

Faith przesadnie zamaszystym gestem zdjęła z pudełka pokrywkę.

Jedno spojrzenie wystarczyło, by Iwanowicz nabrał pewności, że to jeszcze nie koniec poszukiwań. wydłużony i prymitywnie zeszlifowany bokami rubin spoczywający na brązowym aksamicie mógł mieć sześć karatów. Chcąc odczytać wykonany od spodu grawerunek, trzeba było patrzeć od góry, oczywiście pod warunkiem, że znało się arabski.

- To cytat z Koranu. Mówi on... - zaczęła Faith.

- Nie - przerwał jej Iwanowicz bez ogródek. - Nie ta. On być za mała. Za błada. Pani rozumieć? Ja potrzebować naprawdę ładna kamień.

Bez słowa zamknęła pudełeczko i odłożyła je na bok. Jakiś anonimowy, żyjący przed wiekami artysta przez wiele tygodni albo i miesięcy w pocie czoła pracował nad twardym kamieniem, by wyryć święte wersety, które można było przeczytać jedynie przez szkło powiększające. Jednak ten fakt nie wywarł na niecierpliwym panu Iwanowiczu żadnego wrażenia.

Sięgnęła po drugie opakowanie. Skoro sześć karatów to za mało, wątpiła, by wystarczyło niewiele ponad siedem, ale nigdy nic nie wiadomo. Następny rubin z pewnością miał lepszy kolor. Co prawda daleko mu było do kamieni Montegeau, z drugiej strony niewiele mogło im dorównać.

- Ten kamień...

- Za mała - urwał szorstko. - Ja pani mówić. Bardzo, bardzo wykwinntny. Niech my nie tracić czas.

Zamknęła pudełeczko. Odkładając na bok wzgardzony kamień, miała nadzieję, że Iwanowicza stać na zaspokojenie swoich wymagań. Następny rubin miał dziewięć karatów, mógł się poszczycić dobrym kolorem, delikatnymi skazami i odpowiednią ceną - kosztował siedemdziesiąt pięć tysięcy dolarów. Również i ten wyryty na spodzie napis pochodził z Koranu - tym razem życzył człowiekowi świętemu raj, a niewiernemu wiecznych katuszy.

Iwanowicz dostrzegł arabski napis i bez słowa odsunął kamień.

- Ten rubin ma ponad dziewięć karatów - zaznaczyła Faith, ale sądząc po twarzy klienta, kamień nie spełniał jego wymagań.

- Nie. Też za mała. Czo pani jeszcze mieć?

Faith zamknęła pudełko, położyła je obok pozostałych i spojrzała na wyjątkowo wymagającego pana Iwanowicza.

- Przykro mi. Nie mam więcej grawerowanych rubinów.

Gdyby chciał pan obejrzeć inne kamienie, dysponuję kilkoma...

- Ktoś mi powiedziec, że pani mieć wyjątkowo piękne kamieni - przerwał jej szorstko.

- To prawda.

Faith przywykła do tego, że ktoś jej przerywa - miała przecież starszych braci. Mimo to zaczynało ją męczyć,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
iż przy tym porywczym człowieku nie może dokończyć zdania.
- Ktoś mnie zapewnić, że pani mieć kamień, jaki ja szukać.
Czy pani czoś niedawno sprzedać?
- Ma pan na myśli grawerowany rubin?
Machnął szorstko ręką i przytaknął.
- To być jasna. Ja właśnie tego szukać. Piękny, duży, grawerowana rubin. Czy ja pani tego nie mówić?
Ray nieznanie się poruszył. Bardzo chciałby przeszukać tego człowieka. Może wówczas nabrałby lepszych manier.
- Od ponad roku nie sprzedawałam żadnego grawerowanego rubinu - wyznała Faith. - Nie ma zbyt dużego zapotrzebowania na tego typu kamienie. Traktuje się je raczej jako ciekawostkę albo główną ozdobę jakiejś nietypowej biżuterii.
Iwanowicz po raz pierwszy spojrzął na sejf.
- Pani być pewna, że więcej nie mieć?
- Tak.
Nawet nie zadał sobie trudu, by udać, że jej wierzy.
- Niech pani zrozumieć. Ja dobrze, bardzo dobrze zapłacić. Ja musieć... bardzo chcieć ta kamień.
- Zawsze miło słyszeć takie słowa. Gdyby mógł mi pan powiedzieć dokładnie, jakiego kamienia pan szuka, może udałoby mi się go dla pana znaleźć. Mam wielu znajomych wśród kolekcjonerów i kupców niezwyklej biżuterii.
- Bardzo dobra kolor - zaczął. - My mówić na ta kolor „krew gołębia”.
Faith przytaknęła.
- Żaden skaz, albo prawie żaden.
Ponownie kiwnęła głową i zaczęła obliczać ewentualną cenę. Nawet gdyby tylko skierowała Iwanowicza do innego jubilera, mogłaby liczyć na całkiem niezłą prowizję.
- Napis mughalijska, świecka - ciągnął.
Uniosła brwi.
- Pańska... hm... matka ma bardzo duże wymagania.
Iwanowicz ciągnął dalej:
- Dwadzieścia karat.
Faith gwizdnęła.
- To rzeczywiście byłby niezły kamień. I bardzo, bardzo kosztowny. Biorąc pod uwagę wielkość, kolor i stopień czystości, zapłaciłby pan przynajmniej sto tysięcy za karat, choć równie dobrze cena mogłaby być dwukrotnie wyższa.
Na twarzy klienta pojawił się drapieżny uśmiech.
- Jak ja już powiedzieć, ja móc bardzo, bardzo dobrze zapłacić. Teraz pani wyjąć ta kamień z sejf, panna Donovan, i my omówić czena. Nie potrzeba już osztróżnoszcz. My się rozumieć?
- Nie całkiem - odparła sucho. - Nie miewam w swoich zbiorach kamieni wartych kilka milionów dolarów, panie Iwanowicz. Z przyjemnością poszukam dla pana takiego rubinu, ale, prawdę mówiąc, jeśli się panu spieszy, szybciej go pan znajdzie na Manhattanie, w Londynie, Tokio albo w Tajlandii. Mogę ewentualnie podać panu pewne adresy...
- Mnie mówić, że pani mieć taka kamień - przerwał jej. Przymrużył orzechowe oczy i ułożył wargi tak, jakby miał zamiar warknąć.
Ray wsunął dłoń pod marynarkę. W tonie Iwanowicza pobrzmiwało coś więcej niż upór. Była to prawdziwa złość, która prowadzi do użycia przemocy.
- Niezależnie od tego, skąd ma pan takie informacje, osoba, która ich panu udzieliła, była w błędzie - wyjaśniła Faith spokojnie. - Bardzo chciałabym mieć tak niezwykle rubin. Ale go nie mam. - Machnęła ręką. - Jak pan widzi, mojemu sklepikowi daleko do Tiffany'ego czy Cartiera. Przez mgnienie oka Iwanowicz wyobrażał sobie, jak wyglądałaby Faith pod jego nożem. Zbroczona krwią na pewno gorliwie przekazałaby mu Serce Północy.
Ale ta przyjemność na razie musiała zaczekać. Jej ochroniarz był zbyt czujny.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Fajth dostrzegła na policzkach Iwanowicza rumieniec, który mógł świadczyć o złości lub zażenowaniu. Mężczyzna skłonił się szorstko, po czym szybko się odwrócił i wyszedł za drzwi.

- A jednak nie chce, żebym poszukała prezentu dla jego matki - powiedziała sucho do Raya.

- Chyba tak.

Ochroniarz odczekał, aż Iwanowicz zniknie za rogiem.

Dopiero wtedy wyjął rękę spod marynarki.

- Tam, skąd ten człowiek pochodzi, przyzwyczał się do tego, że dostaje wszystko, o co prosi.

- I to szybko - zgodziła się. - No cóż, poszukiwanie takiego kamienia nauczy go cierpliwości. - Rozejrzała się po sklepie. - Daję ci pięć minut na dokończenie kawy. Tyle czasu zajmie mi pozamykanie wszystkiego. Potem możesz odprowadzić mnie do kwatery głównej Donovanów. Jeśli się postarasz, może nikogo nie zabiję.

Mężczyzna trzymał telefon tak jak morderca duszący swoją ofiarę. Plastik jest twardszy niż ludzkie ciało i tylko dzięki temu słuchawka nie została zmiądzona niczym niedopałek papierosa, leżący w popielniczce na stoliku znajdującym się obok łóżka.

- Co to znaczy, że ona go nie ma?! - prychnął Tarasów do telefonu. - Zaproponuj jej więcej.

Leżąca obok kobieta - aktualna dziewczyna Tarasowa - burknęła coś niezadowolona i wtuliła się głębiej w jedwabne prześcieradła, które delikatnie muskały jej posiniaczone piersi. Tego wieczoru bardzo ciężko się napracowała, starając się go podniecić i zachowywać jak nastolatka. Było to niemiłe, trudne, obrzydliwe i często bardzo bolesne zajęcie, ale w ten sposób zarabiała dużo więcej niż dotychczas. Poprzednio oddawała się pijakom i obcokrajowcom w nadziei, że w końcu znajdzie sobie męża, który wywiezie ją z lodowatego piekła, jakim był St. Petersburg, i zabierze do ciepłego, obcego nieba. Robiła wszystko, by nie okazać najmniejszego zainteresowania rozmową, która przerwała jej sen. Nie chciała wiedzieć, w jaki sposób jej kochanek zdobywa pieniądze, które umożliwiają jej picie francuskiego szampana i noszenie rosyjskich soboli, włoskiej skóry, chińskiego jedwabiu i afrykańskich brylantów. Była dość inteligentna, by dojść do wniosku, że im mniej wie, tym dłużej będzie pławić się w luksusach. Albo przynajmniej żyć.

Kiedy Tarasów słuchał tych wymówek, jego zazwyczaj czerwone policzki jeszcze bardziej pociemniały ze złości. Wpatrując się przed siebie oczami zimnymi i pustymi jak zamrznięta rzeka, która wstęga wiła się przez miasto, wyobrażał sobie różne miłe sposoby zabijania. Starał się natomiast nie myśleć, jak nieprzyjemnie by było znaleźć się po drugiej stronie i doświadczyć tego na własnej skórze.

Jeśli Serce Północy w ciągu dwóch tygodni nie wróci do Ermitażu, Tarasów dowie się o bólu i umieraniu więcej, niż chciałby wiedzieć.

- Masz trzynaście dni na przywiezienie mi tego rubinu, inaczej gorzko pożałujesz, że nie urodziłeś się martwy.

Tarasów uderzeniem guzika rozłączył rozmowę i rzucił komórkę na stojący obok łóżka stolik z taką siłą, że niemal uszkodził marmurowy blat.

Po przeciwnej stronie kuli ziemskiej Iwanowicz wpatrywał się w automat. Na ulicach Seattle wrzał popołudniowy ruch uliczny. Wiatr szarpał poły śliskiego skórzanego płaszcza. Rosjanin powoli odwiesił słuchawkę, wcisnął guzik, który zachęcał go do odbycia jeszcze jednej rozmowy, i zadbanyimi palcami zaczął wybierać następny numer. Gdy w słuchawce rozległ się zachrypnięty, rozciągający każde słowo głos, Iwanowicz zaczął mówić:

- Ona twierdzić, że nie mieć ta rubin.

Cisza, potem ciężkie przełknięcie śliny.

- Kłamie. Wysłałem go jej wraz z całą partią towaru.

- Ty go odbierz.

- Musiała sprzedać ten rubin. Dlatego kłamie. Próbuje pozbawić mnie mojej części.

- Ja nie być ciekaw twoja problem. My się zobaczyć za dziesięć dni. Jak ja w ten czas nie dostać ta rubin, obciąć twoja kutas i wcisnąć czy go do gardło.

- Ale janie...

Iwanowicz powiesił słuchawkę. Ręce mu drżały. Marzył tylko o tym, by zacisnąć palce na jasnej szyi Faith Donovan. Niewysoki wieżowiec, którego okna wychodziły na smagane wiatrem wody Elliot Bay, znajdował się bardzo daleko od gorących i wilgotnych, zielonych dżungli Myanmaru. Albo Birmy, jak nazywają ten kraj uparci handlarze kamieni szlachetnych. Nikt nie zapłaciłby dodatkowego centa za myanmarski rubin, ale piękny krwistoczerwony birmański kamień... Och! Dla czegoś takiego warto zaryzykować życie i narazić się na kalectwo. Tak przynajmniej wyglądała teoria. Z tego też powodu Owen Walker chodził obecnie o lasce. Na szczęście jego lewa noga już niemal całkiem wyzdrowiała.

- Paan mniee wzyywaał? - spytał z południowym akcentem siedzącego za biurkiem mężczyznę, chociaż to on sam prosił Archera Donovana o spotkanie, nie na odwrót.

Archer zerknął z ukosa na wchodzącego i podniósł dwa palce, nie przerywając rozmowy telefonicznej.

- To samo powiedziałeś mi w ubiegłym tygodniu. Czy mam nagrać twoje słowa na taśmę i puścić sobie ponownie za tydzień? *

Ukrywając uśmiech, Walker postawił karton na podłodze i rozejrzał się po pomieszczeniu. Biurko Archera było niemal tak duże, że mogło pomieścić wszystkie leżące na nim papiery. Na niskiej sofie w sympatycznym kształcie litery L leżały w nieładzie biuletyny i czasopisma, omawiające zmiany polityczne i gospodarcze w różnych, najodleglejszych zakątkach świata. Obok sofy stała elegancka ława. Jej ozdobę stanowiła szklana rzeźba o pięknych kształtach i intensywnych kolorach, przywodzących na myśl zachód słońca. Te same barwy powtarzały się na zdobiącym ścianę obrazie, choć tutaj były żywsze, bardziej zdecydowane.

Walker zamarł w bezruchu, zapomniał o bolącej nodze i po prostu zachwycał się pejzażem. Jednym z jego celów życiowych było zarobienie takiej ilości pieniędzy, by sobie pozwolić na kupno pejzaży pędzla Susy Donovan. Na razie nie miał nic przeciwko czekaniu w biurze jej najstarszego syna.

- Przestań pieprzyć, Jersey - warknął Archer. - Ten transport miał przyjść cztery tygodnie i cztery dni temu. Albo dostarczysz towar w ciągu trzech dni, albo unieważnimy kontrakt i będziesz winien Donovan International sześćset kawałków kary umownej.

Z cichym, zdecydowanym stuknięciem słuchawka opadła na widełki.

Walker zastanawiał się, czy facet po drugiej stronie kabla wciąż jeszcze mówi. Prawdopodobnie tak. Chociaż w niczym mu to nie pomoże. Jedną z rzeczy, które trudno ludziom zrozumieć, jeśli chodzi o Archera, jest fakt, że ten facet myśli to, co mówi, i mówi to, co myśli.

I właśnie dlatego Walker pozostawał z nim w takich dobrych stosunkach.

Szarozielone oczy Archera zmierzyły mężczyznę stojącego cicho po drugiej stronie biurka. W tym momencie Walker wyglądał jak terenowy znawca kamieni szlachetnych i pilot handlowej linii lotniczej, latający nad terytoriami, na których nikt nie mieszka.

Owen często wykonywał dla Donovan International właśnie taką pracę. Dzinsy, niebieska bluza robocza, podbita kożuszką nieprzemakalna kurtka, zniszczone traperki.

I stara jak świat drewniana laseczka. Archer podejrzewał, iż ów pręt jest bardziej środkiem ostrożności niż koniecznością. Nawet podczas rekonwalescencji Walker poruszał się

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

miętko jak kot. Potrafił również bardzo szybko myśleć, choć robił, co mógł, by zamaskować ten fakt południowym akcentem, postawą dobrego kumpla i ciemną, krótko przyciętą bro-

I

dą. Zarost Archera był nieco dłuższy - jego żona lubiła czuć miękkie włoski na swojej skórze.

- Faith doprowadza do czerwoności kable telefoniczne - I powiedział Archer.

- Nie odpowiada jej mój zastępca? - spytał niewinnie Walker.

- Wybiera się tu, by osobiście mnie złajać. I usłyszeć, jak na ciebie krzyczę. Przynajmniej ma nadzieję, że to zrobię. No i powiedz mi, będę na ciebie krzyczał?

Walker niemal się uśmiechnął. Archer nigdy nie krzyczał. Lepsze rezultaty osiągał, nie otwierając ust. Potrafił patrzeć na ludzi w taki sposób, że najchętniej skryliby się w mysiej dziurze.

- Możesz pokrzyczeć, szefie. Dzięki temu twoja siostra dużo lepiej się poczuje.

Archer przeczeszał palcami włosy.

- I pomyśleć, że ten hardy gość jeszcze niecały tydzień temu ledwo trzymał się na nogach.

- Dopisało mi szczęście. Bandyci, z którymi się stykałem, byli za biedni, żeby kupić kule do swoich kałasznikowów. Archer blade się uśmiechnął.

- Kałasznikowów? Tych rosyjskich antyków?

- Jak się je naładuje, potrafią pluć prawdziwym ogniem.

- Całkiem nieźle służą również jako pałki.

- Nie będę się z tobą sprzeczał - przyznał Walker sucho.

- Na dowód tego mogę pokazać swoje siniaki.

- Dobrze przynajmniej, że te błazny nie miały noży.

- Miały.

Archer przymrużył oczy. Spod sterty papierowych teczek wyjął kilka kartek. Szybko je przerzucił. Na trzech stronach znajdowało się podsumowanie trzymiesięcznej pracy. Walker był znany z lakonicznych raportów.

- Nie widzę tu żadnej wzmianki o nożach.

Walker wzruszył ramionami.

- Nie poszatkowali mnie, więc po co miałem o tym wspominać?

- Czy to znaczy, że gdybyś nie odniósł żadnych obrażeń, nie napisałbyś nawet o zasadzce?

- Tobie i Kyle'owi bardzo zależy na zdobyciu wysokiej jakości rubinów, które nie przeszły obróbki cieplnej w jednym z pieców należących do tajlandzkiego kartelu. Miałem za zadanie sprawdzić ewentualne możliwości, a nie skarżyć się na warunki pobytu.

Archer wyjął ostatnią stronę raportu i zaczął czytać na głos.

- „Szanse dotarcia przed Tajlandczykami do górników, którzy wydobywają rubiny, ilub przemytników są naprawdę nikłe”.

Uniół głowę i zmierzył Walkera spojrzeniem, które u większości ludzi wywołałoby niepokój. Walker nie zareagował. Między innymi dlatego Archer tak go lubił.

- Chcesz coś jeszcze dodać?

- Tak, cholernie.

- Słucham?

- Szanse są cholernie nikłe. Nie chciałem w oficjalnym dokumencie używać brzydkich słów.

- Wszystkimi moimi prywatnymi raportami zajmuje się Mitchell. Nie zwraca uwagi na wulgaryzmy.

- Zapamiętam to sobie - powiedział Walker przeciągle i z wyraźnym rozbawieniem.

- Czy w swoim raporcie pominąłeś coś jeszcze?

- O tej porze w Afganistanie jest cholernie zimno.

Archer przymrużył oczy.

- Jak daleko dotarłeś?

- Do kopalni w Jegdalek i Gandamak.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Co powiesz o warunkach podróży?
 - Na drodze południowej wciąż jest mnóstwo min lądowych. Trasa północna jest dość dobra i można dotrzeć nią do Sorobi. Potem zamienia się w trakt przejezdny tylko dla jeepów. Miejscami gubi się pod grubymi warstwami pyłu i osuwiskami kamieni. Najczęściej, podróżując tam, wykorzystuje się miejscowy środek lokomocji, czyli muła, ponieważ łatwiej nakarmić stworzenie boże niż znaleźć paliwo do samochodu. Bandyci są wyjątkowo aktywni. Klany podrywają gardła na prawo i lewo, próbując nadrobić zaległości z tych wszystkich lat, kiedy to ziemia i karabiny należały do Sowietów. Archer zerknął na raport. Uciążliwą wyprawę do odległych zakątków Afganistanu Walker podsumował jedną linijką: Utrudniony transport i prymitywne warunki wydobycia.
 - Jak bardzo prymitywne są tamtejsze kopalnie?
 - Paru mężczyzn kuje kilofami wapienne zwiędnięte skały, w których od czasu do czasu można znaleźć bryłkę czerwonego kryształu. Czasami używają przenośnego, ważącego ponad dwadzieścia kilogramów młota pneumatycznego, który wciąż się psuje, korzystają z niego zresztą pod warunkiem, że mają szczęście i uda im się znaleźć paliwo do kompresora. Łatwiej zdobyć dynamit, więc korzystają głównie z niego. Po wybuchu idą w ruch kilofy, młotki i dłuta.
 - Jakiej jakości są te kamienie?
 - Te, które przetrwały wybuch? - spytał Walker śmiejąc się. Archer skrzywił się na myśl o chciwych, pozbawionych jakichkolwiek umiejętności ludziach, wydobywających bezcenne kryształy rubinu za pomocą materiałów wybuchowych. Ten obraz wcale nie należał do miłych.
 - Krążą pogłoski, że ktoś ukradkiem kopie w kopalni Taghar - wyznał Walker. - To ta, którą mudżahedini zasypali, żeby nie wpadła w ręce Sowietów. Widziałem jeden czy dwa surowe kamienie, które jakością niemal dorównywały „kwi gołębia”. Jeden miał dwadzieścia karatów. Drugi szesnaście. Dobry szlifierz uzyskałby z nich dziesięć i osiem karatów. Piękne, naprawdę piękne kamienie. - Walker wzruszył ramionami.
 - Do tego czasu z pewnością poddano je w Bangkoku obróbce termicznej i przyczepiono etykietkę: „Birmański rubin”. Pozostałe surowe rubiny, jakie widziałem, można zaliczyć do pierwszej lub drugiej klasy.
 - Za ile je sprzedają?
 - Tajlandczycy położyli łapę na całym wydobyciu, a jeśli się uprzęsz i kupisz coś na lewo, jakimś cudem dowiadują się o tym bandyci. Nie mam dla ciebie dobrych wiadomości, szefie. Naprawdę. Ci faceci są tak twardzi jak pasma górskie, którymi władają.
 - Mimo to udało ci się wywieźć stamtąd kilka surowych kamieni.
 - Za to mi płacisz.
 - Nie płacę ci za narażanie życia - odrzekł Archer.
 - Chcesz mieć dobre rubiny i nie żałujesz na to pieniędzy. Birmańskie kopalnie w Mogoku albo zostały wyczerpane, albo pilnują ich bardziej niż córki sułtana. W związku z tym pozostaje jedynie Kambodża, Afganistan, Sri Lanka i Kenia.
 - Justin i Lawę rozpracowują Kenię. Z tego, co mi powiedziałeś, reszta należy do Tajlandczyków - całkowicie.
 - Przynajmniej na razie. Żaden kartel nie trwa wiecznie.
 - Powiedz to DeBeerom.
- Walker cicho się roześmiał.
- Naprawdę daleko zajechali na swoim diamentowym tygrysie, prawda? Stanowią dla wszystkich prawdziwy wzór do naśladowania.
- Archer wcale nie wyglądał na człowieka chętnego do naśladowania tego wzoru, sprawiał raczej wrażenie poirytowanego. Wraz z rodzeństwem, a teraz także i mężem Honor, Jakiem, kierował Donovan Gems and Minerals, spółką luźno związaną z rodzinną korporacją, Donovan International. DeBeerowie zmonopolizowali handel diamentami, właściwie

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna zmuszając resztę świata, w tym również Donovanów, do przemytu i poprzestania na gorszych jakościowo kamieniach. Tajlandzcy chińskiego pochodzenia zdominowali światowy rynek rubinów. Chiny i Japonia trzymały mocno w garści perły. Szmaragdami rządził kolumbijski kartel narkotykowy albo tamtejsi wojskowi. Takim oto sposobem glob ziemski został podzielony na niezależne królestwa poszczególnych kamieni szlachetnych. Firma Donovan Gems and Minerals będzie miała dużo szczęścia, jeśli za kilka lat uda jej się sprzedawać „hodowlane” turkusy.

- O czym myślisz, Walker? - spytał Archer. - I przestań w końcu udawać chłopca z prowincji. Przejrzałem cię na wylot, gdy po raz pierwszy ograłeś mnie w pokera do ostatniego centa.

Walker zdołał ukryć uśmiech.

- Czy wziąłeś pod uwagę wtórny obrót rubinami?

- Tajlandzcy nie zostawiają nikomu zbyt dużej swobody, trudno zatem liczyć na większy zysk. Przynajmniej w Ameryce. Amerykanie nie płacą za rubiny najwyższej klasy tyle, ile reszta świata.

- Wziąłem to pod uwagę. Istnieje jednak inny sposób wyprowadzenia Tajlandczyków w pole.

- Zamieniam się w słuch.

- Zamiast sięgania do starych kopalni proponuję sięgnięcie do starej biżuterii - powiedział Walker bez owijania w bawełnę.

- Skupuj biżuterię z całego świata, wyjmuj dobre kamienie, w razie konieczności szlifuj je ponownie i sprzedawaj luzem. To powinno ci się całkiem nieźle opłacić, gdyż dzięki temu dostarczysz na rynek birmańskie rubiny, które nie zostały poddane obróbce cieplnej. W obecnych czasach są one niemal tak samo rzadkie jak naturalne perły.

Archer przez chwilę milczał.

- Czy na rynku jest aż tak dużo starej biżuterii?

- Drogie kamienie zawsze stanowiły zabezpieczenie majątkowe arystokratów. Pomyśl o kilkusetletnich rodach królewskich z Europy, Rosji czy Środkowego Wschodu. Weź też pod uwagę wszystkie te paskudne rewolucje, wojny i krachy finansowe. Przypomnij sobie twarde prawa rynku, szczególnie w byłym Związku Radzieckim. Taak, istnieje mnóstwo starej biżuterii. Część z niej naprawdę warto kupić.

- Ciekawy pomysł. - Archer spojrział na smaganą przez wiatr zatokę. - Czy wiesz, jak zacząć się na wtórnym rynku?

- Można zacząć od przyjaciół Faith - ludzi, którzy przysłali jej rubiny na naszyjnik.

Archer zerknął w stronę drzwi swojego biura. Wkrótce po ich drugiej stronie pojawi się bardzo kochana przez niego siostra. Siostra, która w tej chwili była na niego tak wściekła, że gdyby mogła, oskalpowałaby go tępym nożem.

- Taak, wspomniała coś o tych rubinach. Powiedziała, że je skradłeś.

- Pieprzenie. Nie zgodziła się iść ze mną, a ja nie miałem zamiaru zostawić tych kamieni w przepastnej szufladzie jej stołu w otwartym sklepiku przy Pioneer Square.

- Jeśli posiedzę tu jeszcze trochę, to może w końcu usłyszę od ciebie coś pożytecznego.

- Rubiny pochodzące od przyjaciół Faith to dobre, naprawdę dobre kamienie.

Archer uniósł czarne brwi.

- Jak dobre?

- Najlepsze, jakie widziałem poza murami muzeów i skarbców królewskich.

Archer cicho gwizdnął. Potem zapytał:

- Ile są warte?

- W detalu?

- W hurcie.

- Z pewnością nie mniej niż milion, na który Faith usiłuje je ubezpieczyć. Moim zdaniem, dużo więcej. Ogromny

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
birmański rubin, który nie przeszedł obróbki termicznej, ma
dużo większą wartość niż wszystkie inne kamienie szlachetne
na świecie, łącznie z brylantami.

- W takim razie dlaczego są kłopoty z ubezpieczeniem?

- Rzeczoznawcy z AIKS-u nie chcą podjąć się wyceny.

Nie są w stanie zagwarantować, że uda im się wykonać robotę
tak szybko, żeby Faith zdążyła jeszcze osadzić rubiny
i ukończy naszyjnik przed wystawą w Savannah. Z kolei
żadna firma ubezpieczeniowa nie zawrze umowy, póki jakiś
dyplomowany rzeczoznawca nie potwierdzi wartości tych
kamieni. W ten sposób zabezpieczają się przed ewentualnym
fałszerstwem.

- To normalne. Fałszywa wycena, podrobione kamienie,
pozorowana kradzież, ale prawdziwe ubezpieczenie płatne
w rzeczywistości gotówce.

- Te rubiny pochodzą od przyjaciół Faith.

Walker pomyślał, na jak śmiertelne niebezpieczeństwo
można się narazić, ufając dawno nie widzianym przyjaciołom.
On sam zaufał człowiekowi, który wysłał go prosto
w zasadzkę. Był to stary przyjaciel.

- Tak czy inaczej - ciągnął Walker - nawet gdyby udało
się dokonać wyceny tych kamieni i gdyby zrobiono to
w uznanym laboratorium na tyle szybko, by Faith zdążyła na
wystawę w Savannah, wielu rzeczoznawców to ludzie zbyt
młodzi, by na pierwszy rzut oka rozpoznać prawdziwy birmański
rubin. Nie wystarczy im nawet seria testów. Wycena
jest niemal w takim samym stopniu sztuką, jak i nauką. Trze-
ba mieć doskonałe oko i duże doświadczenie, by wychwycić
niuansy. Na rynku bardzo rzadko pojawiają się prawdziwe,
naturalne birmańskie rubiny najwyższej jakości.

- Ale rubiny Faith są prawdziwe, naturalne i najwyższej
jakości.

Chociaż Archer nic więcej nie powiedział, w jego słowach
kryło się wyraźne pytanie.

Walker z uśmiechem schylił się i zaczął wyładowywać zawartość
przyniesionego przez siebie kartonu. Na ławie obok
sofy ustawił rzędem mikroskop z podwójnym okularem, polary
skop oraz lampkę ultrafioletową. Potem wyjął kilka małych
pudełeczek. Jedno z nich zawierało torebki z kamieniami
zabranymi ze sklepu Faith.

Na biurku Archera zabrzączał interkom. To Mitchell próbował
ostrzec szefa. Chwilę później otworzyły się drzwi.

Walker nawet nie podniósł głowy. Wiedział, że stojąca
w nich dama w czarnych kaszmirowych spodniach, lodowobłękitnej
jedwabnej bluzce i czarnym kaszmirowym blezerze
jest wściekła i chętnie obdarłaby go ze skóry, nie przejmując
się widokiem krwi.

- Skończyłam trzydzieści lat - warknęła Faith ze złością. -
Prowadzę własny interes i nie potrzebuję, by któraś z twoich
tresowanych małp stała nade mną niczym starszy brat.

- Ja też się cieszę, że cię widzę - powiedział Archer.

- Tresowana małpa? - spytał cicho Walker.

- W tym stadium chłopcy są już nastolatkami, ale wciąż
jeszcze mają więcej wzrostu niż okrzesania - wyjaśnił Archer.

Walker zerknął z ukosa na swojego szefa.

- Słyszałem o nieokrzesianiu. Jesteś pewien, że istnieje
coś takiego jak „okrzesianie”?

- Owszem - wtrąciła Faith. - I wcale mnie nie dziwi, że
nigdy nie słyszałeś tego słowa.

- Przypuszczam, że zgniłek stanowił istny wzór okrzesiania

- mruknął Walker, wracając do swojego wyposażenia.

- Zgniłek? - spytał Archer, unosząc czarną brew.

Na policzkach Faith pojawiły się wyraźne rumieńce.

- Nieważne.

- Jej narzeczony - wyjaśnił Walker.

Archer wybuchnął śmiechem.

- Mój były narzeczony - poprawiła Faith przez zęby. - To
duża różnica.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- I jedyna, jaka naprawdę się liczy - przyznał Archer. - Przyszłaś wysłuchać, jak Walker mi wyjaśnia, czemu powinienem ubezpieczyć twoje rubiny na milion dolarów? Przez dwie sekundy Faith zastanawiała się, z jak ogromną przyjemnością chwyciłaby owe rubiny i wyszła bez słowa. Potem uznała jednak, że byłoby to głupie posunięcie. Musiała je ubezpieczyć. Archer mógł jej w tym pomóc. Był jednak człowiekiem interesu. Na pewno nawet dla siostry nie zgodziłby się poręczyć za to swoimi pieniędzmi.

- Przyszłam, ponieważ w chwili, kiedy Walker opuścił mój sklep z tymi właśnie rubinami, przestały one podlegać jakiegokolwiek ubezpieczeniu - wyjaśniła spokojnie. - Chociaż wierzę, że umie sobie poradzić z prowadzeniem każdego samolotu, jednak większość przestępstw w Seattle zdarza się na ziemi.

Nie powiedziała ani słowa więcej, ale spojrzała na opartą o Jawę łaskę.

Sugestia, iż Walker nie nadaje się na ochroniarza, wyraźnie rozbawiła Archera. Był zaskoczony, że jego siostra nie dostrzeże ukrytego pod zwyczajnym ubraniem ulicznego zabijaki, jednak niewiele osób to widziało. Jedną z największych zalet Walkera stanowił fakt, że nikt go nie doceniał. Dzięki temu udawało mu się wybrnąć z sytuacji, w których inni ludzie sięgali po broń.

- Biorę na siebie odpowiedzialność za te rubiny, dopóki znajdują się w rękach Walkera - oznajmił Archer.

- Ale w moich już nie? - wybuchnęła Faith.

- Chcesz, żeby zostały ubezpieczone, czy nie?

- Oczywiście, że chcę.

- W takim razie pozwól, by nasz firmowy ekspert od rubinów wyjaśnił mi, dlaczego mam się zgodzić z jego wyceną. Ponieważ, do jasnej cholery, z całą pewnością nie ubezpieczę ich, polegając jedynie na słowach dzentelmana z Karoliny Południowej, choć rodzina tego człowieka przez przypadek ma sklep jubilerski.

- Nie martw się - uspokajał go Walker. - Te kamienie są prawdziwe.

- Oczywiście - powiedziała.

- Archer po prostu jest ostrożny - wyjaśnił Walker, pragnąc ją uspokoić. - To normalne, jeśli prowadzi się interesy w krajach, gdzie stary porządek ustąpił miejsca nowym kryminalistom.

- Odkąd to Donovan International robi interesy z kryminalistami?

- spytała brata.

- Widzę, że darzysz wzruszającym zaufaniem polityków wybranych głosami ludu - wymamrotał Walker.

Zignorowała go.

- Jeśli chce się robić interesy na terenie byłego Związku Radzieckiego - wyjaśnił Archer - a tak jest w przypadku Donovan International, trudno uniknąć kontaktów z tamtejszymi grupami przestępczymi.

- W obecnych czasach w Rosji muszą produkować dużo łyżeczek z wydłużonymi uchwytemi - powiedziała sucho.

Archer wybuchnął śmiechem.

Walker z rozbawieniem spojrzał na Faith.

- Jasne. Ludzie, którzy zasiadają do stołu razem z diabłem, z pewnością nie chcą przypalać sobie tyłków.

f

Zamruwała zaskoczona zmianą, jaką na jego twarzy wywołał zwyczajny uśmiech. To wcale nie znaczy, że Walker rzadko się uśmiechał - po prostu tym razem uśmiechnął się trochę inaczej. Faith nie potrafiła powiedzieć, na czym polegała różnica. Może ten konkretny uśmiech był nieco cieplejszy. Takim samym Walker obdarzył Summer.

Faith była zaskoczona, wręcz urzeczona myślą, że jej poczucie humoru sprawia Walkerowi przyjemność. Poczwała się tak, jakby znajdowała się wśród członków rodziny.

- Dokładnie - przyznała, uśmiechając się do Walkera.

Po chwili nagle spoważniała. Miała być na niego zła,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

a trudno się wściekać z uśmiechem na ustach. Jęknęła.
- Teraz rozumiem, dlaczego nie wolno bratać się z wrogiem.
- Nie jestem wrogiem, złotko.
- To się jeszcze okaże, złotko.
- No proszę - powiedział. - Najwyraźniej udało nam się dojść do porozumienia, skoro w rozmowie używamy zdrobnień i nie tylko. Nim się zorientujesz, będziemy ustalać datę odbioru kajdanków na nogi.
Faith, rozdrażniona, potrząsnęła głową. Walker musiał brać lekcje u jej braci. Trudno było się na niego złościć. Walker z uśmiechem pochylił się nad mikroskopem i dokończył ustawiania pierwszego kamienia.
- Jesteś gotów wysłuchać podstawowych informacji na temat rubinów, Archer?
- Zawsze chętnie uczę się nowych rzeczy.
- To była druga rzecz, którą u ciebie zauważyłem - wyznał Walker.
- A co było pierwsze? - spytała Faith.
- Że twój brat od dłuższego czasu nie spotkał lepszego pokerzysty od siebie.
- Jesteś lepszy od Archera?
- Bardzo niechętnie się do tego przyznaję, ale to praw- *
da - powiedział Archer. - Pogoda unieruchomiła nas na Alasce za Brooks Rangę, gdy szukaliśmy tamtejszych odpowiedników kanadyjskich kopalni diamentów. Nim sztorm się skończył, zostałem w samych kalesonach i futrzanej kurtce, którą pożyczył mi na iście lichwiarskich warunkach.
- Wszystko przez ten południowy akcent - wyjaśnił Walker, starannie ustawiając mikroskop. - To najskuteczniejsza broń na was, jankesów. Wszyscy żywicie dziwne przekonanie, że człowiek mówiący w taki śpiewny i niespieszny sposób musi być głupi i niewydarzony.
Faith parsknęła śmiechem i spojrzała na starszego brata. Nawet jeśli był zły, że ktoś przy stoliku pokerowym spuścił mu tęgie lanie, nie pokazał tego po sobie. Pod wpływem wspomnienia jedynie się uśmiechnął się i potrząsnął głową.
- W porządku, szefie - powiedział Walker, prostując się. - Możesz popatrzeć.
Archer usiadł na sofie, wychylił się do przodu i zerknął w mikroskop. Po kilku sekundach spytał:
- Co powiesz o tych delikatnych obłoczkach?
- Fachowo określa się je mianem „jedwabiu” - wyjaśnił Walker. - Natomiast jeśli potrzebne ci dane techniczne, są to małe, pierwotne zanieczyszczenia. Gdy jest ich za dużo, kamień traci przejrzystość.
- Podoba mi się określenie „jedwab”.
- Jeśli jest go tyle, ile trzeba - dodał Walker - korzystnie wpływa na kolor. Widzisz, rubiny są bardzo wrażliwe na fasetowanie. Jeśli przyszlifuje się je za głęboko albo za płytko
- a tajlandzcy jubilerzy przez cały czas to robią, ponieważ zależy im na uzyskaniu z każdego surowego kamienia jak najwięcej karatów - wówczas obok niektórych faset pojawiają się dziury i puste miejsca.
Faith obeszła stół i zerknęła na intensywnie czerwoną drobinę, którą Archer oglądał przez podwójne soczewki mikroskopu. Bez szkła powiększającego nie mogła zobaczyć zanieczyszczeń. Archer je widział, nie dostrzegł jednak tego, o czym mówił Walker.
- Dziury? Puste miejsca? - spytał. - Powiedz to po ludzku. Moją specjalnością są perły, nie kamienie szlachetne.
- Dziury zdarzają się wtedy, gdy światło, wpadające przez oszlifowaną powierzchnię, nie ulega rozszczepieniu
- wyjaśnił Walker. - Kamień zachowuje się wówczas jak szyba okienna. W rezultacie tam, gdzie są dziury, pojawiają się w rubinie jaśniejsze plamki. Z kolei puste miejsca powstają wtedy, gdy światło, wpadające do wnętrza kamienia, ucieka na boki, zamiast załamywać się ku

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
środkowi. Mamy wtedy do czynienia z zaciemnieniami.
Tymczasem kamień szlifuje się po to, by uzyskać równomierny
kolor. W przypadku rubinów jest to cholernie
trudne zadanie.

Faith podeszła bliżej, pochyliła się nad walkerem, pragnąc
obejrzeć rubin migoczący jak żywy płomień w stalowym
uścisku mikroskopu. Oparła dłoń na ramieniu brata i szturchnęła
go, on jednak nie zorientował się, o co jej chodzi.

Walker również się nie poruszył. Rozkoszował się ciepłem
i zapachem stojącej o kilka centymetrów od niego

Faith. Po chwili z ogromnym trudem skupił się z powrotem
na rubinach.

- Dobry szlif minimalizuje puste miejsca - ciągnął - ale
całkiem ich nie eliminuje. Po prostu jest to cecha charakterystyczna
tych kamieni. Wyjątkowe piękno i wartość birmańskich
rubinów biorą się stąd, że ich naturalny jedwab przesyła
światło na fasety, które w przypadku innych kamieni mogłoby
być przydymione przez puste miejsca. Dzięki temu uzy-
skuje się delikatniejszy kolor. Jest ciepły i aksamitny, jak kobiece
usta.

Faith zerknęła na niego zaskoczona, wyglądało jednak na
to, że Walker tego nie zauważył.

- Czy tajlandzkie kamienie nie mają jedwabiu? - spytał
Archer.

- Nie taki jak birmańskie rubiny pochodzące z Mogoku.
Zresztą nic nie jest w stanie im dorównać. Nawet naprawdę
dobre kamienie z Wietnamu. Mogą się poszczycić wspaniałym
kolorem, ale w każdym fasetowanym rubinie jest mnóstwo
ciemnych punkcików, spowodowanych przez puste
miejsca, które zostają nawet po niezwykle ostrożnym szlifowaniu.
Proszę, spójrz na to przez lupę.

Archer skupił całą swoją uwagę na fasetowanym kamieniu,
który Walker przytrzymywał długą pincetą. Dopiero
przez szkło powiększające widać było, że nie wszystkie fasety
tak samo błyszczą, nie wszystkie są tak samo czerwone.
Gdy spoglądało się tylko na ten okruch, prezentował się naprawdę
wspaniale, lecz w porównaniu z birmańskim rubinem...

Nie było porównania. Po obejrzeniu birmańskiego kamienia
wysokiej jakości wszystko inne wyglądało po prostu jak
szlifowany kawałek czerwonego szkła.

- Kiedy doda się do tego naturalną fluorescencję typową
dla birmańskich rubinów - ciągnął Walker - otrzymuje się
kamień z bajki, klejnot, który lśni wewnętrznym blaskiem.
Żyje. Nic na świecie nie może się z nim równać. Naprawdę
nic.

Usłyszawszy w głosie Walkera absolutne przekonanie
i pasję, Faith bacznie mu się przyjrzała. Tak samo się czuła,
gdy kończyła szkic, przeświadczona, że z garstki metalu i kamieni
uda jej się stworzyć coś naprawdę pięknego. Nic nie
dorównywało temu uczuciu. Wspomnienie owego radosnego
podniecenia pozwalało jej przetrwać najcięższe chwile w życiu,
kiedy wydawało jej się, że nic nie ma sensu. Dlatego zaskoczyła
i zaintrygowała ją myśl, iż Walkerowi nie jest obce
takie niezwykle głębokie uczucie, niezależnie od tego, co je
wywołuje.

Miał rację. Jego południowy akcent przypominał cichą,
głęboką wodę - ukrywał znacznie więcej, niż ujawniał, skutecznie
maskując to, co działo się pod powierzchnią.

- Popatrz - zaproponował Walker.

Wziął pincetę i umieścił jeden z kamieni pod ultrafioletową
żarówką. Potem odpakował jeden z rubinów Faith i położył
go obok poprzedniego. Pierwszy okruch czerwieni nie
wykazał żadnych zmian. Birmański rubin zapłonął nieziemskim
karmazynowym światłem.

Faith cicho sapnęła.

- Fluorescencja - wyjaśnił Walker. - Birmańskie kamienie
bardzo mocno fluoryzują na czerwono lub pomarańczowo.
Czerwień jest cenniejsza, ponieważ pogłębia pożądany kolor.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

To dobry rubin. Bardzo dobry. Ma również odpowiednią wielkość. W hurcie powinien osiągnąć czterdzieści tysięcy za karat.

Gdyby kupcowi bardzo na nim zależało - nawet więcej.

- Jaką wartość miałyby dwudziestokaratowy kamień tej jakości? - spytała Faith. - Z mughalijską inskrypcją. Świecką. Boże broń, religijną.

Walker przymrużył oczy. Miał w swojej kolekcji kilka grawerowanych mughalijskich rubinów, ale żaden nie miał więcej niż dziesięć karatów i pod względem jakości daleko im było do rubinów Montegeau.

- Pytasz z jakiegoś konkretnego powodu?

- Dzisiaj w moim sklepie pojawił się mężczyzna, który szukał właśnie takiego kamienia. wkurzył się, gdy powiedziałam, że go nie mam. Był pewien, że ukrywam przed nim rubin, próbując podbić cenę.

- Dlaczego?

- Ponoć ktoś go zapewnił, że posiadam grawerowany rubin najwyższej jakości.

- Kto?

- Nie powiedział.

- Pytałaś?

Słyszając te pytania, przymrużyła oczy.

- Nie. Czy to ma jakieś znaczenie?

- Prawdopodobnie nie - przyznał walker, przeciągając głoski. - Po prostu zbieram rubinowe ciekawostki. Może mógłbym mu pomóc, na przykład odstępując coś ze swojej kolekcji. Jak nazywał się ten facet?

- Iwanowicz. Iwan Iwanowicz.

Walker i Archer wymienili szybkie spojrzenia. Iwanowicz to słowiański odpowiednik amerykańskiego Johnsona - syna Johna. Niezwykle charakterystyczne nazwisko. Wyjątkowo częste, na dodatek bardzo łatwo je zapomnieć.

Innymi słowy, nazwisko, za którym bez najmniejszego trudu można się ukryć.

- Daj mi znać, gdyby pan Iwanowicz do ciebie wrócił - powiedział po chwili walker. Starał się, by jego słowa zabrzmiały jak zwykła prośba, nie żądanie.

W stalowych oczach Archera wyczytała, że szef myśli dokładnie to samo, ale Faith wcale nie musiała o tym wiedzieć.

Po przygodzie z Tonym odrzucała każdą, nawet całkiem rozsądną prośbę, jaka padła z ust mężczyzny.

- Ile kosztowałby rubin, jakiego szuka pan Iwanowicz? - spytała Faith. - Miliony?

- Kamień szlachetny zawsze wart jest tyle, ile można za niego dostać - wyjaśnił walker obojętnie. - Nie martw się. Jeśli wytrzasnę coś dla pana Iwanowicza, odpalę ci znaleźne.

- Chyba szybciej zobaczę twój tyłek - rzuciła.

Tylko obecność Archera powstrzymała walkera przed powiedzeniem, że jeśli będzie chciała, w każdej chwili gotów pokazać jej swój tyłek, nawet nagi, pod warunkiem, iż ona wyświadczy mu tę samą przysługę.

Archer wrócił do porównywania rubinów.

- Jak to możliwe, by rzeczoznawca pomylił birmańskie rubiny z innymi?

- Łatwo popełnić taki błąd - przyznał walker, odrywając myśli od nagich pośladków Faith. - Patrząc właśnie na anyun, jak określa się fachowo każdy birmański rubin najwyższej jakości od dwóch karatów wzwyż. Rzeczoznawca może przez całe życie nie zobaczyć takiego kamienia. Gorsze jakościowo birmańskie świecidełka łatwo pomylić z innymi, zwłaszcza jeśli wcześniej zostaną odpowiednio wysmażone. Gdybym nie poświęcił kilku lat na uganianie się za rubinami po całej Azji, też nie dostrzegłbym tak szybko różnicy.

- Wysmażone? - spytała Faith.

- Taak. Dosłownie. To bardzo stara praktyka. Ten paskudny mały sekret handlarzy rubinów wyszedł na jaw dopiero kilkadziesiąt lat temu. Inna sztuczka polega na pokazywaniu kamieni na brązowym talerzu, dzięki czemu nabierają

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

one intensywniejszej czerwieni.

- W jaki sposób... hm... wysmażanie wpływa na kamień?

- W niektórych rubinach zmienia kolor, w innych - przejrzystość. Często i jedno, i drugie.

Sięgnął do jednego z przyniesionych przez siebie pudełeczek i wyjął kilka szlifowanych czerwonych kamieni. Ułożył je na stole.

- Rubiny? - spytała Faith sceptycznie.

Przytaknął.

- Są zbyt matowe - zauważył Archer.

- I za bardzo... niebieskie - dodała.

- Oboje macie rację - przyznał Walker. - Osiemset lat temu wsadziłbym je do pieca na godzinę albo tydzień, w zależności od potrzeby. Rubiny pierwotnie powstały w rozgrzanym do czerwoności wnętrzu Ziemi. Czasami można je oczyścić w palenisku wznieconym przez człowieka.

Ten pomysł rozbudził wyobraźnię Faith. Ogień tworzący.

Ogień oczyszczający. Ogień przekształcający. Piękne czerwone płomienie...

- Jaki to ma wpływ?

- Zbyt wysoka temperatura niszczy rubin, dlatego trzeba naprawdę bardzo uważać - wyjaśnił Walker. - Przy odpowiedniej temperaturze zmienia się skład chemiczny samego kamienia. Błękitna domieszka dosłownie ulega wypaleniu, a zostaje czysta czerwień. To samo dotyczy niektórych pustych miejsc i innych skaz. Za dużo jedwabiu? Nie ma sprawy. Poddawaj kamień obróbce cieplnej, a obłoczki znikną.

Oczywiście, przy okazji spieprzysz fluorescencję, ale koniec końców kamień wychodzący z pieca ma dużo większą wartość, niż gdyby się go tam nie wsadziło.

- Ciekawe, kto to odkrył? - spytał Archer.

- Pierwsza kobieta, która rozpałała ognisko na kamienistym brzegu rzeki, a potem w popiele znalazła zimne, jasnoczerwone płomienie - zasugerował Walker. - Odkąd świat

zna rubiny, zawsze istniały prymitywne sposoby poprawiania ich czystości, przejrzystości i koloru. We współczesnych laboratoriach, dysponujących najnowszymi zdobyczami techniki, można lepiej zadbać o poślednie kamienie niż w glinianych piecach z dawnych epok.

- A więc obróbka cieplna nie jest uważana za oszustwo?

- spytała Faith.

- Jeśli powiesz o tym klientowi. Nie zapominaj jednak, że kiedy kupujesz kamienie szlachetne, płacisz za coś niezwykle rzadkiego i pięknego. Dobrze, nie poddawane żadnej obróbce kamienie są dużo radsze niż te, które zostały ulepszone. - Potem Walker wzruszył ramionami. - Ale obecnie ludzie zajmujący się handlem drogimi kamieniami z góry zakładają, że wszystkie rubiny pochodzą z pieca. Dlatego nie trzeba się skarżyć. Ponieważ grasz w tej samej drużynie, nie wspominaj o niczym klientowi, może, głupiec, nie wpadnie na to, by cię zapytać.

- Tak samo jest z pieniędzmi - zauważył Archer. - Złe wypychają dobre.

- Albo z perłami - dodała Faith. - Okazy pochodzące z hodowli wyparły z rynku perły naturalne.

- Prawie całkowicie - przyznał ze smutkiem Archer. - Do jasnej cholery, naturalne birmańskie rubiny są niemal taką samą rzadkością jak perły, które nie pochodzą z hodowli. Ale wciąż jeszcze na rynku kamieni szlachetnych jest miejsce - i to bardzo dobre miejsce - dla rubinów nie poddanych obróbce cieplnej. - Zerknął na Faith. - Takich, jakie przysłali ci twoi przyjaciele.

Ściągnęła miodowe brwi.

- Davis nie mówił, czy wyszły z pieca, czy nie.

- W ogóle coś powiedziała?

Faith się zawahała.

Neutralny ton Walkera pozostawał w wyraźnej sprzeczności z jego ponurym, pełnym napięcia spojrzeniem.

Archer również wyczuł w tym pytaniu duże zaniepokojenie.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Spojrzał na walkera spod przymrużonych powiek, zastanawiając się, o czym myśli jego inteligentny pracownik.

- Davis zdradził mi tylko, że on i jego syn handlują biżuterią pochodzącą od osób prywatnych - wyjaśniła Faith. -

Jest to jednak tylko działalność uboczna, luźno związana z rodzinnym interesem.

- Czy właśnie w taki sposób wszedł w posiadanie tych rubinów? - spytał Archer. - Kupił je od osoby prywatnej?

- Jeśli nawet tak, to chyba bardzo dawno temu. Powiedział, że kamienie te należą do rodziny już od jakiegoś czasu. Teraz postanowił obdarować ładnym naszyjnikiem przyszłą synową, chcąc uczcić pojawienie się na świecie nowego pokolenia. Niewątpliwie klanowi Montegeau bardzo zależy na rozrastaniu się rodu. Davis ma tylko jedno dziecko, Jeffa. On właśnie ma zostać małżonkiem mojej przyjaciółki, Mel.

- To będzie bardzo kosztowny naszyjnik - powiedział łagodnie Walker. - wyjątkowo ładny. Zwłaszcza że ty go wykonasz.

Zamrugła zaskoczona. Wszyscy członkowie rodziny traktowali jej umiejętności jako coś całkiem naturalnego. Nawet jeśli je dostrzegali, rzadko o tym mówili. A jednak zdolności plastyczne matki podziwiał cały świat. Obrazy Susy przyćmiewały osiągnięcia córki.

- W porządku. Montegeau utrzymuje, że te rubiny są klejnotami rodzinnymi - podsumował Archer. - wiek brylantów można określić na podstawie ich szlif. Czy tak samo jest w przypadku rubinów?

- Przykro mi, szefie. Mieszkańcy Azji szlifują kamienie tak, by uzyskać jak największy rozmiar, nawet jeśli to oznacza nieregularne, nieco niezdarne fasety. Stosowana przez nich metoda obróbki nie zmieniła się od tysiąca lat. Jest to pasta korundowa i koło napędzane nogą albo prądem. Archer chrząknął.

- A co z resztą rubinów Montegeau? Czy są równie dobre?

- Te, które ma Faith, tak. Wszystkie mogą się poszczycić wspaniałym kolorem, czystością i fluorescencją. A także rozmiarem. Najmniejszy z nich ma ponad dwa karaty. Gdyby kamienie Montegeau zostały poddane ponownemu szlifowaniu, by uzyskać jak największy blask, zwiększyłyby swoją wartość przynajmniej o połowę. Natomiast nie odpowiadam za to, co stary Davis mógł zagrzebać w rozlewisku.

- Nie rozumiem - przyznała Faith.

- To stary zwyczaj południowców, taki jak zamięłowanie do placka z orzeszków ziemnych. Bierze się rodzinne powody do dumy i...

- Powody do dumy? - wtrąciła.

- Oczywiście. Takie jak ta noszona przez ciebie szykowna spinka ze srebra i akwamarynu. Powody do dumy wnoszą się na rozlewisko. Miejscowa legenda głosi, że członkowie rodu Montegeau w jednym z rozlewisk ukryli swoje skarby, a wraz z nimi ludzi, którzy zadawali za dużo pytań. Wśród bagien i mokradeł Karoliny Południowej wyje mnóstwo jankeskich duchów. Kilku Montegeau również, nawet jeśli tylko połowa z tego, co słyszałem, jest prawdą. Fakt faktem, że strzegą kilku paskudnych sekretów rodzinnych.

- Co ty możesz wiedzieć na temat tamtejszych legend? - spytała.

- Urodziłem się pięć kilometrów od Rubinowych Bagien. Mieszkałem w tych okolicach do szesnastego roku życia, potem wyjechałem do zachodniego Teksasu.

- Znasz klan Montegeau? - spytali jednocześnie Archer i Faith.

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Tak jak chłopci znają szlachtę.

- Jakoś nie widzę cię w roli kłaniającego się w pas i uchylającego kapelusza parobka - zauważyła Faith.

- Taak, no cóż, to właśnie podoba mi się w pracy dla twojego brata. Nie uważa, że do obowiązków pracownika należy całowanie wszystkich po dupie.

- To jednak nie przestaje być ważne - powiedział Archer bezbarwnie.

- W takim razie nigdy nie zostanę dyrektorem naczelnym. Zawsze miałem lufę z całowania po dupie, od przedszkola poczynając, a na trzeciej klasie licealnej kończąc.

- A co z klasą maturalną? - spytała Faith. - W końcu ci się udało?

- W pewnym sensie tak. Rzuciłem szkołę. Nigdy więcej nie miałem już z tym kłopotu.

Chociaż Walker mówił o tym bardzo spokojnie, Faith wyczuła pewną przekorę. Pracownik Archera znajdował się w jednym pomieszczeniu z dwójką ludzi mających wyższe studia, chociaż sam nie miał nawet świadectwa ukończenia szkoły średniej.

Niemniej to on udzielał im lekcji.

Archer powrócił do mikroskopu.

- Świetnie, ale milion dolców za trzynaście kiepsko oszlifowanych rubinów to wciąż spora sumka.

- Czternaście, jeśli liczyć ten, który Faith dostanie jako wynagrodzenie.

- Jej wynagrodzenie jeszcze dziś wieczorem znajdzie się w domowym sejfie.

Faith zaczęła protestować, potem uznała, że to i tak nie ma żadnego znaczenia. Sejf w domu jest tak samo dobry jak w jej sklepie. Prawdę mówiąc, lepszy. Kyle zaprojektował elektroniczne zabezpieczenia, mając na myśli sprytnych złodziejasków na miarę dwudziestego pierwszego wieku.

- Czyli w naszyjniku będzie ich trzynaście - wyliczył Archer.

- Nadal uważam, że milion to sporo gotówki.

- Taak. Przypuszczam, że tak właśnie powiesz. - Walker odwrócił się do stołu i otworzył następne pudełeczko.

- Chciałbym, żebyś zerknął na próbki surowych rubinów pochodzących z kopalni z całego świata. Wówczas łatwiej zrozumiesz, jak piękne i wyjątkowe są rubiny MontegEAU.

Faith i Archer przyjrzeni się skromnym kamykom, które Walker rozrzucił po stole. Były różnej wielkości - najmniejsze przypominały ziarna kukurydzy, największe dzikie jabłka.

Mieniły się wieloma odcieniami czerwieni - poczynając od bladego różu, poprzez intensywny róż, kolor czerwono-brązowy, czerwono-pomarańczowy, czerwono-niebieskawy, a na czerwono-fioletowym i wielu innych, mniej czerwonych, a bardziej brązowych czy niebieskawych barwach kończąc.

Niektóre kamienie były przezroczyste. Większość nie.

Walker zerknął na Faith i Archera, dostrzegł na ich twarzach wyraz zawodu i delikatnie się uśmiechnął. Oboje specjalizowali się w perłach. Określenie „surowy kamień” kojarzyli z wyjętą bezpośrednio z muszli perłą, która znacznie bardziej przypominała produkt końcowy niż kamień szlachetny, pochodzący prosto z kopalni.

- Rubiny powstają jako formacje krystaliczne - powiedziała

Faith, czubkiem palca szturchając kamyk. - Dlaczego niektóre z nich są okrągłe, a inne mają ostre brzegi? Czy mówiąc o „kopalni”, masz na myśli zarówno złoża żwiru, jak i tunele ryte w litej skale?

Popatrzył na nią zaskoczony.

Odpowiedziała spojrzeniem, które mówiło, że nie powinien się dziwić. W końcu była jedną z Donovanów.

- I jedno, i drugie - odparł Walker. - Wiele sławnych kopalni w Mogoku w Birmie to właściwie zwykłe dziury wykopane

w poszyciu dżungli, umożliwiające dostanie się do leżących nieco głębiej warstw żwiru. Tamtejsi górnicy wciąż tkwią w epoce kamienia łupanego. Wychudzeni mężczyźni w przepaskach na biodrach grzebią się w dole szerokim na jednego człowieka, który pracuje tam z wiadrem na linie. Za mało miejsca, żeby się przeciągnąć. - Potrząsnął głową.

Archer skrzywił się. Nie lubił ciasnych miejsc.

- Biedak, znajdujący się na dnie dziury, zazwyczaj przez

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
wiele godzin stoi po kolana w błotnistej wodzie - ciągnął
walker - w dżungli, w której jest tak gorąco, że można by
ugotować mięso. Dziura musi sięgać do zawierającego kamienie
szlachetne żwiru albo do ostatniego zapadliska -
w zależności od tego, co jest pierwsze.
Faith w milczeniu dotknęła torebeczki, w której płonął
zimny, karmazynowy płomień - spuścizna po ryzyku i trudzie
jakiegoś nieznanego człowieka. Ponownie spojrzała na
różne odcienie rozłożonych na stole surowych rubinów.
- Czy któryś z nich pochodzi z Mogoku?
- Nie. Ale ze żwirowisk... - wskazał ręką okrągłe kamienie
przywodzące na myśl rzeczne otoczaki - ...gdzie warunki
wydobycia są niemal takie same. Wyjątkowo prymitywne. -
Wziął do ręki kilka ciemniejszych, bardziej brązowych kamyków.
- Te rubiny swego czasu nazywano syjamczykami.
- Jakie one są? - spytała Faith.
Pragnąc je zobaczyć, pochyliła się tak bardzo, że włosami
musnęła brodę walkera. Kiedy wziął wdech, poczuł zapach
gardenii, przypominający ciepłe, spokojne noce na południu
kraju. Walker nie mógł się oprzeć, dlatego ponownie nabrał
powietrza w płuca. Więcej, wolniej. Jasne włosy Faith lśniły
nad kształtną szyją. Oddech walkera poruszał piękne złote
kosmyki sterzące na czubku jej głowy.
Zamknął oczy i rozkoszował się mimowolną reakcją swego
ciała na zapach i ciepło, które delikatnie emanowały w jego
stronę.
- Tajlandzkie rubiny niegdyś nazywano syjamczykami -
podjął walker niemal szorstkim głosem. - Było to jedno
z określeń używanych w stosunku do rzeczy niższej kategorii.
Działo się to w czasach, kiedy za jedyne wartościowe kamienie
uważano rubiny pochodzące z Birmy.
- Te są za ciemne - zauważył Archer. - Mają za mało
czerwieni. „
- Za dużo żelaza - wyjaśnił walker automatycznie.
Otworzył oczy i liczył puls widoczny pod delikatną skórą
u podstawy szyi Faith. Był nieco przyspieszony, jakby i ona
zdawała sobie sprawę z jego bliskości.
- Co takiego? - spytał Archer.
- Wszystkie szafiry i rubiny powstały z tego samego podstawowego
materiału, czyli korundu - tłumaczył walker, ponownie
skupiając uwagę na swoim szefie. - Czysty korund
jest bezbarwny jak dobry diament. Jeśli dodasz jakieś zanieczyszczenia,
powstaną z niego szafiry we wszystkich kolorach
tęczy, z wyjątkiem czerwonego. Czerwony kamień nosi
nazwę rubinu. Kapujesz?
Archer kiwnął głową.
- Swój kolor rubin zawdzięcza temu, że podczas procesu
krystalizacji w korundzie znalazła się niewielka ilość pewnego
konkretnego zanieczyszczenia - chromu - ciągnął walker.
- Błękitne szafiry to efekt domieszki tytanu i żelaza. Inne
kolory szafirów...
- W porządku - przerwał mu Archer. - Wiem już, o co
chodzi. Te rubiny mają inne zanieczyszczenia niż kamienie
pochodzące z Birmy.
- Coś w tym stylu. Gdybym odpowiednio je podgrzał,
uzyskałbym czystszy czerwień. Przy okazji straciłbym łagodność
barwy, ale nie można mieć wszystkiego naraz.
W porównaniu z birmańskimi rubinami, których nie poddawano
obróbce cieplnej, kamienie pochodzące z Tajlandii
sprawiają wrażenie bardzo twardych. Na przekór swojej barwie
są zimne.
Archer przyjrzał się zróżnicowanym surowym rubinom
rozłożonym na stole. Wskazał palcem na jasnoczerwony kamień.
- Ten i bez obróbki całkiem nieźle wygląda.
Walker uśmiechnął się.
- To spinel. Dzięki niemu można nabrać wielu ludzi,
łącznie z członkami rodzin królewskich. Jeden z kamieni
w koronie brytyjskiej to właśnie spinel.

Faith wskazała na inną bryłkę. Był to jeden z okrągłych kamieni.

- Podoba mi się ten kolor.

- Masz dobre oko. Pod względem barwy jest to najlepszy wyrób. Szkoda, że jest dziełem człowieka.

- Szkło? - spytał Archer.

- To byłoby za proste. Powstał w piecu, w którym odtworzono warunki, w jakich powstają naturalne rubiny. Potem w laboratoriach pozbawia się takie kamyczki wszelkich skaz i wstawia do rubinowych laserów. Oszuści zostawiają drobne usterki dla łatwowiernych.

- Twór chemiczny udający naturalny rubin? - zdziwiła się Faith.

- Właśnie.

- Jak w takim razie można go odróżnić od prawdziwego?

- Pod mikroskopem. Wytwarzane przez człowieka rubiny narastają równomiernie ze wszystkich stron, w związku z tym nie mają struktury kryształu, a małe bąbelki gazu są wydłużone, nie okrągłe. Ten okaz powstał w kamiennym bębnie i razem z kilkoma prawdziwymi, lecz pośledniejszymi rubinami sprzedano go jako kamień pochodzący ze złoża żwirowego.

- Kupujesz je? - spytał Archer.

- Tak. To się określa mianem „nabywania doświadczenia”.

W ciągu kilku pierwszych lat obracania się wśród ludzi handlujących rubinami zgromadziłem sporo takich okazów. Mam całą kolekcję podróbek. Staram się jej nie powiększać - wyznał z powagą.

Faith z uśmiechem segregowała okrągłe bryłki surowego rubinu, zarówno syntetycznego, jak i naturalnego.

- Są ciężkie, jak na swój rozmiar.

- Podobnie jak złoto - zgodził się Walker. - Dlatego rubiny toczą się po dnach rzek, a potem stopniowo zagłębiają się w żwirze, składającym się z lżejszych kamieni. Kiedy rzeki z czasem zmieniają bieg, a ich miejsce zajmuje dżungla, pokłady żwiru zostają ukryte pod potrójnym baldachimem zieleni, czekając, aż jakiś desperat wykopie wąską, nie oszalowaną dziurę o ścianach z błota.

Patrzyła na trzymane w rękach drobiny czerwieni. Ile na to wszystko trzeba czasu... Gdzieś na ziemi płynie rzeka, potem następują zmiany i miejsce to obejmuje we władanie dżungla. Nie zmienione pozostają tylko twarde kawałki kryształu, ponadczasowe, zrodzone w pierwotnym ogniu...

Przed oczyma Faith przemknął pomysł projektu, nieuchwytny jak kawałek jedwabiu w bardzo dobrym rubinie.

- Ten kamyczek wygląda na całkiem niezły - zauważył Archer, biorąc do ręki białą bryłkę z czerwonym kryształem wielkości kciuka. - Ma dobry kolor.

- Pochodzi z Afganistanu, z kopalni wydrążonej w litej skale. Ten biały kawałek to marmur. Czerwony - rubin, ale nadaje się tylko na kaboszon. Ma zbyt dużo pęknięć i skaz. Prawdę mówiąc, można go użyć tylko do najgorszej jakościowo biżuterii. W niektórych kopalniach trafia się lepszy surowiec, ale jest go cholernie mało.

Faith zerknęła na kamień z nowym zainteresowaniem, wyobrażając sobie, co by mogła z niego zrobić. Bardzo lubiła bezfasetowy szlif kaboszonowy. Każdemu kamieniowi, niezależnie od jego wartości, nadawał łagodny, satynowy blask.

- Ale masz rację - zgodził się Walker. - Kolor rzeczywiście jest dobry. Szkoda tylko, że w afgańskich kopalniach wydobywają bardzo mało dobrego surowca. Większość jest kiepska. Zbyt pomarańczowa.

Archer słuchał, a Faith w myślach tworzyła nowe projekty.

W tym czasie Walker pokazywał po kolei każdy kawałek surowego rubinu, wyjaśniając jego pochodzenie.

Kenia, Sri Lanka, Kambodża, Myanmar, Indie, Brazylia,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
Afganistan, Tajlandia. Bez trudu podawał wszystkie nazwy i przekazywał zwięzły opis, wymieniał również braki tych rubinów w porównaniu z bajecznymi birmańskimi kamieniami w kolorze „krwi gołębia”. Pragnąc jeszcze dobitniej przekazać swój punkt widzenia, Walker obok każdego surowego kamienia, pochodzącego z danych okolic, kładł jego szlifowany, polerowany - i poddany obróbce termicznej - odpowiednik. Większość z nich mogła się poszczycić całkiem niezłą czerwienią, sporą przejrzystością i wyraźną urodą.

Potem przed nimi wszystkimi umieścił jeden ze źle oszlifowanych birmańskich rubinów Faith. Mogło się wydawać, że wewnątrz tego kamienia wypełniło światło i rozbłysło w nim jak marzenie.

Archer chrząknął.

- Podobnie wygląda różnica między farbowanymi perłami Akoya a naturalnymi, pochodzącymi z mórz południowych. Kiedy zobaczysz prawdziwą, przestają cię interesować wszystkie inne.

Faith zgodziła się z ciężkim westchnieniem. Nie było na świecie rubinu mogącego dorównać kamieniom Montegeau. Jęknęła.

- O co chodzi? - zainteresował się Walker.

- Obrzydziłeś mi wszystkie inne rubiny, a nie stać mnie na zakup birmańskich.

Uśmiechnął się.

- Jeśli wszystko dobrze pójdzie, zobaczysz jeszcze mnóstwo tych piękności. Jestem pewien, że brat dobrze ci zapłaci.

- W porządku - powiedział Archer. Wstał i wrócił do swojego biurka. - Ubezpieczę na milion trzysta rubinów Montegeau. Pojedziesz z Faith do Savannah i zobaczysz, czy się dogadasz z jej przyjaciółmi w sprawie zakupu ich rodzinnej biżuterii, jeśli tylko zechcą ją sprzedać, a także każdej innej, jaką mają na składzie, a która pochodzi z prywatnych zbiorów innych osób. Zaczniij również sam rozglądać się za indywidualnymi właścicielami. Jeśli to się nie uda, spraw sobie łyczekę z naprawdę bardzo długim uchwytem i ruszaj do Europy Wschodniej.

Słowa brata wyrwały Faith z rozważań na temat wspaniałych rubinów.

- Walker wcale nie musi jechać ze mną do Savannah.

Mogę...

- Jeśli chcesz, żebyśmy ubezpieczył te rubiny - przerwał jej Archer, nie podnosząc wzroku znad garstki papierów - pojedziesz z Walkerem i dołożysz wszelkich starań, by mu pomóc. Dawniej urządziłaby karczemną awanturę, wypadła jak burza z biura brata i walczyła do utraty tchu, póki nie zostałaby pokonana przez szarą rzeczywistość. Teraz przybyło jej nieco lat. Szara rzeczywistość stała się jej nieodłączną towarzyszką. Faith wiedziała, że musi ubezpieczyć te kamienie.

Archer był jedynym człowiekiem, który mógł to zrobić w tak krótkim czasie.

- Doskonale - powiedziała przez zaciśnięte zęby.

Trzy sekundy później zamknęła za sobą drzwi. Delikatnie.

Za delikatnie.

Walker gwizdnął.

- Chyba jest w pieskim humorze.

- Przejdzie jej to.

- Łatwo ci powiedzieć. To nie ty spędzisz w jej towarzystwie najbliższy tydzień lub dwa.

Archer uśmiechnął się.

- Taak. Życzę dużo szczęścia, Walker. Będzie ci bardzo potrzebne.

Tego wieczoru Walker zasiadł do komputera z pizzą ociekającą tłuszczem w ręce i butelką lodowatego piwa obok klawiatury.

Ponownie przejrzał listę skradzionych rubinów. Nic

się nie zmieniło. Nie pojawiło się nic nowego.

Nie zamieszczono informacji o zaginięciu dwudziestokaratowego

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

rubinu ze świecką mughalijską inskrypcją. Walker zmarszczył brwi i powoli sączył piwo. Potem przeniósł się na inną stronę internetową, którą prywatnie nazywał „naiwniacy.com”. Poświęcona była historii kamieni szlacheńskich, tradycji jubilerskiej i współczesnym wypaczeniom żywionego przez starożytnych przekonania, że coś tak pięknego jak kamień szlacheński musi być jednocześnie sposobem na wszelkie ludzkie nieszczęścia. Masz kłopoty z szefem, teściową albo ptaszkiem? Nic prostszego. Kamień szlacheński pomoże ci uporać się ze wszystkimi problemami. Wystarczy, jeśli podasz numer swojej karty kredytowej, a twój osobisty cud przybędzie UPS-em* w ciągu dziesięciu dni roboczych. Jeśli zechcesz zapłacić za ekspres - to szybciej.

Walker przeglądał te bzdury, aż natknął się na zbiór mniej lub bardziej udokumentowanych legend na temat kamieni szlacheńskich. Wpisał hasła „rubin” i „grawerowany”, po czym przeszukał całą bazę danych. Większość wzmianek napisano w języku hindi lub arabskim, których Walker nie znał. To samo dotyczyło kantońskiego i rosyjskiego. Wrzucił te teksty do swoich najlepszych programów tran siał orskich i zaczął czytać nieliczne artykuły napisane po angielsku.

Wszystkie opisywane rubiny mogłyby zadowolić wymagającego klienta Faith. Były duże, krwistoczerwone i bez skaz. Kilka z nich miało nawet solidną dokumentację - wycenę i szczegółowy opis, uwzględniający wielkość, kolor, stopień czystości i źródło pochodzenia. Kamienie te znajdowały się w dostępnych dla publiczności zbiorach albo u anonimowych właścicieli. Reszta to zwyczajne legendy, od lat przekazywane z ust do ust. Towarzyszył im kamień, albo i nie.

Walker wypił następny łyk piwa i po kolei zaczął czytać pojawiające się na ekranie tłumaczenia informacji na temat pozostałych rubinów. Niektóre z komputerowych przekładów były wręcz komiczne, inne zagadkowe, ale wszystkie przekazywały informacje w zupełności wystarczające do jego celów. Trudno się dziwić, że wiele rubinów skończyło jako prezenty dla członków rodzin królewskich, haracz albo łupy wojenne. Przy niektórych plikach zamieszczono szkice równie dziwaczne jak legendy.

* UPS - działająca na całym świecie firma spedycyjna (przyp. tłum.). Tylko dwa z opisanych rubinów posiadały inskrypcję wykonaną w Indiach w czasach Mughalów. Tylko jeden miał odpowiedni rozmiar.

Serce Północy.

Walker spotkał się już z tą nazwą na stronach prezentujących mity i legendy. Był tego pewien. Wrócił, przejrzał wszystko ponownie, a gdy znalazł, czego szukał, uważnie przeczytał cały artykuł.

Jak głosi legenda, Serce Północy po raz pierwszy pojawiło się w szesnastym wieku na dworze mughalijskiego cesarza. Jedną z jego córek miała tajemniczego kochanka, który odwiedzał ją tylko o północy, spowity w ciemność, potem w równie zagadkowych okolicznościach zniknął. Po jakimś czasie zakochana po uszy księżniczka, wściekła, że jej tajemniczy kochanek nie chce ujawnić swojej tożsamości, zgodziła się wyjść za mąż za księcia z dalekich krajów. Następnego dnia w śnie pojawił jej się ukochany. Nie żył i miał wycięte serce. Rano znaleziono księżniczkę w łóżku martwą. W zeszywniałej dłoni trzymała grawerowany krwistoczerwony rubin wielkości piąstki niemowlęcia. Elegancka inskrypcja ostrzegała: „Strzeż się Serca Północy”.

Otoczony legendą o miłości i śmierci kamień płonął tajemniczym ogniem, który posiadają tylko najlepsze rubiny. Nic więc dziwnego, że w końcu trafił do rąk Katarzyny I. Dostała go od swojego kochanka, a potem męża - Piotra Wielkiego. Wierzano, że rubin ten był łupem wojennym i został zdobyty

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

przez Piotra wielkiego podczas podboju cesarstwa otomańskiego. Nie wiadomo, czy istnieją rysunki lub obrazy upamiętniające ten kamień. W siedemnastym wieku trafił do carskich zbiorów. Od tego czasu nie znaleziono na jego temat żadnej wzmianki, choć bez wątplenia wiele księżniczek zakładało ten klejnot przy różnych oficjalnych okazjach.

Jak w przypadku każdego szlachetnego kamienia tych rozmiarów i jakości, złowieszczce przepowiednie grożą śmiercią każdemu, kto odważyłby się zostać właścicielem Serca Północy. Może dlatego właśnie kamień ten stracił łaski członków rosyjskiego dworu.

Przez długą chwilę Walker wpatrywał się w ekran komputera, próbując zgadnąć, kto kazał Iwanowiczowi szukać legendarnego rubinu przy Pioneer Square, w sklepiu jubilerskim Faith.

I dlatego.

O przecznice dalej, po przeciwnej stronie ulicy Iwanowicz w wyświechtanym ubraniu, które kupił w sklepie ze starociami, podszedł do jednego ze snujących się po Seattle bezdomnych pijaków. Człowiek ten zajął sporą wnękę, uznając, że jest to bardzo dobre schronienie przed zimnym przenikliwym wiatrem.

- Wnosić się - nakazał Rosjanin. - Ja potrzebować ta miejsce.

- Odpieprz się, dupku - rzucił pijak. - Ja znalazłem je pierwszy.

Podniósł drżącą pięść. Była owinięta w szmaty, ponieważ wolał wydać użebrowane pieniądze na alkohol niż na rękawiczki. Iwanowicz uprzedził niepewny cios i chwycił przeciwnika za gardło. Pod wpływem smrodu taniego wina niemal zaparło mu dech, gdy wciskał między żebra bezdomnego długi, wąski sztylet. Czubek noża dotarł do serca mężczyzny.

Rosjanin obrócił ostrze, by wyrządzić jak największe szkody. Ranny sapnął, bardziej z zaskoczenia niż bólu. Z worka osierdziowego trysnęła krew, wypełniając klatkę piersiową. Nie roniąc ani kropli, pijak powoli wykrwawiał się na śmierć. Po chwili ugięły się pod nim kolana. Upadłby na beton, gdyby nie przytrzymała go silna dłoń.

- Ty się odsunąć, przyjaciel - wymamrotał cicho Iwanowicz.

- Ja czy mówić, że potrzebować ta miejsce.

Prawie martwy pijak wcale dużo nie ważył. Zaniesienie go za róg starego budynku z cegły, w przecznice wypełnioną pojemnikami na śmieci nie wymagało zbyt wielkiego wysiłku. W oczach przechodniów obaj mężczyźni wyglądali jak starzy przyjaciele szukający zaciszniejszego miejsca, by wypić razem butelkę wzmocnionego wina.

Trzydzieści sekund później Iwanowicz wrócił sam i zajął posterunek w ponurej wnękę. Owinął się grubym płaszczem, znacznie czystszy, ale równie wystrzępionym jak koc zabrany bezdomnemu pijakowi. Podobnie jak ciało zostawione w pojemniku na śmieci, Iwanowicz wyglądał, jakby drzemał, ale wcale nie miał zamiaru spać. Spod szerokiego randa wyświechtanego kapelusza obserwował zamknięte, okratowane, a mimo to jasno oświetlone okno „Ponadczasowych Marzeń”.

Faith Donovan wciąż przebywała w swoim sklepiu i pracowała nad biżuterią. Towarzystwa dotrzymywał jej ochroniarz - ten sam zawodowiec, który pilnował jej wcześniej.

Zbyt wielkim ryzykiem byłaby próba pochwycenia kobiety i wydobywania z niej prawdy przy użyciu noża. Fakt, że Iwanowicz wybił się w śmiertelnie niebezpiecznym światku petersburskiej mafii, wcale nie oznaczał, że przy każdej nadarzącej się okazji ulegał miłemu dreszczykowi związanemu z morderstwem. Jeśli po drodze coś się trafi - świetnie. Jeśli nie - istniały inne sposoby zadbania, by Serce Północy nie zostało zamknięte w sklepiu tej kobiety. Jeden z owych sposobów wymagał od Rosjanina drugiej z jego umiejętności - umiejętności włamywania się.

Iwanowicz wyrwał się z nędzy i trafił między ludzi bogatych.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Stało się to w okresie, kiedy jego ojczyzna pogrążyła się w chaosie, próbując przejść od skorumpowanej tyranii do pseudokapitalizmu. Swoją szybką karierę zawdzięczał niezwykłym umiejętnościom w posługiwaniu się nożem i wcześniejszemu przygotowaniu do zawodu ślusarza. Znal się na zamkach i sejfach tak jak lekarz zna się na metabolizmie. Dzięki temu był wspaniałym włamywaczem. Petersburskie elity wydawały miliony na stalowe i betonowe skarbce oraz sejfy, które Iwanowicz z prawdziwą radością plądrował, przyczyniając się tym sposobem do wzbierania fali chaosu i przemocy, która go wyniosła.

Nie przejmował się tym, jaki będzie końcowy wynik rosyjskich przemian - kapitalizm, socjalizm, komunizm czy chaos - ponieważ dobrze się czuł w swoim świecie. W każdej kulturze istnieli złodzieje i mordercy. Iwanowicz był jednym i drugim.

Zimny wiatr przewiewał na wskroś używane skarpetki i sportowe buty. Rosjanin jeszcze jako uliczny zabijaka z powodu odmrożeń stracił trzy palce u nogi. Może dlatego jego stopy były wyjątkowo wrażliwe na chłód. Czuł w nich pulsujący w rytmie serca ból. Zignorował go. Dużo bardziej cierpiał w St. Petersburgu, nim dostrzegł go Tarasów. Potem szybko awansował z lodowatych rynsztoków. Rzeka krwi, którą za sobą zostawiał, jedynie poprawiała jego wizerunek jako człowieka Tarasowa.

Była niemal północ, kiedy światła w sklepiu Faith Donovan zgasły. Jakby na milczący rozkaz zza rogu wyjechał samochód. Zatrzymał się przed „Ponadczasowymi Marzeniami”. Drzwi się otworzyły. W lodowatym deszczu rozległ się zachrypnięty głos Faith, która powiedziała coś do swojego ochroniarza, a potem cicho się roześmiała. Iwanowicza ogarnęła fala pożądania i czegoś dużo bardziej ponurego. Wpatrywał się w jasne plamy nóg wysuwających się spod płaszcza, gdy Faith pokonywała niewielką odległość dzielącą ją od samochodu, a potem siadała na przednim siedzeniu obok kierowcy.

Gdy auto odjechało, Iwanowicz przypomniał sobie chwilę, kiedy po raz ostatni miał taką kobietę w łóżku i pod nożem. Potem zaczął marzyć o następnej. O Faith.

Minęła godzina, potem druga, nim Iwanowicz doszedł do wniosku, że może bezpiecznie opuścić swoją wnękę. Kiedy wstał, wcale nie musiał udawać chwiejnego kroku pijaka. Miał wystarczająco zesztyniałe mięśnie od siedzenia na zimnym betonie. Ciągnąc za sobą plastikowy worek z „dobytkiem”, wsunął się w cień, jaki rzucała ceglana ściana „Ponadczasowych Marzeń”. Oparł się o nią. Każdy, kto by go zobaczył, doszedłby do wniosku, że jakiś pijaczyna szuka miejsca, gdzie mógłby ulżyć swojemu pęcherzowi.

Zimny wiatr od Elliot Bay wygnał bezdomnych urzędujących w przecznicy na tyłach sklepu. Dwie lub trzy gołe żarówki rzucały cienie w mroku nocy. Cegły, metalowe rury, pojemniki na śmieci i same śmieci - wszystko lśniło wilgocią. Iwanowicz oparł się o ścianę, która śmierdziała moczem i tłuszczem, po czym rozejrzał się dookoła, pragnąc sprawdzić, czy nic się nie zmieniło od chwili, kiedy po raz pierwszy zajrzał do tego zaułka.

Wszystko wyglądało tak samo. Odłożył worek, pogrzebał w nim i zabrał się do pracy.

Budynek zelektryfikowano na początku dwudziestego wieku, toteż kable i instalację alarmową poprowadzono po wierzchu. Pomimo zesztyniałych od zimna palców Iwanowicz w niecałe pięć minut zdołał podłączyć do skrzynki z alarmem dodatkowy obwód. Teraz włamanie wymagało już raczej użycia siły niż finezji. Zamek w tylnych drzwiach miał mocną zasuwę i gałkę. Na pokonanie ich Iwanowicz nie potrzebował nawet dziewięćdziesięciu sekund.

Znajdujący się wewnątrz sejf często można było spotkać w Europie. Iwanowicz znał jego mocne strony. Co ważniejsze,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

wiedział również wszystko o jego słabych punktach. Dwadzieścia minut później wysuwał gładkie stalowe szuflady. Światło małej latarki w kształcie ołówka odbijało się od złota, srebra, platyny i mieniących się wszystkimi kolorami tęczy kamieni szlachetnych. Ilekroć w polu widzenia pojawił się krwistoczerwony kamień, serce Rosjanina zaczynało żywiej bić. Niestety, po chwili zwalniało. Serca Północy tam nie było.

Jednym uchem nasłuchując, czy skądś nie dobiega odgłos syren albo ludzkich kroków, Rosjanin otwierał szufladę po szufladzie. Zobaczył mnóstwo naprawdę pięknych kamieni szlachetnych - luzem i w objęciach niespokojnych fal lub skrzydeł wykonanych z drogocennych metali. Wzbudzały w nim podziw i chciwość, ale to nie po nie w takim pośpiechu przybył do Ameryki.

Kiedy przetrząsnął wszystkie szuflady w sejfie, zaczął sprawdzać skrytki w stole warsztatowym, szafki na akta, pojemniki na materiały do polerowania, narzędzia, środki czystości i kawę, rozrzucając wszystko z coraz większą złością. Znalazł jedynie materiały do polerowania, narzędzia, papier toaletowy i kawę. Z paskudnym rosyjskim przekleństwem na ustach wrócił do sejfu. Szybko, niemal beznamiętnie wybrał kilka oprawionych i luźnych kamieni szlachetnych, po czym wsunął je do kieszeni. Ukończone przedmioty były zbyt charakterystyczne, by zanieść je do lombardu. Wszyscy spodziewają się jednak, że złodziej weźmie przynajmniej część spośród największych klejnotów. Iwanowicz zdecydował, że wrzuci je do najbliższego kosza na śmieci, a luźne kamienie odda pod zastaw. Ameryka to dla turystów bardzo drogi kraj. Przyda się trochę dodatkowej gotówki.

* * *

Bawiące się w chowanego promienie słoneczne, które wyzierały co jakiś czas spod niskich, pędzących po niebie chmur wpadły przez frontowe okno „Ponadczasowych Marzeń”, ukazując panujący w środku chaos. Walker i Faith dostrzegli bałagan już z chodnika. Powyjmowane szuflady, otwarty sejf, porozrzucany wszędzie sprzęt. Faith cicho jęknęła ze złości i zaniepokojenia.

- Nie!

Walker wyrwał jej z ręki klucze, gdy sięgała nimi do zamka.

- W środku wciąż ktoś może być. Zadzwoń na policję.

Potem wezwij Archera.

Kiedy przyjechał pierwszy radiowóz policyjny, zaczęły się pytania. Faith miała ochotę krzyczeć, patrząc, jak najwyższy rangą oficer robi notatki zdrętwiałymi z zimna palcami. Chciała jak najszybciej wejść do swojego sklepu, zrobić spis inwentarza i sprawdzić, jakie poniosła straty.

Walker miał więcej cierpliwości. Przynajmniej sprawiał takie wrażenie. Oparł się o swoją laskę i powtarzał wszystko od początku po raz drugi albo trzeci - w zależności od tego, o co go pytano.

Gdy gliniarze skończyli zabezpieczać miejsce przestępstwa, pojawił się Archer. Faith nie zauważyła, że pod dzinsową kurtką miał ukryty rewolwer. Walker to dostrzegł, ale nie odezwał się ani słowem.

- Mam zamiar wydrukować spis inwentarza i zabrać się do pracy - oznajmiła Faith ponuro.

- Pomoc zaraz wyrusza w drogę - powiedział Archer - tylko wcześniej muszą znaleźć opiekunki do dzieci.

- Dzięki.

Z bezbarwnym uśmiechem podeszła do komputera i zaczęła uderzać w klawisze.

- Zostaw tę robotę Kyle'owi - zaproponował Archer. -

Musisz skończyć naszyjnik i spakować się przed podróżą.

- Nie mogę teraz jechać do Savannah - burknęła Faith ze zniecierpliwieniem.

- Do wyjazdu zostały ci jeszcze trzy dni.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Mimo to nie mogę jechać. Mam za mało czasu.
Archer zlekceważył ją, odwrócił się do walkera i powiedział cicho:
- Nie spuszczaaj Faith z oka, póki nie przekażesz jej w ręce Kyle'a lub moje. Kilka bram dalej ktoś właśnie znalazł ciało. Bezdomny. Został zamordowany dziś w nocy.
Walker przymrugał oczy.
- Rozumiem.
- Zależy mi na tym, żeby wsiadła do samolotu lecącego do Savannah - ciągnął Archer po cichu. - Będzie się broniła, ale w końcu się podda.
Walker przytaknął.
- Gdyby cokolwiek się działo, chcę wiedzieć o tym pierwszy - zarządził Archer.
- Dam ci znać.
Archer w to nie wątpił. Skierował się w stronę frontowych drzwi krokiem człowieka szukającego kogoś, komu można by skopać tyłek.
Walker cieszył się, że wybór nie padł na niego.
- Nie mogę zostawić tu takiego bałaganu i jechać na wystawę!
- krzyknęła Faith za Archerem. -A jeśli zrobię porządek, nie zdążę skończyć naszyjnika!
- Skończ naszyjnik - poradził Archer. - Ja zajmę się porządkami.
- Ale...
Mówiła do drzwi. Kopnęła puszkę po paście do polerowania.
Puste opakowanie potoczyło się w stronę stołu warsztatowego.
- Cholera jasna! Nie zostawię sklepu w takim stanie!
- Zostałaś przegłosowana przez faceta, który płaci rachunki
- zwrócił jej uwagę walker.
- Ale... - zaczęła ponownie.
- Nie denerwuj się, złotko - przerwał jej. - Obiecałaś Mel, że zrobisz dla niej naszyjnik, przyrzekłaś również, że będziesz na jej ślubie. Na dodatek urobiłaś sobie ręce, żeby zdążyć na tę wystawę. Jesteś jedynym zaproszonym przez nich projektantem mieszkającym na zachód od Gór Skalistych. Powinnaś być w Savannah i uśmiechać się czarująco do klientów, a nie załamywać ręce w Seattle z powodu czegoś, na co i tak nie masz żadnego wpływu.
- Skąd wiesz o zaproszeniu?
Wytarł o dzinsy zabrudzone grysem ręce i zaczął układać narzędzia na stole warsztatowym.
- Archer bardzo lubi się chwalić swoją mądrą, śliczną młodszą siostrą.
- Śliczną? Taak. Rozumiem.
Poprawiła włosy. Źle spała i przed wyjściem do pracy zdążyła jedynie w biegu przyczernić rzęsy.
- Jak to on o mnie mówi? Stałowy pręt o wdzięku chłopca?
Walker uniósł wzrok znad narzędzi. Faith nie wyglądała jak kobieta czekająca na komplement. Widocznie to, co widziała w lustrze, wcale jej się nie podobało.
Tylko, do jasnej cholery, to, na co patrzył walker, w niczym nie przypominało stałowego pręta.
- Mówią, że miłość jest ślepa - wymamrotał. - Mój ty Boże. Przeciętna kobieta, spoglądając w lustro, nie widzi pięknego odbicia.
- O czym ty mówisz?
- Archer uważa, że jesteś piękna - wyznał walker.
Uśmiechnęła się i ponownie przeczesła palcami krótkie włosy. Paznokcie miała czyste, krótkie i świeżo wypolerowane. Jeśli tylko mogła tego uniknąć, nie nakładała lakieru. Dziesięć minut przy stole warsztatowym wystarczało, by zniszczyć manicure za trzydzieści dolarów.
- Odkąd Archer poznał Hannah, uważa, iż cały świat jest piękny.
- Nie oszukuj się. wciąż ma mocne i ostre zęby, takie jak zawsze.
Faith nie odpowiedziała. Bębniąc palcami po stole warsztatowym, rozglądała się dookoła i sporządzała w myślach listę.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Wszystko, czego brakuje, pokryje twoje ubez... - zaczął Walker.

- To nie uzupełni moich zbiorów - urwała mu. - Większość użytych przeze mnie kamieni, podobnie jak cała biżuteria, to rzeczy jedyne w swoim rodzaju.

- Dzięki temu łatwiej będzie znaleźć skradzione klejnoty, jeśli trafią do pasera. Kyle zarzuci opisami Internet i miejscowe sklepy. Jeśli chcesz w jakiś sposób temu zaradzić, powinnaś wybrać się na wystawę, sprawić, by pozostałym projektantom pospadały skarpetki, i zebrać zamówienia na milion dolarów.

- Mówisz, jakby to było takie proste.

- Bo przy twoim talencie to jest proste.

Powoli odwróciła się i skupiła wzrok na Walkerze zamiast na zaśmieconym sklepie. Dzięki byłemu narzeczonemu doskonale potrafiła odróżniać prawdę od kłamstwa. Walker święcie wierzył w to, co mówił.

Naprawdę darzył jej pracę szczerym podziwem.

- Dziękuję - powiedziała po prostu. - Bardzo tego potrzebowałam.

Miły z ciebie facet, Owenie Walkerze.

- No proszę.

Uśmiechnął się z nadzieją, że Faith dalej będzie w to wierzyć.

Łatwiej byłoby mu chronić ją przed kłopotami, gdyby nie próbowała przez cały czas z nim walczyć.

Gmach, w którym mieścił się Urząd Federalny

w Seattle, wyglądał właśnie na to, czym był - na miejsce

pracy zaprojektowane, wykonane i przejęte we władanie

przez rzeszę urzędników. Beż, beż i jeszcze raz beż. Kwadrat.

Beż. Na każdym pięttrze na poziomie oczu biegł pas

innego koloru. Podobno miał przynosić oczom ulgę, w rzeczywistości

jednak dzięki niemu wewnątrz wyglądało jeszcze

bardziej urzędowo, a człowiek czuł się tu jak w szpitalu

albo więzieniu.

Za nie budzącymi zainteresowania drzwiami na nieciekawych

korytarzach przekładano stosy nudnych papierów,

stemplowano je, kopiowano i wypełniano. Tylko niektóre

z tych drzwi prowadziły do ciekawych biur, w których niczego

się nie kopiowało, biur, których wydatki nie wymagały

zgody Kongresu.

Jednym z owych biur kierowała drobniutka, ciemnowłosa

kobieta o nazwisku April Joy. Nie była jednak wcale tak beztroską

osobą, jak sugerowałoby to jej nazwisko*.

Uniosła głowę znad otrzymanego właśnie faksu. Była to

lista skradzionych kamieni szlachetnych. Przysłał ją tajny

współpracownik z komendy policji w Seattle.

- Kretyn! Skończony kretyn! Po jaką cholere narażał tyłek

dla garstki kamieni szlachetnych?

Maxmillian Barton słuchał z typową obojętnością asystenta.

Pracował dla April Joy dość długo, by wiedzieć, że

będzie wściekła. Jak inaczej mogła zareagować na wiadomość,

iż prawa ręka jej najlepszej wtyczki w rosyjskiej mafii

lada chwila może zostać aresztowana za włamanie?

- Moim zdaniem, szukał czegoś innego - powiedział

cicho Barton. - Gdy tego nie znalazł, próbował sfingować

zwyczajne włamanie, pragnąc w ten sposób zatrzeć za sobą

ślady.

* Joy (ang.) - radość (przyp. tłum.).

- Dlaczego w takim razie nie spuścił po prostu tych cholernych

kamieni w najbliższym męskim szalecie? - spytała

April. - Czemu z nimi zwiął i potem próbował je zastawić?

Barton wzruszył ramionami.

- Może w Leningradzie ekipy kontrolujące paserów nie

pracują tak szybko. Zaraz, zaraz, teraz chyba to jest St. Petersburg?

Zapomniałem.

April Joy przesłała mu spojrzenie, które normalnego

urzędnika federalnego zmieniłoby w popiół, ale Barton nawet

nie drgnął. Bardzo lubił swoją pełną temperamentu

szefową, zarówno jako współpracownicę, jak i kobietę. Pomimo

drobnej budowy ciała wykazywała siłę najlepszego

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna samurajskiego miecza, w czym pomagał jej język i usposobienie. Tego dnia włożyła czerwone spodnie, w którym naprawdę było jej bardzo do twarzy. Nawet zawieszony na szyi identyfikator nie zakłócał wywieranego przez nią zmysłowego wrażenia. ^

- Ten facet to prawa ręka Tarasowa. Przyleciał wczoraj po południu samolotem Aerofłotu prosto z Magadanu. Miał przy sobie amerykański paszport wystawiony na nazwisko Iwan Iwanowicz - wyjaśnił Barton. - W punkcie odprawy celnej w Anachorage ktoś zwrócił na niego uwagę, jednak przepuściliśmy Iwanowicza, żeby sprawdzić, czego tu szuka. Kazałem go śledzić. Udał się do hotelu, a potem do sklepu Faith Donovan na Pioneer Square.

April Joy skrzywiła się.

- Znowu któreś z Donovanów. Chryste! Gdzie się obróć, muszę się na nich natknąć. Czego Rosjanin od niej chciał?

- Szukał prezentu dla matki na imieniny.

- Pieprzenie.

Barton uśmiechnął się, jak przystało mężczyźnie w średnim wieku, łysiejącemu rekinowi, którego zęby wciąż jeszcze są śmiertelnie niebezpieczne.

- Tak brzmiała jego pierwsza wersja i uparcie się jej trzyma. Jest sprytny. Bardzo sprytny. Po spotkaniu z panią Donovan zameldował się w „Olympic”. wsunął odźwiernemu sto dolców, żeby przysłała mu jakąś dziewczynkę.

Moi chłopcy przez cały czas obserwowali pokój, zakładając, że pilnowany nie wyjdzie, póki nie odprawi dziewczyny. Widocznie jednak dał jej pięćset dolarów za to, by spędziła tę noc sama.

April cicho zaklęła, nie przestając słuchać.

- W tym czasie wyslizgnął się przebrany za człowieka z obsługi. Krążył po mieście. Znaleźliśmy go dopiero godzinę temu i zmusiliśmy do powrotu. Miał w kieszeni kilka tysięcy w gotówce i kwity, stwierdzające, że zastawił w lombardzie garstkę skradzionych kamieni szlachetnych. Kiedy go przyskrzyniliśmy, komenda policji z Seattle zaczęła rozsyłać tę listę. Wykaz klejnotów pokrywa się z kwitami z lombardu.

- Czy gliniarze już go namierzyli?

- Jeszcze nie, ale prawdopodobnie jest to tylko kwestia czasu. Kyle Donovan zarzucił miasto opisami. Proponuje sporą nagrodę za biżuterię i jeszcze większą za złodzieja.

- Iwanowicz to cholernie głupi drań - stwierdziła April. - Jeśli potrzebował pieniędzy, mógł zgłosić się do nas.

- Może słyszał o rządowych cięciach budżetowych.

- Może jednak jest po prostu cholernie głupim draniem.

Dopilnuj, by lombard nie zgłosił się do Donovanów po nagrodę.

- Już się tym zająłem. Sam wykupiłem tę biżuterię.

- Czy istnieją jakieś przesłanki mogące świadczyć, że właściciel lombardu próbował dzwonić do Donovanów?

- Jeśli to robił, musiał korzystać z zakodowanego telefonu.

Niczego nie wychwyciliśmy.

- To dobrze. Przyślij mi Iwanowicza. Potem połącz się z Tarasowem. Jak ci się to uda, daj mi go do telefonu i zostań na linii. Nieźle radzę sobie z rosyjskim, ale kiedy te dranie chcą zachować dyskrecję, przechodzą na czeczeński.

Chwilę później w drzwiach pojawił się Iwanowicz. Zdążył zrzucić z siebie tanią odzież i ponownie wyglądał jak dobrze sytuowany mafioso - miał długi płaszcz z włoskiej skóry, rękawiczki, granatowy wełniany francuski garnitur i szarą jedwabną koszulę szytą ręcznie w Hongkongu. Dopełniały ów strój lśniące włoskie buty, czarny kapelus i rzucający się w oczy brylantowy pierścień.

Iwanowicz nie zdjął kapelusza.

- Czemu okradłeś Faith Donovan? - spytała April chłodno.

- Ja zostać - jak wy to mówić? - wrobiony.

- Nie jestem - jak wy to mówić? - idiotką - odpaliła. -

Jeszcze jedna błędna odpowiedź, a każe deportować ten twój inteligentny tyłek. A teraz spróbujmy jeszcze raz. Dlaczego

okradłeś sklep Faith Donovan?

Wzruszył ramionami. Przez cały czas patrzył April prosto w oczy.

- Dla pieniędzy. Po co ja by to robić?

To był już jakiś postęp. Przynajmniej w pewnym sensie.

- Mój asystent właśnie łączy się przez telefon z Maratem Borysowiczem Tarasowem - powiedziała. - Jeśli jego odpowiedzi nie spodobają mi się bardziej niż twoje, wsadzę cię do najbliższego samolotu lecącego na Syberię. - Uśmiechnęła się. - dopilnuję, by na miejscu czekał na ciebie Dmitrij Siergiejew Sokołow.

Przez ułamek sekundy Iwanowicz wyglądał na zaniepokojonego.

Ta kobieta miała bardzo dobre informacje. Sokołow

był największym wrogiem i najniebezpieczniejszym konkurentem Tarasowa. To właśnie Dmitrij Sokołow próbował powiesić Tarasowa na haczyku, jakim okazało się Serce Północy.

Koci uśmiech rozmówczyni powiedział Iwanowiczowi, że April Joy podąża za jego myślami z taką łatwością, jakby wypowiadał je na głos.

- Ja porozmawiam z Marat Borysowicz - zgodził się Iwanowicz po chwili.

- Oczywiście, skarbie. - Kiedy do pokoju wszedł Barton, uniosła wzrok. - Masz go?

- Linia numer trzy. Jest trochę zniecierpliwiony. Właśnie wybiera się na kolację.

- Rezygnacja z tego posiłku może uratować go przed zakrzepicą tętnicy wieńcowej.

Usiadła za szarym stalowym biurkiem, które wyglądało, jakby pochodziło z zapasów marynarki wojennej, i podniosła słuchawkę.

Iwanowicz czekał z pozorną cierpliwością, póki April nie przełączyła rozmowy na głośnik. Potem przez kilka minut słuchała, jak Rosjanin w Seattle próbuje wyjaśnić swoje kłopotliwe położenie Rosjaninowi przebywającemu w miejscu oddalonym o niemal dziesięć tysięcy kilometrów. Im więcej April dowiadywała się z tej rozmowy, tym promienniejsze się uśmiechała. Od bardzo dawna szukała naprawdę dobrego haczyka na Marata Borysowicza Tarasowa. Serce Północy doskonale spełniało tę rolę.

A gdyby przy okazji przyłapano Faith Donovan ze skradzionym przedmiotem, stanowiącym dziedzictwo kulturowe Rosji, byłaby to odpowiedź na modlitwy April. W końcu trzymałaby Donovanów w garści. Koniec z wymianą przypadkowych usług - Wuj Sam nareszcie miałby tę rodzinę na własność.

Wcześniej jednak April musiała poprosić ich o przysługę.

Da im dzień lub dwa na podsumowanie strat i dojście do siebie po kradzieży. Potem, kiedy pojawi się ze skradzionymi przedmiotami, Archer na pewno chętnie jej wysłucha.

- Widzę, że się pani uśmiecha - zauważył Barton, kiedy za Iwanowiczem zamknęły się drzwi.

Jeszcze jeden wilk udał się na łowy między owce.

- Taak.

- Naprawdę sądzi pani, że Donovanowie sprzedają kradzioną biżuterię?

- Gównu mnie obchodzi, czym handlują, bylebym dzięki temu założyła tej rodzinie smycz i obrozę.

Pod nosem Kyle'a pojawił się parujący kubek kawy. Od osiemnastu godzin wpatrywał się w części komputerowe. Zamrugał i uniosł głowę. Dopiero po chwili zdołał skupić wzrok na twarzy Archera.

Kyle zachłannie chwycił kawę.

- Potrzebuję jej bardziej niż ty.

- Poczęstuj się. Faith jutro wyjeżdża do Savannah. Co mówią na ten temat twoje przeczucia?

Kyle odsunął się wraz z krzesłem od bezładnej mieszanki różnych części elektronicznych. Pokrywały one stół w pracowni,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

która znajdowała się nad ogromnym garażem w domu Donovanów. Dla innych ludzi pomieszczenie to wyglądało, jakby zdarzyło się tu trzęsienie ziemi, przeszedł huragan lub nastąpiła jakaś eksplozja. W odczuciu Kyle'a było to jedyne miejsce, w którym przedmioty zostawały tam, gdzie je położył, nawet wbrew wszelkiej logice. Tylko tutaj nigdy nie miał kłopotów ze znalezieniem tego, czego szukał, i wtedy, kiedy szukał. Na przykład kupka porozrzucanych na metalowym stole śmieci wkrótce zamieni się w kompleksowy, supernowoczesny system alarmowy do „Ponadczasowych Marzeń”. Faith w końcu zgodziła się, by jej brat zrobił to, o czym marzył od momentu, kiedy otworzyła sklepik - zadbał o jego bezpieczeństwo.

- Wciąż trapią mnie złe przeczucia - wyznał Kyle.

Zaplótł na kubku długie palce, upił łyk kawy i westchnął.

- Czy teraz są lepsze, czy gorsze?

- Gorsze. Czemu pytasz?

- Rozmawiałem z policją. Zgodzili się ze mną, iż nie było to zwyczajne włamanie, nie uznali go jednak za aż tak bardzo nietypowe.

Kyle burknął. Na jedną z brwi opadło jasne pasemko włosów.

Niecierpliwie podrzucił głową, zastanawiając się, czy Hannah zgodzi się go ostrzyc. Z pewnością to ona dbała o należytą fryzurę Archera.

- I co?

- Kiedy zwróciłem im uwagę, że tej samej nocy zaledwie kilka bram od sklepu Faith został zadźgany nożem pijak, jedynie wzruszyli ramionami.

- Różne rzeczy się zdarzają? - spytał Kyle.

- Taak. Nie mogłem im powiedzieć, że była to robota zawodowego mordercy, nie ujawniając przy okazji, iż mamy dostęp do ich komputerów, a w związku z tym znamy wyniki prowadzonych przez nich dochodzeń.

- Gliniarze myślą, że był to przypadkowy cios nożem, prawda? - spytał Kyle sucho.

Oczy Archera wyglądały mniej przyjaźnie niż zimowa noc za oknami.

- Mówisz o pchnięciu, które spowodowało niemal natychmiastową śmierć, chociaż na chodnik nie popłynęła nawet łyżeczka krwi? To nie przypadek. Raczej coś, co mnie cholernie przeraża.

- Sądzę, że walkera również. W końcu to on pełni w tej chwili funkcję ochroniarza naszej niesfornej młodszej siostrzyczki. Może powinna zostać w domu zamiast lecieć jutro do Savannah?

- Czy wtedy twoje przeczucia by się poprawiły? - dociekał Archer.

Kyle zawahał się, a potem zaklął i odstawił kawę na bok.

- Wątpię. Obawiam się, że kłopoty mogą podążyć za Faith.

- Dlaczego? - spytał szorstko Archer.

- Gdybym wiedział takie rzeczy, grałbym na loterii, a nie paprał się w układach scalonych.

Po tych słowach Kyle wrócił do rozłożonej na stole pracy.

Archer przez chwilę go obserwował, jednak przez cały czas miał przed oczami zdjęcie przedstawiające zasztytowanego pijaka leżącego na stole w prosektorium. Cios noża był precyzyjny, bezkrwawy i z założenia śmiertelny.

Stanowił wizytówkę zawodowego mordercy.

Obawiam się, że kłopoty mogą podążyć za Faith.

Savannah

Po dwudziestu minutach spędzonych w wynajętym jeepie cherokee Faith w końcu wpadła w złość. Powodem tego wybuchu wcale nie było obce miasto, zaginięcie bagażu, korek uliczny ani żadna z typowych niedogodności związanych z podróżą. Z równowagi wytrącił pannę Donovan obdarzony śpiewnym głosem, o miękkich ruchach, uprzejmy i nieprawdopodobnie uparty południowiec, Owen Walker.

Była w stanie go ignorować, póki pracowała szesnaście

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
godzin na dobę i wykańczała naszyjnik Montegeau. Ale teraz zadanie zostało wykonane, a Walker wciąż kręcił się w pobliżu i bez przerwy dawał się Faith we znaki jak pokrzywy albo uporczywe sny.

Chociaż kipiała ze złości, jej głos był całkiem spokojny.

- Zaczynasz zachowywać się bardzo nierozsądnie.
- Rozkazy wydaje twój brat, nie ja. Porozmawiaj z nim.
- Archer jest w Seattle.

- Zawsze wiedziałem, że ten chłopak naprawdę ma dużo sprytu - wyznał Walker, przeciągając głoski.

Faith zmusiła się do rozluźnienia zaciśniętej szczęki. Jeśli nadal będzie zgrzytać zębami, nabawi się cholernego bólu głowy. Była to jedna z wielu pamiętnych lekcji wyniesionych ze znajomości z Tonym. Faith powoli wzięła głęboki wdech.

Potem drugi, trzeci, czwarty i piąty.

Gdyby sprzeczka z Walkerem mogła cokolwiek zmienić, Faith już dawno by na niego napadła. W rzeczywistości jednak powinna natrzeć uszu Archerowi, a on znajdował się daleko od niej. Walker wcale nie był idiotą, jedynie wykonywał idiotyczne rozkazy.

Czekając przy znaku stopu, aż ze skrzyżowania zjedzie ogromna ciężarówka, Walker zerknął z rezerwą na Faith.

Wszyscy znani mu Donovanowie, z wyjątkiem Faith, mieli taki temperament, że wystarczyłoby go dla dwóch osób. Powoli dochodził jednak do wniosku, że Faith w niczym nie ustępuje pozostałym członkom rodziny. Naprawdę potrafiła wpaść w złość. Dokładała tylko wszelkich starań, by okazywać ją rzadziej niż rodzeństwo.

Walker zastanawiał się dlaczego. Donovanowie lubili się ze sobą kłócić, a potem obejmować się i godzić. Żadne z nich nie potrafiło dąsać się ani rozdrapywać ran.

- Dlaczego - spytała Faith spokojnym i chłodnym głosem
- po przyjeździe do ślicznego, historycznego miasta takiego jak Savannah miałabym zatrzymać się w jakimś pozbanym charakteru nowoczesnym hotelu? Zwłaszcza że powiedziałam już swoim kolegom po fachu, iż można mnie będzie złapać w „Złotym Pokoju” w „Live Oak Bed and Breakfast”.

Walker doszedł do wniosku, że wołałby wybuch złości niż chłodną uprzejmość, która zamieniała w sopel lodu każde wypowiedziane przez Faith słowo. Jej srebrzystobłękitne oczy przypominały lodowiec leżący wysoko w górach Afganistanu, tak zimny, że zdołałby zamrozić człowiekowi wnętrzości, gdyby tylko za bardzo się do niego zbliżyć.

- Każdy, kto zna twoje miejsce pobytu, wie również, gdzie znajdują się rubiny - wyjaśnił. - Jest po szóstej. Słońce chyli się ku zachodowi, banki są zamknięte, a budynek, w którym będzie wystawa biżuterii, otwierają dopiero jutro.

- W „Live Oak B and B” jest sejf. Sprawdziłam to, robiąc rezerwację.

- Uhm - zgodził się obojętnie. - Widywałem owe stare jak świat sejfy z czarnymi drzwiczkami i kunsztownymi złotymi literami. Każdy sprytny facet o wrażliwych palcach, wyposażony w najprostsze przyrządy, może dostać się do tych rubinów w czasie krótszym, niż potrzebujesz na zrobienie makijażu.

- Tylko wcześniej ten sprytny facet musiałby wiedzieć, że rubiny są w sejfie - odpaliła.

Ukrył uśmiech.

- Amen. Dlatego właśnie jedziemy do...

- Innego historycznego zajazdu - urwała mu Faith. -

W Savannah jest ich pełno.

Miał ochotę zaoponować, postanowił jednak zaoszczędzić siły na walkę, która naprawdę miałaby jakieś znaczenie.

- Jasne, złotko - powiedział z południowym akcentem. -

Masz na myśli jakieś konkretne miejsce?

- Właśnie się nad tym zastanawiam, złotko.

Włączyła światółko nad głową i szybko przerzuciła kupiony w księgarni na lotnisku przewodnik po Savannah. Spodobało

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

jej się słowo „Riverfront”. Popatrzyła na znajdujący się w przewodniku plan centrum, potem na nazwę najbliższej mijanej ulicy. Wiernie odtworzone latarnie uliczne prezentowały się naprawdę okazale i stwarzały wspaniałą atmosferę, ale nie dawały zbyt dużo światła. Jeszcze ciemniej było na zarośniętych drzewami placach. Faith w końcu ustaliła, gdzie się znajdują.

- Na najbliższym skrzyżowaniu skręć w lewo - powiedziała.

- Nic z tego.

Gwałtownie uniosła głowę.

- Dlaczego?

- To ulica jednokierunkowa. Nie tędy droga.

- Och! - Zerknęła na mapę i szybko się poprawiła. -

W takim razie skręć w następną przecnicę. Jeśli wciąż będzie obowiązywał zakaz, wjedź w pierwszą, w którą będziesz mógł.

- Dokąd zmierzamy?

- Czy to zaproszenie do dysputy filozoficznej?

Uśmiechnął się niewyraźnie.

- Ludzie, którzy nie mają ukończonych studiów, nie są przyzwyczajeni do dyskusji na wysokim poziomie.

Skrzywiła się, słysząc wyraźne nosowe brzmienie jego głosu. Odkryła, że gdy Walker jest poirytowany, jego południowy akcent staje się wyraźniejszy. Oznaczało to, że swoim poczuciem humoru znowu wkurzyła jakiegoś mężczyznę.

Na szczęście Walker nie był jej facetem. Nawet jeśli czasami odczuwała z tego powodu dziwny żal, musiała sobie jakoś poradzić, i to szybko. Zdecydowanie powinna unikać każdego mężczyzny spoza klanu Donovanów, zwłaszcza jeśli potrafi on bez żadnych starań wytrącić ją z równowagi.

- Jeżeli tak cię martwi, że nie masz dyplomu, czemu jakoś temu nie zaradzisz? - spytała obojętnie.

- Wcale mnie to nie martwi.

Tak było na co dzień. Jednak przy Faith czasami ten fakt mu przeszkadzał. Będzie musiał się nad tym zastanowić.

- Spotkałem mnóstwo głupich ludzi z tytułami. Znam również osoby inteligentne, które nigdy nie ukończyły szkoły średniej. Różnie bywa. Liczy się człowiek, nie świstek papieru. - Skręcił w lewo. - Mam nadzieję, że o tę ulicę ci chodziło. Pan Oglethorpe podczas zakładania miasta musiał popijać bourbona rozcieńczonego wodą ze strumienia. Sprawdziła nazwę ulicy.

- Dobrze jedziesz. O co ci właściwie chodzi? Stare miasto ma piękny rozkład. Tyle tu wspaniałych placów. Wszędzie rosną kilkusetletnie dęby, magnolie i piękny mech. Nie należy również zapominać o kwiatkach, pomnikach i fontannach. Według przewodnika, mniej więcej za miesiąc wszędzie będą tu kwitły azalie i kamelie.

- Te place rzeczywiście są godne podziwu, jeśli przyjeżdża się tu ze względu na tego typu rzeczy - przyznał, zerkając na nią z ukosa, by ocenić, czy chwyta przynętę - ale pragnąc dotrzeć w konkretne miejsce, trzeba kręcić się w kółko jak pijak. Moim zdaniem świadczy to o cholernie nieudolnej organizacji ruchu.

- „Godne podziwu, jeśli przyjeżdża się tu ze względu na tego typu rzeczy” - powtórzyła pod nosem.

Miała zamiar powiedzieć mu coś o barbarzyńcach, którzy nie potrafią docenić wyjątkowego uroku takich rozwiązań jak historyczne, ocienione place zwalniające współczesny uliczny ruch. Kiedy jednak otworzyła usta, wyczuła, że Walker tylko na to czeka. W tym momencie przypominał jej ulubionego brata, Kyle'a, cieszącego się na myśl, że właśnie udało mu się wciągnąć którąś z siostr w jakąś idiotyczną dyskusję.

- Tak - powiedziała spokojnie. - Przypuszczalnie masz rację. Kręć się zatem w kółko jak pijak, póki nie znajdziesz drogi nad brzeg rzeki.

- Dokąd jedziemy?

- To tajemnica. Gdybym za wcześniej ci ją zdradziła,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

mógłbyś wymyślić, w jaki sposób ukraść rubiny.

- Czyżby umknęło twojej uwagi, że to właśnie ja... hm... mam je przy sobie?

Z prawdziwym rozbawieniem przypomniała sobie, gdzie obecnie znajduje się rubinowy naszyjnik - został owinięty w irchowy woreczek i wetknięty do ukrytej kieszonki w bieliźnie Walkera. Co prawda jej towarzysz nie podzwaniał nimi podczas chodzenia, ale momentami naprawdę wyglądał, jakby całe dzieciństwo i młodość spędził na końskim grzbiecie.

- Raczej nie - odparła Faith. - Dzięki temu pojęcie „rodziny klejnotów” nabiera całkiem nowego znaczenia.

Uśmiechnął się bez troski i spokojnie.

- Jasne. Masz zamiar umieścić tę informację na karcie wystawowej?

- Nie sądzę, by przyznawano nagrodę za najbardziej nietypowy sposób transportu.

- Nie ma w nim niczego nietypowego. Nauczył mnie tego stary Pakistańczyk. I wcale nie jest to najgorsze miejsce do ukrywania szmuglowanych przedmiotów. Prawdę mówiąc, przemysłowicy czasami posuwają się... hm... dużo dalej.

- Nie zrobię tego - powiedziała zdecydowanie.

- Twój naszyjnik również.

Starając się nie wybuchnąć śmiechem, wypuściła powoli powietrze z płuc i postanowiła nie rozwijać dalej tego tematu.

Ponownie Walker ją pokonał. Chociaż nie miał dyplomu, nie znała nikogo, kto tak szybko by ripostował, oczywiście z wyjątkiem jej rodzeństwa.

Właściwie nie powinna być tym tak bardzo zaskoczona.

Człowiek, który przy pokerze opróżnił Archerowi kieszenie, nie mógł być głupi.

Walker zjechał z bulwaru w gwałtownie opadającą w dół brukowaną uliczkę, która sprawiała wrażenie tak starej, jak niektóre z potężnych dębów. Jeep podskoczył radośnie, lepiej się czując na nierównej nawierzchni niż na miejskich ulicach.

- To tutaj - powiedziała Faith, pokazując na prawo.

Skierowała Walkera w wąski brukowany zaułek, który kończył się murem oporowym, podtrzymującym wietrzejące urwisko. Po drugiej stronie wąskiej uliczki stał rząd jednej dwupiętrowych kamieniczek wychodzących na rzekę Savannah.

Niegdyś były to przybrzeżne fabryczki i magazyny pełne różnorodnych dóbr i klnących dokerów. Obecnie zamieniano je na ekskluzywne pensjonaty, sklepy i restauracje.

Walker zatrzymał się obok białego cadillaca, tuż przed zakazem parkowania. Jeszcze nim zdążył zgasić silnik, Faith wysiadła i skierowała się do umieszczonych na rogu, ocienionych czarnym daszkiem szklanych drzwi „Savannah River Inn.”

- Zostanę tu i przypilnuję rzeczy - powiedział do pustego samochodu. - Taak, wyświadczę jej tę drobną przysługę.

Nie, nie ma sprawy. Jesteśmy tu po to, by jej służyć.

Przekręcił kluczyk, by wyłączyć silnik, zostawił jednak grające radio, po czym opuścił szyby. Podmuch z południowej rzeki owionął rozgrzany chodnik i przyniósł zapachy gorących silników. W Savannah panowała nietypowo ciepła jak na tę porę roku pogoda. Temperatura nie była jeszcze tak wysoka, żeby wylęgło się robactwo. Wystarczyło wszakże, by niebo zaczęła zasnuwać delikatna, świadcząca o wysokiej wilgotności powietrza mgiełka, która z czasem przekształcała się w oślepiające srebrzyste gorące opary, unoszące się każdego lata nad nizinami niczym uparty kochanek.

Po obu stronach wejścia do hotelu migotały małe białe światełka, rozwieszane wśród nagich gałęzi ozdobnych drzewek.

Nieco dalej, już nad urwiskiem, dąb rozpościerał potężne ramiona, obejmując nimi noc. Uliczne światła ukazywały budzące się do życia paprocie, które niczym orchidee przylgnęły do najgrubszych konarów. Teraz paprocie nie miały ani odrobiny uroku. Wysuszone, zwiędnięte, zszarzałe liście pozwijały się, w odrętwieniu czekając na życiodajny deszcz.

Kiedy w końcu pojawi się woda, paprocie rozprostują się i zazielenia, wstąpi w nie nowe życie.

Ale tak będzie dopiero za miesiąc lub dwa. Tego wieczoru zwisały w oczekiwaniu półżywe z powodu suszy.

W zaułek niespiesznie wjechał jakiś samochód. Walker obojętnie obserwował zbliżający się wehikuł. Potem dostrzegł poprzeczne oświetlenie umieszczone na dachu amerykańskiego sedana.

Gliniarz zignorował nieprawidłowo zaparkowanego jeepa.

Był przyzwyczajony do spóźnionych gości hotelowych, zresztą całe Savannah wykazywało sporą tolerancję w stosunku do turystów, zwłaszcza tych, którzy pojawiali się poza sezonem.

Przez okna samochodu wpadła delikatna, ciepła, wilgotna bryza. Walker znał ją tak dobrze jak kształt własnych dłoni. W powietrzu unosił się zapach miejsca, gdzie woda słodka spotyka się ze słońcem, gdzie sosny ustępują miejsca bagiennym trawom, a gorące dni przechodzą w aksamitne noce.

Gdyby nie odgłosy miasta i światła zaćmiewające gwiazdy, Walker czułby się tak, jakby nagle wrócił na Rubinowe Bagna i ostrożnie przemierzał je nocą z pustym żołądkiem i strzelbą kalibru . w ręce.

Obaj z bratem z powodzeniem łowili ryby, krewetki, ostrygi i langusty. Lot był o cztery lata młodszy od walkera. Ten ostatni zawsze odnosił większe sukcesy. Była to niewątpliwie sprawa cierpliwości. Lotowi wyraźnie jej brakowało. Dlatego zginął.

Walker przyknał oczy pod wpływem bólu, który nieco przytępił, nigdy jednak nie zniknął, chociaż od śmierci Lota upłynęło już kilka lat. Stojąc nad opuszczonym, smaganym przez wiatr grobem brata, Walker poprzysiągł sobie, że już nigdy więcej nie weźmie na siebie odpowiedzialności za życie innego człowieka.

Był wierny tej przysiędze, chociaż samotność dokuczała mu w takim samym stopniu jak susza pozwijanym paprociom.

- Pobudka, pora wstawać - powiedziała Faith.

Otworzył oczy. Kolorowe światła hotelu otaczały sylwetkę Faith złocistym blaskiem i zamieniały jej jasną czuprynę w aureolę. Oczy dziewczyny przypominały srebrną mgiełkę z błyskami porannego błękitu. Jej kwiatowo-kobięcy zapach połechtał wszystkie zmysły walkera.

Bolesnie poczuł ukryty między nogami irchowy woreczek.

- Nie śpię.

Zachrypnięty głos walkera podziałał na Faith jak ciepły, żartobliwy wietrzyk. Zdała sobie sprawę, że zbyt nisko się pochyliła, jakby miała zamiar musnąć policzkiem jego lśniąca czarna brodę, żeby sprawdzić, czy jest przynajmniej w połowie tak aksamitna, jak wygląda. Faith, zaskoczona własnymi myślami, wyprostowała się i cofnęła, wcześniej jednak zdążyła poczuć zapach mydła i pełnego energii, ciepłego mężczyzny.

- Nie mają sąsiadujących ze sobą pokoi - oznajmiła.

- Na tym polega urok pozbawionych charakteru hoteli, że... - zaczął.

- Zdecydowałam się więc na ostatni wolny apartament - przerwała mu. - Losowaliśmy, kto będzie spał na rozkładanym fotelu. Przegrałeś.

- Nie pamiętam, żebym rzucał monetę.

- Pod względem ważności pamięć zajmuje w życiu człowieka drugie miejsce.

- A co jest na pierwszym? - spytał.

- Zapomniałam. - Uśmiechnęła się, widząc jego minę, a potem wybuchnęła głośnym śmiechem. - Daj spokój. Z okna widać rzekę i wspaniałe ogromne statki, które wpływają do kanału. Wyglądają, jakby znajdowały się w zasięgu ręki.

Walkerowi przyszedł na myśl ogromne frachtowce, pływające tam i z powrotem po Elliot Bay. Każdy, kto miał oczy, mógł wyjrzeć przez okna budynków należących do Donovanów

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
i policzyć okręty z całego świata. Mimo to Faith była podniecona, jakby mieszkała na pustyni i nigdy nie widziała niczego większego od kałuży. Jej entuzjazm był zaraźliwy. Tak samo jak uśmiech.

- W mieście odbywają się jeszcze dwa inne zjazdy - ciągnęła Faith - dlatego hotel jest zatłoczony. Nie dostalibyśmy nawet i tego pokoju, gdyby w ostatniej chwili ktoś z niego nie zrezygnował.

- A tak przy okazji, powinnaś...

- Gdy tylko przydzielono mi ten pokój, od razu powiadomiłam „B and B” - zapewniła szybko.

- Zostawiłaś im swój nowy adres?

Niewiele brakowało, a byłaby tak postąpiła, nie miała jednak zamiaru się do tego przyznać.

- Stoiska na wystawie. Zadzwońłam również do domu. Walker nie przejmował się faktem, że Donovanowie wiedzą, gdzie jest Faith. Bardziej martwili go chciwi ludzie, którzy wiedzieli o wartych milion dolarów anonimowych rubinach.

- To dobrze. Nie byłbym zbyt szczęśliwy, gdybym musiał zabrać cię na nocleg w jakieś mniej historyczne miejsce przy autostradzie.

- Jak będziesz rozmawiał z Archerem...

- Skąd wiesz, że mam zamiar z nim rozmawiać? - przerwał jej szybko.

- Z doświadczenia - wypaliła. - Przypomnij mu, że to na Donovan International wystawiłam rachunek za depozyt, z którego nie skorzystałam w „Live Oak”. Obciążam DI również wszystkimi kosztami podróży do Savannah.

- Nie masz zamiaru podzielić ich na połowę?

- Skoro Archerowi tak bardzo zależało, by postawić na swoim, równie dobrze może zapłacić za tę eskapadę.

- No proszę. Mają tu sejf?

- Tak, ale górna granica ubezpieczenia wynosi dziesięć tysięcy.

Walker westchnął. Noszenie rubinowego naszyjnika tuż przy skórze wcale nie było wygodne, mimo że klejnot został starannie zapakowany. Całość wydawała się bardzo giętka i składała się w naprawdę małe pakiety. Ale miejsce, gdzie został schowany irchowy woreczek, należało w przypadku Walkera do bardzo wrażliwych. W chwilach takich jak ta - do bardziej wrażliwych, niż chciałby się przyznać. Na ustach Faith pojawił się uśmiech.

- Czyżby coś cię... hm... uwierało?

- Przeżyłem gorsze rzeczy. Dobrze, że Archer nie ubezpiecza reszty twojej biżuterii wiezionej na tę wystawę - wyznał Walker. - Gdybym musiał nosić tam większą ilość twoich wyrobów, skakałbym po ulicy jak królik.

wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi. Sztynnym krokiem ruszył w kierunku tylnej części jeepa. Chora noga wyraźnie dawała się we znaki po upchnięciu jej w lotniczym fotelu.

Faith dotarła do części bagażowej przed Walkerem. Chwyciła swoją walizkę i ręcznie wykonany aluminiowy neseserek, w którym znajdowały się pozostałe klejnoty przygotowane przez nią na wystawę współczesnej Biżuterii w Savannah.

- Nie jestem aż takim kaleką, żebym nie mógł wziąć twojego bagażu - powiedział.

- Ja też.

- To Południe. Kobiety nie dźwigają tu swoich rzeczy.

- Czyżby mężczyźni nosili tu torebki? - spytała, przesadnie udając zdziwienie.

Walker poddał się, wyjął swój worek marynarski oraz laskę i ruszył za nią krótkimi, stromymi schodami prowadzącymi na werandę, a potem do hotelu. Wyprzedził ją tuż przed drzwiami, otworzył je i puszczając ją przed sobą, uśmiechnął się szeroko. Faith udała, że tego nie widzi.

- Tędy - powiedziała.

Odnotowując w pamięci każdy szczegół dotyczący wejścia

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

do hotelu, Walker ruszył w stronę ponumerowanych drzwi na końcu krótkiego korytarza. Do dwóch innych pokoi wchodziło się prosto z hallu. Zamek ich apartamentu nie był tak stary jak budynek, ale nie należał też do najnowocześniejszych. Walker wolałby jakieś zabezpieczenie elektroniczne. Nie lepiej było również w przypadku okna. Jedno mocne kopnięcie wystarczyłoby, by wyrwać słabe zawiasy. Na Południu wszystko szybko murseje. Walker wolał nowoczesną stal.

- Jak tu pięknie - powiedziała Faith, rozglądając się dookoła.

- Róż, zieleń i krem. Ta tapeta ma niezwykle elegancką fakturę, przywodzącą na myśl jedwab. A drewniana boazeria wygląda na oryginalną.

- Nie bardzo w to wierzę. Dawne nabrzeżne fabryki nie miały żadnych ozdóbek, nawet gdy były nowe. Ta boazeria prawdopodobnie pochodzi z rozbiórki jakiegoś starego hotelu albo została zrobiona przez współczesną ekipę specjalizującą się w wykonywaniu imitacji.

Faith prawie nie słyszała przemawiającego obok niej południowego pragmatyzmu. Po raz pierwszy zetknęła się z historycznym Południem i była z tego bardzo zadowolona.

- Spójrz na sufit. Jego połączenie ze ścianami ozdobione zostało motywami roślinnymi. Jak sądzisz, czy to oryginalne?

- Mam nadzieję, że nie. W tutejszym klimacie gips gnije równie szybko jak mięso. Ale podłoga jest oryginalna.

Faith zerknęła pod nogi. Zobaczyła tylko puszysty, pokrywający całą powierzchnię dywan. Kosztowny, bardzo gustowny, ale dokładnie zasłaniający wszystko, co się pod nim znajdowało.

- Po czym to poznałeś?

- Po sposobie, w jaki deski unoszą się nad dźwigarami.

Drewno w taki sposób zapada się dopiero po stu latach.

- Ty naprawdę wolałbyś pozbawiony charakteru nowoczesny hotel.

- Jesteś w błędzie. Ale to wcale nie znaczy, że nie potrafię odróżnić równej podłogi od takiej.

Walker spojrzał na zbyt grubo wyściełany, ozdobiony dyskretnymi kwiatuskami fotel, na którym miał spędzić najbliższą noc. Liczył, że rozkładane materace będą twardsze niż te poduchy, ale szczerze w to wątpił. Bezwiednie rozmasował sztywne mięśnie uda.

- Następnym razem będziemy rzucać monetą o łóżko.

Zagryzła wargę, żeby się nie uśmiechnąć. Kiedy się jednak odwróciła, zobaczyła, jak Walker rozmasowuje chorą nogę.

Ogarnęły ją wyrzuty sumienia. Była zła na Archera, że niepodzielnie i niesprawiedliwie rządzi korporacją, ale za arbitralną decyzję brata próbowała ukarać Walkera. I kto tu mówi o niesprawiedliwości?

- Prześpię się na fotelu - powiedziała. - Po prostu nie pomyślałam. W rzuconym przez Walkera w jej stronę spojrzeniu błysnął głęboki błękit.

- O czym nie pomyślałaś?

- O twojej nodze.

- Nic mi nie dolega.

- Masujesz ją.

- Zrobisz to za mnie?

Przymrużyła oczy.

- Powinna skorzystać z tej propozycji, choćby tylko po to, żeby zobaczyć, jak się wijesz.

- Kiedy zechcesz, złotko.

- W porządku. Od razu. Kładź się! - rozkazała, wskazując na podłogę.

- Słucham?

- Kładź się. - Rozluźniła ręce i uśmiechnęła się wyczekująco.

- Właśnie ukończyłam trzymiesięczny kurs głębokiego masażu.

Uniósł ciemne brwi.

- Dlaczego?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Z tego samego powodu, z jakiego poznawałam tajniki metalurgii, sztuki celtyckiej, hodowli dawnych róz, doktryny wojennej Suną Tzu i migracji ptaków.

- Jaki to był powód?

- Ciekawość.

Walker cicho się roześmiał.

- Idę o zakład, że gdybyś dorwała się do sieci, ugrzęzłabyś na wiele godzin.

- Sieci? Masz na myśli komputery?

v

- Jasne.

- Nic z tego. Wystarczył mi komputer, z którym miałam do czynienia na studiach. Nazwałam go Antychrystem. Dopiero wtedy poczułam się nieco lepiej.

- Naprawdę wszystkie twoje projekty powstają w szkicowniku?

- spytał zaskoczony.

- Dzięki temu przynajmniej mi nie grozi, że trzy tygodnie mojej pracy znikną w eterze tylko dlatego, że Antychrystowi odbiło. - Wzruszyła ramionami. - W naszej rodzinie wszystkie umiejętności komputerowe przypadły w udziale Kyle'owi. Mój brat potrafi zmusić te cholerne maszyny do robienia wszelkich możliwych sztuczek. Jestem pewna, że to nielegalne.

Walker z własnego doświadczenia wiedział, że dzięki niektórym spośród swoich wyjątkowych umiejętności Kyle pewnego dnia może trafić do więzienia federalnego, ale ani słowem nie wspomniał o tym Faith. Czasami niewiedza jest prawdziwym błogosławieństwem.

- Kładź się - powtórzyła. - Zobaczysz, jak szybko rozluźnią ci się mięśnie.

- Będzie bolało, prawda?

- Czemu tak sądzisz?

- Ponieważ uśmiechasz się jak aligator.

- Może po prostu umieram z niecierpliwości, żeby się do ciebie dobrać.

- Taak, do tego krokodyle łyzy - mruknął.

Wyciągnął się jednak na podłodze. Nawet jeśli to nie będzie miłe, wolał, by cierpienie sprawiły mu ręce Faith niż jego własne.

- Gdzie cię boli? - spytała.

- Wszędzie.

- No cóż, na pewno mi w ten sposób pomagasz.

Uklękła obok Walkera i zaczęła przesuwac palcami po jego lewym udzie, szukając bolesnych miejsc.

- Gdzie boli najbardziej?

Walker nie przypuszczał, by Faith chciała usłyszeć o bólu w kroczu, poza tym miał cholerną pewność, że nie powinien jej o tym mówić.

- W połowie uda. Z przodu, nieco powyżej kolana.

- Kapuję.

Gwałtownie wciągnął powietrze w płuca, gdy Faith zacisnęła palce na górnej części jego uda.

- Mówiłem o kolanie.

- Gdybym zaczęła od tego miejsca, wyskoczyłbyś przez dach. Do niektórych rzeczy trzeba dochodzić stopniowo.

Walker zacisnął zęby i przygotował się na nowy rodzaj tortury.

Obudziła się śmiertelnie przerażona.

Stalowe palce zaciskały się na jej gardle, dusząc je. Czuła, że palą ją policzki, a po obszytej koronką pościeli spływa coś gorącego i śliskiego. Smuga ognia przecinała jej ramię. Nie mogła się poruszyć, nie mogła krzyknąć, leżała jedynie sztywna ze strachu, podczas gdy szorstki głos bez przerwy powtarzał: „Rubin! Gdzie rubin?! Powiedz, bo inaczej umrzesz!”

Powiedziała mu wszystko, co wiedziała.

I tak umarła, w męczarniach, patrząc w niewzruszone, błyszczące oczy swojego zabójcy.

* * *

W dniu otwarcia wystawy współczesnej Biżuterii w Savannah

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Faith i Walker obudzili się wczesnym rankiem. Faith włączyła telewizor i poszła pod prysznic, a Walker wyszedł, by zdobyć jakieś śniadanie. Wrócił, nim Faith skończyła suszyć włosy. Starając się nie upuścić kawy i pączków, otworzył drzwi, po czym jednym kopnięciem zamknął je za sobą. Telewizor i suszarka zagłuszały się nawzajem.

- Nadajemy relację na żywo przygotowaną przez Barry'ego Millera, znajdującego się na miejscu zbrodni - w „Live Oak Bed and Breakfast”, jednym z najbardziej ekskluzywnych hoteli w Savannah.

Walker szybko podszedł do odbiornika i wyciszył głos. Nie chciał, żeby coś dotarło do uszu Faith, on sam jednak był tym bardzo zainteresowany.

Z ekranu telewizora zniknął uśmiechnięty, starannie ogolony lektor czytający wiadomości, a pojawił się wyraźnie zmęczony i niezwykle poważny sprawozdawca terenowy. Za jego plecami stało kilka zaparkowanych gdzie popadło radiowozów policyjnych i samochodów brygad dochodzeniowych. Pojazdy te blokowały ulicę. W kilku miejscach widać było tak sprowadniała obecnie żółtą taśmę, odgradzającą miejsce zbrodni. Barry Miller trzymał mikrofon i patrzył prosto w kamerę.

- Nie sposób opisać słowami okrucieństwa, z jakim popełniono tę zbrodnię. Posługujący się nożem morderca najwyraźniej dostał się do środka przez okno sypialni „Złotego Pokoju”, torturował swoją ofiarę, a potem ją zabił. Zgodnie z życzeniem rodziny nie podajemy nazwiska zamordowanej. Jak na ironię, ofiara dostała ten pokój tylko dlatego, że w ostatniej chwili ktoś odwołał rezerwację.

Policja jest zaskoczona tym brutalnym przestępstwem. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Chociaż portfel ofiary zniknął, opróżniono również znajdujący się na parterze sejf, stróżę porządku nie sądzą, by motywem tego morderstwa była kradzież. Obecnie trwają poszukiwania byłego męża zamordowanej, a policja przesłuchuje jej narzeczonego. O przebiegu dochodzenia będziemy informować państwa na bieżąco. Barry Miller z miejsca zbrodni w „Live Oak Bed and Breakfast”. Oddaję ci głos, Cherry.

Na ekranie znowu pojawiło się wnętrze studia. Walker szybko przeskoczył po kanałach. Niczego więcej nie znalazł, wyłączył więc odbiornik. Chwilę później umilkła suszarka do włosów.

- Czemu zgasił telewizor? - spytała Faith, wychodząc z łazienki. - Chciałam sprawdzić, czy w lokalnych wiadomościach będą mówić coś o wystawie.

Kiedy Walker uniósł głowę, musiał ciężko przełknąć ślinę. Faith ubrała się już do pracy. Niesamowicie wysokie szpilki. Chłodna jedwabna bluzka pasująca do srebrnoniebieskich oczu, różowa jedwabna spódniczka, żakiet w ciemniejszym odcieniu błękitu, lśniące włosy w kolorze letniego słońca. Całości dopełniała wykonana przez Faith spinka, łącząca opale z piękną barokową czarną perłą. Kształt klejnotu przywodził na myśl jednocześnie i muszlę, i morze.

- Myślałem, że zechcesz usiąść nad rzeką i spokojnie zjeść śniadanie, nim otoczą cię tłumy - powiedział. - Na dworze jest naprawdę pięknie.

Zarzuciła na ramię torebkę i ruszyła w stronę drzwi.

- Na co czekasz?

Kiedy wędrowali wzdłuż brzegu rzeki, było bardzo ciepło jak na tę porę w Seattle, ale tu temperatura, w jakiej tworzyła się rosa, była tak wysoka, że Faith i Walker widzieli wydobywające się z ich ust obłoczki. Pomimo głośnych sprzeciwów Walker zdjął swoją kurtkę i rozłożył ją starannie na ławce, tłumacząc Faith, że nie może prezentować tak pięknej biżuterii, mając na sobie brudną spódniczkę.

Faith spodziewała się, że na wystawie będą ogromne tłumy, dlatego była wdzięczna Walkerowi za niekłopotliwe, milczące towarzystwo. Nie musiała się martwić o prowadzenie

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
rozmowy ani zabawianie go. Zajęty własnymi myślami,
cieszył się porankiem. W błogim spokoju zjadła pączki i popijała
cynamonowe latte, które jej przyniósł.

Kiedy słońce w końcu przebiło się przez liście zimozielonych
dębów i koronkowe girlandy hiszpańskiego mchu, jego
promienie były tak mocne, że łaskotały skórę człowieka
z Seattle. Walker nie zauważył miłego ciepła. Myślał o tym,
co usłyszał w wiadomościach telewizyjnych. Nic, co przychodziło
mu do głowy, nie skłaniało go do uśmiechu, starał
się jednak ukryć to przed Faith.

- Jak nazywał się hotel, w którym mieliśmy się zatrzymać
na tę noc? - spytał od niechcenia.

- „Live Oak”. Miałam tam zarezerwowany „Złoty Pokój”.

Podobno jest to wierna kopia sypialni południowej
piękności z lat czterdziestych ubiegłego wieku. - Faith upiła
następny łyk latte. - Czemu pytasz?

Walker ziewnął, przeciągnął się i wystawił twarz do słońca.
Jednak nie było ono w stanie rozgrzać przenikającego jego
wnętrznosci chłodu.

- Będę musiał zdać Archerowi sprawozdanie, a nie zapamiętałem
nazwy.

Tylko część tego stwierdzenia była prawdą, ale całość
brzmiała przekonująco. Owszem, złoży Archerowi krótki raport,
i z pewnością w trakcie tej rozmowy będzie musiał wymienić
nazwę „Live Oak B and B”.

- Gotowa do drogi?

- Jeszcze tylko łyczek lub dwa.

Walker zebrał swój plastikowy kubek po kawie i papierowe
serwetki, po czym włożył wszystko do torby po pączkach.

Dzięki wprawnym, zaskakująco mocnym palcom Faith
poruszała się z większą łatwością niż poprzedniego dnia. Co
prawda potem przez wiele godzin nie mógł zasnąć, ale była
to jego wina, nie jej. Nie proponowała niczego oprócz masażu
leczniczego.

Walker bez przerwy wmawiał sobie, że tak jest lepiej.
W głębi duszy nawet w to wierzył. Ale ciało wcale się z tym
nie zgadzało.

Faith wysączyła ostatnie krople latte, oblizwała wargi
i westchnęła. Jakimś cudem w mieście, w którym pija się
mrożoną herbatę i kawę przepuszczaną przez filtr, niechciany
ochroniarz znalazł świetną kawę z ekspresu, a potem
w hotelowej kuchni wyzebrał cynamon. Sam z wyraźną
przyjemnością pił tradycyjny na Południu napój - gorzką,
gotowaną kawę. Oczywiście, na czymś takim się wychował.

- Teraz jestem już gotowa - oświadczyła, zgniatając swój
kubek.

- Nie całkiem.

- O co ci chodzi?

Walker delikatnie musnął kciukiem kącik jej ust.

- O okruszyny.

Faith poczuła, jak serce zamiera jej w piersiach. Potem zaczęło
gwałtownie bić. Dotyk walkera był bardziej przypadkowy
niż uwodzicielski, a jednak pod wpływem ciepła skóry
mężczyzny zakręciło jej się w głowie. Zastanawiała się, jak
by to było, gdyby została jego kochanką. O tym samym myślała
poprzedniego wieczoru podczas rozmasowywania zaskakująco
muskularnego uda walkera.

- Hm, dziękuję. W jakim stanie jest moja szminka?

Ciemnoniebieskie oczy przesunęły się leniwie po jej
ustach. Faith poczuła to jak niespieszne muśnięcie.

- Z tej odległości wygląda całkiem nieźle - odparł po

chwili. - Ale może lepiej będzie, jeśli sama sprawdzisz.

Masz takie czerwone usta, że trudno mi powiedzieć, w którym
miejscu kończy się skóra, a zaczyna kredka do warg.

Energicznie wstała.

- Ludzie będą patrzyli na moją biżuterię, nie na mnie.

- Kobiety z pewnością. - Zebrał swoją kurtkę, strzepnął

ją i włożył. - Mężczyznom bardzo przypadnie do gustu twój

strój. Jest jasny, jedwabisty i taki miękki, że aż kusi, żeby go dotknąć. A te wysokie obcasy... - Powoli potrząsnął głową. - Złotko, to, co te wysokie obcasy robią z twoimi nogami, to istny grzech.

Zmierzyła spojrzeniem własną postać. Wybrała ten strój, ponieważ był wygodny i miał zakiet, który mógł się przydać, gdyby w sali wystawowej włączono klimatyzację, biorąc poprawkę na mężczyzn w garniturach. Buty zostały jej jeszcze z czasów, kiedy próbowała sprawić przyjemność Tony'emu. Nosила wówczas wysokie obcasy, żeby jej nogi wyglądały bardziej seksownie.

- Prawdziwym grzechem jest to, co robią z moimi podbiciami

- wyznała. - Pod koniec dnia będę jęczeć.

- W takim razie czemu je nosisz?

- Dzięki nim nie widać, że mam chude nogi.

- Chude? - Walker nie zdołałby ukryć zaskoczenia, nawet

gdyby od tego zależała główna wygrana w pokera. - Czy ostatnio badałaś sobie wzrok?

- Tak.

- Spróbuj u innego optyka. Masz rewelacyjne nogi. -

Sprawiają, że mężczyźni zaczynają pocić się dłonie. -

Niczego im nie brakuje. Obie stopy dotykają gruntu, prawda?

- Dotykały, gdy po raz ostatni na nie patrzyłam.

- No proszę. Czy można oczekiwać czegoś więcej?

Uśmiechnęła się i wyciągnęła do niego rękę, nim zdołała pomyśleć, że lepiej tego nie robić.

- Chodź. Pomożesz mi przygotować moje stoisko.

Miał zamiar twardo o to walczyć. Ucieszył się, że nie będzie

musiał. Im dłużej przebywał z nią, tym swobodniej się

zachowywała. Pod koniec dnia zaczął go traktować jak jednego ze swoich braci.

Irytowało go to w takim samym stopniu, w jakim ułatwiało

chronienie rubinów, uznał jednak, że musi sobie z tym poradzić.

Aż do powrotu do Seattle są na siebie skazani. Lepiej, że udają brata i siostrę niż kochanków.

Taaak. Naprawdę. •

Wystarczy tylko, że bez przerwy będzie to sobie powtarzał.

Tak postępował w nocy, żeby nie słyszeć, jak Faith się rozbiera, nie czuć docierającego do niego kwiatowo-kobiecego zapachu, nie liczyć coraz wolniejszych i coraz głębszych oddechów, póki nie zapadła w sen.

Naprawdę powinien pozwolić, by zamknęła drzwi do

swojej sypialni. Wtedy mógłby się choć trochę przespać.

Chociaż bardzo w to wątpił. Trudno zasnąć, gdy człowiek jest cholernie podniecony.

Walker wstał, wykonując dużo wolniejsze ruchy niż to konieczne.

Wyczuwał, że Faith w jakiś nieuświadomiony sposób

czuje się pewniej, widząc wyraźne objawy jego fizycznej

słabości. Przychodziło mu na myśl tylko jedno wyjaśnienie

tego faktu. Miał wtedy chęć odbyć krótką, brutalną rozmowę

z jej byłym narzeczonym.

Tłumiąc złość, Walker wrzucił pozostałości po śniadaniu

do stojącego nad brzegiem rzeki kosza na śmieci. Potem wziął

do ręki laskę. Wolną dłoń wyciągnął do Faith. Zamiast, tak jak

chciał, zapleść mocno palce, ścisnął je delikatnie i puścił.

- Chodź - powiedział. - Pokażmy ludziom, którzy pojawiają

się na wystawie, jak wygląda biżuteria najwyższej jakości.

Wziął aluminiowy neseserek, który zawierał dziewięć

z dziesięciu przygotowanych na ten pokaz klejnotów. Dzie-

siąte dzieło - rubinowy naszyjnik - było tam, gdzie znajdowało

się od wyjazdu z Seattle, w spodenkach Walkera, które

w tym momencie sprawiały wrażenie wyjątkowo ciasnych.

Buty Faith naprawdę powinny być napiętnowane, razem

Z jej seksownym zapachem i nieufnymi oczami upadłego

anioła.

- Czy wciąż masz sztywną nogę? - spytała Faith, dostrzegając

na twarzy Walkera cierpienie.

O mały włos byłby spytał którą.

- Rozrusza się.
 - Zajmę się nią dziś wieczorem.
 - Nie ma takiej potrzeby.
 - Nie pozbawiaj mnie tej przyjemności. Prawdziwą satysfakcję sprawia mi patrzenie, jak zgrzytasz zębami i cierpisz w milczeniu jak prawdziwy macho. Dzięki temu czuję się tak mocna, że mogłabym zmusić dorosłego mężczyznę do płaczu.
 - Wiedziałem, że jesteś sadystką.
- Mimo to się uśmiechał. Naprawdę noga mniej go bolała. Jeszcze nim Faith i Walker zdążyli wstać z ławki, z pobliskich drzew poderwały się wróble i zaczęły wydziobywać okrucy. Małe ptaszki niemal lądowały na palcach Faith.
- Są bardzo odważne, nie sądzisz? - spytała.
 - Nie mogą sobie pozwolić na nieśmiałość. Zaraz pojawiają się większe ptaki. Wtedy wróble będą mogły zapomnieć o uczcie.
 - To niesprawiedliwe.
- Zerknął na nią z ukosa.
- A kto powiedział, że walka o przetrwanie jest sprawiedliwa? Otworzyła usta, westchnęła i w końcu powiedziała:
 - Wciąż mam taką nadzieję, chociaż wiem, że to nieprawda. Kącik ust Walkera wygiął się delikatnie w górę.
 - To ci wolno, złotko. Ale oczy musisz mieć zawsze szeroko otwarte.
- Walker oparł się o elegancką różowo-złocistą ściankę ograniczającą od tyłu stoisko Faith. Sala wystawowa miała rozmiary dużego hotelowego westybulu i mniej więcej taki sam rozkład. Wszelkie interesy załatwiano na obwodzie tego pomieszczenia. Na środku stały kwieciste, miękko wyściełane sofy i fotele, a wśród nich stoły z mahoniowego lub wiśniowego drewna. Mogły to być europejskie antyki albo ich wspaniałe imitacje. Ogromne bukiety kwiatów zapowiadały nadchodzącą wiosnę i budzące się życie. W odległym kącie pomieszczenia czekały przekąski i szampan. Ułożono je w strategicznym miejscu, zmuszającym złaknionych gości do przejścia przez całą wystawę, nim dostaną bąbelki. Dyskretne trio smyczkowe grało Bacha - głównie fugi - żeby klienci nie odczuwali potrzeby podnoszenia głosów. Jednak nie można było się pomylić co do prawdziwego celu, w jakim zebrało się tu tylu ludzi. W wytwornym wnętrzu przede wszystkim robiono interesy.
- Walker stał w takim miejscu, z którego widać było każdą osobę podchodzącą do stoiska Faith. Na teren ekspozycji nie wpuszczono jeszcze publiczności, ale wszędzie snuli się sami wystawcy i stosownie ubrani ochroniarze. Jubilerzy witali się ze starymi przyjaciółmi i bacznie przyglądali się nowym konkurentom. Ludzie z ochrony kraśli w całkowitym milczeniu.
- Faith stała pochylona nad swoją gablotką wystawową i wykładała przywieszane przez siebie klejnoty. Walker uznał, że jest to widok, który zapiera w piersiach dech. Dosłownie. Długie, niezwykle długie nogi i gładkie jak jedwab uda, w połowie odsłonięte dzięki podsuwającej się do góry spódnicy. Smukłe pośladki, na tyle drobne, by mężczyzna o dużych dłoniach mógł je ścisnąć i sprawdzić sprężystość kobiecego ciała. Delikatnego. Gorącego. Ukrytego w cieniu.
- Potrzebny mi naszyjnik - powiedziała Faith.
 - Już ci go daję.
- Walker sięgnął do zamka błyskawicznego swoich jedyńskich odpowiednich na taką okazję spodni.
- Faith gwałtownie odwróciła głowę w jego stronę.
- Ani mi się waź! Nie tutaj!
- Śmiał się dopóty, dopóki jej policzki nie zrobiły się tak różowe jak wargi. Nie powinien się z nią w ten sposób drażnić, ale sprawiało mu to ogromną przyjemność. Przypominało dotykanie jej bez wyciągania ręki.
- Idź stąd - nakazała, niezbyt delikatnie go odpychając. - Sio! Za pięć minut otwierają wystawę. Potrzebny mi ten towar.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Walker nie chciał jej zostawiać, ale potem, po wejściu zwiedzających, nie będzie już tak bezpiecznie. wziął laskę, obszedł przeszkloną gablotkę i skierował się do męskiej toalety. Puszysty, wyblakły, lecz wciąż barwny perski dywan stłumił odgłosy kroków.

Wychodząc z sali wystawowej, Walker złapał jednego z ubranych po cywilnemu ochroniarzy i kiwnął głową w stronę Faith.

- Ma problemy z cholernie głupim sukinsynem, który nie przyjmuje do wiadomości słowa „nie” - wyjaśnił Walker z południowym akcentem.

Mówiąc to, uściśnął dłoń ochroniarza i wsunął mu dziesięć dolarów.

- Nie spuszczaaj z niej oka, póki nie wrócę, dobrze? To potrwa najwyżej minutkę.

Pieniądze zniknęły w kieszeni źle dopasowanego ciemnego garnituru.

- Nie ma sprawy, koleś. Cała przyjemność po mojej stronie.

Błysk w bladobłękitnych oczach mężczyzny świadczył o tym, że pomimo siwych włosów, nalanych policzków i sporego brzucha wciąż bije serce południowego dżentelmena, który aż do śmierci będzie ochraniał - i podziwiał - parę kształtnych nóg.

Walker ruszył korytarzem w stronę męskiej toalety. Nim do niej dotarł, ukrył się na chwilę we wnęce i wyjął z kieszeni kurtki jeden z telefonów komórkowych należących do Donovanów.

Aparat ten miał wbudowane urządzenie kodujące.

Po pierwszym sygnale odezwał się Archer.

- Lepiej, żeby to było coś dobrego.

- Mówi Walker. Obudziłem cię?

Archer spojrzał na Hannah. Była ciepła i śliczna. Skubała zębami jego brzuch.

- Już nie spałem. Masz kłopoty?

- Może to zwykła paranoja.

- Słucham.

Wstrzymał dech. Hannah uśmiechnęła się jak kotka. I jak kotka go lizała.

- Dziś w nocy włamano się do hotelu, w którym Faith miała zrobioną rezerwację. Pokój, który zamówiła, przewrócono do góry nogami. Rozpruto również i opróżniono znajdujący się na parterze sejf. Kobieta, która zatrzymała się w tym pokoju, została zamordowana przez faceta, który bardzo lubi bawić się nożem.

- Chryste!

Hannah uniosła głowę, zmartwiona. Archer z ogromnym trudem uśmiechnął się do niej uspokajająco, po czym musnął jej wilgotne usta. Oparła policzek na jego brzuchu i przytuliła się do sztywnego członka Archera.

- Większość normalnych włamywaczy nie potrafi rozpruć sejfów i... tak dalej - powiedział Archer ostrożnie. - A przynajmniej dużych sejfów.

- Mów dalej - powiedział Walker, zaciągając.

- Kto wiedział, gdzie ma się zatrzymać Faith?

Hannah zaczęła delikatnie przygryzać to, do czego przed chwilą się przytuliła.

Archer wstrzymał dech.

- Organizatorzy wystawy - odparł Walker. - A także członkowie rodu Montegeau, Donovanowie i każdy, kto był na tyle ciekaw, by kogoś o to spytać.

Archer burknął.

- Wcale mi nie pomagasz.

Nawet on sam nie potrafiłby powiedzieć, czy te słowa skierowane były do Hannah, czy do Walkera.

- Jasne, szefie. Jestem bezdusznym draniem, który nie pozwolił jej zameldować się w tym naprawdę historycznym hotelu. W związku z tym musiałem spędzić tę noc ukrzyżowany na rozkładanym fotelu w jednym z najładniej odrestaurowanych nadbrzeżnych magazynów Savannah, podczas gdy twoja siostrzyczka spała wśród magnolii w luksusowym łożu

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

z Przemiętło z wiatrem.

Archer powstrzymał zduszony jęk. Jego oczy ostrzegały Hannah, że każde jej drogo zapłacić za każdą, nawet najmniejszą torturę, jaką właśnie mu zadaje.

Sądząc po jej uśmiechu, nie mogła się tego doczekać.

- Dobry pomysł z tym hotelem - wydusił w końcu Archer.

- Jestem twoim dłużnikiem. Ogromnym.

- Za to mi płacisz.

- Przypomnij mi, żebym dał ci podwyżkę.

Zabrakło mu tchu. Niemal jęknął, gdy ciepłe usta żony zamknęły się na jego członku.

- Daj mi podwyżkę, szefie. I powiedz Hannah, żeby przestała się z tobą drażnić. Podnieciłem się, słuchając, jak starasz się nie dyszeć.

Archer poddał się i wybuchnął gromkim śmiechem.

- Coś jeszcze?

- Każ Kyle'owi sprawdzić, czy włamanie do hotelu i zamordowanie turystki to ostatnie akty przemocy w Savannah.

Zrobiłbym to sam, ale nie chcę spuszczać Faith z oczu.

- Hm... - Archer napiął wszystkie mięśnie, czując, że ogarnia go żar, a skóra pokrywa się potem. - Coś jeszcze?

- Masz już kompletną listę rzeczy, które zniknęły z jej sklepu?

- Po kolacji sprawdź swoją pocztę elektroniczną.

Archer gwałtownym ruchem przerzucił Hannah na plecy i wsunął się głęboko w jej gorące, chętne ciało. Uśmiechając się jak pirat, wręczył jej telefon i zaczął się poruszać.

- To Walker, kochanie. Powiedz mu „dzień dobry”.

Ochroniarz kiwnął głową, gdy Walker mijał go, wracając na stoisko Faith.

- Co tak długo trwało? - spytała niecierpliwie. - Do otwarcia drzwi została zaledwie minuta.

- Telefoniczny seks.

Zrobiła okrągłe oczy.

- Słucham?

- Telefoniczny seks jest lepszy niż żaden. - Jak jasna cholera. - Proszę.

Ciężki irchowy woreczek wylądował w jej wyciągniętej dłoni. Zaskoczona jego ciepłem, natychmiast sobie przypomniała, skąd wzięła się tak wysoka temperatura. Zarumieniła się pod wpływem zażenowania i czegoś dużo bardziej niepokojącego.

Odwrociła się i zaczęła odwijać naszyjnik. Obchodziła się z nim, jakby był za ciepły, by go dotykać, ale

bardziej paliły ją myśli niż lśniąca złoto i rubiny.

Naszyjnik Montegeau zajął środkowe miejsce w gablotce wystawowej. Faith wybrała dla niego skromne tło w postaci

jasnego jedwabiu, który uwydatniał piękne złote ogniwa i zapewniał

chłodny kontrast błyszczącemu, intensywnemu kolorowi

birmańskich rubinów. Wykonane ręcznie ogniwa, łączące

ze sobą trzynaście niesymetrycznych elementów naszyjnika,

sprawiły, że klejnot ten świetnie się układał na

każdej powierzchni. Trzy okazałe rubiny, które tworzyły wisiołek,

można było odczepić i wykorzystać jako broszkę. Kamienie

w wisioru zostały umieszczone między subtelnymi

łukami wykonanymi ze złota, dzięki czemu wyglądały jak

płonące krople rosy lśniącej w jasnych płomieniach.

Nawet bez krwistoczerwonych rubinów naszyjnik stanowiłby

ogromną atrakcję. Ilekroć Walker na niego spoglądał,

dostrzegał coś innego. Opływowe, kobiece kształty posiadały

jakąś dziwną moc, nie przestając jednak sugerować naturalności

stanowiącej kwintesencję sztuki dekoracyjnej od

stuleci udoskonalanej przez człowieka.

Nie dotykając szkła, Walker nakreślił czubkami palców

zarys naszyjnika.

- Wyglądasz, jakbyś chciał cofnąć się do czasów, kiedy

mężczyźni nosili naszyjniki - powiedziała Faith.

W ułamku sekundy na tle ciemnej brody błysnął jasny łuk

zębów.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Zginałby na mojej owłosionej klatce piersiowej. Ale patrząc na niego, czuję się tak, jakbym po spędzeniu długiej nocy na mokradłach słyszał pierwszego ptaka zapowiadającego świt.

Nie wiedziała, co mu powiedzieć. Nawet gdyby udało jej się coś wymyślić, nie zdołałaby wydusić z siebie ani słowa, tak bardzo ścisnęło ją w gardle. Walker wciąż ją zaskakiwał. Nikt nigdy nie powiedział o jej biżuterii niczego, co tak bardzo chwyciłoby ją za serce.

- Jeśli nie dostaniesz za niego głównej nagrody - ciągnął

- uznam, że nie ma sprawiedliwości.

- Sprawiedliwości? - spytała zachrypniętym głosem. -

To właśnie jest moja główna nagroda.

Roześmiał się, żałując, że nie może jej uściskać. A potem pocałował. Po chwili zapanował nad swoimi chęciami i przestał na muśnięciu czubkiem palca arystokratycznego małego noska Faith w sposób, jaki raz czy dwa podpatrzył u Archera.

- Taak. Sądzę, że to możliwe.

- Poza tym nie masz prawa przydzielać nagród, nie obejrzawszy wcześniej eksponatów konkurentów.

Spojrzał na dwadzieścia porozrzucanych stoisk wystawowych.

Ukazywały one najlepsze prace poszczególnych projektantów i bardzo różniły się między sobą. Przy każdej budce

kłębili się wielbiciele i kolekcjonerzy. Sami projektanci stanowili ogromną atrakcję. Ich stroje były tak zróżnicowane jak zaprojektowana przez nich biżuteria.

- Odnoszę wrażenie, że przydałby mi się przewodnik, tajne hasło albo specjalny uścisk dłoni, pozwalający na zbliżenie się do niektórych spośród tych ludzi - powiedział Walker sucho.

Uśmiechnęła się i pomachała mu ręką.

- Cest moi. Gdy zrobię sobie przerwę, obejdziemy całą salę. Do tego czasu, niestety, będziesz musiał... Ach, już jest. Walker zerknął jej przez ramię. Zobaczył tego samego siwowłosego ochroniarza, z którym wcześniej rozmawiał.

Wraz z drugim mężczyzną niósł miękkie krzesło z wysokim oparciem obite grubym jedwabiem w róże i jasnozłote paski. Było na tyle duże, że mężczyzna mógł się w nim wygodnie rozprześć.

- Postawcie je pod ścianą - zarządziła. - Dziękuję. Mój pomocnik jest zbyt uparty, by o to poprosić, chociaż ma sztywną nogę.

- Cała przyjemność po naszej stronie, psze pani.

Sądząc po uśmiechu ochroniarza, nie miał on nic przeciwko temu, by przyjrzeć się z bliska twarzy osoby mającej takie nogi. Był jednak bardzo ostrożny, dlatego uśmiechnął się również do Walkera.

- Jeśli będziecie potrzebowali czegoś jeszcze, po prostu krzyknijcie.

- Ale nie dosłownie - wyjaśnił Walker, kiedy Faith zrobiła nieco zdziwioną minę na myśl o tym, że w tym eleganckim pomieszczeniu miałyby krzykiem zwracać na siebie uwagę ochroniarza.

- Ludzie po uniwersytecie nazywają to przenośnią.

Przyjrzała mu się ukradkiem.

- Wypchaj się.

- To również przenośnia. Przynajmniej tak właśnie podchodzi do tego ten facet.

- Wolę uznać to za kuszącą możliwość.

Faith oderwała wzrok od roześmianych, ciemnoniebieskich oczu Walkera i starała się sama nie wybuchnąć śmiechem.

Przez pomieszczenie przebiegł szmer przyciszonych rozmów.

Ochroniarze otworzyli drzwi. Z ogromnym pośpiechem i zapaltem weszli do środka pierwsi kolekcjonerzy, handlarze i turyści. Chociaż ich stroje różniły się tak jak kreacje poszczególnych wystawców, miały jedną wspólną cechę - były kosztowne.

- Siedz cicho i zachowuj się, jak na grzecznego chłopca z Południa przystało - napomniała go Faith. - Pora na show.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Walker posłusznie usiadł i poprawił się, żeby bez problemu móc sięgnąć pod marynarkę. Ponieważ był niegrzecznym chłopcem z Południa, miał również do dyspozycji nóż i prostoduszne niebieskie oczy, które zapamiętywały twarz każdego, kto przeszedł obok gablotki Faith.

Mógł się założyć, że jedna z osób oglądających wszystkie te wyszukane klejnoty, to morderca i włamywacz z „Live Oak B and B”.

Po czterech godzinach pełnienia swoich obowiązków Walker zaczął myśleć o typowych dla nizin przyjemnościach, takich jak zimne piwo i kanapka z wieprzowiną. Pączki nie były zbyt pożywne. Wątpił jednak, by na wystawie podawano coś tak zwyczajnego jak piwo czy mięso z grilla. Na bufetowym stole widział jedynie melony i kanapki z sałata.

Faith wymieniała właśnie opinie na temat stopów złota. Jej rozmówcą był znajomy projektant - długowłose, opalony kalifornijski palant w czerwonej jedwabnej koszuli i niezbyt eleganckich spodniach. Kiedy facet w końcu się oddalił, Walker zaczął mieć nadzieję, że nadeszła pora na lunch.

Nim zdążył wspomnieć Faith, że burczy mu brzuchu, do gablotki podeszła jakaś kobieta. Jej twarz pokrywała gruba warstwa makijażu, który miał ukryć głębokie blizny po trądziku. Nadgarstek klientki zdobił rolex tak duży, że bardziej pasowałby na męską rękę. Była ubrana po europejsku.

Dopełnienie jej stroju stanowiła szmaragdowa spinka z końca dwudziestego wieku - prostokątny kamień w prostokątnej oprawie z platyny ze sterczącymi we wszystkie strony niesymetrycznymi kolcami wysadzonymi brylancikami. Uwagę Walkera przykuł jednak fakt, że kobieta jest dziwnie podminowana. Mówiła z akcentem rosyjskim lub węgierskim.

Na wszelki wypadek Walker przysunął się bliżej Faith.
- Ten trójboczny szmaragd - powiedziała kobieta. - Jak pani osadziła kamień?

- Bardzo, bardzo ostrożnie. Szmaragdy łatwo się kruszą, jeśli nie zachowa się należytej uwagi.

Faith nie wspomniała, że wiecznie wędrujący po świecie bracia bliźniacy, Justin i Lawe, zagrozili, iż urwą jej głowę, jeśli podczas osadzania uszkodzi ten wspaniały kamień.

- Trójkąt to niezwykle kształt wśród szmaragdów, zwłaszcza mających ponad cztery karaty. Zwróciłam uwagę na ten konkretny kamień, ponieważ dawał wyjątkowe możliwości. A tak przy okazji, pani szmaragd jest również bardzo ładny. Kolumbijski?

- Ach, oczywiście. - Kobieta potraktowała swoją biżuterię lekceważącym machnięciem wymanicurowanej ręki. Jasnoczerwonym paznokciem zastukała w szybką gablotkę. -

Ta broszka, którą pani tu ma, ten trójkątny kamień, jest trwały, tak?

- Tak samo trwałe, jak wszystkie szmaragdy. Ta oprawa ma ponad rok.

Kobieta bacznie przyglądała się pozornie prostemu srebrnemu kształtowi. Kilka łuków, dwie odwrócone litery „V” i zielony błysk szmaragdu przypominającego oko.

- To kot, tak?

- Owszem.

- Sądzę, że dobrze się żywi.

Faith uśmiechnęła się.

- Bardzo dobrze.

Kobieta z napięciem przyjrzała się broszce.

- Jest na sprzedaż, tak?

- Tak.

Cena wynosiła czterdzieści siedem tysięcy dolarów, ale Faith nie miała zamiaru jej podać, póki kobieta nie spyta. Klientka tak energicznie kiwnęła głową, aż podskoczyły jej czerwone włosy.

- Pomyślę. - Jej czerwone paznokcie ponownie zastukały o szklaną gablotkę. - Ten naszyjnik. Rubiny jak krew. Są

z Birmy?

- Tak.

- Ile?

- Przykro mi. Nie jest na sprzedaż.

Kobieta zlekceważyła te słowa.

- Wszystko jest na sprzedaż. To cena się zmienia.

- Nie jestem właścicielką tego naszyjnika. Jednak w tym „pochmurnym garniturze” obok... - Faith gestem ręki wskazała na bransoletkę, pierścionek i kolczyki wykonane z porowatej platyny - ...są bardzo dobre rubiny i...

- Tak, tak - przerwała kobieta niecierpliwie. - Naszyjnik.

Kto go posiada?

Faith miała wrażenie, że od sztucznego uśmiechu zaczynają ją boleć kąciki ust.

- Z przyjemnością skontaktuję panią z właścicielem, chociaż nie sądzę, by chciał sprzedać ten naszyjnik. To prezent ślubny dla jego przyszłej synowej.

- Nazwisko? - spytała kobieta.

Prawdę mówiąc, było to bardziej żądanie.

Faith wmawiała sobie, że klientka prawdopodobnie nie miała zamiaru być niegrzeczna. Po prostu w różnych kulturach bardzo różnie załatwia się interesy. Podeszła

do swojej torebki, wyjęła z niej wizytówkę i podała ją klientce.

- Montegeau Jewelry - przeczytała kobieta na głos. - Założone w tysiąc osiemset dziesiątym roku. Ten sklep. Gdzie to?

- Musi pani zapytać o to kogoś innego. Jestem z Seattle.

Kobieta po raz ostatni obrzuciła gablotkę badawczym spojrzeniem zadowolonej z siebie kotki, po czym ruszyła w stronę następnego stoiska. Tylko na nie zerknęła, a potem poszła dalej.

- Niegrzeczna, ale mimo wojennych barw ma dobry gust - przyznał Walker.

- Czemu tak uważasz?

- Minęła tego kłowna z następnego stoiska.

- Ten., hm... kłown to jeden z najbardziej szanowanych projektantów w Ameryce.

- W jakich czasach?

Spojrzała w bezdenne niebieskie oczy walkera. Przyszedł jej na myśl dobrze nakarmiony kot.

- W okresie późnego Jacksona Pollocka*.

Walker wybuchnął gromkim śmiechem. W jego stronę pobiegło kilka rozbawionych spojrzeń.

- Wybuch w fabryce farb, co?

- Czy ktoś ci kiedyś powiedział, że jesteś inteligentnym i czytany facetem?

- Nie. Wszyscy jakoś zapominają o tej części poprzedzającej „faceta”.

- To zdumiewające - wyznała, robiąc okrągłe oczy. -

A ty nawet nie kiwnąłeś palcem, żeby sprawić wrażenie prostego chłopca z prowincji, prawda?

- Nie, pszę pani. Wprowadzanie w błąd dobrych ludzi to grzech. Na szczęście Bóg nie stworzył zbyt wielu dobrych ludzi, dlatego nie muszę się trapić, że mógłbym w ten sposób kogoś oszukać.

Parsknęła śmiechem.

- Świetnie ci to wychodzi. Palce lizać.

Na szczęście Walker nie musiał odpowiadać, ponieważ do gablotki podeszła młoda kobieta w szerokiej, sięgającej kostek spódnicy i różowej jedwabnej bluzce z długimi rękawami.

Jej skóra przypominała kwiat magnolii, a włosy miały kolor promieni słonecznych. Z przypiętego do kołnierzyka identyfikatora można się było dowiedzieć, że jest to Meg.

- Pani Donovan?

- Tak.

* Jackson Pollock (-) - amerykański malarz abstrakcjonista (przyp. tłum).

- Pani asystent prosił dziś rano, żeby ktoś zaopiekował się pani stoiskiem, gdy pójdziecie na lunch. Mam teraz trochę

wolnego czasu, o ile to pani odpowiada.

- Mój asystent?

- To ja - powiedział spokojnie Walker. - Spakuj naszyjnik. Dojrzeliliśmy do tego, żeby poszukać jakiegoś naprawdę dobrego jedzenia.

- Ale rubiny Montegeau są główną atrakcją mojego stoiska - zaproponowała Faith.

- Resztę twojej biżuterii obejmuje polisa wystawiona przez firmę ubezpieczeniową. Za naszyjnik odpowiadam ja. Pójdzie tam, gdzie my, a my idziemy zjeść coś bardziej kalorycznego niż owoce albo kanapki z zieloną sałata.

Mamrocząc coś pod nosem, Faith wyjęła naszyjnik ze szklanej gablotki, owinęła go starannie cienką irchą i wsunęła w równie delikatny irchowy woreczek. Wręczyła pakiecik Walkerowi. Wziął jej torebkę, włożył do niej woreczek i zamknął zamek.

Przynajmniej tak to wyglądało dla każdego postronnego obserwatora. Tylko Faith stała dość blisko i była na tyle spostrzegawcza, by zauważyć, że jej towarzysz błyskawicznym ruchem przeczucił woreczek z jednej ręki do drugiej, a potem wsunął go do swojej kieszeni, zamiast do jej torebki.

- Czy w taki właśnie sposób pokonałeś Archera w pokera?

- szepnęła.

- Byłem zbyt mądry, żeby go oszukiwać - odparł Walker.

- A odkąd mnie zatrudnił, nie muszę się martwić o stratę kilku dolców.

Walker wręczył Faith torebkę, po czym delikatnie, ale bardzo zdecydowanie chwycił ją za łokieć. Potem sięgnął po swoją laskę, przy okazji urządzając przedstawienie, by pokazać, jak bardzo jej potrzebuje.

- Dziękuję pani - powiedział, kiwając głową młodej kobiecie.

- Będziemy za jakąś godzinę.

- Proszę się nie spieszyć.

Okazywała niekłamana serdeczność. Nie kryła też ostrożnego, kobiecego podziwu, jaki wzbudził w niej Walker i jego diabelski uśmiešek.

- Teraz właściwie nic tu się nie będzie działo, przynajmniej do trzeciej - wyznała. - Potem zwiedzający zaczną się martwić, że ktoś może sprzątnąć im sprzed nosa jakiś nadzwyczajny klejnot.

- Do tego czasu na pewno wrócimy - zapewniła Faith.

Kiedy wychodzili, Walker zerknął na siwowłosego ochroniarza.

Mężczyzna natychmiast podszedł.

- Tak, koleś?

- Gdzie znajdę najbliższy grill z prawdziwego zdarzenia?

- spytał Walker.

Mężczyzna lekko przymrugnął oczy.

- To właśnie w tym celu przemierzyłeś pan taki kawał świata, co, koleś? W centrum Savannah nie ma już takich dobrych lokali jak dawniej. Ale jeśli szukasz pan świeżych krewetek, nad rzeką jest knajpka, która ma mnóstwo zwolenników.

- Jadasz tam?

- Nie, koleś. Wolę „Cap'n Jack's Fish Shack”, kawałek w tamtą stronę, przy rzece. Ci faceci mają nawet własną łódź do połowu krewetek.

Na tę myśl Walkerowi napłynęła ślinka do ust. Naprawdę świeże krewetki mogły dorównać nizinemu grillowi.

- Jak tam dotrzeć?

Ochroniarz spojrział z powątpiewaniem na Faith.

- To nie jest... hm... elegancka restauracja.

- Osobiście zawiążę jej śliniaczek.

Kiedy ochroniarz powiedział, jak tam dojechać, Walker wziął pod ramię Faith. Zaczęli torować sobie drogę przez zatłoczone pomieszczenie. Walker dyskretnie obserwował ludzi za swoimi plecami.

Wkrótce zauważył, że mają ogon. Idący za nimi mężczyzna zbyt agresywnie przepychał się przez tłum. Ani odrobiny

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
subtelności, tylko mięśnie. Zachowywał się bardziej jak specjalista od łamania kości niż działający dyskretnie włamywacz. Walker zmarszczył czoło. Biorąc pod uwagę wszelkie, nawet najbardziej niemiłe scenariusze, zostawił Faith w recepcji i kazał jej upozorować, że wkłada rubiny do sejfów w biurze organizatorów wystawy. W czasie kiedy ona odgrywała prawdziwą farsę, Walker wszedł na chwilę do męskiej toalety i z powrotem włożył naszyjnik do najbezpieczniejszego schowka.

Faith zaczęła udawać, że przekłada wyimaginowany woreczek z torebki do sejfów. Korzystając z odosobnienia, jaką zapewniała budka strażników, Faith przeszukała swoją torebkę, po czym wrzuciła do pudełka aspirynę, szminkę i pióro kulkowe. Obserwując, jak pudełko znika za grubymi stalowymi drzwiami, starała się zapomnieć, co Walker robi z ru- •

binarni.
Z drugiej jednak strony te rozmyślania pozwoliły Faith zapomnieć o obolałych stopach.

Kiedy Walker wrócił, z typowo południową uprzejmością usadowił ją w wypożyczonym jeepie. Faith zrzuciła buty, żeby móc swobodniej poruszać obolałymi nogami. Walker zerknął na piękny kształt masowanej przez nią stopy, potem jednak na siłę skierował wzrok w inną stronę. Pończochy, w których kobieta sprawia wrażenie bardziej nagiej, niż gdyby naprawdę nic na sobie nie miała, powinny zostać zakazane, tak samo jak perfumy pachnące gardeniami i nocą żarliwej miłości. Starając się spoglądać w inną stronę, byle nie na swoją pasażerkę, Walker wyjechał z parkingu. Po kilku minutach masowania stóp Faith westchnęła i oparła głowę o zagłówek. Wiedziała, że powinna podziwiać majestatyczne, ozdobione mchem place i pięknie odrestaurowane rezydencje, które migają po obu stronach ulicy, ale brakowało jej energii. Cztery godziny sprzedawania siebie i swojej biżuterii zmęczyły ją bardziej niż cztery tygodnie prawdziwej harówki.

Niektórzy projektanci uwielbiają ostatni fragment swojej pracy - sprzedaż. Faith bardzo chciałaby do nich należeć. Walker dzielił uwagę między jadące przed nimi samochody i lusterka wsteczne. Savannah nie było wielkim miastem z dużym ruchem ulicznym, zwłaszcza poza sezonem. W tej części kraju na ulicach przeważały białe cadillaki, ale Walker bez trudu wypatrzył tego, który na każdym placu skręcał tam, gdzie oni.

- Zgubiliśmy się? - spytała Faith, nie unosząc głowy z zagłówka.

- Jeszcze nie - odrzekł. - Czemu pytasz?

- Bo ten róg mijamy już po raz trzeci.

- A ja myślałem, że przymknęłaś na chwilę te swoje oczy upadłego anioła.

- Upadłego anioła?

- Zamglone, niebieskie i na tyle głębokie, że są w stanie skusić biednego prowincjonalnego chłopca do grzechu.

- Czy to znaczy, że powinnam trzymać się bogatych chłopców z miasta?

Wybuchnął chrapliwym śmiechem. Słyszając to, Faith miała ochotę pochylić się w bok i przytulić twarz do jego szyi, a potem ugryźć go tak mocno, by w końcu potraktował ją jak kobietę. Ta myśl zaskoczyła ją i zaintrygowała. Tony zawsze się skarżył, że jego dziewczyna jest za mało seksowna. Nigdy mu nie odpowiadała - jego zdaniem była zbyt wolna i za zimna. Im bardziej starała się sprostać jego wymaganiom, tym gorzej spisywała się w łóżku. A Tony wpadał w coraz większą złość.

Nie wracaj do przeszłości - powiedziała sobie automatycznie.

- Tony był tak samo winien jak ty. Do miłości trzeba dwojga.

Czasami w to wierzyła, zresztą ostatnio zdarzało jej się to coraz częściej. Natomiast kiedy jej się nie udawało - zazwyczaj

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
w środku samotnie spędzanych nocy, ilekroć przypominała sobie
rozczarowanie i złość Tony'ego - po prostu zabierała się do
pracy. Wówczas odzyskiwała pewność siebie. Może czegoś
brakowało jej jako kobiecie, ale potrafiła stworzyć piękno ponadczasowe,
przekształcając swoje marzenia w klejnoty.

A kiedy przychodziła jej ochota, by potrzymać na rękach
niemowlę albo poczuć ciężar rosnącego dziecka, miała siostrzenicę,
bratanka i bratanicę. Oni przynajmniej nie tracili
cierpliwości, gdy chciała się przytulić, połasić lub po prostu
nacieszyć cudem, jakim było życie innej istoty ludzkiej, jej
śmiej lub wyczuwalne bicie serca.

- A teraz masz na ustach anielski uśmiech - zauważył
Walker.

- Bo myślałam o Summer, Robbiem i Heather.

- Summer to wcielone diablę. Jake i Honor powinni
szybko postarać się o następne, bo inaczej okropnie rozpuszczą
tę dziewczynkę.

Faith zerknęła na niego z rozbawieniem.

- I pomyśleć, że te słowa mówi mężczyzna, który przy
każdej nadarzającej się okazji przynosi Summer pluszowego
zwierzaka. Co, zdaniem Honor, od twojego powrotu zdarza
się niemal każdego dnia.

- Hej, w końcu to przywilej każdego przyszywanego
wujka.

- Pod warunkiem że wcześniej zdoła pokonać pozostałych

wujaszków. - Uśmiechnęła się jeszcze promienniej. -

Nigdy nie przypuszczałam, że doczekam dnia, kiedy Justin
i Lawę będą walczyć ze sobą o to, który ma wziąć na ręce
niemowlę.

- Dobrze, że Archer wysłał ich do Afryki, bo inaczej nikt
z was nie miałby dostępu do bliźniaków Kyle'a.

Faith roześmiała się.

- Na szczęście Lianne była tak przewidująca, że urodziła
chłopca i dziewczynkę. Zastanawiam się, jak bym się czuła,
mając brata bliźniaka.

- Niemal tak samo, jak mężczyzna mający siostrę bliźniaczkę.

- Ciekawe.

- To jedyna odpowiedź. Przypuszczam, że Robbie zostanie
artystą, a Heather będzie kierować Donovan International
i wszystkim innym, co wpadnie jej w ręce.

- Wcześniej będzie musiała pokonać Summer.

- Nie. Summer to wieczny włóczęga. Jeszcze przed
ukończeniem studiów zaczniesz z plecakiem przemierzać odległe
pasma górskie.

- Czy dużo czasu poświęcasz na wpatrywanie się
w kryształową kulę? - spytała Faith z zaciekawieniem.

- Za mało, inaczej byłbym bogaty jak twoi bracia.

A Lot wciąż by żył.

Walker bardzo starał się o tym pamiętać, ilekroć robiło mu
się ciasno w kroku, ponieważ właśnie słuchał Faith, patrzył
na nią lub z nią rozmawiał. Należała do Donovanów. Tymczasem
on był zaufanym pracownikiem Archera, człowiekiem,
który nad grobem Lota poprzysiągł sobie, że nigdy nie
zwiąże się z nikim, kto mógłby zginąć, pokładając w nim
zbyt wielkie zaufanie. Koniec, kropka.

Tak przynajmniej było, póki Archer nie zlecił Walkerowi
pilnowania rubinów Faith. Strzegąc rubinów, musiał chronić
również i ją.

Na samą tę myśl Walker poczuł, że po kręgosłupie spływa
mu zimny pot. Ostatnia osoba, za którą odpowiadał i którą
miał osłaniać, leżała w najbardziej samotnym grobie, jaki
Walker kiedykolwiek widział.

- Tego, co w życiu najważniejsze, nie da się kupić za pieniądze

- oznajmiła Faith.

- Ta świadomość na pewno bardzo pomaga biednym.

Bezbarwny głos Walkera powiedział Faith, iż jest to dla
niego drażliwy temat. Spojrzała na plac, który mignął za szybą.
Ten sam konfederacki generał. Ten sam koń. Te same gołębie

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

pokrywające obu białą warstwą odchodów.

- Żeby odczynić uroki, trzeba to zrobić cztery razy, tak? - spytała.

- Nie rozumiem.

- Pytanie brzmiało: czy zgubiłeś faceta, który nas śledzi?

Rzucił w jej stronę szybkie spojrzenie.

- Dlaczego sądzisz, że ktoś. za nami jedzie?

- Czyżbyś normalnie jeździł w kółko?

- Prawdę mówiąc, w kwadrat.

- Jak mówi Jake „kręcisz kwadraty”. - Zwróciła się twarzą do Walkera. Była tak samo opanowana jak on. - To znaczy, że próbujesz przepłoszyć tego, który siedzi ci na plecach, i starasz się sam usiąść mu na ogonie.

- Mądry facet z tego Jake'a.

- Sprytny facet z tego Walkera.

- Taak. Jedzie za nami jakiś błazen w białym cadillacu.

Ma telefon komórkowy.

- Przez całą drogę od pawilonu wystawowego?

Walker przytaknął.

- Cholera - mruknęła. - Dlaczego?

- Nie mam pojęcia.

Obawiał się jednak, że wie, dlaczego ten człowiek za nimi jedzie. Ktoś nie uwierzył, że rubiny zostały w sejfie na wystawie. Cholera. Nie należało opuszczać sali wystawowej. Jego zamiłowanie do dobrej kuchni naraziło Faith na niebezpieczeństwo. Teraz sam będzie musiał nosić jej cholerne torebkę.

- Zgaduj - powiedziała przez zaciśnięte gardło.

- Może szuka dobrej knajpy ze świeżymi krewetkami.

- Może mam figurę miss lutego.

- Będę musiał uwierzyć ci na słowo, złotko. Dziewczyny z okładek nie są w moim typie.

Chciała mu wierzyć, wiedziała jednak, że to jedynie świadczy o jej potwornej głupocie. Każdy mężczyzna marzy o dziewczętach z kolorowych magazynów, nawet jeśli ich ciała pokryte są bliznami po skalpeli chirurga.

- Co za przekonujące kłamstwo! wszystko przez te oczy w kolorze lapis-lazuuli. Nie, powodem jest raczej miódopłynny południowy akcent.

Oczy w kolorze lapis-lazuuli zamieniły się w szparki.

- Będziemy żyć w lepszej komitywie, jeśli zarzucając mi kłamstwo, nie przestaniesz się uśmiechać.

- Niewinne kłamstewka się nie liczą.

- To nie ma nic wspólnego z całą sprawą. Wiem, co lubię.

Ty nie.

- Słusznie - wymamrotała. - Zupełnie jakbyś nie był mężczyzną. Czy on wciąż za nami jedzie?

- Taak. Niech to wszyscy diabli. Właśnie przejechałem obok.

- Czego?

- „Cap'n Jack's Fish Shack”.

- To zawróć na najbliższym placu.

Zamiast tego Walker wykonał niedozwolony zwrot o sto osiemdziesiąt stopni i zajechał na parking przed barem. Zajął jedyne wolne miejsce w najbliższej okolicy. Biały cadillac nie miał gdzie się ukryć. Jechał więc dalej dwukierunkową ulicą, dzięki czemu Walker dobrze przyjrzał się kierowcy. Mniej więcej dwudziestopięcioletni czarnowłosa mężczyzna miał na nosie okulary przeciwsłoneczne, był bardzo poważny i jedną ręką mocno ścisnął kierownicę. W drugiej trzymał telefon komórkowy. Sądząc po wyrazie jego twarzy, nie podobało mu się to, co właśnie słyszał.

Pech polegał na tym, że śledzący ich człowiek mimo upalnego dnia miał na sobie czarną skórzaną kurtkę. Albo był stojakiem do wietrzenia ubrań, albo ukrywał w ten sposób broń.

Walker cicho zaklął.

- Nedorajda - powiedział.

- Nie rozumiem.

- Profesjonalista zmieniliby wygląd. Włożyłby inne okulary

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
czy kapelusz, zmienić kurtkę albo ją zdjąć. Prawdziwy
zawodowiec miałby partnera, który by nas przejął, gdy tylko
zaczęłam „kręcić kwadraty”.
W milczeniu zastanawiała się nad tym, co powiedział
Walker. I czego nie powiedział.
- Nie dziwota, że Archer ci ufa. Musiałeś prowadzić interesujące
życie. Takie jak on, nim zrezygnował.
- Nigdy nie byłem profesjonalistą, jak twój brat czy
szwagier, Jake. Jestem po prostu ostrożnym chłopcem z prowincji.
Dzięki temu jeszcze żyję.
A Lot nie.

Świadomość straty, złość i poczucie winy niezmiennie
czaiły się tuż pod powierzchnią i kasały zawsze tak samo
ostrymi zębami.

Z miną równie ponurą jak jego myśli, Walker chwycił laskę
i wysiadł z samochodu. Faith otworzyła drzwi i stanęła
na chodniku, nim zdążył obejść kwadratową maskę jeepa. Jej
elegancka, niewielka czarna torebka zwisała na pasku aż do
biodra.

- Ja to wezmę. - Zsunął torebkę z jej ramienia.

- Chyba żartujesz.

Wetknął torebkę do kieszeni kurtki. Nie wyglądało to najlepiej.

- A uśmiecham się?

Spojrząwszy mu w oczy, Faith zrezygnowała z ostrych
słów, które miała na końcu języka.

- Twoim zdaniem ten człowiek wie, że zabraliśmy ze sobą
rubiny, prawda? I że prawdopodobnie są w mojej torebce?
Walker tylko coś burknął.

- Moi bracia nauczyli mnie, jak się bronić - zapewniła go
spokojnie.

- Będziesz mogła z tego skorzystać, złotko. Mnie płacą
za pilnowanie rubinów.

Faith weszła do „Cap'n Jack's”. Ze wszystkich stron otoczyła
ją woń ryby i gorącego oleju, ale były to miłe świeże zapachy.
Gruczoły ślinowe przypomniały jej, że pączek i cynamonowe
latte to zbyt lekkie śniadanie dla kobiety, która potem
musiała przez cztery godziny stać i w kółko udzielać odpowiedzi
na te same pytania. Na dodatek z uśmiechem na
ustach. Od tego uśmiechu aż rozboleły ją mięśnie twarzy.
Nic dziwnego, że miała ochotę komuś dołożyć. Na przykład
Owenowi Walkerowi.

Walker kątem oka obserwował reakcję Faith na widok
podłej jadłodajni, której wystrój w najlepszym przypadku
można by określić jako skromny. Zniszczona podłoga z linoleum.
Wyblakłe reklamy piwa na obskurnych ścianach. Pięt-
naście popękanych stolików ze źle dobranymi krzesłami,
różnej wielkości podstawki na papierowe serwetki, butelki
z keczupem i sosem tatarskim.

W niewielkim pomieszczeniu tłoczyli się stolarze, malarze,
hydraulicy i robotnicy, których ręce były piegowate od
słońca i nosiły ślady używanych przez nich narzędzi. Mężczyźni
i kobiety wykonujący jakąś pracę fizyczną opychali
się smażonymi na głębokim tłuszczu potrawami, przed którymi
z pewnością ostrzegał każdy lekarz. Twarze klientów
mówiły jednak, że podobnie jak wiele innych grzesznych
rzeczy, również i ta jest boska.

Jedynymi wypolerowanymi elementami były plastikowe
krzesła wytarte przez klientów. To wcale nie oznaczało, że
w „Cap'n Jack's” było brudno. Z pewnością nie. Po prostu
wszystko, co znajdowało się w tym lokalu, wyglądało, jakby
zostało kupione na wyprzedazy. Nie było kierowniczkę sali,
która sadzałaby gości, ani kelnerów przyjmujących zamówienia.
Ludzie stali w kolejce przed ladą, na której mieściła
się tylko kasa rejestrująca. W „Cap'n Jack's” przyjmowano
tylko gotówkę.

Pomimo rubinowego naszyjnika w spodenkach i damskiej
torebki w kieszeni kurtki Walker poczuł się jak u siebie w domu.
Nim ukończył czwartą klasę, do takich właśnie knajp

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
sprzedawał złowione przez siebie ryby.
W swoim eleganckim ubraniu Faith wyglądała jak księżniczka
na zawodach, na których stare samochody wjeżdżają
na siebie nawzajem, póki na torze nie zostanie ostatni. Walker
nie dostrzegł jednak żadnego znaku mogącego świadczyć
o tym, że jej to przeszkadza. Bacznie wpatrywała się w wypisane
kredą na tablicy menu, jakby szukała na niej odpowiedzi
na temat sensu życia.

- Trzeba przyznać, że ten ochroniarz miał rację, mówiąc
o niewyszukanym wnętrzu - zauważył Walker. - Sądząc na
podstawie sposobu, w jaki ludzie pochłaniają jedzenie, wygląda
na to, że nie mylił się również co do reszty.

Faith była zajęta wyborem między garstką potraw, dlatego
tylko bezwiednie kiwnęła głową. Świeże krewetki, smażone
lub gotowane na parze. Dwa gatunki świeżych ryb. Ostrygi,
surowe lub smażone. Przegrzebki. Jęknęła, nie mogąc się
zdecydować.

- Wezmę po jednej porcji wszystkiego i dwie krewetki.
Roześmiał się, zadowolony, że Faith nie narzeka na obskurny
wystrój lokalu i odrażających, prymitywnych klientów.

- Jeśli tak bardzo lubisz krewetki, to ja zamówię ryby
i smażone ostrygi, żebyśmy mogli się podzielić.

- W takim razie niech będą krewetki.

- Gotowane na parze czy smażone?

- Gotowane na parze. Osiemdziesiąt deko.

Uniósł brwi.

- Nie patrz tak na mnie - powiedziała. - Wiem wszystko
na temat „dzielenia się” ze starszymi braćmi. To tak, jakby
dzielić się kotлетem jagnięcym z głodnym wilkiem.

Nim Walker zdołał odpowiedzieć, dostrzegła trzech mężczyzn
kierujących się do wyjścia. Podbiegła do opuszczonego
stolika, uprzejmie odcinając drogę dwóm stolarzom w poplamionych
kombinezonach. Chwyliła garść serwetek, starła
rozlany sos i opróżniła przepełnioną popielniczkę, wyrzucając
jej zawartość do kosza na śmieci. Zachowywała się,
jakby robiła to każdego dnia. Potem spojrzała wyczekująco
na Walkera.

Z uśmiechem poszedł złożyć zamówienie. Kiedy wrócił,
trzymał w ręce dzbanek z zimną herbatą i dwie plastikowe
przezroczyste szklanki, których zmatowiałe brzegi mogły
świadczyć tylko o jednym - długim, intensywnym użyciu.
Stuknął dzbankiem o stół.

- Co to? - zainteresowała się.

- Słodka herbata, domowe wino Południa.

Napełnił szklankę i podał ją Faith. Upiła łyk i odchrząknęła.

- Trzeba się do tego przyzwyczaić - wyjaśnił. - Tak jak
do piwa.

- Wolałabym piwo.

Walker również. Mimo to miał zamiar pić herbatę. Tylko
idiota wybiera alkohol, gdy jakiś opryszek z Południa czeka
na zewnątrz w samochodzie, pocąc się w niezwykłym o tej
porze roku upale i wypatrując Faith.

Ale to wcale nie oznacza, że ona również musi cierpieć.

- Przyniosę ci piwo - mruknął Walker.

Wstał, żeby złożyć zamówienie, zatrzymał się jednak, kiedy
poczuł na nadgarstku zdumiewająco mocny uścisk palców
Faith.

- Nie, dziękuję - powiedziała. - Zasnąłabym, nim zdążylibyśmy
wrócić. Poprzestanę na... hm... domowym winie.

- Wypiła drugi łyk. - Powinni mieć tu jakąś cytrynę.

- Wątpię, ale zapytam. W tych okolicach ludzie do ryby
używają sosu tatarskiego, nie cytryny.

- Zaczekaj. - Wypiła trzeci, potem czwarty łyk. Chłodna,
czysta, mocna i bardzo słodka herbata była wyjątkowo orzeźwiająca.

- Niech będzie taka, jaką piją miejscowi.

Wkrótce zachrypnięty człowiek przy barze wywołał ich
numer. Faith i Walker jednocześnie ruszyli po jedzenie. On
wziął plastikowe pojemniczki z frytkami, surówkę z białej

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

kapusty i innych warzyw z dodatkiem majonezu, ryby, ostrygi, a także garść plastikowych sztuczków. Faith trzymała w ręce talerz ze sporym stosikiem krewetek w skorupkach i kartonik z sosem. Kiedy wszystko stało już na stole, Walker podsunął Faith krzesło. W tym czasie zdejmowała już żakiet i podwijając rękawy jedwabnej bluzki.

- Na razie niczego nie ruszaj - ostrzegł ją. - O czymś zapomniałem. Kiedy tylko odwrócił się do niej plecami, rzuciła się na krewetki, zaczęła je obierać, maczać w sosie i jeść. Po pierwszym kęsie z jej ust wydobyły się odgłosy przypominające mruczenie połączone z nuceniem. Soczyste, słodkie i idealnie ugotowane krewetki były czystą poezją.

- Mówiłem, żebyś zaczekała - zwrócił jej uwagę Walker po powrocie.

Nie unosząc głowy, odburknęła coś. Jej pomruk z grubsza można było przetłumaczyć jako: „Czy ja wyglądam na głupią?” Walker z uśmiechem na ustach strzepnął czysty fartuszek, który pożyczzył w kuchni.

- Wstań i włóż to, złotko. Nie mamy czasu, żeby wracać do hotelu i przebierać się.

- Uhm.

Przełknęła, oblizała palce, a potem bezskutecznie próbowała wytrzeć je do sucha w papierową serwetkę. Energicznie wstała, odwróciła się plecami do Walkera i wyciągnęła na bok ręce.

- Włóż mi go.

Po chwili wahania przerzucił jej paski za szyję i zawiązał je. Starał się nie zwracać uwagi na ciepło jej skóry ani drażniącą jego zmysły egzotyczną mieszaninę zapachów gardenii i sosu. Kiedy próbował zawiązać fartuch wokół talii Faith, okazało się, że troki znajdują się na poziomie jej bioder. Chociaż dwukrotnie ją nimi obwiązał, wystarczyło mu jeszcze na dużą podwójną kokardę.

Przez cały czas powtarzał sobie w myślach, że wcale nie czuje, jak to miło mieć ją w ramionach. Nawet starał się w to uwierzyć. Bardzo się starał. Potem usiadł na krześle i przez chwilę się poprawiał, dochodząc do wniosku, że w pewnych - ale tylko w pewnych - momentach testosteron potrafi być prawdziwym wrzodem na dupie, w dosłownym znaczeniu tych słów. Do takich chwil należało zaliczyć zasiadanie do posiłku z rubinowym naszyjnikiem w spodenkach.

A jeśli Faith nadal będzie oblizywać palce i wydawać te seksowne kocie odgłosy, gotów zrobić coś głupiego. Na przykład chwycić ją w objęcia i zacząć lizać.

Żeby o tym nie myśleć, nabrał na widelec kilka ostryg, włożył je do ust, a potem zamarł w bezruchu. Ogarnęły go wspomnienia z dzieciństwa. Ponure, wywołujące dreszcz odgłosy bagna i odbijająca się echem cisza następująca po błędnie wykonanym głośnym kroku. Wygrzebywanie ostryg ze słonych moczarów, intensywne zapachy mułu, słonej wody i małżów, głębokie rany po ostrych skorupkach. Słońce przypominające milion płonących sztyletów. Rozlewiska przesiąknięte żarem, ciszą i czasem. Bagna ożywiane jasnym błyskiem wzbijającej się w niebo czapli. Lśnienie ciemnych wód marszczących się w ślad za płynącym aligatorem.

Radość po znalezieniu sieci podskakujących od ryb i koszy najeżonych krabami. Głód. Zimne strugi wody na opalonej skórze. Ciepły muł prześlizgujący się między palcami gołych nóg. Wschód słońca przypominający milczący wybuch. Zaskoczenie towarzyszące odkryciu, że zaledwie kilku spośród jego szkolnych kolegów wie, jak smakuje opus lub aligator. Przy każdym wspomnieniu, każdym zapachu w pamięci Walkera odżywał zmarły brat. Podarte spodnie i lekkomyślny uśmiech na ustach. Lot zawsze był pierwszy, jeśli trzeba było podjąć jakieś wyzwanie, i ostatni do wycofania się z przegranej gry. Czarne włosy, złociste oczy, przystojny jak grzech, ale życie bez niego było dwa razy trudniejsze. Wiedział wszystko o kobietach, jeszcze nim zaczął się golić.

Był na tyle głupi, by uwierzyć, że jego starszy brat potrafi chodzić po wodzie.

Daj spokój, Walker. Na pewno nam się uda. Do diabła, przecież ty wszystko potrafisz. To ty uratowałeś nam życie w Kolumbii. Czymże w porównaniu z tamtym jest kilku Afgańczyków? Pomyśl, jaka to będzie wspaniała przygoda! Jego przewidywania się sprawdzały. Przynajmniej przez jakiś czas. Potem Lot wpakował się w o jedną pułapkę za dużo, wierząc, iż brat znowu go wyciągnie.

Tym razem zginął.

Faith obserwowała, jak Walker walczy z ostrygami, jakby to byli wrogowie, których koniecznie trzeba pokonać. Jeśli chciała spróbować chociaż jedną z nich, musiała się pospieszyć.

- W ten sposób nie przechylisz szali na swoją stronę.

Walker kwaśno się uśmiechnął.

- Niestety, taki już ze mnie zimny drań, złotko.

Wydała nie licujący damie odgłos.

- Nie wierzę.

- To uwierz.

Po ciemnym kolorze jego oczu poznała, że przestał żartować i wcale nie miał zamiaru dzielić się lunchem. Na przekór jego postawie - a może właśnie dlatego - uśmiechnęła się promiennie i zaczęła nakładać sobie na talerz jego jedzenie.

- W takim razie muszę walczyć o swoje prawa, tak?

Przez długą, pełną napięcia chwilę bacznie jej się przyglądał.

Dostrzegł wyraźną obawę i jednocześnie propozycję wspólnego śmiechu. Niechętnie się uśmiechnął.

- No właśnie.

Rozcinając delikatny, pachnący filec z okonia morskiego, zastanawiała się, jakie to bliźny ukrywają się za południowym akcentem i spokojnym uśmiechem Walkera. Potem powiedziała sobie, że to nie jej sprawa. Wcale nie musi brać go w ramiona i trzymać w objęciach, póki z jego oczu nie zniknie dojmujący ból.

Niemniej bardzo chciała to zrobić.

Walker rozmyślnie wpatrywał się w swoje jedzenie. Nie chciał myśleć o potwornych błędach przeszłości, które doprowadziły do przedwczesnej, tragicznej śmierci jego brata.

Ani o błędach, których musi unikać w przyszłości. A już z pewnością nie chciał patrzeć na kobietę, której typowy na nizinach lunch sprawiał taką rozkosz, iż całe ciało Walkera wiło się z głodu, którego nie było w stanie zaspokoić żadne jedzenie.

Przekroczył wszelkie dozwolone granice. Nie miał prawa zastanawiać się, jaką radość sprawiłoby mu wyłuskanie jej z ubrania jak krewetki, a potem lizanie, kosztowanie, ssanie i połykanie. Nie chciał wyobrazić sobie śliskich od potu ciał, przewracających się z boku na bok niczym przydrożny aligator, który połknął więcej, niż mógł strawić. Do diabła, aligator byłby niczym w porównaniu z kobietą taką jak Faith Donovan. Wyczuwając, że pod jej opanowaniem i elegancją ukrywa się żywiołowa zmysłowość, podniecił się aż do bólu. Z cichym przekleństwem wrócił do grzebania widelcem w rybie i frytkach. I jedno, i drugie było tak samo gorące, chrupkie i świeże. Sos tatarski i ostry sos do krewetek zostały przyrządzone domowym sposobem i były palce lizać, co też zrobił, gdy wykonał błędny ruch. Sałatkę z białej kapusty i innych warzyw zrobiono z myślą o ludziach wykonujących ciężką pracę fizyczną - zawierała dużo majonezu, ale warzywa dodawały jej lekkości.

Walker skoncentrował się na rybach. Jedząc, zauważył, że chociaż na początku Faith kiepsko radziła sobie z łusaniem krewetek, w końcu znalazła na to sposób. Na brzegu jej plastikowego talerza powoli rosła nierówna kupka półprzezroczystych kawałków muszli. Co jakiś czas Faith zanurzała krewetkę w delikatesy, ostrym sosie. Częściej jednak po prostu jadła owe delikatesy w swój nieporządny, niemniej coraz szybszy sposób, wychwytyjąc językiem każdy kawałek,

który mógłby jej umknąć.

Obserwowanie jej doprowadzało walkera do szaleństwa.

- To, nad czym teraz tak ciężko pracujesz, to twój palec, nie krewetka - mruknął.

- Dlatego go oblizuję, a nie gryzę.

Walker wyjął kilka papierowych serwetek ze zniszczonego metalowego uchwytu stojącego na środku równie zniszczonego stołu.

- Spróbuj tym.

- Dlaczego? Przecież nikt nie widzi.

- A ja to co?

- Ty się nie liczysz - wypaliła z beztroską młodszą siostrą.

- Ty też nie wycierasz palców, tylko je oblizujesz.

- Ale jestem mężczyzną.

Uniosła brązowe brwi.

- Kiedy ostatni raz sprawdzałam, nie dostrzegłam, by kobiety i mężczyźni różnili się w jakiś sposób, jeśli chodzi o języki i palce. Każdy ma jeden język i dziesięć palców. Niezależnie od płci.

Walker przegrywał tę potyczkę słowną i dobrze o tym wiedział. Jakiś fragment jego jestestwa miał ochotę wybuchnąć śmiechem. Inny chciał zakląć. Ale nad wszystkim górowało pragnienie, by chwycić Faith i pokazać jej, co mężczyzna potrafi zrobić jednym językiem i dziesięcioma palcami. Ostrożnie wytarł ręce w serwetki, których nie przyjęła Faith.

Ona tymczasem wróciła do swojej powoli malejącej kupki krewetek.

- Dojrzałaś do tego, żeby podzielić się ze mną tymi krewetkami?

- spytał, kończąc rybę.

- Jasne. Tak samo jak świnia do podzielenia się z drugą.

Tym razem wybuchnął śmiechem. Potem sięgnął przez stół i zgarnął na swój talerz sporo krewetek. Minęło wiele lat od czasów, kiedy zarabiał na życie, łuskając krewetki, ale szybko przypomniał sobie tę umiejętność. Wkrótce wyrównał tempo z Faith, a potem ją przegonił.

Zaczęła łuskać i jeść szybciej, coraz szybciej.

Uśmiechnął się jak pirat i zrobił to samo.

Wkrótce rozmowy przy najbliższych stolikach umilkły i zapanowała cisza. Klienci lokalu obserwowali damę w jedwabnej spódnicy i w zbyt obszernym kuchennym fartuchu oraz wyglądającego na twardego faceta w czarnej kurtce. Oboje na wyścigi pałaszowali osiemdziesiąt dekagramów krewetek.

- Stawiam piątkę na tę blondynkę z klasą - powiedział młody człowiek.

- Przyjmuję - podjął wyzwanie starszy mężczyzna, który z nim jadł. - Wyjmuj portfel.

- Dlaczego? Jeszcze nie skończyli.

Jego kompan zapalił papierosa, porządnie się zaciągnął i z uśmiechem wypuścił spory obłok dymu.

- W dzieciństwie łuskałem krewetki. Wystarczy spojrzeć na tego faceta, by dojść do wniosku, że on też to robił.

- Ale ona miała fory.

- Przydadzą się jej.

Na innych stolikach pojawiły się następne banknoty.

Młodszy klienci stawiali na blondynkę. Szpakowaci pragmatycy opowiadali się po stronie walkera.

Dookoła fruwały muszle krewetek.

- Musisz je jeść, a nie tylko łuskać - wybełkotał walker, wpychając do ust następną krewetkę.

- Kto tak mówi?

- Bóg.

- Udowodnij to - przekomarzała się Faith.

- Udowodnij, że to nie jego słowa.

- To niemożliwe, bo Bóg jest kobietą.

Walker wybuchnął gromkim śmiechem. Przy okazji niemal zakrztusił się krewetką.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Jeśli uda ci się tego dowieść, złotko, wygrasz wszystko. Jednak nawet śmiejąc się i krztusząc, nie przestawał oddzielać mięsa od skorupki, tak szybko pracując palcami, że poszczególne ruchy zlewały się w jedną całość. Pomimo ogromnego tempa, krewetki wyłaniały się w całości i były czyste, nie brakowało im żadnych kawałków i do słodkiego mięsa nic nie przywierało. Walker łuskał i jadł krewetki dwa, a potem kilka razy szybciej niż jego konkurentka. Faith znalazła się w opałach, gdy krewetka prysnęła jej z palców, wpadła do herbaty walkera i zawisła w niej niczym różowy obłoczek nad błotnistym bagnem. Faith parsknęła, potem próbowała się powstrzymać, w końcu jednak poddała się i zaniósła śmiechem. W związku z tym miała poważne trudności z utrzymaniem następnej śliskiej krewetki, nie wspominając już o wydobyciu jej w całości z muszli.

Walker zrzucił pozostałą część na swój talerz.

- To nie fair - powiedziała ze śmiechem.

- W miłości, wojnie i łuskaniu krewetek każdy chwyt jest dozwolony - powiedział z południowym akcentem. - Poza tym nie uporałaś się jeszcze z tą, która właśnie robi fikołki między twoimi palcami, że nie wspomnę o biedaczce, która padła na twarz do mojej słodkiej herbaty. Jak dasz sobie z nimi radę, podzielę się z tobą tym, co mi zostanie. Lekceważąc słowa walkera, Faith zgarnęła część jego krewetek i wróciła do pracy, łuskając i jedząc, łuskając i jedząc, od czasu do czasu robiąc wypadki po sos. Między jej brwiami pojawiła się świadcząca o skupieniu zmarszczka. Faith nie potrafiła tak jak walker jednym ruchem zdjąć muszelek z tych śliskich bestii.

Kiedy zaswędziało ją policzek, potarła go wierzchem palców, nie chcąc wypaść z rytmu w rozrywaniu muszelek i jedzeniu krewetek. Na policzku, tuż pod kością policzkową zostawiła odrobinę sosu. Nawet tego nie zauważyła.

Głośny wybuch śmiechu walkera zdekoncentrował ją.

Uniosła głowę. Wówczas zdała sobie sprawę, że on już skończył. Nawet młodsza siostra musiała przyznać, że jego stos muszli wygląda na większy niż jej.

Nie miała jednak zamiaru dawać za wygraną.

- Ja zjadłam więcej - powiedziała zadowolona z siebie.

- Mylisz się, złotko.

- W porządku. Policzmy je. Wygrywa ten, kto będzie miał więcej kawałków.

Przez knajpę przetoczyła się fala śmiechu. Walker też się do niej przyłączył. Wszyscy widzieli, że Faith łamała muszle, zamiast zdejmować je w jednym kawałku tak jak on.

- Wykładajcie pieniądze na stół, chłopcy! - zawołał walker do mężczyzn przy sąsiednim stoliku. - Wygląda na to, że wygraliśmy oboje, i ta dama, i ja.

Dumna ze zwycięstwa, wstała, wytarła ręce w fartuszek i ukloniła się. Rozległy się wiwaty, pohukiwania i brawa.

Kiedy odwróciła się w stronę walkera, stał tuż za nią. W jego oczach widać było rozbawienie i dziwne napięcie. Od razu wiedziała, że nie jest to urażone męskie ego. W przeciwieństwie do Tony'ego, walker potrafił śmiać się z samego siebie i naprawdę lubił żarty.

Odpowiedziała uśmiechem. Potem zabrakło jej tchu, kiedy uniosł rękę do jej policzka. Pieszczotliwie musnął kciukiem miejsce tuż pod kością policzkową. Potem wsadził palec do ust i oblizał go z sosu.

- To naprawdę smaczny róż - wyznał, zaciągając.

- Taak?

Nie zwracając uwagi na przyspieszone bicie serca, zanurzyła palce w sosie i prysnęła parą kropli na jego policzek, tuż nad brodą.

- Na twojej twarzy nie wygląda za dobrze. - Przysunęła się, z komiczną starannością wylizała sos i powiedziała: - Mniam. Ostry. Masz jeszcze jakąś krewetkę, do której by się

nadawał?

- Jesteś gotowa wpakować się w niezłe tarapaty, złotko.

- Już się boję - oznajmiła beztrąsko. Zanurzyła serwetkę w swojej wodzie i wytarła mu policzek do czysta. - No proszę, skarbie. Teraz już wszystko w porządku. - Niemal idealnie naśladowała południowy akcent.

Z uśmiechem na ustach i zawadiacko przewieszonym przez ramię zakietem wyszła z lokalu.

- Zaczekaj! - zawołał Walker. - Nie...

Faith krzyknęła.

Był to przeraźliwy krzyk, który wwiercał się w ciało i powodował ból kości.

Mężczyzna w czarnej skórzanej kurtce jedną ręką trzymał

Faith za włosy, a drugą machał nożem przed jej oczami.

- Daj mi tę pieprzoną torebkę!

Kiedy otworzyły się drzwi lokalu i pojawił się w nich mężczyzna z laską, napastnik zlekceważył go, uznając, iż kaleka nie stanowi żadnego zagrożenia.

- Torebka, suko!

Gdy tylko opryszek z powrotem odwrócił się do Faith, Walker zahaczył laską nóż bandyty i wyrwał mu z ręki niebezpieczne narzędzie. Niemalże w tym samym momencie

Faith wysokim obcasem rozorała łydkę przestępcy, po czym wyrwała się z jego uchwytu. Miała zamiar wrócić, by zdzielić go kolanem, ale szybsza okazała się laska, która dźgnęła napastnika w krocze.

Opadł na kolana. Walker chwycił laskę niczym kij baseballowy

i potraktował głowę mężczyzny jak piłeczkę. Drewniana

laska była zbyt lekka, by zgrachotać bandycie czaszkę,

mimo to całkiem niezłe zadzwoniło mu w uszach. Skóra na

skroniach nie wytrzymała uderzenia. Krew popłynęła na rękaw

drogiej skórzanej kurtki. Przestępca rozciągnął się na

chodniku jak człowiek mający zamiar uciąć sobie drzemkę.

- Nic ci się nie stało, Faith? - spytał Walker, nie odrywając wzroku od napastnika.

- Nie.

Nie wspomniała o rozdartym zakiecie. Wciąż była zaszokowana

tym, jakie szkody potrafi wyrządzić kilka machnięć

laską.

Drzwi lokalu gwałtownie się otworzyły. Pojawiło się

w nich trzech krzepkich mężczyzn. Zauważywszy, że sytuacja

została opanowana, zrobili miny świadczące raczej o rozczarowaniu

niż uldze. Jednym z nich był posiwiasty, opalony

stolarz o palcach przypominających stalowe kable. To on jako

pierwszy postawił na Walkera w konkursie jedzenia krewetek.

Stolarz spojrział na postawnego mężczyznę wijącego

się na brudnym chodniku i uśmiechnął się.

Poklepał Walkera po ramieniu.

- Dobra robota, synu - powiedział, wrzucając papierosa

do rynsztoka.

Podniósł nóż napastnika i poskładał go z wprawą, która

z pewnością mogła o czymś świadczyć.

- W tej części miasta zdarza się, że taki śmieć potyka się

na własnym nożu i kończy wypatroszony jak ryba.

Walker zignorował nóż i zakamuflowaną ofertę. Nie ufał

sobie co do jednego i drugiego. Był wściekły, że naraził Faith

na niebezpieczeństwo.

- Czy kucharz dzwoni już po gliniarzy? - spytał Walker

stolarza.

- Taak.

- Znacie tego łobuza?

Trzej mężczyźni spojrzeli po sobie, do niczego jednak nie

doszli.

- To przyjezdny - orzekł stolarz, zapalając następnego

papierosa. - Ubiera się jak jakiś jankeski elegant.

Walker zaklął pod nosem. Miał nadzieję, że się myli.

- Faith? - spytał.

Baczniej przyjrzała się mężczyźnie.

- Wydaje mi się, że był na wystawie.

Tyle Walker wiedział.

Wyjścia w oddali syrena zasygnalizowała Walkerowi, że gliniarze są już w drodze. Przyklęknął obok napastnika i z kieszeni jego spodni wyłowił portfel. Prawo jazdy wydane w New Jersey na nazwisko Angelo Angel. Mogło być fałszywe, ale Walker w to wątpił. Tylko matka mogła wymyślić takie imię.

Szturchnął napastnika łaską. Dźgnięcie było na tyle mocne, że mężczyzna skupił uwagę na dręczycielu.

- Jak na ciebie wołają? - spytał Walker. - Myślę, że nie Angel.

Złodziej coś wymamrotał, ale jego słowa stłumił chodnik.

Walker dźgnął go w zębra.

- Nie słyszałem.

- Buddy. Mówią na mnie Buddy.

- Buddy - kumpel. Może jesteś kumplem, ale nie moim -

zauważył Walker, przeciągając głoski. - Kto cię przysłał?

- Odpieprz się. Chcę rozmawiać ze swoim adwokatem.

Nim Walker zdążył bardziej natarczywie powtórzyć swoje pytanie, do krawężnika podjechały samochody policyjne.

Drzwi się otworzyły, z radiowozów wyskoczyli mundurowi i sprawę przejęli w swoje ręce najprzystojniejsi chłopcy w Savannah.

Walker wsparł się na lasce i przyjął postawę dobrego obywatela.

\$

Kiedy wrócili na wystawę, Faith miała ochotę krzyczeć.

Częściowo jej złość wywołała adrenalina, ale nie bez znaczenia pozostawał również powolny, przeciągły sposób mówienia południowców i jeszcze wolniejszy urzędnicy.

- Mam nadzieję, że nasz mały kwiatuszek z Południa nie opuścił okrętu - wyznała Faith. - Muszę coś sprzedać, by pokryć wydatki związane z tą podróżą.

- Wydaje mi się, że wystarczy jakaś spinka lub dwie. Powinno jeszcze trochę zostać.

Walker zaciągał bardziej niż zwykle. U niego adrenalina zwalniała reakcje, zamiast je przyspieszać, jak się to dzieje u wszystkich.

- Większość użytych przeze mnie drogich kamieni należy do członków mojej rodziny albo innych jubilerów - wyjaśniła z oburzeniem Faith. - Nie zarabiam na swojej biżuterii

tak dużo, jak sądzisz.

- Przecież nie musisz wcale zarabiać.

- Dlatego że mój tatuś jest bogaty?

- Nie zapominaj o mamusi - uzupełnił Walker z lekką drwiną, podając Faith ramię. Biorąc pod uwagę, z jaką swobodą położyła dłoń w zagięciu jego łokcia, należało uznać, że zaczynała się przyzwyczajać do jego ciągłej obecności. - Za jeden obraz Susy trzeba zapłacić kwotę przekraczającą dług narodowy jednego z krajów Trzeciego Świata.

- To pieniądze moich rodziców. Dorobili się ich, zaczynając

od zera. Póki nie poszłam do szkoły średniej, na Boże

Narodzenie obdarowywali się bielizną i dresami. - Na

twarży Walkera dostrzegła zaskoczenie. - Mówię prawdę.

Donovanowie nie zawsze byli bogaci. Moim zdaniem dzieci

wciąż są na dorobku. Może z wyjątkiem Archera. Jego połowa

Perłowej Zatoki musiała być sporo warta, nie wspominając

już o części Hannah. Jake ma własny interes, a oprócz tego

jest pełnoprawnym udziałowcem Donovan Gems and Minerals.

- Ty też należysz do tej spółki. Tak samo jak Honor.

Wzruszyła ramionami.

- W pewnym sensie tak. Ale bez wynagrodzenia. Moją

część zysków pobieram w rzadkich kamieniach. Kiedyś Honor

też tak robiła, teraz jednak znaczną część udziałów odkłada

na budowę domu na wyspach San Juan. Nie chce wychowywać

dzieci w mieście. Kiedy nie pracuje nad własnymi

projektami, płacę jej za wykonanie moich, zwłaszcza w przypadku

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

bursztynu. Moja siostra doskonale radzi sobie z tym materiałem. Mogłaby też sporo zarobić, malując portrety.

- Czemu tego nie robi?

- Wciąż pozostaje w cieniu Susy. Matka nad nikim nie próbuje dominować, niemniej... - Faith wzruszyła ramionami.

- Sądzę, że Honor nie zdaje sobie sprawy z tego, jaka jest dobra i ile udało jej się osiągnąć. Bez przerwy porównuje się do matki.

- Widocznie to cecha rodzinna - powiedział bez ogródek.

- O co ci chodzi?

- Ty masz własną firmę i niezwykley dar projektowania biżuterii, która przyniosła ci sławę w całym kraju, mimo to jesteś zaskoczona, ilekroć ktoś chwali twoje umiejętności. Faith odsunęła na bok myśli o Tonym. O Tonym, który chciał, żeby zrezygnowała ze swojego „głupiego hobby”, zaszła w ciążę i poświęciła życie na wychowywanie jego dzieci, podczas gdy on podróżowałby po całym świecie jako „doradca do spraw środków masowego przekazu” pięciuset przedstawicielstw Fortuny. O Tonym, który uznał, że Faith nie jest na tyle seksowna, by warto było dochować jej wierności, nawet gdy byli zaręczeni.

Czasami wciąż robiło jej się niedobrze na myśl o tym, jak niewiele wówczas brakowało, by dla namiastki małżeństwa zrezygnowała ze wszystkiego, co było dla niej ważne.

- Jesteś dobra - ciągnął Walker spokojnie. - Bardzo, bardzo

dobra. Przed twoją gablotką panuje większy ruch niż u tego napuszonego idioty z sąsiedniego stoiska. Twoja biżuteria cieszy się większym zainteresowaniem niż jego.

- Przypomnę sobie o tym, gdy następnym razem będę się zastanawiać, skąd wziąć pieniądze na zapłacenie wszystkich rachunków, zakup następnego pieca do wypalania, naprawę przeciekającego kranu w sklepie, nie rezygnując jednocześnie z noszenia drogich ciuchów, które jakby zapewniają potencjalnych klientów, iż wcale nie potrzebuję ich pieniędzy.

Dlaczego tak jest, że jeśli wyglądasz na osobę, która w ogóle nie potrzebuje pieniędzy, ludzie niemal biją się o to, by ci je dać?

Uśmiechnął się niewyraźnie i otworzył drzwi prowadzące do sali wystawowej.

- Pierwsza zasada bankowości brzmi: nie pożyczaj pieniędzy ludziom, którzy naprawdę ich potrzebują. Bieda rodzi dalszą biedę.

Znalazłszy się za drzwiami, Walker kiwnął głową do ochroniarza, który wysłał ich na lunch do „Cap'n Jack's”.

- Dziękuję za radę. Od wielu lat nie jadłem tak dobrych krewetek.

- Nie masz za co dziękować, koleś. Przy okazji ominęło was niezłe zamieszanie.

Walker dopiero teraz zauważył grupki ludzi porozrzucane po całym pomieszczeniu. W ich głosach czuło się napięcie, którego wcześniej nie zauważył.

- Co się stało?

- Jakiś pieprzony artysta od siedmiu boleści - przepraszam, psze pani - okradł sejf wystawy, wymachując naładowanym rewolwerem. Posklejał taśmą biedną dziewczynę, zostawił ją na podłodze i uciekł, nim ktokolwiek zdążył się zorientować, co się dzieje.

Walker gwizdnął między zębami.

- Ile udało mu się ukraść?

Ochroniarz uśmiechnął się, ukazując poplamione nikotyną zęby.

- Tylko jakieś świecidełka. Naprawdę dobre rzeczy były na sali, w gablotkach. Gdyby ten cholerny głupiec miał więcej oleju w głowie, zczekałby i wkradł się w nocy.

Faith zerknęła z ukosa na walkera i ochroniarza.

- Chyba bajeczne miasto Savannah przeżywa ciężki okres - powiedziała. - Właśnie zostałam napadnięta, gdy wychodziłam z „Cap'n Jack's”.

Pod wpływem szoku oczy ochroniarza zrobiły się okrągłe.

- Nic się pani nie stało?

- Mam rozdarty żakiet, ale oprócz tego jestem cała i zdrowa.

- Ta dama w swoich wysokich obcasach jest śmiertelnie niebezpieczna - wyjaśnił Walker. - Rozcięła napastnikowi skórę, jakby oprawiała rybę.

Ochroniarz potrząsnął głową.

- Proszę mi wierzyć, psze pani, Savannah nie jest takie. Och, oczywiście, nie brak u nas mętów społecznych, stawiamy sobie jednak za punkt honoru, by trzymać ich z daleka od przyzwoitych ludzi.

- Z pewnością ma pan rację - powiedziała uprzejmie. - Wracam na stoisko, Walker. Wspominałeś coś o ubikacji, prawda?

Zrozumiał tę mało subtelną aluzję. Chciała włożyć do gablotki rubinowy naszyjnik.

- Zaraz wracam.

Światła błyskały i migotały wśród nagich gałęzi drzew rosnących obok hotelu, rzucając przez szybę chybocliwie cienie.

Od strony otwartego okna apartamentu dobiegł odgłos wyjącego statku. Podobnie jak zapach rzeki i pomruk ruchu ulicznego syrena ostrzegawcza brzmiała cicho i nierealnie, bardziej sennie niż nagłaco.

Walker jednak wcale nie był senny. Ze zmarszczonym czołem wpatrywał się w ekran laptopa. Właśnie przeglądał listę kamieni, które zostały ukradzione podczas włamania w Seattle. O zaginięciu najbardziej cennych klejnotów wiedzieli już przed wyjazdem, ale ostateczny rozrachunek z pewnością nie wywoła na twarzy Faith uśmiechu.

- Powiedz mi, czy jest tak źle, jak myślę? - spytała z napięciem.

Krażyła na bosaka po miękkim dywanie. Do szafu doprowadzała ją myśl, że musi zajmować się naszyjnikiem, podczas gdy członkowie rodziny porządkują jej sklep pod czujnym okiem przedstawiciela firmy ubezpieczeniowej, zajmującego się wyceną roszczeń z tytułu szkody.

- Zniosę wszystko oprócz niewiedzy.

- Trochę na tym straciłaś. Dziesięć lub dwanaście luźnych kamieni. Na tyle drobnych, że nie wywołają zamieszania, gdy trafią do pasera. Gotowe klejnoty znaleziono w koszu na tyłach sklepu. Widocznie złodziej uznał, że są zbyt charakterystyczne, by je zastawić.

- Nie znalazły się grawerowane szmaragdy i trzy barokowe perły z Perłowej Zatoki? - dociekała Faith.

- Nie. Ale Kyle rozpowszechnił już informacje na ich temat. W każdym lombardzie będą widoczne jak światła neonowe.

Ciężko westchnęła.

- W porządku. Mogę się pogodzić ze stratą kilku świecidełek.

Kamienie, nawet grawerowane i jedyne w swoim rodzaju, w taki lub inny sposób można zastąpić. Po prostu bałam się...

Głos jej się załamał. Nie wiedziała, jak wyjaśnić bolesne poczucie straty i złość, która ją ogarniała na myśl, że jej piękne wyroby zostały skradzione przez złodzieja nie rozumiejącego, iż prawdziwa wartość tej biżuterii jest wynikiem połączenia kamienia z projektem i ma niewiele wspólnego z wartością samego kamienia.

Owszem, zawsze można ponownie zrealizować dany projekt, ale ostateczny wynik nigdy nie będzie taki sam. Tworzenie jest aktem jednorazowym. Duplikat zazwyczaj nie dorównuje pierwowzorowi.

- Taak - powiedział Walker, ponownie szybko przeglądając listę. - Wiem, o co ci chodzi. Na myśl o tym, że jakiś tępny złodziej wyjmie kamienie z opraw i wyrzuci twoje dzieło do kosza na śmieci, mam ochotę zdrowo skopać komuś tyłek.

- No właśnie! - Zadowolona odwróciła się i z głośnym mlaśnięciem pocałowała Walkera w policzek tuż nad miękką,

niemal czarną brodą. - Mój ty bohaterze!
Zerknął na nią z ukosa. Jego spojrzenie przeczyło sztucznemu uśmiechowi.

- Nie licz na to. Wciąż ci powtarzam...

- Buddy Angel sam potknął się i upadł na twoją łaskę - przypomniała mu. - Nie ma sprawy. Czy sądzisz, że gliniarz w to uwierzył?

- Czemu nie? Przecież to prawda.

- Moim zdaniem najprzystojniejszy chłopcy z Savannah wcale nie byli zachwyceni, że na ich podwórku zaczął się bawić urwis z Atlantic City.

Walker uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby.

- Zwłaszcza że ta fajtłapa terroryzuje ładne, eleganckie turystki. Lepiej nie liczyć, ile razy Buddy jeszcze się potknie, nim adwokat wyciągnie go z aresztu.

- Wyciągnie?! Przecież ten opryszek miał nóż! Napad z bronią w rękę zasługuje na coś więcej niż kilkugodzinny pobyt w areszcie.

- To zależy od prawnika.

I od tego, jak starannie gliniarze sprawdzą nóż Buddy'ego.

W dobrym laboratorium kryminalistycznym być może znaleziono by na nim ślady krwi należącej do zamordowanej turystki z hotelu „Live Oak”. Walker wiedział, że inspektorzy dochodzeniowi dostali anonimowy telefon sugerujący taką możliwość. Wiedział o tym, ponieważ sam do nich zadzwonił. Nie był jednak pewien, czy gliniarze podążą tym tropem.

- Skórzana kurtka Buddy'ego kosztowała przynajmniej tysiąc dolarów - zauważył Walker. - W pierścionku na jego małym palcu tkwił trzykaratowy brylant. Moim zdaniem Buddy wyjdzie za kaucją, a zarzuty zostaną ograniczone do próby wyrwania torebki, chyba że znajdą coś innego, coś, za co będą mogli go powiesić. Wtedy władają jego uprzykrzony tyłek do paki i pozwolą adwokatowi głośno zawodzić.

- Skoro Buddy ma tak dużo pieniędzy, czemu kradnie torebki?

- Mruknęła z obrzydzeniem. - Mniejsza z tym. Zapomnij, że poruszyłam ten temat. To było głupie pytanie. Bardziej powinno mnie interesować, dlaczego nie uwierzył, iż naszyjnik Montegeau został w wystawowym sejfie.

- To proste. Przypuszczalnie to jego kumpel posklejał taśmą panienkę z wystawy, przeszukał sejf, a gdy niczego nie znalazł, przez telefon komórkowy dał znać Buddy'emu.

Faith zacisnęła na dolnej wardze ładne, białe zęby.

- To znaczy, że nas obserwowali. Szli za nami aż do recepcji. Myśleli, że schowałam naszyjnik do sejfu, ponieważ wychodziliśmy na lunch.

- Tak myślę - przytaknął.

- Czy sądzisz, że po obejrzeniu wystawy uznali naszyjnik Montegeau za najcenniejszy i dlatego postanowili go ukraść?

- Nie wiem. Zabrakło mi czasu, by... hm... zapytać Angeliniego.

- Angeliniego?

- Buddy'ego. To członek zorganizowanej grupy przestępczej, złotko. Miał to wypisane na twarzy. Mógł zmienić nazwisko na Angel, ale jego tatuaż i dziadunio z pewnością wywodzą się z rodu Angelinich.

Przypomniała sobie lśniące czarne włosy Buddy'ego, twarde czarne oczy i śródziemnomorską cerę.

- Ciekawe, jak ma na imię jego kumpel. Guido?

- Równie dobrze może to być Mick Mulligan albo Jack Spratt. Mafia co prawda powstała na Sycylii, ale w Ameryce dwudziestego pierwszego wieku przestępczość zorganizowana wszystkim daje równe szanse - mafiosi zatrudnią każdego, kto zgodzi się dla nich łamać prawo.

Walker powoli poruszył ramieniem. Na przekór lakonicznym słowom, wciąż był spięty. Ilekroć zamknął oczy, przypominał sobie, jak cholernie blisko szyi Faith było ostrze noża. Gdyby spóźnił się o ułamek sekundy, miałyby na rękach świeżą krew. Tym razem byłaby to krew Faith, nie Lota.

Cholera, tak niewiele brakowało.

- Czy spróbują jeszcze raz? - spytała Faith.

To było pytanie za milion dolarów. Tak samo jak i inne - czy to Buddy poszatkował turystkę?

- Wszystko zależy od tego, jak bardzo chcą dostać w swoje ręce ten naszyjnik.

- Jak sądzisz, czy wiedzą, gdzie teraz jesteśmy?

- Przypuszczalnie tak.

Westchnęła i odwróciła się.

- Przez cały dzień marzyłam o głębokiej wannie i masażu wodnym. No cóż. Może w innym zajeździe również będą mieli jacuzzi. Zabieram się do pakowania.

- Dobrze. Zawiozę cię na lotnisko. To właśnie tutaj zakłady Gulfstream produkują swoje niewielkie odrzutowce dla prywatnych firm. Na pewno zgodzą się wyczarterować jeden z nich. Jeszcze dziś wieczorem możesz być w domu, w Seattle.

Obróciła się i spojrzała na walkera. Jego oczy bardziej przypominały teraz szafiry niż lapis-lazuli. Były krystaliczne. Ciemnoniebieskie. Pozbawione emocji.

- O czym ty mówisz?

- Na twoim stoisku przy gablotce może usiąść ktoś inny.

Na pewno miło obsłuży klientów. Bezpieczniej będzie, jeśli...

- Nie. - Odmowa była równie szorstka jak jej głos.

- Dlaczego? - spytał rozsądnie.

- Przyjechałam tutaj, żeby nawiązać kontakty, które mogą mi się przydać w mojej przyszłej pracy.

- Jeśli następnemu bandycie polującemu na te kamienie dopisze szczęście, te kontakty do niczego ci się już nie przydadzą.

- Z pewnością nie mogę żądać, żebyś ryzykował życie...

- Cholera jasna, to nie...

Wzięła się pod boki i mówiła, nie zwracając na niego uwagi.

- ...dla garstki kamieni szlachetnych. Zgodziłeś się pilnować tych rubinów, a nie ryzykować dla nich życie.

- Pilnowałem klejnotów w miejscach dużo bardziej niebezpiecznych niż Savannah w Georgii.

Ciekawość walczyła z irytacją. Zwyciężyła ciekawość.

- Gdzie?

- Wszędzie, gdzie sprzedaje się rubiny, które warto kupić.

Idź, wymocz w wodzie swoje obołałe stopy i pozwól, że to ja będę się martwić.

Czuła, że przestaje nad sobą panować. Nie wiedziała, ile do wybuchu brakuje Walkerowi.

- Porozmawiamy o tym ponownie, gdy wyjdę z wanny - powiedziała spokojnie.

- Jasne. - Wrócił do komputera i zaczął surfować po Internecie.

- Idę o zakład, że bardziej niż nogi boli cię język, ponieważ bez przerwy go zagryzasz.

Jęknęła zrozpaczona i weszła do łazienki. Walker miał rację.

Bardzo bolały ją nogi. Jutro z pewnością będzie musiała włożyć inną parę butów.

I owszem, język rzeczywiście nosił ślady świadczące o licznych próbach zapanowania nad złością.

Gdy tylko Walker usłyszał odgłos wody lejącej się do ogromnej wanny, przestał bez celu błąkać się po Internecie i wszedł na stronę, na której podawano informacje na temat zaginionych kamieni szlachetnych. Pojawiło się kilka nowych ogłoszeń, ale żaden opis nie pasował do wielkiego grawerowanego rubinu, jakiego szukał Iwanowicz.

Walker przeskoczył na inną stronę. Pisano na niej o kamieniach szlachetnych, które ludzie chcieli kupić. Lista luźnych rubinów nie zmieniła się. Nadal wiele osób marzyło o zdobyciu trzykaratowego birmańskiego rubinu za cenę kanapki z rybą i sałatki warzywnej z majonezem. Nikt nie wspominał o szukanym przez Rosjanina kamieniu, niezależnie od tego, ile miałyby on kosztować.

Walker z zamyśleniem przeczesał brodę i uporządkował

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
wydarzenia z kilku ostatnich dni. Potem sięgnął po zabezpieczony przed podsłuchem telefon komórkowy Donovanów i wybrał jeden z prywatnych numerów Archera. Słuchawka została podniesiona dopiero po trzecim sygnale.

- Mówi Jake. Co jest grane, Walker? Spokojnie, Summer, to ucho należy do twojego kochanego tatusia. Walker usłyszał, jak Summer pisnęła z zachwytu. Wiedział, że mały łobuziak złapał ojca za nos.

- Co robisz w biurze Archera?

- Zajmuję się dziećmi. Wysłaliśmy Mitchella wcześniej do domu i zajęliśmy to miejsce. ~:~>

- Przewrót pałacowy?

- Coś w tym rodzaju. Wciąż usiłujemy zaplanować przyjęcie, tymczasem Archera można złapać tylko w jego biurze. Nie, Summer. Bliźniaki to nie laleczki. Dzidziusia trzeba dotykać tak, jak małego kotka. Właśnie tak, Kochanie. Bardzo delikatnie. Tak jak ciebie wszyscy dotykają, gdy boli cię brzusek.

Śmiech Summer wywołał w głębi duszy Walkera jakiś dziwny ból. Wyobrażał sobie Jake'a - otoczonego przez dzieci, nieco zmęczonego, mimo to z uśmiechem na wyrażającej pewność siebie twarzy i z blaskiem w jasnych oczach. Gdzieś w głębi duszy Walker również tego pragnął - dzieciaków, miłości i śmiechu.

Niemniej ta myśl go przerażała. Życie jest bardzo kruche, a śmierć tak ostateczna. Nigdy nie przestawało go dręczyć poczucie winy, a zarazem chęć przetrwania.

Nie chce ponownie przez to przechodzić - powtarzał sobie Walker ponuro. - Jeśli to oznacza, że nie mogę mieć rodziny, niech tak będzie. Mężczyzna, który nie potrafi zapewnić opieki najbliższemu, nie zasługuje na to, by ich mieć.

Z drugiej strony linii telefonicznej dotarł płaczliwy krzyk niemowlęcia.

- Och, Summer. Obudziłaś Heather. Teraz twoja kuzynka będzie chciała jeść. Zaczekaj, Walker.

Jake nacisnął guzik interkomu i powiedział do mikrofonu:

- Heather zaczyna dokazywać. Robbie zaraz pójdzie w jej ślady. Gdzie ich lunch?

- Obiad - poprawiła Lianne.

- Obojętne. Przynies go biegiem.

- Już idę.

Zgodnie z przewidywaniami Jake'a odezwał się Robbie. Płaczliwy, zachrypnięty krzyk niemowląt przybrał na sile. Można było odnieść wrażenie, że bliźnięta próbują nawzajem się przekrzyknąć.

Z półuśmiechem na twarzy Walker czekał cierpliwie, aż Lianne - i, sądząc po odgłosach, również Kyle - wyłonią się z biura Archera, by wziąć swoje dzieci do karmienia. W tym momencie zaczęła dokazywać Summer. Miała zdumiewająco donośny głos.

- Puść ją, Jake - zaproponował Kyle z drugiego końca pomieszczenia. - Jeśli zaczniesz wrzeszczeć, nikt z nas nie usłyszy własnych myśli. Od czasów Faith nie miałem do czynienia z tak głośnym dzieckiem.

Walker podsłuchiwał.

- Puść ją - zgodził się szybko.

W uszach wciąż dzwoniło mu od nieco wcześniejszego krzyku Faith.

- W porządku, Summer - powiedział Jake, stawiając córkę na podłodze. - Możesz patrzeć, jak bliźniaki jedzą, ale pod warunkiem, że będziesz bardzo, bardzo cicho.

Zaczekał, aż córeczka w połowie doraczkuje, a w połowie dojdzie niepewnym kroczeniem do swoich kuzynów, dla równowagi chwytając się wszystkich biurowych mebli, na jakie natrafiły jej małe rączki. Widok tych prób chodzenia zapierał w piersiach dech. Każda sekunda zapowiadała straszną

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna katastrofę, jednak jakimś cudem nigdy do niej nie dochodziło.

- Dotarła bezpiecznie do celu - powiedział Jake do telefonu, wzdychając. - W porządku, teraz mogę porozmawiać jak dorośli z dorosłym.

- Jesteś pewien, że wiesz, jak się to robi?

- Teraz tak, chociaż w środku nocy rzeczywiście gaworzę. Z Kyle'em jest jeszcze gorzej. On przez cały czas grucha jak niemowlę.

Kyle ze stoickim spokojem pokazał Jake'owi środkowy palec.

- Grucha - zauważył Walker.

W tym momencie uświadomił sobie, jak ogromną przyjemność sprawia mu przebywanie wśród członków rozrastającej się rodziny Donovanów. W tym gronie nigdy nie odczuwał napięcia, złości i samotności, które pamiętał z własnego dzieciństwa.

- No cóż, słodziutki, może w takim razie pogaworzymy na pewien określony temat - powiedział Walker z południowym akcentem. - Komuś tak bardzo zależało na rubinach Montegeau, że w biały dzień ogołocił sejf wystawy.

- Matko! - zawołał Jake. - Wygląda na to, że Archer nie zrobił zbyt dobrego użytku z tego miliona.

Zadzwoił drugi telefon. Odebrał go ktoś w biurze Archera.

- Nic się nie stało - wyjaśnił Walker. - Rubiny wciąż tkwią na swoim miejscu, obok klejnotów rodzinnych.

- Ojej!

- Znosiłem gorsze cierpienia - przyznał Walker, poruszając się lekko na krześle.

Nie wspominał, że prawdziwym kłopotem dla niego był raczej stan połowicznego podniecenia, utrzymujący się w obecności Faith. Jake ochraniał ją jak rodzony brat, chociaż był spokrewniony z Donovanami tylko poprzez małżeństwo.

- Jesteś pewien, że szukali właśnie tych rubinów? - spytał Jake. - Na wystawie jest mnóstwo innych klejnotów, prawda?

- Taak. W tym mnóstwo gówna, ale ceny są twarde jak platyna.

- Wiesz, co mówią na temat sztuki? Że jest jak piękna kobieta, to znaczy - istnieje tylko w oczach patrzącego.

Walker burknął.

- Rzecz w tym, że odegrałem całe przedstawienie, by każdy ewentualny obserwator myślał, iż naszyjnik Faith znajduje się w sejfie wystawy. Tymczasem rubiny wybrały się na lunch razem z nami.

Jake czekał. Wiedział, że ta historia będzie miała morał.

Mimo typowego dla południowców niespiesznego sposobu mówienia, Walker nigdy nie tracił czasu na zbędne słowa.

- Najpierw opróżniono sejf wystawy, a potem niejaki Buddy Angel napadł na Faith przed lokalem, w którym jedliśmy lunch.

- Co takiego?! Nic jej się nie stało?

Kyle gwałtownie podniósł głowę znad pieluszki, którą zakładał wiercącemu się niemowlęciu.

- Jest cała i zdrowa - zapewnił go Walker. - Wysokim obcasem rozcięła facetowi łydkę i przymierzała się do jego jaj, kiedy raz lub dwa liznąłem go swoją laseczką.

Jake pokazał Kyle'owi wyciągnięty w górę kciuk. Kyle wrócił do przewijania dziecka.

- Mam nadzieję, że obeszło się bez poważniejszych szkód - powiedział Jake.

Na jego twarzy pojawił się niemiły uśmiech. W głębi duszy Walker był ryzstokowym zabijaką.

- Ani jej, ani mnie nic się nie stało. Ten drań miał nóż.

Niewykluczone, że to on poprzedniej nocy poszatkował turystkę.

Tragedia rozegrała się w tym samym pokoju, który zarezerwowała Faith. Na szczęście z niego zrezygnowała.

- Archerowi się to nie spodoba - orzekł Jake z napięciem.

Niedopowiedzenie roku.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Mnie też nie bardzo się to podoba - wyznał Walker, zaciągając.
- Splądrowany został tylko ten jeden pokój. Potem włamywacz rozpruł sejf. Ilu złodziejasków włamuje się na pierwsze piętro, zabija kobietę, a potem cichcem schodzi na parter i bez trudu dostaje się do ogromnego sejfu?
- Nigdy nikogo takiego nie znałem. Jesteś pewien, że Faith dobrze się czuje?
- O ile wiem, dokuczają jej tylko stopy.
- Dziesięciocentymetrowe obcasy? - domyślił się Jake.
- Przynajmniej.
- Wciąż usiłuje dorównać swoim braciom?
- W tych szpilkach jest niemal tak wysoka jak ja - powiedział Walker z południowym akcentem.
- Tylko dlatego, że jesteś niski.
- No proszę.
- Jake roześmiał się. Walker miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu - niski wydawał się tylko w towarzystwie braci Donovanów i Jake'a.
- A zatem, uwzględniając kradzież w Seattle - domyślił się Jake - i... hm... problemy w ślicznym historycznym hoteliku, nie bardzo wierzysz, by opróżnienie sejfu na wystawie i próba kradzieży torebki w Savannah były czystym zbiegiem okoliczności. Czyż nie tak?
- Kyle zaczął szybciej przewijać dzieci. Chciał usłyszeć obie osoby prowadzące tę rozmowę.
- Dorzuc do tego fakt, iż facet, który chciał ukraść torebkę Faith miał na sobie skórzaną kurtkę za tysiąc dolarów i zegarek za dziesięć tysięcy - powiedział Walker. - Pochodził z Atlantic City, a jego nazwisko kończyło się na samogłoskę. Czy wspominałem już o tym?
- Cholera.
- Taaak.
- Co łączy rubiny z członkiem mafii? - spytał Jake.
- Miałem nadzieję, że ty mi to powiesz. Albo że będzie to wiedział któryś z twoich dawnych kumpli.
- Sam znasz kilku z nich.
- Tylko nieoficjalnie. Wszystko dlatego, że swego czasu zabierałem niższych oficerów na afgańską prowincję, by mogli przyjrzeć się z bliska, w jaki sposób miejscowi partyzanci podrzynają gardła. Wszyscy ludzie, których znam, zajmują się sprawami międzynarodowymi. Jeśli ten facet należy do mafii, to będą nam potrzebni rodzimi specjaliści. Jake sapnął.
- FBI. Chcesz, żeby Archer zadzwonił do wuja?
- Wuja? - spytał Kyle ostro. - Masz na myśli rząd?
- Jake przytaknął.
- Kyle założył Robbiemu śpioszki, owinał synka w czysty kocyk i ruszył w stronę najbliższych drzwi.
- Wystarczy, chłopcy i dziewczęta. Ta rozmowa właśnie zamieniła się w konferencję telefoniczną.
- Bez pukania wszedł do biura Archera.
- Walker mówi, że trzeba...
- Archer wyciągnął rękę do góry, przerywając bratu w pół słowa.
- Kyle przymrużył dziwne, orzechowozielone oczy. Zauważył, że Archer trzymał telefon jak węża.
- Słucham cię, April - powiedział Archer. *
- Jego głos był bezbarwny i zupełnie pozbawiony modulacji. W taki sposób najstarszy z braci Donovanów mówił tylko wtedy, gdy z najwyższym trudem panował nad wściekłością.
- Po prostu na razie nie usłyszałem niczego, co miałoby sens.
- Kyle burknął coś pod nosem. Trudno było się cieszyć z telefonu od April Joy, zwłaszcza że występowała w majestacie stojącego za nią urzędu federalnego.
- To całkiem proste, spryciarzu - powiedziała April. - Mamy kretyna, który obrobił sklep twojej siostry.
- Macie go? To znaczy, że siedzi w areszcie?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Jest dla nas bardziej pożyteczny, gdy przebywa na wolności. Wtedy nam się naprawdę przydaje. Byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy założyli mu długą smycz i odesłali go do domu.

- To znaczy?

- Do Rosji.

Archer przełożył telefon, próbując rozluźnić uchwyt na słuchawce.

- Czy przypadkiem ten człowiek nie nazywa się Iwanowicz?

Wyczuł zmianę w zachowaniu swojej rozmówczyni. April Joy zawisła nad telefonem niczym kot nad tłustą myszą.

- Skąd wiesz?

- Iwanowicz na początku tego tygodnia odwiedził sklep Faith. Posprawdzaliśmy na własną rękę pewne rzeczy i dotarliśmy do jedyne go w tygodniu lotu Aerofłotu z Magadanu do Seattle, z krótkim przystankiem w Anchorage. Reszta była prosta.

April parsknęła śmiechem.

- Niewiele rzeczy jest ci w stanie umknąć, prawda?

- Jeśli chodzi o rodzinę, to rzeczywiście nie. Czego ten facet chciał od Faith?

- Tego, co wziął. Biżuterii.

Archer był pewien, że April Joy kłamie. Nie wiedział jednak dlaczego.

- Zdajesz sobie sprawę, że niemal w tym samym czasie i niemal w tym samym miejscu zamordowany został jakiś biedny pijaczyna.

To nie było pytanie.

- Zawsze gdzieś jakiś biedny pijaczyna pada ofiarą nożownika

- odparła April ze zniecierpliwieniem. - To nasz narodowy

powód do wstydu. Możesz przy śniadaniu poczytać

sobie na ten temat w „New York Timesie”.

- Zbieg okoliczności, co?

- Posłuchaj, spryciarzu. Nie jestem zakonnica i nie pracuję dla kościoła narodowego. Jeśli jednak odkryjesz, że to Iwanowicz załatwił tego pijaczka, daj mi znać. Morderstwo dawałoby mi większe możliwości niż zastawienie skradzionych klejnotów. Czy muszę ci wyjaśniać, dlaczego zależy mi na tym, by jak najmocniej trzymać w garści każdego typka z rosyjskiej mafii, jaki wpadnie nam w ręce?

Archerowi nie trzeba było tego mówić. Rosyjska mafia przede wszystkim zajmowała się przemytem technologii nuklearnej z terenów byłego Związku Radzieckiego. Poszczególne grupy przestępcze sprzedawały broń atomową każdemu zwariowanemu zbawcy świata, mającemu dość pieniędzy, by ją kupić.

Iwanowicz mógł być strasznym sukinsynem, ale należał do Wujy Sama. Gdyby April go straciła, musiałaby rozpracowywać następnego członka mafii. Lepiej trzymać się diabła, którego się zna, niż polować w piekle na następnego.

- Prześlij mi pocztą elektroniczną zdjęcie Iwanowicza - powiedział Archer.

- Dlaczego?

- Ponieważ chcesz, żebym ci pomógł.

- Dostaniesz je za pół godziny.

- Porozmawiam z Faith - obiecał Archer.

- Dzięki. Jestem twoją dłużniczką.

Uśmiech Archera był zimny jak lód.

- Tak. To prawda.

Po zakończeniu rozmowy wziął do ręki kodowany telefon komórkowy i powiedział do Kyle'a:

- Niezależnie od tego, o co ci chodzi, spróbuj zaczekać.

Najpierw muszę złapać walkera.

- Właśnie rozmawia z Jakiem przez telefon.

Archer wypadł z biura i spojrzał na Jake'a.

- Muszę pogadać z walkerem.

Jake wręczył szwagrowi komórkę. Mądry człowiek nigdy nie kłócił się z Archerem, gdy jego oczy przypominały walcowaną na zimno stal.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- To ty, Walker? - spytał Archer.
- Tak jest, szefie.
- Czy deptę ci po piętach jakiś Rosjanin?
- Nie zauważyłem.
- Miej oczy szeroko otwarte. Gdy tylko dostanę jego zdjęcie, prześlę ci je e-mailem. April Joy trzyma w garści faceta, który okradł sklep Faith, ale nie wsadziła go do paki, ponieważ bardziej zależy jej na wtyczce w Rosji niż na włamywaczu z obcym akcentem. Tak przynajmniej twierdzi. Prawdopodobnie piecze dwie pieczenie przy jednym ogniu.
- Iwanowicz?
- Taak. To członek rosyjskiej mafii.
- Której? Mają ich setki. To narodowy sport, jak piłka nożna albo baseball.
- Jak spotkasz go następnym razem, spytaj, w której drużynie gra - wypalił Archer. - Dołóż tylko wszelkich starań, żebyś to ty zobaczył go pierwszy. Nie czekaj, aż on sam cię wypatrzy. Prawdopodobnie to Iwanowicz jest tym artystą nożownikiem, który zabił pijaka. Właśnie przeglądałem końcowy raport z autopsji. Ten facet bardzo, naprawdę bardzo dobrze posługuje się nożem.
- Kto by uwierzył, że chłopcy z mafii tak bardzo lubią ostre zabawki. Nadzialiśmy się na jednego z nich. Spodobała mu się torebka Faith.
- Co takiego?
- Nie martw się, szefie. Twojej siostrzyczce nic się nie stało. Ale facet był bardziej niezdarny niż twój przyjaciel z Seattle. Nikt nie zdołał niczego dowieść, podejrzewam jednak, że to on kryje się za owym paskudnym morderstwem, które wydarzyło się w dniu naszego przyjazdu do Savannah.
- Zaczekaj. Opowiedz mi wszystko jeszcze raz od początku
- poprosił Archer szorstko.
- Za drugim razem cała sprawa tak samo nie przypadła Archerowi do gustu jak za pierwszym.
- Dom na Hilton Head był ogromny, przestronny i bardzo elegancki, ale rozlegające się w nim echa krzyków zagłuszały uspokajające pluskanie atlantyckich, sięgających kostek fal. Może to z powodu dużej ilości marmuru i szkła, które wzmacniały każdy dźwięk. A może po prostu dlatego, że mimo bardzo zaawansowanego wieku Sal Angel wciąż miał głos goryla w okresie godowym.
- Co z ciebie za wnuk?! - wykrzykiwał Sal z obrzydzeniem, dźgając palcem wskazującym w klatkę piersiową Buddy'ego.
- Kuternoga i kobieta. Zwykła kradzież, a ty ją spieszyłeś. To już drugi raz!
- Hej, nie możesz winić mnie za to, co wydarzyło się wczoraj w nocy! Cholera jasna, wszędzie było tyle krwi! Oczekujesz ode mnie, że...
- Niczego od ciebie nie oczekuję, i nawet dobrze się składa, bo jesteś wielkim zerem! Jakim prawem skarżysz się na tę niewielką ilość krwi czy bolącą nogę, na którą nadepnął ci jakiś kociak. Myślałem, że jesteś mężczyzną. Pewnie będę musiał poczekać na następne pokolenie i dopiero w nim poszukać sobie następcy. - Ponownie dźgnął palcem, tym razem mocniej. - Ale w tym celu musisz zostać w domu tak długo, żeby przelecieć swoją żonę. Czy jest jeszcze coś, o czym zapomniałeś mi powiedzieć?
- Patrząc na czubek lśniącej różowej głowy dziadka, Buddy Angel zrezygnował z wypowiedzenia na głos dowcipnej uwagi. Jego urocza żoneczka w łóżku przypominała worek lodu, tkwił jednak przy niej, ponieważ jej dziadek był kumplem Sala z dawnych dobrych czasów, kiedy to razem jadal spaghetti i brali udział w wojnach gangów. Buddy aż za dobrze wiedział, że lepiej nie wchodzić w paradę starym pierdzielom. Wciąż kierowali światem przestępczym na wschodnim wybrzeżu. Czasami Buddy serdecznie żałował, że nie został księgowym. Ale jeśli płaci się podatki, nie bardzo jest co do gęby włożyć. Łatwiej polować na matołków, niż być jednym

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
z nich. Dlatego znosił połajanki i razy ojca oraz dziadka.
Wcześniej czy później umrą, a wówczas to on zostanie królem
Angelów. Wtedy będzie kopał po tyłkach zamiast po
nich całować.

- Mówiłem ci - powiedział Buddy przez zęby. - Facet,
który z nią był, wyglądał jak łamaga, ale walczył jak lew.
- Taa, taa, taa. Pojęcz jeszcze trochę, jakbym już tego
wszystkiego nie słyszał. Cholera, czy muszę ci pokazywać,
jak się robi takie rzeczy? Na litość boską, mam siedemdziesiąt
siedem lat! Ta dzisiejsza młodzież! Hmm. Nawet nie potrafi
dobrze dołożyć, trzeba jej w tym pomagać.

Buddy wątpił, by niezależnie od okoliczności dziadek
zdolał kogoś pokonać, ale zatrzymał tę kąśliwą uwagę dla
siebie. Wciąż kręciło mu się w głowie od kuksańca, którego
dostał od Sala na powitanie.

- Idź do domu do swojej słodkiej żoneczki - powiedział
Sal. - Spadaj. Niedobrze mi się robi, gdy patrząc na ciebie,
dochodzę do wniosku, że twoje najlepsze cechy spłynęły po
nogach twojej matki. Fuj!

- Zostaw moją matkę w spokoju! To święta kobieta!
Sala aż korciło, by powiedzieć, że święte kobiety nie
wskakują nigdy do łóżka z typkami w rodzaju jego młodszego
syna. Starszy pan szybko ugryzł się jednak w język,
przypominając sobie, że bodaj jedyną dobrą cechą Buddy'ego
był jego szacunek dla matki.

- Idź do domu - powiedział Sal szorstko. Klepnął wnuka
po policzku, udając uczucie. - Później do ciebie zadzwonię.
I nie zapomnij odebrać pieniędzy od tego dupka z doków.
Koniec z płaczącymi historiami. Jeśli nie zapłaci, złam mu
kolano. Ludzie zaczynają myśleć, że robię się miękki i nie
potrafię już zadbać o napływ gotówki, kapujesz?

- Tak jest, sir.

Sal odczekał, aż ucichną kroki Buddy'ego. Kiedy nabrał
pewności, że jest sam, wziął do ręki telefon i wybrał numer.

- To ja - powiedział, gdy ktoś podniósł słuchawkę. - Nie
wspominałeś o kalece z laską.

- A o co chodzi?

Rozmówca Sala coś bełkotał. Był pijany, chociaż do kolacji
zostało jeszcze sporo czasu.

Sal skrzywił się, słysząc głos swojego partnera. Powinien
wiedzieć, że nie należy ufać pijakom. Z drugiej jednak strony
nie znał żadnego abstynenta.

- Niewiele brakowało, a okuławiłby mojego wnuka, ot
co.

- Ale udało mu się zdobyć te rubiny, prawda?

- Nie.

- Co takiego? Nie zapłacę ci, jeśli...

- Zamknij się! - przerwał mu Sal bezwzględnie. - Powiem
ci, co masz zrobić. Zaprosisz tę kobietę do siebie i sam
odbierzesz jej ten naszyjnik.

- Nie mogę...

- Mówiłem, dupku, żebyś się zamknął! Jeśli lubisz oddychać,
zrobisz tak, jak mówię. Zdobądź te rubiny, bo inaczej
weźmiesz udział we własnym pogrzebie. Masz na to tydzień,
nie więcej. Zrozumiałeś?

Partner Sala zrozumiał.

- Tak.

- W porządku - mruknął Sal. - wysyłam ci paczkę. Postępuj
zgodnie z instrukcją, a gliniarze się nie zorientują, że
to praca od wewnątrz.

- Co jest w tej paczce?

- Dowiesz się, gdy ją otworzysz. Tylko nie spieprz tej roboty.
Byłem ostatnio za miły. Ludzie myślą, że robię się
miękki. A to nieprawda.

Sal się rozłączył.

Jego partner odłożył słuchawkę i wsparł głowę na dłoniach.
Po kilku długich, pełnych napięcia minutach nalał sobie
następnego drinka, zastanawiając się, co jeszcze może

mu się nie udać.

- Pospiesz się, Faith. Archer się niecierpliwi. Chyba że wolisz, żebym przyniósł ci telefon?

- Poczekaj jeszcze chwileczkę. Już się wycieram.

Faith, pomrukując coś pod nosem, wypuściła z wanny wciąż gorącą wodę. Naprawdę chciała się odprężyć po pierwszym dniu wystawy i zmyć ślady zostawione przez ręce tamtego mężczyzny.

- Faith?

- Już idę. Idę! - krzyknęła. - Mogłabym później zadzwonić do Archera. A tak pewnie spóźnię się na kolację.

W restauracji na pewno mają jakiś telefon.

- Dużo łatwiej ci będzie porozmawiać tutaj.

Walker wolał bezpieczną kodowaną linię niż restauracyjny

telefon, ale nie miał zamiaru niepotrzebnie martwić

Faith, opowiadając jej o morderstwach, agentach federalnych

i tego typu rzeczach. Dlatego z pozorną cierpliwością

czekał, aż wyłoni się z łazienki. Wtedy przekazał jej telefon.

Faith spojrzała na niego krzywo, a potem, słuchając słów

Archera, usiadła na zbyt grubo wyściełanym fotelu i poprawiła

obszerny frotowy płaszcz kąpielowy, który znalazła

w hotelowej łazience. Światło stojącej na końcu stołu lampki

skąpało Faith w blasku przypominającym płynne złoto.

Jej mokre włosy sterczały jak kolce.

Zerknęła na zegarek. Za niecałe trzydzieści minut miała

spotkać się z Mel w lokalu reklamowanym jako „modna nowa

włoska restauracja”. Musiała się jeszcze ubrać i wysuszyć

włosy. Tymczasem rozmawiała przez komórkę z Archerem.

Mówiąc ściślej: słuchała brata.

Siedzący po drugiej stronie pokoju Walker wpatrywał się

w nią tak intensywnie, że jego błękitne oczy stawały się niemal

czarne. Wiedział, że powinien myśleć o Rosjanach,

a nie o łagodnych wzniesieniach jej piersi widocznych między

rozchyłonymi połami płaszcza kąpielowego, zdawał sobie

sprawę, że nie wolno mu również spoglądać na długie,

gołe nogi wyłaniające się z miękkiego okrycia.

Wdech. Wydech. Światło i cień. Unosząca się, zachęcająca

miętkość.

W porządku, myślał o niej. Ale, do jasnej cholery, tego

wieczoru nic więcej nie mógł zrobić w sprawie elegancko

ubranego napastnika, Buddy'ego Anęła, ani Iwana Iwanowicza

- klienta, który wrócił po zapadnięciu zmroku, by

osobiście sprawdzić zawartość sejfów w „Ponadczasowych

Marzeniach”. Wracając jednak do przesuwającego się cienia

między piersiami Faith, Walker zdawał sobie sprawę, że

musi przestać o nim myśleć. Nie powinien też zastanawiać

się, co by czuł, gdyby mógł dotknąć gołej skóry. Czy brodawki

Faith nabrzmiałyby pod jego językiem? Czy wewnątrz

między jej udami okazałoby się delikatne, gorące i wilgotne?

Czy pragnęłaby go tak, jak on przez cały czas pragnie

jej?

Kiedy następnym razem Archer będzie potrzebował

ochroniarza dla Faith, powinien powierzyć to zadanie jakiemuś

szczęśliwie żonatemu mężczyźnie. Albo kobiecie.

A jeszcze lepiej - marmurowemu posagowi.

- Zaczekaj - powiedziała Faith do Archera. - Nic z tego.

Nigdzie się nie wybieram. Jeśli uważasz, że to konieczne,

przyślij ochroniarza, który będzie chodził za mną krok

w krok. Zostaję jednak w Savannah do końca wystawy, aż

naszyjnik trafi w ręce kogoś z Montegeau. Nie zapomnij

również o ślubie. Ja wciąż o nim pamiętam. Obiecałam Mel,

że na nim będę.

- Powiedz jej, że to sytuacja wyjątkowa i...

- Nie, teraz ja będę mówić, a ty spróbuj posłuchać. Już

nawiązałam kontakt z trzema nowymi punktami sprzedaży

i przyjeżdżam duże zamówienia od czterech klientów. Każdy,

któ podczas ślubu zobaczy naszyjnik, jest potencjalnym

klientem. Nie zrezygnuję z takiej okazji tylko dlatego, że

April Joy się wystraszyła i postanowiła do ciebie zadzwonić.

V

- April Joy nie wystraszyła się - uściślił Archer sucho. - To agentka najwyższej klasy, kobieta o niezwykłej inteligencji. Poprosiła nas o przysługę. Będziemy mądrzy i spełnimy jej życzenie.

- Chce, żebym wróciła do Seattle? - spytała Faith. - Czy o to właśnie jej chodzi?

Starszy brat westchnął.

- Nie. Zależy jej na tym, żebyś nie wysuwała oskarżenia przeciw Iwanowiczowi, którego prawdziwe nazwisko brzmi zresztą nieco inaczej.

- Ten drań mnie okradł, Archerze! Mam się uśmiechnąć i o wszystkim zapomnieć?

- Zwrócą ci wszystkie poniesione straty.

- Hurra! - Przeczesała palcami włosy, nadając sterczącym kosmykom nowe kąty nachylenia. - A niech to diabli!

Jasne. Czemu nie? Zostaw go w spokoju. Spraw April przyjemność.

- Dzięki. Jestem ci wdzięczny, ponieważ teraz pani Joy będzie moją dłużniczką.

- Och, daj spokój. - Faith wyróciła oczami. - Bądź rozsądny.

- Chcesz, żebym wysłał ci jeszcze jednego... jakiegoś ochroniarza?

Archer szybko się poprawił. Zastanawiał się, czy jego młodsza siostra w końcu odkryła, że Walker oprócz południowego akcentu i nieśmiałego uśmiechu ma jeszcze kilka innych cech.

Od czasów Tony'ego Faith bardzo nieufnie podchodziła do mężczyzn. Jednak sposób, w jaki spoglądała na swoją siostrzenicę, bratanicę i bratanika, jednoznacznie świadczył, iż marzy o założeniu własnej rodziny. A to - według Archera -

oznaczało, że jego siostra powoli musi się przyzwyczajać do obecności mężczyzn, z którymi nie łączą jej więzy krwi. Walker doskonale nadawał się na przełamanie pierwszych lodów.

Archer bardzo go lubił. Faith mogła trafić na kogoś znacznie gorszego niż ten inteligentny chłopak z prowincji - jak zauważyły Hannah, Honor i Lianne.

- Nie chcę żadnego ochroniarza - powiedziała Faith. -

Proszę. Dość mam kłopotów z szukaniem pokoi z rozkładanym fotelem. Nie wierzę, by udało się znaleźć z dwoma.

- Jesteś pewna? Martwię się o ciebie.

- Może nie zauważyłaś, braciszku, ale jestem dorosłą kobietą.

Amen - pomyślał Walker, słuchając i obserwując. Potem zamknął oczy. Musiał to zrobić, gdyż inaczej zaczęłyby muskać językiem cień między piersiami Faith.

- Dlaczego April chce, żebym nie oskarżała tego Rosjanina o tak dużą kradzież? - spytała Faith.

Walker gwałtownie otworzył oczy. Sam chciałby usłyszeć odpowiedź na to pytanie.

- Nie wyjaśniła mi tego zbyt dokładnie - odparł Archer.

- Mimo to zależy ci na tym, żebym wyświadczyła jej tę przysługę.

- Tak. Proszę.

Faith przestała marszczyć czoło i uśmiechnęła się.

- Proszę? Uważaj, braciszku. Summer jako pierwsza zrobiła z ciebie mięczaka. Potem jej wyczyn powtórzyła Hannah. Stajesz się domowym kiciusiem.

Archer wybuchnął śmiechem.

- Przypomnę o tym Hannah, gdy następnym razem wpadnie w złość. Daj mi jeszcze walkera.

- Pod warunkiem że nie powiesz mu niczego, czego nie powiedziałeś mnie.

- Naprawdę chcesz poznać szczegóły raportów rzeczoznawców...?

- Zapomnij, że w ogóle o coś pytałam - przerwała mu. -

Czeka na mnie suszarka do włosów. - Przekazała telefon Walkerowi. - Archer coś jeszcze od ciebie chce.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Pewnie ma zamiar ugryźć mnie w tyłek.
 - Nie. On już teraz tego nie robi. To spokojny kiciuś.
- Walker patrzył, jak Faith się oddala.
- Na jakiej ona żyje planecie? - mruknął do telefonu.
 - W stosunku do członków rodziny zawsze byłem kiciusiem
 - wyznał Archer.
 - Ojej, szkoda, że jestem za stary, żeby mnie adoptować.
- Może pozwolisz jednak, że zacznę nazywać cię tatusiem i...
- Zwalniam cię.
 - Mamusią?
- Archer poddał się i wybuchnął śmiechem.
- Czy Faith wciąż używa suszarki?
 - Tak, przepala ją.
 - W porządku. Pamiętasz April Joy?
 - Piękna i śmiertelnie niebezpieczna. Niczym wąż koralowy.
 - To znaczy, że pamiętasz. Kyle poszedł za twoją radą i rozpowszechnił w Internecie informacje z kolorowymi fotografiami i szczegółowymi opisami rzeczy, które zginęły z „Ponadczasowych Marzeń”. Potem wydrukowaliśmy spis, który zrobiłeś dla Faith. Oblepiliśmy Seattle i zawiadomiliśmy faksem każdego jubilera na Zachodnim wybrzeżu.
- Walker jednym uchem słuchał suszarki do włosów, a drugim swojego szefa.
- Wciąż nie wiem, czy April rzeczywiście dała się złapać na ten haczyk, a jeśli tak, to jakim cudem - ciągnął Archer. - Nie powiedziała.
- Walker mruknął coś pod nosem.
- Czy April wspomniała coś o mającym przynajmniej dwadzieścia karatów okazałym rubinie wielkości piąstki niemowlęcia?
 - Nie.
 - A o naszymniku Montegeau?
 - Też nie.
 - Niech to diabli. Ta kobieta ma więcej nóg i mniej rozsądku niż kosz pełen krabów.
- Archer się nie zgodził.
- Czy to możliwe, żeby Iwanowicz miał jakieś powiązania z Atlantic City? - spytał Walker. - No wiesz, chodzi mi o wzajemne usługi między członkami międzynarodowej braci przestępczej?
 - Możliwe - przyznał Archer powoli - ale, moim zdaniem, to mało prawdopodobne. Takie powiązania międzynarodowe na szczycie możliwe są w przypadku bardzo stabilnej hierarchii. Rosjanom daleko jeszcze do zjednoczenia grup przestępczych. Wciąż są na etapie walk plemiennych. Ale jeśli chcesz, poproszę April, żeby to sprawdziła.
 - Jeszcze nie. Wolałbym, żeby wuj był dłużnikiem Donovanów.
 - Ja też.
 - Czy Kyle potrafiłby się dostać się do komputera komendy policji w Savannah i wydziału wydającego prawa jazdy dla obywateli Georgii?
 - Nie jestem pewien, czy chcę to słyszeć.
 - W takim razie daj mi swojego brata.
 - Mam pozwolić, żebyś go przekupił?
 - To jedna z drobnych przyjemności życiowych - wyznał Walker, zaciągając. - Zwłaszcza że ten chłopak uwielbia, gdy się go przekupuje.
 - Kyle - powiedział Archer, oddając telefon - twoi wielbiciele cię wzywają.
- Walker po raz ostatni spojrzął w lusterko wsteczne. Nie miał żadnych wątpliwości. Przez całą drogę do restauracji byli śledzeni. Jechały za nimi dwie osoby - mężczyzna i kobieta. Nawet gdyby Walker i Faith próbowali się rozdzielić i uciec przez okna ubikacji, każde z nich miało swój cień. Pilnująca ich para zaparkowała kawałek dalej. Korzystała z beżowego forda taurusa, który niemal głośno krzyczał: Na to idą twoje podatki.
- Walker pocieszył się myślą, że gdyby ponownie rozpętało

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
się piekło, nikt przynajmniej nie musiałby dzwonić po policję. Wsunął komputer pod siedzenie i obszedł samochód, by otworzyć Faith drzwi. W laptopie znajdowało się mnóstwo ważnych informacji. Walker nie chciał, by jego właścicielem został Buddy Angel lub jakikolwiek inny palant, żyjący z okradania turystów.

- Naprawdę nie musisz iść ze mną na tę kolację - powiedziała po prostu Faith, kiedy trzymał przed nią otwarte drzwi jeepa.

- Podobnie jak wszyscy normalni ludzie o tej porze bywam głodny.

Zerknąwszy z ukosa, zobaczył na jej dolnej wardze charakterystyczny ślad zębów. Tak często spotykał się z żeńskimi przedstawicielkami rodu Donovanów, że wiedział, iż czasami nie odpowiada im towarzystwo mężczyzn. Na przykład, gdy mają ochotę na babskie pogaduszki.

- Nie martw się. Nie będę zdręczał cię swoim towarzystwem. Usiądę przy barze, wypiję słodką herbatę i zjem krewetki z kaszą.

Walker powoli otworzył drzwi restauracji i szybko rozejrzał się po całym pomieszczeniu. Nie zobaczył niczego, co wzbudziłoby jego podejrzenia. Nad barem unosił się gęsty obłok dymu. Było dość głośno. Odsunął się na bok i uprzejmie wskazał Faith drogę w głąb sali.

- Skąd wiedziałeś, że w „La Cucina” jest bar? - spytała, marszcząc nos, gdy dotarła do niej fala dymu.

- Zadzwoiłem i spytałem. Widzisz Mel?

Nim Faith zdążyła odpowiedzieć, w ich stronę ruszyła smukła brunetka w granatowym ciężowym ubraniu i w butach na niezbyt wysokich obcasach.

Można było odnieść wrażenie, iż przyjaciółka Faith nie pasuje do tego typowo południowego otoczenia. Mimo ciąży była opalona, jakby bardzo dużo czasu spędzała poza domem. Jej sięgająca do połowy łydek sukienka stanowiła odpowiedź konserwatywnego południa na zwyczaj noszenia przez kobiety spodni. Mel była niższa o kilkanaście centymetrów od Faith, a w jej pierścionku zaręczynowym połyskiwał trzykaratowy birmański rubin. Oprawiony w kute złoto, wyglądał na palcu jak wypłowiała krew.

Mel chwyciła Faith w objęcia i sama również została powitana z ogromnym entuzjazmem. W srebrnobłękitnych oczach Faith załśniła radość i zakręciła się łezka.

- Mój ty Boże, to już tyle lat! - zawołała Mel, uśmiechając się promiennie.

Jej akcent bardziej wskazywał na Kalifornię niż Georgię. Odsunęła Faith na odległość ramienia.

- Niech ci się przyjrzę. Ani trochę się nie zmieniłaś. Jesteś chuda i śliczna jak zawsze. W Seattle musi być mnóstwo ślepych mężczyzn, skoro żaden z nich jeszcze cię nie złapał.

- Nie widzą, ponieważ u nas ciągle pada deszcz - zażartowała Faith.

Mel wywróciła ogromnymi, ciemnymi oczami jak aktorka, którą niegdyś zamierzała zostać, o czym świadczył obrany przez nią kierunek studiów.

- No cóż, to wszystko wyjaśnia. - Odwróciła się do walkera i wyciągnęła rękę. - Cześć, nazywam się Mel Montegeau, a przynajmniej za kilka dni tak będę się nazywała. No cóż, jeśli liczysz, że dziś wieczór uda ci się dojść do słowa, to masz pecha. Zbyt dużo czasu upłynęło od mojej ostatniej rozmowy z Faith.

- Miło mi cię poznać - powiedział, delikatnie ściskając jej dłoń. - Mów mi Walker. Od dawna znam Faith i Honor, toteż wiem, że kiedy zaczną gadać, chłopak z prowincji taki jak ja nie ma żadnych szans. Jestem gotów usiąść przy barze i poczekać, aż skończycie.

Faith słyszała w głosie walkera wyraźny południowy akcent. Zastanawiała się, czy jej towarzysz chce, żeby Mel uznała go za tępaka z nizin. Chyba że jego akcent

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
przybierał na sile w cieniu zimozielonych dębów i magnolii.
- Jesteś przyjacielem rodziny? - spytała Mel.
- Znam wszystkich Donovanów razem i każdego z osobna
- zaciągał walker. Z nieśmiałym uśmiechem na ustach
ciężko oparł się na lasce. - Pomagam Faith w pilnowaniu
niewielkiego stoiska jubilerskiego na wystawie, to znaczy
obserwuję klientów i tak dalej. Dzięki temu ona może robić,
co do niej należy. Teraz, jeśli panie pozwolą, będę między
pałaczkami.
- Nonsens - powiedziała Mel. - Poprosimy kierownika
sali, żeby dołożył trzecie nakrycie.
- Dziękuję, psze pani, ale to nie jest najlepszy pomysł.
Na pewno z prawdziwą przyjemnością oddacie się rozmo-
wie na temat rosnących dzieciaków i te de. Słuchając was,
czułbym się tak, jakbym miał za ciasny kołnierzyk koszuli.
Mel ze śmiechem spojrzała na Faith, bez słowa pytając ją,
czy się zgodzi, by walker jadł sam.
- Jeśli znudzi ci się oglądanie kanału sportowego, daj
znać - zaproponowała Faith walkerowi.
- Tak jest, psze pani. Krzyknę.
- Walker - powiedziała Faith słodkim głosem - jeśli
jeszcze raz do którejś z nas powiesz „psze pani”, zdieję cię
przez łeb swoją własną łaską.
- Jak sobie życzysz, złotko.
Mel parsknęła śmiechem. Potem patrzyła, jak walker,
lekko utykając, wędruje przez zatłoczoną salę w kierunku
baru.
- Czy to coś poważnego?
- Masz na myśli walkera? - spytała Faith zaskoczona.
- Jego utykanie.
- Niedawno miał wypadek.
- Cieszę się. To pierwszorzędny facet. Nawet nie chcę
myśleć, że coś mogłoby uszkodzić te delikatne i elastyczne
mięśnie.
- Hej! Dziewczyno! Jesteś mężatką. Na dodatek spodziewasz
się dziecka.
- Te sprawy nie mają żadnego wpływu na to, co widzę, -
Mel objęła Faith i ruszyła z nią w stronę małego stolika. -
Czy Kyle nadal jest taki przystojny jak niegdyś?
- Tak. Został ojcem bliźniaków - chłopca i dziewczynki -
i mężem kobiety, która czasami pokonuje go w karate.
- Mówisz to wszystko, żeby zmusić mnie do płaczu. Na
pierwszym roku studiów byłam zakochana w nim po uszy.
- Jak każda dziewczyna, która go zobaczyła. Z wyjątkiem
tych, które wcześniej miały do czynienia z Lawe'em,
Justinem albo Archerem.
- Nie ma faceta przystojniejszego niż Kyle.
- Jeśli ktoś lubi blondynów.
- A dlaczego nie? - Mel zbliżyła krzesło i konfidencjonalnie
pochyliła się nad stolikiem. - Chyba że za sprawą tego
siedzącego przy barze, mówiącego z lekkim południowym
akcentem ciemnowłosego chłopca przestawiłaś się na
brunetów?
Faith chciała wyjaśnić, że walker jest pracownikiem Archera,
a nie jej chłopcem. Przestraszyła się jednak, że wtedy
zostanie zasypana lawiną pytań.
- Od zerwania z Tonym trzymam się od mężczyzn z daleka
- wyjaśniła, wybierając łatwiejsze rozwiązanie.
- Z Tonym?
- Moim byłym narzeczonym.
- O-la-la! Tyle czasu minęło. Byłam tak zafascynowana
historią rodu Montegeau, że zapomniałam o bożym świecie.
- Nie - zaproponowała Faith cicho. - To moja wina. Tony
nie chciał nawet słyszeć o moich przyjaciółach, zwłaszcza
tych, których nie znał. Dlatego zdecydowałam się powoli
o nich zapomnieć. Prawdopodobnie przeszkadzałyby mu
również i moja rodzina, gdyby nie to, że chciał robić z nią
interesy.

- Czyżby był zaborczy? - Mel uśmiechnęła się do kelnerki, która wręczyła im karty.

- Bardzo.

- Cieszę się, że z nim zerwałaś. Z pewnością nosił podkoszulki na ramiączkach, żeby było widać wszystkie jego mięśnie.

- Skąd wiesz?

- Tutaj, na południu, nazywamy je „koszulkami damskich bokserów”.

Faith udała, że czyta menu. Mel zażartowała, ale była zbyt bliska prawdy. Chociaż dlatego Faith zakończyła swój romanś z Tonym, nie chciała, by ktokolwiek o tym wiedział, ponieważ wówczas prawdę mogliby poznać również i jej bracia. A to pociągnęłoby za sobą więcej kłopotów, niż wart był nieudacznik taki jak Tony.

- Co polecasz? - spytała Faith przez ściśnięte gardło.

- Wszystko jest tu fantastyczne i chętnie zamówiłabym sobie każdą z tych potraw. Boże, nigdy nie zdołam wrócić do swojego dawnego rozmiaru.

- To dobrze. Mężczyźni lubią pulchne kobiety.

- Łatwo ci mówić. Ty możesz jeść wszystko, co chcesz.

- Mogłabym, gdybym chciała ciągnąć za sobą tyłek po podłodze - wybuchnęła Faith. - Tylko ja wiem, przez co przechodzę, gdy zjem dodatkowy kawałek pizzy. Chociaż gdyby tych centymetrów przybywało mi nieco wyżej, mogłabym jeść pizzę trzy razy dziennie. Z lodami.

- Przestań. Ślinka mi cieknie. Odkąd przestałam wyrzucać z siebie żołądek, jednym z moich najskrytszych marzeń są lody ze śmietanką i owocami.

Faith odrzuciła do tyłu głowę i wybuchnęła głośnym śmiechem. Zapomniała, jak ogromną przyjemność sprawiało jej towarzystwo Mel. Dopiero teraz uświadomiła sobie, z ilu rzeczy zrezygnowała dla Tony'ego. Przypomniawszy sobie, jak bardzo chciała go zadowolić, była przerażona, wręcz czuła mdłości.

Cicho powtórzyła sobie mantrę, do której wracała, leżąc na podłodze w pokoju Tony'ego, kiedy w uszach dzwoniło jej po przypadkowym ciosie. To już koniec. Było. Minęło. Coś takiego nigdy więcej się nie zdarzy. To już koniec. Było. Minęło. Ale tamto doświadczenie nie poszło na marne. Wyciągnęła z niego ważne wnioski. Nigdy więcej nie dopuści, by o wszystkim w jej życiu decydował mężczyzna.

- To co będzie z tą historią rodu Montegeau? - spytała Faith, kierując rozmowę na bezpieczne tory.

- O mój Boże, ród Montegeau - jęknęła Mel, pochylając się konfidencjonalnie nad stolikiem. - To typowi południowcy.

- Wcale mnie to nie dziwi. W końcu jesteśmy na Południu. Czy mówimy o Południu Erskine'a Caldwella czy Południu Tennessee Williamsa?

- A na czym polega różnica?

- Biedny śmieć kontra bogaty śmieć.

Nim Mel zdążyła odpowiedzieć, pojawił się kelner. Był to smukły młody mężczyzna, dobrze prezentujący się w smokingu. Postawił na stoliku spodeczek z oliwą z oliwek posypaną tartym parmezanem i świeżo mielonym pieprzem. Wyrecytował litanię dań specjalnych, makaronów, ryb i mięs, po czym odszedł.

Faith zamoczyła kawałeczek chleba i mruknęła z zaskoczenia i zadowolenia. wciąż była zajęta kosztowaniem i rozmową ze swoją przyjaciółką, kiedy w otwartych drzwiach restauracji pojawiła się następna para. Kierowniczka sali miała zamiar odprawić gości z kwitkiem, mężczyzna powiedział jednak coś, co musiało zmienić jej decyzję. Hostessa rozejrzała się po sali, po czym dała sygnał pomocnikowi kelnera, żeby rozłożył dodatkowy stół. Właściwie był to mały stolik, gdyż musiał się zmieścić w pobliżu miejsca, gdzie siedziały Faith i Mel. Walker kątem oka obserwował całą transakcję. Przypuszczał,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

że za chwilę jakiś banknot zmieni właściciela. Zmienił. Wcześniej jednak mignęło skórzane etui z odznaką. Ruch był nieznaczny i dyskretny. Dzięki niemu Walker wiedział, że FBI postanowiło właśnie zjeść z nimi kolację w „La Cucina”. Faith roześmiała się, potem lekko potrząsnęła głową, kiedy kelner zaproponował, że doleje jej więcej wina. —, — Założycielem rodu Montegeau był pirat™ spytała. — Chyba żartujesz. To zdecydowanie nie pasuje do Tennessee Williamsa.

— Och, nie wiem. Nie uwierzyłabyś, jak często bogactwo starych rodów brało swoje początki ze skażonych studni. — Mel zerknęła łakomie na chleb i oliwę z oliwek, potem pomyślała o bezlitosnej wadze czekającej w domu i poprzestała na łyku wody mineralnej. — Tak czy inaczej, Jacques „Black Jack” Montegeau był zwyczajnym rabusiem. Nie dostał od żadnego króla ani królowej licencji na korsarstwo. Jego działalność nie miała zabarwienia politycznego, był to po prostu najwykleszy pod słońcem gwałt i grabież. Jeśli udało mu się uprowadzić jakiś okręt, wszystko należało do niego. Najczęściej zabierał kosztowności i zabijał pasażerów, chyba że mógł dostać za nich okup.

— Ojej! To a propos czarnych owiec. A myślałam, że tylko Donovanowie mają wśród swoich przodków wyjętych spod prawa Szkotów, czarownice, złodziei koni oraz mężczyzn, którzy strzelali jako pierwsi i ostatni — jednym słowem, zawsze mieli przy sobie broń.

— Zupełnie jakbyś mówiła o Montegeau.

Mel dostrzegła zbliżające się do nich sałatki. Niósł je pełen gracji, niezwykle przystojny kelner. Pochyliła się do Faith i powiedziała cicho:

— Gdybym miała rzęsy tego chłopca, spaliłabym swoje. Faith zagryzła wargę, żeby nie wybuchnąć gromkim śmiechem. Tymczasem kelner, który rzeczywiście miał nieprawdopodobnie długie rzęsy i zwracające uwagę zielone soczewki kontaktowe, położył talerz z sałatkami dokładnie na środku każdej zastawy. Po kilku godnych eksperta potrząśnięciach pieprzniczką, zostawił klientki same.

— Takie rzęsy można kupić w każdym salonie piękności

— zauważyła Faith, starając się mówić cicho.

— Och, co za rozczarowanie! — Mel dramatycznie nadęła usta. — Zupełnie jakbyś odkryła, że twoja waga liczy kalorie, które według ciebie absolutnie nie powinny się liczyć.

— Powiedz mi coś wesołego. Ilu ludzi zabił Black Jack Montegeau?

Mel beztrąsko machnęła widelcem.

— Tysiące. No, może setki. Na pewno dwudziestu albo trzydziestu.

— Potem go złapano i powieszono?

— Uniknął wymiaru sprawiedliwości. Przekupił tutejsze władze kilkoma kuframi błyskotek, został ułaskawiony i poślubił miejscową piękność, której rodzinie bardziej zależało na pieniądzach niż na szacunku. Jej jedynym posagiem była rubinowa broszka rozmiaru kurczaka.

— Biedaczka.

Mel wzruszyła ramionami.

— Nie musisz jej współczuć. Zamieniła życie starego pirata w istne piekło. Żeby od niej uciec, palił tytoń ze służącymi na tylnej werandzie domu.

— Jakież dzieci?

— Oficjalnie mówi się o dwojce. Legenda głosi, że było ich dużo więcej. Te, do których przyznaje się rodzina, to synowie. Popłynęli do Anglii, do szkół, zostali kapitanami

i kontynuowali karierę kochanego, starego tatuśka. A może

robili to wnukowie? Albo prawnukowie? — Mel wzruszyła

ramionami. — Nieważne. Tak czy inaczej kontynuowali tradycję.

— To znaczy, że byli piratami?

— Widzę, że załapałaś. Różnica polegała na tym, że potomkowie

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna mieli głowy na karku i załatwili sobie licencję na kradzież. Mimo to jeden z nich i tak został powieszony. Nie potrafił przepłynąć spokojnie obok wyładowanego po brzegi statku, niezależnie od tego, jaką miał banderę. Drugi syn się ożenił i miał dzieci. Legenda głosi, że córka pływała po morzu razem z braćmi, ale nikt nie chce rozmawiać na jej temat. Widocznie przejęła cechy pierwszej pani Montegeau - właścicielki rubinowej broszki rozmiaru kurczaka. Faith z uśmiechem słuchała Mel.

- Potem jakimś cudem zaczęli parać się jubilerstwem, a rodzina weszła w posiadanie Rubinowych Bagien - ciągnęła, nie przerywając jedzenia. - Chociaż nazwa ta została ukuta nieco później. Legenda rodzinna głosi, że owa ziemia stanowiła okup za bogatego plantatora. Jeśli to prawda, człowiek ten dobrze wiedział, jak zemścić się na swoich prześladowcach.

- Dlaczego?

- To wszystko działo się tuż przed wojną Północy z Południem. Przez kilka następnych lat nikomu nie udało się sprzedać bawełny. Jednak jakimś cudem ród Montegeau nie tylko zdołał przetrwać ten trudny okres, lecz jeszcze zbudował w tym czasie okazałą rezydencję. Wtedy właśnie zaczęto nazywać tę posiadłość Rubinowymi Bagnami, ponieważ przypuszczalnie budowa domu została sfinansowana ze sprzedaży części rodzinnych klejnotów, które wcześniej ukryto w pobliskich błotach. A może te rubiny ukradziono ze sklepu jubilerskiego? - Mel jęknęła sfrustrowana. - Trudno dokładnie zapamiętać wszystkie te krwawe szczegóły. W każdym razie klejnoty rodzinne najpierw zostały gdzieś ukryte, a potem sprzedane. Pieniądze przeznaczono na budowę domu.

Faith przypomniała sobie Walkera i jego niewygodny sposób przenoszenia kamieni szlachetnych.

- Przestań prychać w swoją sałatkę - zażartowała Mel. - Nie miałam na myśli tego rodzaju klejnotów "rodzinnych."

- Szkoda. Wyobrażam sobie, ile zapłaciłyby niektóre rządy, żeby zobaczyć śmierć ostatniego z rodu Montegeau.

- Może kiedyś. W dwudziestym wieku rodzina ta zaczęła cieszyć się szacunkiem, a w dwudziestym przeważnie też jej się to udawało. Biżuteria, połów krewetek, rolnictwo.

- Co to znaczy „przeważnie też jej się to udawało”?

- No wiesz, wciąż trzymają w bibliotece naładowaną strzelbę - chyba też samą, z której zastrzelony został dziadek Jeffa - jednak stopniowo przestawili się z korsarstwa na import. Widelec Faith zawisnął nad ostatnim liściem sałaty. Postanowiła pominąć sprawę strzelby, a rozwinąć drugi z poruszonych tematów.

- Z korsarstwa na import. To niezły przeskok.

- Wcale nie. Specjalizują się w biżuterii i dziełach sztuki pochodzących ze starego kontynentu.

- Ojej! Czyli handlują dokładnie tym samym, co niegdyś kradli.

Mel skrzywiła się.

- Nie mów tego przy papciu Montegeau. Jest przewrażliwiony na punkcie rodzinnych czarnych owiec. Ilekroć Tiga...

- Kto taki?

- Antigua Montegeau, ciotka Jeffa, stara panna. Siostra jego ojca. No wiesz - obowiązkowy świr.

Faith przełknęła sałatkę, żeby się nie zakrztusić.

- Co takiego?

- No wiesz, zwariowana starsza krewna. W każdej rodzinie musi być ktoś taki. Na Południu pomyłenci pełnią funkcję atrakcji turystycznych. Rząd powinien sporządzić specjalny historyczny rejestr tutejszych wariatów. W drugim mógłby zamieścić duchy.

- Nie rozumiem.

- Witaj na Południu. Potrzebowałam wielu miesięcy, żeby ustawić w należyтым szeregu poszczególnych Montegeau, umarłych i żywych. - Mel oblizała widelec do czysta.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Gdybym sięgała do twojego kieliszka wina, daj mi po ła-pach. Chociaż lekarz mówi, że ły-czek lub dwa przy jakiejś okazji nie zaszkodzą dziecku, chcę się spisać na medal.

- Spisać?

- Jako dobra matka.

Faith dostrzegła, że przez ładną twarz Mel przemknął smutek. Sięgnęła przez stół, by ująć dłoń przyjaciółki. Mel miała nieciekawe dzieciństwo, głównie dzięki matce, która otwierała usta tylko po to, żeby krytykować córkę. Jakimś cudem Mel wyrosła na całkowite przeciwieństwo swojej uszczypliwej matki. Od momentu, kiedy się poznały, Mel zawsze była serdeczna, często się uśmiechała i prawila mnóstwo komplementów.

- Będiesz bardzo dobrą matką - zapewniła ją Faith, wychylając się do przodu, żeby przez chwilę potrzymać dłoń przyjaciółki. - Nauczysz swoje dziecko śmiać się, żyć pełnią życia i szanować uczucia innych ludzi.

Mel westchnęła i niewyraźnie się uśmiechnęła.

- Dzięki. Martwię się o to, że mogę być taka jak moja matka.

- Ona znalazłaby coś złego nawet u Pana Boga. Powiedz mi coś o swojej nowej rodzinie. Wygląda na to, że jest znacznie bardziej interesująca.

- Och, odkąd zrezygnowali z rabunku i rozboju, stali się całkiem normalnymi obywatelami, jeśli nie liczyć duchów i zamykanego na strychu świra.

- Duchy też urzędują na strychu?

- Taak, ale w tych okolicach ukrywają tam jedynie żywych wariatów. I tylko wówczas, gdy ma przyjechać ktoś naprawdę ważny.

Faith ze śmiechem potrząsnęła głową.

- Tęskniłam za tobą, Mel.

- Naprawdę? Ale potrzebna była dopiero wystawa biżuterii, żebyś pojawiła się po tej stronie kontynentu?

- Przyznaję się do winy.

- Bardzo chciałabym zobaczyć tę wystawę, ale papcio Montegeau osobiście dopilnował, żebym przez cały czas miała ręce pełne roboty. Nie dał mi nawet tyle wolnego czasu, żebym spotkała się z tobą podczas lunchu. Posprzeczałam się o to z Jeffem. I wiesz co? Mój przyszły mąż stanął po stronie swojego ojca. To naprawdę mnie wkurzyło.

Faith zasłoniła się kieliszkiem wina, by ukryć uśmiech.

Podejrzała, iż panowie Montegeau nie chcieli, by Mel przed ślubem zobaczyła rubinowy naszyjnik. Dobrze jednak, że Mel nie przyszła na lunch. Jedzenie było wspaniałe, ale późniejszy napad rzucił na resztę dnia niemiły cień.

- Wychodzę za mąż za ostatniego dozorcę niewolników

- burknęła Mel, kiedy kelner zabierał talerze po sałatkach.

- Naprawdę?

- Co takiego? Och, nie. Nie dosłownie. Być może przed wojną konfederacką klan Montegeau miał kilku niewolników, ale szczerze w to wątpię. Rodzinne fortuny pojawiały się i znikwały jak ekspresowa winda, a niewolnicy byli naprawdę drodzy.

- Jak ekspresowa winda?

- Zawrotna kariera, zawrotna kariera, spadek do klasy średniej - wyjaśniła Mel. - Albo bogacz, bogacz, biedak, bogacz...

- Rozumiem - przerwała jej Faith. - Każde pokolenie kuło własny los. Sądząc po twoim pierścionku zaręczynowym, Jeff wysoko zaszedł.

Mel zawałała się. W jej pięknych, brązowych oczach błysnęło coś, co przypominało strach. Potem uśmiechnęła się raczej z determinacją niż z przekonaniem.

- Mimo siedemdziesięciu jeden lat papcio Montegeau mocno trzyma lejce. Jeff najczęściej wykonuje tylko rozkazy.

- To musi prowadzić do ożywionych rodzinnych dyskusji.

Takich, jakie prowadziłyby księżę zastanawiający się, kiedy

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

podstarzały król usunie się na bok.

Słyszając w głosie Faith zrozumienie, Mel się uśmiechnęła.

- Jeff zbliża się do czterdziestki. Jest naprawdę zmęczony czekaniem. Ale papcio Montegeau poprzysiągł sobie, że zrobi wszystko, by ród Montegeau znowu się wzbogacił.

- Czyżby miał zamiar wrócić do gwałtu i grabieży? - spytała Faith sucho.

- Nie. Bardziej interesuje go ziemia.

- Rozumiem, współczesne piractwo. Nie podążaj na śmierć z zawiązanymi oczami, lepiej oddaj mi oszczędności swojego życia za ten pięknny kawałek ziemi przy nabrzeżu. Tylko musisz odwiedzić go podczas odpływu, bo inaczej będziesz miał słoną wodę w ustach.

Mel wybuchnęła gromkim śmiechem, aż podskoczyły jej kasztanowe włosy.

- Niegrzeczne dziecko! Nie waz się mówić niczego takiego przy papciu. Ten człowiek nie ma ani krztyny poczucia humoru, zwłaszcza gdy chodzi o ziemię i pieniądze.

- Nie martw się. Nawet nie zobaczę się z twoim teściem.

- Zobaczysz się z nim, zobaczysz. Po zamknięciu wystawy.

Chcielibyśmy, żebyś do ślubu zatrzymała się w Rubinowych Bagnach. Bo przyjeżdżasz na ślub, prawda? Proszę, powiedz „tak”. - Niepewny uśmiech Mel groził zniknięciem. - Kiedy Jeffowi strzelił do głowy ten romantyczny pomysł, żebyśmy się pobrali w walentynki, na dodatek w Rubinowych Bagnach zamiast w Savannah, musiałam zmienić wszystkie swoje plany dotyczące ślubu. Wiele osób nie będzie mogło przyjechać, gdyż za późno powiadomiłam ich o zmianie, podejrzewam jednak, że to i tak nie ma żadnego znaczenia, gdyż w bibliotece nie zmieści się więcej niż dziesięć, dwadzieścia osób.

Faith dostrzegła w oczach Mel obawę i smutek. Podejrzewała, że przyjaciółka nie jest zadowolona ze zmiany weselnych planów.

- Oczywiście, będę na ślubie - zapewniła Faith - ale...

- Och, już wiem - zawołała Mel z zapałem. - Zabierz ze sobą Owena Walkera. Chcemy, żeby on również przyjechał do Rubinowych Bagn. Papcio Montegeau powiedział, że tyle dla ciebie możemy zrobić, ponieważ wyświadczyłaś nam naprawdę ogromną przysługę. Nie powiedział tylko jaką. Czy to sekret?

Kelner przyniósł kolację, ratując Faith przed koniecznością udzielenia natychmiastowej odpowiedzi na któreś

z tych pytań. Wiedziała, że Walker bardzo chętnie wybierze się do Rubinowych Bagn, ponieważ chce porozmawiać z członkami rodu Montegeau o ewentualnej odsprzedaży rodzinnych rubinów. Jednak samej Faith ta perspektywa niezbyt odpowiadała. Niepokoiła ją myśl, że jeszcze przez kilka najbliższych dni będzie skazana na ciągłe towarzystwo Walkera.

Na razie, zgodnie z danym sobie przyrzeczeniem, Faith obywała się bez mężczyzn i bardzo jej to odpowiadało. Walker podważał słuszność tego postanowienia.

Naprawdę wyglądało na to, że ją lubi. Nawet śmiał się z jej żartów. A gorące błyski, które momentami widziała w jego niebieskich oczach, wzbudzały w niej ciekawość.

Albo coś w tym rodzaju.

- Twoje krewetki bosko pachną - zauważyła Mel, rozrywając na kawałki swojego miecznika z polentą.

- Chcesz trochę?

- Jasne. A tak przy okazji, to był naprawdę pomysł taty, chociaż nie wiem, czy to coś zmienia.

Faith natychmiast pomyślała o pięknym rubinowym naszyjniku.

- O jakim pomyśle mówisz? - spytała ostrożnie.

- Żebyś przyjechała i zatrzymała się na kilka dni w Rubinowych Błotach. Wie, że nie mogę się doczekać twojej wizyty. - Mel skrzywiła się. - Prawdę mówiąc, dość poważnie pokłóciłam się z Jeffem o ten nieszcześny lunch.

Widocznie tata to usłyszał, ponieważ zasugerował, żebyś

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

przyjechała do Rubinowych Błot i została z nami aż do ślubu.
- Nie chcę, żebyś z mojego powodu miała jakiegokolwiek kłopoty z Jeffem.

- Jeśli ojciec powie „tak ma być”, tak jest. - Usłyszawszy własne słowa, skrzywiła się. - Mówię, jakby był tyranem. Wcale nim nie jest. Naprawdę. Szybciej można by go uznać za... sama nie wiem... człowieka, który robi wszystko, by postawić na swoim. Wie, co jest najlepsze dla rodziny, i tyle. Ma dobre zamiary, a w stosunku do mnie jest ciepłym, szorstkim, starym pluszowym misiem.

- Zupełnie jak wielki Donovan - powiedziała Faith, mając na myśli swojego ojca.

- Uhm. Czy on i synowie wciąż ze sobą walczą?

- Tylko co kilka dni.

- A potem się godzą, otwierają piwo i zacieśniają więzi, oglądając mecz NFL, prawda?

Faith ze śmiechem rozerwała krewetkę.

- Zapomniałam, że masz braci.

- Tylko dwóch. Starszego i młodszego od siebie. Szkoda, że mama i ja nie mogłyśmy po prostu otworzyć piwa i zacieśnić więzi przy garnkach.

W głębi duszy Faith wątpiła, czy z matką Mel można by zacieśnić więzi nawet za pomocą najmocniejszego kleju.

- No cóż, to już przeszłość - zauważyła Mel. - Pozwól, że opowiem ci o Tidzie i Błogosławionym Kufrze rodziny Montegeau. To dużo ciekawsze.

- Tiga - powtórzyła Faith. - To ta stuknięta ciotka?

- Stuknięta? Przeskakuje między rzeczywistością a swoim wyimaginowanym światem szybciej niż niejeden bohater serialu „Star Trek”. Lubi się również skradać. Ilekroć się obejrzę, zawsze ją widzę. Jeff powiedział, że bym udawała, że jej nie dostrzegam. Wszyscy tak robią. Po jakimś czasie przyzwyczaiałam się do tej ciotki, tak samo jak do tapety w salonie. Ma najdziwniejszy odcień zieleni, jaki kiedykolwiek widziałem.

Faith powstrzymała się od śmiechu i wypiła łyk wina.

- W takim razie zostaje już tylko Błogosławiony Kufer.

- Do czego?

- Do wyjaśnienia. Miałaś zdradzić mi jego tajemnicę.

- No tak. - W brązowych oczach Mel błysnął figlarny płomyk. - To musi być zabawne, gdy dorasta się razem z siostrą. Można dzielić się sekretami, żartami i chłopcami.

- Chłopcami nie. Za nic w świecie. Honor i ja byłyśmy na to za mądre. - Faith uśmiechnęła się z pewnym utęsknieniem.

- Tak, to rzeczywiście zabawne. Ale czasy się zmieniają.

Moją siostrę bliźniaczkę i mnie wciąż łączy bliska więź, ale Honor jest teraz żoną i matką. Z wielu powodów znalazłyśmy się w dwóch różnych światach.

Faith wzruszyła ramionami, jakby to nie miało właściwie żadnego znaczenia, chociaż zaręczyła się z Tonym tylko dlatego, że czuła, iż została zdystansowana. To był jej największy błąd, ale sporo się przy tej okazji nauczyła. Teraz już wiedziała, że żaden mężczyzna nie ma wpływu na jej szacunek do siebie. W tym względzie ostatnie słowo należy do osoby widocznej w lustrze.

- A co z tym Błogosławionym Kufrem?

Mel wbiła widelec w krewetkę na talerzu przyjaciółki. Wraz z krewetką pociągnęła długi paseczek linguini. Wessała go ze zdumiewającą elegancją. Faith ukryła uśmiech za papierową serwetką. Postanowiła, że nie zażąda w zamian kawałka miecznika. Widocznie Mel była po prostu głodna.

- To właśnie w tym miejscu pojawiają się duchy - odparła Mel, po czym kilkakrotnie dotknęła warg serwetką, zostawiając na niej delikatną smugę brązowośliwkowej szminki o odcieniu idealnie pasującym do lakieru na długich paznokciach.

- Nim pierwszy Montegeau zdołał spłacić

wszystkich, którzy chcieli go powiesić, został goły jak święty turecki.

Faith zamruwała, zamarła w bezruchu, po czym zorientowała się, do czego zmierza Mel. Była to umiejętność zauważalna już na pierwszych latach studiów, kiedy miały wspólny pokój.

- Przynajmniej tak wszystkim mówił - dodała Mel. -
Może zresztą to prawda. Niemniej część bogactwa została. Była to solidna srebrna szkatułka, pięknie rzeźbiona, jak nakazywała ówczesna hiszpańska moda. Kuferek ten miał dziesięć albo dwadzieścia centymetrów szerokości i dwadzieścia albo czterdzieści centymetrów długości, w zależności od tego, jakie kto wiązał z nim nadzieje.

- A jednak to sporo srebra.

- Daj spokój, to powinno być złoto.

- Powinno?

- Jasne. - Mel machnęła pustym widelcem. - Kto przejmuje się legendami o srebrze? we wszystkich opowieściach zazwyczaj jest mowa o złocie. Czy kiedykolwiek słyszałaś, by bieg wydarzeń zmieniła gorączka srebra?

Pusty widelec gwałtownie opadł w dół, dźgnął następną krewetkę Faith i oddalił się w stronę talerza Mel wraz ze wstążką linguini. Po chwili po krewetce i makaronie nie było już ani śladu.

- Ciesz się, że chodzi o srebro - powiedziała Faith. -

Gdyby to było złoto, w jakimś gorszym okresie któryś z Montegeau po prostu zastawiłby kufer.

- Nawet obecnie byłoby to możliwe, pod warunkiem że wcześniej zdołaliby go znaleźć.

Mel zerknęła na kilka krewetek, które zostały na talerzu Faith, postanowiła jednak trzymać widelec przy sobie. Tylko na tyle pozwalała przyjaźń. Nie wspominając już o pasku sukienki ciążowej.

- Czyżby Montegeau stracili Błogosławiony Kufer? - spytała Faith.

- Obawiam się, że tak. Ktoś wkradł się do Rubinowych Bagien i zastrzelił dziadka Jeffa, Richa. Albo morderca ukradł Błogosławiony Kufer, albo zabijając Richmonda Montegeau, wyprawił na tamten świat jedyną osobę, która wiedziała, gdzie ukryty jest skarb. Babka Jeffa, Bess, po śmierci męża trochę ześwirowała, ale nie na tyle, żeby trzeba ją było zamykać w komórce albo na strychu. Było to raczej dystygowane załamanie nerwowe, po którym przez pięć lat umierała. Antigua, która w chwili śmierci ojca miała czternaście albo piętnaście lat...

- To ta ciotka Jeffa, która przeskakuje między rzeczywistością a wymagowanym światem? - wtrąciła Faith.

Mel przytaknęła.

- Tiga mogła być świadkiem morderstwa. Jednak nikt tego nie wie, a sama Tiga nigdy na ten temat nic nie mówi, a nawet jeśli coś chce przekazać, nikt nie potrafi jej zrozumieć.

Nie należy jednak zapominać, że Tiga po śmierci swojego ojca, Richa, nigdy nie odzyskała równowagi psychicznej. Trzymała się zresztą dzielnie i wychowywała młodszego brata - to obecny papcio Montegeau - ponieważ matka coraz bardziej traciła kontakt z rzeczywistością, ale już wtedy ciocia Tiga była nieco dziwna.

Faith zamruwała, uporządkowała zasłyszane informacje i złapała wątek.

- Rozumiem, że później stan Tigi się nie poprawił?

- To zależy, co rozumiesz przez „poprawę”. Z tego, co wiem, zdaniem duchów, jest lepsza od kawałka pizzy. Więc kiedy pojawisz się w Rubinowych Bagnach, po prostu traktuj ją jak domowego kotka. Jeśli będzie chciała z tobą porozmawiać, słuchaj jej i staraj się nie okazywać zażenowania.

Jeśli nie będzie zwracała na ciebie uwagi i zaczniesz prowadzić dyskusję z dawno zmarłymi członkami rodu Montegeau, podam ci genealogię, żebyś przynajmniej wiedziała, kto jej odpowiada. Albo o czym mówi. - Mel zrobiła przerwę.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Czy duch to „coś” czy „ktoś”?

Faith nawet nie starała się zapanować nad wybuchem śmiechem.

- Zapytaj kogoś z nich.

- Zostawię to cioci Tidze. Gdzie to ja byłam? Nie, żadnych podpowiedzi. Liczę na to, że jeśli będę mówić dość szybko, nie zabijesz mnie za to, iż wykradłam z twojego talerza wszystkie krewetki. Spróbujmy sprawdzić. Błogosławiony Kufer - powiedziała triumfalnie, odwracając wzrok od kusząco pełnego talerza stojącego po przeciwnej stronie stolika.

Ponownie zagryzając wargę, żeby zapanować nad śmiechem, Faith zsunęła widelcem swoje krewetki i makaron z sosem na talerz przyjaciółki.

- Jesteś święta - wyznała Mel. - Kalorie się nie liczą, jeśli ktoś dobrowolnie ci je odda, prawda? Boże, dlaczego wszystko, co niezdrowe, jest takie smaczne?

- Krewetki są dla ciebie zdrowe.

- Ale makaron i oliwa z oliwek nie. - Zamknęła oczy, delektując się każdą drobiną zakazanego jedzenia. W końcu jęknęła. - Koniec z rozpustą. Nawet gdybym błagała i śliniła się jak Obijacz.

- Chyba boję się zapytać. Kim jest Obijacz?

- Nie kim, ale czym. To ogromny ogar, którego Jeff znalazł rannego na poboczu drogi. Po opatrzeniu ran zabraliśmy go do domu. Nasz apartament na Hilton Head stał się za mały, gdy Obijacz wyzdrowiał - stąd wzięło się jego imię, bo o wszystko się obijał - więc oddaliśmy go pod opiekę tacie i Tidze. Bo czymże na południu kraju jest skrzypiąca rezydencja bez ogara?

- Błogosławiony Kufer - przypomniała Faith zdecydowanie, czując, że konwersacja ponownie wymyka jej się spod kontroli.

- Och, słusznie. - Mel wypiła łyk wody mineralnej, udała, że ma dosyć, po czym podjęła wątek. - Każde pokolenie miało dołożyć do Błogosławionego Kufra jakiś nadzwyczajny rubinowy klejnot lub naprawdę wyjątkowy luźny rubin. Było to coś w rodzaju tradycji, a jednocześnie zabobonu. Powiadano, że pokolenia, które włożą do Kufra rubiny i inne kosztowności, będą bogate. Te, które coś z niego wyjmą i nie zwrócą, zbiednieją.

Faith podejrzewała, że poprzednie pokolenia schowałyby ślubny naszyjnik Mel do Błogosławionego Kufra.

- Oczywiście, papcio Montegau nigdy nie miał szansy dołożyć niczego do Błogosławionego Kufra, ponieważ szkatułka została skradziona. Starszy pan swoje problemy finansowe tłumaczy utratą rodzinnego majątku.

- A co sądzi na ten temat Jeff?

- Że jego ojciec po prostu nie powinien zajmować się handlem nieruchomościami. W związku z tym Jeff prowadzi sklep jubilerski na Hilton Head, papcio wciąż próbuje dorobić się na nieruchomościach, a Tiga na swój stuknięty sposób prowadzi Rubinowe Bagna. Trzeba jednak przyznać, że dobrze gotuje. Robi najlepsze „roztrzepane, wymieszane i polane”.

- Nie rozumiem.

- Co to jest „roztrzepane, wymieszane i polane”?

- No właśnie.

- Ziemniaki roztrzepane z cebulą, wymieszane z serem i polane sosem - wyjaśniła Mel z rozmarzeniem w głosie. - To coś w rodzaju tutejszego śniadania. Mnóstwo kalorii i świeżych owoców.

- Zjedz następną krewetkę.

- Jeśli zamknę oczy, kalorie nie będą się liczyć, prawda? ^

- Uhm. - Faith nie udało się wymyślić miłszej odpowiedzi.

Tak jak podczas karmienia swojej siostrzenicy, wetknęła krewetkę między zachłanne wargi Mel.

Mel powoli pogryzła smakołyk, przełknęła go, westchnęła

i otworzyła oczy.

- Oprócz Jeffa świeże krewetki to najwspanialsza rzecz związana z pobytami na Południu. Kiedy będziesz mogła przyjechać do Rubinowych Bagien? Wystawę zamykają jutro po południu, prawda?

- Tak, ale niczego nie mogę obiecać. Zwłaszcza w imieniu Walkera.

- W takim razie pozwólmy, by mężczyzna sam podjął decyzję.

Mel wstała i podeszła do baru. Pomimo szóstego miesiąca ciąży - a może właśnie dlatego - poruszała się z kobiecą pewnością siebie, dzięki której przyciągała spojrzenia mężczyzn. Usiadła obok Walkera, pochyliła się teatralnie nad barem i zaczęła poprawiać coś przy kłapie jego marynarki.

- Co taki przystojny facet jak ty robi w tym barze? W kącikach oczu Walkera pojawiły się zmarszczki.

- Czeka, aż dopisze mu szczęście.

- Możesz uznać, że właśnie ci dopisało. - Pociągnęła go za kłapę.

- Jesteś pewna? Nie chcę przeszkadzać damom, którym w końcu udało się znaleźć trochę czasu dla siebie.

- Nie przeszkadzasz. Dojrzałyśmy już do tego, by przejść od przerażających historii na temat sal porodowych do zawsze interesujących rozgrywek ligi hokejowej.

Na jego twarzy, od oczu aż po usta, rozlał się uśmiech.

- Czy mam zabrać ze sobą stołek barowy?

- Jeśli będziesz mocno utykał, nasz kelner zrozumie, o co chodzi.

- No proszę.

Kelner bez trudu usadowił ich przy jednym stoliku. Udało mu się upchnąć dodatkowe nakrycie bez zrzucenia przy okazji zawartości talerza na kolana Faith, dzięki czemu zasłużył sobie na napiwek.

Wszelkie obawy Walkera, że może paniom przeszkadzać, zniknęły, gdy zobaczył Faith. Na początku kolacji była blada jak chińska porcelana. Teraz odzyskała kolory, a w jej srebrnoniebieskich oczach pojawiły się wesołe błyski. Z wyraźną przyjemnością dojadała ostatnią krewetkę i owijała makaron wokół widelca.

Z ulgą usadowił się na krześle.

- Dobrze na nią działasz - szepnął do Mel.

- Co masz na myśli?

- Napad bardziej wytrącił ją z równowagi, niż się do tego przyznaje.

- Napad?!

Okrzyk zaszokowanej Mel bez trudu dotarł do siedzących w pobliżu agentów FBI.

- Po lunchu - wyjaśnił Walker.

- Dzisiaj? - spytała Mel przerażona.

Faith przesłała mu spojrzenie mówiące: „Dobrze ci idzie, mistrzu”.

- O kurczę! - mruknął. - Wygląda na to, że Faith do niczego ci się nie przyznała.

- To przeważa szalę. Najpóźniej jutro wieczorem przyjeżdżacie do Rubinowych Bagien.

Walker zauważył kątem oka, że agenci wymienili szybkie spojrzenia. Na myśl, iż najlepiej ubrani ludzie wuja Sama będą się kręcić o północy wokół Rubinowych Bagien, Walker uśmiechnął się jak aligator.

- Nigdy nie odmawiam pięknym damom - odparł jak przystało na południowca. - Przyjedziemy.

Po rozdaniu przyznanych podczas wystawy nagród tłumy klientów i projektantów snuły się po sali wystawowej, podsumowując minione wydarzenia. Wśród oglądających krążyło przynajmniej dziesięciu ubranych po cywilnemu, lecz wyraźnie uzbrojonych mężczyzn. Po wczorajszym bezczelnym włamaniu organizatorzy woleli nie ryzykować. Zatrudnili policjantów, którym nie nakazali dyskrecji w noszeniu

broni.

Faith i Walker wmieszała się w tłum. Tego dnia Faith miała na sobie eleganckie spodnie, którego głęboka czerwień przywołała na myśl najprzedniejsze birmańskie rubiny. Niewygodne szpilki zamieniła na skromne z wyglądu, ale potwornie drogie czarne buty włoskie. Na szczęście okazały się niezwykle wygodne, a w tym momencie tylko to się dla niej liczyło.

Walker nosił tę samą ciemną kurtkę, świeżą jasnoniebieską koszulę bez krawata i ciemne spodnie - wszystko celowo dobrą tak, by jak najmniej rzucać się w oczy. Im mniej ludzi na niego patrzyło, tym swobodniej mógł obserwować, co się wokół dzieje, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi.

Jego osobistą nominację do tytułu „Najśmieszniejszego klejnotu” otrzymała ozdoba, która bardzo przypominała jajko sadzone. Z pewnością było to niezwykle kosztowne jajko, jako że żółtko wykonane zostało z eleganckich żółtych brylantów, a białko - z bezbarwnych. Walker nie potrafił wyobrazić sobie kobiety, która chciałaby nosić w klapie swojego kostiumu śniadanie za pół miliona dolarów. Z drugiej jednak strony był tylko chłopcem z prowincji. Nie miał pojęcia, co lubią kobiety z Manhattanu czy Los Angeles.

- Przestań prycać - powiedziała do niego Faith, nie poruszając wargami.

- Dlaczego? Ktoś, kto uznał tę spinę za „Najlepszy okaz”, musiał mieć spore poczucie humoru.

- To nie jest konkurs psów rasowych. Nagrodę przyznano za „Najbardziej inspirujący projekt”, a nie „Najlepszy okaz”. - Oparła się o gablotkę i przeczytała dołączony do nagrody fragment werdyktu jury. - Ta spinka jest „żartobliwą postmodernistyczną wypowiedzią na temat trywialności dnia codziennego, stanowiącej esencję życia nawet najbardziej niezwykłych ludzi”.

- To samo dotyczy zgniłków.

Zagryzła dolną wargę i próbowała nie wybuchnąć głośnym śmiechem. To tylko by go zachęciło. Niemniej z przyjemnością przypomniawszy sobie prawdziwe oburzenie widoczne na twarzy Walkera, kiedy naszyjnik Montegau otrzymał wyróżnienie „należne naszej utalentowanej projektantce z zachodniej części Stanów Zjednoczonych, pani Faith Donovan”. Walker niemal warknął na łysiejącego faceta, który wyglądał na profesora i z niezwykle protekcjonalną miną wręczał Faith oprawiony w ramki dyplom.

- Ten konkretny projekt - wyjaśniła spokojnie - wykorzystuje tradycje kulturowe na wschodnim wybrzeżu.

Obowiązująca tutaj koncepcja pięknej biżuterii wywodzi się z kręgów akademickich.

- Żaden profesor nie mógłby sobie pozwolić na takie jajko sadzone.

Chociaż Faith zacisnęła mocno zęby na dolnej wardze, nie zdołała zapanować nad prychnięciem.

- Nie o to chodzi. Zwycięski projekt przez najbliższe dziesięć lat będzie zamieszczany we wszystkich pracach na temat współczesnej biżuterii.

- Będzie zamieszczany? To znaczy, że uznano go za naprawdę ważny?

- Bo jest ważny. Jeśli po upływie roku klejnot nie zostanie kupiony do jakiegoś muzeum albo prywatnej kolekcji, kamienie zostaną wyjęte i wykorzystane do czegoś innego.

- Ten ostatni pomysł bardzo mi się podoba.

- Niegrzeczny piesek - mruknęła pod nosem.

- No proszę. Masz ochotę podrapać mnie po brzuchu?

Ścisnęła mu ramię i syknęła, próbując go uciszyć.

- Jako projektantka nie mogę się nadziwić, że nagrodę przyznano właśnie temu jajku sadzonemu, chociaż dawno temu minęła panująca w jubilerstwie epoka piaskowca i stali

nierdzewnej.

- Wyjaśnij mi to. Nie bardzo rozumiem.

- W ostatnich dziesięcioleciach dwudziestego wieku wielu projektantów biżuterii chciało, by o wartości danego klejnotu decydowała ich wizja artystyczna, a nie wartość rynkowa samych materiałów. Tak jak w przypadku malarzy i rzeźbiarzy. Same farby olejne i marmury nie kosztują aż tak dużo, liczy się koncepcja twórcy. Dlatego projektanci biżuterii zamiast złota, platyny i kamieni szlachetnych wykorzystywali powszechnie dostępne minerały i podstawowe metale.

- To duża oszczędność - zgodził się. - Ale ostateczna cena tego nie odzwierciedlała?

- Nie. Był to powrót do renesansowego pojęcia biżuterii, nim ludzie nauczyli się szlifować kamienie szlachetne i poznali ich prawdziwe piękno. Wcześniej o wartości danego klejnotu decydował pomysł, a nie tylko sama wartość kamieni. Potem poznaliśmy szlify i role się odwróciły. Najważniejszym elementem biżuterii stały się kamienie, a praca twórcy zeszła na drugi plan. Chociaż... hm... ten „żartobliwy postmodernistyczny” klejnot nie odpowiada moim upodobaniom, trzeba przyznać, że na jego końcową wartość taki sam wpływ mają użyte materiały, jak i koncepcja artystyczna.

Walker lekko przechylił na bok głowę, ponownie przyjrzał się lśniącej spince i przytaknął.

- W porządku. Jeśli spojrzysz na to pod takim kątem, sadzone przestaje być takie cholernie głupie. Ale gdyby traktować biżuterię w taki sposób, ta kartka powinna znaleźć się przy twojej pracy, a nie tego faceta. We wszystkich twoich klejnotach na końcową wartość wpływ mają zarówno kamienie, jak i wspaniały, piękny projekt.

- Wycofuję to, co powiedziałam o niegrzecznym piesku.

Jesteś kochany. Miło, gdy ktoś człowieka docenia.

Uśmiechnęła się, stanęła na palcach i pocałowała go w policzek, tuż nad brodą, jakby był Archerem.

Jednak Walker nie był jej bratem, dlatego poczuł przyspieszone bicie serca. Przyszło mu na myśl kilka innych sposobów na okazanie jej swojego uznania, wątpił jednak, by chciała tego słuchać, poza tym, do jasnej cholery, z całą pewnością nie powinien o nich myśleć.

- Zasługujesz na uznanie - powiedział od niechcenia. -

A jak wyjaśnisz to?

Gestem ręki wskazał następną gablotkę, w której znajdowała się małeńka, wysadzana drogimi kamieniami rzeźba, przypominająca hodowanego przez dawnych mieszkańców Meksyku psa z długimi, sterczącymi uszami, podłączonego do gniazdka elektrycznego.

- Nie - powiedział, zasłaniając jej oczy. - Nie czytaj kartki. To byłoby nie fair.

Wciąż się śmiała, gdy podszedł do nich ochroniarz.

- Tu pani jest, panno Donovan. Szuka pani Anthony Kerrigan.

Walker poczuł, jak Faith sztywnieje. Spojrzał jej w oczy. Była blada jak płótno, tak samo jak poprzedniego wieczoru, kiedy zasiadała do kolacji. Wstrząsnął nią dreszcz, który mógł świadczyć o strachu. Przez moment opierała się o Walkera, jakby szukała pomocy. Potem wyprostowała się i odwróciła do ochroniarza.

- Proszę przekazać panu Kerriganowi to, co już wie - powiedziała przez zaciśnięte gardło. - Nie chcę go widzieć. Nigdy.

Niestety, było już za późno. Tony przepychał się przez tłum z nonszalancką pewnością siebie przyzwyczajonego do tego, że jest wyższy i mocniejszy od innych.

- Witaj, dziecińko! - zawołał, wyciągając w stronę Faith rozłożone ramiona z wyraźnym zamiarem chwycenia jej w objęcia i pocałowania. - Miałem do załatwienia w Savannah kilka spraw służbowych. Zobaczyłem w gazetach twoje nazwisko, więc jestem. Sporo tu eleganckiej biżuterii. Idę o zakład, że przydałaby ci się jakaś opieka.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Robiąc unik, odsunęła się od walkera. Czuła, że pracownik Archera, podobnie jak jej bracia, próbuje ją ochraniać. Jednak w przeciwieństwie do braci, walker był o dwanaście centymetrów niższy i przynajmniej trzydzieści kilogramów lżejszy od Tony'ego. Co gorsza, miał chorą nogę. Z własnego doświadczenia wiedziała, jak Tony traktuje słabszych od siebie.

- Żegnam, Tony - odparła.

- Daj spokój, nie daj się. Wiesz, że nie lubię twoich fochów.

- Czy my się znamy? - spytał walker od niechcenia.

- Proszę się nie wtrącać - zaproponował Tony, lekceważąc walkera i nie odrywając wzroku od Faith. - To sprawa między mną i moją narzeczoną.

- Nie jestem twoją narzeczoną - poprawiła Faith.

- Nic się nie zmieniło, dziecinko. Kocham cię, a ty kochasz mnie.

Faith zawrzała ze złości, zapominając o niepewności i strachu. Chciałaby być tak wysoka, by móc sprać Tony'ego na kwaśne jabłko.

- Jesteś w błędzie. Nie darzę cię żadnym uczuciem, a ty nie jesteś zdolny do miłości. To już skończone, Tony. Żegnaj. Nie chcę cię więcej widzieć.

Chociaż Faith nie podniosła głosu, w ich stronę odwróciło się kilka głów. Tony miał bardzo donośny głos.

- Hej! Co jest grane? - spytał z uśmiechem, mrużąc niebieskie oczy. Wyciągnął rękę, jakby miał zamiar swoją ogromną dłońią ująć ją za ramię. - Miałaś dość czasu na pokonanie złości. Jeśli wciąż się wściekasz, to tylko dlatego, że nie chcesz ze mną pogadać i wysłuchać, co mam ci na ten temat do powiedzenia. Wystawa nie jest najlepszym miejscem na taką rozmowę, ale nie pozostawiasz mi wyboru.

Faith nie chciała, by Tony upokorzył ją przy całej sali kolegów po fachu. Uśmiech byłego narzeczonego świadczył o tym, że on również zdaje sobie z tego sprawę.

Walker zawiesił laskę na swoim przedramieniu i wyciągnął rękę, jakby chciał uścisnąć Tony'emu dłoń. Biorąc pod uwagę rezultat, ruch walkera był wyjątkowo subtelny. Tylko ochroniarz zorientował się, dlaczego Tony zbladł. Ten przyciężkawy kręty pod wpływem nagłego, przejmującego bólu wciągnął powietrze przez zęby. Na twarzy ochroniarza pojawił się łagodny uśmiech. Wszystko wskazywało na to, że facet, który nękał piękną projektantkę biżuterii, ugryzł więcej niż mógł przełknąć.

Walker wykonał kilka niewielkich kroków, przy okazji zmuszając Tony'ego, by odwrócił się plecami do Faith.

- Cześć. Jestem Owen Walker.

Z uśmiechem potrząsając dużą dłońią Tony'ego, walker mocniej nacisnął jego kciuk, odchylając go do tyłu, niemal do nadgarstka.

- Miło mi pana poznać. Faith jest teraz trochę zajęta, za to ja bardzo chciałbym dostać pański autograf. Podobno był pan niegdyś wspaniałym piłkarzem. Może opowie mi pan o tym na zewnątrz?

Tony otworzył usta, ale nie wydał żadnego dźwięku.

- Wspaniale - ciągnął walker przyjaźnie.

Zasłaniając cały manewr własnym ciałem, walker wymienił rękę, nie rozluźniając braterskiego uścisku, który powodował niemal paraliżujący ból. Ludziom stojącym w pobliżu mogło się wydawać, że wielkolud pomaga niższemu mężczyźnie z laską do drzwi.

- Chodź, koleś. Postawię ci piwo.

Faith patrzyła, jak Tony i walker wychodzą. Nie wiedziała, jakim cudem walkerowi udało się bez żadnej awantury wyciągnąć jej narzeczonego na zewnątrz, ale sama była świadkiem tego wydarzenia. Obaj panowie szli ramię przy ramieniu, przy czym Tony lekko się pochylał, jakby chciał usłyszeć, co mówi uśmiechnięty, obdarzony cichym głosem

Walker.

Nawet kiedy znaleźli się na ulicy, Walker nie wypuścił ręki Tony'ego z żelaznego uchwytu. Odwrócił się twarzą do znacznie wyższego od siebie mężczyzny. Dla obserwujących ich ludzi wciąż wyglądali jak przyjaciele, ucinający sobie na chodniku miłą pogawędkę.

- Pozwól, że przepowiem ci przyszłość - powiedział Walker łagodnym głosem, nie przestając boleśnie ścisnąć ręki Tony'ego. - Faith już wie, co ma o tobie myśleć, więc nie musisz przeproszać jej za to, że jesteś żałosnym dupkiem. Rozumiesz mnie, chłopcze?

Tony pocił się, zdołał jednak przytaknąć.

- To dobrze, to bardzo dobrze - przyznał Walker. - Najwyraźniej nie usłyszałeś, co mówiła twoja była narzeczona, więc powtórzę. Dzięki temu będę miał pewność, że jej słowa dotarły do twojej tępej pały. Faith z tobą zerwała. Nie dzwoń do niej. Nie wysyłaj poczty elektronicznej. Nie pisz. Nie goń za nią po całym świecie. Jeśli kiedykolwiek zobaczysz, jak nadchodzi z przeciwka, zabierz swój tłusty tyłek w przeciwną stronę. Słyszysz?

Tony przytaknął. Słyszał, wciąż jednak nie mógł mówić.

- Chociaż jesteś bardzo duży, lepiej, żebyś nie popełnił jakiegoś głupiego błędu - ciągnął Walker spokojnie. - Dlatego posłuchaj, co ci powiem. Wczoraj Faith jednym wykopem rozłożyła na łopatki kryminalistę z Atlantic City. Urwała mu jaja, ale na szczęście wkroczyłem do akcji. Na widok krwi robi mi się niedobrze, kapujesz? Więc jeśli masz zamiar dopaść ją, jak będzie sama, lepiej się nad tym zastanów. Bracia nauczyli tę damę kilku naprawdę paskudnych sztuczek. Najlepiej sprawdzają się w przypadku wielkich, ślamazarnych muskularnych byczków takich jak ty. Oczywiście, jeśli po jej akcji coś jeszcze z ciebie zostanie, będę musiał doprowadzić całą sprawę do końca, a cholernie nie lubię gadać na próżno. Możesz być pewien, że to sobie na tobie odbiję. Kapujesz?

- Puść... mnie... - wychrypiał Tony.

- Kapujesz? - powtórzył Walker, ściskając.

Tony gwałtownie przytaknął.

- Grzeczny chłopczyk - powiedział Walker, jakby gratulował wyjątkowo tępemu ogarowi, że w końcu przestał sikać na podłogę. - To jedyne ostrzeżenie i robię to wbrew woli Faith. Widzisz, ona nie może się już doczekać, kiedy będzie mogła urwać ci tego twojego żałosnego kutasa i postawić ci go pod nos. Potem to samo ma zamiar zrobić z twoimi jajami wielkości groszku. Słyszysz?

- Sssszszsz...

Był to bardziej syk niż słowo, ale Walker zrozumiał. Odliczył powoli do trzech, po czym puścił rękę Tony'ego. Potem bacznie go obserwował, by sprawdzić, czy jego rozmówca jest naprawdę duży i głupi.

Twarz Tony'ego odzyskała kolory, a po chwili pojawił się na niej rumieniec.

- Kim ty, do diabła jesteś?

- Człowiekiem Faith.

- Kim?

- Widzę, że zaczynasz rozumieć.

Tony spojrzał w spokojne, przenikliwe, niebieskie oczy Walkera i cofnął się o krok. Był przyzwyczajony do brutalnych gier stosowanych w futbolu.

Jednak Walker nie prowadził żadnej gry.

- Mogłbym rozerwać cię na strzępy - warknął Tony.

Walker czekał, czy jego rozmówca spróbuje to zrobić.

- Ale nie biję mężczyzn niższych od siebie - dodał Tony szyderczo.

- Tylko kobiety? Chłoptasiu, tak naprawdę jesteś kurzym głównym pierwszej klasy, prawda?

Twarz Tony'ego pociemniała.

- Masz szczęście, że nie rozerwałem cię na kawałki.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Jedyną odpowiedzią był łagodny uśmiech walkera.

- Faith dostała to, na co sobie zasłużyła - warknął Tony.

- Jednak jesteś cholernie głupi. &

Walker wykonał ruch, jakby miał zamiar się odwrócić.

Podczas półobrotu jego laska przez przypadek się wysunęła

i zaczepiła o stopę Tony'ego. Wystarczyło jedno szybkie

szarpięcie i obaj mężczyźni leżeli na chodniku.

Przynajmniej tak to wyglądało dla patrzących z boku.

Tylko Tony odniósł wrażenie, że nagle cały świat stanął na

głowie. Jego nogi pofrunęły w górę, a on sam wylądował

tyłkiem na betonie. Sapnął, gdy próbujący wstać walker

ciężko go przydepnął. Łokieć trafił na szyję, kolano zahaczyło

o genitalia, a frunąca ręka zmiażdżyła nos. Te pozornie

przypadkowe ciosy dotarły do celu, nim walker zdążył

ponownie stanąć na nogach.

- Nic ci się nie stało? - spytał walker z niepokojem, pochylając

się nad Tony'm. Robił to przez wzgląd na kilku gapiów,

którzy zatrzymali się w pobliżu. - Cholernie niezdarnie

obchodzę się z tą laską. Nie mogę pokapować, jak należy

posługiwać się tym dziadostwem. Proszę, pozwól, że ci

pomogę.

Ogłuszony Tony został postawiony na nogi i otrzepany

z kurzu. Walker robił to z siłą, która Tony'emu zapierała

dech w piersiach. Z nosa sączyła mu się strużka krwi. Nie

mógł prosto stanąć, ponieważ od pachwiny falami rozchodził

się pulsujący ból. Obojętne nerki potwierdzały, że naprawdę

odniósł poważne obrażenia.

- Zawołam ci taksówkę - zaproponował walker. - Na

pewno nie masz ochoty na chodzenie w takim upale.

Machnięciem laski zatrzymał taksówkę, po czym wpakował

do niej Tony'ego. Wsunął kierowcy dwadzieścia dolarów

i podał adres w najbardziej niebezpiecznej dzielnicy

miasta, po czym uśmiechnął się do byłego narzeczonego

Faith.

- Miło się z tobą rozmawiało, chłopcze. Jak wrócisz do

domu, pozdrów ode mnie wszystkich.

Walker zamknął drzwi, uśmiechnął się do zebranych na

chodniku osób i mocno utykając, wrócił do budynku.

Kiedy Faith zobaczyła walkera, podbiegła do niego i ujęła

jego twarz w dłonie. Uważnie mu się przyjrzała, szukając

obrażeń. Zobaczyła tylko gładką skórę, ciemną jedwabistą

brodę i oczy w kolorze lapis-lazuli.

- Dobrze się czujesz?

- Jasne. Czemu pytasz?

- Tony potrafi być... bardzo niemiły.

- Ten chłoptaş? - Walker uśmiechnął się i zrobił zaskoczoną

minę. - Bardzo przepraszał, że ci przeszkodził. Zapewniał

mnie, że więcej tego nie robi. Miał tylko nadzieję,

że przestałaś być na niego zła.

- Nie przestałam. Nigdy nie przestanę.

Walker uśmiechnął się, mimo wściekłości, która go ogarnęła,

gdy przypomniał sobie słowa Tony'ego: Faith dostała

to, na co sobie zasłużyła. Bardzo dobrze je znał. Jego ojczym,

Steve Atkins, powtarzał je, ilekroć pobił matkę wal-

kera. Same wyjaśnienia razów były różne, od spóźnionej kolacji

po nie doprany podkoszulek, ale rezultat zawsze był taki

sam. Dostała to, na co sobie zasłużyła.

- Czasami złość jest jedynym sposobem, by sobie

z czymś poradzić - powiedział walker. - Zasługujesz na coś

dużo lepszego niż ten zgniłek.

Na twarzy Faith pojawił się niepewny, ale prawdziwy

uśmiech.

- Taak. Teraz już to wiem.

- Dziwi mnie, że żaden z twoich braci nie pomógł

Tony'emu dojść do tego samego wniosku - zauważył walker.

- Jestem dorosła i wolno mi popełniać błędy, a potem samodzielnie

je naprawiać.

W głębi duszy walker uważał, że Tony miał nad Faith

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
zbyt dużą przewagę fizyczną, był jednak za mądry, by mówić
to na głos. I bez tego nie mogła pogodzić się z faktem,
że mężczyźni są silniejsi od kobiet.

- No proszę.

- Widocznie dzisiaj mam szczęśliwy dzień - wyznała. -
Właśnie sprzedałam szmaragdowego kota, a Tony wreszcie
zrozumiał, że to już koniec.

Walker się uśmiechnął.

- Kota? Tej kobiecie z bliznami i grubym makijażem?

- Nie. Kupił go jakiś facet, który szukał prezentu urodzinowego
dla swojej siostrzenicy.

Walker uniósł brwi.

- Nieżyły prezent. Naprawdę kupił go dla siostrzenicy?

- A jak sądzisz? Miał siedemdziesiąt lat, a może więcej.

- Podejrzewam, że jego siostrzenica jest pulchną blondynką.

- Ja też tak myślę.

Wystawę biżuterii zamknięto trzeciego dnia o dwunastej
w południe, dzięki czemu wystawcy mieli mnóstwo czasu,
by się spakować i zabezpieczyć swoje cenne przedmioty
przed drogą powrotną do domu. Walker przez cały czas próbował
namówić Faith, żeby zrezygnowała z wyprawy do
Rubinowych Bagien, z doręczenia naszyjnika i zaczekania
tam na ślub Mel.

Kyle miał coraz gorsze przeczucia. Walker również. Im
dłużej myślał o zaszytym w Seattle człowieku z ulicy,
zamordowanej w Savannah turystce i fakcie, że na nożu
Buddy'ego znaleziono jedynie ślady po steku, tym mniej
mu się to wszystkim podobało. Nie chciał jednak mówić
Faith, że prawdopodobnie podąża za nią morderca doskonale
posługujący się nożem. W związku z tym odpadały najważniejsze
argumenty, które zdołałyby skłonić ją do powrotu
do Seattle.

Faith lekceważyła jego ostrzeżenia, niezależnie od tego,
czy były mądre, głupie czy wręcz śmieszne.

Walker się nie poddawał. Podczas jazdy na wyspę Hilton
Head i do Rubinowych Bagien nadal próbował skłonić Faith
do zmiany planów.

- Wciąż jeszcze możesz wsiąść do samolotu - przypomniał.

- Na Hilton Head, mniej więcej trzy kilometry stąd,
jest sympatyczne małe lotnisko. Nowoczesny, dobry pas
startowy, dość długi, by mógł wylądować na nim któryś
z należących do firmy odrzutowców. Ja zajmę się dostarczeniem
naszyjnika. Dzięki temu mogłabyś osobiście przeprowadzić
inventaryzację w swoim sklepie, na czym tak bardzo
ci zależało przed wyjazdem do Savannah.

- Wiem, co zginęło.

- Kyle i Lianne mogli coś przeoczyć. Nikt nie wie tak
dobrze jak ty, co naprawdę miałaś w sklepiku.

- Kiedy chciałam zostać w domu, obaj z Archerem przypominaliście
mi bez przerwy, że obiecałam Mel, iż będę na
jej ślubie.

- To było wtedy. Teraz jest teraz.

- To najbardziej rozsądny argument, jaki dotychczas
usłyszałam.

- W takim razie wysłuchaj innego. - Walker został przyparty
do muru. - Ci sami ludzie, którzy przypuszczali, że będziesz
na wystawie, teraz wiedzą, iż wybierasz się do Rubinowych
Bagien. Bezpieczniejsza byłabyś w Seattle. Wówczas
nic nie będzie groziło również członkom klanu Montegeau.

- Tuż przed opuszczeniem hotelu powiedziałam o tym
przez telefon starszemu panu Montegeau, ale nawet nie
chciał mnie słuchać.

- Żadne z was nie myśli rozsądnie.

Faith nie usłuchała walkera, tak samo jak ignorowała
wszystkie jego starania zmierzające do odesłania jej z powrotem
do Seattle. Nie zamierzała wracać do domu. Tyle
jeszcze chciała tutaj zobaczyć, przeżyć, poznać. Kiedy przyglądała
się egzotycznemu pejzażowi słonych bagien i rosnącym

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
na suchych terenach palmom przeplatającym się z sosnami,
zimozielonymi dębami i innymi drzewami, w jej głowie
kiełkowały i powoli nabierały kształtów nowe pomysły.
Ponieważ był właśnie odpływ, od strony bagien docierał
podniecający, odwieczny zapach ziemi, a czas posuwał się
do przodu z prędkością ogromnego gada zażywającego kąpieli
słonecznej obok kanału odwadniającego.
- Ten aligator wygląda jak zdjęta z koła ogromna opona
od ciężarówki - powiedziała Faith, gdy mijali gada, który
poniósł śmierć na drodze.
Walker westchnął. Wiedział, że nie uda mu się odesłać jej
do Seattle.
- Opony nie mają zębów.
- Wcale nie mówiłam, że zamierzam wyjść i pogłaskać
go-
- I dzięki Bogu.
- Ktoś, kogo znam, jest wkurzony jak diabli.
- Niech to diabli - syknął przez zęby.
- Nie, jak diabli.
Walker wbrew samemu sobie uśmiechnął się i delikatnie
pociągnął ją za włosy.
- Jesteś nieznośnym bachorem.
- Dziękuję.
Potem cicho się roześmiała. Była zadowolona, że swobodnie
może przekomarzać się z mężczyzną, nie martwiąc
się o jego wrażliwe ego.
- Zabawny z ciebie facet, Owenie Walkerze. Czuję się
z tobą jak z bratem, tylko bez uciążliwego bagażu minionych
lat.
Uśmiech Walkera nieco zbladł.
- To cały ja, złotko. Brat wszystkich ludzi.
Faith uśmiechnęła się na widok skąpanego w słońcu zbrązowiałego
od wiatru mokradła. Po chwili spoważniała. Przypomniała
sobie bowiem, że kiedyś pytała Walkera, czy jest
starszym bratem. Odpowiedział: Już nie. Zrezygnowała
wówczas z dalszego drażenia tego tematu. Teraz jednak górę
wzięła ciekawość. Faith koniecznie chciała dowiedzieć
się o Walkerze czegoś więcej.
- Nigdy nie mówisz o swojej rodzinie - zagała.
Nie odpowiedział. Wciąż zastanawiał się, jak długo zdoła
trzymać się z dala od Faith. Obawiał się, że za krótko.
Chyba że bardzo szybko odeśle ją do Seattle. Najdalej za godzinę.
Dochodzący z sąsiedniego siedzenia zapach nieprawdopodobnie
go podniecał.
- Walker?
Ugryzł się w język, żeby ostro nie zakląć. Oto co wynikało
z faktu, że udawał wobec niej kogoś w rodzaju wiecznie
uśmiechniętego brata.
Nie powinien jej pragnąć.
Nie powinien jej dotykać.
Na razie jednak wiedział, że nie uda mu się nadal unikać
rozmowy na temat swojej rodziny, nie doprowadzając Faith
do szału. Nie mógł sobie na to pozwolić, jeśli miał zamiar
trzymać się blisko niej i wykonywać swoją robotę.
- Moi rodzice rozstali się, gdy miałem dwanaście lat -
wyznał cicho.
Czekała, ale nic więcej nie powiedziała.
- Zostałeś z matką?
- Taak.
- Często widywałeś ojca?
- Do ukończenia szesnastego roku życia ani razu.
- A potem?
Walker przyjrzał jej się spod przymrużonych powiek.
- A jak sądzisz?
- Gdybym wiedziała, nie zadawałabym ci tego pytania.
Syknął coś po cichu i skoncentrował się na prowadzeniu.
Cisza narastała, aż w samochodzie zaczęło się wyczuwać
niemiłe napięcie. Walker miał ochotę walnąć pięścią

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
w przednią szybę, szybko jednak opanował tę pokusę. Faith nie zasłużyła sobie na jego złość. A już z pewnością nie prosiła go, żeby latał za nią jak pies za suką w okresie cieczki.

- Steve, facet, który wprowadził się po rozstaniu mamy i taty - ciągnął Walker ostrożnie - nie był zbyt zachwycony, że pod nogami płacze mu się dwóch nastoletnich chłopców, których trzeba karmić i nie tylko. Więc mama kupiła dwa bilety autobusowe i podrzuciła Lota i mnie ojcu.

- Lota? Masz brata?

- Miałem.

Tym razem Faith nie dała się zniechęcić posępnemu wyrazowi twarzy Walkera.

- Co się stało?

- Umarł.

Zamknęła oczy.

- Tak mi przykro.

- Mnie też - odparł gorzko. - Ale to go nie wskrzesi, prawda?

Kiedy cisza w samochodzie zaczęła Walkerowi dokuczać, zerknął na Faith. Na widok jej zrozpaczonej twarzy poczuł się gorzej niż ogon aligatora. Nie miał prawa wyładowywać się na niej za coś, z czym nie miała nic wspólnego. Zaciśnął kurczowo palce na kierownicy. Potem zmusił się do tego, żeby powoli je rozluźnić.

- To było dawno temu - powiedział w końcu.

- Nie sądzę...

Głos jej się załamał. Przełknęła ślinę i spróbowała jeszcze raz. Tym razem zmusiła się, by nie myśleć o własnej rodzinie, nie wyobrażać sobie bólu po stracie człowieka, w którego żyłach płynęła ta sama krew i z którym wiązało ją mnóstwo wspomnień.

- Nie sądzę, by nawet po upływie bardzo długiego czasu można było pogodzić się ze śmiercią brata lub siostry.

Walker musiał się z nią zgodzić, tym bardziej że to on ponosił winę za śmierć Lota.

- Czy był podobny do ciebie? - spytała cicho Faith.

- Podobny do mnie? Pod jakim względem?

- Czy był równie bystry, łagodny, przystojny, ciemnowłosa, a jego uśmiech przypominał przebłysk światła?

Walker cicho westchnął. Potem będzie się zastanawiać, jak się czuje jako człowiek bystry, łagodny i przystojny. Na razie mógł sobie pozwolić jedynie na wywołanie z pamięci postaci brata.

- Miał czarne włosy - wyznał Walker głosem bardziej zachrypniętym niż kiedykolwiek. - Żółte kocie oczy z rzęsami tak długimi, że aż mu się plątały. Był zbyt złośliwy, by uznać go za pięknego, nikt jednak nie mógł mu odmówić niezwykłej urody. Wyglądał jak istny diabeł. Mimo smukłości i wysokiego wzrostu był twardy. Czasami wykazywał spryt ulicznego zabijaki, kiedy indziej bywał głupszy niż but. Kiedy miał dwanaście lat, zaczęły oglądać się za nim kobiety. Jako trzynastolatek dowiedział się dlaczego. Zmarł w dwudziestym roku życia.

- Jakiś zazdrosny chłopak?

- Błędne założenie.

Głos Walkera ostrzegł Faith, by nie zadawała dalszych pytań.

Złekcewałyła to ostrzeżenie.

- Jakież to błędne założenie są w stanie doprowadzić do śmierci dziecka?

- Takie, w których liczy się na to, że starszy brat ochroni tyłek, a starszy brat w najważniejszym momencie spieprzy sprawę. Wówczas ufny młodszy braciszek ginie z wyrazem zaskoczenia na twarzy.

- Nie rozumiem.

- Masz szczęście.

Walker skręcił w jedną z wąskich, pokrytych zimowym

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
pyłem dróg, które prowadziły na typowy dla Hilton Head teren porośnięty karłowatą roślinnością. Sosnowe igły oblepiały wszystko niczym długi, kolczasty brązowy mech - pokrywały dachy i przesypywały się przez rynny zniszczonych domów, które do połowy tonęły w zbyt bujnej zieleni. Wysoko na niebie, naprzeciwko słońca, zgromadził się welon chmur. Wiatr pędził przez mokradło i przeskakiwał po wąskich kanałach wijących się między kępami traw, w których mógł się ukryć dorosły mężczyzna. Wyjątkowo kręta droga przebiegała wzdłuż dawnych granic poszczególnych posiadłości i powoli pięła się po zboczu niewysokiego, piaszczystego wzniesienia porośniętego brzydkimi palmami i drzewami spowitymi całunem winorośli. Bajorka słonawej wody błyskały jak oczy aligatora, sygnalizując stopniowe przechodzenie suchej ziemi w bagna, a bagien w morze. Za następnym zakrętem i kolejnym niewielkim wzniesieniem, między palmami i sosnami pojawiły się zimozielone dęby obrośnięte wyschniętymi paprociami i srebrzystym hiszpańskim mchem. Bajorka czarnej wody zastąpiły wolno płynące strumienie, które wiły się po niemal płaskim terenie, uwięzione niczym gigantyczne węże między brzegami porośniętymi przez gęste drzewa. Potem zaczęły się mokradła. Czasami widać było tylko muł znaczący brzeg strumienia. Gdzie indziej ostrzygi oblepiały każdą wilgotną powierzchnię niczym brudne białe narośle. Lśniące, ciemne, tajemnicze i brązowe. Tak właśnie zimą wyglądały słone bagna. Miały tyle wdzięku co tancerka i były nieoswojone jak latający w górze jastrząb.

- Jak tu pięknie - szepnęła Faith.
Walker burknął.
- Powtórz mi to, gdy będziesz cała pogryziona przez robactwo.
- Nie podoba ci się tutaj? Przecież stąd pochodzisz.
Wzruszył ramionami.
- Niziny w pewnym sensie przypominają rodzinę. Nie ma większego znaczenia, czy je kochasz. Wystarczy, że czujesz je w kościach.
Przez jej twarzy przemknął uśmiech.
- Lepiej by było, gdybyś je kochał.
- Za często chodziłem głodny, by darzyć je uczuciem.
- Już po rozwodzie rodziców? - domyśliła się.
Nieobecni ojcowie bardzo często zapominają o łożeniu na swoje dzieci.
- Nawet wcześniej. Ojciec był pijakiem, mechanikiem, złodziejem roślin i myśliwym polującym na aligatory. Mama pracowała w barze z krewetkami jako kelnerka. Czasami, kiedy nie udało się nam niczego upolować, kradła dla nas jedzenie.
Faith niemal zadrżała, słysząc bezbarwny głos walkera.
- Dobrze, że to robiła. Czym zajmuje się złodziej roślin?
- Kradnie rośliny.
- Skąd?
- Z mokradeł. Bagien. Najczęściej z terenów państwowych. Z tych miejsc, gdzie rosną rzadkie okazy i zagrożone gatunki, za które ludzie gotowi są zapłacić, byle dołączyć je do swojej kolekcji albo sporządzić według ludowych przepisów mikstury dobre na wszystko, od kamieni żółciowych po uwiąd piwny.
- Wiem, co to kamienie żółciowe. Nigdy natomiast nie słyszałam o czymś takim jak uwiąd piwny.
- Ta dolegliwość występuje po zbyt dużej ilości piwa, gdy więdnie to, co stanowi największy powód do dumy każdego faceta.
Faith zamrugała, a gdy w końcu zrozumiała, wybuchnęła gromkim śmiechem.
- Uwiąd piwny? Nigdy nie słyszałam, by tak to się nazywało. To znaczy, że twój ojciec pomagał mężczyznom, gdy... hm... najbardziej tego potrzebowali.
Na twarzy walkera na moment pojawił się uśmiech.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Jeśli patrzeć na to w taki sposób, był prawdziwym dobroczyńcą. Doszedł do wniosku, że agencje rządowe mają tak wiele roślin, iż nie zauważają, jeśli tu czy tam coś im zniknie. Najczęściej rzeczywiście nie zauważali.

- A co się działo, gdy zauważali?

- Mama pracowała na dwie zmiany, aż zapłaciliśmy karę, albo ojciec miał szczęście i złapał aligatora.

- Co również było nielegalne, prawda?.

- No jasne. Ale naprawdę dobrze za to płacili. Mięso tego gada jest bardzo smaczne.

- Tak samo jak wszystko inne, gdy jest się naprawdę głodnym.

- Bywaliśmy tak głodni, że moglibyśmy zjeść muł. Mając sześć lat, zastawiłem pierwszą pułapkę. To, co złapałem, wędrowało na stół. Kiedy nie udało mi się niczego upolować, dostawałem takie baty, że nauczyłem się nie wracać do domu z pustymi rękoma.

Na przekór obojętnemu tonowi walkera Faith usłyszała w jego słowach prostą prawdę. Myśl o tym, że był samotnym, chudym chłopcem, szukającym na bagnach czegokolwiek, co nadawałoby się do zjedzenia, wywołała w jej sercu smutek. Nie wyobrażała go sobie jako głodnego, biednego kilkulatka, całkowicie uzależnionego od ojca pijaka, a jednocześnie walczącego o przetrwanie.

- Nieco łatwiej było, gdy Lot dorósł i zakładał własne pułapki - ciągnął walker, snując wspomnienia. - Wtedy skupiłem się na polowaniu. Kiedy ojciec pił, nie można było na niego liczyć, ale po trzeźwemu był dobrym myśliwym i jeszcze lepszym mechanikiem. Kiedy miałem dwanaście lat, wyjechał do Teksasu. Obiecał, że gdy znajdzie pracę, wróci i zabierze nas do siebie.

- Udało mu się?

- Znaleźć pracę?

- Wrócić po was.

- A jak myślisz?

- Myślę, że zobaczyłeś go dopiero wtedy, gdy matka kupiła tobie i twojemu bratu bilety autobusowe do Teksasu.

- Uczysz się, złotko.

Wyjrzała przez szybę, ale tym razem nie dostrzegła mijanego krajobrazu. Bez przerwy myślała o chłopcu przemierzającym bagna, rozlewiska i mokradła, by znaleźć coś do jedzenia.

- Nie rób takiej ponurej miny - powiedział w końcu. - Ta opowieść brzmi gorzej, niż było w rzeczywistości. Lot i ja przeżyliśmy mnóstwo szczęśliwych chwil, polując, łowiąc ryby i rozrabiając jak diabli. Nauka szła nam jak z kamienia, ale za to najbliższe okolice znał lepiej niż prymus tabliczkę mnożenia. Gdy Steve zaczynał się wściekać, Lot i ja po prostu uciekaliśmy na mokradła i czekaliśmy, aż spije się do takiego stopnia, że nie będzie mógł wymierzyć żadnego ciosu.

- Facet matki was bił? - Usłyszawszy we własnym głosie zdziwienie, Faith szybko dodała: - Przepraszam. To pytanie zabrzmiało bardzo naiwnie. Nie jestem naiwna. Naprawdę.

Po prostu nie potrafię sobie wyobrazić, że mężczyzna podnosi rękę na dzieci i że ich matka na to pozwala...

Walker ponownie wzruszył ramionami, chociaż bardzo dużo go kosztowało, by zachować całkowitą obojętność. Nigdy nie rozumiał matki. Po jakimś czasie przestał nawet próbować.

- Mama musiała mieć przy sobie mężczyznę i nie przeszkadzało jej, że to pijak. Dlatego gdy miała dokonać wyboru, padło na tego pijanicę i damskiego boksera.

Faith szybko zerknęła na walkera. W tym momencie nie było w nim ani cienia łagodności. Nawet broda nie zdołała ukryć twardego zarysu ust.

- Lepiej wam było z ojcem.

- Nie mieliśmy w tej sprawie zbyt wiele do powiedzenia.

Kiedy pewnego wieczoru wepchnąłem Steve'a w błoto, matka kupiła Lotowi i mnie bilety na autobus, po czym wysłała

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
nas, nie czekając, aż jej kochanek oprzytomnieje. Dopiero po trzech tygodniach udało mi się znaleźć tatę. Pracował na zaniedbanym małym lotnisku nad Zatoką Meksykańską. To on nauczył mnie wszystkiego o silnikach. Jeden z pilotów zaraził mnie miłością do samolotów i książek. Zabrałem się do nich jak ogień do sosnowych igieł. Spojrzała ponownie, zaskoczona przemianą, jaka się w nim dokonała. Latanie było prawdziwą pasją walkera. Świadczył o tym spokój, jaki pojawił się na jego wymizerowanej twarzy, a także wywołany przez to wspomnienie zachrypnięty, wibrujący z zadowolenia głos i delikatny uśmiech.

- Mając dziewiętnaście lat, nieustannie kursowałem między Teksasem a Ameryką Środkową i Karaibami. Przewoziłem różne rzeczy - dodał walker. - Była to moja pierwsza prawdziwa praca.

- Co przewoziłeś?

- Przeważnie zaopatrzenie, pocztę i lekarstwa. Czasami broszurki misyjne i Biblię. Od czasu do czasu bogatych turystów. Tego typu rzeczy. - Zerknął na nią z ukosa. - Żadnych narkotyków. Byłem młody, ale nie głupi. To zostawiałem bratu. - Uśmiech walkera był taki jak jego wspomnienia: pełen radości i gorzkości. - Młodzieńczą głupotą Lota można by obdzielić nas obu. Walker nie wspominał, że od czasu do czasu na zlecenie rządu USA albo jego przedstawicieli przewoził również karabiny. Ale o takich rzeczach się nie mówi. Dobrze za to płacono. Konta bankowe pęczniały zgodnie z planem. Czegóż więcej mógł chcieć obdarty dwudziestolatek utrzymujący ojca i młodszego brata?

Nad mokradłem przeleciał podmuch wiatru. Niczym niewidzialny grzebień zmusił trawę do ukłonu i zmarszczył powierzchnię wody. Walker opuścił szybę, pozwalając, by delikatna bryza przeczesła mu włosy. Po wodzie płynął kuter do połowu krewetek. Jego wysięgniki - dwa długie bomby, które zwykle przytrzymywały sieć - teraz były uniesione prosto w górę i przypominały skrzydła motyla. Dzięki schnącym sieciom kuter wyglądał jak jakieś skrzydlate stworzenie, które na chwilę przysiadło, by odpocząć.

- Gdybyśmy mieli czas - powiedział walker - zabrałbym cię na wysepkę Tybee, żebyś zobaczyła wchodzące do portu kutry. Przepływają pod tak niskim mostem, że muszą składać wysięgniki, by zmieścić się między przesłami. Najlepiej oglądać to widowisko o zachodzie słońca, kiedy pelikany obsiadają pale niczym dzieciaki obserwujące paradę.

- Naprawdę?

Uśmiechnął się.

- Słowo honoru. Ale najważniejszymi uczestnikami tego widowiska są delfiny. Jakimś cudem zawsze wyczuwają, kiedy kuter wpływa do portu, żeby przy nabrzeżu rozładować krewetki. Delfiny przypływają z oceanu i zaczynają skakać, wywijać fikołki i bawić się wzdłuż nabrzeża. Wiedzą, że podczas przepływania zbiornika kutra prosto do ich leniwych, uśmiechniętych pyszczków wpadnie mnóstwo smakowitych kasków.

Faith roześmiała się.

- Chciałabym to zobaczyć.

Ucieszył się, słysząc jej śmiech. Był jak powietrze - delikatny, ciepły i pełen obietnic.

- Ja też bym chciał.

Uśmiechnęła się do niego i postanowiła nie zadawać na razie więcej pytań na temat jego brata, dzieciństwa i śmierci.

- Jak daleko stąd do Rubinowych Bagien?

- Zaczynają się za najbliższym zakrętem.

Jeep minął następną granicę posiadłości, zadudnił na chybottliwym drewnianym mostku zawieszonym nad strumykiem

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
i wpadł na zarośniętą półtorakilometrową drogę dojazdową prowadzącą wśród omszałych dębów, które były wysokie już wtedy, kiedy padł pierwszy strzał w wojnie między Północą a Południem. Po obu stronach krętej drogi ciągnęły się pola. Na niskim, smaganym przez wiatr wzniesieniu stał ogromny, dwukondygnacyjny, biały, typowy dla tutejszych plantacji dom. Na wschód od niego rozciągało się morze, a na południe - ciemne, wąskie rozlewisko. Na zachodzie i północy znajdowały się pola, tereny porośnięte karłowatą roślinnością i ogrody. Walker zerknął na ugory, które powoli zarastały dzikimi roślinami. Za nimi wznosiła się wysoka, biała rezydencja rodu Montegeau. Na obu kondygnacjach wokół domu biegły werandy wspierające się na kolumnach. Dolną ogrodzono siatką, natomiast na piętrze zostawiono otwartą przestrzeń. Jeden bok dolnej galeryjki niegroźnie się zapadł. Dach i siatkowa obudowa wymagała naprawy. W zdziczałych ogrodach rozpanoszyły się glicynie, gardenie, azalie, magnolie i rosące między nimi pnące róże. Chociaż całość była niezwykle piękna, zarówno otoczenie, jak i dom wymagały nakładów finansowych. Ogromnych nakładów finansowych.

t.

Walker chrząknął.

- Zdaje się, że Płacząca Dziewczyna wciąż nie doprowadziła rodu Montegeau do Błogosławionego Kufra.

- Płacząca Dziewczyna?

- To jeden z duchów Montegeau.

- Mel nic mi o niej nie wspomniała.

- Nic dziwnego. Podobnie jak większość historii dotyczących klanu Montegeau, również i ta nie należy do wesołych.

- O czym ty mówisz?

Walker oparł się o siedzenie i odwrócił do Faith.

- O morderstwie, kazirodztwie, zdradzie, zdzierstwie, szaleństwie - wyjaśnił. - Wymień któreś z nich, a okaże się, że coś takiego zdarzyło się kiedyś w rodzinie Montegeau.

Płacząca Dziewczyna to jedna z legend.

- Mów dalej.

- Nie opowiadam bajek do poduszki.

- To bardzo dobrze. Jestem dużą dziewczynką.

Walker nie mógł zaprzeczyć. Wzruszył ramionami.

- Podobno jednemu z panów Montegeau przypadła do gustu własna córka.

Faith skrzywiła się.

- Taak - przyznał Walker. - To wstrętne. Według jednej legendy Płacząca Dziewczyna to dziecko zrodzone z tego kazirodczego związku, według innej - sama zniewolona córka. Snuje się o północy po ciemnych miejscach, szukając straconej duszy albo dziecka, które zaraz po porodzie odebrano matce i utopiono na bagnach.

Faith ciężko westchnęła.

- Wspaniale.

W uśmiechu Walkera było tyle samo ironii co w głosie

Faith.

- Witaj w Rubinowych Bagnach, złotko. Witaj w piekle.

Rubinowe Bagna

Jefferson Montegeau był zmartwiony i nic, co mówił ojciec, nie poprawiało mu samopoczucia.

- Zaczekaj - przerwał Jeff Davisowi Montegeau. - Obiecałeś,

że mi wyjaśnisz, dlaczego trzeba było przenieść ślub

z miasta tutaj i zorganizować go we wcześniejszym terminie,

to znaczy w walentynki. Powiedz, o co chodzi. Lada

chwila pojawią się tu Faith i jej chłopak, a ja, do jasnej cholery,

chcę wiedzieć, z jakiego ważnego powodu uznałeś, iż

masz prawo zniweczyć marzenia Mel o wspaniałym ślubie.

Davis Montegeau spojrzął z utęsknieniem na stojący

w bibliotece dziewiętnastowieczny mahoniowy stół, na którym

czekała karafka z whiskey. Członkowie rodu Montegeau

pili od dwustu albo trzystu lat. w tym czasie kupili

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
mnóstwo karafek, ale ta zasługiwała na szczególną uwagę.
Była napełniona ulubionym bourbonem Davisa.
Poczuł mrowienie w czubkach palców. Wyobraził sobie
lekki opór, kiedy na moment przed wysunięciem zatyczki
z szyjki kryształ pociera o kryształ. Dźwięk chłodnego płynu,
kiedy whisky wpada strumieniem do lśniącego kryształowego
kieliszka. Potem nagłe palenie, gdy alkohol spływa
przełykiem do żołądka, a po chwili dociera do mózgu.
Wówczas człowiek zanurza się w słodkiej czerwonej mgiełce,
która przesłania oślepiający świat.

- Tato?!

Davis z westchnieniem przetarł twarz. Tego dnia się nie
ogolił. Był w kiepskiej formie. Jego syn jeszcze jako chłopiec
poznawał, kiedy starszek ma kaca, ponieważ wówczas zasia-
dał do śniadania z siwym zarostem. Davis przeczesał drżącymi
palcami rzednącą strzechę białych włosów. Jego fryzura
znajdowała się w pewnym nieładzie, ale mogło być gorzej.
Podobnie z ubraniem. Nikt by nie powiedział, że tego dnia się
nie kąpał, prawda? Albo że spał w tym, co miał na sobie.

- Tato!

Pieprzyć to - pomyślał Davis. - Muszę się napić.
Gwałtownie wstał, podszedł do mahoniowego stolika
i szarpnął kryształową zatyczkę. Karafka stuknęła o brzeg
napełnianego kieliszka, ale Davis nie zwracał na to uwagi.
Liczył się tylko znieczulający płomień dobrej jakościowo
whiskey. Już dotarła do krtani, a potem do mózgu niczym
błogosławieństwo Lucypera.

Kiedy Davis zaczął nalewać sobie następnego drinka, Jeff
chwycił ojca mocno za nadgarstek.

- Wystarczy.

Davis spojrział na wysokiego blondyna, który był kiedyś
jasnowłosym brzdącem, z trudem poruszającym się po grubym
dywanie w bibliotece.

- O!... czm... - Urwał, żeby rozsupłać język. - O czym ty
mówisz? - spytał, wymawiając słowa z pijacką precyzją.

- O alkoholu. Już dość wypieś.

- To niemożliwe, chłopcze. Oddycham, a to znaczy, że
wcale nie mam dosyć. Puć... puć mój nadgarstek.

Jeff spojrział na przekrwione szare oczy ojca. Dostrzegł
w nich lśnienie, które świadczyło nie tylko o wypitym alkoholu.
Było to coś w rodzaju zwierzęcego strachu. Jeff od kilku
tygodni niepokoił się o stan ojca. Teraz niemiłe przecucie
zamieniło się w pewność. Usadowało się w jego wnętrznościach
jak ostra bryłka lodu.

- Porozmawiaj ze mną, ojcze. Przynajmniej raz w życiu
potraktuj mnie jak człowieka dorosłego. Niezależnie od tego,
z czym masz kłopot, jakoś spróbuję ci pomóc.

Śmiech ojca był gorszy niż dotychczasowy uśmieszek.

- Jasne, chłopcze. Masz pół miliona dolarów w gotówce?

Szare przejrzyste oczy Jeffa zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Chyba żartujesz.

- Jestem śmiertelnie poważny.

- To jakieś cholerne bzdury.

Davis energicznie przetarł twarz.

- To prawda. Muszę się napić.

- Nie.

Davis chwycił elegancką kryształową butelkę.

Jeff wyrwał mu z ręki karafkę i wrzucił ją do starego kamiennego
kominka. Szkło rozprysnęło się po czarnych od-
sadzy cegłach. Bursztynowa whiskey zabarwiła popiół na
czarno. Po całym pomieszczeniu rozszedł się gryzący zapach
alkoholu niczym dalekie echo wybuchu.

Davis krzyknął coś zachrypniętym głosem i rzucił się na syna.
Jeff nawet nie próbował uchylić się od ciosu. Potem pociągnął
ojca na wyblakły dywan o zawiłym wzorze i przyszpilił
starszego pana Montegeau do podłogi pod dębowym wieszakiem.
Wisiąca na nim strzelba, z której zginął dziadek Jeffa.
Wściekłość i adrenalina otrzeźwiły Davisa.

- Niech cię diabli! Puść mnie!

- Puszczę cię, jak mi powiesz, o co w tym wszystkim chodzi.

- Chodzi o to, że muszę się napić.

- Ani kropli. Póki się nie dowiem.

Davis patrzył na syna z niedowierzaniem. Jeff zawsze był obowiązkowym i posłusznym - nawet jeśli nie do końca kompetentnym - synem.

- Co cię naszło, chłopcze?

- Mam prawie czterdzieści lat. - Choć na normalnie bladych policzkach Jeffa pojawiły się rumieńce złości, trzymał rękę ojca tak delikatnie, jak tylko mógł. - Znalazłem sobie partnerkę. Za kilka miesięcy urodzi mi się dziecko. Od dziewięciu lat, od śmierci matki, tylko pijesz i kupujesz jedną przynoszącą straty posiadłość za drugą, podczas gdy ja haruję jak dziki osioł, by utrzymać sklep jubilerski.

- A skąd masz całą tę biżuterię, chłopcze? No skąd? Kto kupił wszystkie te świecidełka i przyniósł je do ciebie, żebyś mógł ponownie je oszlifować, a potem sprzedać?

- Ty. Potem jednak wzięłeś pieniądze, jakie zarobiłem, naskakując wyblakłym staruszkom i eleganckim damom, i przepuściłeś je, kupując nie mającą żadnej wartości ziemię. Koniec z tym, ojciec. Było, minęło. Teraz muszę myśleć o żonie i rodzinie. Prawnik przygotował papiery, w których dajesz mi pełnomocnictwo. Podpiszesz je. Teraz to ja będę zarządzał wszystkimi pieniędzmi.

Davis przyjrzał się twarzy syna. Wyrziste kości, gęste jasne włosy, oczy przejrzyste jak deszcz. Jeff był przystojny jak młody bóg. Davis poczuł się tak, jakby spoglądał na siebie samego z dawnych lat. To sprawiło, że miał ochotę się śmiać, płakać i pić do nieprzytomności. Laurie, Laurie, czemu umarłaś? Cholera, jestem zmęczony starością i samotnością.

- Chyba zwariowałeś - powiedział w końcu Davis. -

Dlaczego miałbym podpisać te dokumenty?

- Ponieważ póki tego nie zrobisz, nie dostaniesz drinka.

- W jaki sposób masz zamiar mnie zmusić?

- Przytrzymując cię - odparł Jeff. Pomimo determinacji musiał walczyć z mdłościami, czekając, aż ojciec w końcu zrozumie brutalną prawdę. - Posłuchaj, ze względu na żonę i dziecko muszę zrobić to, co konieczne. Przez wszystkie minione lata starałem się zgadzać z tobą i popierać twoje posunięcia, niezależnie od tego, jak idiotyczne były te plany.

Davis próbował się wywinąć, nie miał jednak szans na wygranie z silnym synem.

- Myślałem, że kiedyś sam zrezygnujesz - ciągnął Jeff nieustępliwie. - Nawet pijany głupiec zauważyłby, że wszystko, co bierzesz w swoje ręce, zamienia się w gówno.

Ty jednak niczego nie dostrzegasz. Niezależnie od tego, ile pieniędzy tracisz, zawsze masz w zanadrzu następny plan, dzięki któremu wszyscy będziemy bogaci.

W związku z tym wyciskasz pieniądze ze sklepu jubilerskiego i kutrów do połowu krewetek, żeby kupić następną bezużyteczną posiadłość. Pora zsiąść z tego kucyka. Koniec przejażdżki.

Davis zaczął protestować, ale widok łez, toczących się bezgłośnie po policzkach syna, był skuteczniejszy niż knebel. Za pomocą alkoholu starszy pan odsuwał od siebie najgorsze obawy, jednak nagle dostrzegł je wszystkie. Były gorące i jasne jak południowe słońce. Przez moment z dojmującą wyrazistością uświadomił sobie, co zrobił.

- Muszę się napić.

Żaden z mężczyzn nie rozpoznał zachrypniętego, niepewnego głosu. Obaj wiedzieli, że słowa te powiedział człowiek, który właśnie poniósł klęskę.

Jeff sięgnął do kieszeni marynarki i wyjął starannie złożoną kartkę papieru.

- Podpisz to.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Davis sztywno przytaknął. Miał wrażenie, że przez długą tubę teleskopu obserwuje, jak osobiście stawia parafkę przy każdej linijce wskazanej mu przez Jeffa. Kiedy skończył, opróżnił podany przez syna kieliszek i zadrżał z rozkoszy. Teraz wystarczy mu odwagi, by powiedzieć Jeffowi, w jakie bagno się wpakował. Może syn zdoła wyciągnąć kasztany z ogniska, nim spalą się na popiół.

* * *

Mimo posępnego obrazu Rubinowych Bagien pojawiającego się we wspomnieniach walkera i legendach rodu Montegeau ich krajobraz oczarował Faith. W zaniedbanym i zarośniętym chwastami ogrodzie można było dostrzec echa minionej świetności. Faith bez trudu wyobraziła sobie czasy, kiedy miejscowa szlachta w chłodnym cieniu dębów sączyła domową lemoniadę i starego bourbona. Wszystko to działo się przy wtórze cykających świerszczy i podniecającym, 'zmysłowym' zapachu gardenii i magnolii, rozchodzącym się po ogrodzie w łagodny letni wieczór jak westchnienie kochanka.

- Kiedyś musiało tu być pięknie - powiedziała Faith, powoli się obracając. %

- I było.

Nic jednak nie dorównywało urodzie samej Faith, stojącej w blasku księżycowych promieni jak księżniczka w welonie z tkanego srebra i niedoścignionych marzeń. Walker bardzo się pilnował, by nie zdradzić, co chodzi mu po głowie. Wystarczył już sam fakt, że w ogóle o tym myślał. Na domiar złego odczuwał to aż po czubki palców. Jakaś gałązka róży przyczepiła się do ubrania Faith na wysokości krzyża, pod delikatnym zamszowym żakietem.

- Nie ruszaj się, bo podrzesz podszewkę.

Miał nadzieję, że Faith nie dostrzegła w jego niskim głosie jawnego pożądania. Wsunął dłoń pod brzeg żakietu i zaczął wyjmować kolec.

- Dawno, dawno temu wykradałem się łódką na rozlewisko i obserwowałem, jak eleganckie towarzystwo sączy napoje i tańczy w świetle kolorowych lamp. Laurie Montegeau potrafiła zorganizować przyjęcie. Faith nie odpowiadała. Chociaż ta intymność nie była zamierzona, kiedy poczuła, jak palce walkera muskają ją po biodrze, zabrakło jej tchu. Miała wrażenie, że ciepło jego ciała pali ją przez dzinsy.

- Kobiety wyglądały jak kręcące się po ogrodzie motyle

- ciągnął zachrypniętym głosem.

Jednak żadna z nich nie podobała mu się tak bardzo jak stojąca w zapuszczonym ogrodzie i spowita w światło księżyca Faith Donovan, ubrana w dzinsy, sportowe buty i miękkie jak skrzydło motyla zamszowy żakiet. Ale tego również nie powiedział.

- Musiało... - Zabrakło jej tchu. To niemożliwe, by Walker pieścił jej biodro. - Musiało ci być ciężko, gdy siedziałeś tam głodny i obserwowałeś... obserwowałeś wszystkie te...

- Nie - powiedział Walker, po raz trzeci delikatnie muskając wypukłość jej biodra, nim w końcu z ociąganiem ją uwolnił. - Po prostu to była dziwna sytuacja. - Zdając sobie sprawę, że jest głupcem, a jego pożądanie jest zbyt wielkie, by nad nim zapanować, odwracał ją powoli, aż stanęła twarzą do swego partnera. - Podobna do tej sytuacji teraz. Czy pozwolisz się pocałować? Czy każesz mi tkwić w ciemności i z daleka obserwować wszystko, co piękne i czego nie mogę dotknąć?

- Przyrzekłam sobie, że będę się trzymać z dala od mężczyzn.

Jednak na przekór wypowiedzanym właśnie słowom, Faith objęła go i odchyliła głowę, unosząc twarz do pocałunku.

- Według mojego nauczyciela z czwartej klasy „mężczyźni” to liczba mnoga - zauważył Walker. - A ja jestem tylko jeden.

Koniec tego zdania bardziej przypominał tchnienie na

wargach Faith. Zadrzała i przywarła mocniej do ciepłego ciała walkera.

- Tak.

- Co znaczy „tak”?

Jego wargi musnęły twarz Faith jak światło księżyca.

- Po prostu tak. - Odwróciła głowę, szukając jego ciepłych ust. - Pocałuj mnie, walker.

Kiedy pochylał głowę, spodziewała się szybkiego, namiętnego pocałunku, myślała również, że jego ręce zaczną energicznie wędrować po jej ciele. Tymczasem walker obdarzył ją niespieszną, cudowną pieśczością, jakby starał się poznawać każdy fragment jej ust. Jakby poznawał ją samą. Zatraciła się całkowicie w delikatnym muskaniu warg o wargi, jedwabistym dotyku jego brody, ciepłe oddechu, ostrych zębach nieśmiało skubiących jej usta, aż zaczęły uginać się pod nią kolana. Kiedy w końcu naprawdę ją pocałował, mruknęła z rozkoszy i mocno się do niego przytuliła. Miał smak nizinnej nocy - ciemnej, ciepłej i pełnej tajemnic. Faith nie mogła się nim nasycić.

Walkerowi również wciąż było mało. Powtarzał sobie, że wkrótce przestanie. Naprawdę. Po następnym oddechu.

Potem zaczął się zastanawiać, jak długo jeszcze może wstrzymać powietrze w płucach.

Faith płonęła w jego rękach, pod jego wargami, przy jego podnieconym ciele, starając się wejść pod jego skórę, tak samo jak on chciał wejść pod jej. Ciche pomruki pożądania dziewczyny działały na niego jak prąd. Żadna whiskey nie byłaby mocniejsza, żaden cukier słodszy od jej warg, żaden ogień gorętszy niż obietnica zawarta w jej mocno przyciśniętych udach i ciele wygiętym w łuk z pożądania.

Zmusił się do uniesienia głowy i wciągnięcia powietrza w płuca.

- Nie powinniśmy tego robić.

Wzięła niespokojny wdech.

- Dlaczego?

Jej zachrypnięty głos liznął walkera jak ogień. Jego ciałem zawładnęło zaskakująco dzikie i silne pożądanie.

- Bo jeszcze nie jestem na to gotowy.

- Z tego, co czuję, jesteś - odparła bez zastanowienia.

Potem przypomniała sobie złość Tony'ego, kiedy pewnego razu zasugerowała, żeby nieco zwolnił i pozwolił się dogonić.

- Przepraszam. Nie miałam zamiaru sugerować, że jesteś...

hm... za szybki.

- To właśnie sugerujesz? - spytał głębokim i pełnym rozbawienia głosem, ponieważ bez wątpienia był gotowy, chętny i w pełni sprawny, co Faith musiała czuć na swoim brzuchu.

A naszyjnik Montegeau cholernie go uwierał w spodenkach, które nagle stały się za ciasne.

- Nie, niczego nie sugerowałam - poprawiła się szybko.

- Po prostu wyraźnie jesteś... hm... gotów, a ja... jak by to powiedzieć... zostałam w tyle.

Przez chwilę walker był zbyt zdumiony, by się odezwać.

Jednym pocałunkiem niemal rozpałiła go do czerwoności, a mimo to mówiła, że...

- Zostałaś w tyle - powtórzył, niezbyt pewien, czy dobrze usłyszał przez tętniącą w uszach krew.

Zagryzła wargę i przytaknęła.

- Tak, zostałam w tyle. Ale to nie szkodzi. wiem, że mężczyźni i kobiety różnią się od siebie i... - wzięła szybki oddech - ...wcale mi to nie przeszkadza. Niezależnie od wszystkiego, sprawia mi to przyjemność.

Czasami - przyznała w głębi duszy. - No cóż, raczej nie bardzo. Ale z pewnością cudownie się czuła, nim walker zaczął mówić. Nigdy nikt nie całował jej w taki sposób, jakby była łakomym kąskiem, który należy ostrożnie dotykać, kosztować i jeść bardzo, bardzo wolno.

- Różnią się od siebie? - spytał walker. Spojrzał w piękne,

poważne oczy Faith. - Czyżbym wyczuwał smród pewnego zgniłka?

- Słucham? Masz na myśli Tony'ego? No cóż, jest mężczyzną.

- Wierzę ci na słowo.

- A ja kobietą...

- Amen.

- ...dlatego zdaję sobie sprawę, że muszę brać poprawkę na różny poziom popędu płciowego, to wszystko.

Pochylił głowę, oparł czoło o włosy Faith, po czym cicho wypuścił powietrze z płuc, a wraz z nim słowo:

- Pieprzenie.

Prychnęła.

- Ale to prawda.

- Cukiereczku, nie istnieje coś takiego, jak wieczna prawda czy wieczne kłamstwo. Czasami nie da się rozpalić mężczyzny nawet za pomocą lutownicy i vice versa. Uwierz mi, dzisiejsza noc wcale do takich nie należy.

- Cukiereczku?

- Jasne. Gdybyś była jeszcze słodsza, po prostu musiałbym wyluskać cię z ubrania i zacząć oblizywać.

Dziwne napięcie pobrzmiwające w głosie walkera sprawiło, że Faith zadrżała. Na myśl o takiej grze miłosnej zaparło jej w piersiach dech.

Na jej twarzy pojawiło się wyraźne zaciekawienie i pożądanie.

Przez dwa uderzenia serca walker myślał, że tak właśnie robi - rozbierze Faith do naga i będzie ją lizał, póki nie rozplynie mu się w ustach.

- Lepiej zacznij się modlić, żebyśmy nie dostali sąsiednich pokojów - powiedział niemal zachrypniętym głosem.

- Dlaczego?

- Ponieważ powinienem mieć dość zdrowego rozsądku, by nie uwodzić młodszej siostry swojego szefa - powiedział bez ogródek.

Przymrużyła oczy.

- Taak? A co będzie, jeśli to ona uwiedzie ciebie? Jeśli po prostu wkradnie się do twojego łóżka i zacznie...

Pod wpływem obrazu, który stanął jej przed oczami,

głos jej się załamał. Wyobraziła sobie walkera nagiego i siebie na nim. Ten pomysł nigdy wcześniej jej się nie podobał.

Z walkerem było inaczej. Nie wiedziała czemu.

Odnosiła wrażenie, że tak właśnie jest. Tak samo jak dostrzegała pulsujące słodko tuż pod swoją skórą pożądanie.

Było inaczej.

Walker powiedział sobie, że nie poprosi Faith o dokończenie tego zdania. To byłoby niemądre. Podobnie jak stanie tak blisko niej, że przy każdym oddechu jej piersi ocierały się o niego. A oddychała bardzo szybko.

- Co zaczniesz? - spytał, nim zdołał się powstrzymać.

- Oblizywać cię całego? - dokończyła.

Otworzył usta. Nie powiedział jednak ani słowa, wydał jedynie cichy, ostry, pełen pożądania pomruk. Przytulił ją mocniej, tak że żadne z nich nie mogło oddychać.

- To najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiłem.

Jednak mówiąc to, pochylał głowę do jej ust.

Nagle kątem oka dostrzegł jasną, niewyraźną plamę - białe płótno, które poruszyło się, chociaż nie było wiatru.

Faith również je dostrzegła.

- Co...

Zakrył jej dłonią usta. Potrząsnął głową, bez słowa nakazując Faith milczenie. Przytaknęła. Opuścił rękę i oboje odwrócili głowy w stronę, gdzie dostrzegli ruch.

Początkowo widzieli tylko światło księżyca i ciemność.

Dookoła panowała cisza. Potem coś poruszyło się na skraju ogrodu, w miejscu, gdzie platanina róż zbliżała się do rozlewiska.

Biel mignęła jak zimny ogień, który został zdmuchnięty przez ciężar nocy.

Walker i Faith czekali, wstrzymując oddechy.

Widzieli księżycową poświatę i ciemność. Potem rozległo

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

się niskie, przenikliwe łkanie pogrążonej w rozpacz dziewczyny. Przypominało blask księżyca pokonany przez noc.

Po plecach Faith przeszły ciarki. Chciała coś powiedzieć. Nie mogła. Miała sucho w ustach, a jej krtań ścisnął smutek, chociaż był on udziałem kogoś innego. Nawet kiedy przełknęła ślinę, zdobyła się jedynie na szept.

Walker zrozumiał.

- Płacząca Dziewczyna - wyjaśnił cicho. - Włóczy się po Rubinowych Bagnach. Dziś pojawiła się wyjątkowo wcześniej. Zazwyczaj snuje się bliżej północy.

- To był duch?

- Nie wierzysz w zmary?

- Zmary?

- Zjawy. Widziadła.

- Hm., nie, nie bardzo.

- Ja zazwyczaj też nie wierzę. Ale Płacząca Dziewczyna jest inna. Dla niej robię wyjątek. Zobaczyłem ją po raz pierwszy, gdy miałem siedem lat. Była to moja pierwsza samotna noc na rozlewisku.

- Miałeś wówczas siedem lat?

Przytaknął.

- Mój ty Boże - powiedziała, próbując sobie wyobrazić, co musiało przeżyć takie małe, samotne, zagubione w ciemności dziecko, słysząc nieziemski szloch, rozchodzący się w nocnej ciszy jak czarna mgła. - Co zrobiłeś?

- Zmoczyłem majtki. - Pod wpływem tego wspomnienia łagodnie się uśmiechnął. - Potem się do niej przyzwyczaiłem. Traktowałem ją niemal jak towarzyszkę. Kiedy wraz ze mną mokrądzina zaczął przemierzać Łot, przestałem ją widywać. Mój brat był zbyt głośny. Płacząca Dziewczyna ceni sobie samotność.

Faith wciąż czuła przenikający jej ręce i kręgosłup chłód.

Z pewną obawą zerknęła na przeciwległy kraniec ogrodu.

Nie dostrzegła przebłysku bieli. Nie czuła już, by ktoś lub coś czaiło się na granicy świadomości.

- No cóż, z prawdziwą przyjemnością uwolnię Płaczącą Dziewczynę od swojego towarzystwa - oświadczyła Faith energicznie.

Walker ujął jej zimne palce i unióś je do ust. Po czymś, co nie było ani muśnięciem, ani pocałunkiem położył jej dłonie na swoim karku, by je ogrzać. Potem przyszedł mu na myśl inny sposób, który pozwoliłby obojgu rozpalić się aż do czerwoności. Powoli odciągnął delikatne dłonie Faith od swojej skóry, pocałował jej palce i puścił je.

- Chodź - zaproponował. - Mieszkańcy tego domu będą się zastanawiać, co się z nami stało.

- Nie sądzę, żeby zauważyli nasz przyjazd.

Walker był tego samego zdania, wiedział jednak, że jeśli naprawdę szybko nie opuśczą ogrodu, przekonają się, czy wybujałe chwasty mają kolce i potrafią kłuć przez ubranie.

Nad ogrodem przeleciał przypominający długie westchnienie podmuch wiatru. Mogłoby się wydawać, że to głęboki, spokojny oddech moczarów. W chwilę później w domu rozległ się niski, donośny jak dzwon dźwięk. Było to szczekanie ogara, który wyczuł jakiś zapach.

- Obijacz - wyjaśniła Faith. - Pies Mel.

- Obijacz?

- Tak się nazywa.

- Musi mieć dobry węch - zauważył Walker, oceniając odległość dzielącą ich od domu. Pies musiał wyczuć ich zapach w chwili, kiedy dmuchnął wiatr. - Cholernie dobry dzwonek do drzwi. Wezmę bagażę.

- Pomogę ci.

Nim wyładowali swoje torby, ktoś w głębi domu przywołał do siebie psa. Kiedy Walker i Faith wspinali się po frontowych schodach, w korytarzu zrobiło się jasno. Potem

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

na werandzie zapaliło się światło. Albo raczej świeciła. Wokół wysokich doryckich kolumn oplecione były bożonarodzeniowe lampki. Filary dźwigały werandy, które na obu poziomach obiegały dom. Niegdyś kolorowe żarówki niemal całkowicie zbieleły na bezlitosnym południowym słońcu. Większość z nich była poprzepalana.

Walker zauważył wcześniej chwasty rosnące między ceglami, którymi wyłożony był podjazd. Nie potrafił dojść do tego, czy ścieżka prowadząca do domu była kamienna, żwirowa czy bardziej trawiasta. W świetle księżyca wyłaniały się jasne, proste, majestatyczne kolumny. Schodziła z nich farba. Weranda nie przegniła jeszcze do takiego stopnia, by stanowić jakieś zagrożenie, ale wkrótce trzeba będzie ją naprawić. W głębi duszy Walker uznał, że członkowie klanu Montegeau lepiej by zrobili, gdyby sprzedali rubiny ze ślubnego naszyjnika Mel i część pieniędzy przeznaczyli na remont starej rezydencji, nie czekając, aż pokonają niedbalstwo i czas.

- Ten dom jest tak samo smutny jak Płacząca Dziewczyna

- mruknęła Faith.

- Nie byłby wcale pierwszym starym budynkiem, który zgnije i zrówna się z ziemią.

Głos walkera był jednak dużo łagodniejszy niż jego słowa. Towarzysz Faith odstawił bagaż i zdjął z kolumny kruchy płatek farby. Przypomniawszy sobie, że dwadzieścia pięć lat temu rezydencja Montegeau była niczym magiczny biały pałac mieniący się światłami, bogactwem i rozbrzmiewający muzyką.

- Ty też to czujesz - zauważyła.

Nie było to pytanie, więc nie odpowiedział. Rozprostował pałce. Kawałeczek farby pofrunął na werandę, na której leżały już inne płatki, jak łupież otaczając kolumnę. Ponaddrzymetrowe drzwi ozdobione wyszukany witrażem zadrzały. Przy akompaniamencie niemiłego pisku zawiasów otworzyło się jedno skrzydło. Prześwitujące przez kolorowe szybki światło przesunęło się i zmieniło, by w końcu wylać się na werandę. Zalśniło złociście we włosach Faith i odbiło się od jej szarych oczu.

Kobieta, która otworzyła drzwi, zerknęła na przybyłą, wybełkotała jakieś słowo i zemdlała.

Walker kopnął na bok bagaż i złapał kobietę, nim zdążyła upaść na podłogę. Była jak bagienna czapla - długonoga i niewiele ważyła. Miała na sobie sięgającą do połowy łydek lśniąca, jasną, bawełnianą sukienkę, a przy tym w jakiś dziwny sposób pachniała bagnem, koszami na kraby, a jednocześnie zasypką dla dzieci i delikatnym kwieciem. Jej jasne włosy były mocno przyprószone siwizną. Wyglądały, jakby przycinała je na oślep, tępym scyzorykiem.

- Nic jej się nie stało? - spytała Faith niespokojnie.

- Oddycha. Ma dobry puls. - Walker wziął starszą panią na rękę i dźwignął ją. - To mi wygląda na staromodne omdlenie afektowanych dam.

Nie zwracając uwagi na bagaż, Faith przytrzymała otwarte drzwi, żeby Walker mógł wnieść kobietę do środka. Poruszał się z taką łatwością, że Faith zastanawiała się, jak to możliwe przy jego chorej nodze. Potem przyszło jej na myśl, że Walker z takim stoickim spokojem znosi ból ze względu na nią.

- Może nie powinieneś jej dźwigać?

- Dlaczego?

- Ze względu na swoją nogę.

- Jest sztywna, ale prawie nie boli.

- Czy zrozumiałeś, co ona powiedziała, nim zemdlała? - spytała Faith.

- Ruby.

- Ruby? Rubin?

Faith weszła do środka za Walkerem i zamknęła za sobą drzwi. Ponownie pisnęły zawiasy. Skrzywiła się. Na pewno ktoś w tym domu ma odrobinę oliwy albo silikon. W ostateczności

wystarczyłoby mydło.

- Czy sądzisz, że ona wie o naszym gościu?

Pomimo dźwiganego ciężaru walker wzruszył ramionami. Skręcił ciało i otworzył ramieniem masywne drzwi prowadzące w bok od hallu. Tutaj w dawnych czasach w pachnącym cytrynowo salonie przyjmowano elegancko ubranych gości. Teraz całe pomieszczenie wypełniała woń pleśni, kurzu i zetlałych od nadmiaru słońca zasłon.

- Sprawdź, może uda ci się znaleźć jakiś kontakt - powiedział. Faith przez chwilę rozglądała się dookoła, nim w końcu znalazła kilka wyłączników. Kiedy nacisnęła prawy, rozbłysnęły tęcze światła rzucane przez przepiękny kryształowy żyrandol pokryty wieloletnią warstwą kurzu. Następny przycisk uruchomił lampkę od Tiffany'ego, rzucającą blask z ciemnego kąta pokoju. Na końcu każdego stołu stały zmatowiałe srebrne misy z potpourri. Elegancka, wyblakła, aksamitna kanapa przywodziła na myśl czasy Ludwika XIV. Walker położył kobietę na nierównych poduszkach i oparł jej stopy o wysoki brzeg kanapy.

Z tyłu domu dobiegł głos Mel.

- Tigo? Czemu obijacz szczekał? Obijacz, przestań się pchać. Leżeć! Czy to ty, Faith?

- Jesteśmy tutaj! - zawołała Faith. - Tiga...

- Zaczekaj chwileczkę! - przerwała Mel. - Pozwól, że uwolnię się od psa.

Mel chwyciła obydwoma garściami ciepłą, luźną skórę na karku obijacza i odciągnęła go. Nos ogara tkwił w lekko uchylonych drzwiach prowadzących z kuchni do jadalni. Psisko spojrzało na Mel, jakby ją pytało, po co ta cała szarpanina.

- Jeff, tato, jesteście tam?! - krzyknęła w stronę biblioteki, która znajdowała się naprzeciwko salonu, w pobliżu kuchni. - Tiga otworzyła drzwi!

Obijacz machnął półmetrowym ogonem, uderzając Mel po nogach, po czym zamasyście liznął ją po twarzy.

- Faj! Psie pocałunki - mruknęła ze śmiechem. - Jeff! - zawołała. - Mamy gości. Obijacz chce się z nimi przywitać, a ja nie wiem, czy oni lubią psy.

- Nie przejmuj się nim! - zawołał walker. - Tiga zemdlała. Jesteśmy w salonie.

- O nie! - krzyknęła Mel. - Jeff, jesteś mi potrzebny!

Jednym szarpnięciem otworzyła drzwi kuchenne. Obijacz wyrwał się z jej uchwytu. W tej samej chwili z biblioteki wybiegł Jeff. Sprawiał wrażenie nieco rozczochranego i zasapanego. Pies i mężczyzna wpadli na siebie, poślizgnęli się i zaplątali.

Jeff odzyskał równowagę i dzięki długiej praktyce bez trudu złapał psa.

- Uspokój się, wielki kundlu.

Obijacz cicho szczebkał i polizał Jeff a wszędzie, gdzie udało mu się sięgnąć. Jeff wzmocnił uchwyt na karku psa i obdarzył go przyjacielskim kuksańcem. Obaj zgodnie ruszyli w stronę przedniej części domu.

- Nie mówiłaś im, żeby podjechali od tyłu? - spytał Jeff próbującej dogonić go Mel. - Nawet nie wiem, czy na przedniej werandzie działają jeszcze światła.

- Zapomniałam im o tym powiedzieć. Tigo zemdlała. - Mel przegoniła męża i psa. - Są w salonie.

Jeff cicho zaklął.

- Tak to jest, jeśli pozwoli się Tidze urządzić przedstawienie dla gości. Do nogi, Obijacz.

Pies pomachał ogonem i schował głowę.

- Zupełnie zapomniałaś, czego cię uczyłem - poskarżył się Jeff, zwracając się do ogara.

- Wystarczyło na to pięć sekund - rzuciła Mel przez ramię.

- Zwolnij, kochanie. Możesz się poślizgnąć. Tidze nic nie będzie. Przecież wiesz, jaka ona jest.

- Dlatego niepokoję się o naszych gości.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Po pogawędce z ojcem niepokoił się o nich również Jeff, ale nie powiedział tego na głos. Wciąż walczyło w nim niedowierzenie i strach. Czuł się jak kurczak wrzucony do stawu z aligatorami. Póki nie wpadnie na to, jak wydostać się z tej pułapki, nie obmyśli żadnej strategii. Na razie najważniejsze było przetrwanie.

Kiedy Mel wpadła do salonu, Tiga jęknęła i uniosła powieki. Ujrzała ciemną brodę, ostro zarysowane usta i wpatrujące się w nią z natężeniem błękitne oczy.

- Jesteś piratem? - spytała głosem małej dziewczynki.

- Nie. - Uśmiechnął się łagodnie. - Jestem zwyczajnym chłopcem z nizin, panno Montegeau. Jak się pani czuje?

- Całkiem nieźle, dziękuję. A pan?

- Świetnie. Czy pamięta pani, że pani zemdłała?

- Zemdlałam? - Ciężko westchnęła. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos był głosem osoby dorosłej. - Ojej! A ja myślałam, że to ktoś ze Snów.

Walker uniosł brwi, zdumiony wyraźnie słyszalną w jej głosie wielką literą.

- Snów? - spytał uprzejmie.

- Tigo, nie rób tego - powiedziała Mel szybko. - Obiecałaś, że w towarzystwie naszych gości nie będziesz... jak to ty mówisz... śnić.

- Naprawdę obiecałam coś takiego? Musiałam myśleć o czymś innym? To nie ja decyduję, dziecko, kiedy nawiedzają mnie moje sny. Wybór należy do nich.

Mel odwróciła się i obejrzała przez ramię. Pełen zapału Obijacz właśnie wciągał Jeffa do wykwintnego, wyblakłego salonu. Pazury psa skrobnęły na wykonanej z twardego drewna podłodze. Potem nastała cisza, kiedy Obijacz dotarł do pięknego starego dywanu.

- Cześć, jestem Jeff Montegeau, ale wszystko pójdzie sprawniej, jeśli najpierw przywitacie się z Obijaczem - dodał. Faith uniosła głowę. Zobaczyła mężczyznę, który mógł prezentować odzież w najlepszych magazynach mody męskiej, ale tylko kobieta potrafiła docenić jego smukłą sylwetkę i pięknie rzeźbioną twarz. Szare oczy. Jasne włosy.

Uśmiech, który sprawiał wrażenie szczerego. Głos miękki i czarujący jak dźwięki wiolonczeli. Faith spojrzała na Mel w sposób, który mówił: Nieźle wybrałaś, koleżanko, po czym odwróciła się z powrotem do Jeffa Montegeau.

- Jestem Faith - powiedziała, uśmiechając się do niego. -

Ten czterdziestokilogramowy cud to Obijacz, jak sądzę?

Słyszając swoje imię, pies rzucił się do przodu, młóćąc ogonem we wszystko, co znalazło się w jego zasięgu.

Kiedy uwolnił się z uchwytu Jeffa, Walker wyciągnął rękę i chwycił pewnie ogara za kark.

- Spokojnie, pieseczku - mruknął, zapierając się nogami.

Raz mocno szarpnął zwierzę za kark. - Siedzieć.

Obijacz pacnął pupą o podłogę i radośnie fuknął na walkera.

- Dobry piesek - powiedział Walker, z zadowoleniem głaszcząc ogara po krótkiej sierści. - Przystojny z ciebie facet. Długie, mocne nogi ułatwiają ci bieganie po bagnach. Szeroka piers' zapewnia ci wytrzymałość. Krótka sierść ułatwia znalezienie kleszczy. Masz też szeroko rozstawione oczy i wysokie czoło, mogące pomieścić mózg, którego i tak nigdy nie używasz.

Mówiąc to, Walker przykucnął obok psa i zaczął drapać go po długich, jedwabiście czarnych uszach.

W oczach Obijacza pojawiło się uwielbienie.

Walker zerknął na Jeffa. Gospodarz był zdenerwowany

i niemal tak blady jak jego ciotka, Tiga.

- Jestem Walker. To podpalany ogar czystej rasy?

- Tak - przyznał Jeff sucho.

Walker uśmiechnął się.

- Stuprocentowy pies myśliwski, dwustuprocentowy problem.

Obijacz pacnął ogonem o dywan, radośnie zgadzając się ze słowami walkera.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Lubisz psy? - spytał Walker Faith.
- Zazdroszczę każdemu, kto ma czas, by opiekować się swoim pupilem.
- Podszła i z ogromną przyjemnością słuchała, jak obdarzony obwisłymi wargami ogar cicho posapuje, obwąchując jej rękę. Kiedy zaczął z namaszczeniem lizać jej palce, roześmiała się i poklepała go.
- Może lepiej, żeby pani jeszcze nie wstawała, psze pani
- poradził Walker, wyczuwając za sobą ruch.
- Tiga go zignorowała. Usiadła i wpatrzyła się w Faith.
- Ruby.
- Mel wywróciła oczami i spojrzała na Jeffa. Gospodarz westchnął i postanowił zająć czymś ciotkę, nim zacznie jeden ze swoich zawiłych, w połowie rymowanych monologów.
- Ciociu Tigo, to Faith Donovan - powiedział. - W tym domu nie mieszka już nikt o imieniu Ruby.
- Tiga obdarzyła bratanka smutnym spojrzeniem.
- Najbardziej ślepi są ci, którzy nie widzą.
- Prawdziwa Ruby zmarła ponad dwieście lat temu - przypomniał Jeff cierpliwie. - Na dodatek wcale nie miała na imię Ruby. Tak zdrobniale nazywał ją ojciec.
- Tiga zadrżała.
- Nienawidziła go. Ale to była inna Ruby. Odeszła dawno, dawno temu. Do widzenia, mała. Nigdy cię nie znałam. Spójrz, ja też jestem dzieckiem. - Z wywołującym ból serca uśmiechem na ustach Tigo odwróciła się do Faith. - Cieszę się, że do mnie przyszłaś, Ruby. Byłam zła, gdy mama cię zabrała. Długo, tak długo cię szukałam... Do widzenia. Witaj. Teraz będę już wiedziała, a ty nigdy się nie dowiesz.
- Roześmiała się cicho i melodyjnie. Słyszając ten dźwięk, Faith dostała gęsiej skórki, chociaż pod powiekami paliły ją łzy. Tigo była fascynująca, niezwykła i niesamowita. Jej oczy przypominały szary brzask. Wyzierało z nich coś niewymownie smutnego, niewypowiedziane przerażającego.
- Faith chciała wierzyć, że to tylko zwyczajne szaleństwo.
- Tigo. - w drzwiach biblioteki stanął Davis. - Znowu zachowujesz się jak głupia?
- Tiga podskoczyła, jakby ktoś ją uderzył.
- Tatuś?
- Na pomarszczonej twarzy Davisa pojawił się ból.
- Tatuś nie żyje, Tigo. Jestem jego synem. Twoim bratem.
- Och. - westchnęła. Zamrugała powiekami, jakby po długim pobycie w ciemności nagle znalazła się w pełnym świetle. Potem ponownie odwróciła się do Faith. - Czy my się znamy?
- Jestem Faith Donovan.
- A ja Antigua. Ludzie niegdyś nazywali mnie panną Montegeau, ale teraz wszyscy mówią na mnie Tigo. Czy mogę mówić do ciebie „Faith”?
- Bardzo proszę.
- Tiga kiwnęła głową i wstała. Zrobiła to ze sprawnością kobiety o połowę młodszej od siebie.
- Kolacja o ósmej.
- Potem wyszła z pokoju, jakby nikogo w nim nie było.
- Usłyszawszy dochodzące z tyłów domu stukanie garnków i patelni, Davis westchnął z ulgą.
- Witam państwa w Rubinowych Bagnach. Proszę wybaczyć mojej siostrze. Nie chciała być nieuprzejma. Ona nie w pełni... jest tu obecna. Ten tydzień ma nie najlepszy. Davis był bardzo podobny do Jeffa, miał jednak pewne okrągłości i znużoną twarz. Oczy obu przywodziły na myśl szarą mgiełkę, ale białka starszego pana przecinała gęsta sieć czerwonych żyłek. Siwe włosy na czubku głowy zaczynały powoli się przerzedzać. Na bladej skórze twarzy malowały się rumieńce, które mogły być wynikiem zażenowania, gorączki albo alkoholu.
- Nie ma sprawy - powiedziała Faith, zmuszając się do

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
uśmiechu, chociaż wciąż miotały nią silne emocje. - U Donovanów
czasami też bywa gorąco.

- Gorąco. - Davis uśmiechnął się jak mężczyzna, który
nieczęsto to robi. - No cóż. Pokażę państwu pokoje. Kiedy
się nieco odświeżycie, zapraszam do stołu. Tiga w pewnych
sprawach jest nieco... hm... roztrzępana, ale na nizinach nie
ma lepszej kucharki niż ona. Obecnie nie ubieramy się już
do kolacji. Proszę za mną.

Obecnie nie ubieramy się już do kolacji...
Przez chwilę Faith wyobraziła sobie wszystkich zebranych
zasiadających do stołu bez jakiegokolwiek ubrania. Sądząc
po uśmiechu Walkera, bezbłędnie odczytała jej myśli.
Nie spojrzała na niego, nie chcąc wybuchnąć śmiechem albo
się zarumienić. Nie zerknęła również wtedy, gdy okazało
się, iż mają sąsiednie pokoje. Gdyby odwróciła głowę
w jego stronę, na pewno by się zarumieniła na wspomnienie
własnej obietnicy, że wślizgnie się do jego łóżka i zacznie
go lizać.

Zagryzła wargę i skoncentrowała się na pokojach. Apartament
przeznaczony był dla bawiącej z wizytą rodziny. Po
obu stronach wspólnego salonu znajdowały się sypialnie.
Czterdzieści lat temu do większej z nich dobudowano łazienkę,
tak przynajmniej wynikało z wyjaśnień gospodarza.

Działo się to jeszcze w czasach, kiedy żyła pani Montegeau
i niemal co tydzień przyjmowano gości.

- Obawiam się, że będziecie musieli korzystać z jednej
łazienki - powiedział Davis przepraszająco. - Pozostałe sanitariaty
na tym piętrze po prostu nie działają, z wyjątkiem
tych, które znajdują się w apartamencie Mel i Jeffa, po
przeciwnej stronie domu. - To mówiąc, drżącą ręką wskazał
na dalsze pomieszczenia znajdujące się na tym samym
piętrze.

- Ta jest śliczna - zapewniła Faith szybko. - To bardzo
miło z pana strony, że nas pan zaprosił.

Davis na chwilę zamknął powieki. Wizja czekającej go
klęski wcale nie była miła. Otworzył oczy i spojrzął na sympatyczną
młodą kobietę, która była starą przyjaciółką jego
przyszłej synowej.

I być może jego wybawieniem.

Dotychczas funkcję tę pełniła whiskey. Jeśli wypił jej
wystarczająco dużo, nie musiał zadrećcać się z powodu
wszystkich popełnionych przez siebie błędów.

- Cała przyjemność po mojej stronie - zapewnił ich cicho.

- Przed kolacją będzie można wypić drinka w bibliotece.
Serdecznie zapraszam.

- Dziękuję - powiedział Walker. - Zejdziemy na dół,
gdy tylko nieco się odświeżymy.

- Przyniosę bagaże - oznajmiła Faith, gdy Davis zniknął.

Walker był już na korytarzu i zmierzał w stronę schodów.

- Pamiętasz, że jesteś na Południu? Ja je przyniosę.

- Ale...

- Jeśli nie chcesz mieć w łazience towarzystwa - powiedział
z południowym akcentem - lepiej się pośpiesz. Nie
mam zamiaru spóźnić się na typową nizinną kolację przygotowaną
przez Antigüe Montegeau.

Gdy godzina przeznaczona na koktajle dobiegła końca,
Faith odetchnęła z ulgą. Już nie musiała się zastanawiać, co
jest przyczyną rumieńców gospodarza. Pomimo groźnych
spojrzeń Jeffa Davis w krótkim czasie wypił dwa kieliszki
whiskey i właśnie raczył się trzecim. Mimo uroczego uśmiechu
na ustach Mel sprawiała wrażenie spiętej. Walker zachowywał
całkowitą obojętność, potwierdzając, że nieobcy był
mu widok mężczyzny, który nie potrafi zachować umiaru
w pić. Biorąc pod uwagę wszystko, co powiedział Faith na
temat swojego dzieciństwa, z pewnością to mu się nie podobało,
jakkolwiek udawał, że niczego nie dostrzega.

Dokładnie o ósmej Tiga wzięła do ręki stary jak świat
kryształowy dzwonek i energicznie nim potrząsnęła. Na

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
korytarzu prowadzącym do jadalni rozległy się miłe
dźwięki.

Obijacz spał zwinięty w kłębek przed niepotrzebnym acz
atrakcyjnym kominkiem. Na odgłos dzwonka ogar zerwał
się na równe nogi, wypadł z biblioteki i zajął stanowisko na
jednym końcu stołu, tuż obok kapitańskiego krzesła z wysokim
oparciem. Było to miejsca Davisa.

Jeśli nie liczyć kurzu leżącego na nieco ekstrawaganckim
zyrandolu, w jadalni było dużo czystiej niż w salonie. Pod
wpływem czasu i zużycia elegancki koronkowy obrus o zawiłym
wzorze zamienił się z białego na złoty, niemniej niemal
wszystkie cienkie niteczki były całe. Chociaż od dawna
nikt nie polerował ogromnego mahoniowego stołu, kredensu,
szafki na porcelanę i osiemnastu krzesel, tkane obicia
były stosunkowo świeże i w świetle świec mieniły się wspaniałymi
barwami drogich kamieni.

Pomimo zmatowienia ozdobny srebrny kandelabr i srebra
stołowe pięknie odbijały ciepłe światło woskowych
świec. Wyglądały jak lśniąca od wewnątrz żywa satyna.
Porcelana albo była tak stara jak dom, albo stanowiła wspaniałą
kopię. Faith opowiadała się raczej za tą pierwszą możliwością,
ponieważ zdobiący brzeg każdego talerza zawiły
wzór pod wpływem zużycia zdążył już nieco zmatowieć.
Przy każdym nakryciu stały karafki z rżniętego szkła wypełnione
lodowatą wodą.

Niezależnie od stanu majątkowego obecnego pokolenia
Montegeau, w przeszłości rodzina ta musiała mieć naprawdę
mnóstwo pieniędzy.

Albo prawdziwych piratów w swym gronie.

Walker uśmiechnął się, widząc, jak Faith czubkiem palca
wodzi po złotym brzegu kryształowego kieliszka na wino.
Szepnął jej na ucho imię Black Jacka Montegeau. Wcale nie
musiał tego robić. I bez tego wiedziała, o czym on myśli.
Dawne ciężkie czasy były wyjątkowo łaskawe dla niektórych
członków rodziny Montegeau.

Na ścianach wisiały poczerńiałe, rzucające się w oczy,
oprawione w rzeźbione ramki portrety. Jasno dawały do zro-
zumienia, kto skorzystał na dziedzictwie piratów. Uwiecznione
zostały wszystkie pokolenia Montegeau, od Black
Jacka poczynając. Brakowało jedynie dwóch ostatnich
przedstawicieli rodu.

Każda z kobiet miała rubinowy klejnot, którego nie powstydziliby
się cesarzowa.

- Nie ma dwóch takich samych - zauważył Walker, idąc
za wzrokiem Faith.

- Słucham? - spytała z roztargnieniem.

- Mówię o zdobiących je rubinach. Albo nie przekazywano
naszyjników następnym pokoleniom, albo każda generacja
tworzyła nową oprawę.

- Masz dobre oko - pochwalił go Jeff. - Zgodnie z tradycją,
po namalowaniu portretu biżuteria wędrowała do błogosławionego
Kufra, by zapewnić fortunę temu konkretnemu
pokoleniu, a także następnym. Gdy klejnot znalazł się
już w błogosławionym Kufrze, kobiety mogły go nosić, ale
nie wolno było go sprzedać, gdyż to przyniosłoby pecha.

Tak przynajmniej głosi rodzinna legenda.

Walker cicho gwizdnął i z nowym zainteresowaniem
przyjrzał się portretom.

- Warto byłoby otworzyć taki kufer.

- Nie musisz mi tego mówić. - W głosie Jeffa słychać
było gorycz. - Zniknął za życia moich dziadków. - Uniósł
głowę, gdy ciotka wręczyła mu półmisek pełen smażonych
krabów, które z powrotem wetknięte zostały do skorupki. -
Dziękuję, Tigo.

Przytaknęła i usiadła. Chociaż przy ogromnym stole znajdowało
się zaledwie sześć osób, Tigo zajęła miejsce na odległym
końcu, naprzeciwko swojego brata, Davisa.

- Gdy byłem chłopcem, ludzie wciąż jeszcze mówili

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
o kufrze - przypomniał sobie walker. - Pamiętali o związanych z nim dość smutnych okolicznościach.

Jeff delikatnie się uśmiechnął.

- Tak mi się wydawało, że mówisz jak mieszkanielowi.

- Urodziłem się tu i dorastałem - przyznał walker. Wziął do ust kawałek smażonego kraba. - O Boże! - zawołał. - Panno Montegreau, to istny cud, że jakiś mężczyzna nie zakradł się tu i nie porwał pani ze względu na wyjątkowe umiejętności kulinarne.

Tiga uśmiechnęła się słodko i niewinnie jak dziecko.

- Jest pan bardzo miły, sir.

- Nie wszyscy tak myślą - powiedział, puszczając do niej perskie oko. - Jestem gotów się założyć, że aniołowie po cichutku wymykają się z nieba, by skosztować tego, co podaje pani na stół.

Tiga zachichotała jak dziewczyna, która wciąż się uczy, w jaki sposób zwrócić na siebie uwagę chłopca. A potem ją utrzymać.

Faith uśmiechnęła się, spoglądając na swój talerz. Leżący na nim krab był dużo mniejszy od swojego krewnego z północno-zachodniego Pacyfiku. Nizinny skorupiak po obu stronach „pleców” miał ognistoczerwone, nieładnie wyglądające punkciki, a jego skorupa zmieściłaby się w dłoni Faith. Na półmisku leżało około dwudziestu odwróconych na plecy bestii. Może trzydziestu.

Zastanawiając się, czy przez przypadek krab nie jest daniem głównym zamiast przystawką, Faith wzięła do ust pierwszy kęs. Potem z prawdziwą przyjemnością zamknęła oczy i mruknęła z uznaniem.

- Ma smak morza, jest pikantny, tłusty i soczysty - stwierdziła - a odpowiednia ilość przypraw jeszcze bardziej to podkreśla.

Walker z trudem przełknął ślinę, starając się odsunąć na bok nieprzyzwoite myśli.

- Jest idealny. - Faith otworzyła oczy i ze współczuciem spojrzała na siedzącą obok niej Mel. - Nic dziwnego, że walczysz o utrzymanie linii.

Mel westchnęła i zjadła następny starannie wydzielony kawałek smakowitego kraba.

- Wmawiam sobie, że pomimo tłuszczu kilka kęsów nikomu nie zaszkodzi. Wiem również, że czeka nas jeszcze deser.

- Tylko mi nie mów, co to będzie. Pozwól, że pomarzę.

- Jeśli tylko będziesz marzyć o placku orzechowym, cytrynowym albo limonowym, niektóre z twoich marzeń mogą się spełnić. Chyba że Tiga zaprezentuje nam swoją wersję „czekoladowego grzechu”. Wtedy nie dasz rady zjeść więcej niż jedną porcję.

- Przestań! Ślinka mi cieknie.

- Możesz sobie na to pozwolić - wypaliła Mel. - Nie musisz dbać o linię.

Napięcie widoczne wokół ust i oczu Jeffa zniknęło, gdy uśmiechnął się do swojej ciężarnej kochanki i przyszłej żony.

- Kiedy Mel się tu przeprowadzała, myślała, że będzie jej brakowało kuchni typowej dla Zachodniego wybrzeża.

Po zjedzeniu pierwszego posiłku Tigi przestała tęsknić za tamtejszymi potrawami. Czasami podejrzewam, że Mel zgodziła się wyjść za mnie ze względu na kuchnię Tigi.

Mel uśmiechnęła się do niego.

- To nie przez Tigę jestem taka gruba.

Walker parsknął śmiechem, na co Faith kopnęła go pod stołem, a on puścił do niej perskie oko.

Davis opróżnił pierwszy kieliszek wina, jakby pił wodę mineralną. Sięgnął po karafkę, uprzedził go jednak Jeff. Nalał wszystkim - oprócz ojca - do pełna i postawił karafkę na podłodze obok swojego krzesła, z dala od ojca.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Objął acz obwąchał kryształowy korek, kichnął i ciężko sapiąc, powędrował na drugi koniec stołu.

Davis spojrzał ostro na syna. Walker wiedział, że Jeff drogo zapłaci za ten wyczyn.

- Taaak, mój kochany papcio utracił Błogosławiony Kufer

- oznajmił Davis, jakby ktoś go o to pytał. - Ten stary sukinsyn stracił wszystko, oprócz umiejętności rozpinania zamka błyskawicznego w swoich spodniach.

- Jedz szybko - szepnął Walker do Faith. - Zanoszą się na burzę.

- Nie sądzę, by nasi goście chcieli słuchać opowieści o dziadku Montegeau - oznajmił Jeff.

- Miałem wówczas prawie dziesięć lat - ciągnął Davis.

Przez chwilę bawił się pustym kieliszkiem, a potem znacząco spojrzał na pełną lampkę Jeffa. Za niewielką ilość alkoholu Davis z prawdziwą przyjemnością gotów był odłożyć na bok rodzinną historię.

Jeff udał, że tego nie zauważył.

Starszy pan postanowił wyprać brudy rodu Montegeau.

- Mój papcio w niczym nie przypominał mnie ani Jeffa - wyjaśnił, zwracając się do Faith. - Był cholernym zabijaką i kobieciarzem.

- Tato...

- Zzammknij się. To niegrzecznie przerywać starszym.

Chociaż połączył ze sobą słowa, łatwo było je zrozumieć.

Walker często widywał pijaków przy rodzinnym stole.

Wprawdzie ocenił Davisa Montegeau. Starszy pan był zły, ale nie rwał się do rękoczynów. Przynajmniej na razie. Może zresztą nigdy tego nie robił. Brakowało mu owej przenikającej aż do szpiku kości oziębłości człowieka, którego naprawdę stać na przemoc.

Walker nałożył sobie następnego kraba. Kolejnego zsunął na talerz Faith.

- Mel? - spytał.

- Nie, dziękuję. Zaczekam na...

- Papcio lubił bardzo młode dziewczęta - huknął Davis, przerywając Mel. - Są jeszcze w pączku, mawiał, gdy ich piersi były niewiele większe od brodawek.

Tiga tak szybko wstała od stołu, że zamigotały płomienie świec.

- Pora na kurczaka.

- Pomogę ci - zaproponowała Mel.

- Z tego, co wiem, mama miała mniej więcej trzynaście lat, kiedy się z nią ożenił - ciągnął Davis. - Kiedy patrzę na ich zdjęcie ślubne, wcale nie jestem pewien, czy już regularnie krwawiła.

Faith wzięła do ust następny kawałek kraba. Potem zacisnęła palce w fałdach ciężkiej, pachnącej lawendą płóciennej serwetki, która leżała na jej kolanach.

Walker delikatnie ujął pod stołem jej dłoń. Zwyczajne ciepło jego palców i niosący otuchę dotyk pozwoliły jej na rozluźnienie ściśniętego gardła. Złapała się kurczowo walkera i z trudem oddychała.

- Trochę trwało, nim dorobił się z nią dziecka, ale w końcu zaszła w ciążę i donosiła ją.

Jeff miał ponurą minę.

Ojciec nie przestawał mówić, przez cały czas bawiąc się pustym kieliszkiem.

- Antigua urodziła się, gdy mama nie miała jeszcze szesnastu lat. Ja przyszedłem na świat ponad cztery lata później. W tym okresie zmarło jedno dziecko. A może dwoje.

Zapomniałem. Z powodu wszystkich tych ciąż i poronień mama w wieku dwudziestu lat wyglądała dużo starzej niż jej rówieśnice. Papcio więc zaczął się uganiać za spódniczkami. Za bardzo młodziutkimi spódniczkami.

- Mógłbyś podać mi sól? - spytał Jeff walkera.

Walker spełnił jego prośbę.

- Pieprz?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Bardzo proszę. Jak wypadła wystawa, Faith?
- Bardzo dobrze. Udało...
- Złapano go z córką dzierzawcy - powiedział Davis głośno. - Miała trzynaście lat, dlatego...
- Udało mi się sprzedać większość klejnotów i nawiązać kilka wspaniałych znajomości - pochwaliła się Faith, podnosząc głos, by zagłuszyć gospodarza. - Mam też klejnot, który chciałabym...
- ...wyłożył pieniądze. Dzięki temu obeszło się bez prawnika. Następnym razem dziewczuszka miała załedwie...
- ...oddać w ręce jego właściciela - zdradziła Faith, patrząc znacząco na Jeffa. - Jest bardzo, bardzo cenny.
- ...dwanaście lat, nic więc dziwnego, że zrobiła się straszna zadyma, ale papcio...
- Doskonale cię rozumiem - przyznał Jeff, mając nadzieję, że wyraz jego twarzy nie zdradza, że rozumie znacznie więcej.
- ...zapłacił jej rodzinie rubinami z Błogosławionego Kufra. To uchroniło go przed pójściem do...
- Mam jednak nadzieję - ciągnął Jeff - iż sprawa została postawiona całkiem jasno. Transakcja może dojść do skutku dopiero...
- ...paki. Potem była następna słodka, mała dziewczynka...
- ...tuż przed ceremonią, zgadza się? - dokończył Jeff ponuro.
- Człowiek nie wie, że żyje, póki nie skosztował przygotowanego przez Tigę kurczaka w maślanec - oznajmiła Mel, wchodząc do jadalni z ukłonem, przy którym jej ciemne włosy opadły na czerwoną jak szminka bluzkę.
- ...córka miejscowego poławiacza krewetek. Papcio nigdy się nie przyznał...
- Powinnam włożyć coś w kolorze sosu śmietankowego
- zażartowała Mel, nie zważając na to, że jej teść jest właśnie w samym środku głośnego monologu, ujawniającego niemiłe sekrety rodu Montegeau. - Może wtedy nie miałabym ochoty na wytarzanie się w tym niebiańskim przysmaku.
- ...że jest ojcem jej nieślubnego dziecka, niemniej kilka miesięcy później owa dziewczuszka sprzedała rubinową broszkę i...
- Maślanca - westchnął Walker. W jego głosie słychać było niemalże nabożną cześć. - Od ukończenia szesnastego roku życia nie jadłem naprawdę dobrego kurczaka w maślanec.
- Czestujcie się. - Mel postawiła półmisek, przy okazji zerkając na Jeffa, jakby chciała mu powiedzieć: Zrób coś, po czym wyszła.
- Jeff wypił łyk wina.
- ...wraz ze swoją starszą siostrą wyjechała do Atlanty - wyjawiał Davis z chłodnym uśmiechem na ustach. - Miałem wtedy prawie osiem lat, byłem więc dość duży, żeby zapamiętać tę kłótnię. Co prawda mama wyszła za mąż bardzo młodo, z czasem jednak bardzo się...
- Sosu? - spytała pogodnie Tiga.
- W błędach, zniszczonych od pracy rękach ścisnęła bezcenną wazę wypełnioną po brzegi sosem śmietanowym.
- Można było odnieść wrażenie, że starsza pani ma ochotę rzucić tym naczyniem w swojego rozgadane go brata.
- To waza na zupę, ale ponieważ wszyscy bardzo lubią mój sos, zrobiłam...
- ...wrobiła - wyjaśnił Davis, przekrzykując siostrę. - Nieźle natarła ojcemu uszu za dawanie rubinów Montegeau ladacznicom.
- ...go tak dużo, że zmieścił się tylko w tym - dodała szybko Tiga. - Dzięki temu nie będę musiała co chwila latać do kuchni. Panie Walker? Wygląda pan...
- Na kilka lat sprawy przycichły - ciągnął Davis, patrząc twardo na Jeffa - co jednak wcale nie znaczy, że ojciec lubił mieć zapięty rozporek, po prostu nigdy...
- ...na człowieka, który lubi sos - powiedziała Tiga,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
wpatrując się udreńczonymi szarymi oczami w Walkera, jakby tylko on jeden mógł jej zapewnić życie pozagrobowe.
Walker zazwyczaj wołał polewać sosem ziemniaki, a nie mięso, powiedział jednak:
- Tak jest, psze pani. Lubię.
- ...go nie przyłapano. Przynajmniej tak uznała policja - kontynuował Davis. - W noc poprzedzającą urodziny Tigi...
- To dobrze. Proszę.
Tiga wsunęła Walkerowi wazę do rąk, z przerażeniem spojrzała na Davisa i uciekła.
Walker przez chwilę myślał, czy nie rzucić sporym naczyniem w gospodarza, uznał jednak, że byłaby to strata czegoś, co pachniało jak najlepszy sos śmietankowy, sos, w jakiego poszukiwaniu chłopak z nizin przejechałby autostopem całe piekło.
Faith podała Walkerowi kurczaka.
- ...papcio musiał potrzebować kolejnych rubinów, by zamknąć usta następnemu oburzonemu ojcu, ponieważ...
Walker połał swojego kurczaka sosem i spojrzął na Jeffa.
- Sosu?
- ...wyjął kufer z kryjówki. Wtedy...
- Zaczekam na ziemniaki - odrzekł Jeff.
- ...nagle ktoś się pojawił, podziurawił go, mierząc z jego własnej strzelby, i...
- Być może długo trzeba będzie na nie czekać - zauważył Walker bezbarwnie.
- ...zniknął w ciemnościach nocy. Nigdy więcej nie widzieliśmy cholernego błogosławionego Kufra! - krzyknął Davis do syna. - Zniknął, a wraz z nim opuściło nas szczęście! Do jasnej cholery, muszę się napić!
Davis wstał tak gwałtownie, że jego krzesło upadło na podłogę. Obijacz uskoczył z pełnym zaskoczenia skowytom.
Starszy pan tak mocno zatoczył się na stół, że zachwiały się kieliszki z winem. Bez słowa wyprostował się i niepewnym krokiem opuścił pokój. Minutę później zatrzasnął za sobą drzwi biblioteki.
W jadalni zapadła przypominająca westchnienie ulgi cisza.
Jeff oparł łokcie na stole po obu stronach talerza i zaczął rozcierać skronie. Mel stanęła za plecami swojego przyszłego męża. Masowała spięte ramiona Jeffa z taką wprawą, jakby często to robiła.
- Najmocniej przepraszam - powiedział Jeff szorstkim, przytłumionym głosem. - Przed waszym przyjazdem pokłóciłem się z ojcem. Jest na mnie bardzo zły.
- Nie przepraszaj - zapewnił Walker. - Chociaż muszę przyznać, iż nigdy w życiu nie słyszałem tak zawiłej i długiej modlitwy przed dobrym, gorącym posiłkiem.
Faith parsknęła, a potem poddała się i całe napięcie rozładowała, głośno się śmiejąc. To samo zrobiła Mel. Po chwili nawet Jeff uniosł głowę i uśmiechnął się ze znużeniem.
Tiga weszła na paluszkach z misą ziemniaków.
- Tatuś wyszedł? - szepnęła.
Jeff miał zamiar wyjaśnić, że to jej brat, nie ojciec, właśnie opuścił jadalnię w pijackim napadzie złości, ale doszedł do wniosku, że nie warto zadawać sobie trudu.
- Tak, wyszedł.
- Och, to dobrze. - Uśmiechnęła się z wyraźną radością dwunastolatki. - Przyniosłam ziemniaki. Czy został jeszcze sos?
- Nie więcej niż galon.
Walker wstał, odebrał od Tigi ziemniaki i postawił je na stole. Potem usadził starszą panią jak księżniczkę.
- Proszę pozwolić, że panią obsłużę, psze pani. Już dosyć się pani napracowała jak na jeden wieczór.
- Dziękuję, sir.
- Tyle mogę zrobić dla najlepszej kucharki na nizinach.
- Zjadł pan kęs, najwyżej dwa - trapiła się.
- Jestem gotów nadrobić zaległości.

Baczenie mu się przyjrzała.

- Jest pan miły. Czy my się znamy?

- Jestem Owen Walker, psze pani.

- Lubi pan sos?

Faith wbiła wzrok w swój talerz. Do ślubu zostały już tylko trzy dni. Tłumiąc westchnienie, wzięła do ust kawałek kurczaka. Był wyśmienity - jak cała kolacja.

Dla takiego jedzenia była w stanie znieść nieco rodzinnych dziwactw.

Mel śmiała się z jakiejś opowieści walkera ze spędzonego na nizinach dzieciństwa. Faith wmawiała sobie, że to nawet dobrze. Była zmęczona i trochę za bardzo rozluźniona po dwóch kieliszkach wina. Gdyby Walker poszedł na piętro razem z nią, prawdopodobnie tej nocy nie spałaby w łóżku sama. Gdzieś w głębi duszy ta myśl bardzo ją podniecała. Zdrowy rozsądek tylko mówił, że to czyste szaleństwo.

Kiedy Faith ruszyła schodami na piętro, by położyć się do łóżka, Jeff odciągnął ją na bok.

- Masz minutkę?

- Jasne.

Kiwnięciem głowy wskazał na bibliotekę.

Faith zawahała się. Nie chciała ponownie patrzeć na pijanego Davisa Montegeau.

- Nie martw się. Ojciec dawno temu chwiejnym krokiem udał się do łóżka i zasnął.

Chociaż Jeff powiedział te słowa bardzo łagodnie, przez pozorny spokój przebijały miłość i rozgoryczenie. Głębokie zmarszczki wokół oczu i na twarzy świadczyły o emocjonalnym wzburzeniu.

Faith w milczeniu poszła za nim do biblioteki. Żadne słowa nie złagodzą cierpienia dziecka alkoholika.

Biblioteka - podobnie jak jadalnia - była czysta, wręcz lśniła. Czuć w niej było przytłaczający zapach whiskey. Kiedy Faith dostrzegła leżące w kominku błyszczące kawałki karafki, przypomniała sobie wypowiedziane podczas kolacji słowa Jeffa. Przed waszym przyjazdem pokłóciłem się z ojcem.

Jest na mnie bardzo zły-

Nie było trudno domyślić się dlaczego.

Jeff zamknął drzwi.

- Wiem, że właściwie nie mam prawa prosić cię o zatrzymanie naszyjnika aż do ślubu, ale ojciec ubezpieczył go oddzielnie, niezależnie od posiadanych przez nas polis.

Ubezpieczenie to nabierze mocy prawnej dopiero wtedy, gdy Mel i ja weźmiemy ślub. W normalnych warunkach nie przejmowałbym się kilkudniowym wyprzedzeniem, ale...

- Splótł palce i mocno je ścisnął. - ...Ostatnio szczęście niezbyt dopisuje członkom rodu Montegeau. Gdyby coś się stało, nim naszyjnik zaczął podlegać ubezpieczeniu, byłby to ostateczny cios. - Uśmiechnął się, ale po chwili spowaźniał.

- Będę ci bardzo wdzięczny, jeśli wykażesz w tym względzie zrozumienie. Nie chcę, by jakiś następny problem zmniejszył radość Mel z powodu ślubu.

Faith mogła powiedzieć tylko jedno:

- Oczywiście. Kiedy chcesz odebrać naszyjnik?

Zacisnął usta, potem jednak wyraz jego twarzy złagodniał.

- Ojciec chce założyć go Mel, nim ruszą nawą w stronę ołtarza. To ma być prezent ślubny od niego.

W głosie Jeffa pobrzmiwał smutek i tęsknota syna za ojcem.

Faith poczuła, że coś chwyta ją za serce. Chciałaby znać Jeffa tak dobrze, by go uścisnąć.

- Dopilnuję, żeby dostał go właśnie wtedy.

- Tuż przed tym, jak Mel ruszy w stronę ołtarza.

Widocznie Jeff bał się powierzyć ojcu rubiny warte milion dolarów. Faith wcale nie była tym zdziwiona. Pod wpływem współczucia jej oczy zamieniły się w srebrzystobłękitną mgiełkę.

- Oczywiście.

- Czy... czy to nie będzie stanowić dla ciebie problemu?

- spytał niemal z wahaniem.
- Nie.
- Nie musisz wracać po naszyjnik do Savannah?
- Nie.
- To dobrze. Bałem się, że liczysz, iż pojedę po niego czy coś w tym stylu.
- Nie martw się. Naszyjnik jest tutaj. - Pomyślała o schowku w spodenkach walkera i uśmiechnęła się. - Nic mu nie grozi.
- Skoro tak mówisz. Niepokoją mnie cenne przedmioty trzymane w bagażu. Mamy w bibliotece sejf.
Gestem ręki wskazał na masywny obraz przedstawiający Black Jacka Montegeau. U stóp pirata stał błogosławiony Kufer, mieniając się wszystkimi odcieniami srebra.
- Jest za tym portretem.
- A co z twoim ojcem?
- Co ma z nim być? - Potem Jeff zdał sobie sprawę, co Faith próbuje w delikatny sposób dać do zrozumienia. - Och, tak. No cóż, wątpię, czy nawet pamięta szyfr. Oprócz rodzinnej Biblii i paru dokumentów teraz" w sejfie nie ma niczego. Jest nawet ogniotrwały. Z przyjemnością ci go udostępnię.
- Przekażę tę propozycję Walkerowi.
Jeff delikatnie uniósł brwi.
- To on odpowiada za naszyjnik - wyjaśniła Faith. - Walker jest chodzącą polisą ubezpieczeniową.
Jeff odchrząknął. Sprawiał wrażenie zaniepokojonego.
- No cóż, jeśli uważasz, że to bezpieczniejsze niż metal i zamki szyfrowe...
- Wszystko zależy od walkera. Rubiny ubezpiecza mój brat, Archer. Walker jest jego pracownikiem.
- Ach. Rozumiem. - Wzruszył energicznie ramionami. - No cóż, liczy się tylko to, że naszyjnik jest bezpieczny. Ale naprawdę czułbym się lepiej, gdyby znalazł się w sejfie. Wspomnisz o tym Walkerowi? Będę tu jeszcze pracował przez następną godzinę lub dwie. W tym czasie bez kłopotu możecie włożyć naszyjnik do sejfu. Masz też własną biżuterię, prawda? Jeśli chcesz, skorzystaj z sejfu.
- Dziękuję, chętnie to zrobię - zapewniła, pragnąc, by Jeff poczuł się tak, jakby udało mu się w jakiś sposób wynagrodzić zachowanie ojca. - Przyniosę ją za chwilę, a przy okazji porozmawiam z Walkerem. - Uśmiechnęła się i delikatnie dotknęła ramienia Jeffa. - Nie martw się. Ciebie i Mel czeka wspaniały ślub, a potem urodzi się wam piękne dziecko. Tylko o tym powinieś myśleć, nie o swoim ojcu i jego problemach.
Jeff uśmiechnął się ponuro.
- Trudno się nie martwić, jeśli w rodzinie dzieje się coś złego. Ale dziękuję ci, Faith. Mel mówiła mi, że jesteś miła. Teraz sam się o tym przekonałem.
Kiedy Faith wyszła z biblioteki, walkera nie było w salonie.
- Poszedł spać - wyjaśniła Mel. - Chyba boli go noga.
- Chciałabym mu pomóc.
- W jaki sposób? - Mel ziewnęła. - Przepraszam. Jest za duży, żeby go nosić.
- Miałam na myśli głęboki masaż.
- Mmm. To musi być całkiem niezła zabawa.
- Widzę, że nigdy nikt ci go nie robił - powiedziała Faith sucho. - Jest bardzo skuteczny, ale niemiły.
- Nieważne - zapewniła Mel, krzywiąc usta. - Trochę mnie tu rozpieszczają. - Uśmiechnęła się na widok wchodzącego do salonu Jeffa. - Zabierz mnie do łóżka i porozpieszczaj.
- Gdy tylko Faith przyniesie do biblioteki kilka rzeczy, żeby zamknąć je w sejfie. Połóż się, kochanie - poradził. - Jeśli zaśniesz, obudzę cię.
- Umowa stoi, ale pod warunkiem, że już teraz pocałujesz mnie na dobranoc.
Faith wyszła z uśmiechem na ustach. Idąc po schodach, podziwiała szeroką poręcz wypolerowaną przez tysiące rąk

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

wielu pokoleń. Uroczy, bardzo stary perski dywan wciąż był kolorowy i na tyle gruby, że tłumił odgłosy kroków w korytarzu. W mosiężnych kinkietach w kształcie kwiatów płonęły przypominające płomień żarówki, rzucając złotymi blask na gipsowy rzeźbiony sufit. W powietrzu unosił się zapach kurzu i jaśminowego potpourri. \$,

Gdy Faith dotarła do apartamentu gościnnego, salon był pusty. Przez chwilę się wahała, potem wzięła do ręki kasetkę z biżuterią i postawiła ją na krześle. Przez chwilę się przeciągała, zastanawiając się, czy Walker poszedł już do łóżka. Potem usłyszała stłumione odgłosy wody lejącej się do ogromnej, stojącej na ozdobnych nogach wanny. Podczas wcześniejszej kąpieli Faith zauważyła, że wanna jest'dużo wygodniejszą wersją oryginalnego wiktoriańskiego pierwowzoru. Dłuższą, głębszą, szerszą, opatrzoną biegnącym za plecami występnym, o który można oprzeć głowę. Faith miała nadzieję, że kąpiel sprawi Walkerowi taką samą przyjemność jak jej. Potem przypomniała sobie jego chorą nogę i śliskie, mokre kafelki. Długie siedzenie w wannie może złagodzić ból, ale nie wzmocni nogi na tyle, by później bez problemu poradziła sobie na zdradzieckiej podłodze.

Faith zmarszczyła czoło i podeszła do kasetki ze wzmocnionego aluminium. Metalowa skrzyneczka nie pasowała do wyblakłego, ale nadal eleganckiego wiktoriańskiego salonu. Otworzywszy zamki, Faith zajrzała do środka. W kasetce znajdowały się trzy wyroby, których nie udało jej się sprzedać. Nie były to najbardziej wartościowe klejnoty, takie jak szmaragdowy kot czy naszyjnik Montegeau, ale trudno byłoby zastąpić czymś innym opalizującą barokową czarną perłę z Perłowej Zatoki osadzoną w obrzeżonej rubinami platynowej chmurce. Faith sprzedała kolczyki z platynowo-rubinowego garnituru, został jej tylko pierścionek i bransoletka.

Sama była sobie winna. Chociaż rubiny były czyste i miały piękny kolor, nie dorównywały klasą niepowtarzalnym kamieniom Montegeau. Nie należało wystawiać ich w tej samej gablotce.

Odgłos lejącej się wody ustał. W ciemności nocy od strony rozlewiska dobiegł niski głos, ni to grzmot, ni to burknięcie. Faith zastanawiała się, czy to aligator, czy ogromna amerykańska żaba wielkości Nebraski.

Nocna bryza uniosła cienkie jak gaza zasłonki i przebiegła po nich jak westchnienie. Widocznie Walker otworzył przeszkłone drzwi prowadzące na biegnącą wzdłuż pierwszego piętra werandę. Nietypowy jak na tę porę roku upał panujący na nizinach Faith bardziej kojarzył się z tropikiem. Była przyzwyczajona do typowych dla Seattle chłodnych zim i częstego deszczu ze śniegiem.

Przez chwilę kusiło ją, żeby otworzyć karafkę z brandy umieszczoną na małym stoliku z drzewa wiśniowego, stojącym tuż obok kanapy. Cudownie byłoby wyjść w lutym boso na werandę i sączyć brandy, czując na skórze łagodne, przesycone zapachem soli powietrze. Najważniejszy był jednak naszyjnik.

Podeszła szybko do drzwi łazienki i zapukała.

- Walker?

- Wejdz, złotko.

Brzmiąca w jego głosie nutka ledwo ukrywanego oczekiwania wzbudziła nieufność Faith. Przypomniała sobie nawoływania braci, nim czymś ją oblali.

- Co masz na sobie?

- Wszystko to, z czym się urodziłem.

- Rozumiem. To znaczy, że jesteś goły.

- Jasne. Ale ukrywam się w wannie pełnej piany.

- Piany? - spytała zaskoczona.

Myśl o tym, że brodaty Walker siedzi zanurzony w pianie była... podniecająca.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Dolałeś do wody jakiś płyn?

Roześmiał się cicho i nisko.

- Pewnie. Masz zamiar zadzwonić po policję i zdradzić im, że żaden ze mnie macho?

- Nie. To sekret rodzinny, ale wielki Donovan, Kyle i Lawę uwielbiają moczyć się w mydlinach. Co wcale nie przynosi uszczerbku ich męskości.

- No proszę.

Faith złapała się na tym, że uśmiecha się do ciężkich mahoniowych drzwi z ozdobną kryształowo-mosiężną klamką.

- Wciąż masz przy sobie naszyjnik?

- To byłoby już pewne przekroczenie obowiązków.

- Cholera. Właśnie wyobraziłam sobie ciebie w pianie i tych rubinach.

- Noo cóóóó - powiedział, przeciągając głoski - nie chciałbym rozwiać tak uroczej wizji. Zaraz będę miał je na sobie.

Parsknęła śmiechem. Jej oddech stał się krótki. Nie powinna drażnić się z nim - i sobą - w taki sposób, ale zabawa była po prostu zbyt przyjemna, by się jej oprzeć.

- Czyżbyś miał zamiar również ogolić klatkę piersiową?

Nastąpiła cisza, a potem rozległ się plusk wody omywającej boki wanny.

- Skąd wiesz, czy już tego nie zrobiłem?

- Poznałam po cieniu pod twoją koszulą.

- To brud - wyjaśnił szybko, tłumiąc śmiech.

- Złotkoo - powiedziała, naśladowując południowy akcent i jednocześnie muskając palcami ciemny kłos z mahoniowego drewna - kłamiesz. Znam zapach brudu. Nie przypomina woni kawy, mydła i aromatycznego piżma.

Walker powiedział sobie, że nie wstanie, nie otworzy drzwi i nie wciągnie Faith do wanny.

- Jesteś gotowa wejść i zobaczyć rodzinne klejnoty? - spytał. - Czekają.

Faith w to nie wątpiła. Odczuwana pokusa była gorętsza niż nizinna bryza.

- Dzięki, ale mam zamiar zabrać całą biżuterię na parter i zamknąć ją w sejfie. W ten sposób Jeff próbuje przeprosić za to, że nie odbierze naszyjnika od razu. Za kilka innych rzeczy również.

Walker chrząknął.

- Jego sejf, jego dom, jego ubezpieczenie?

- Nie. Ojciec naszyjnik ubezpieczył osobno. Polisa zacznie obowiązywać dopiero po ich ślubie.

Walker nabrał dwie garście piany i wpatrywał się w nie jak w kryształową kulę. Jego oczy były niemal tak ciemne jak panująca za oknami noc.

- Powiem ci coś - odezwał się w końcu. - Jeff ma dość problemów ze swoim ojcem. Przypilnuję naszyjnika do ślubu.

- Jeff owi będzie przykro z tego powodu. Koniecznie chce zrobić coś naprawdę miłego, by załagodzić występ ojca.

- Więc mu o tym nie mów. Zanieś na dół swoją kasetkę, uśmiechnij się słodko i poproś, żeby pozwolił ci ją schować.

- To, czego się nie wie, nie sprawia bólu, czyż nie tak?

- To jedna z tych rzeczy, które u ciebie lubię. Naprawdę szybko chwytasz.

- A co jeszcze u mnie lubisz? - spytała, nim zdążyła dojść do wniosku, że nie powinna tego robić.

- Twoją słodką, ufną naturę.

- Taka się już urodziłam.

- Jasne.

- A propos, dziś wieczorem mi się nie wymigasz.

- Od czego? - spytał nieufnie.

- Od masażu.

Roześmiał się pomimo fali pożądania. Kilka dni temu Faith zrobiła mu zwykły masaż leczniczy. Zabieg ten rozluźnił mięśnie jednej nogi... za to inna zrobiła się twarda jak diabli.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Zaczynam podejrzewać, iż w głębi duszy jesteś sadystką.
- Nie przestawaj o tym myśleć, złotko. Zaraz wracam.
Walker wypuścił powietrze z płuc i odkręcił kurek z zimną wodą.

Pora, by któreś z nich zdobyło się na odrobinę rozsądku. Kiedy Faith wyłoniła się z biblioteki z pustą aluminiową kasetką, Jeff czekał na nią u podstawy schodów. Przy jego nodze stał Obijacz. Wyglądał jak ogar gotów poszukać sobie wygodnego miejsca na noc.

- Wszystko w porządku? - spytał Jeff.

- Tak, dziękuję. Zamknęłam sejf i opuściłam z powrotem portret. Wszystko jest jak należy. Wyłączyłam nawet światło.

- Dzięki. - Jeff ziewnął. Z jego twarzy zniknęły zmarszczki. - To zabawne, jak takie rzeczy potrafią człowiekowi ciążyć. W końcu to tylko pieniądze, poza tym, w taki czy inny sposób, ta biżuteria jest ubezpieczona, prawda?

- Tak.

Uśmiechnął się blade.

- Podejrzewam, że po prostu dręczy mnie cała rodzinna historia. Bez przerwy muszę sobie przypominać, że nawet gdyby coś się stało, ewentualne straty poniesie firma ubezpieczeniowa, nie my, a przecież powszechnie wiadomo, że nie brakuje im pieniędzy.

- Mel również by straciła. To piękny naszyjnik, jeśli tak mogę powiedzieć.

- Wierzę ci na słowo - wyznał ponuro.

Jeszcze poprzedniego dnia nie znał nawet szyfru pozwalającego na dostanie się do sejfu. Poznał go w chwili uzyskania pełnomocnictwa.

- Ojciec nikomu nie pokazał twoich szkiców. Trzymał je w sejfie, a potem spalił, gdy naszyjnik został już wykonany. Chciał, żeby to była całkowita niespodzianka. Tylko on jeden spośród wszystkich osób przebywających w Rubinowych Bagnach wie, jak wygląda ten klejnot. Oczywiście, jeśli nie liczyć ciebie i Walkera.

Faith uśmiechnęła się.

- Niezależnie od tego, jak piękny jest naszyjnik, będziesz widział tylko Mel.

Uśmiechnął się. Nagle odmłodził o dziesięć lat.

- Jest cudowna, prawda?

- Tak. Szczęściarz z ciebie.

Jego uśmiech nieco się zmienił, ale nie zniknął.

- Mam nadzieję, że tak. Naprawdę na to liczę. Rodzinie Montegeau przydałaby się odmiana losu.

- Ojciec był chciwy - powiedziała Tigo z za ich pleców. -

Nie włożył do Błogosławionego Kufra żadnych dusz.

Faith sapnęła zaskoczona. Jeff ani drgnął. Był przyzwyczajony do bezszelęstnego sposobu poruszania się Tigi.

- Rubinów, Tigo - poprawił ją spokojnie i ponownie ziewnął. - w Błogosławionym Kufrze były rubiny.

- Nigdy nie widziałeś ich w świetle księżyca. Czasami śpiewają. Czasami się śmieją. Przeważnie jednak rozpaczają nad tym, co się stało, co je spotkało, nim się wykrwawiły, by zamienić się w czerwony kamień.

Spokój i rozsądek brzmiące w głosie Tigi tak przeczyły jej słowom, że Faith poczuła dreszcz na plecach.

Tigo podeszła kilka kroków bliżej i położyła na policzku Faith zimną, pachnącą zalewą solną dłoń.

- Obdarzyłabym cię miłością, ale mi cię zabrali. Śliczną maleńką dziewczyneczkę. Czy teraz z jego strony nic ci już nie grozi? Włożyłam do skrzyni coś bardzo wyjątkowego.

Duszę, która nas uwolni, i ciebie, i mnie. - Spojrzała na Jeffa.

- Ty musisz zrobić to samo. Trzyście dusz. Jeśli będzie płakać wystarczająco dużo rubinów, twoje pokolenie nie zazna też.

- Tigo - powiedział ze znużeniem - czas, żebyś poszła spać.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Nie mówiłam ci, jak to jest z czasem? Przychodzi i odchodzi jak światło księżyca. Nigdy nie wiesz, nigdy nie powiesz, dobre życzenie, dusz pragnienie, dusze łkają, wzdychają, nigdy nie umierają. - Uśmiechnęła się do niego. -

Śniadanie o ósmej. Naleśniki, ulubione danie taty. Ciasto i Święto Niepodległości. Orzeszki na Święto Dziękczynienia. Cieszę się, że nie jestem rubinem. Tak sądzę. On pije.

Nie jestem zwyczajnym rubinem, prawda?

Jeff z westchnieniem ujął Tigę pod ramię i poprowadził ją do części domu zamieszkałej przez rodzinę. Objacząc powędrował za nimi, obwąchując palce starszej pani, jakby próbował jej przypomnieć, że naprawdę jest istotą z krwi i kości. Powoli jej głos ucichł i zapadła cisza.

Faith rozmasowała dłońmi ramiona, by pozbyć się dziwnego niepokoju, który ogarniał ją w obecności obłąkanej kobiety.

Nagle zrozumiała, dlaczego w prymitywnych plemionach szamanami i lekarzami dusz są chorzy psychicznie.

Można było odnieść wrażenie, że w irracjonalnych słowach

Tigi przewija się lśniąca czarna nić jakiejś doniosłej prawdy.

Po chwili Faith otrząsnęła się i wróciła na piętro. Potrzebowała zabarwionego lekką drwiną zdrowego rozsądku walkera i jego śmiechu.

W łazience panowała cisza. Drzwi od jego sypialni były zamknięte. Stała przy nich i cicho zawołała.

- Walker!

Nikt się nie odezwał.

Po chwili odwróciła się w milczeniu. Otworzyła drzwi do swojej sypialni i zobaczyła stojący na stoliku obok łóżka pojedynczy kieliszek brandy. Zrozumiała wyraźną wiadomość

- będzie spać sama. Nie zwracając uwagi na uczucie zawodu i czegoś bardzo bliskiego smutkowi, rzuciła sandały, wzięła do ręki kieliszek i wróciła do salonu.

Właściwie nie miała podstaw, by czuć się skrzywdzona i odrzucona. Przecież niczego mu nie proponowała.

Niemniej miała wrażenie, że ją odepchnął.

Pozwolisz mi się pocałować? Czy każesz mi tkwić w ciemności i z daleka obserwować wszystko, co piękne, a czego nie mogę dotknąć?

Widocznie walker doszedł do wniosku, że jednak woli tkwić samotnie w ciemności.

Faith zgaszyła wszystkie światła i wyszła na werandę. Stała w mroku nocy i myślała o wszystkim pięknym, czego nie mogła dotknąć.

Niektóre kobiety kiepsko spisują się w łóżku. Powoli zaczynała oswajać się z myślą, że jest jedną z nich. Nawet się z tym pogodziła. Tony o tym wiedział. Dlatego miał inną dziewczynę. Potem się pokłócili. W końcu ją uderzył. Z tego powodu nie wyszła za niego za mąż.

Widocznie walker wcale jej nie pragnął. Przynajmniej nie w taki sposób, w jaki ona jego. Kiedy ochłonął po zaskakującym pocałunku w ogrodzie, po prostu zaczął jej unikać.

- Powinienem mieć dość zdrowego rozsądku, by nie uwodzić młodszej siostry szefa.

- Taak? A co, jeśli to ona uwiedzie ciebie? Wkradnie się do twojego łóżka i zacznie oblizywać cię całego?

Odważne słowa. Teraz jednak kompletnie brakowało jej odwagi. Była znużona, zmęczona i smutna.

- Blues z Rubinowych Bagien - szepnęła. - Może udałoby mi się skomponować do tego melodię i zrobić hit.

Oczywiście, to byłby singel. Tylko singel.

Z dwóch stron mrugało do niej światło księżyca - od mokradeł i spokojnego oceanu. Światło księżyca pełne cieni

i ponurych sekretów. Faith zastanawiała się, czy Tige zna sekret tej nocy i czy ta noc zna sekret Tigi. •

Faith poczuła mocny, ostry zapach brandy. Zaszczypały

ją oczy. Upiła łyk i próbowała zapanować nad gorącymi łzami,

które spływały po jej policzkach i stopniowo robiły się

coraz zimniejsze. Ich przyczyną była ostra brandy i współczucie

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna dla Jeffa. Jeffa, który nie potrafił wybrać między miłością dziecka do ojca a realnym światem człowieka dorosłego, zranionego przez ojca zachowującego się jak dziecko. Zbyt mało ludzi dorasta w takim domu jak ona, gdzie kochający się nawzajem rodzice darzą uczuciem również swoje pociechy. Człowiekowi, który zna ten rodzaj miłości, trudno sobie wyobrazić pustkę, leżącą u podstaw dziecięcych wspomnień Jeffa. Ojciec Davisa i Tigi traktował swoje potomstwo jeszcze gorzej. Czy on również dorastał wśród okrucieństwa? A jego ojciec? Czy taka sytuacja ciągnie się od Adama i Ewy? Przemoc rodzi przemoc? Zamknięte koło? Amen?

Nie należało jednak zapominać o Walkerze, jego zmarłym bracie i dzieciństwie niczym z kartotek pracowników opieki społecznej.

Pomimo tego Walker nie był okrutny. Jeśli nie liczyć członków jej rodziny, nigdy nie znała silnego mężczyzny, który jednocześnie byłby tak delikatny. Obchodził się z Tigą z taką troską, jakby był jej synem, a nie przypadkowym gościem.

Jeszcze nim Faith to zobaczyła, czuła, że Walker ją pociąga. Teraz zaczynała się obawiać, że mogłaby się w nim zakochać. Biorąc pod uwagę jej dotychczasowe doświadczenia z mężczyznami, był to bardzo głupi pomysł. Walker różnił się od Tony'ego - nie należał do mężczyzn, o których kobieta łatwo może zapomnieć.

Mimo to dał jej wyraźnie do zrozumienia, że bez trudu jest w stanie wyrzucić ją z pamięci.

Nocny wietrzyk dotarł do werandy i owionął Faith niczym westchnieniem, częściowo osuszając jej łzy. Niespokojnie nabrała powietrza w płuca. Poczowała zapach soli, tajemniczy i czegoś bardziej materialnego, piżmowego, ostrego, ciepłego. Walkera.

- Przeziębisz się, stojąc tu na bosaka - powiedział cicho. Znajdował się zaledwie kilkanaście centymetrów od niej. Przytaknęła, ale nie odwróciła się, nie odezwała. Nie chciała wyjaśniać swojego głupiego nastroju.

- Wszystko zamknięte? - spytał.

Ponownie przytaknęła.

- Podziwiasz blask księżycy?

Jeszcze raz kiwnęła głową.

- Kot odgryzł ci język?

Z jej ust wyrwało się coś pośredniego między westchnieniem a śmiechem. Coś bolesnego.

Walker zawahał się, nie mógł jednak zlekceważyć jej niespokojnego oddechu. Położył dłonie na ramionach Faith i powoli ją odwrócił. Na jej policzkach lśniły delikatne srebrne ślady.

- Co się stało, złotko? - spytał.

Pod wpływem czułości brzmiącej w jego głosie Faith poczuła, że ponownie do oczu napłynęły jej łzy. Rozmazały obraz mężczyzny, który stał przed nią nagi, jeśli nie liczyć spodenek i wartych milion dolarów rubinów.

- Nie bądź dla mnie taki miły - wydusiła, lekko się uśmiechając - bo znowu zacznę płakać.

- Chcesz porozmawiać?

Z jej twarzy zniknął uśmiech.

- O obłędzie i grzechach ojców? Nie, dzięki. Miałam z nimi do czynienia przez całą kolację.

Walker bez słowa przytulił Faith i delikatnie nią zakołysał. Robił wszystko, co mógł, by nie czuć ciepła jej ciała na swojej nagiej klatce piersiowej, ale i tak niemal jęknął pod wpływem mieszaniny czułości i pożądania.

- Powinienem być jednak wsadzić cię do tego samolotu - powiedział zachrypniętym głosem.

- Jestem dużą dziewczynką. A wbrew powszechnemu przekonaniu duże dziewczynki płaczą. Nad niektórymi rzeczami warto uronić kilka łez. Dotyczy to między innymi rodziny

Montegeau.

- Nie będę się z tobą sprzeczał.

Uspokajająco musnął ją ręką po włosach, a potem zaczął głaskać po plecach, o nic nie prosząc, jedynie wszystko dając

- Jeżeli to ci pomoże, idę o zakład, że nie zawsze Jeffowi jest tak ciężko jak dzisiaj.

- Czemu tak mówisz?

- Gdyby Davis był taki w dzieciństwie i młodości swojego syna, Jeff tak bardzo by się nim teraz nie przejmował.

Dzieci po prostu walczą o przetrwanie. Nie mają innego wyjścia.

- Tobie się udało.

Objęła walkera i wtuliła się w niego. Jego zapach przypominał noc - był ciepły, pełen możliwości i tajemnic.

- Lubię cię, Owenie walkerze. Jesteś bardzo dobrym człowiekiem.

Musnął wargami jej włosy.

- Nie wierz w to. Jestem zepsuty do szpiku kości.

- Skoro tak mówisz.

- No, powiedzmy, że nie musisz we wszystkim się ze mną zgadzać. Co ja bym wtedy z tobą robił?

Uśmiechnęła się przy jego klatce piersiowej. Miękkie, ciemne włoski intrygująco łaskotały ją w usta. Było to zupełnie inne wrażenie, niż gdy przytulała się do nagiej piersi Tony'ego. Faith nie wiedziała, czym różnią się od siebie te dwa doznania, czuła jedynie, że tak jest, tak samo jak czuła walkera i swoją reakcję na niego.

Stanąła na palcach i przycisnęła wargi do jego szyi, tuż pod brodą. Była zachwycona, czując jego przyspieszony puls.

Z ciemności nocy dobiegł zachrypnięty krzyk.

- Co to? - spytała, sztywniejąc.

- Shitepoke - odparł automatycznie.

Wciąż próbował zapanować nad swoją reakcją na niemal siostrzaną pieśczętę Faith. Przynajmniej tak sobie wmawiał. Że jest to siostrzana pieśczęta.

Taaak. Oczywiście. A on jest dobrą wróżką.

- Co to jest „shitepoke”? - spytała Faith.

- Tak moja babcia nazywała niegdyś czapkę siwą. Coś przeszkodziło ptakowi w nocnym odpoczynku. Ludzie z miasta nie spisują się najlepiej w krainie bagien.

- Mówisz niemal tak samo od rzeczy jak Tiga.

Walker uśmiechnął się przy czole Faith na myśl o agentach FBI posuwających się po omacku w błocie pełnym robactwa i aligatorów. Ale nie chciał rozmawiać o tym z Faith.

Przynajmniej nie teraz, kiedy na niebie świecił księżyc, a jej ciepły oddech owiewał jego nagą skórę. Walker nie chciał również myśleć, ponieważ wówczas przestałby robić to, co zbyt dobrze się zapowiadało.

- Czy wypijaś całą brandy? - spytał.

- Jeszcze nie.

- Zechciałabyś się nią podzielić?

Spojrzała mu w oczy. Przypominały noc - były ciemne, tajemnicze i wyczekujące.

- Masz na nią ochotę?

- Nie powinienem - powiedział prosto z mostu.

Czekała.

Wypuścił gwałtownie powietrze z płuc.

- Cholera jasna, złotko. Pragnąłem cię, gdy spotkaliśmy się po raz pierwszy dziewiętnaście miesięcy temu. Teraz pragnę cię jeszcze bardziej. Jesteś mi potrzebna jak powietrze. Twój pocałunek w ogrodzie po prostu powalił mnie na kolana.

Faith poczuła, że serce bije jej dwa razy szybciej, a po całym ciele rozlewa się żar. Wyciągnęła do walkera rękę.

- Sprawdźmy, jaki będzie drugi pocałunek.

Obawiając się, że walker zmieni zdanie, pragnąc być na tyle szybka i namiętna, by go zadowolić, Faith pociągnęła

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

w dół jego głowę i namiętnie go pocałowała. Jej usta obiecywały natychmiastową seksualną satysfakcję.

Gdy poczuła jego wargi, niemal całkowicie zapomniała o tym, jak bardzo chce sprawić mu przyjemność. Usta walkera były zachłanne i zdecydowane, słone i tajemnicze, podniecające i męskie. Faith z zapałem badała aksamitną szorstkość jego języka, satynową śliskość podniebienia, ostre ciepło zębów. Przesunęła dłońmi po nagich plecach walkera, aż dotarła do bioder, po czym prześlizgnęła się po przodzie jego spodenek. Był bardzo podniecony. Faith nabrała powietrza w płuca, mając nadzieję, że okaże się dość kobieca. Walker czuł się tak, jakby pochwyciła go trąba powietrzna. Od dawna marzył po nocach o delektowaniu się Faith i uwodzeniu jej, teraz jednak wszystkie te zamiary zostały zdmuchnięte przez tornado, jakim okazały się jej język i dłonie żądające natychmiastowej odpowiedzi. Powstrzymała go pewność, że są obserwowani przez FBI. Tylko dzięki temu nie zdarł z Faith ubrania i nie zanurzył się w niej tam, gdzie stali.

Nie odrywając ust od warg Faith, wciągnął ją do pokoju. Potem położył na podłodze, kilkoma szybkimi ruchami zdjął z niej dżinsy i bieliznę, po czym zaczął ją pieścić. Zachowanie Faith sugerowało, że zależy jej na szybkim seksie. Jej ciało przesyłało jednak inne sygnały. Owszem, był w tym żar i obietnica namiętności. Ale była to tylko obietnica.

Walker zadrżał, jęknął i odzyskał panowanie nad sobą. Gdyby wziął ją od razu, Faith nie zaznałaby przyjemności takiej jak on. Mogłby nawet wyrzucić jej jakąś krzywdę. Nigdy nie pragnął żadnej kobiety tak bardzo jak jej i nigdy nie był tak bardzo podniecony.

- Co się stało? - spytała Faith, przyciskając do niego biodra.

Kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał bardzo szorstko z powodu wysiłku, jaki potrzebny był, by zapanować nad szaloną potrzebą wzięcia tego, co nawet teraz oferowała mu partnerka.

- Nie jesteś jeszcze gotowa.

Przeniknął ją dreszcz, zapowiedź lodu, który usadowiłby się w jej wnętrznościach, gdyby walker powiedział, jak dużo jej brakuje. Faith czuła się jednak przy nim zupełnie inaczej. Trawił ją ogień namiętności i nadziei, co było ekscytujące i zupełnie niespodziewane.

- O czym ty mówisz? - spytała. - Nigdy nie byłam bardziej gotowa.

Walker przypomniał sobie, co powiedziała w ogrodzie. Wspomniała wówczas, że kobiety i mężczyźni różnią się od siebie i że jej to i tak sprawia przyjemność.

S

- Wymyśl jakiś lepszy kawał - szepnął niskim głosem.

- Ale...

Powstrzymał jej protest pocałunkiem delikatnym i namiętym zarazem, pocałunkiem, w którym dał Faith wszystko, na co w tym momencie mógł sobie pozwolić.

Faith nie była przygotowana na tyle czułości. Jej oddech zamienił się w długie westchnienie, a potem niski pomruk rozkoszy. Przyjemność sprawiało jej ciepłe ciało walkera i jego język rytmicznie poruszający się we wnętrzu jej ust. Bliski, ciepły, intymny. Jak seks bez samokontroli, strachu i zażenowania.

Kiedy walker w końcu uniósł głowę, Faith zdała sobie sprawę, że leży na dywanie, pławiąc się w rozkoszy, zamiast pieścić ciało partnera i zaspokajać jego potrzeby seksualne. Próbowała ruszyć rękami. Okazało się, że jest to niemożliwe. Walker przyszpilił jej ramiona nad głową, przytrzymując lewą ręką oba nadgarstki Faith. Prawą rozpiął jej bluzkę i stanik.

- Nie mogę dotykać cię w taki sposób - oznajmiła nagłym,

zasapanym szeptem.

- Taak.

Zabrakło mu tchu. Brodawki Faith nie były ani czysto różowe, ani czysto koralowe. Miały kolor najrzadszych rubinów, nazywanych padparadscha. Załedwie garstka wybrańców mogła się poszczycić, że kiedykolwiek widziała te kamienie.

- Ale...

- Jeśli teraz mnie dotkniesz, wybuchnę.

Zmarszczyła czoło.

- Czy nie o to w tym wszystkim chodzi?

- Tylko w połowie. Pracujemy nad resztą.

- Co...? - Spójne myśli rozprysnęły się.

Walker lizał ją po piersiach jak dziecko mające dwa lody na patyku. Kosztował ją, ssał, skubał, pochłaniał w takim samym całkowitym skupieniu, z jakim poprzednio ją całował.

Potem wciągnął jedną z brodawek głęboko w usta i zaczął pocierać wrażliwą skórę w wolnym, zdecydowanym rytmie, który zapowiadał nadchodzącą ucztę.

Cudowne wrażenie promieniowało z piersi do wnętrza jej ciała. Faith napięła wszystkie mięśnie i zadrżała pod wpływem doznanej przyjemności. Z jej ust wyrwał się dźwięk, który sugerował zaskoczenie, a jednocześnie przypominał jego imię. Walker z cudowną powściągliwością skubał, a potem ssał, aż Faith naprężyła całe ciało i odwróciła się powoli w stronę jego ust. Próbowwała mu powiedzieć, jakie to miłe uczucie, ale z jej ust zdążyło jedynie wyrwać się niespokojne sapnięcie. Potem coś w niej pękło i zalało ją żarem.

Walker wyczuł w Faith zmianę - dotarł do niego zapach kobiecego podniecenia. Wiedział, że warta była każdej sekundy frustrującej agonii, na którą go skazała. Nie miał do Faith o to żalu. Przecież to nie jej wina, że mężczyzna, raz zerknąwszy na jej długie nogi, jędrne piersi i nadęte wargi myślał tylko o jednym - o szybkim, namiętnym seksie. Z drugiej strony nie czuł również wyrzutów sumienia, że o niej w ten sposób myślał.

Z uśmiechem opuścił głowę, gryzł, lizał, kosztował, aż zaczęło mu się kręcić w głowie, a Faith leżała otwarta, gotowa, oszołomiona odczuwaną rozkoszą. Podobała mu się w takim stanie - z półprzymkniętymi, zasnutymi mgiełką oczami i promieniującym od ciała żarem. Drażnił się z nią tak długo, jak tylko było to możliwe, potem, działając pod wpływem impulsu, musnął wargami sam środek jej miękkiego żaru.

Początkowo nie zrozumiała. Czując niespodziewany, jedwabisty dotyk języka, napięła wszystkie mięśnie. Teraz miała wolne ręce. Ruszyłaby nimi, ale była za słaba. Jęknęła i przesunęła się. Sama nie potrafiłaby powiedzieć, czy zbliża się do jego spragnionych ust, czy się od nich odsuwa. Wiedziała tylko, że nigdy nie czuła niczego tak wspaniałego, porywającego, dzikiego. Cały świat wokół wirował, a ona wiła się, krzyczała, opadała, odwracała. Czułe, bezwzględne, żarłoczne usta walkera nie pozwalały Faith na zaczerpnięcie powietrza, zebranie myśli, zapanowanie nad sobą.

Zachrypnięty, urywany dźwięk, który wyrwał jej się podczas orgazmu, w niczym nie przypominał równomiernego pojękiwania wydawanego z myślą o Tonym. Ten krzyk płynął prosto z serca, doskonale oddawał zaszokowanie, odkrycie i ekstazę. Walker rozkoszował się nim tak, jak rozkoszował się Faith, pieszcząc ją nawet wtedy, gdy leżała bezwładna, drżąca, pokonana, odrodzona.

Jak przez mgłę usłyszała, że raz za razem wymawia jego imię, nie wiedząc, czego chce, mając jedynie świadomość, że powtarzanie tego słowa jest w tej chwili ważniejsze niż oddychanie.

Kiedy walker się w nią wsunął, była gładka i gorąca. Jej słodkie wnętrze otoczyło go ze wszystkich stron, a potem ścisnęło go jak wilgotna aksamitna pięść. Śliska. Wąska.

Boże, jaka wąska. Jaka dobra. Za dobra. Czuł u podstawy kręgosłupa pulsowanie zbliżającego się wytrysku. Jęk Walkera bardzo przypominał odgłos wydany przez Faith. Wiedział, że nie wytrzyma długo. Nigdy w życiu nie czuł się tak dobrze jak teraz, kiedy Faith kurczowo trzymała go w objęciach, poruszając się i przesuając pod nim, namiętna, żarliwa i całkowicie uległa. Niezależnie od tego, jak głęboko się w nią wsuwał, witała go z radością, pulsując, błagając, żądając, żeby ją wziął tak żarliwie i namiętnie, jak tylko może.

Ze zdławionym krzykiem dał jej to, czego oboje potrzebowali, wsuwając się w nią twardo i głęboko, aż do ostatniej kropli ekstazy.

Nagły ciężar jego rozluźnionego ciała bardzo przypadł Faith do gustu. Powoli, leniwie głaskała dłońmi zagłębienia wzdłuż jego kręgosłupa. Roześmiała się cicho, odkrywając, że chociaż Walker był głęboko w niej, wciąż miał na sobie spodnie.

- Śmiejesz się ze mnie? - spytał rozleniwionym, stłumionym głosem.

- Wciąż jesteś ubrany. Przynajmniej częściowo.

- Ty też. Przynajmniej częściowo. Mam cię rozebrać do naga?

Zerknęła w bok. Widoczna w świetle księżyca jasna, rozmyta plama świadczyła o tym, że bluzka i stanik Faith wylądowały pod krzesłem na szponiastych nogach. Nie miała pojęcia, gdzie podziały się jej dzinsy i figi.

- Co jeszcze mam na sobie? - zainteresowała się leniwym głosem.

Przesuwał się w górę, by móc skubnąć jej szyję.

- Złote kolczyki. I mnie.

- W takim razie nie chcę, żebyś rozbierał mnie do naga.

Śmiech stanowił następny rodzaj pieśczości, ponieważ przy okazji Walker się w niej poruszał. Wrażenie to wydostawało się z jej wnętrza jak iskry unoszące się z ogniska.

Faith wydała pomruk zadowolenia i przytuliła się do jego szyi. Wzdychając i skubiąc brzeg jego ucha, zastanawiała się, w jaki sposób kobieta może podziękować mężczyźnie za najwspanialszy seks, jaki w życiu się jej zdarzył.

- Może zawsze powinieneś nosić przy sobie rubiny? - powiedziała, uśmiechając się do siebie.

- Dlaczego?

- Ponieważ na nie zasługujesz.

Odwrócił się na plecy, zabierając Faith ze sobą i nie wysuwając się z niej.

- Czyżbyś w ten sposób próbowała mi powiedzieć, że nie masz nic przeciwko następnej rundzie?

Poruszyła się i wpuściła go głębiej.

- Zawsze. Wszędzie. W każdy sposób.

- Jesteś pewna?

Zdawała sobie sprawę, że Walker właśnie sobie przypomniał jej niepokojące, bezmyślne podejście do seksu.

- Całkowicie. Dzięki tobie wspaniale się czuję. Seksownie, kobieco, naprawdę cudownie.

- Dlatego, że taka właśnie jesteś.

- Wcześniej wcale taka nie byłam.

Oparła policzek o jego ciepłą, dobrze umięśnioną klatkę piersiową i westchnęła. Cudownie było pozwolić sobie na taką intymność z mężczyzną, którego szanowała, lubiła, podziwiała, któremu ufała, przy którym dobrze się czuła...

i w ogóle. Przyjemność seksualna, jaką jej sprawił, była wynikiem nie tylko jego doskonałej techniki, lecz również uczuć Faith do Walkera. Miała nadzieję, że ona też dostarczyła mu tyle samo rozkoszy.

- Odpowiadasz mi, Walker. Mam nadzieję, że tobie również jest ze mną dobrze.

Poczuł jednocześnie ogromną radość i potworny ból. Powodem radości było zaufanie i zadowolenie, które usłyszał

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

w głosie Faith. Ból wywodził się z tego samego źródła. Myśl o tym, że ktoś całkowicie na nim polega, przerażała Walkera. Nie zasługiwał na bezgraniczne zaufanie. Zwłaszcza że tak bardzo zawiódł brata.

Ujął twarz Faith w dłonie i bardzo delikatnie ją pocałował, po czym się odsunął.

- Ciesz się mną, ale nigdy na mnie nie licz. Takie zaufanie bardzo mnie niepokoi.

Faith powoli wypuściła powietrze z płuc i oparła policzek na miękkim dywaniku z włosków na klatce piersiowej Walkera. Nie był taki jak Tony - nie kłamał, nie mówił o miłości i wiecznym szczęściu, byle znaleźć dojdzie do kont bankowych Donovanów. Faith z pewnością była dorosła, by

wziąć to, co oferował jej Walker, i nie mieć do niego pretensji, że nie chce dać więcej.

A jeśli nie była na tyle dorosła, mogła zatrzymać swoje żale dla siebie.

- W porządku - powiedziała.

- O co ci chodzi?

- O nic - odparła Faith. - Powiedziałam tylko: „w porządku”.

To, co nam się przed chwilą zdarzyło, znacznie przerosło moje oczekiwania, jakie miałam w stosunku do mężczyzn. Będę brać to dopóty, dopóki będzie trwać nasz związek.

Po tych słowach Walker powinien poczuć się lepiej. Ale tak się nie stało. Odniósł natomiast wrażenie, że coś wymyka mu się z rąk.

- Złotko, nie miałem zamiaru sprawić ci bólu.

Uniosła głowę i spojrzała mu w oczy.

- W takim razie zdejmij te rubiny.

- O czym ty mówisz?

- Uwierają mnie.

Zapadła pełna zaskoczenia cisza, potem rozległ się cichy śmiech.

- A może ty mi je zdejmiesz?

- Dobry pomysł.

- Mam jeszcze kilka innych - wyznał, gdy zmieniła pozycję.

- Mmm. - Musnęła go językiem wzdłuż żeber. - Nie musisz się hamować, złotko.

Nie hamował się.

Jeff wstał jak najciszej, mimo to Mel mruknęła niezadowolona i przesunęła się na jego stronę łóżka, jakby już za nim tęskniła. Pogłaskała ją, szepcząc uspokajające słowa. Po chwili zaczęła głęboko oddychać. Ponownie zasnęła. Rano nawet nie będzie pamiętała, że prawie się obudziła.

W domu panowała taka cisza, że Jeff niemal słyszał spływający mu wzdłuż kręgosłupa pot, kiedy pochylił się, by pozbierać części garderoby, które oboje z Mel porozrzucali w połowie drogi do łóżka.

Kiedy objął szturchnął nosem swojego pana w goły pośladek, Jeff niemal wyskoczył ze skóry. Powstrzymał cisnące mu się na usta przekleństwo. Czując niespokojne bicie serca, drżącymi rękoma wciągnął spodnie. Może uda mu się namówić ojca, żeby zrezygnował ze swojego szalonego planu. Na pewno musi istnieć jakiś inny sposób na zebranie pieniędzy. Kutry do połowu krewetek. Sklep jubilerski. Sama posiadłość.

Wszystko, tylko nie to.

Starając się omijać skrzypiące deski, Jeff ruszył korytarzem w stronę pokoju ojca. Objął człapał obok, zadowolony, że ma w środku nocy jakieś towarzystwo. Za drzwiami ojca słyszał było głośne chrapanie. Jeff wiedział, że Davisa Montegeau nie obudziłyby nawet marynarska orkiestra dęta.

Drzwi były zamknięte, ale kryształowa klamka ustąpiła pod wilgotnymi palcami Jeffa. Na moment odżyło wspomnienie sprzed trzydziestu lat... Maty chłopiec biegnie korytarzem, ścigany przez koszmarne sny. Rzuca się do drzwi.

Rodzice witają go z radością, przytulają, uspokajają, biorą

•••N

między siebie. Matka pachnie jaśminem, ojciec ogniskiem, na którym tego wieczoru podczas pikniku na plaży gotowali kraby i kukurydzę- Chłopiec przytulił się do ogromnych ciał rodziców. Potem z ręką w dłoni ojca zasypia spokojnie, pewien, że jest bezpieczny.

Boże, to było tak dawno temu.

A zupełnie jakby zdarzyło się wczoraj. Wystarczyło zamknąć oczy, by poczuć zapach jaśminowego pudru matki. Jeff wiedział, że jej już nie ma, że umarła, nie miał pojęcia jednak, gdzie podział się tamten chłopiec.

Albo ojciec tego chłopca.

- Tato?! - szepnął.

Odpowiedziało mu pijackie chrapanie.

Jeff poczuł, że ogarnia go zniecierpliwienie i wściekłość.

W pewnym stopniu był zły na siebie. Chłopiec z tamtych wspomnień nie istniał, podobnie jak pachnąca jaśminem matka. Malec zamienił się w mężczyznę, który powinien ochraniać własne dziecko. Nawet jeśli ten mężczyzna miał ochotę jak dawniej wdrapać się do łóżka swoich rodziców, niczego to nie zmieniało. Świat nie zamienił się w nicłość. Nigdy. Na tym właśnie polegała dorosłość.

Nagle gdzieś w głębi duszy Jeff zrozumiał, dlaczego ojciec pije. Żeby świat zamienił się w nicłość.

Kiedy zacisnął palce na klamce, wydawało mu się, że kątem oka dostrzegł jakiś ruch. Gwałtownie odwrócił się w stronę jasnej rozmazanej plamy, którą bardziej wyczuwał, niż widział.

Niczego tam nie było, jedynie zamknięte drzwi sypialni Tigii i drzwi pokoiów, których od dawna nikt nie używał. Jeff spojrział na Obijacza. Ogar był spokojny.

Jeff bezgłośnie wypuścił powietrze z płuc. Chociaż od czasu do czasu widywał snujące się po Rubinowych Bagnach duchy, tej nocy naprawdę nie miał ochoty na spotkanie z którymś z nich. Miniony dzień dostarczył mu dostatecznie dużo wrażeń.

Młodszy z panów Montegreau otworzył szeroko drzwi i wszedł do sypialni ojca. Dominował w niej zapach skwaśniałej whiskey. Zachęcony gestem ręki, Obijacz wszedł do pokoju swojego pana i położył się na grubym dywanie. Jeff cicho zamknął drzwi i zbliżył się do łóżka ojca. Od śmierci matki niczego w tym pokoju nie zmieniano, oprócz pościeli. Na jej toaletce delikatne promienie księżycowego światła odbijały się od tych samych butefeczek na perfumy. Zasłony w ogromne kwiaty magnolii i wijące się gałązki winorośli tak bardzo wyblakły, że ich wzór trzeba było odtwarzać w pamięci. Dywan również wypłowiał, ale stało się to dwieście lat temu. Mimo to, jak drewno wyrzucone przez morze, mógł się poszczycić dostojnością, którego nie zdołał odebrać mu czas.

Szkoda, że mężczyźni nie są dywanami.

- Tato - powiedział Jeff normalnym głosem.

Żadnego odzewu.

- Tato.

Cisza. .

Jeff zapalił stojącą przy łóżku lampkę i potrząsnął ojcem. Potem zrobił to ponownie. Mocniej. Chrapanie ucichło i zamieniło się w pełną niezadowolenia skargę. Nadal potrząsał bezwładnym ciałem nie przypominającym opiekuńczego ojca z jego wspomnień.

- Co się stało? To ty, Jeffy? Czego chcesz, chłopcze?

Miałeś zły sen?

Jeff poczuł przeszywający ból. Od chwili, kiedy ukończył trzynasty rok życia, nikt nie mówił do niego „Jeffy”. Świadomość, że ojciec przypomniał go sobie jako chłopca, nie ułatwiała pogodzenia się z teraźniejszością. Raczej wszystko utrudniała.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Obudź się, tato. Musimy porozmawiać.

Davis kilkakrotnie zamrugał powiekami. Potem skupił wzrok na twarzy mężczyzny, który kiedyś był jego małym chłopcem. Wraz z odzyskiwaną świadomością pojawiło się pragnienie, by uciec z powrotem w sen albo zamroczenie alkoholowe, w zależności od tego, co wcześniej zadziało. Davis przetarł piekące oczy i próbował nie zwracać uwagi na smak zdechłego skunksa w ustach.

- Muszę się napić - wymamrotał.

- To ostatnia rzecz, jakiej ci trzeba - powiedział Jeff niecierpliwie.

- Muszę się napić!

- Musimy się zastanowić, jak zebrać pieniądze dla Sala.

Mam zamiar wziąć pożyczkę pod hipotekę Rubinowych Bagien, łądzi do połowu krewetek, sklepu jubilerskiego - wszystkiego, co się da.

Davis spojrzał na syna, jakby Jeff mówił do niego jakimś innym językiem.

- Nie możesz.

- Mogę - wypalił Jeff. - Teraz mam pełnomocnictwo.

Davis zaprzeczył, skrzywił się, gdy poczuł przeszywający ból głowy, po czym oświadczył prosto z mostu:

- Już obciążylem naszą hipotekę.

Przez chwilę Jeff w to nie wierzył.

- Ziemia, dom, łądzie...

- Wszystko - przerwał Davis szorstko. - W ten sposób

zebrałem pieniądze, żeby wejść w spółkę z Salem.

Jeff rozejrzał się po pokoju, jakby to wszystko należało już do kogoś innego. Jeśli nie wprowadzi w życie dziwnego planu ojca, rzeczywiście tak się stanie. Będzie bezrobotnym czterdziestolatkiem, obarczonym obłąkaną ciotką, ojcem alkoholikiem i ciężarną żoną. Wszyscy oni liczą na to, że Jeff zapewni im wikt i dach nad głową.

Sidła zacisnęły się wokół niego tak mocno, aż poczuł ból w kościach.

Davis jęknął. Odżyło zbyt wiele wspomnień - jedno bardziej bolesne od drugiego.

- Naprawdę spieprzyłem sprawę, Jeffy.

Jeff poczuł, że ogarnia go coś w rodzaju żalu, nie mógł sobie jednak pozwolić na roztkliwienie się. Musiał myśleć o swojej żonie i dziecku. W przeciwieństwie do ojca obie te istoty były niewinne.

Mimo to zapłacał na równi z nim.

- Tak, tato, rzeczywiście spieprzyłeś sprawę.

Davis już go nie słyszał. Zapadł z powrotem w pijacki sen. Nim Jeff wyszedł z pokoju, rozległo się głośne chrapanie. Było już po północy, kiedy w cieniu Rubinowych Bagien przesliznęła się ciemna postać. Nikt na piętrze nie usłyszał cichego pęknięcia szkła ani skrzypnięcia starego drewna ustępującego pod naporem siły. Nikogo nie obudziło ponure szuranie, kiedy zdejmowano ze ścian mające sto dwadzieścia na sto pięćdziesiąt centymetrów portrety członków rodu Montegeau, by potem oprzeć je jak pijaków o starą, wypolerowaną boazerię. W końcu ręce w gumowych rękawiczkach dotknęły chłodnej stali sejfu. Czułe słuchawki wychwytywały każde stuknięcie bębnow.

Lewa. Prawa. Lewa. Opuść.

Lewa. Prawa. Lewa. Znowu prawa.

Stuk.

Ogromne drzwi sejfu otworzyły się jak stara kochanka.

Mężczyzna drżącymi rękoma przeszukał wnętrze.

Nie znalazł niczego, oprócz papierów, ciężkiej Biblii i powietrza.

Cicho zaklął, po czym wyjął papiery i rzucił Biblię na podłogę. Jego niespokojne, rozgorączkowane palce nie wyczuły niczego poza gładkimi stalowymi ścianami sejfu.

Skrytka była pusta.

Całkowicie pusta.

Bezszelestnie, jak przystało na człowieka, który niegdyś

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna często polował w ciemności, walker pokonał całą długość górnej werandy. Na wschodzie pierwsze promienie świtu zaczynały powoli zabarwiać niebo. Fosforyzujący, różowokoralowy kolor przypominał walkerowi wilgotne i nabrzmiałe brodawki Faith. Na to wspomnienie jego ciało zareagowało uczuciem żaru i lodu. Żar łatwo zrozumieć - Walkerowi nigdy w życiu nie było tak dobrze z żadną kobietą jak z Faith. Łód pochodził z tego samego źródła - walker wiedział, że nie powinien iść z nią do łóżka. Faith została stworzona do życia w promieniach słońca i wychowywania dzieci. Walker wolał noc, ponoszenie odpowiedzialności jedynie za siebie i świadomość, że jego błędy mogą odwrócić się tylko przeciwko niemu, nikomu więcej. Zatrzymał się i nasłuchiwał, czy skądś nie dobiegnie drapanie psich pazurów o drewnianą podłogę. Zakładał, że Obijacz nie będzie się przejmował ruchliwym gościem, ale też z pewnością nie miał zamiaru zaskoczyć ogara, żeby ten nie zaczął szczekać. Dom był cichy. Obijacz albo mocno spał, albo polował na coś na mokradłach. Walker dostał się na werandę, która biegła na pierwszym piętrze wzdłuż frontowej ściany domu. Poruszając się z ogromną ostrożnością, dotarł do wcześniej wybranego miejsca. Za domem rozpościerał się pogrążony w mroku ogród, a dalej zalewisko, bagna i morze. Bliżej z ciemności nocy wyłaniał się stary dąb.

L& Walker ostrożnie przeszedł przez poręcz i przerzucił cały ciężar ciała na grubą gałąź. Zgniecione suche paprocie cicho zaszeleściły. Wkrótce dotarł do pnia i jedną stopą poszukał niższej gałęzi. Podobnie jak jazda na rowerze, wspinanie się po drzewach jest umiejętnością, której nigdy się nie zapomina.

Niemal bezszelestnie opuścił się na ziemię. Powietrze było zimne i wilgotne, pachniało morzem i ziemią. Nie śpiewał żaden ptak. Żadna żaba kumkaniem nie przyzywała partnera. Milczały nawet świerszcze i cykady. Nic nie zakłócało ciszy, z wyjątkiem niemiłego krzyku mewy i krakania wron, które obudziły się z nocnego snu.

Trzydzieści metrów od walkera rozciągała się szeroka, piaszczysta plaża, ale nie było słyhać fal, ponieważ w powietrzu panował całkowity bezruch. Ciche, spokojne, oczekujące morze wstrzymało oddech przed nadejściem świtu.

Dzięki wieloletniemu doświadczeniu walker bez trudu wtopił się w krajobraz. Nie potrzebował specjalnego stroju ani nowoczesnego wyposażenia, by się zakamuflować. Po prostu włożył ciemnoszarą koszulę i czarne dżinsy, które ze starości zrobiły się takie miękkie, że nie wydawały żadnego odgłosu. Reszta była kwestią umiejętności i cierpliwości. Mógł się poszczycić i jednym, i drugim.

Dźwigał jutowy worek pełen pokojowych propozycji dla FBI.

Pomimo ciemności walkerowi wystarczyło niecałe dziesięć minut, by znaleźć obozowisko ludzi, którzy śledzili Faith i jego. Agenci rozłożyli się dokładnie w tym miejscu, które wybrałby walker, gdyby wykonywał ich robotę - na suchym lądzie, powyżej linii najwyższego przypływu, ale poniżej największych gąszczy. Roztaczał się stąd doskonały widok na długą, krętą drogę dojazdową, a także na słone wody Rubinowych Bagien i pływający pomost, do którego przywiązane były dwie zniszczone łodzie do połowu ostryg. Nikt nie mógł przyjechać ani wyjechać niepostrzeżenie. Jeden z agentów leżał skulony w lekkim śpiworze ukryty za parawanem krzaków. Drugi idealnie zlewał się z karłowatą roślinnością, zdradził go jednak dźwięk, który wydawał przy sikaniu na gruby pień palmy. Walker był człowiekiem uprzejmym, dlatego odczekał, aż owe odgłosy umilkną, dopiero potem zaszyfrował swoją obecność.

- Dzień dobry, harcerze - powiedział z południowym akcentem.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Pobudka. Macie towarzystwo.

Agencji zakłęli i dali nura w krzaki po broń, ale szybko doszli do wniosku, że nic im nie grozi. Gdyby mężczyzna, stojący w płataninie palm i drzew, chciał strzelać, już leżeliby martwi.

Po chwili spomiędzy palm dobiegł kobiecy głos.

- Niezłe się spisałeś, Farnsworth. Spałeś czy co?

- Nie, ale niczego nie słyszałem! - odrzyknął Farnsworth.

Odwrócił się w stronę cienia, w którym stał Walker. -

Kim pan, do diabła, jest i czego pan chce?

- Odłóżcie broń. Przyszedłem porozmawiać - powiedział Walker sucho.

- Zrób to - rozkazała kobieta ze znużeniem. - I tak jest za ciemno, żeby strzelać.

Farnsworth rzucił paskudne przekleństwo. Odgłos wydawany przez stal ześlizgującą się po skórze był cichy, ale wyraźny.

Tak samo jak dźwięk zasuwania zamka błyskawicznego.

Walker wyszedł na otwartą przestrzeń, dźwigając wypełniony do połowy worek jutowy. Starał się, by agenci FBI wyraźnie widzieli jego ręce.

- Proszę uważać przy wychodzeniu spośród tych palm, psze pani - ostrzegł Walker, słysząc szelest. - Ich liście są ostre jak noże.

- Nie pieprz - wymamrotała.

Walker zdołał zapanować nad uśmiechem. Z trudem.

- Mogę pani pomóc? - spytał obojętnie.

- Wypchaj się, kowboju.

- Nie skorzystam z pani miłej propozycji, ale i tak dziękuję

- powiedział, zaciągając.

Mężczyzna o nazwisku Farnsworth miał ochotę parsknąć śmiechem, ale udało mu się nad tym zapanować. Sporo czasu upłynęło od chwili, kiedy po raz ostatni widział, jak jego zawsze elegancka partnerka miała ubranie i włosy w takim nieładzie. Podobało mu się to.

Cindy Peel przebiła się przez gąszcza i podeszła do walkera.

Miała niecałe sto siedemdziesiąt centymetrów wzrostu i przyprószone siwizną, krótko przycięte, proste włosy. Była wściekła jak wszyscy diabli.

Jej twarz wydała mu się znajoma. Walker rzeczywiście ją znał. Widział tę kobietę w restauracji w Savannah, ale wtedy wyglądała inaczej. Miała na sobie strój bizneswoman

- ciemny żakiet, kremową bluzkę i ciemną spódniczkę.

Teraz ubrana była w ciemny, używany do wszelkich możliwych celów dres, jaki większość agentów zazwyczaj

wozi w bagażnikach samochodów. W biurze FBI wciąż

wymagano kostiumu i lśniących butów, ale agent z prawdziwego

zdarzenia powinien być przygotowany do odwiedzania

ponurych miejsc zbrodni i sypiania w najdziwniejszych

warunkach, zwłaszcza podczas prowadzenia obserwacji.

Walker wątpił jednak, by pilnujący ich tandem był przygotowany na noc na terenie porośniętym karłowatą roślinnością.

Dlatego liczył na sporą wartość przetargową rzeczy, które miał w worku.

Peel strzepnęła liście i kurz z nogawek swojego czarnego dresu.

- Bardzo mi pomogłeś, Pete. Naprawdę bardzo. Czyżby twoje piękne oczka na chwilę przysnęły?

Farnsworth podszedł do niej, w geście samoobrony wyciągając do góry ręce.

- Słowo daję, Cindy, nie spałem.

- To prawda, psze pani - poparł go Walker.

- Skąd pan to wie?

- Mężczyzna w jego wieku zazwyczaj nie sika przez sen.

- Świetnie, trafił mi się komediant. Widocznie mam dziś szczęśliwy dzień.

- To możliwe - potwierdził - jeśli zgodzicie się na drobną wymianę informacji.

- Informacji? Na jaki temat?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Dlaczego tutaj jesteście?
- Szybciej pozwoliłabym sobie na usunięcie nerwu z zęba bez znieczulenia.
- Walker nie był tym zaskoczony. FBI nigdy nie lubiło dzielić się posiadanymi informacjami.
- W coraz jaśniejszym świetle dostrzegł na wierzchołkach jej dłoni ciemne, cienkie zadrapania - ślady pozostawione przez palmy.
- Płynię pani krew, psze pani.
- Daleko od serca.
- Walker uśmiechnął się.
- Archer od czasu do czasu też tak mówi.
- Jaki Archer? - spytała Peel.
- Starszy brat Faith Donovan, facet, dla którego pracuję.
- Faith - wymamrotała Peel. Potem otrząsnęła się z porannego zamroczenia. - Faith* to w tym przypadku imię kobiety, nie przekonanie religijne. Faith Donovan. To ona była w re-
* Faith (ang.) - wiara (przyp. tłum.).
- stauracji z Melany, przyszłą panią Montegeau. Czyżby to pan był tym sławnym facetem z łaską? Na komendzie policji w Savannah wciąż mówi się o tym, jakie szkody pan nią wyrządził.
- Zostawiłem łaskę w domu - zapewnił Walker.
- To znaczy, że nazywa się pan Owen Walker - powiedziała Cindy szorstko. - Co pana łączy z rodziną Montegeau?
- Skoro zna pani moje nazwisko, wie pani o mnie tyle samo co ja. W takich sprawach FBI jest niezwykle dokładne.
- Dlaczego sądzi pan, że jesteśmy z FBI?
- Dlaczego sądzi pani, że jestem głupi.
- Walker powiedział to tak łagodnie, że początkowo agentka nie wiedziała, czy dobrze usłyszała. Potem coraz jaśniejsze światło dzienne umożliwiło jej baczniejsze przyjrzenie się oczom Walkera. Zaklęła pod nosem.
- Przeszukaj jego torbę, Pete.
- Walker otworzył worek.
- Nie znajdziecie tu niczego oprócz jednej czy dwóch pokojowych propozycji - wyjaśnił.
- Pragnąc to udowodnić, sięgnął do środka, by wyjąć termos i rolkę papieru toaletowego.
- Kobieta przez długą chwilę przyglądała się obu przedmiotom, potem potrząsnęła głową.
- Nie cierpię, gdy obserwowany przez nas człowiek jest lepiej przygotowany niż my - burknęła niezadowolona.
- Potem wyrwała Walkerowi z ręki rolkę papieru i poszła w krzaki.
- W takich zaroślach dresy muszą kobietom bardzo utrudniać życie - powiedział Walker po chwili.
- Farnsworth oderwał wzrok od worka.
- Agentka Peel jest tak twarda, że może sikać na stojąco.
- Burknął na potwierdzenie, że nie znalazł niczego śmiertelnie niebezpiecznego, po czym oddał worek Walkerowi.
- Zakładam, że to ona ma wyższy stopień.
- Dobrze pan przypuszcza.
- To bardzo inteligentna dama.
- Następne słuszne przypuszczenie. Pracuję z nią od dwóch lat. Pewnego dnia będzie kierować biurem.
- Czy to nastąpi przed czy po drugim pojawieniu się Chrystusa?
- Farnsworth stłumił śmiech.
- Biuro się zmienia.
- A pan ma na imię Pollyanne*.
- Agent potrząsnął głową.
- Walker spojrzał na wyłaniające się powoli z ciemności rysy rozmówcy. Farnsworth liczył około czterdziestu pięciu lat, był wysportowany, miał siwiejące włosy i inteligentne ciemne oczy. Był mniej więcej o pięć centymetrów niższy od Walkera. Nosił rozpięty z przodu dres, podobny do dresu partnerki. Walker dostrzegł pod spodem elegancką koszulę i spodnie. Buty Farnswortha bardziej nadawały się na kort

tenisowy.

Z krzaków dobiegło ciche, paskudne przekleństwo.

- Mam nadzieję, że nie przykucnęła na czymś ostrym -
walnął Walker prosto z mostu. - Mogłaby się skaleczyć.

Farnsworth potarł usta, starając się zapanować nad śmiechem.

Słyszając, że Cindy Peel wychodzi z krzaków, Walker sięgnął

do jutowego worka. Wyjął dwa plastikowe kubki od termosu.

Odkręcił korek i nalał kawy. W powietrzu rozszedł się

obiecujący zapach.

- Mam nadzieję, że oboje lubicie czarną - powiedział.

* Pollyanne - imię bohaterki powieści amerykańskiej pisarki E.H. Porter, często

używane w stosunku do niepoprawnych marzycieli (przyp. tłum.).

- Wypiję każdą, jaką pan proponuje. - Farnsworth

wziął kubek, upił łączywie pierwszy łyk i westchnął. -

Dzięki.

Z rozjaśniającego się mroku wyłoniła się Cindy.

- Jeśli nie zostawiłeś dla mnie przynajmniej jednego

kubka, wyleję cię z roboty, Pete.

- Wystarczy dla wszystkich - zapewnił Walker.

Wręczył jej kubek, potem wyjął z worka świeże owoce

i papierową torbę z resztkami biszkoptów. Ciasteczka wciąż

były tak świeże, że zostawiały ciemne tłuste plamy na brązowej

torbie.

- Zapomniałem o galaretkę - zażartował Walker. - Mam

nadzieję, że mi to darujecie.

Potem zaczekał, aż agenci pochłoną biszkopty i owoce.

Gdy popijali po drugim kubku kawy, Peel zaczęła sprawiać

wrażenie gotowej do rozmowy.

- Od jak dawna interesujecie się rodziną Montegau? -

spytał Walker.

Farnsworth spojrzął na Peel. Wbiła wzrok w swoją kawę,

a potem zerknęła na człowieka, który poruszał się jak mgła

po pełnym zasadzek terenie.

- Wypieranie się tego byłoby czystą głupotą - zaczęła

ostrożnie. - Posłuchaj, Walker. Sprawdziliśmy cię. Kilku

mieszkańców tych okolic twierdzi, że potrafisz być uparty.

Byłabym ci wdzięczna, gdybyś nasze sprawy zachował tylko

do swojej wiadomości.

Walker się nie odezwał. Przez cały czas nie odrywał

wzroku od Peel. Dopiero teraz w jego oczach zaczynały pojawiać

się przebliski głębokiego, wyjątkowo głębokiego

błękitu.

- Podobno potrafisz również dotrzymać umowy - ciągnęła,

ale właściwie nie było to pytanie.

Walker przytaknął.

Wysoczyła resztki kawy ze swojego kubka i mocno się

zastanawiała, ile kart może wyłożyć na stół. Do jasnej cholery,

na pewno nie wszystkie. Nigdy w życiu nie spotkała

April Joy, sporo jednak o niej słyszała. Mądry człowiek nie

wchodzi takiej damie w drogę.

- Nikt nie wspomniał, że robisz taką dobrą mochajava -

powiedziała.

Uśmiechnął się niemal nieśmiało.

- Dziękuję, psze pani.

- Boże - mruknęła. - Idę o zakład, że na świecie jest

mnóstwo ludzi, którzy wierzą ci, gdy tylko się uśmiechniesz.

- Tak jest, psze pani. Mam nadzieję, że to prawda.

- Daruj sobie odzywkę „psze pani”. Tam, skąd pochodzę,

zwracamy się do kogoś „psze pani”, „psze pana” tylko

wtedy, gdy próbujemy pociągnąć go za łańcuch. Próbujesz

pociągnąć mnie za łańcuch?

Walker spojrzął w jej przejrzyste, brązowe oczy. Uznał,

że Peel jest tak twarda i inteligentna, jak twierdzi jej partner.

- Tam, skąd pochodzę, nikt nie pociąga za łańcuch, do

którego uwiązany jest zły pies.

Farnsworth niemal zakrztusił się kawą.

Peel roześmiała się.

- Dogadamy się, Walker. Tak ludzie na ciebie mówią,

prawda? Walker, nie Owen.

- Taak. Mój ojciec miał na imię Owen. Nigdy nie chciałem być juniorem ani Owenkiem. Nie reagowałem na żadne z tych imion, żeby nie wiem ile razy tak mnie wołano. W końcu wszyscy zgodziliśmy się na Walkera.

Bezwiednie podrapała jedno z wielu ukąszeń, których się nabawiła, śpiąc na ziemi.

- Twardy z ciebie facet, co?

- Raczej uparty - przyznał Walker z beztrąską. - Dlatego dopóty będę powtarzał swoje pytanie, dopóki nie otrzymam odpowiedzi. Dlaczego interesuje was rodzina Montegeau? Peel bacznie mu się przyjrzała znad brzegu kubka, próbując dociec, jak dalece może mu zaufać.

- Co wiesz o mafii?

- Rodzimej? Cholernie mało.

Peel obserwowała go spod przymrużonych powiek. Potem spojrzała na Farnswortha. Wzruszył ramionami, w końcu kiwnął głową.

- Mam propozycję, Walker. Nie zdradzę poufnych informacji, ale wyjawię ci coś, czego mógłbyś się dowiedzieć, gdybyś dość długo przeglądał podawane oficjalnie wiadomości i próbował wszystko poukładać w jedną całość. Co ty na to?

- Oficjalne informacje to zawsze dobry początek - przyznał Walker. - Każdy ma do nich dostęp.

- No właśnie - przyznała. - Na przykład, gdybyś włączył komputer i zaczął sprawdzać podatki od nieruchomości oraz stanowe rejestry, odkryłbyś, że twój gospodarz, Davis Montegeau, jest współdziałowcem korporacji z New Jersey, zajmującej się handlem ziemią. Firma ta nosi nazwę Angelini Construction, a jej kwatery główna mieści się w Newark. Gdybyś z kolei pogrzebał w aktach New Jersey, dowiedziałbyś się, że właścicielem Angelini Construction jest Salvatore Angel, z domu Angelini. Sal Angel, jak woli, by go nazywano, jest capo jednej z najbardziej agresywnych rodzin przestępczych na wschodnim wybrzeżu.

- Davis i Sal Angel są partnerami? - spytał Walker.

- Razem handlują nieruchomościami - uściślił Farnsworth.

- Na ulicy może nazwano by ich nawet wspólnikami w działalności przestępczej.

Walker burknął.

- Mów dalej.

- Na razie niewiele więcej wiemy - odparła Peel. - Próbujemy wytoczyć Salowi Angelowi sprawę o oszustwo. Mamy świadomość, że macza palce w hazardzie, prostytutce i oszustwach ubezpieczeniowych. Robi to od lat. Teraz próbuje rozpocząć legalną działalność, która umożliwiłaby mu pranie brudnych pieniędzy.

- Uważacie, że inwestuje je w ziemię?

- Wiemy, że tak jest. Jesteśmy pewni, jak tego, że za kilka minut wszędzie słońce - powiedziała Peel, zerkając na wschód. - Ale ta pewność wcale nie oznacza, że potrafilibyśmy udowodnić mu cokolwiek przed sądem.

Walker zastanawiał się, czy agenci wiedzą, że na Faith napadł młody kryminalista o nazwisku Buddy Angel. Kiedy rozważał wszelkie wnioski wynikające z faktu, czy FBI o tym wie czy nie, nieopodal z charakterystycznym sobie odwiecznym wdziękiem przeleciała ogromna czapla. Obdarzony długą szyją ptak wylądował na skraju słonawego rozlewiska i natychmiast znieruchomiał, jakby pozował do rzeźby noszącej tytuł „cierpliwość”. Swit skąpał czaplę w różnych odcieniach koloru różowego, pomarańczowego i złotego.

- Rodzina Montegeau ma kłopoty - podsumował Walker.

- Jak duże?

- Davis Montegeau uważa się za osobę ważną i wpływową

- powiedziała Peel. - Ale są to tylko jego pobożne życzenia.

Jest jedynie figurantem potrzebnym przy zawieraniu

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
transakcji. Jedną z nich przeprowadził dla Sala i jeszcze jednego
kryminalisty, człowieka o nazwisku Joe Donatello.

Jednak sprawa ta spaliła na panewce, a Sal i Joe stracili po
ćwierć miliona każdy. Stać ich na to, nie mogą sobie jednak
pozwolić, by zaczęto uważać ich za głupców. Podejrzewamy,
że będą chcieli wyrównać porachunki z Davisem. Gdyby
do tego doszło, chcemy być blisko.

- Po co?

- Davis nie należy do twardzieli. To stary pijak. Kiedy
Sal i Joe zabiorą się za łamanie kości, mamy nadzieję, że
Davis się przestraszy i nam pomoże.

Peel zerknęła na termos. Walker nalał jej ostatnie dwa łyki.

- A jeśli dopisze nam szczęście, może uda nam się złapać
opryszka, któremu Sal i Joe każą rozprawić się z Davisem

- ciągnęła Peel. - Gdyby nam się to udało i gdyby ten
człowiek zechciał z nami współpracować, przynajmniej coś
byśmy mieli. Na razie możemy się jedynie poszczycić kilkoma
setkami ukąszeń.

Podawała swój kubek Farnsworthowi, który wypił ostatni
łyk. Walker polubił ją za to, ale wciąż nie do końca jej ufał.

- Czy w restauracji śledziliście Mel czy Faith? - spytał
od niechcienia.

- Mel.

Walker zrobił pokerową minę. Nawet nie mrugnął okiem,
słyszając jawne kłamstwo.

- Czy jest o coś podejrzana?

- Myśleliśmy, że staruszek wykorzystuje ją jako kuriera
zwracającego pieniądze lichwiarzom. - Peel wzruszyła ramionami.

- Pewnie tego nie robi. Przynajmniej nie robiła tego
wczoraj wieczorem.

Walker uśmiechnął się ponuro.

- Przypuszczam, że Davis nie zwraca nikomu żadnych
pieniędzy. Sądząc po stanie jego rezydencji, nie stać go nawet
na znaczek pocztowy, a tym bardziej na usługi kurierskie.

- Masz rację - przyznał Farnsworth. - Montegeau jest
bliski bankructwa. Jego prawnik przygotowuje już odpowiednie
papiery.

- Czy Davis myśli, że ogłoszenie bankructwa uchroni go
przed mafią? - spytał Walker.

- Wierzy w cuda - podsumowała Peel - które bez przerwy
mu się zdarzają.

Farnsworth starał się udawać, że go to nie martwi.

Walker przypomniał sobie wspaniałe rubiny lśniące jak
krew w kutym złocie. Nawet biorąc pod uwagę bardzo wysokie
odsetki, rubiny Montegeau wystarczyłyby na spłacenie
długów, jakie Davis miał wobec mafii. Dlaczego więc
zamierzał dać taki prezent synowej?

Z drugiej strony, może chciał upiec dwie pieczenie przy
jednym ogniu. Ukraść rubiny albo skłonić do tego Sala,
a potem zażądać pieniędzy od firmy ubezpieczeniowej.
Gdyby Walker nie miał przy sobie naszyjnika, klejnot zostałaby
skradziony jeszcze w Savannah, a stratę ponieśliby
Donovanowie. Szkoda, tak mi przykro, ale życie jest krótkie
i do dupy.

Donovanowie przekazaliby Montegeau pieniądze wraz
z przeprosinami za utratę rubinów. Żaden ślad nie wskazywałby
na to, że złodziejem może być bliski bankructwa
Montegeau.

- Co ty tu właściwie robisz? - spytała Peel.

- Pilnuję rubinów.

- Jakich rubinów? - spytała Peel ostro.

- Rubinów Montegeau. Starej pamiątki rodowej, tak
przynajmniej utrzymują przedstawiciele rodu.

Peel przymrużyła ciemne oczy.

- Mów dalej.

- Kilka tygodni temu Davis poprosił telefonicznie Faith,
by wykonała dla Mel ślubny naszyjnik. Dostarczył złoto
i rubiny. Faith zaprojektowała klejnot i wykonała go. Wynagrodzeniem

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

za tę pracę ma być najmniejszy spośród przesłanych czterestu rubinów.

- Rubinów? - Peel zmarszczyła czoło. - Ile są warte?

- Milion, jeśli nie więcej. To cena hurtowa.

Farnsworth cicho gwizdnął.

- Jasna cholera. Czemu nie wykorzysta ich na spłacenie Sala?

- Może Davis wolałby mieć i rubiny, i pieniądze z ubezpieczenia - odpowiedziała Peel.

- Tak właśnie przypuszczam - przyznał Walker.

- Przede wszystkim, za co on je kupił? - spytał Farnsworth.

- Z pewnością takie kamienie nie widnieją na liście jego aktywów.

- To może być rzeczywiście pamiątka rodowa - orzekła Peel. - Wiele klejnotów przechodzi z pokolenia na pokolenie bez żadnych dokumentów. Dzięki temu można uniknąć podatku spadkowego. Chyba że klejnoty te pochodzą z kradzieży.

- Nawet jeśli zostały skradzione, nikt ich nie szuka przez Internet - powiedział Walker.

- Skąd wiesz?

- Sprawdziłem, nim Archer zgodził się ubezpieczyć te kamienie.

- Archer - powtórzyła Peel. - Masz na myśli Archera Donovana, najstarszego syna. A więc to on ubezpiecza te kamienie?

- Do ślubu - wyjaśnił Walker. - Potem obejmuje je polisa Davisa.

Peel z zamyśleniem postukała paznokciem o przednie zęby.

- Walentynki. Niezależnie od tego, co się stanie z tymi rubinami, musi to nastąpić wkrótce, bo inaczej Davis nic na tym nie skorzysta.

- Prawdopodobnie - zgodził się Walker.

- Masz pewność, że kamienie są prawdziwe? - spytał Farnsworth. - Davis nie byłby pierwszym człowiekiem, który ubezpieczył wysokiej jakości szkiełka, a potem je „stracił”.

- Te rubiny są prawdziwe.

Agencji przyjęli do wiadomości zapewnienie walkera.

- A więc teraz to ty za nie odpowiadasz - powiedziała Peel z zamyśleniem.

Wyglądała na osobę, którą była - agentkę federalną, zastanawiającą się, w jaki sposób może wykorzystać nowe fakty.

- Taak. Są na mojej głowie.

Walker zaczął zbierać pozostałości po przyniesionym przez siebie śniadaniu. Wiedział, że Peel zastanawia się, jak wykorzystać uzyskane informacje. Spodziewał się tego.

Oni mieli swoje cele. On również nie działał bezinteresownie.

Nie przeszkadzało mu nawet, że agenci okłamali go w przynajmniej jednej ważnej sprawie. Już dwanaście godzin temu w Savannah przekonał się, że śledzą Faith, nie Mel. Bardziej interesowało go, czemu kłamią. Wiedział, że odpowiedź na to pytanie będzie go kosztować więcej niż kawę i biszkopty. W tym momencie nie miał aż tylu atutów, żeby podnieść stawkę. Pora się wycofać i poczekać na lepsze karty.

Liczyło się tylko to, by zostać w grze.

Walker wślizgnął się z powrotem do domu równie niepostrzeżenie, jak się z niego wymknął. Weranda skrzypnęła,

kiedy zszedł z gałęzi dębu, ale objął acz albo za głośno chrapał, by to usłyszeć, albo gdzieś biegał za szopami. Wszyscy pozostali pogrążeni byli w głębokim śnie.

Oprócz Faith.

- Gdzie byłeś? - spytała w chwili, kiedy zamknął za sobą drzwi do salonu.

Stojąc w drzwiach jej sypialni, spojrzął na sympatycznie pomiętą pościel i jeszcze sympatyczniej wyglądającą kobietę.

Nawet w pierwszych promieniach światła jej skóra lśniła.

Wiedział, że nie powinien w ogóle jej dotykać, ale nie

mógł się doczekać, kiedy zrobi to ponownie. Z uśmiechem zrzucił jeden but.

- Walker?

Drugi but cicho stuknął o dywan.

- Czy przez przypadek nie zapomniałem ci powiedzieć, jaka jesteś śliczna? - spytał, podchodząc do brzegu jej łóżka.

- A może za bardzo mi się spieszyło?

Zabrakło jej tchu na widok blasku w jego oczach i odbijających się w nich wspomnień.

- Dzięki tobie naprawdę poczułam się piękna.

- Jesteś pewna?

Spojrzała na jego obcisłe dżinsy i uśmiechnęła się.

- Rozbierz się, a ja w tym czasie pomyślę.

- Złotko, jeśli cokolwiek z siebie zdejmę, szybko wyląduję obok ciebie w łóżku.

Poczuła, że ogarniają ogień.

- W takim razie pozwól, że ci pomogę.

Walker roześmiał się, jakby żartowała. Potem poczuł, jak jej palce szarpia stalowe guziki jego spodni. Wciągnął powietrze w płuca. Po chwili położył dłonie na jej rękach, uspokajająco przyciskając jej ruchliwe palce do twardego członka.

- Podejrzewam, że będę musiał przywiązać cię do łóżka

- powiedział, przeciągając głoski.

Uniosła głowę, zaskoczona i trochę zaintrygowana.

- Naprawdę?

- Jasne. Za każdym razem chcę zrobić to powoli, bez pośpiechu, potem jednak wkładasz mi do spodni te swoje sprytne, wygłodniałe ręce, a wtedy mogę jedynie się powstrzymywać, żeby nie podciągnąć ci nóg do góry, do poziomu uszu, i sprawdzić, jak głęboko i jak szybko mogę się w tobie ukryć.

Czubkiem języka oblizała dolną wargę.

- Nogi za uszy? To chyba dość niewygodna pozycja.

Jego spokojny, łagodny uśmiech rozpałał płomień.

- Nigdy nie wyrządziłbym ci w łóżku żadnej krzywdy,

złotko. Wiesz o tym, prawda?

Westchnęła i splotła swoje palce z jego. Była zafascynowana wyraźnym wzrodem.

- Gdybym miała jakiegokolwiek wątpliwości, nie byłoby mnie tutaj. - Podświadomie oblizała wargi, jednocześnie ściągając z niego dżinsy. - I z pewnością nie byłabym... hm... gotowa sprawdzić, jak spisujesz się rano.

Dreszcz, jaki go przeniknął, zaskoczył ich oboje. Chciał jej powiedzieć, jaka jest seksowna, ale zabrakło mu tchu i słów. Zrzucił więc dżinsy, zlekceważył spodenki i powoli odciągnął kołdrę. Jego usta kosztowały to, co jego oczy ledwo widziały w ciemności. Wkrótce Faith wzięła się i błagała.

Powoli podsunała ręce pod jej nogi i podciągnął je do góry, całkowicie ją otwierając. wyswobodził się ze spodenek i przycisnął do gorącego ciała kobiety, lekko ją rozchylając. Jedwabisty ogień delikatnie pocałował wrażliwy czubek penisa. Walker pragnął więcej. Chciał wszystkiego.

Pragnął jej.

Faith powoli otworzyła oczy. W przydymionym świetle były zamglone, zmysłowe, zasnutę przyjemnością i pragnieniem, pod wpływem którego drżała.

- Walker?

- Jestem tutaj, złotko.

Napiął biodra, by jej to pokazać.

Jęknęła, kiedy poczuła słodki nacisk. Walker wsunął się w nią. Ale za płytko. O wiele za płytko. wiedziała, jak to jest, kiedy partner jest uwięziony głęboko w niej i całkowicie ją wypełnia. Chciała tego.

Chciała tego od razu.

- Dlaczego? - wydusiła.

- Co dlaczego? - powiedział przeciągle, chociaż czuł spływający wzdłuż żeber pot.

- Dlaczego czekasz?

- Na co?

- Przecież wiesz!

Nie wiedział, czy się śmiać czy kłąć, gdy niespodziewanie energicznie poruszyła biodrami. Niemal udało jej się postawić na swoim.

- Nie mam pojęcia, złotko. Powiedz mi.

- Ale z ciebie kpiarz.

- Pierwszy raz słyszę. Różnie mnie nazywano, ale...

Głos mu się załamał, kiedy ponownie przysunęła do niego biodra, żądając swego. Jęknął.

- Jesteś gotowa mnie zabić.

- Widzę, że zaczynasz rozumieć.

- Chcę mieć pewność, że dajesz ci to, czego pragniesz.

Czego pragniesz?

Zwodniczy dotyk i wycofanie się były niewiarygodnie podniecające. Za każdym razem wsuwał się nią głębiej niż na trzy centymetry, a ilekroć się wycofywał, miała ochotę wczepić się w niego pazurami.

- Ciebie - powiedziała szorstko. - Cholera jasna, Walker, chcę ciebie!

- Przecież mnie masz.

By tego dowieść, musnął jej gorące, jedwabiste zagłębienie. Blisko... ale nie tak, jak by chciała. Poruszyła się, dzięki czemu zbliżyli się do siebie.

- Za mało.

- A co powiesz na to? - wsunął się w nią nieco głębiej, a potem się wycofał. - Lepiej?

Jej reakcję poczuli oboje. Zadrżała, a mięśnie zaczęły rytmicznie się zaciskać.

- Chcę więcej.

- Jesteś nienasycona, co? Lubię takie kobiety.

Wbiła paznokcie w jego napięte biodra.

- To też lubię - wyznał. - Dalej, złotko. Pokaż mi, czego pragniesz.

- Głębiej - zażądała.

Wsunął się o następne dwa centymetry. Nagrodzony został pulsującym, jedwabnym ciepłem. Powoli, rozmyślnie się wycofał. Chociaż wzdłuż kręgosłupa płynęła mu strużka potu, poczuł chłód w miejscu, które jeszcze przed chwilą znajdowało się w niej. Wsunął się z powrotem, na siłę zatrzymując się w połowie drogi. Kiedy poczuł zapach i namiętną reakcję Faith, zakreśliło mu się w głowie.

- Walker - spytała ochryple. - Czemu mnie torturujesz?

- Do diabła, sam nie wiem. Nigdy nie chciałem, żeby jakaś kobieta mnie prosiła, ale ty stanowisz wyjątek. Jesteś taka słodka, że mogę osiągnąć szczyt, tylko się z tobą drażniąc.

Podsunał do góry nogi Faith i założył je sobie na ramiona, otwierając ją jeszcze bardziej i zaplatając wokół siebie jej uda. Obserwował ją, muskając czubkami palców nabrzmiałe wargi sromowe, póki nie zrobiły się takie śliskie jak ona. Potem skubnął zgrubienie, które dumnie wystawało z miękkiego zagłębienia. Poczuł, że zareagowała głębokim pulsowaniem, potem usłyszał gardłowy jęk. Starając się powstrzymać za wszelką cenę, wsunął się głęboko w ten węzeł i wywołał orgazm, pociągając ją wyżej i wyżej.

Dopiero gdy z ust Faith wyrwało się jego imię i wyraźnie widać było jej rozkosz, zaczął się poruszać w sposób, jakiego oboje potrzebowali - mocno i głęboko. Faith naprężyła wszystkie mięśnie, przysunęła się do Walkera i zesztyniała. Ledwo zdążył nakryć jej usta swoimi, nim krzyknęła pod wpływem uczucia ulgi. On sam przeżywał to równie intensywnie, dając z siebie wszystko, póki dookoła nie zapadła całkowita ciemność.

Faith powoli zaczęła dostrzegać pokój, odczuwać cudowny ciężar leżącego na niej Walkera... a gdy odwróciła głowę, zorientowała się, że może ugryźć własne kolano.

Roześmiała się cicho.

- Miałaś rację.
- Hmm? - spytał Walker, zbyt rozleniwiony, żeby oderwać usta od jej szyi.
- Nic mi się nie stało. wciąż żyję. Mam nadzieję, że się nie obrazisz, jeśli powiem, że jestem zdumiona.
- Walker niechętnie się poruszył.
- Czy to będzie jedna z tych niezwykle ważnych damsko-męskich rozmów?
- Uśmiechnęła się i zacisnęła zęby na skraju jego szczęki.
- Nie. To tylko spostrzeżenie. Przecież nie mamy nic wspólnego z Kamasutrą.
- Roześmiał się bezgłośnie, ale wyraźnie, ponieważ poczuła, jak się w niej poruszył. Powoli pozwolił jej opuścić nogi. Potem tak długo się przesuwał, aż mógł przytulić się do jej piersi.
- Nie sądzę, by ta książka znajdowała się na liście lektur, gdy robiłem szkołę średnią.
- Nigdy jej nie czytałeś? - spytała, głaszcząc go po włosach.
- W szkole średniej? Nie.
- A w podstawówce?
- Też nie.
- O mój Boże! w przedszkolu?
- Ponownie się roześmiał. Faith mruknęła zadowolona, przypomniawszy sobie, jak całkowicie są ze sobą złączeni.
- Nie - odparł, skubiąc jej pierś.
- Nie uwierzę, że czytałeś ją w łonie matki.
- Szóstka.
- O kurczę. Idę o zakład, że miło było bawić się z tobą w doktora.
- Z głośnym śmiechem Walker objął ją mocno i obrócił się na plecy. Faith bez trudu podażyła za nim. Kiedy zdał sobie sprawę z jej gibkości i tego, z jaką łatwością podświadomie dopasowywała swoje ruchy, byle zostać blisko niego, kiedy uzmysłowił sobie beztroską intymność połączonych ciał, przestał się śmiać. Nigdy nie znał kobiety takiej jak Faith. w jednym momencie prezentowała wszystkie cechy bizneswoman, by po chwili zamienić się w rozmarzoną artystkę. Potrafiła rozciąć obcasem łydkę napastnika i płakać w milczeniu w świetle księżyca. Była pozornie krucha. Zwodniczo silna. Niezwykle namiętna. Kusiła go na tysiąc trudnych do opisanego sposobów i na tysiąc sposobów go przerażała.
- Po raz pierwszy zrozumiał, dlaczego cma wpada w ogień - to lepsze niż samotność w zimnie i ciemności.
- ...słyszałeś to? - spytała Faith.
- Co takiego? - powiedział, potrząsając głową, jakby chciał się uwolnić od dręczących go myśli.
- To Mel. Chyba stało się coś złego.
- Nagle po cichym domu rozniósł się słaby, a mimo to aż nazbyt wyraźny kobiecy krzyk.
- Boże, mam nadzieję, że to nie dziecko!
- Faith wyskoczyła z łóżka i zaczęła szukać ubrania.
- Walker spiesznie poprawił swoje warte milion dolarów spodnie, chwycił leżący pod poduszką nóż i wyskoczył z łóżka. Z pochwą od noża w zębach sięgnął po swoje dzinsy. Nim zdążył zapiąć spodnie, Faith była już za drzwiami.
- Miała na sobie pierwszą rzecz, jaką udało jej się złapać - jego koszulę. Puścił trzymany w zębach nóż i ruszył za nią.
- Mel?! - zawołała Faith. - Mel, gdzie jesteś? Co się stało? Myśl o Buddym Angelu i śmiertelnie niebezpiecznym rosyjskim kryminaliście dodała Walkerowi skrzydeł. w połowie korytarza dogonił Faith i złapał ją za rękę.
- Co...? - zaczęła.
- Zostań tutaj, póki nie sprawdzę, co się stało - rozkazał szorstko, ucinając jej protest.
- Ale...
- Nie ma żadnego „ale”. To może być zasadzka. Mogą szukać ciebie. Zostań tutaj.
- A co z tobą?

Mówiła do jego pleców. Jak duch zszedł schodami w dół. Kiedy odwrócił się na podeście, znalazł się w świetle rzucanym przez kinkiety. Faith dostrzegła, że walker ma w tylnej kieszeni nóż w pochwie. Tuż nad paskiem spodni, na krzyżu, widać było ciemny ślad po znikających siniakach. Nie wiedziała, co zaszokowało ją bardziej - nóż czy sińce. Zamierzała go zawołać, ale dotarło do niej to, co walker powiedział o zasadzce. Poczuli, że żołądek podchodzi jej do gardła. Błyskawicznie wróciła do sypialni, wyjęła z torebki mały pojemniczek z pieprzem w aerozolu i cicho zbiegła na bosaka po schodach.

Chociaż walker nadstawiał ucha, nie usłyszał drugiego krzyku ani żadnych odgłosów walki. Potraktował wszystko z ogromną podejrziwością. Dom był stary i tak duży, że wchłaniał wszystko oprócz najgłośniejszych dźwięków. Wyczuł, że od tyłu zbliża się do niego Faith. Wściekły gwałtownie się odwrócił i popatrzył na nią wilkiem. Odpowiedziała mu takim samym pełnym uporu spojrzeniem. Wyczytała w jej oczach, że nie ma po co się z nią sprzeczać.

Przyciągnął ją do siebie i szepnął jej do ucha:

- Złotko, jeśli choć odrobinę tego gówna prysniesz mi do oczu, przez tydzień nie będziesz mogła usiąść.

Przytuliła do niego policzek i powiedziała równie cicho:

- Jeśli choć odrobinę tego gówna prysnę ci do oczu, złotko, przez tydzień nie będziesz mógł mnie zobaczyć, a tym bardziej złapać.

Gwałtownym ruchem głowy dał jej znak, żeby szła za nim. Uniosła brodę, ale przestała przepychać się przed niego. Oboje bezszelестnie prześlizgnęli się obok pokojów na parterze, przez cały czas nasłuchując. Oboje jednocześnie usłyszeli przytłumione głosy dochodzące od strony kuchni. Walker minął bibliotekę i błyskawicznie skierował się na tyły domu. Faith szła tuż za nim. Drzwi kuchenne były uchylone. Walker odsunął Faith nieco na bok, a sam stanął w prześwicie.

Nasłuchiwali.

- ...nie żyje! - płakała cicho Mel.

Faith ruszyła do przodu. Spojrzenie walkera zatrzymało ją w miejscu.

- To nieprawda, Kochanie - zapewniał ją Jeff. - widzisz? Jego boki regularnie się poruszają.

- Jesteś pewien?

Walker otworzył szerzej drzwi kuchenne i zajrzał do środka. Mel i Jeff - oboje w piżamach - kucali na podłodze obok psa. Lampy kuchenne i coraz mocniejsze światło dzienne oświetlały Obijacza wyciągniętego na linoleum jak gruby, bezwładny dywanik.

- Tak - zapewnił Jeff uspokajająco. - Daj mi rękę. Czujesz ten ruch? Oddycha głęboko i powoli. Nic mu nie będzie. W głosie Jeffa słyhać było jednak zmartwienie, którego nie udało mu się całkowicie ukryć.

- Czemu się nie obudził, kiedy się o niego potknęłam? Walker powoli i bezgłośnie odetchnął, po czym schował nóż do pochwy i wsunął ją za pasek dzinsów.

- Coś się stało? - spytał, wchodząc do kuchni.

Jeff podskoczył, jakby coś go ugryzło. Mel jedynie uniosła głowę. Z jej ogromnych brązowych oczu płynęły łzy.

- Chodzi o Obijacza - wyjaśniła, odwracając się z powrotem w stronę psa. - Nie obudził się.

Kiedy walker kucnął nad ogarem, Faith weszła za nim do kuchni. Pojemniczek z pieprzem ukryła w kieszeni koszuli, którą miała na sobie.

- Dobrze się czujesz, Mel? - spytała Faith, klękając obok przyjaciółki. - wydawało mi się, że słyszałam twój krzyk.

- Chciało mi się jeść, więc zeszłam do kuchni po jakieś krakersy - wyjaśniła Mel, nie odrywając wzroku od psa. - Pewnie byłam jeszcze zasnana, bo nie zauważyłam leżącego

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
Obijacza. Musiałam krzyknąć, kiedy się o niego potknęłam.
Potem na pewno krzyknęłam, gdy doszłam do wniosku, że
on nie żyje.

- Przybiegłem, gdy usłyszałem pierwszy krzyk - wyjaśnił
Jeff, głaszcząc Mel po ramieniu tak delikatnie, jak ona
gładziła Obijacza. - Upadłaś?

Potrząsnęła głową.

- Jesteś pewna? - naciskał. - Nie zrobiłaś krzywdy sobie
albo dziecku?

- Złapałam się błatu, dzięki czemu odzyskałam równowagę

- powiedziała Mel. - Dlaczego on się nie obudził?

Walker delikatnie zbadał psa.

- Żadnych śladów krwi. Żadnej opuchlizny ani złamanych
kości - niczego takiego nie czuję. Serce pracuje równomiernie,
choć trochę za wolno. To samo można powiedzieć
o oddechu. Pewnie nic mu się nie stało, niemniej powinniście
wezwać weterynarza.

Walker wstał i kiwnął na Jeffa, żeby z nim wyszedł. Jeff
się zawahał, zerkając na narzeczoną, potem niechętnie
wstał.

- Zostań z Mel - powiedział walker cicho do Faith.

Przytaknęła.

Gdy tylko Jeff zamknął drzwi, walker spytał cicho:

- Czy ostatnio zakładaliście trutki na jakieś szkodniki?

Jeff potrząsnął głową.

- W ogrodzie nie zostało już nic, co warto byłoby chronić,
a gdybyśmy chcieli oczyścić dom z myszy, na Hilton
Head zabrakłoby trucizny.

Walker burknął coś.

- Gdzie jest najbliższy telefon? - spytał.

- W bibliotece. Pójdę z tobą.

- Myślę, że stary Obijacz został czymś naszpikowany

- wyjaśnił walker, idąc korytarzem za wysokim blondynem.

Jeff dotarł do drzwi biblioteki i stanął w nich jak wryty.

Walker zajrzał przez jego ramię do środka.

- Chyba już wiem dlaczego.

Podszedł do miejsca, gdzie stał oparty o boazerię ogromny
obraz przedstawiający Black Jacka Montegeau. Nad nim,
na ścianie, widać było uchylone drzwi ogromnego sejfu.
Dookoła leżały porozrzucane dokumenty, a wśród nich stara
rodzinna Biblia.

Z uchwytu sejfu zwisały małe słuchawki, jakby odłożono
je na bok, a potem, po skończeniu roboty, całkiem o nich zapomniano.

Słuchawki za pomocą kabelków połączone były

z małą gumową przyssawką, jakiej używa się, by przyczepić
do sejfu wzmacniacz.

Takiego właśnie sprzętu używał Archer, gdy włamywał
się do czyjegoś sejfu. Na jego korzyść przemawiał fakt, że
nie robił tego zbyt często.

- Zadzwoń po szeryfa - zaproponował walker, zajrzawszy
do sejfu. - Wygląda na to, że was okradziono.

Pani weterynarz przyjechała i wyjechała, natomiast zastępcy
szeryfa byli zajęci uciszaniem rodzinnej bijatyki w jednej
z eleganckich willi na nabrzeżu. Dlatego przy tylnych
drzwiach prowadzących do Rubinowych Bagien pojawił
się osobiście szeryf Bob Lee Shartell. Towarzyszył mu jego
pierwszy zastępca, cichy typek żujący tabakę, Harold
Bundy.

Do tego czasu wszyscy zdążyli wstać i ubrać się, oprócz
starszego pana Montegeau. Davis jeszcze nie zwiłókł się
z łóżka. Jeff był z tego zadowolony. Nawet osoba obdarzona
niezbyt wrażliwym nosem wyczułaby od seniora rodu alkohol,
co jedynie potwierdziłoby powszechną opinię, że Davis
to pijak. Wyspa była niewielka. Wiadomość rozeszłaby się
lotem ptaka, a wówczas rodzinie trudniej byłoby odzyskać
dobrą opinię.

Na szczęście Tiga jeszcze się nie pojawiła. Jej zawiłe monologi
stałyby się jedynie źródłem nowych plotek.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Lekarz weterynarii pobudziła Obijacza do życia, dając mu jakiś zastrzyk, dzięki któremu pies niechętnie szczebnął, gdy do tylnych drzwi zapukali przedstawiciele prawa.

- Cicho, Obijacz - burknął Jeff ostro. - Obudzisz resztę domu.

Walker zerknął na Jeffa. Pomimo eleganckich spodni i świeżo wyprasowanej koszuli, wyglądał na bardzo zdenerwowanego. Walker wcale się nie dziwił. Najpierw o świcie krzyk kochanki wyciągnął Jeffa z łóżka, potem okazało się, że jego pies został uspijony, a dom okradziono. Trudno to uznać za najmiłszy początek dnia.

Naprawdę jednak to Faith powinna warczeć na każdego, kogo zobaczy. Firma ubezpieczeniowa mogła zwrócić jej pieniądze za ukradzioną biżuterię, ale odszkodowanie nigdy nie pokryje prawdziwych szkód. Pomimo tego Faith doskonale ukrywała własne obawy i przez cały czas uspokajała przyjaciółkę, ponieważ Jeff był zbyt zdenerwowany, by zająć się Mel. Obijacz ponownie szczebnął i próbował nawet poderwać się na nogi.

- Leżeć! - nakazał Walker łagodnym głosem, równie łagodnie przyciskając głowę psa do podłogi. Potem naciągnął koc, z powrotem okrywając szeroką klatkę piersiową ogara.

- Spokojnie, pieseczku. Musisz odespać wszystko to, co ci zaaplikowano.

Obijacz sapnął, warknął i byle jak polizał walkera po ręce.

Walker dotknął jedwabistych uszu ogara. Rozgrzewały się. Pani doktor miała rację. Obijacz powoli otrząsał się ze środków nasennych. Szybko przyjdzie do siebie.

- Witam pana, szeryfie - powiedział Jeff, jednym szarpnięciem otwierając tylne drzwi. - Dziękuję, że przyjechał pan tak szybko.

- Na tym polega moja praca - zapewnił szeryf - ale jeśli to możliwe, nie miałbym nic przeciwko kawie. Pewnego dnia mieszkańcy wyspy dojdą do wniosku, że chcą mieć zapewnioną dwudziestoczęterogodzinną ochronę, tylko wówczas będą musieli dać więcej pieniędzy na zastępców. Ten oto człowiek to moja prawa ręka. Ma na imię Harold. Przejął to stanowisko po Traftonie, który w końcu zmartwił i postanowił zająć się wyłącznie połowem okoni.

Harold przywitał się kiwnięciem głowy. Był wysoki i smukły. Szeryf stanowił jego przeciwieństwo. W szkole średniej walczył jako zapaśnik. Czterdzieści lat później jego krępa sylwetka się zaokrągliła, jasnobrązowe włosy zrzedły i pojawiły się w nich pasemka siwizny, a niebieskie oczy stały się bardziej przenikliwe i mniej skore do śmiechu. Szeryf jak zwykle nie mógł się nadziwić wrodzonej elegancji Mel. Chociaż miała na sobie jedynie ciężowe spodnie i luźną czerwoną bluzkę, wyglądała jak księżniczka odwiedzająca pomoce kuchenne. Sama kuchnia była niemal tak duża jak apartament i wszystko świadczyło w niej, że każde pokolenie - oprócz ostatniego - przerabiało to pomieszczenie na własną modłę. Podłoga wykonana została z twardego drewna. Urządzenia miały trzydzieści lat i były poobgryzane przez młodego psa.

- Dzień dobry, panno Buchanan - powiedział szeryf.

Dotknął kapelusza i skłonił się Mel, która siedziała na kuchennym krześle obok otulonego kocem ogara.

- Jak czuje się psiak?

- Coraz lepiej - odparła Mel, usiłując zdobyć się na uśmiech, ale nie bardzo jej się to udało. - Co nowego u pańskiej żony i wnuków?

- U Susie wszystko w porządku, natomiast dzieciaki to wcielone diabły. - Uśmiechnął się. - Wszyscy mówią, że najstarszy wdał się we mnie. Co, zdaniem doktor James, stało się psu?

- Tabletki nasenne - wyjaśnił Jeff szorstko. - Na szczęście za mało, by wyrzucić mu jakąś krzywdę.

- To bardzo dobrze. Wiele włąmywaczy dla zdobycia

pieniędzy bez zmużenia oka potrafi zabić dobrego psa. Jeff gwałtownie drgnął.

- Czy ostatnio macie dużo włamań? Szeryf wzruszył ramionami.

- Na Hilton Head pojawiło się wielu bogatych ludzi. Pieniądze przyciągają złodziei. Mamy sporo roboty. Ale po raz pierwszy ktoś okradł starą rezydencję. Mam nadzieję, że to nie jest początek jakiejś nowej mody. Niektóre z owdowiałych staruszek mogłyby się śmiertelnie przestraszyć, gdyby jakiś rabuś zaczął kręcić się przy ich cennych srebrach.

- Podam kawę - powiedziała Mel.

- Zostań przy obijaczu - zaproponowała Faith. - Wiem, gdzie jest ekspres.

Kiwnąwszy głową szeryfowi i jego milczącemu zastępcy, ruszyła do pracy.

Szeryf baczniej przyjrzał się walkerowi. Dżinsy ani stare, ani nowe. Sprana ciemna bawełniana bluza robocza. Przenikliwe, zdecydowane spojrzenie, nie wiadomo, dobre czy złe. Drewniana laska sugerująca jakąś niezbyt widoczną ułomność.

- Pan jest walker, prawda? Chłopak Owena i Betty.

- To dawne czasy.

- O dawnych czasach można mówić, gdy jest się w moim wieku. Przypomina pan ojca. Był dobrym człowiekiem, jeśli nie pił. Natomiast pański brat zawsze był podobny do matki. Jak miewa się Lot?

- Nie żyje.

Szeryf potrząsnął głową.

- Skłamałbym mówiąc, że mnie to dziwi. Od chwili, kiedy zaczął stawiać pierwsze kroki, zawsze miał diabelne skłonności do złego. Ale ładny był z niego dzieciak. Jego uśmiech zaćmiewał słońce. Szkoda, że okazał się głupi jak but.

Faith skrzywiła się, przygotowując dzbanek z kawą. wiedziała, że rozmowa na temat brata jest dla walkera bolesna.

- Ze śmietanką, z cukrem? - spytała zdecydowanie, odciągając uwagę szeryfa od przeszłości.

- Z tym i z tym, psze pani - odparł szeryf. - Jeśli nie ma pani nic przeciwko temu, proszę o podwójne porcje. Nie jadłem dziś śniadania.

- Czarna.

Było to pierwsze słowo, jakie powiedział zastępca, wystarczyło jednak, by zdradzić przybysza z zewnątrz. Co gorsza, jankesa.

- Dzięki.

Szeryf odwrócił się do Jeffa i powiedział:

- A teraz proszę mi powiedzieć, co się tu wydarzyło? Może zaczniemy od dnia wczorajszego? Czy pojawił się ktoś z zewnątrz, oprócz pańskich gości?

- Przyszła kobieta, która zajmuje się przygotowaniem do ślubu - odrzekł Jeff. - Chciała wymierzyć bibliotekę i poprzestawiać kwiaty.

- Jest za mało miejsca na jej fortepian, a nie zdążymy już nastroić stojącego tam szpinetu - wyjaśniła Mel. - W związku z tym będziemy mieli muzykę z taśmy.

Nic w jej głosie ani wyrazie twarzy nie zdradzało, jak bardzo była zawiedziona, że ich plany dotyczące ogromnego weseliska w Savannah spełzły na niczym. Jako kobieta interesu rozumiała, czym jest brak gotówki.

- Czy ślub przygotowuje pani Edie Harrison? - spytał szeryf.

- Tak - potwierdził Jeff z pewnym zniecierpliwieniem. - Za dwa dni bierzemy ślub. Myślałem, że postawiłem sprawę jasno, gdy rozmawialiśmy przez telefon.

- Rozumiem, że jest pan trochę tym wszystkim zdenerwowany, ale będzie mi łatwiej, jeśli odpowie pan jeszcze na kilka pytań. O której poszliście wszyscy spać?

- Mel położyła się koło dziesiątej. Ja może pół godziny później.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Tuż po świcie moja narzeczona wstała i poszła do kuchni w poszukiwaniu jakichś krakersów. Potknęła się o Obijacza i krzyknęła. Przybiegłem. Po chwili pojawili się Walker i Faith. Szeryf słuchał i przytakiwał. Jego zastępca robił notatki.

- Kto znalazł otwarty sejf?

- Ja - zgłosił się Walker.

- Dotknął pan czegoś? - spytał szeryf.

- Nie.

- Jest pan pewien? Większość ludzi szperałaby w sejfie, żeby sprawdzić, czy rzeczywiście jest pusty.

- Oglądam telewizję - wyjaśnił Walker bez troski.

Przesunął się nieco, by mocniej oprzeć się na lasce. Nic tak nie dodaje gliniarzom otuchy jak każdy objaw słabości.

- Nie chciałem niczego ruszać na miejscu przestępstwa.

- Dziękuję - powiedział szeryf, gdy Faith przyniosła kubki z kawą.

Wypił spory łyk i westchnął. Ta kobieta robiła wyśmienitą kawę, chociaż była ubrana jak mężczyzna - miała na sobie dżinsy i niebieską bawełnianą koszulę.

- Jest doskonała, psze pani. - Odwrócił się z powrotem do Jeffa. - Kto pierwszy wszedł do biblioteki?

- Ja - odparł Jeff. - Chciałem skorzystać z telefonu i zadzwonić po weterynarza. Walker był ze mną. To wtedy zobaczył otwarty sejf i wiszące na drzwiczkach - co to właściwie jest? - słuchawki? Walker rzucił okiem i powiedział, że nas okradziono.

- Wie pan wszystko, co powinien wiedzieć kaszlarz, prawda? - spytał szeryf Walkera.

- Zauważyłem, że sejf jest otwarty. - Walker uśmiechnął się uprzejmie i jeszcze mocniej wsparł na lasce. - Założyłem, że przedmiot wiszący na drzwiczkach ma z tym coś wspólnego.

Szeryf wydał dźwięk, który mógł oznaczać wszystko.

- Gdzie wieczorem przebywał ogar? Polował na szopy?

Jeff wzruszył ramionami.

- Koło północy zaczął popiskiwać, więc go wypuściłem.

- Czy często się to zdarza?

- Ilekroć uda mu się nabrać któregoś z nas, że dłużej nie może czekać - wyjaśniła Mel. - Robi to niemal co noc. Myślę, że tata Montegéau i Tiga po prostu wypuszczają go na noc, dlatego nie jest przyzwyczajony do długiego wstrzymywania się.

- Są jakieś ślady włamania? - spytał szeryf.

- Nie sprawdzaliśmy - przyznała Mel zdumiona. - Będę...

- Usiądź, kochanie - powiedział Jeff szybko. Podszedł do niej, ujął ją pod brodę i delikatnie pocałował. - Pozwól, że wszystkim się zajmę. Nie chcę, żebyś się denerwowała. - Odwrócił się do szeryfa. - Sprawdziliśmy wszystko z Walkerem.

Włamanie zostało zamek w przeszklonych drzwiach biblioteki.

- Nikt niczego nie słyszał? - dziwił się szeryf.

- Biblioteka znajduje się daleko od sypialni - wyjaśnił Jeff. - Niczego nie słyszeliśmy.

- A co z pańskim ojcem i ciotką Antigua?

- Jeszcze śpią. Chyba że Tiga wyszła sprawdzić kosze na kraby i sieci na ryby. - Jeff wykonał gwałtowny gest. - Myślę, że gdyby coś usłyszeli, obudziliby nas.

Zadzwonił telefon. Jeff odwrócił się.

- Proszę mi wybaczyć. To prawdopodobnie nasz agent ubezpieczeniowy.

Wyraźnie skonsternowana Mel wyszła ze swoim przyszłym mężem z kuchni. Po chwili dopłynął jej głos.

- Czy w sejfie było coś wartościowego, Jeff? Myślałam, że trzymacie w nim tylko jakieś papiery i tego typu rzeczy.

- Nic, o co musiałabyś się martwić, kochanie.

Dźwięk ich głosów urwał się, kiedy zamknęli za sobą drzwi biblioteki.

- Pan Montegéau powiedział mi przez telefon, że zostawiła

pani w sejfie jakąś biżuterię - zagaił szeryf, spoglądając na Faith.

- Tak.

Zagryzła wargi, przypomniawszy sobie o poniesionej stracie.

- Sądzę, że wartościową.

- Tak. Mam zdjęcia i opisy klejnotów, a także osobne wyceny poszczególnych kamieni szlachetnych. Jeśli to pomoże, mogę je panu dać.

- Co za wspaniały zbieg okoliczności, psze pani - powiedział szeryf z południowym akcentem. - Przeważnie ludzie nie są tak dobrze przygotowani na kradzież. To powinno przyspieszyć wypłatę odszkodowania.

Walker przyjrzał się oczu. Dobrze znał te małomiasteczkowe uprzedzenia i wiedział, że człowiek z zewnątrz jest winny, póki nie udowodni swojej niewinności. Walkerowi wcale się to nie podobało, ale spodziewał się takiego podejścia do sprawy.

Faith nie okazała się aż tak wyrozumiałą. Odwróciła się i spojrzała Shartellowi prosto w oczy.

- Jestem projektantką biżuterii - wyjaśniła dobitnie. - Ze względu na potencjalnych kupców zawsze mam przy sobie zdjęcia i opisy. Przyjechałam na wystawę do Savannah w poszukiwaniu nowych klientów, w związku z tym zabrałam ze sobą różne kopie wszystkich niezbędnych informacji. Szeryf burknął coś pod nosem.

- Faith była jedyną projektantką z Zachodniego wybrzeża zaproszoną do zaprezentowania swoich wyrobów - zaznaczył Walker śmiejąc się. - Bardzo dobrze wypadła. Sprzedała niemal wszystko, co przywozła. Zostały jej tylko trzy klejnoty. To właśnie one znalazły się w sejfie - dodał, kciukiem wskazując na bibliotekę.

- Sądzę, że były to najbardziej wartościowe klejnoty - powiedział szeryf.

- Nie. - Walker przerzucił cały ciężar ciała na łaskę i uśmiechnął się jak chłopak z prowincji. - Najdroższe egzemplarze rozeszły się szybciej niż lody w sierpniu. Zostały tylko drobiazgi. Pod względem finansowym była to naprawdę udana podróż.

Szeryf poruszył siwymi brwiami, przyjmując do wiadomości fakt, iż Faith może nie potrzebować pieniędzy pochodzących z odszkodowania.

- W takim razie o jakich stratach mówimy? O kilku setkach? Tysiącu albo dwu?

- Raczej o sześćdziesięciu ośmiu tysiącach dolarów - wyjaśniła Faith. - Licząc same materiały. Wciąż jestem stosunkowo mało znaną artystką. Żadna firma ubezpieczeniowa nie zapłaci mi za wiele miesięcy, które poświęciłam na wykonanie tych klejnotów. Tak więc dzięki włamywaczowi straciłam trzymiesięczne wynagrodzenie i trzy projekty. Nie da się ich odtworzyć. Są niepowtarzalne.

- Wcale nie jesteś mało znaną artystką, zwłaszcza po tej wystawie - zaprotestował Walker. - Porozmawiam z przedstawicielami firmy ubezpieczeniowej. Dodadzą zero, może nawet dwa, żeby pokryć wartość rynkową tych dzieł.

Obdarzyła go uśmiechem, dzięki czemu zniknęły zmarszczki wokół jej ust.

- Nie chodzi mi o pieniądze, po prostu... - wzruszyła ramionami. - Wiem - zapewnił Walker.

Ujął jej dłoń i ścisnął delikatnie, przypominając Faith, że postanowili nie wspominać o serii włamań i innych przestępstwach, które wędrują za nimi przez południe kraju. Odwrócił się do szeryfa.

- Jest po prostu trochę zdenerwowana - wyjaśnił. - Nic nie wkurza człowieka tak bardzo jak kradzież

- Sześćdziesiąt osiem tysięcy dolarów? U-u-u. - Szeryf potrząsnął głową. - I to były tylko drobniejsze klejnoty?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Właśnie - potwierdziła Faith przez zaciśnięte gardło. - Jak powiedział Walker, to była naprawdę opłaczalna wyprawa.
 - Kiedy włożyła pani biżuterię do sejfu? - spytał szeryf.
 - O dziesiątej. Tuż przed pójściem do łóżka.
- Szeryf zmarszczył brwi i wypił następny łyk kawy.
- Czy za każdym razem sejf obsługiwał Davis Montegeau?
 - Nie. Zrobiłam to sama.
 - Czy ktoś panią widział?
- Oczy Faith zamieniły się w lśniące niebieskosrebrne szparki.
- Nie.
 - Czy ktoś sprawdzał sejf po pani? - dopytywał szeryf.
 - Nie wiem.
 - Ale zna pani szyfr.
 - Nie. Jeff martwił się o moją biżuterię. Otworzył mi sejf, po czym wyszedł z biblioteki. Włożyłam klejnoty, zatrzasnęłam drzwi sejfu, nasunęłam portret przodka na miejsce i poszłam do łóżka.

Szeryf spojrział na Walkera.

- Gdzie pan był wtedy?
 - W wannie. To bardzo pomaga na moją bolącą nogę.
 - I potem żadne z was już niczego nie słyszało? - upierał się szeryf, patrząc na Walkera i Faith.
- Na myśl o ostatniej nocy Faith przestała się złościć. Przypomniała sobie Walkera i poczuła radość, że jest tak czule kochana. Nie bardzo wiedziała, czy się zarumienić, czy oblizać wargi w czysto kobiecym triumfie.

Owszem, było coś słychać, ale to nie o takie dźwięki pytał szeryf.

- Dopiero o świcie - wyznał Walker, chociaż przypominał sobie to samo. - Faith usłyszała krzyk. Wyciągnęła mnie z łóżka i razem zeszliśmy na parter. Resztę już pan wie.

- A zatem nikt nie słyszał, że ktoś wchodzi i wychodzi. Po prostu wstaliście i zobaczyliście otwarty sejf.

Walker przytaknął.

Szeryf spojrział na Harolda, który robił notatki. Harold odłożył podkładkę i długopis, dopił resztę kawy i czekał na sygnał.

- No cóż, będziemy musieli rzucić okiem na sejf i drzwi, ale muszę wam powiedzieć, że tego rodzaju przypadki są trudne do rozgryzienia - wyznał szeryf.
- Moja biżuteria jest dość charakterystyczna - zwróciła uwagę Faith. - Jeśli ktoś spróbuje oddać którąś z tych rzeczy w zastaw, łatwo będzie je znaleźć.
- Może tak, może nie. - Szeryf dokończył kawę i odstawił kubek. - Jeżeli włamywacz był tak bystry, by za pomocą wyszukanego sprzętu dostać się do sejfu Montegeau, z pewnością trudno uznać go za jakiegoś narkomana potrzebującego gotówki. Dlatego pewnie pozbędzie się tych niezwykłych klejnotów gdzie indziej.

- W takim razie im szybciej rozpowszechni pan opis, tym większą będziecie mieli szansę na rozwiązanie zagadki tego przestępstwa - zauważyła Faith. - Przyniosę panu zdjęcia.

- Dziękuję, psze pani - powiedział szeryf sucho - ale proszę nie liczyć, że jeszcze kiedykolwiek zobaczy pani te drobiazgi. To nie telewizja. Tutaj źli chłopcy wyjmują kamienie, przetapiają oprawę, przekazują wszystko swoim szefom i planują następne włamanie.

- Próbuje mi pan powiedzieć, że przestępstwo popłaca?
 - spytała Faith równie oschłym głosem.
 - Na chwilę, psze pani, tylko na chwilę. Wcześniej czy później któryś z tych sprytnych chłopców po pijanemu albo pod wpływem narkotyków przechwala się swym wyczynem przy nieodpowiedniej osobie. Wtedy ich łapiemy.
- Faith miała wrażenie, że to nie nastąpi zbyt szybko. Raczej później. Dużo później.

Jeśli w ogóle.

Walker torował sobie drogę wśród karłowatej roślinności, kierując się do obozowiska agentów FBI. Gdy tylko znalazł się w miejscu, gdzie żaden z mieszkańców domu nie mógł go już widzieć, wyszedł na otwartą przestrzeń. Nie zrobił nawet piętnastu metrów, gdy z głębokiego cienia pod sosną wyłoniła się Peel. Igły drzewa były trzy razy dłuższe niż włosy agentki. W jasnym świetle kobieta wyglądała na nieco brudniejszą i bardziej poirytowaną.

- Co się, do diabła, dzieje w domu Montegeau? - spytała.

- Spróbuj porozmawiać z tutejszym szeryfem - zaproponował Walker szorstko.

Miał powyżej dziurek od nosa gliniarzy z odznakami.

- Chłopie, nie rozmawiam z miejscowymi. Robią straszną aferę, ilekroć jakiś agent federalny pojawi się w ich piaskownicy.

- Pacnęła komara. - Jak to możliwe, by mając wybór, ktokolwiek chciał kupić kawałek takiego cuchnącego mokradła?

Walker próbował powściągnąć uśmiech na widok kłopotów agentki.

- Rozumiem twoje podejście do sprawy. Jesteś zainteresowana wymianą fantów?

- Najpierw pokaż mi swoje - zasugerowała.

- Nie ma sprawy. Ktoś ostatniej nocy włamał się do sejfu Montegeau. Teraz kolej na ciebie. Czy widzieliście kogoś kręcącego się po okolicy?

- Oprócz ciebie?

Walker jedynie się uśmiechnął.

- Nie widzieliśmy niczego. Panowała cisza i spokój.

Ruch zrobił się dopiero jakieś pół godziny po twoim zniknięciu.

Usłyszeliśmy pisk albo krzyk, a potem w różnych częściach domu zawrzało. Piętnaście minut później przyjechał van. Wsiadła z niego kobieta z torbą w ręce. Była w domu może dziesięć minut.

- To weterynarz - wyjaśnił Walker. - Ktoś podsunął psu tabletki nasenne.

- W trakcie jej wizyty Antigua Montegeau wsiadła do jednej z łódek - nie mam pojęcia, jakim cudem te balie jeszcze nie zatoneły, chociaż do połowy wypełnione są wodą -

i popłynęła na bagna. Dwadzieścia minut po odjeździe wana pojawił się szeryf. Dziewiętnaście minut po jego wyjeździe Antigua Montegeau wróciła z taką ilością krabów, że mogłaby nakarmić całą armię. Czterdzieści minut później Davis Montegeau wsiadł do samochodu i odjechał.

- Czy dlatego właśnie nie ma Farnswortha? Bo śledzi Davisa Montegeau?

- Pete obserwuje dom.

- Ilu macie tu ludzi?

- Tylu, ilu potrzebujemy. Co skradziono?

- Biżuterię.

Na twarzy Peel nastąpiła delikatna zmiana. Agentka w jakiś sposób przypominała psa, który wychwycił interesujący zapach.

- Jaką biżuterię?

- A jaka cię interesuje? - spytał.

- Mogę dowiedzieć się tego od miejscowych.

Nie rozmawiam z miejscowymi. Dwa do zera. A jednak ktoś rozmawiał z miejscowymi, a potem przekazywał jej uzyskane informacje. Walker zastanawiał się, kto to taki, wiedział jednak, że nie ma po co zadawać tego pytania, gdyż i tak nie usłyszy na nie odpowiedzi.

- Włamywacz albo włamywacze zabrali trzy klejnoty, których Faith nie sprzedała na wystawie.

- Jakie klejnoty?

- Nie naszyjnik, jeśli tym się martwisz.

Peel niemal zdołała ukryć ulgę. Niemal.

Trzy do zera - pomyślał Walker z dziką satysfakcją.

- O co ci chodzi? - spytała od niechcienia.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Jeśli chcesz, mogę przynieść ci zdjęcia tych klejnotów
- zaproponował Walker.
- Dam ci znać.
- Jasne.

Walker odwrócił się i tak cicho, jak się pojawił, zniknął w niskich zaroślach. Przeszedł piętnaście metrów, potem cofnął się w cień, czekał i nasłuchiwał. Początkowo niczego nie słyszał, oprócz delikatnego podmuchu wiatru poruszającego suchą w zimie trawę. Widział tylko otaczający go krajobraz. Nad złocistą trawą i wyblakłymi, zielonkawymi niskopiennymi palmami niczym odległe burzowe chmury wisiały przybrudzone zielone plamy sosen i ciemna korona samotnego zimozielonego dębu. Niebo połyskiwało wilgocią, a srebrny błękit przypominał Walkerowi oczy Faith, kiedy byli ze sobą mocno spleceni. Bardziej niż robactwo dokuczało mu dziwne wrażenie, że ktoś go obserwuje. Powoli, bardzo powoli odwrócił głowę. Za nim, na nieruchomych czarnych wodach jednego z bezimiennych odgałęzień Rubinowych Bagien unosiła się rzesza. Na zalanej jasnymi promieniami, w połowie zatopionej kłodzie leżały nieruchomo trzy żółwie, wyciągając głowy do słońca. Gady wyglądały, jakby ktoś niedawno je wyszorował. Żółte plamki na ich głowach kolorem przypominały nowiutki dublony. *

Bagienne żółwie to wyjątkowo płochliwe stworzenia. Tej trójce od dłuższego czasu nic nie przeszkodziło w wypoczynku, ani człowiek, ani aligator. Jakby na potwierdzenie tego, nieopodal wylądowała czapla o anielsko białych skrzydłach. Usadowiła się wśród traw, czekając, aż coś jadalnego wykona nieostrożny ruch.

Walker poczuł, że w końcu dopadło go robactwo. Buczało, siadało i gryzło, gdzie popadło. Zlekceważył je. Zdarzało mu się to już wcześniej. Na pewno zdarzy się jeszcze nieraz. Tak wyglądało życie na nizinach.

Czekał z cierpliwością głodnego myśliwego z zalewiska. Żadnego dźwięku. Żadnego zapachu. Żadnego podrywającego się do lotu ptaka, który zdradziłby ludzki ruch.

Mimo to Walker był pewien, że od opuszczenia obozowiska agentów FBI ktoś go śledził. Zdawał sobie również sprawę, że ani Peel, ani Farnsworth nie potrafią bezgłośnie poruszać się po mokradłach. Może wynajęli człowieka z nizin, ale Walker szczerze w to wątpił. FBI miało takie szanse na wtopienie się w niziny jak woda w granit. Dziesięć minut. Dwadzieścia. Trzydzieści.

Walker czekał.

Nic się nie ruszało, oprócz roślin i zwierząt.

Widocznie tracę wyczucie - orzekł.

Wyszedł z cienia i ruszył prosto do domu.

Za jego plecami w głębokim cieniu coś błysnęło, jakby ktoś się poruszył. Potem nastąpiła niezmacona cisza.

Kiedy Walker wrócił do domu, Faith stała na pierwszym piętrze oparta o balustradę werandy. Późnoporanne światło zalewało łąd i wodę falami niezwykle jasnego, migotliwego złota. Słońce miało ten sam kolor co włosy Faith i spływające po jej rzesach łzy.

- Chodź do mnie, złotko - powiedział i mocno ją przytulił. Objęła go, jakby byli ze sobą od wielu lat, a nie od kilku dni. Wiedziała, że powinna się martwić tą przerażającą swobodą, potem jednak przypomniała sobie, że tym razem wie, o co toczy się gra i jaki będzie jej wynik. Walker należał do ludzi uczciwych. Szukał jedynie seksu.

Teraz był z nią, a ona bardzo go potrzebowała.

- Masz za sobą kilka bardzo ciężkich dni - usłyszała.

Kiwnęła głową opartą o jego klatkę piersiową, a potem westchnęła.

- Ale to nie z tego powodu łzy same napływają mi do oczu.

- W takim razie z jakiego?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Właśnie dzwonił Archer i Hannah.
Walker odchylił się do tyłu, żeby móc spojrzeć Faith w oczy.
- Czy w domu stało się coś złego?
- Nie. Wręcz przeciwnie. - Na przekór lśniącem na jej rzęsach łzom Faith uśmiechnęła się do Walkera. - Będą mieli dziecko.
- Potrząsnął głową, jednak na jego twarzy pojawił się taki uśmiech, że Faith zaczęła marzyć o tym, by Walker nie był typem samotnika.
- Zawsze wiedziałem, że ten chłopak jest bardzo dzielny
- oznajmił Walker śpiewnie.
- Męski punkt widzenia. Tymczasem to kobieta nosi dziecko pod sercem, a potem je rodzi. Mężczyzna może wtedy jedynie się denerwować.
- I myśleć o wszystkim, co niekoniecznie musi się udać i na co nie ma żadnych gwarancji. Zresztą to w końcu od niego zależy bezpieczeństwo całej rodziny.
- Faith przechyliła głowę na bok i przez długą chwilę bacznie przyglądała się Walkerowi.
- Mówisz poważnie.
- Amen.
- Walker, to nie jest tylko sprawa mężczyzny.
- Nie rozumiem.
- Wyobraź sobie, że masz do czynienia z dwójką oponentów. Jednym z nich jest skory do bijatyki mężczyzna. Po drugiej stronie stoi kobieta broniąca dzieci. Czyją stronę weźmiesz? Oparł brodę o Faith i wdychając słaby zapach gardenii i słońca, marzył o tym, żeby życie wyglądało inaczej. Niestety, było to tylko marzenie.
- Nie wszystkie kobiety są takie - powiedział.
- Jego posępny ton stanowił ostrzeżenie. Faith przypomniała sobie, jak nieskutecznie jego matka ochraniała dzieci przed pijanym kochankiem. Zagryzła wargę z żalu, że nie wszystko da się zmienić.
- Większość kobiet różni się od twojej matki. W przeciwnym razie rodzaj ludzki wymarłby dawno temu, gdy mięsożercy odkryli, że jesteśmy bardzo wolni i smacznymi - zauważyła Faith. - Jak myślisz, kto bronił niemowląt, gdy mężczyźni byli na polowaniu albo na jakiejś głupiej krucjacie? Co, twoim zdaniem, zrobiłyby Honor, Lianne i Hannah, gdyby ktoś groził ich dzieciom?
- Walker niemal się uśmiechnął.
- Lianne kilka ciosami karate zdarłaby skórę z każdego, kto śmiałby dotknąć jej bliźniąt. W razie konieczności Honor i Hannah by jej pomogły.
- Nie byłoby takiej konieczności. Na sali gimnastycznej regularnie rzuca Kyle'em o matę. Od czasu do czasu udaje jej się pokonać nawet Archera.
- Walker cicho się roześmiał.
- To szybka kruszyna. I bardzo inteligentna. Ciekawe, czy Kyle kiedykolwiek mi wybaczy, że widziałem ją niemal naga, gdy odwracała uwagę strażników.
- Na twoim miejscu zapomniałabym o wszystkim.
- Złotko, jestem dużo mądrzejszy, niż na to wyglądam.
- W takim razie czemu boisz się dzieci?
- Odsunął się.
- O czym ty mówisz?
- O tobie. Za każdym razem przynosisz zabawki i uśmiechasz się na widok niemowląt, ale kilka dni temu Archer niemal musiał przystawić ci rewolwer do skroni, żebyś wziął Summer na ręce. Dlaczego?
- Nie potrafię obchodzić się z tak bezradnymi istotami. Staję się przy nich niespokojny.
- Bezradne istoty. Potrzebujące opieki. Całkowicie uzależnione od innych. W taki sposób patrzysz na rodzinę. Nie dostrzegasz śmiechu, miłości, wspólnych przeżyć. To smutne.

Niespokojnie wzruszył ramionami.

- Takie jest życie.

- Twoje życie. Twój wybór.

Walker próbował zlekceważyć niespodziewany ból, który ścisnął mu serce.

- Mówiłem ci w nocy, Faith. Nie pokładaj we mnie takich nadziei. Mogę ofiarować ci tylko seks.

- W ostatecznym rozrachunku między „mogę” a „chcę” nie ma żadnej różnicy. - Spojrzała na niego i zdobyła się na pozornie szczery uśmiech. - Nie martw się, złotko. Nie marzę o projektowaniu dla nas kajdanków na nogi. Wiem, że nie chcesz niczego więcej ponad to, co już mamy. Nie skarzę się. Nie przypuszczałam, że będzie tak dobrze. - Odwróciła twarz w stronę jego klatki piersiowej i przytuliła się w miejscu, gdzie rozchyłała się koszula. - Ciekawe, czy będą mieli chłopca czy dziewczynkę. A może urodzą im się bliźnięta.

Walker z ulgą przyjął zmianę tematu.

- Boże chroń. Bliźniaki to piekło na czterech nogach.

- Och, Honor i ja wcale nie byliśmy takie straszne. Chociaż Justin i Lawę potwornie dawali w kość.

- Trzymaj się tej wersji. Może twoi bracia w końcu w to uwierzą.

Faith roześmiała się przy jego klatce piersiowej, potem przypomniała sobie dalszy ciąg rozmowy z Archerem.

- A skoro już mowa o braciach, Archer chce, żebyś do niego zadzwonił. Wspomniał coś o „gorszej klienteli”, nie wyjaśnił jednak, o co mu chodzi.

Walker miał nadzieję, że Faith nie wyczuła krążącej w jego żyłach adrenaliny. Mianem „gorszej klienteli” Archer określał rosyjską mafię.

- Powiedziałaś Archerowi o dzisiejszym włamaniu?

Westchnęła.

- Był taki szczęśliwy, że zostanie ojcem. Uznałam, iż zła wiadomość może poczekać.

- Powiem mu. Zdażył się już przyzwyczać do wysłuchiwania z moich ust złych wiadomości. Może wskoczyłabyś do łóżka i ucięła sobie drzemkę? Dziś w nocy nie bardzo się chyba wyspałaś.

- Ty też.

Na widok uśmiechu walkera przeszły po niej ciarki.

- Staram się o tym nie myśleć, złotko. - Połaskotał ją w szyję, potem bardzo delikatnie, niezwykle namiętnie ugryzł. - W przeciwnym razie Archer nie doczeka się telefonu, a ty nie odpoczniesz.

- Obiecanki cacanki.

- Słyszałaś kiedyś o biletach upoważniających do wstępu na każdą wybraną imprezę?

- Taak.

- Daję ci cały plik takich biletów.

Pół godziny później Walker wciąż próbował dodzwonić się do Archera. Faith nie udało się zasnąć, otworzyła więc blok rysunkowy. Po piętnastu minutach bazgrania odłożyła kartki na bok. Musiała poszukać nowych pomysłów, nowych wzorów, które mogłyby stanowić inspirację, a w starym domu, od dawna zbyt przesiąkniętym emocjami, trudno było się rozluźnić.

Faith czuła się tak, jakby ktoś ją obserwował.

- Nie bądź śmieszna - wymamrotała pod nosem. - Nie ma tu nikogo oprócz walkera, a on przez cały czas wpatruje się tylko w telefon.

Włożyła więc sportowe buty i przygotowała się do wyjścia. Kiedy podczas projektowania w Seattle nagle stawała w martwym punkcie, dotleniała mózg w tamtejszych parkach i na nabrzeżu. Tutaj może zrobić to samo.

Pomachała Walkerowi i ruszyła przez salon w stronę drzwi.

- Gdzie... - zaczął Walker, ale urwał w pół zdania, ponieważ w słuchawce rozległ się niecierpliwym głos. Głos Archera.

Nareszcie. - Powinieneś się skłonić, brachu. Można się zestarzeć, czekając na możliwość zamienienia z tobą paru słów.

Faith zamknęła za sobą drzwi prowadzące na korytarz. Zamierzała pójść na spacer po plaży. Teraz była na to odpowiednia pora. Nikt jej nie potrzebował. Przynajmniej miała nadzieję, że tak jest. Mel była bardzo zestresowana i blada. Łatwo to zrozumieć. Żadna panna młoda - nieważne, czy jest w ciąży czy nie - nie marzy o włamaniu do domu na dwa dni przed ślubem.

Po dotarciu na parter Faith z zadowoleniem stwierdziła, że jest w ogromnym domu całkiem sama. Widocznie Mel i Jeff skorzystali z ciepłego popołudnia, by odespać niespokojną noc. Davis jeszcze nie wrócił, a Tiga zniknęła gdzieś na cały dzień.

Faith była z tego zadowolona. Potrzebowała przestrzeni, nie ludzi.

Cicho wyszła kuchennymi drzwiami i ruszyła ścieżką prowadzącą obok chybotliwego pomostu i przeciekających łódek, a potem przez teren zarośnięty karłowatą roślinnością i płytkie, piaszczyste zagłębienie wypełnione kępami ostrej trawy. Na drugim krańcu niewielkiej kotlinki ścieżka dochodziła do czystego piasku, ale już teraz Faith słyszała przyciszony oddech spokojnego oceanu i stłumiony krzyk morskich ptaków. Zbliżała się do celu.

Z trudem wspięła się na wydmę i stanęła na szczycie wzniesienia. Ostatnie kępki trawy rosły tuż nad linią najwyższego przypływu, zaznaczoną wąskim paseczkiem całkowicie pozbawionym roślinności. Buty Faith zachrząściły na piasku. W połowie zjechała, w połowie zeszła na samą plażę. Pływy wymieszały piach z kawałkami połamanych muszli i mocno go ubiły.

Plaża miała piętnaście metrów szerokości. Za nią ciągnęła się jasnoniebieska woda, zaskakująca po zimnym, błękitnozielonym odcieniu Puget Sound. Sięgające kostek drobne fale omywały zbity, ciemny od wody piasek. Zapach soli powiedział Faith, że ma przed sobą Atlantyk, ale ocean był tak spokojny, iż bardziej sprawiał wrażenie jeziora. Cicha woda oczarowała Faith. Miała przed sobą otwarty ocean, ale nie było prawie żadnych fal. Gdyby znajdowała się na zachodnich wybrzeżach stanu waszyngton lub wychodzącej na ocean stronie Półwyspu Olimpijskiego, grzmiące fale sięgałyby jej do ramion.

Zrzuciła buty, podeszła do brzegu spokojnej wody i skosztowała jej. Była słona. A zatem to ocean. Faith poruszyła stopami w ubitym piasku. Był twardy, ale sprężysty, idealnie nadawał się do chodzenia. Kiedy odwróciła się i poszła wzdłuż plaży, zmartwienia kilku ostatnich dni całkowicie zniknęły.

Tak przynajmniej jej się wydawało.

Kilkaset metrów dalej, w miejscu, gdzie pierwsze zabudowania tworzyły litą, szklano-cementową ścianę obrzeżającą wodę, w soczewkach lornetki błysnęło światło. Obserwator siedział tuż pod grzebieniem niskich, piaszczystych wydm, które oddzielały budynki od plaży. Nie dało się podejść bliżej do Rubinowych Bagien, nie ujawniając swojej obecności. Na terenie porośniętym karłowatą roślinnością, ciągnącym się między zabudowaniami a rezydencją, rozbili obozowisko agencji FBI, toteż tajemniczy obserwator doszedł do wniosku, że jeśli się pokaże, może zostać aresztowany. Człowiek ten, tak samo jak FBI, dysponował noktowizorem. Sprzęt federalnych był lepszy, on miał jedynie gogle, które kupił w sklepie sportowym w Savannah, jednak w zupełności mu wystarczały. Z pewnością czegoś takiego nie udałoby mu się dostać w Rosji.

Teraz, w świetle dziennym, wystarczała normalna lornetka. Nie zwracała nawet uwagi miejscowych ludzi. W tych okolicach często pojawiali się miłośnicy ptaków.

Tędy, dziecinko. Chodź do mnie. Bliżej. Bliżej. Obiecuję, że będę szybki.

Zza lornetki widać było zimny uśmiech. Niektóre obietnice daje się po to, by je łamać.

Faith niespokojnie rozejrzała się dookoła. Odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje. Zakłóciło to spokój, który przez jakiś czas czuła. Była pewna, że jest śledzona, chociaż za nią ciągnęło się przynajmniej półtora kilometra pustej plaży. Faith mruknęła coś zniecierpliwiona i spojrzała przed siebie. Wkrótce zaczną się mokradła. Ponownie obejrzała się przez ramię, na ciągnący się kilometrami pusty piasek, jeśli nie liczyć spacerujących brzegiem wody pojedynczych osób korzystających z ciepłego zimowego dnia.

Może to właśnie dlatego wydawało jej się, że jest obserwowana. Rubinowe Bagna leżały na uboczu, mimo to cywilizacja zdołała podkraść się aż do granic posiadłości. Jeśli Faith powędruje szeroką, kuszącą plażą, wkrótce dojdzie do domów, hoteli i prywatnych willi wzniesionych na wyspie Hilton Head od strony oceanu. To oznaczało betonowe zabudowania i więcej ludzi, ale żadnej inspiracji.

Kiedy odwróciła się od domów i ruszyła plażą w stronę mokradeł, czuła na plecach zdumiewająco ciepłe promienie słońca. Wciąż nie mogła się nadziwić wysokiej temperaturze i spokojnej wodzie. Zbyt długo przebywała w Seattle. Tony po powrocie z każdej podróży zawsze chciał mieć Faith pod ręką, a jego harmonogram był nieprzewidywalny. Tkwiła więc w jednym miejscu i traciła kontakt z resztą świata.

Faith wzięła głęboki wdech, potem wypuściła powietrze z płuc, uwalniając się od wspomnień. Robiła to, o co prosił Tony, ponieważ wierzyła, że dzięki temu w ich związku będzie lepiej się układało.

To był błąd.

Nigdy więcej nie zadowolili się związkiem, w którym szacunek i zrozumienie stanowią jednokierunkową ulicę. Teraz wiedziała już, jak to jest, gdy szacunkiem darzą się obie strony.

Na przykład Walker podziwiał jej projekty biżuterii. Dostrzegał jej smutek i obejmuje ją, zamiast mieć do niej pretensje o kiepski humor.

Z kolei ona przytulał Walkera i rozumie go, chociaż sama też odczuwa ból. Próbuje go rozweselić, kiedy widzi w jego oczach rozpacz.

Dwukierunkowa ulica.

Szkoda tylko, że taka krótka.

Kiedy ostry brzeg muszli wbił się w gołą stopę Faith, przypomniała sobie, że powinna patrzeć prosto przed siebie, a nie gdzie była ani dokąd nie może pójść.

Pochyliła się i podniosła ostry kawałeczek. Zobaczyła skorupkę czegoś, co niegdyś było trąbikiem sfałdowanym. Elegancki spiralny wzór muszli przypominał maleńką galaktykę, wirującą w ogromnym piaszczystym wszechświecie. Znaczna część muszli została skruszona przez wzburzone morze, ale ta pozostałość ukazywała gładki, lśniący, wygięty środek, w którym niegdyś kwitło życie. Wnętrze miało kolor ni to brzoskwiniowy, ni to kremowy, a właściwie fosforyzującej mieszaniny obu barw, przywodzącej na myśl wschód słońca.

W głowie Faith zaczął powstawać pierwszy, na razie nieuchwytny pomysł projektu. Prawie w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy. Spoglądała jedynie na połyskującą skorupkę, jakby szukała odpowiedzi na naglące, trudne do wyrażenia słowami pytanie.

Po chwili Faith włożyła muszelkę do kieszeni dzinsów i ruszyła brzegiem oceanu. Szła powoli, ponieważ co chwila dostrzegała fascynujące skorupki, kuszące niemą poezją kształty.

Nieco powyżej linii wody natrafiła na długą wijącą się

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna wstążkę muszelek. Wyglądały jak kawałeczki, kiedy jednak przykucnęła, by lepiej im się przyjrzeć, okazało się, że są całymi, niemal idealnymi miniaturkami większych muszli, które znalazła wcześniej. Ich niezwykle piękno zapierało dech w piersiach. Miliony maleńkich baletnic wirowały w rytm muzyki, którą tylko one słyszały.

Gdyby Faith potrafiła opisać muszelki słowami albo przedstawić je w piosence, na pewno by to zrobiła. Nie umiała jednak tego zrobić. Dlatego mogła jedynie zachwycać się ich pięknem, pozwalając, by ukształtowały jej marzenia i projekty.

- Wiedziała, że cię przyciągną, skarbie - powiedział łagodny, kobiecy głos.

Serce Faith zaczęło bić dwa razy szybciej, kiedy poczuła, że ktoś delikatnie jak wietrzyk głaszcząc ją po włosach. Poderwała się na równe nogi i odwróciła. Znajdowała się blisko miejsca, gdzie plaża łączyła się z mokradłem. Łagodny głos należał do Tigi Montegeau. To ona głaszczyła Faith po włosach.

- Mój Boże - powiedziała Faith, kładąc rękę na sercu - ale mnie pani przestraszyła.

Tiga uśmiechnęła się. Jej siwiejące jasne włosy unosiły się na słabym wietrze niczym mgła nad moczarami o północy.

Oczy odzwierciedlały wilgotne, lśniące niebo, płytkie, a zarazem bezdenne, rozproszone, w jasnym kolorze, który przy każdym ruchu zmieniał się od szarości do błękitu.

- Nie masz się czego bać - mruknęła Tiga, muskając policzek Faith, jakby były matką i córką, a nie niemal obcymi osobami. - Wiesz, że nigdy nie skrzywdziłabym swojej kochanej dziewczynki.

Faith otworzyła usta, by przypomnieć, że nie jest kochaną dziewczynką Tigi. Potem przypomniała sobie radę Mel: Po prostu traktuj ją jak domowego kotka. Jeśli będzie chciała ci coś powiedzieć, słuchaj i staraj się nie wyglądać na zbyt zakłopotaną.

- Oczywiście - przytaknęła Faith. - Po prostu myślałam, że jestem sama.

- Głupiutka, słodka dziewczynka. - Tiga ponownie pogłaszczyła Faith po włosach opalonymi, zgrubiałymi od słonej wody dłońmi. - Nigdy nie jesteśmy sami. Twój dziadek powiesił tu człowieka - powiedziała, pokazując rosnący bliżej domu stary dąb. - W bezksiężycowe noce wciąż słychać krzyki tego biedaka. Chyba mu się to nie podobało. Faith nie potrafiła wymyślić żadnej odpowiedzi.

Tiga tego nie zauważyła.

- Nieco dalej w tamtą stronę - ciągnęła, patrząc w kierunku bagien i nieruchomej, czarnej wody - utopiła się dziewczyna. Przynajmniej ludzie myślą, że to było samobójstwo.

Miała trzynaście lat i poszła łowić ostrygi. Kiedy wschodni księżyc i bagna zasnuły się mgłą, wołała jak ptak: Puść-mnie, puść-mnie, proszę-puść, puść-mnie-proszę.

Tiga udawała upiorne, melodyjne nawoływanie ptaka.

Faith poczuła, że dostaje gęsiej skórki.

- Wciąż tam jest - zapewniła Tiga. - Puść-mnie, puść-mnie, proszę-puść... Nie wiem, czemu płacze. Lepsza śmierć przez utopienie niż powieszenie, przynajmniej tak mówią.

- Kto?

- Duchy, skarbie. Przecież je słyszysz.

- Prawdę mówiąc, nie.

Na widok smutnego uśmiechu Tigi Faith poczuła, że do oczu napływają jej łzy.

- Ależ słyszysz, skarbie - zapewniła Tiga, prawie głaszcząc Faith, a jednak jej nie dotykając. - Jesteś jednym z nich. Ja też, czasami. Łkającym, umierającym. Puść-mnie, proszę-puść...

Pewność w głosie i oczach Tigi sprawiła, że Faith zamarła w bezruchu. Rozpaczliwie próbowała wyobrazić sobie, że Tiga jest domowym kotkiem. Nie udało jej się to. Żaden kot na świecie nie ma takich mądrych, niesamowitych oczu.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Czasami noszą rubiny - szepnęła Tiga konfidentycznie.
- Po tym można ich poznać.
- Ich? - wydukała Faith z trudem.
- Twoich krewnych, skarbie. Szeroka bransoletka, zimne złoto, dusze uwięzione w złocie przez setki czerwonych łez, czerwonej krwi. Krąg, cierniowa korona, wszędzie krople krwi, krew zamieniona w lód, wypolerowana do połysku, łkająca, wzdychająca: Puść-mnie, puść-mnie.
- Faith próbowała wyobrazić sobie gadatliwego kota. Jakimś cudem ta perspektywa było bardziej denerwująca niż zwykłe ludzkie szaleństwo. I kryjący się pod szaleństwem... ból. Faith wolałaby nie wyczuwać tak wyraźnie cierpienia Tigi, widocznego jak ciemność o północy.
- Długi, rubinowy sznur, płonąca nienawiść, płonąca nadzieja - ciągnęła Tiga, przesywając Faith niesamowitym spojrzeniem - wije się dookoła, dookoła. Puść-mnie, proszę - puść, woła. Dusze jak ogromne orzeszki zawieszane na srebrnym sznurze, zwisające z jej uszu jak martwi mężczyźni. Nie łkają, nie wzdychają, są tak martwe jak wisielec. Król wszystkiego, a może królowa, zbyt duża, by przełknąć ją kot lub dziecko, dobry Boże, czerwona i taka zimna, taka stara, a wokół niej łyzy aniołów. Białe łyzy, czerwona krew. łyzy uronione przez anioła nad moim zmarłym niemowlęciem. Królowa przemawia do mnie. Znajdź resztę dworu królowej, trzymaście ogień, trzymaście dusz, płomień nadziei, znajdź go już.
- Ze zdumiewającą prędkością i siłą Tiga zaplotła palce wokół nadgarstka Faith.
- Musisz mi je przynieść, skarbie. Należą do Błogosławionego Kufra, nie będą pętlą wokół twojej szyi. Nie mogę znieść, jak krzyczysz: Puść-mnie, puść-mnie...
- Faith zrobiła jedyną rzecz, jaka przyszła jej na myśl.
- Oczywiście, znajdę je - obiecała cichym, uspokajającym głosem. - Wróci pani ze mną do domu?
- Tiga stopniowo rozluźniła uchwyt. Powoli wracając do rzeczywistości, spojrzała na ocean, potem na słońce i na bagna. Kiedy ponownie popatrzyła na Faith, zamrugała zaskoczona.
- Cześć - powiedziała normalnym, choć nieco dziecięcym głosem. - Co tu robisz? Przyszłaś się ze mną pobawić? Bardzo mi przykro. Nie mogę. Czekają na mnie kraby.
- Uśmiechnęła się niewyraźnie, odwróciła i ruszyła z powrotem w stronę bagien. Poruszała się wydłużonym, pewnym krokiem kobiety o trzydzieści lat młodszej od siebie. Szybko zniknęła na ścieżce, która prowadziła do zniszczonych łodzi przycumowanych na przystani Rubinowych Bagien.
- Faith westchnęła raz i drugi. Chciałaby, żeby rozmowy z Tigą były całkowicie szalone i zupełnie niezrozumiałe. Ale dziwne, niezmacone przekonanie tej kobiety sprawiało, że jej słowa tworzyły język, którym posługiwał się tylko jeden człowiek. Za nic w świecie nie można jej było zrozumieć. Z drugiej strony Faith wcale nie miała ochoty na poznanie świata, gdzie wieszka się mężczyźni, zabijają dzieci, a dusze czerwone jak krew zamyka w złocie.
- Przed oczyma Faith błysnął zaręczynowy pierścienek Mel - krwistoczerwony rubin osadzony w złocie.
- Puść-mnie, puść-mnie, proszę-puść...
- Jeśli twój sekretarz jeszcze raz ci przerwie, szefie, zrobię mu coś złego - powiedział Walker do telefonu komórkowego.
- Z drugiej strony linii dobiegł chrapliwy śmiech Archera.
- Przepraszam. Problem polega na tym, że człowiek, prowadzący własną firmę, zawsze jest w pracy.
- Archer uniósł głowę i spojrzał, jak jego sekretarz wjeżdża z kawą i przekąskami ustawionymi na oparciu jego wózka inwalidzkiego. Mitchell przełożył tacę na biurko Archera, odwrócił wózek i wyjechał, zamykając za sobą drzwi.
- W porządku, a teraz, skoro korzystamy z bezpiecznej

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

linii i Wuj Sam prawdopodobnie nie może nas podsłuchać, powiedz mi, co się, do diabła, dzieje w Rubinowych Bagnach.

- Ktoś włamał się do sejfu i opróżnił go.

- Rubiny?

- Wciąż obok klejnotów rodzinnych, ale o tym wie tylko nasza trójka.

Archer wypił łyk kawy, ugryzł kawałek chleba i przez chwilę się zastanawiał.

- To znaczy, że wszyscy, oprócz ciebie i Faith, myśleli, iż naszyjnik jest w sejfie?

- Taak.

- Uważasz, że to robota od wewnątrz?

- Pies dostał tabletki nasenne, a przeszklone drzwi prowadzące do biblioteki zostały pokonane siłą.

- To nie wyklucza roboty od wewnątrz.

- Jesteś cyniczny, szefie. To jedna z tych rzeczy, które najbardziej u ciebie lubię.

- Dziękuję. Nie będę pytał, jak wygląda reszta tej listy. Walker roześmiał się.

- Mądry z ciebie facet. A wracając do sejfu, myślę, że niezależnie od tego, kto go otworzył, spodziewał się znaleźć w nim coś więcej niż trzy piękne klejnoty Faith.

- Cholera! Zniknęły trzy jej klejnoty?

- Poczta elektroniczną podałem Kyle'owi ich numery inwentarzowe. Obiecał, że w odpowiednich miejscach zamieści

zdjęcia i ostrzeżenia.

- Firmie ubezpieczeniowej wcale się to nie spodoba.

- Ja też nie jestem tym zachwycony. Mogłem jej powiedzieć, żeby nie wsadzała niczego do sejfu starego jak Matuzalem.

- Myślisz, że by cię posłuchała?

- Wszystko możliwe - powiedział Walker z lekką drwiną.

- Ale postanowiłem wybrać się na ryby i pozwoliłem, by użyła swojej biżuterii jako przynęty.

- Wyjaśnij mi to.

- Komuś naprawdę bardzo zależy na tych rubinach. Najpierw pojawia się Rosjanin szukający w sklepie Faith

w Seattle rubinu z bajki. Ogląda miejsce, niewątpliwie przez chwilę je obserwuje, po czym wraca i opróżnia sejf. Nie

znalazł naszyjnika, ponieważ ja miałem tę cholerną rzecz przy sobie.

- Nie rozumiem. Jaki rubin z bajki?

- Iwanowicz opisał kamień, który prawdopodobnie nigdy nie istniał, a nawet jeśli tak, to od stuleci nikt nie widział go na oczy.

- Uważasz zatem, że był on tylko pretekstem, żeby wejść do sklepu Faith?

- Tak wygląda najbardziej prawdopodobny scenariusz.

Gdyby Iwanowicz spytał po prostu o naszyjnik, a potem naszyjnik zginął, musiałby sporo rzeczy wyjaśnić. A tak kojarzymy

go z czymś, co prawdopodobnie nie istnieje - z Sercem Północy - zamiast z naszyjnikiem Montegeau.

- W porządku.

- Jeśli ten scenariusz zawiedzie, mam następne. Chcesz je poznać?

- Tylko jeśli pierwszy okaże się błędny. W porządku, zakładamy więc, że celem jest naszyjnik Montegeau.

Walker skrzywił się. Tak samo jak Archer zdawał sobie sprawę, że u podstaw wszystkich spieprzonych przypadków leży takie czy inne założenie.

Od czegoś jednak trzeba zacząć.

- Zaatakowali hotel, w którym spodziewali się znaleźć Faith, potem opróżnili sejf wystawy, następnie napadli na

twoją siostrę, próbując zdobyć naszyjnik - wyliczał Walker. - Nikt oprócz Rosjanina ani słowem nie wspominał

o Sercu Północy, tak więc niemal z całą pewnością można zakładać, że prawdziwym celem był naszyjnik.

Archer wydał dźwięk, który bardziej przypominał warknięcie niż słowo.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Taak - przyznał Walker niebezpiecznie spokojnym głosem. - Jestem gotów zmusić kogoś, by drogo zapłacił za to, że machał nożem przed nosem Faith.
- Wydaje mi się, że już to zrobiłeś. Tak przynajmniej powiedziały mi Kyle po przejrzeniu raportu lekarza ze szpitala więziennego w Savannah.
- Czyżby twój braciszek ponownie grzebał w rządowych komputerach?
- Zapytaj lepiej, czy odycha - rzucił Archer. - Z oficjalnego opisu obrażeń odniesionych przez Buddy'ego Angela wynika, że ilekroć pójdzie się wysuszać, będzie piszczał jak kopnięte szczenię.
- Może się wypłakać na ramieniu Tony'ego Kerrigana. Po sekundzie milczenia Archer wyraził swoją opinię na temat byłego narzeczonego siostry. To była następna rzecz, jaką Walker lubił u swojego szefa. Potrafił kłać po afgańsku jak rodowity Afgańczyk.
- Kiedy widziałeś się z tym sukinsynem? - spytał Archer, wracając do angielskiego.
- W jego biurze dzwoniło kilka telefonów. Nie zwracał na nie uwagi.
- Walker również.
- Pojawił się na wystawie. Powiedział, że chce pogadać o dawnych czasach.
- Chryste! - Archer zacisnął wolną rękę w pięść. - Zawracał Faith głowę?
- Nie. Przedstawiłem się mu, uścisnęliśmy sobie dłonie, wyszliśmy na zewnątrz, by pogawędzić, a potem zapłaciłem za taksówkę, która miała go zawieźć tam, skąd pochodzi. Kiedy się z nim rozstawałem, miał złamany tylko jeden mały palec.
- Archer uniosł jedną z ciemnych brwi. Bardzo chętnie zapoznałby się z tą relacją w oryginalnej, pełnej wersji. Na przykład chciałby wiedzieć, jak Tony wyglądał, leżąc twarzą na chodniku.
- Nie ma taksówek do piekła.
- Nigdy nie byłeś w Savannah.
- Kyle nie widział raportu policyjnego na ten temat - wyznał Archer.
- Piekła w Savannah?
- Nie, twojej... hm... rozmowy z Tonym.
- Bo właściwie nic takiego się nie stało. Wszystko wyglądało tak, jakby pewien biedak cholernie niezadarnie obchodzący się z laską podstawił ją swojemu ogromnemu przyjacielowi, a potem trochę go posiniaczył, próbując wstać.
- Archer uśmiechnął się, wyobrażając sobie tę scenę.
- Czy mam wysłać człowieka, który pilnowałby Tony'ego dwadzieścia cztery godziny na dobę?
- Walker przez kilka sekund zastanawiał się nad tą propozycją.
- Nie ma takiej potrzeby. Jeśli ten facet ponownie spróbuje skontaktować się z Faith, zajmę się tym.
- Nie daj się złapać.
- Na czym? - spytał Walker łagodnie.
- Archer parsknął śmiechem.
- Na tym, że ochroniarz Faith jest potwornie niezadarny i że za jego sprawą dwóch facetów trafiło do szpitala. Rubiny Montegeau wciąż są bezpieczne, chociaż kilkakrotnie próbowano je ukraść. W Rubinowych Bagnach ukradziono trzy następne klejnoty Faith, nikt nie ucierpiał oprócz psa, a ty uważasz, że to robota od wewnątrz.
- Za wcześniej, żeby wyciągać wnioski, szefie. Wciąż staram się wymyślić, co wspólnego ma rosyjska mafia April Joy z pochodzącym z Atlantic City kryminalistą, który goni za biżuterią Faith jak ogary za zwierzyną. Nie należy również zapominać o FBI.
- FBI? O cholera! Całkiem o nich zapomniałem. Czego oni właściwie tam szukają?
- Twierdzą, że śledzą Davisa Montegeau. Zależy im na

znalezieniu czegokolwiek na Sala Angela.

- Nie wierzysz im.

Walker westchnął.

- Cholera jasna, szefie, bardzo bym chciał. To zresztą do pewnego stopnia może być prawdą.

- Ale?

- Ale Wuj Sam siedział nam na ogonie, zanim zobaczyliśmy na oczy pierwszego przedstawiciela rodu Montegeau.

Dwójka agentów przysłała za nami do restauracji, zmusiła kierowniczkę sali do dostawienia stolika i wyszła, gdy opuściliśmy lokal, chociaż Mel została, by poczekać, aż przyjedzie po nią samochód. Pomimo tego Cindy Peel - agentka kierująca tą parą - twierdzi, iż śledzili Mel, a na nas natknęli się dopiero po fakcie.

- Niedobrze.

Walker nie protestował. Też tak myślał.

- Coś jeszcze? - spytał Archer.

- Dość dobrze pilnują Rubinowych Bagien, twierdzą jednak, że podczas włamania niczego niezwykłego nie widzieli. Oczywiście, nie są szczerami bagiennymi, więc mogli coś przeoczyć. Sam dość łatwo ich podszedłem.

Archer w milczeniu przyjął do wiadomości fakt, że Walker wytropił agentów na moczarach.

- Może nie widzieli niczego, ponieważ była to robota od wewnątrz.

- Może - zgodził się Walker. - Miejscowy szeryf chyba myśli, że to Faith tak dobrze się spisała.

- Co takiego?

- Powiedziałem mu, żeby sprawdził Donovan International, nim zrobi coś, czego później będzie żałował, na przykład powie przy wszystkich to, co sugerował w prywatnej rozmowie.

- Niech to szlag trafi! Co za pieprzone środowisko!

- Nie bierz tego do siebie. Ja go olałem, chociaż sugerował, że mogłem maczać w tym palce.

- To przeważa sprawę - oświadczył Archer spokojnie. - Wsiadam do samolotu.

- Zostań z Hannah i uczcijcie następne pokolenie. A tak przy okazji - gratuluję. Jesteś odważniejszy niż ja.

- Wątpię.

- Ja nie. Myśl o małżeństwie i dzieciakach cholernie mnie przeraża.

Po drugiej stronie linii Archer rozmasował szyję i przeczesał palcami włosy, które już i tak były zmierzwiłone.

Drzwi do jego biura otworzyły się. Odwrócił się, żeby warknąć na Mitchella. Zobaczył Hannah. Kiedy się do niej uśmiechnął, jego surowa twarz złagodniała. W milczeniu wyciągnął rękę do żony.

- To znaczy, że jesteś skończonym idiotą - oznajmił mu Archer.

- Hej, każdy mężczyzna musi być w czymś dobry - zaprotestował Walker.

- Cemu szeryf marszczył nos na ciebie i Faith?

Hannah spojrzała na Archera przerażona. Pocałował jej palce, puścił je, i wrócił do rozmasowywania karku. Odepchnęła na bok jego rękę i zabrała się do rozluźniania jego napiętych mięśni. Udało mu się nie jęknąć na głos z przyjemności.

- W tych okolicach - wyjaśnił Walker - wszyscy zrzucają winę na przybyszów z zewnątrz.

- Sądzę, że szeryf nigdy nie słyszał, by ostoja lokalnej społeczności włamała się do swojego sejfu.

- Na tym polega problem. Członkowie rodziny Montegeau niczego nie zyskali na tym, że zniknęła biżuteria Faith. To samo dotyczy naszyjnika. Ich ubezpieczenie obejmie go dopiero wtedy, gdy Mel założy ten klejnot na ślub.

- Nawet bez polisy owa biżuteria ma swoją wartość.

- Jasne, ale wcześniej należałoby ją sprzedać. Co nie jest

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

takie łatwe, jak przekonał się szanowny Iwan Iwanowicz, kiedy go przyłapano na zastawianiu jednego z niepowtarzalnych klejnotów Faith.

- Ach, kapuję - powiedział Archer, niemal mruczając z rozkoszy, gdy palce żony rozmasowywały mu napięte mięśnie. - Chcesz sprawdzić, gdzie pojawią się nowe klejnoty.

- Amen. Wtedy skopię czyjś szacowny tyłek.

Zapadła cisza. Walker się tym nie przejmował. Wiedział, że Archer w myślach podsumowuje wszystko, co zostało powiedziane i o czym w ogóle nie wspomnieli, co zostało zrobione, a co pominięte.

Przez cały czas słyhać było dzwoniące telefony. I niecierpliwe popiskiwanie przynajmniej dwóch komputerów.

Hannah zmarszczyła czoło, nie przestając pracować nad twardymi mięśniami Archera. Nawet gdyby nie słyszała połowy tej rozmowy, już na podstawie napięcia męża wiedziałaby, że w niebezpieczeństwie jest któryś z członków rodziny, a nie interesy. Archer był bardzo opiekuńczy w stosunku do ludzi, których kochał.

- Wsadź Faith do następnego samolotu - zaproponował w końcu.

- Musiałbym ją związać i wpakować do torby. Jak inaczej, twoim zdaniem, mam to zrobić? - spytał Walker spokojnie.

- Jeśli o mnie chodzi, możesz ją związać.

- Porwanie to poważne przestępstwo - przypomniał

Walker. - Trudno zrobić coś takiego, gdy agenci federalni siedzą człowiekowi na karku.

- Spróbuj namówić ją za pomocą słodkich słówek.

- Próbowałem.

Archer nie musiał pytać o wynik. Faith wciąż była w Rubinowych Bagnach.

- Prześlij pocztą elektroniczną namiary na Rubinowe Bagna.

- Kyle już je ma - przerwał mu Walker.

- Nic mi o tym nie wspomniał.

- Może nie chciał zakłócać twojej radości z powodu dziecka.

Archer uśmiechnął się łagodnie i pocałował dostępny fragment mocnych, zwinnych pleców Hannah.

- Może. Jeśli szeryf jest taki głupi, jak na to wygląda, przyda ci się nazwisko dobrego miejscowego adwokata. Zleć to Mitchellowi.

- Już o to zadbał, gdy czekałem. Kobieta ta nazywa się Samantha Butterfield i mieszka na Południu od czasów, kiedy pojawił się tu pierwszy komar. Wie, gdzie pogrzebani zostali miejscowi ludzie, kto ich pogrzebał, kto poszedł za to do więzienia, a kto nie.

- Czy zna tego cholernego szeryfa?

- Jest jej dalekim kuzynem.

- Jeszcze jeden krewniak do całowania, co?

- W tych okolicach dużo poważniej traktujemy kuzynów i nie poprzestajemy jedynie na ich całowaniu - wyjaśnił Walker z lekką drwiną. - Lubimy, gdy nasze sprawy zostają w rodzinie. Nie wszyscy muszą wiedzieć, że jesteśmy tacy biedni, rozumiesz?

Pomimo napięcia Archer wybuchnął śmiechem.

Hannah uśmiechnęła się. Walker był jednym z niewielu ludzi, którzy potrafili oderwać Archera od pracy. Potem przypomniała sobie swoją ostatnią rozmowę telefoniczną z Walkerem. Nie wiedziała, czy się śmiać, czy rumienić.

Przypuszczała, że zaśleżyła sobie na to, drażniąc się z Archerem podczas rozmowy, ale tak cudownie było słuchoać, jak prowadzi rozsądną, służbową dyskusję, w czasie kiedy go uwodziła.

Zastanawiała się, co by się stało, gdyby zrobiła to ponownie.

Teraz. Tutaj.

Prawdopodobnie postąpiłby tak samo jak ostatnim razem

- wsunąłby się w nią, wręczył jej telefon i kazał porozmawiać

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
z Walkerem, a potem zrobił wszystko, żeby zapomniała,
jak się nazywa.

Archer wyczuł, że dotyk Hannah zmienił się z leczniczego
w uwodzicielski. Krew zawrzała mu w żyłach, serce zaczęło
szybciej bić, a fałdy spodni ułożyły się nieco inaczej.
Przypuszczał, że została mu minuta lub dwie, nim żona rozepnie
mu zamek.

Liczył, że stanie się to za minutę.

- Jeśli ci się uda, wsadź Faith do samolotu - powiedział.

- A jeśli mi się to nie uda?

- Pilnuj jej w każdy możliwy sposób. Adwokaci wcale
nie są tacy drodzy.

W słuchawce zapadła cisza.

Rozłączając się, Walker miał nadzieję, że Samantha Butterfield
nie wygląda jak północny koniec skierowanego na
południe muła. Przypuszczał, że spędzi nieco czasu w towarzystwie
tej budzącej grozę prawniczki z Południa, chyba że
niebawem dopisze mu szczęście.

- Faith! - zawołał.

Brak jakiegokolwiek odpowiedzi.

Walker szybko przeszedł przez dom. Nigdzie nie znalazł
Faith. W ogrodzie również nikogo nie było. Chybotliwy pusty
pomost odbijał promienie słońca.

Walker z głębokim przekonaniem umiejętnie zaklął po
afgańsku. Wiedział, że gdyby kazał jej trzymać się w zasięgu
wzroku, odesłałaby go do diabła. Dlatego nie wydawał
jej żadnych poleceń.

Teraz zniknęła.

Starając się zachować spokój, odwiązał jedną ze zniszczonych
łódek do połowu ostryg i zaczął wiosłować. Na
mętnych wodach Rubinowych Bagien najłatwiej było się
poruszać łódką.

Faith zawahała się, próbując sobie przypomnieć, którą ścieżką
przyszła od domu. Słabo widoczne drożyny wiły się
wśród wydm i karłowatej roślinności, tworząc zdumiewającą
plataninę. Zaczęła podejrzewać, że się zgubiła.

No cóż, może nie całkiem się zgubiła. Wiedziała, z której
strony jest ocean. Wiedziała, gdzie znajdują się Rubinowe
Bagna. Jedynie nie miała pojęcia, jak wydostać się
z miejsca, w którym utknęła. Otaczała ją ostra jak nóż trawa,
sięgające pasa błoto i słonawa woda, tak ciemna, że
mogła mieć półtora kilometra głębokości. Albo dwa centymetry.

- Faith!

Podskoczyła. Dopiero po chwili rozpoznała głos walkera.

Wołał z jakiegoś miejsca ukrytego wśród wysokich bagiennych
traw.

- Jestem tutaj!

- Tak, wpadłem już na to. Ale niech mnie diabli, jeśli
wiem, jak się tam dostałaś.

- Ja też - przyznała.

- Nie ruszaj się z miejsca i przez cały czas mów.

- O czym?

- O wszystkim, co nadaje się na pierwszą stronę miejscowej
gazety.

- Cholera. A właśnie miałam zamiar poopowiadać nieprzyzwoite
kawały.

- To dobrze. Moje biedne stare serce by tego nie wytrzymało.

Śmiech Faith był tak jedwabisty i gorący jak słońce zalewające
ten niewielki skrawek zagubiony między ładem stałym
a oceanem.

- Mów do mnie, złotko - przypomniał jej Walker.

- Próbuję wymyślić coś, za co nikt nie mógłby nas zaaresztować.

- To dobry pomysł. Ucieczki udają się tylko w książkach.

Parsknęła śmiechem i wciągnęła powietrze w płuca. To
wywołało falę wspomnień. Nie wiadomo, dlaczego niespokojna
bryza i zapach wilgotnej ziemi przypomniały jej historię,
która wydarzyła się wiele lat temu i tysiące kilometrów
stąd, po drugiej stronie kontynentu, w każdym razie mogła

ją opowiedzieć.

- Pewnego wieczoru, kiedy obie z Honor miałyśmy trzynaście lat - mówiła w taki sposób, by usłyszał ją Walker ukryty gdzieś w wysokiej trawie - zamiast położyć się do łóżek, wymknęłyśmy się z domu i pojechałyśmy na rowerach w ulubione miejsce zakochanych.

- Nie przerywaj.

- Podglądałyśmy, jak Archer zabawia się ze starszą od siebie o dwa lata Libby Tallyman. To a propos ssania cukierków... Walker roześmiał się na głos. Przepchnął przez płyciznę płaskodenną, nieszczelną łódkę, zanurzając drąg w błocie, które miejscami było niemal tak płynne jak woda. Przez chwilę obawiał się, że ugrzęźnie na mieliźnie. Potem wypłynął w wąski przesmyk między kępami trawy. Przestraszona czapła ze skrzekiem poderwała się do lotu.

- Co to było? - spytała Faith zaniepokojona.

- Shitepoke. Mów dalej. Łatwo w tej trawie stracić orientację.

- Kyle nas śledził.

Stanęła na czubkach palców i rozejrzała się, ale wszędzie dookoła była tylko bagienna trawa. Kto by przypuszczał, że może się w niej ukryć dorosły mężczyzna. Chyba że Walker brodzi w błocie.

- obiecał, że nie powie o niczym Archerowi, pod warunkiem, że przez tydzień będziemy myć za niego naczynia i przez miesiąc prać jego bieliznę.

- To czysty szantaż.

Głos Walkera dochodził z lewej strony. Faith odwróciła się i spojrzała. Nic.

- Najpodlejszy - zgodziła się. - wiesz, jakie okropne są brudne skarpetki brata? Zwłaszcza dla tak delikatnych kwiatuszków jak my. Fuj! Ale zgodziłyśmy się. Wszystko było lepsze niż jeden z nie mających końca wykładów Archera. Walker zachichotał. ;

Ponownie się rozejrzała. wydawało jej się, że Walker jest bliżej, ale wciąż go nie widziała. Na bagnach każdy dźwięk bardzo daleko się rozchodzi.

- Gdzie jesteś?

- Za zatoczką błota i trawy. Nie przerywaj. Wyobrażam sobie, jak ty i Honor pierzecie bieliznę Kyle'a. Podoba mi się ten obraz.

- Byłyśmy na to za sprytne. Kyle zapędził nas do domu. Odczekaliśmy chwilę. Zgodnie z naszymi przypuszczeniami, po jakimś czasie wykradł się i wsiadł na swój rower. Pojechałyśmy za nim na miejsce schadzek. Ukrył się tam, gdzie poprzednio nas przyłapał, i sam zaczął podglądać. Powinieneś zobaczyć jego oczy. Czy wspomniałam, że Libby miała największe cycki w całym okręgu?

- Nie, ale potrafię to sobie wyobrazić.

- Krowę podczas dojenia? - spytała Faith niewinnie.

- Nigdy w życiu nie widziałem niczego takiego.

- Prawdę mówiąc, Libby mogła zastąpić dwie krowy.

Walker poddał się i wybuchnął śmiechem.

- No proszę.

- O co mnie prosisz? O całusa?

wycofał się ze ślepej zatoczki, która znajdowała się na końcu błotnistego pasa.

- Lubisz się drażnić z innymi, prawda?

- Moi? Chyba masz na myśli moją siostrę bliźniaczkę.

Po cichu, odpychając się drągiem, opłynął kępę trzciny.

Faith stała odwrócona plecami dziesięć metrów od niego, po przeciwnej stronie niewielkiej kępy trawy. Miała na sobie dzinsy tak stare, że zrobiły się miękkie i obcisłe, dzięki czemu Walker przypomniał sobie, gdzie znajduje się najgorętsze miejsce Faith.

- W tej chwili - powiedział - mam raczej na myśli to

słodkie miejsce, które odkryłem dziś w nocy.

Głos Walkera był niski, zachrypnięty i dochodził z bliska.

Ale Faith wciąż go nie widziała. Burknęła zniecierpliwiona i zerknęła przez trawę w stronę drzew. Nikogo nie zauważyła.

- Myśl głośniej. Wciąż cię nie widzę.

- Dochodzę do wniosku, że chętnie wyłuskałbym cię z tych dzinsów. Przypominam sobie, jak idealnie twoje pośladki pasują do moich dłoni, kiedy...

Odchrząknęła głośno i zaczęła bardzo szybko mówić:

- A ja wciąż pamiętam o pierwszej stronie gazety, o której wcześniej wspomniałeś.

- Odwróć się, złotko. Nikogo tu nie ma oprócz nas.

Obejrzała się przez ramię. Walkera zasłaniała kępka trawy.

Albo stał w błocie. Czy coś w tym stylu. Niezależnie od wszystkiego, w tym miejscu było dużo więcej wody.

- Wiedziałam, że jesteś dobry, złotko - powiedziała zachrypniętym głosem - ale nie miałam pojęcia, że potrafisz chodzić po wodzie.

Walker poczuł, że ogarnia go śmiech i dziwny ból. Przyłapał się na tym, że chciałby wciągnąć Faith do łodzi, wypłynąć z bagien na zalewisko i zniknąć z nią.

Na zawsze.

Pilnuj jej w każdy możliwy sposób. Adwokaci wcale nie są tacy drodzy.

Najlepiej by było, gdyby odesłał ją do Seattle, a potem zniknął. Faith marzyła o rodzinie i wiecznej miłości. Tymczasem on mógł sobie pozwolić jedynie na życie chwilą obecną i na samotność. Po prostu sprawienie komuś zawodu miało zbyt wysoką cenę.

Po raz drugi w życiu Walker z całego serca pragnął, żeby sprawy wyglądały zupełnie inaczej.

Tymczasem nic się nie zmieniło, zmniejszył się tylko nieco noszony w sercu ból*

Walker nie był zaskoczony. Już wcześniej się przekonał, że świat nie ulega zmianom tylko dlatego, że się tego pragnie.

- Co robisz? - spytała Faith.

Opłynął łódką kępkę trawy.

- Zastanawiam się, w jaki sposób wsadzić cię do tej łódki, żebyś nie utapiała się w błocie jak myśliwy polujący na żaby.

Z oczu Faith zniknęło pełne namiętności rozbawienie, kiedy zobaczyła podejrzanie wyglądającą łódkę.

- Mnie? Do tego? Zapomnij. Wolę błąkać się po bagnach.

- To dobra łódka.

- To dziurawa balia.

Z pozorną łatwością machnął wiosłami. Dziób łodzi wbił się w trawę półtora metra od Faith.

- Wsiadaj.

- Nie namówiłbyś mnie na przejażdżkę, nawet gdyby od tego zależało moje życie - wyjaśniła Faith spokojnie.

Walker spojrział na nią przez ramię. Nie żartowała.

- Nie lubisz małych łódek? - spytał, przeciągając głoski.

- Błąd. Nienawidzę ich.

- Z jakiegoś konkretnego powodu?

- Razem z Honor i moimi braćmi spędziłam na małej łódce kilka najbardziej przerażających godzin w życiu.

Oczywiście, młodsze siostry leżały na dnach łodzi z twarzami wśród ryb i w cuchnącej wodzie, podczas gdy chłopcy pracowali jak diabli, żebyśmy zdążyli dotrzeć do brzegu, nim fale wywrócą nas prosto do cieśniny. Gdzie temperatura wody zabiłaby nas w ciągu mniej więcej pół godziny.

- Tutaj nie ma wiatru ani fal, a woda jest ciepła.

- Bardzo się z tego cieszę.

- Ale nie wsiądziesz do łódki?

- Właśnie.

- Pozwolę, żebyś siedziała jak normalny facet - zaciągał Walker.

- Nie, dzięki.

- Wybiorę z niej wodę.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Jeśli chcesz, możesz porozwieszać kolorowe światełka i chorągiewki. Ja zostaję na łodzi.

- Naprawdę się boisz, prawda? - spytał cicho.

- Przyznaję ci złotą odznakę za domyślność.

Głos Faith był pełen napięcia, a usta przypominały prostą kreskę.

Walker odłożył na bok drąg i z łatwością wysiadł przez dziób, po czym wciągnął łódkę daleko poza zasięg powoli wzbierającego przypływu. Kiedy odwrócił się w stronę Faith, zrobiła krok do tyłu, jakby bała się, że ją chwyci i na siłę wrzuci do łódki.

- Spokojnie, Faith - powiedział Walker. - Nie zrobiłbym ci tego.

Niespokojnie wciągnęła powietrze w płuca i opanowała nerwy. Walker nie był typem osiłka, który chciałby ją do czegoś zmusić - oczywiście, dla jej własnego dobra.

- Wiem - odparła. - Przepraszam. Niektórzy ludzie boją się węży, nietoperzy, ciem, wysokości albo jaskiń. Ja boję się małych łódek.

- Rozumiem, masz powód. Przypuszczam, że Honor nie przeżyła tego aż tak bardzo jak ty, ponieważ dużo czasu spędza z Jakim na jachcie. A może przerażają was tylko małe otwarte łódeczki?

- I Honor, i ja przez wiele lat bałyśmy się wszystkiego, co było mniejsze od statku. Do zniknięcia Kyle'a Honor odmawiała wejścia na pokład każdej jednostki, która miała mniej niż sześćdziesiąt metrów długości. Niestety, chcąc pomóc Kyle'owi, musiała skorzystać z małej łódki. - Faith gwałtownie wzruszyła ramionami. - Wtedy wsiadła do tego cholernego gówna. Po jakimś czasie pokochała jachty. Jake'a również. Zresztą, jak wiesz, z wzajemnością.

- No cóż, ponieważ w tym przypadku nie chodzi o życie ani miłość, spróbujmy sprawdzić, czy uda nam się wydostać z tego niewielkiego skrawka bagna suchą nogą.

- A co zrobisz z tym? - spytała, pokazując łódkę, jakby to był wąż.

- Zajmę się nią.

Walker sprawdził, czy łódka jest odpowiednio zabezpieczona, a potem poprowadził Faith w kierunku domu. Kilka razy obrali niewłaściwą ścieżkę, nim znaleźli miejsce, gdzie Faith skręciła w złą stronę. Wkrótce kępki bagiennej trawy ustąpiły miejsca porastającej piasek karłowatej roślinności. Stąd było już wyraźnie widać ścieżkę prowadzącą na plażę.

- Jeśli trafisz stąd do domu - powiedział - przyprowadzę łódkę i spotkamy się przy pomoście.

- Trafię. Muszę dotrzeć do zagłębienia przed wydrami, a potem skierować się w stronę dębów. Wcześniej jednak chciałabym nazbierać trochę muszelek.

Walker próbował wymyślić, jak w mity sposób nakłonić ją do powrotu do Rubinowych Bagien, gdzie mógłby mieć ją na oku. Jeśli każe jej to zrobić, Faith odwróci się do niego plecami i będzie szła plażą w nieskończoność.

Czując wahanie Walkera, Faith wsadziła rękę do kieszeni dzinsów i wyjęła stamtąd kawałek spiralnej muszelki trąbika sfałdowanego.

- Ta skorupka ma niewiarygodny kształt. Elegancki, a mimo to bardzo zdecydowany.

- Zupełnie jak twoja biżuteria.

Uśmiechnęła się niemal nieśmiało. Była zadowolona, że

Walkerowi naprawdę podoba się jej praca.

- Przy odrobinie szczęścia rzeczywiście spróbuję wykorzystać ten pomysł.

Walker podjął decyzję. Zamiast powiedzieć prosto z mostu, wybrał drogę okrężną.

- Uważaj, co zbierasz. Jeśli ślimak żyje, niektóre muszelki są pokryte jadem. Przypuszczalnie od niego nie umrzesz, ale też na pewno nie poczujesz się lepiej.

Zamrugła.

- Trujące ślimaki?

- No cóż, złotko, niziny to ojczyzna miedzianek i innych jadowitych węży. Czasami można spotkać w tych okolicach nawet grzechotnika. Każde żyjące tu stworzenie ma albo zęby, albo jad. Czasami i jedno, i drugie.

- Czy ta reguła dotyczy również ludzi?

Uśmiechnął się, ukazując dwa rzędy mocnych białych zębów.

- A jak myślisz?

Oderwała wzrok od jego zębów. wokół niebieskich oczu Walkera dostrzegła napięcie.

- Myślę, że pójdę do domu i zobaczę, czy Mel się już obudziła. Mieszka tu za krótko, by gryźć albo wszczepiać jad.

- No proszę.

- Ponieważ tym razem jestem wyjątkowo zgodna, powiedz mi, dlaczego nie chcesz zostawić mnie samej na plaży.

- Przechucia Kyle'a. Rozkazy Archera.

- Och. - Z westchnieniem wsunęła muszelkę z powrotem do kieszeni. - No cóż, cholera jasna - powiedziała z południowym akcentem, odwracając się w stronę ścieżki prowadzącej do Rubinowych Bagien. - Naprawdę chciałabym, żeby mój brat brał więcej środków zobojętniających kwasy.

Walker roześmiał się, potem chwycił Faith w objęcia i mocno przytulił ją do siebie. Zapach gardenii, soli i kobiety uderzył mu do głowy jak najlepszy bourbon.

- Dziękuję - powiedział z ustami w jej włosach.

- Za co?

- Za to, że nie musiałem cię wiązać.

Spojrzała na niego z zaciekawieniem.

- Czy dowiem się, co to znaczy?

- Mam nadzieję, że nie. Do zobaczenia na przystani.

- Równie dobrze możesz mi powiedzieć. Wcześniej czy później i tak poznam prawdę.

- Wolałbym, żeby nastąpiło to później.

Faith zerknęła na niego z ukosa, zapowiadając w ten sposób karę, po czym ruszyła ścieżką prowadzącą do Rubinowych Bagien. Walker patrzył, aż jej jasne włosy zniknęły wśród zbrązowiałych bagiennych traw. Potem wrócił po łódkę.

Nie było jej.

Walker poczuł, jak serce podchodzi mu do gardła. Nawet nie próbował szukać zguby. Wiedział, że nie mogła sama odpłynąć. Z walącym dziko sercem rzucił się ścieżką w stronę rezydencji, mając nadzieję, że człowiek, który ukradł łódkę, nie dotrze szybciej od niego do domu. I do Faith.

Pilnuj jej w każdy możliwy sposób.

Próbował. Wyglądało jednak na to, że właśnie spieprzył robotę.

Ponownie.

Davis Montegeau jechał zakurzoną drogą prowadzącą do Rubinowych Bagien ze ślepym uporem rannego zwierzęcia, wlokącego się do matecznika. Hamulec i pedał gazu musiał obsługiwać lewą nogą, ponieważ prawa do niczego się nie nadawała. Potworny ból w kolanie powodował mdłości.

Na szczęście w poobijanym żołądku nie było już nic do wyrzucenia oprócz krwi, którą połknął, gdy Buddy rozwalił mu nos. Twarz miał tak opuchniętą, że prawie niczego nie widział. Całe ciało wiło się z bólu, który nasilał się przy każdym oddechu, każdym uderzeniu serca.

Sal przypatrywał się całemu wydarzeniu z zainteresowaniem człowieka obserwującego schnącą farbę. Odezwał się dopiero wtedy, gdy Buddy zaczął deptać po leżącym na podłodze, zwiniętym w kłębek Davisie.

- Wystarczy, Buddy. Świecidełka, które przywiózł, są

warte tyle, ile tygodniowe odsetki od jego długu. Jeśli w ciągu siedmiu dni nie dostanę całej sumy, czyli pół miliona, będziesz mógł zrobić z niego sos pomidorowy i rozsmarować go po pizzy.

Po twarzy Davisa płynęły łzy bólu, bezradności i przerażenia, mieszając się z krwią, która sączyła się z rozciętej wargi. Pojękiwał na wyboistej drodze. Mimo to sunął do przodu. Kilka razy był bliski omdlenia, w końcu jednak ujrzał ogromny, popadający w ruinę dom. Wczepił się w kierownicę i podjechał z tyłu budynku.

Po kilku niezdarnych próbach udało mu się zgasić silnik. Potem z utęsknieniem spojrzął na szeroką werandę, która otaczała dolną kondygnację. Znajdował się zaledwie sześć metrów od domu. Może osiem. Miał do pokonania sześć stopni prowadzących na werandę. Potem kuchnię, korytarz i w końcu bibliotekę.

Wyobraził sobie przejrzystą butelkę, czuł, jak palący bourbon pokonuje smak krwi.

Niestety, nie był w stanie nawet otworzyć drzwi samochodu. Błyszczącymi od bólu oczami spojrzął na stary, zimozielony dąb, który ocieniał jedną stronę domu. Pokrywający jego grube, powykręcane konary mech był mocno przykurzony, a rosnące w szerokich rozgałęzieniach paprocie - wysuszone. Tak samo jak Davis. Ze sporą dozą obojętności zastanawiał się, czy krew ożywiłaby paprocie lepiej niż woda.

- Tatusiu Montegeau, stało się coś złego?

Z osłoniętej siatką werandy dobiegł łagodny, słodki głos Mel. Walnęła drzwiami i spiesznie zbiegła po schodach do samochodu.

Davis chciał odwrócić się w jej stronę, ale za bardzo wszystko go bołało. Mel otworzyła za niego drzwi samochodu.

- O Boże! Co się stało? - spytała zaniepokojona.

Z trudem wykrzesał z siebie odrobinę energii, by się odezwać.

- Upadłem.

- Możesz chodzić?

Nie czekając na odpowiedź, Mel odwróciła się i krzyknęła w stronę domu.

- Jeff, chodź szybko! Ojciec jest ranny!

Walker dogonił Faith w połowie ścieżki. wciąż jeszcze ciężko dyszał po szybkim biegu, kiedy oboje usłyszeli przez zarośla wołanie Mel. Pod wpływem impulsu Faith ruszyła pędem w stronę domu.

- Nie. - Chwycił ją za ramię. - Od tego momentu nie spuszczę cię z oka.

- To, że jakaś łódka sama odpłynęła, wcale...

- Ona wcale sama nie odpłynęła - wyjaśnił Walker

szorstko. - Ktoś puścił ją z prądem. Ktoś, kto szedł za tobą. Albo za mną.

- Ale...

- Nie ma żadnego „ale” - uciał. - Daj mi słowo, że będziesz się trzymać blisko mnie. Inaczej dowiesz się, co to znaczy, że mogę cię zwięzać.

Widząc oczy Walkera, Faith doszła do wniosku, że i tak przegrałaby tę kłótnię.

- Świetnie - rzuciła. - Możesz uznać, że jestem twoim cholernym cieniem.

- Trzymam cię za słowo.

Wziął ją za rękę i razem ruszyli biegiem w stronę domu.

Podczas wcześniejszego biegu po piasku Walker zaczął odczuwać ból w nodze. Teraz naprawdę dawała mu się we znaki.

Zlekceważył to. Mijając zniszczony pomost, zauważył, że obie łódki stoją przywiązane do palików, ale nie zwolnił. Przed sobą widział biały samochód Davisa Montegeau, niedbale zaparkowany na trawie. Drzwi po stronie kierowcy były otwarte, a Mel próbowała pomóc teściowi wysiąść z samochodu.

- Pozwól, Mel, że ja to zrobię - zaproponował Walker,

odsuwając ją na bok. - Tobie nie wolno dźwigać.

- Jeff widocznie jest pod prysznicem. Nie usłyszał mojego

wołania.

Walker bacznie przyjrzał się Davisowi. Twarz starszego pana wyglądała tak, jakby ktoś uderzył w nią kijem baseballowym. Sam Davis był prawie nieprzytomny.

Faith podeszła i objęła Mel.

- Co się stało? - spytał Walker.

- Upadł - odparła Mel szybko.

Walker uniósł ciemne brwi, ale spytał tylko:

- Gdzie?

- Był u lekarza w Savannah - wyjaśniła Mel.

- W Savannah mają dziwny sposób upuszczania krwi -

zażartował Walker bezbarwnie.

Mel miała ochotę się roześmiać, ale była tak zdenerwowana, że z jej ust wyrwał się bliżej nieokreślony dźwięk.

- Tatusiu Montegeau? Co się stało?

Davis powoli zebrał siły.

- Po wizycie u lekarza schodziłem nad rzekę. Potknąłem się.

Faith przypomniała sobie strome wąskie schody prowadzące z Water Street nad rzekę. Stopnie były nierówne, a kamienne płyty w kilku miejscach groziły śmiertelnym niebezpieczeństwem. Potrząsnęła głową i zagryzła wargę, serdecznie współczując Davisowi. Miał szczęście, że nie skręcił sobie karku.

Walker spojrział na ręce starszego pana. Drżały, ale nie było na nich widać żadnych śladów.

- Schody prowadzące nad brzeg rzeki, tak? - spytał Walker bez troski. - Nic dziwnego, że wygląda pan jak po zderzeniu z ciężarówką. Proszę pozwolić, że przesunę pana na miejsce pasażera. Zawiozę pana do szpitala.

- Nie!

Kobiety były zaskoczone reakcją Davisa. Walker nie. Wszystko pasowało do obrazu powoli rodzącego się w jego głowie.

Archer nie będzie szczęśliwy.

- Jest pan gotów wejść do domu, czy woli pan posiedzieć tutaj jeszcze chwilę i trochę odpocząć? - spytał Walker niewinnie.

- Chcę drinka.

- Jasne - zgodził się Walker. - Podejrzewam jednak, że szybko by go pan zwrócił. Przez jakiś czas będzie pan miał kłopoty z żołądkiem.

Davis jęknął.

- Coś jeszcze pana boli? - spytał Walker. - Plecy?

Davis potrząsnął głową.

- A co z nerkami? - spytał Walker.

Starszy pan przytaknął.

- I kolano.

Walker wcale nie był zdziwiony.

- Mel, może przyniosłabyś panu Montegeau moją laskę.

Teraz jest mu bardziej potrzebna niż mnie.

- Gdzie ją zostawiłeś?

- Ostatnim razem widziałem ją w mniejszej z dwóch łódek przywiązanych do pomostu.

Mel ruszyła szybko ścieżką do zniszczonej, maleńkiej przystani. Chwilę później z domu dobiegły nawaływania Jeffa szukającego żony.

- Jesteśmy na tyłach - odpowiedział Walker donośnie. -

Twój ojciec miał drobny wypadek. Trzeba mu pomóc wejść do domu.

Jeff pojawił się po trzydziestu sekundach. Miał mokre włosy, źle zapięte dżinsy, był na bosaka i bez koszuli. Zerknął na ojca i zbladł.

- Tatusiu? Dobry Boże, co się stało?

- Porozmawiamy o tym później - powiedział Walker. -

Na razie pomóż mi donieść go do łóżka.

- Chcę drinka - zażądał Davis.

Jeff przymrużył oczy.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Wygląda na to, że zdążyłeś już wypić więcej, niż by należało.
- To nie wina alkoholu - wyjaśnił Davis z bólem. - Tylko cholernych schodów.
- Uhm - mruknął Jeff.
- Jeff i Walker częściowo nieśli, a częściowo podtrzymywali Davisa w drodze do biblioteki. Tam położyli go na kanapie. Faith przyniosła z kuchni garnek ciepłej wody i garść czystych gałganków. Zmyła krew z twarzy Davisa, dzięki czemu można było obejrzeć rany. Walker wyjął z ukrytej pochwy nóż i ostrożnie rozciął starszemu panu prawą nogawkę spodni aż do kolana. Było opuchnięte, posiniaczone, paskudne jak koszmarny sen.
- Macie lód? - spytał Walker.
- Jeff podszedł do lodówki. Gwałtownymi ruchami powyrzucił kostki z plastikowych pojemniczków, po czym wrócił do biblioteki.
- Mel przyniosła laskę Walkera. Na widok kolana teścia zrobiła się blada jak jeden z duchów nawiedzających Rubinowe Bagna.
- Usiądź, kochanie - zaproponował jej Jeff, zawijając lód w wilgotne szmatki. - Tatusiowi nic nie będzie.
- Faith zerknęła na Jeffa, nie przerywając delikatnego przecierania nosa i rozciętej wargi Davisa.
- Tu też przydałoby się trochę lodu.
- Chcę drinka - powtórzył Davis.
- Proszę zacząć od wody - powiedział spokojnie Walker.
- Jeśli pan jej nie zwróci, przejdziemy do czegoś mocniejszego.
- Nim skończyli przemywać rany Davisowi, wypił kubek wody i podwójnego bourbona. Gdy Faith delikatnie podsunęła pod głowę starszego pana poduszkę, a Mel przykryła go kolorowym wełnianym szalem, Walker wyprowadził Jeffa z biblioteki. Przeszli przez kuchnię i dotarli na tylną werandę, gdzie kobiety nie mogły ich podsłuchać.
- Nadal uważam, że należałoby zawieźć go do szpitala na prześwietlenie - powiedział Jeff niezadowolony.
- Walker wzruszył ramionami.
- Na zdjęciu rentgenowskim nie widać powierzchownych urazów, a na tym głównie polegają jego obrażenia.
- Co z kolaniem?
- Jest nadwerężone, ale nie złamane.
- Na pewno?
- Nie może chodzić. Ale ci faceci są bardzo ostrożni. Jeszcze nie załatwili z twoim ojcem wszystkich porachunków.
- Jeff chciał coś powiedzieć, potem przez chwilę tylko patrzył.
- O czym ty mówisz?
- O tym, że w sejfie nie było rubinów.
- Jeff przymrużył oczy.
- Czy to ma jakieś znaczenie?
- Walker powstrzymał cisnące się na usta przekleństwo. Miał nadzieję, że Jeff nie będzie odgrywał twardziela.
- Owszem. Ktoś, kto okradł wasz sejf, bardzo się zawiódł. Nie znalazł w nim rubinowego naszyjnika. To, co zabrał, wystarczy mu na dzień lub dwa. Może nawet na tydzień. Potem wróci.
- Łatwiej zrozumieć Tigę niż ciebie - obruszył się Jeff.
- W takim razie posłuchaj, chłopcze. Twój papcio tkwi po uszy w gównie, a towarzystwa dotrzymują mu tyпки spod ciemnej gwiazdy. To oni pobili go niemal na śmierć. Oczy Jeffa zaokrągliły się ze zdumienia. Przetarł twarz, jakby chciał sprawdzić, czy to nie sen.
- Nie.
- Gdyby spadł z betonowych schodów, miałby sińce z tyłu i z przodu. Pokaleczyłby sobie dłonie, starając się uchronić przed upadkiem. Ale jego ręce są gładkie jak płatki róży, a z tyłu głowy nie ma żadnych śladów. Zajmował się nim fachowiec. Poza tym twój ojciec wie, że jeżeli zgłosi się

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

do szpitala, wezwą gliniarzy, a wówczas będzie musiał odpowiedzieć na ich pytania, nie nasze.

Jeff zamknął oczy i starał się zapanować nad sobą.

- W porządku. Porozmawiam z nim.

- Obaj to zrobimy.

- Nie. To nie twój... - Jeff powstrzymał gorące słowa i dokończył sztywno: - Nie ma takiej potrzeby. To wewnętrzna sprawa rodziny Montegeau.

- Jesteś w błędzie. Dopóki naszyjnika nie obejmuje ubezpieczenie Montegeau, jest to również problem Donovanów.

- Ale...

- Zamknij się - przerwał mu Walker zimno. - W Seattle okradziono sklep Faith. Ogołoco sejf wystawy w Savannah.

Ona sama została napadnięta. Straciła trzy klejnoty, które zabrano z waszego sejfu. Reasumując, moja cierpliwość się wyczerpała. Mam dość tego amatorsko montowanego południowego cyrku. Albo odpowiecie mi na kilka pytań, albo oddam twojego ojca w ręce ludzi, którzy tak samo nie przypadną mu do gustu jak ci, którzy właśnie go zmasakrowali. Po raz pierwszy Jeff przejrzał szczerą, przyjazną powierzchowność Walkera i dostrzegł w nim innego człowieka.

- Kim jesteś?

Walker nie miał ochoty na udzielanie długich wyjaśnień, powiedział więc to, co powinno wywołać najmniej pytań.

- Ochroniarzem Faith.

Jeff przełknął ślinę.

- Myślałem, że jesteś jej chłopakiem.

- Ona też tak sądzi. Dzięki temu łatwiej mi wykonywać swoje zadanie.

- Z pewnością, złotko - powiedziała Faith, stając w kuchennych drzwiach.

Cholera. Miała być w bibliotece i zajmować się Davisem.

- Wszystko później ci wyjaśnię - powiedział Walker przez zaciśnięte zęby.

- Nie musisz. Przed frontowymi drzwiami stoi kobieta, która koniecznie chce się z tobą widzieć.

- Ze mną? - spytał Walker.

- Z tobą. Wygląda, jakby spała w ubraniu, które ma na sobie, ale za to może się poszczycić naprawdę lśniąca odznaką.

»

Walker chętnie by coś kopnął. Liczył na to, że FBI zostanie na bagnach.

Ponownie się pomylił.

- Chce rozmawiać tylko z tobą - ciągnęła Faith, uśmiechając się na widok złości Walkera. - Mówi, że ją znasz.

- Chwała Bogu, że to nie April Joy - wymamrotał Walker, przechodząc obok Faith.

- Skąd znasz April Joy? - spytała Faith. - Poza tym dlaczego ta kobieta pyta właśnie o ciebie?

Nie odpowiedział.

Faith przypuszczała, że teraz Walker częściej będzie uchylał się od odpowiedzi.

Zresztą nie miała zamiaru zadawać mu żadnych pytań.

Wiedziała to, co najbardziej się dla niej liczyło.

Po dziesięciu sekundach Cindy Peel doszła do tego samego wniosku co Walker - że obrażenia Davisa Montegeau nie są przypadkowymi ranami odniesionymi podczas spadania z betonowych schodów. Zadał mu je fachowiec.

- Kto to panu zrobił, panie Montegeau? - spytała.

Davis ponuro jej się przyjrzał.

- Upadłem.

- Ci ludzie wrócą - wyjaśniła Peel. - Następnym razem złamią panu oba kolana. Resztę życia spędzi pan na wózku inwalidzkim. Chyba że postanowią pana zabić.

Przysunęła się bliżej, wypełniając całe pole widzenia starszego pana. Miewała wcześniej do czynienia z niechętnymi do współpracy świadkami, ale wtedy nie wchodziła w grę jej kariera. April Joy bardzo zależało na rubinie, na

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
dodatek chciała go mieć już tydzień temu. Jeśli Peel go nie dostarczy, pewnie resztę życia spędzi w Fargo w Dakocie Północnej.
Davis zamknął oczy, żeby nie widzieć agentki FBI. Nie mogła mu powiedzieć niczego, co chciał usłyszeć.
Peel spojrzała na pozostałe osoby zebrane w pomieszczeniu.
- Czy pan Montegeau ma obrońcę?
Na przystojnej twarzy Jeffa pojawiły się rumieńce wstydu i złości.
- Odkąd to upadek ze schodów uważany jest za przestępstwo? Albo fakt, że zostało się zepchniętym, jeśli już chodzi o ścisłość?
- FBI dysponuje dokumentami świadczącymi o tym, że pański ojciec współpracuje z dwoma osobnikami ze świata przestępczego z Atlantic City - wyjaśniła spokojnie Peel.
- Jaki to rodzaj współpracy?
Peel nie odpowiedziała.
- Oszustwa związane z handlem ziemią - odparł zwięźle Walker, kierując swoje słowa do Jeffa. Potem zwrócił się do Peel: - Chcesz kogoś aresztować?
- Mam podstawy - przyznała. - To jedna z możliwości.
- Jeśli jest to tylko jedna z możliwości, może zechciałabyś razem z Mel zrobić kawę, a ja w tym czasie utnę sobie z panami Montegeau szczerą pogawędkę.
- Co ja z tego będę miała? - wypaliła Peel.
- Więcej odpowiedzi, niż uda ci się z nich wydusić, gdy pojawi się tu prawniczka, pani Samantha Butterworth, i doradzi swojemu klientowi, żeby trzymał zakrwawioną buzię na kłódkę.
Peel zmarszczyła czoło, zastanawiając się nad tą propozycją.
- Zgoda. - Spojrzała chłodno na Faith i spytała Walkera: - A co z nią? Ona nie robi kawy?
- Póki nie dowiem się pewnych rzeczy, muszę mieć ją na oku.
Peel przymrużyła ciemne oczy.
- Ciekawe.
- Taak. Prawdę mówiąc, fascynujące - powiedział Walker.
- A co z tą kawą...?
- Nie robię kawy mężczyznom - oznajmiła Peel. - Ale zaczekam w kuchni, choć pod jednym warunkiem, że Faith Donovan nie opuści tego domu bez mojej wiedzy.
- Co takiego? - zdziwiła się Faith. Jej oczy przestały przypominać letnią mgiełkę i zamieniły się w lód. - Jakim prawem, do diabła, próbuje mi pani mówić, co mogę robić, a czego mi nie wolno? To nie ja spadłam ze schodów. Nie współpracuję z kryminalistami.
- Chce pani złożyć w tej sprawie oficjalne oświadczenie?
- spytała Peel. - Jeśli tak, z przyjemnością umożliwię pani uczynienie tego... w dużo bardziej oficjalnym otoczeniu, na przykład w biurze federalnym w Savannah.
- Czy ma pani jakieś prawo, by tego ode mnie żądać, czy po prostu jest pani... - zaczęła Faith.
- Spróbujmy najpierw pójść na współpracę - wtrącił Walker, kładąc dłoń na ramieniu Faith. - To daje nam możliwość odwrotu.
Faith nie dokończyła zdania. Przez długą chwilę patrzyła na Walkera, potem szorstko przytaknęła.
Walker przeniósł spojrzenie na Peel.
- Lepiej, żebyś miała jakieś wytłumaczenie. I to naprawdę dobre.
- Mam.
- Kiedy skończę tę rozmowę, chętnie cię wysłucham.
Peel uznała, że mogłaby mu odmówić. Potem wzruszyła ramionami.
- Skontaktuję się ze swoimi zwierzchnikami. Wszystko zależy od nich.
Walker nie przypuszczał, że może być dużo gorzej. Pomylił się po raz trzeci.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Chodźmy - powiedziała Peel, zabierając ze sobą Mel.

Mel spojrzęła na Jeffa z pytaniem w pięknych oczach.

- Idź, kochanie. Nie ma potrzeby, żebyś jeszcze bardziej się denerwowała. - Uśmiechnął się i pocałował ją w policzek.

- To tylko zwykłe nieporozumienie.

Mel niespokojnie pogłaskała się po sporym brzuchu, jakby chciała się upewnić, że przynajmniej to jedno jest w całkowitym porządku. Obdarzyła narzeczonego przelotnym, ale szczerym uśmiechem. Pocałowała go, przez długą chwilę mu się przyglądała, po czym powiedziała do pozostałych osób:

- Zawołajcie, gdy będziecie chcieli napić się kawy.

Gdy Mel wyszła, prowadząc za sobą agentkę federalną, Walker położył dłonie na ramionach Faith i spojrzęł na nią z mieszaniną żalu, złości i pożądania.

- Chcę, żebyś usiadła po przeciwnej stronie pokoju, poza zasięgiem głosu - powiedział. - Dzięki temu nikt później nie będzie mógł wezwać cię na świadka.

- Co tu jest grane? - spytała ostro.

- Im mniej wiesz, złotko, tym mniejsze masz szanse, że będziesz musiała rozmawiać z przedstawicielami prawa.

- Zapomnij o „złotkach” i „kochaniach” - warknęła przez ściśnięte gardło. Jej oczy były tak samo obojętne jak ton. - Oboje wiemy, dlaczego trzymasz się blisko mnie. Potraktuj to jako nadgodziny.

Walker obawiał się, że nie zapanuje nad złością. Mógł mieć pretensje tylko do siebie. Jeszcze nim dotknęł Faith, wiedział, że nie powinien zostać jej kochankiem. I słusznie. Świadomość, iż miał rację, powinna poprawić jego samopoczucie. Na razie jednak bardziej dręczyło go to, że się pomylił.

- Faith...

- Gdybym wiedziała, o co chodzi - wyznała, nie dopuszczając go do głosu - może nie potrzebowałabym ochroniarza.

Czy któryś z was, wszechmocnych mężczyzn, w ogóle o tym pomyślał?

Policzył do dziesięciu. Dwudziestu. Czterdziestu.

- To znaczy, że zostajesz - powiedział bezbarwnie.

- Tak.

Walker odwrócił się plecami do Faith i spojrzęł na obu panów Montegeau. Przy nich wcale nie próbował ukryć złości. Uśmiechnęł się.

Jeff cofnął się o krok.

- Dobrze, chłopcze - pochwalił go Walker łagodnym głosem. - W końcu zaczynasz rozumieć, w jakie kłopoty wpakowaliście się obaj z ojcem.

Walker zamknęł ciężkie drzwi biblioteki. Potem pokonał całą długość pomieszczenia i zatrzymał się trzydzieści centymetrów przed młodszym z panów Montegeau.

- Zacznijmy od pytań łatwych - zaproponował. - Który z was, chłopcy, kazał okraść sklep Faith w Seattle?

Obaj panowie Montegeau spojrzęli na niego, jakby miał dwie głowy i żadna z nich nie posługiwała się angielskim.

- O czym ty mówisz? - spytał w końcu Jeff.

Walker przeniósł wzrok na Davisa.

Starszy pan Montegeau potrząsnęł głową, skrzywił się pod wpływem bólu, po czym sięgnęł po karafkę z bourbonem. Wlał trochę alkoholu do kieliszka i wypił. Nie udało mu się uśmierzyć w ten sposób bólu.

- Nie patrz tak na mnie - rzucił Davis. - Do diabła, gdybym okradał sklepy jubilerskie, nie byłbym taki spłukany, nie sądzisz?

Walker bacznie przyjrzał się obu panom. Mogli kłamać jak najęci, ale szczerze w to wątpił.

- No cóż, do jasnej cholery - wymamrotał. - Archer miał rację. To prawdziwa łamigłówka.

- Dlaczego miałiby okradać mój sklep? - włączyła się Faith.

Walker obejrzał się przez ramię.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Jeśli kierujesz pytanie do panów Montegeau, o niczym nie wiedz. Jeśli pytasz mnie, zrób listę i włóż ją do kieszeni. Udzielę ci wszelkich odpowiedzi, gdy będziemy sami. Obiecuję.

Faith chciała spytać, czemu właściwie miała mu wierzyć, ale nie wypowiedziała na głos tych pełnych złości słów. Walker nie przyznał się, że oprócz rubinów pilnuje także i jej, ale też nie próbował kłamać. Jeśli była na tyle głupia, że nie widziała tego, co miała przed nosem, sama jest sobie winna.

- Zgoda - powiedziała. - Później.

Walker dostrzegł w jej oczach chłód, usłyszał go również w jej głosie, ale zauważył również ukryty pod złością ból. Niezadowolony z siebie odwrócił się do panów Montegeau.

- W taki razie przenieśmy się bliżej domu - powiedział łagodnie. - Kto zaplanował włamanie do hotelu?

Jeff ponownie obrzucił walkera pozbawionym wyrazu spojrzeniem.

Davis odwrócił wzrok i sięgnął po karafkę. Jeff poruszył się szybko i odsunął bourbona poza zasięg ręki ojca. Davis zamknął oczy i opadł z powrotem na kanapę.

- Tatusiu? - spytał Jeff.

- Nie wiem, chłopcze.

Jeff ścisnął nasadę nosa, jakby próbował sprawić sobie dodatkowy ból. Bardzo chciał wierzyć ojcu.

Niezbyt mu się to udawało.

Walker nie miał takiego problemu. Był pewien, że starszy pan kłamie.

- Czy to był Sal Angel? - spytał walker.

Davis nie odpowiedział.

- Donovanowie mają u federalnych pewne wpływy - wyjaśnił walker. - Dysponujemy również dobrymi prawnikami. Możemy panu pomóc albo całkowicie pana pogrzebać.

Spróbujmy więc jeszcze raz. Jeśli nie uwierzę w pańskie odpowiedzi, oddam pana w ręce FBI i pozwolę, by pana powiesili. Czy to był Sal Angel?

- On mnie zabije - jęknął Davis.

- Traktuję to jako odpowiedź twierdzącą. - Głos walkera był tak ponury jak jego oczy. - Szukali rubinowego naszyjnika? Davis zerknął na bourbona.

- Nie - powiedział Jeff cicho. - Było na to za późno.

- Tak - wychrypiał Davis. - Naszyjnika.

- Czy to Sal zaplanował opróżnienie sejfu wystawy? - spytał walker.

Faith bez słowa wpatrywała się w walkera. Udawała, że jest spokojna, naprawdę jednak kipiała ze złości. Przy każdym pytaniu wychodziło na jaw, jak dużo walker wiedział. I jak mało jej zdradził.

Faith była przyzwyczajona do tego, że władczy bracia robią, co chcą, brała jednak poprawkę na ich braterską miłość.

Tymczasem walker po prostu nie wierzył w zdrowy rozsądek Faith.

- Przypuszczalnie to był Sal albo jego partner - szepnął Davis. - Sal nie rozmawiał ze mną na ten temat.

- Pan tylko mówił mu, gdzie i kiedy będzie Faith, tak? Davis przytaknął.

- Czy wiedział pan, że mieli zamiar ją zabić?

Na twarzy Davisa pojawiła się groza. Faith zareagowała dokładnie tak samo. Jęknęła cicho i spojrzała na walkera, jakby chciała go spytać, dlaczego mieliby zabić ją ludzie, których nawet nie znała.

Nie potrafił udzielić jej wyjaśnienia, po którym poczułaby się lepiej. Zostając w bibliotece, wpakowała się w bagno. Był o to wściekły, ale jeszcze większą złość wzbudzał w nim fakt, że nie udało mu się utrzymać jej z dala od tych nieprzyjemności. Taka kobieta nie musiała przez to przechodzić.

Ale przechodziła.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

On również, na dodatek sam ją we wszystko wciągnął.

- Ja... ja... - wydukał Davis.

Walker zerknął na Jeffa. Żadnej pomocy. Syn wyglądał na niemal równie załamane jak ojciec. Walker zaklął pod nosem, zdając sobie sprawę, iż nie pójdzie mu tak łatwo. Odwrócił się do starszego pana Montegeau.

- Czy to pan zaplanował napad przed lokalem z krewetkami?

Takim samym tonem Walker prowadziłyby rozmowę na temat pogody.

- To śmieszne! - wtrącił Jeff. - Tata nikomu nie wyrządziłby żadnej krzywdy.

Walker odwrócił głowę od Jeffa.

- Ludzie przerażeni potrafią zdobyć się na czyny, których w normalnych warunkach nawet nie braliby pod uwagę.

Twój ojciec jest potwornie przerażony. I ma ku temu powody.

Davis poruszył się, jęknął i sięgnął po owinięty w ręcznik łód, który zsunął mu się z kolana. Walker złapał zimny okład, położył go na miejsce i czekał z cierpliwością myśliwego.

- Nic nie wiedziałem o planowanym morderstwie ani

o napadzie - wyznał Davis roztrzęsiony. - Słowo honoru. -

Z kąciaków oczu popłynęły mu łzy. - Mieli nikomu nie robić żadnej krzywdy. Gdyby udało mi się szybciej sprzedać ziemię, do niczego takiego by nie doszło. Byłyby pieniądze na urządzenie pola golfowego i przystani, a wówczas reszta posiadłości potroiłaby swoją wartość i wszyscy stalibyśmy się bogaci.

- Ale nie udało się panu szybciej sprzedać ziemi - przypomniał Walker - dlatego poszedł pan do Sala po pieniądze.

A może Sal od początku brał w tym wszystkim udział?

- On i Joe. Byliśmy partnerami. - Davis ukrył twarz w dłoniach. - Nikt inny nie pożyczyłby mi pieniędzy. Na wszystko, co miałem, zaciągnąłem kredyt hipoteczny. Ziemia poszłaby pod młotek, dlatego musiałem wycofać się z umowy. Wszystko wyglądałoby inaczej, gdyby...

- ...udało się panu szybciej sprzedać ziemię - przerwał Walker z lekkim zniecierpliwieniem. Na razie nie usłyszał

niczego nowego. - W związku z tym transakcja nie doszła do skutku, a pańscy partnerzy stracili pieniądze. Ile?

- Czwierć miliona. Plus odsetki. Razem pół miliona.

Jeff zerknął na ojca zaskoczony.

- Sto procent od jednorocznej pożyczki?

- Tak to jest w przypadku mafii - wyjaśnił Walker. - Nie zgłaszają pewnych rzeczy władzom. Pożyczasz dwadzieścia dolców, a kiedy trzeba te pieniądze zwrócić, jesteś winien czterdzieści.

- Gdyby udało się sprzedać ziemię... - zaczął Davis.

- Ale się nie udało! - przerwał mu Jeff gwałtownie. -

Nigdy ci się nie udawało, tylko ty niczego nie chciałeś się nauczyć!

Potem spojrzął na posiniaczonego, zakrwawionego ojca i zrobiło mu się wstyd, że stracił panowanie nad sobą. Burknął coś zrozpaczony i się odwrócił.

- Nieważne. Jakoś musimy to przeżyć. Zawsze nam się udawało.

- Ale to nie będą pieniądze z ubezpieczenia rubinowego naszyjnika - zauważył Walker. - Przecież za nic w świecie nie chcieliście go ubezpieczyć na ten czas, kiedy Sal próbował go ukraść.

Davis nie odpowiadał.

- Czy Sal miał zamiar podzielić się z panem pieniędzmi za naszyjnik? - spytał Walker, potem dodał oschle: - Oczywiście, po wcześniejszym potrąceniu dodatkowego oprocentowania.

Davis przytaknął z westchnieniem.

- Chryste, tato, dlaczego po prostu nie sprzedałeś tych rubinów i nie zwróciłeś Salowi długu?

Davis zamknął oczy.

- Próbowałeś uniknąć podatków? - upierał się Jeff.

Davis chwycił się kurczowo tej wersji, jakby to był kieliszek bourbona.

- Tak. Podatki. Po ich zapłaceniu uczciwemu człowiekowi nic nie zostaje.

- Czy dlatego FBI puka do naszych drzwi? - spytał Jeff Walker. - Z powodu podatków?

- Podatkami zajmuje się zupełnie inna agenda rządowa - wyjaśnił Walker. - Sądzę jednak, że twój ojciec nie sprzedał tych rubinów z zupełnie innego powodu.

- Te kamienie wcale do pana nie należały - wtrąciła nagle Faith. - Dlatego nie mógł pan ich sprzedać. Mógł pan natomiast postarać się, żeby ktoś je ukradł, a potem podzielił się z panem pieniędzmi.

Walker spojrział na nią.

- To nie było pytanie - oświadczyła spokojnie. - A może mam milczeć jak głaz, któremu twoim zdaniem dorównuję pod względem ilorazu inteligencji?

Nim Walker zastanowił się, jak odeprzeć tę zaczepkę, odezwał się Jeff:

- Wszystkie kamienie szlachetne o znacznej wartości powinny zostać wpisane do ksiąg inwentarzowych sklepu jubilerskiego. Na pewno zauważyłbym taki wpis. Nie było go. Ojciec powiedział, że są to ostatnie klejnoty Montegeau spośród tych, które nie zniknęły wraz z Błogosławionym Kufrem.

Davis nie odezwał się ani słowem.

Walkerowi zaświtała w głowie myśl, która jednak wcale mu się nie spodobała. Tylko w ten sposób można było znaleźć wspólny mianownik dla poczynań April Joy i dwóch facetów z drugiej strony Gór Skalistych, członków mafii z Atlantic City.

Cholera.

- Do rubinów jeszcze wrócimy - zapowiedział Walker ponuro. - Na razie porozmawiajmy o Salu. Ilekroć próbował w Savannah ukraść naszyjnik, nie udawało mu się to, chociaż pan informował go, gdzie jest Faith.

Davis przytaknął ze znużeniem.

- Czyim pomysłem było odwołanie ślubu w Savannah i przeniesienie całej ceremonii do Rubinowych Bagien? - dociekał Walker. - Pańskim czy Salą?

- Moim - odparł Davis bezdźwięcznie. - Sal jedynie kazał mi w jakiś sposób ściągnąć Faith do Rubinowych Bagien albo w jakieś inne miejsce.

- Można się było tego spodziewać. Czy to Sal dał panu narzędzia potrzebne do włamania się do sejfu, by kradzież wyglądała na robotę kogoś z zewnątrz?

- Tak. O Boże, potwornie boli mnie kolano.

- To niech pan zażyje więcej aspiryny - burknął Walker szorstko. Spojrzął na Jeffa. - Kiedy przyłączyłeś się do tej zabawy. A może od początku brałeś w niej udział?

Jeff spojrzął na butelkę bourbona, jakby sam miał ochotę się napić.

- On o niczym nie wiedział i niczego nie zrobił - wtrącił Davis, starając się prosto siedzieć. - Przez cały czas robiłem wszystko sam.

- Ale nie pan namówił Faith na to, by zostawiła biżuterię w waszym sejfie.

- Kazałem Jeffowi tak zrobić, a on po prostu mnie posłuchał. Pomimo siniaków i rozciętej wargi Davis zdołał zrobić buntowniczą minę.

- Nie wiedział, co zamierzam.

- To znaczy, że uspił pan Objacza, wyważył łomem przeszkłone drzwi i otworzył sejf.

Jeff skrzywił się.

- Tak - przyznał Davis przez zaciśnięte zęby. - Niech więc pan zwoła federalnych i powie im, że okradłem własny sejf. Muszę się napić.

- Potwierdzasz tę historię? - zwrócił się Walker spokojnie

do Jeffa.

Jeff nalał ojcu bourbona.

- To miła opowiadka - orzekł walker. - Tylko Davis był zbyt pijany, żeby pokonać całą długość korytarza, nie wspominając już o otwarciu sejfu.

Faith spojrzała na Jeffa i przypomniała sobie słowa wypowiedziane przez niego wówczas, gdy włożyła biżuterię do sejfu:

Bez przerwy muszę sobie przypominać, że nawet gdyby coś się stało, ewentualne straty poniesie firma ubezpieczeniowa, nie my, a przecież powszechnie wiadomo, że nie brakuje im pieniędzy.

- Ty to zrobiłeś. - Faith wskazała palcem na Jeffa.

- Ja to zrobiłem! - upierał się Davis.

Zignorowała go i z coraz większą złością wpatrywała się w Jeffa.

- Wykorzystałeś fakt, że szczerze ci współczułam i rozumiałam, jak bardzo wstydzisz się pijanego ojca. Dzięki temu...

- Wystarczy - przerwał jej Jeff. Stuknął karafką o marmurowy blat stołu z taką siłą, jakby chciał ją rozbić, - Dlaczego ojciec miałby się tłumaczyć takiej oszustce jak ty?

- Co to ma znaczyć? - spytała Faith.

- Gdy otworzyłem sejf, niczego w nim nie było - wypalił

Jeff. - A ty, do jasnej cholery, doskonale o tym wiesz!

Więc daruj sobie to święte oburzenie. Niedobrze mi się robi, gdy słyszę, jak takie słowa padają z ust zwyczajnej naciągaczki!

- Serce mi krwawi - odezwał się sardonicznie walker. -

Ale nie miej pretensji do Faith. To ja zatrzymałem naszyjnik.

Na skutek tego ukradłeś błyskotki warte sto tysięcy zamiast miliona. Biedne dziecko.

Jeff spojrzał na walkera, a potem wybuchnął tak gromkim śmiechem, aż podskoczyły mu jasne gęste włosy.

- Widzę, że ciebie też owinęła sobie wokół palca. Te duże smutne oczy, długie nogi i piękne kłamliwe usta. No cóż, posłuchaj więc, idioto. W sejfie nie było niczego oprócz papierów i rodzinnej Biblii! Idę o zakład, że jej firma ubezpieczeniowa będzie zadowolona, gdy się tego dowie.

- Kłamiesz! - zawołała Faith. - Zostawiłam w sejfie trzy swoje klejnoty i teraz ich nie ma.

Jeff spojrzał na nią z odrazą.

- Możesz powtarzać tę opowieść, słodka ptaszyno. Zobaczymy, kto to kupi. Wiem, co znalazłem w sejfie. Nic. Żeby udobruchać Sala, ojciec musiał opróżnić skarbiec sklepu jubilerskiego, a i tak ciężko go pobili.

Faith przeniosła wzrok z Jeffa na walkera.

- Naprawdę włożyłam te klejnoty do sejfu.

- Do diabła... - zaczął Jeff.

Walker przerwał mu gwałtownym machnięciem ręki.

- Nie podnoś głosu - powiedział. - Nim ponownie o cokolwiek oskarżysz Faith, lepiej dobrze się zastanów. Słyszysz?

- To znaczy, że ty też byłeś w to zamieszany - oświadczył

Jeff. - Zastanawiałem się nad taką możliwością.

- Zastanawianie się jest dobrą rzeczą - przyznał walker łagodnie - pod warunkiem, że nie robi się tego na głos.

Jeff spojrzał na niego z ogromnym rozgoryczeniem.

- Sejf był pusty.

Walker zaczynał mu wierzyć.

- Kto zna do niego szyfr?

- Ojciec. Ja. I koniec.

Walker skierował spojrzenie na starszego pana Montegeau.

- Zapomnij o tym - powiedział Jeff. - Kiedy poszedłem namówić go, żeby zrezygnował z okradania własnego sejfu, był nieprzytomny i chrapał, aż dom drżał w posadach.

- W porządku. Wróćmy zatem do ciekawszych spraw - zaproponował walker.

- Ciekawszych? - Faith prychnęła ze złością. - Sprawa mojej straconej biżuterii nie jest dość ciekawa?

- W tej sprawie federalni nawet nie kiwnęliby palcem -

zauważył Walker. - Mimo to krąży wokół domu Montegeau jak sępy. Obserwują cię.

- Mnie? - Oczy Faith zrobiły się okrągłe. - To śmieszne. Dlaczego miałoby tracić czas na obserwowanie mnie?

Jeff prychnął.

Walker spojrział na niego.

- Wyjaśnij mi, skąd pochodzą rubiny, które twój ojciec przysłał Faith?

- Mówiłem ci - powiedział Jeff przez zęby. - Zostały wyjęte z ostatniego rodzinnego klejnotu. Były to jedyne przyzwoite kamienie, które nie zniknęły wraz z Błogosławionym Kufrem.

Walker spojrział na Davisa.

- Potwierdza pan to?

Davis nie odpowiedział.

- Pamięta pan, co powiedziałem o Donovanach i adwokatach?

- spytał Walker.

- Pech - szepnął Davis. - Od utracenia Błogosławionego Kufra prześladowuje nas pech.

- Działając w pojedynkę, nic pan nie wskórał - zgodził się Walker. - Na pewno nie potrzebuje pan pomocnej dłoni? Jego słowa brzmiały uprzejmie i wyrozumiale, przynajmniej dopóty, dopóki nie popatrzyło mu się w oczy.

Davis jęknął jak człowiek obracany na rożnie nad ogromnym ogniskiem.

- Jeffy, synu, naprawdę jest mi niezmiernie przykro. Od śmierci twojej matki bardzo się starałem. Bardzo.

Powieki Jeffa drgnęły z bólu.

Walker zahaczył butem fotel i przyciągnął go w stronę sofy.

- Usiądź - zaproponował Jeffowi. - Mam wrażenie, że nie będziesz zachwycony tym, co ojciec ma ci do powiedzenia. Jeff opadł na fotel. Patrzył na Davisa pełnym niedowierzania wzrokiem, chociaż w głębi duszy we wszystko już uwierzył. Ostatecznie pożegnał się z dzieciństwem, gdy wziął ojca za rękę i powiedział słowa, które sam często słyszał, będąc chłopcem:

- Niezależnie od wszystkiego, powiedz, co się stało. Znajdziemy na to jakiś sposób.

Davis niespokojnie westchnął, po czym przytaknął. Obaj panowie udawali, że nie widzą łez napływających do oczu seniorowi rodu.

Faith zagryzła wargę i starała się odsunąć na bok współczucie, które się w niej obudziło na myśl, jak by się czuła, będąc na miejscu Jeffa.

Walker uniósł jej dłoń, potarł policzkiem, w milczeniu starając się dodać Faith otuchy, potem szybko puścił ją, nim zdążyła zaprotestować przeciwko temu intymnemu gestowi.

- Od kilku lat dostawałem biżuterię z Rosji - przyznał Davis bezbarwnie.

Witaj, April Joy - pomyślał Walker. Nie powiedział jednak tego na głos.

- Pochodziła z kradzieży.

- Nie... nie pytałem.

Walker burknął. Wcale nie był tym zaskoczony.

- Ale każda sprzedaż przynosiła panu niezły profit, prawda?

Davis przytaknął, choć nie był zbyt szczęśliwy.

- W ten sposób ratowałem się przed bankructwem, póki nie zdołam rozbudować Bayou Estates i potem ich sprzedać. To powinno się sprawdzić. Sprawdziłoby się, gdyby...

- Tato - przerwał mu Jeff, chociaż w jego głosie więcej było łagodności niż zniecierpliwienia. - To już wiemy. Musimy iść dalej.

- Z kim kontaktował się pan w sprawie tej biżuterii? - spytał Walker. -

- Z Tarasov International Traders. To legalna firma - zaznaczył

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Davis, ale jego głos świadczył, że nie jest o tym całkowicie przekonany. - Sprawdziłem. Mają licencję, pieczętki odprawy celnej i całą resztę. Ale to był już problem April Joy, nie walkera. On chciał tylko dojść do tego, czemu federalni śledzą Faith, a nie kogoś z przestępców piorących w Stanach Zjednoczonych skradzioną w Rosji biżuterię.

- A jak wyglądała wycena na formularzach celnych? - spytał Walker. - Idę o zakład, że zawsze była nieco zaniżona. Davis westchnął.

- Stąd właśnie pochodził prawdziwy zysk. Kamienie zawsze były o niebo lepsze, niż sugerowały to dokumenty wywozowe. Dużo trudniej jest jednak oszacować kamienie w oprawie, dlatego wcześniej nigdy nie mieliśmy kłopotów.

- Zwłaszcza że prawdziwe skarby były wymieszane z ogromną ilością zwykłego śmiecia - podpowiedział Walker. Było to stare oszustwo i zawsze się udawało. W urzędach celnych nie pracowało zbyt wielu rzeczoznawców z certyfikatem AIKS-u. Większość urzędników nie potrafiła odróżnić dobrej jakości różowego ametystu od przyzwoitego rubinu.

- Co w takim razie zawiodło?

- Przypuszczalnie dostałem w przesyłce coś, co nie powinno do mnie trafić. Coś naprawdę wartościowego.

- Wysokiej jakości rubin? - spytała Faith ostro. - Mniej więcej wielkości piątki niemowlęcia? Grawerowany? Pomimo krążącej w żyłach adrenaliny Walker niemal się uśmiechnął - dzieci Susy Donovan nie były matołkami.

- Tak - szepnął Davis. - To był najpiękniejszy kamień szlachetny, jaki w życiu widziałem. Dorównywał najwspanialszym rubinom, które podobno były niegdyś w Błogosławionym Kufrze. Większy od orzecha włoskiego i otoczony naturalnymi perłami w kształcie łez. Resztę naszyjnika stanowiło czternaście przynajmniej dwukaratowych birmańskich rubinów oprawionych w złoto. Szlif pozostawiał wiele do życzenia, ale same kamienie były piękne, jeśli chodzi o kolor i przejrzystość.

Jeff spoglądał na ojca z bólem i niedowierzaniem.

- Czemu mi nie powiedziałeś?

- Nie chciałem cię w to wszystko mieszać - wyznał Davis.

- Czy miał jakąś nazwę? - spytał Walker.

- Nie rozumiem?

- Chodzi mi o ten wielki rubin. Czy jakoś się nazywał? Davis sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Nieważne - mruknął Walker ze niecierpliwieniem. - Co pan z nim zrobił?

- Został wykonany w taki sposób, że można go było odczepić od łańcucha i nosić jako spinkę albo naszyjnik. Odpiąłem go, przywiozłem tutaj i schowałem w sejfie. Nie chciałem, żeby Jeff zobaczył go w sklepie jubilerskim. Zaczęłyby zadawać pytania...

- Do jasnej cholery, na pewno - przyznał syn z goryczą.

- Czy był tak dobry jak rubiny z naszyjnika Mel?

- Lepszy - wyznał Davis.

- Jezu! Kamień tej wielkości byłby wart miliony.

- Kiedy byłeś na wystawie? - spytała Faith.

- Gdy poszliśmy na lunch - odparł Jeff.

- A ona została napadnięta? - spytał Walker chłodno. Jeff wzdrygnął się.

- Nie miałem pojęcia, skąd pochodzą te rubiny. Po prostu chciałem zobaczyć naszyjnik. Tak czy inaczej nadal nie wierzę, że mój ojciec miał coś wspólnego z tym napadem. Walker przeniósł uwagę na Davisa.

- Kto jeszcze wiedział, że w pańskim sejfie znajduje się tak wspaniały rubin? - spytał Walker.

- Nikt. Tylko ja jeden znałem szyfr. Teraz zna go również Jeff.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Jeff poruszył się niespokojnie. wciąż niedobrze mu się robiło na wspomnienie, w jaki sposób zmusił ojca do podpisania pełnomocnictwa.

- Kiedy zdradził pan kombinację synowi? - spytał Walker.

Davis miał ochotę uchylić się od odpowiedzi. Scena, która rozegrała się w bibliotece, była zbyt bolesna. Potarł zarośnięty policzek, skrzywił się, gdy poczuł rozciętą wargę, i opuścił rękę.

- Tuż przed waszym przyjazdem tutaj - wyznał Davis nieszczęśliwy. - Jeff zmusił mnie do podpisania zgody na pełnomocnictwo.

- W jaki sposób? - spytał Walker prosto z mostu.

- Nie chodziło wcale o rubiny - zapewnił Jeff szybko. - To była sprawa osobista.

- Tak samo jak morderstwo. - Walker wbił w Davisa wzrok i czekał.

- Do diabła! - zaklął Davis. - Powalił mnie na podłogę i nie pozwolił mi się napić, póki nie złożyłem podpisu. Walker zaczął wyżej cenić charakter Jeffa.

- Gdzie jest rubin?

- Nie wiem! - wychrypiał Davis. - Bez przerwy powtarzałem to temu facetowi, ale on też mi nie uwierzył. Cholera jasna, kamień po prostu zniknął!

- Żadnego śladu włamania ani wiszących słuchawek? - spytał Walker rzeczowo, zaciskając mocno usta.

- Niczego.

Davis ukrył twarz w dłoniach, syknął z bólu, kiedy dotknął nosa, po czym ponownie opuścił rękę.

- Niczego -- powtórzył z desperacją.

- Komu tak zawzięcie pan powtarzał, że rubin zniknął? - spytał Walker.

- Nie znam nazwiska tego człowieka. Jakiś tydzień po otrzymaniu przesyłki zadzwonił telefon. Ten człowiek mówił po angielsku, ale z obcym akcentem. Przypuszczam, że pracuje dla Tarasowa.

Faith obserwowała Walkera. Wyglądał jak Archer zatopiony w pracy i całkowicie pozbawiony uczuć.

- Jaki to był akcent? - spytał Walker.

- Pewnie rosyjski - podpowiedział Jeff niecierpliwie. - Stamtąd przyszedł towar, prawda?

- Pytanie nie było skierowane do ciebie. Pytałem twojego ojca.

- Posłuchaj - warknął Jeff. - Jeśli nie wierzysz w to, co mówi, czemu wierzysz mu dziurę w brzuchu?

Walker odwrócił się z wdziękiem śmiertelnie niebezpiecznego drapieżnika.

- Podoba mi się, że bronisz ojca. To godna podziwu cecha u syna. Czy wiesz coś o rubinach, Rosjanach i napadzie rabunkowym, czego dotychczas mi nie powiedziałaś?

- Nie.

- W takim razie zamknij się.

- Kim ty, do diabła jesteś, że...

- Faith - powiedział Walker, nie odwracając się od Jeffa

- idź i zwołaj agentkę FBI, Peel. Jeff koniecznie chce porozmawiać z przedstawicielami prawa. To dobrze. Na pewno będzie miał do czynienia z wieloma.

- Nie! - zaprotestował Jeff szybko. - Po prostu nie podoba mi się, że prześladujesz ojca.

- W takim razie zamknij oczy, synu.

Faith zadrżała, słysząc łagodny głos.

Jeff również.

Walker odwrócił się z powrotem do Davisa.

- Jaki akcent miał pański bezimienny rozmówca?

- Nie francuski, niemiecki ani angielski - wyznał Davis.

- To wszystko, co mogę powiedzieć.

- O co mu chodziło?

- O natychmiastowy zwrot ogromnego rubinu.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Ile dni wcześniej zorientował się pan, że ten kamień zniknął? - spytał Walker.

- Słowo daję, nie mam pojęcia, kiedy został zabrany. To mogło się zdarzyć każdego dnia w ubiegłym tygodniu.

- Chrzanienie. Posiadacz takiego kamienia wyjmuje go i obraca w rękach przynajmniej dwa razy dziennie, a w niedzielę trzy - przerwał mu gwałtownie Walker. - Tej miłej damie z odznaką na pewno znudziło się już patrzeć, jak Mel robi kawę, więc niech pan daruje sobie te pierdoły.

- Trzy dni. Może cztery. Nie pamiętam. Chyba momentami nie bardzo wierzyłem, że w ogóle kiedykolwiek go miałem.

- Taak, zbyt duża ilość bourbona katastrofalnie wpływa na szare komórki - przyznał Walker bez współczucia. - Co pan powiedział, gdy ten facet zażądał natychmiastowego zwrotu rubinu?

- Potwornie się przestraszyłem - szepnął. - Zagroził, że jeśli mu nie powiem, gdzie jest rubin, zabije mnie. Na dodatek obiecał, że będzie to powolna i bolesna śmierć. A ja nie miałem pojęcia, gdzie jest ten kamień!

- Co mu pan powiedział? - spytał Walker.

Davis zerknął z utęsknieniem w stronę bourbona. Z tego właśnie powodu dręczyły go największe wyrzuty sumienia. To dlatego nie miał odwagi spojrzeć na własne odbicie w lustrze.

- Powiedziałem... - Odchrząknął i spróbował ponownie.

- Powiedziałem, że wysłałem rubin innemu jubilerowi.

- Kogo zamiast siebie skazał pan na powolną i bolesną śmierć? - spytał zimno.

- Nikogo! Nie mógłbym...

- Pieprzenie - powiedział Walker. - Nie znalazł pan tego rubinu, było więc jasne, że jest pan trupem. Kto miał umrzeć za pana?

Faith wiedziała, nim Davis otworzył usta.

- Ja - oznajmiła. - Powiedział Rosjanom, że to ja mam ten kamień.

Walker patrzył na starszego pana, jak kot na szczura.

- Davisie?

- Nie wiedziałem, co mam zrobić - wyznał Davis ze szlochem. - Ten facet chciał mnie zabić.

Walker nie widział przeciwwskazań, żeby zrobić to osobiście.

- Widać, że sporo ludzi dybie na pańskie życie, panie Montegeau - powiedział. - Oto co się dzieje, jeśli gra się w kulki po złej stronie boiska szkolnego. Najważniejsze w tej historii jest jednak to, że rubiny, które dał pan Faith, pochodziły z tej samej przesyłki, prawda?

Davis zamknął oczy. Skrzywił usta, jakby odczuwał ból albo się go spodziewał.

- Tak - wychrypiał.

- Wchodziły w skład tego samego naszyjnika? - spytał Walker, nie chcąc zostawić żadnych niedopowiedzeń.

- Tak.

Walker zadał pytanie za milion dolarów tak obojętnie, jakby prosił o zapałki.

- Gdzie teraz jest ogromny rubin?

- Nie wiem.

- Błędna odpowiedź.

W głosie Walkera pobrzmiwał chłód. Takie samo uczucie zadomowiło się w jego wnętrzościach. Spojrzał na Faith, jakby chciał sprawdzić, czy wciąż jest bezpieczna. Potem przeniósł wzrok na Jeffa.

- Wezwij prawnika - poradził. - Może twój kochany ojciec pożyczę tak długo, że będzie potrzebował obrońcy.

Dwie godziny później na odrapanej frontowej werandzie Rubinowych Bagien pojawiła się April Joy. Cindy Peel, zaciskając zęby, przekazała April wszystkie informacje przy zimnej kawie w salonie. W tym czasie reprezentująca Davisa Montegeau pani adwokat sporządzała w kuchni dokument

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

o przyznaniu się do winy i umowę o ochronie świadka. Warunki ugody były bardzo konkretne - jeśli Davis zgodzi się na pełną współpracę, zostaną wycofane wszystkie oskarżenia przeciwko całej rodzinie Montegeau. Natychmiast po podpisaniu umowy FBI zapewni Davisowi ochronę, żeby mógł dożyć chwili, kiedy Sal, Joe i Buddy trafią do więzienia federalnego.

Gdyby to zależało od April Joy, osobiście wydusiłaby wszystko ze starego drania, wiedziała jednak, że jeśli tylko spróbuje wykraść FBI świadka, federalni podniosą wrzawę na cały kraj, nie omijając prezydenta. Nic tak nie wkurzało April jak bitwy o piaskownicę, zwłaszcza jeśli wiedziała, że lepiej pozwolić drugiej stronie na wygraną. Na razie mogła jedynie oddelegować Maxa Bartona, by przysłuchiwał się każdej rozmowie FBI z Davisem.

Prawdziwymi powodem, dla którego April nie wykorzystwała swojej pozycji i próbowała wyolbrzymić wkurzającą rywalizację, był fakt, iż Davis najwyraźniej nic nie wiedział na temat jedynej rzeczy, która się dla niej liczyła - Serca Północy. Stary pijanica przez cały czas utrzymywał, że rubin zginął. Cindy Peel mu wierzyła.

April liczyła na to, że Faith Donovan wie więcej, niż twierdzi. Owa nadzieja była jedynym powodem, dla którego April Joy w ogóle opuściła Seattle.

- W porządku - powiedziała do Peel łodowatym głosem.

- Pijak należy do was. Ale bezzwłocznie przyślijcie mi kopię każdego zdania, które powie na temat kanałów przerzutowych z Rosji. Gdyby choć jednym słowem zasugerował, iż wie coś na temat Serca Północy, natychmiast się ze mną skontaktujcie. Zgoda?

Peel była realistką. Drobniutka i cholernie piękna April Joy z pewnością nie zaszła tak wysoko dzięki swojemu wyglądowi.

Była bystrzejsza i twardsza niż ktokolwiek, kogo znała Peel, zarówno wśród mężczyzn, jak i kobiet. Gdyby April chciała zamienić komuś życie w piekło, na pewno by jej się ów zamysł powiódł.

I zrobiłaby to bez wahania.

- Oczywiście - odparła spokojnie Peel. - Zawsze z przyjemnością współpracujemy z innymi urzędami federalnymi. April prychnęła i wsunęła ręce do kieszeni eleganckich czarnych spodni.

- Jasne, siostrzyczko.

Wzruszyła ramionami pod niedbale zarzuconym żakietem.

Ubranie pochodziło z normalnego sklepu, ale na April wyglądało, jakby zostało zaprojektowane specjalnie dla niej. Długie, czarne jak smoła włosy związała na karku w mocny węzeł.

- Gdzie są pozostali?

- Młodszy z panów Montegeau poszedł na piętro. Reszta je kolację.

W głosie Cindy pobrzmiwała odrobina zazdrości. Dość się nacierpieli, obozując na mokradłach. Teraz z kolei czuli się jak wyrzutki w domu, w którym unosiły się najbardziej niewiarygodne zapachy kuchenne.

- Ładnie pachnie - przyznała April.

- Walker o świecie przyniósł nam resztki biszkoptów. Od tego czasu nie mogę przestać myśleć o jedzeniu.

April przez chwilę rozważała problem Owena Walkera.

W jego teczce były ciekawe luki, których z braku czasu nie zdążyła przed odlotem uzupełnić. Jednak nawet bez sprawdzonych informacji zakładała, że przyjazny południowy sposób bycia Walkera jest jedynie grą. Archer Donovan nie zatrudnia głupców, nawet jeśli są przyjaźnie nastawieni do całego świata. Walker w błyskawicznym tempie stał się nieoceniony dla Donovanów.

Co oznaczało, że potrafi wykonać każdą robotę.

- Chyba spróbuję wprosić się na kolację - oznajmiła

April. - Może uda mi się wykraść dla ciebie jakieś resztki.

Peel ugryzła się w język, żeby nie powiedzieć, co sądzi o zadzierającej nosa April.

Faith właśnie zjadła ostatnią łyżkę zupy z samicy kraba, kiedy Tiga wyszła z kuchni z ogromnym półmiskiem pieczonych na grillu żeberek. Dodatek do nich stanowiły małe, smażone na głębokim tłuszczu kluseczki z mąki kukurydzianej. Pojawiła się również ogromna miska z surówką z białej kapusty i innych warzyw z dodatkiem majonezu. Była to bardzo dobra surówka.

- Na deser placek z winogronami - oznajmiła Tiga, uśmiechając się do Faith - więc zostaw sobie miejsce, Ruby, aniołku.

Faith z trudem zdobyła się na uśmiech. Zrezygnowała z prób przekonania Tigi, iż ma na imię Faith.

- Postaram się - powiedziała Faith.

- Zawsze byłeś dobrym dzieckiem. Od urodzenia ani razu nie zapłakałeś. - Ustawiła półmisek obok Faith, potem z napięciem wpatrzyła się w młodą kobietę. - Chciałam cię zatrzymać, naprawdę, ale mama powiedziała, że odeszłaś, mała. Długo, daleko, smutny śpiew, to grzech, to grzech. Nie powinien, ale mógł, więc to robił, i robił, i robił... Na dźwięk śpiewnego głosu starszej pani Faith poczuła, że przenika ją dreszcz, mimo to zdołała uśmiechnąć się do Tigi.

- Słyszałam, jak płaczesz w ciszy, nikt nie słyszy, wzdychasz, umierasz, cudowna Ruby, moja dziecinko. Tak miło cię widzieć. Być z tobą. Ja i ty na zawsze w oceanie z samcami krabów i czerwonymi duszami. Trzy małe prezenty były ładne, ale nie wystarczyły, nie wystarczyły. Trzydzieści nowych duszyczek dla mnie i czternasta, żebyś mogła się uwolnić, duszyczka tak duża jak twoja słodka mała piastka. Chciałabym, żebyś mogła ją zobaczyć, Ruby, aniołku. Kiedy dasz mi tę trzynastkę, obie będziemy wolne. Zjedz coś jeszcze, skarbie, dziecinko. Bagna to miejsce, gdzie panuje głód.

Faith bez słowa patrzyła, jak Tiga napełnia jej talerz jedzeniem. Walker odczekał, aż starsza pani odejdzie na swój koniec stołu, po czym wymienił się talerzami z Faith i zaczął jeść. Po pierwszym kęsie wydał pomruk rozkoszy. Tiga mogła być nieprawdopodobnie stuknięta, ale cholernie dobrze gotowała.

Ten jeden jedyny raz Mel nie była głodna. Nałożyła sobie na talerz odrobinę sałatki, kluseczkę z mąki kukurydzianej i pojedyncze żeberko. Potem obróciła wszystko dookoła, jakby zastanawiała się, z której strony jedzenie wygląda najlepiej. Jeffa nie było. Nie potrafił zmusić się do tego, by usiąść przy tym samym stole co Faith, kobieta, która tak bardzo go oszukała. Nie miał jednak zamiaru denerwować Mel, która wciąż nie chciała uwierzyć, że jej przyjaciółka jest złodziejką. W związku z tym unikał tego tematu i trzymał się z dala od Faith.

- Zjedz coś, Mel - szepnęła Faith. - Nawet jeśli nie masz na nic ochoty, musisz myśleć o dziecku.

Mel uniosła głowę, uśmiechnęła się, chociaż pod oczami miała brązowe cienie, i wsunęła srebrny widelec do ust.

- Przykro mi, że Tiga wciąż mówi do ciebie „Ruby”.

Faith wzruszyła ramionami.

- Nie przeszkadza mi to. A tak swoją drogą, kim była Ruby?

- Jej dzieckiem - odpowiedział szybko Davis, który właśnie stanął w drzwiach.

Zrzucił z siebie podartą i zakrwawioną odzież, ale nadal nie wyglądał zbyt porządnie. Biała koszula była niemal przezroczysta od potu. Pasek od brązowych spodni nosił ślady przetarcia. Davis opierał się ciężko na pożyczonej od Walkera łasce.

Mel uniosła głowę.

- Jej dzieckiem? To znaczy, że Tiga miała dziecko?

Davis przytaknął ze znużeniem. Podszedł powoli do stołu i usiadł na krześle. Objacząc wyczołgał się spod stołu i szturchnął nosem rękę starszego pana. Davis bezwiednie poskubał długie uszy psa.

- Nie wiedziałam, że Tiga była mężatką - odezwała się Mel.

- Bo nie była. Urodziła bękarta.

- Proszę tak nie mówić. Cała odpowiedzialność spoczywa na mężczyźnie, który ją porzucił - zauważyła Faith. - Dziecko nikomu w niczym nie zawiniło.

Davis spojrział na nią.

- Och, ojciec rzeczywiście był strasznym sukinsynem, ale nie dlatego się z nią nie ożenił. Miał już żonę. Jej matkę.

Przez chwilę Faith wydawało się, że źle go zrozumiała.

Potem zaczęła się obawiać, że zrozumiała Davisa aż za dobrze. Z brzękiem odłożyła widelec. Spadł z talerza i potoczył się na podłogę.

Walker niespiesznie go podniósł.

- Davisie, masz bardzo niekulturalny sposób prowadzenia rozmowy przy stole.

Davis roześmiał się gorzko przez zaschnięte gardło. Od trzech godzin nie wziął do ust ani kropli alkoholu. Wcale nie czuł się z tego powodu lepiej.

- Nie lubisz prawdy, chłopcze? w takim razie zatkaj uszy bagiennym błotem.

- Tatusiu Montegeau, proszę, nie mów tak - zaoponowała Mel.

Davis oparł łokieć o stół i zmierzył swoją przyszłą synową spojrzeniem pełnym smutku i zniecierpliwienia.

- Nie martw się, kochanie. Jeff nie jest takim napalonym draniem jak jego dziadek. Dzięki Bogu, ja również. Poza tym takie rzeczy zdarzają się nawet w najporządniejszych rodzinach.

- Kazirodstwo? - spytała Faith z niedowierzaniem.

Tiga nagle wstała, odsunęła się od stołu i powiedziała wyraźnym dziecięcym głosem:

- Jestem niegrzeczną dziewczynką. On za każdym razem mi powtarza, że jestem bardzo, bardzo niegrzeczna.

Prowokuję swoim zachowaniem. - Uśmiechnęła się z niesamowitą desperacją i wyszeptała modlitwę w obliczu

klęski. - Nie miałam takiego zamiaru, tatusiu. Naprawdę, nie miałam. Proszę. Nie. Nigdy więcej tego nie zrobię.

Przenigdy. - Jej długie, białe palce zadrżały. - Ale robię to i on też to robi, a mamusia widzi mój urodzinowy prezent rubinowy. Tata odchodzi, odchodzi. Grzmot i błyskawica.

Moja wina. Prowokuję swoim zachowaniem. - Rozejrzała się po całym pomieszczeniu. - To błogosławiony czas. Rozumiecie, kraby. Kolacja o ósmej. Tylko się nie spóźnij.

Gdy Tiga wyszła, nikt nie odezwał się ani słowem. Mel niespokojnie westchnęła.

- Czy Jeff o tym wie?

- Prawdopodobnie tak - odparł Davis. - Dzieciaki zawsze o wszystkim wiedzą, nawet gdy ich rodzice chcieli utrzymać coś w tajemnicy.

- Rzeczywiście dzieci jakimś cudem potrafią dowiedzieć się tego, czego nie powinny - zgodził się cicho Walker.

Faith zdawała sobie sprawę, że w takim samym stopniu mówił o sobie, jak o młodym pokoleniu Montegeau.

- Dużo czasu spędziłeś, ukrywając się za drzwiami? - spytał Walker Davisa.

- Kto tego nie robił? - zaklął zmęczony. - Ojciec był alkoholikiem, na dodatek najbardziej lubił małe, niedojrzałe

dziewczynki. Nie bardzo się przejmował, czyją córkę właśnie wciąga do łóżka. Nawet jeśli to było jego własne dziecko.

- Szkoda, że ten wamywacz nie zabił go wcześniej - oświadczyła Faith dobitnie.

Davis wzruszył ramionami.

- Na świecie nie brakuje mężczyzn takich jak on. Większość z nich jest dużo gorsza.

- Większość mężczyzn jest znacznie lepsza - odpaliła.

- To i tak nie ma zbyt wielkiego znaczenia. Wszystko działo się dawno, dawno temu.

- Nie dla Tigi. Dla niej tamta historia stanowi dzień wczorajszy, dzisiejszy i jutrzejszy.

Davis zerknął na karafkę z bourbonem. Była niemal pusta.

Będzie musiał pokuśtykać do spiżarni, pogrzebać w workach z ryżem, mąką i cukrem, by znaleźć ukryte zapasy.

Zastanawiał się, czy wystarczy mu sił.

- Śmiem twierdzić, że to wcale nie było włamanie - rzucił Walker.

- Co takiego? - spytał Davis zaskoczony.

- Czy to Tiga nacisnęła spust i wyprawiła na tamten świat waszego kochanego staruszka, czy w końcu jego żona zebrała się na odwagę i zabiła drania?

Davis początkowo wyglądał na zaskoczonego, potem przez chwilę się zastanawiał.

- Trudno wykluczyć taką możliwość. Mama była twarda jak skała, póki nie zaczęła chorować. Tylko wtedy nie stracilibyśmy Błogosławionego Kufra, prawda? Zawsze wrzeszczała na ojca, że splota swoje małe kochanki rubinami z tej kasetki.

Faith wciąż brzmiały w uszach słowa Tigi, słowa, które niemal coś znaczyły, nigdy jednak nie tworzyły sensownej całości. Pobrzmiwało w nich nieszczęście i obsesja na punkcie rubinów, które Tiga traktowała jak zmarłych albo zaginione dusze. Faith zastanawiała się, czy ciotka Jeffa widziała rodzinne klejnoty u innych dziewcząt i miała świadomość, dlaczego kamienie zmieniły właściciela. To by wyjaśniało obsesję Tigi na ich punkcie, tłumaczyłoby również jej przekonanie, iż rubiny są zapłatą za duszę.

- Może po opłaceniu wszystkich dziewcząt szkatułka była pusta - szepnęła Mel. - Tak samo pusta jak serce ojca Tigi.

- Kochanie - powiedział Davis znużonym głosem - serca mają cholernie dużo wspólnego z bogactwem. Widziałem Błogosławionego Kufera krótko przed śmiercią ojca. W szkatułce znajdowała się biżuteria, na widok której każdy chłopak zaczyna marzyć o tym, by zostać piratem i mieć własny srebrny kuferek wypełniony po brzegi rubinami i złotem.

- Niech pan zacznie sprzedawać mapy z oznakowaną drogą do skarbu - zaproponowała April Joy sardonicznie, wchodząc do jadalni. - Zarobi pan w ten sposób więcej pieniędzy, niż zamieniając słone bagna na światowej klasy pole golfowe.

- Kim pani, do diabła, jest? - spytał Davis, spoglądając na piękną, pewną siebie amerykańską Azjatkę, która stanęła w drzwiach, jakby była królową Rubinowych Bagien.

- April Joy - przedstawił ją Walker, nim zdążyła się odezwać.

- Przypuszczałem, że wcześniej czy później pani się tu pojawi.

- Niewątpliwie liczyłeś, iż nastąpi to później.

- Zawsze można mieć nadzieję - zauważył Walker, uśmiechając się spokojnie, niemal nieśmiało.

April przymrużyła oczy, ponownie mu się przyjrzała i w głębi duszy niemal się uśmiechnęła.

- Czy mężczyźni przed wpuszczeniem do królestwa Donovana przechodzą test na przystojność?

- Nie, psze pani - odparł Walker błyskawicznie. - Zresztą i tak oblałbym ten egzamin. Zatrudniono mnie ze względu na moje umiejętności, nie wygląd.

Tym razem April naprawdę się uśmiechnęła.

- I skromność. Myślę, że się dogadamy.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Walker był zbyt mądry, by zareagować na tę sugestię.

- Jadła pani, psze pani?

- Czy to zaproszenie?

- Owszem, na kolację - potwierdziła Faith. - Deser nie jest obowiązkowy.

Walker się do niej uśmiechnął, ale był to zupełnie inny uśmiech niż ten, którym obdarzył April.

- Deser? Czy tak właśnie to traktujesz?

April oszacowała tę parę i odrzuciła pomysł: „Dziel i rządź”. Prawda wyglądała tak, że Walker znalazł kobietę, której szukał. April z doświadczenia wiedziała, że niektórzy mężczyźni łatwo zbaczają z obranej drogi, podczas gdy inni nigdy nie zerkają za płot.

Walker nie zaglądał do ogródka sąsiada.

Ze wzruszeniem ramion usiadła na miejscu Jeffa, gdzie stał pusty talerz, czekając, aż ktoś się nim zajmie.

- Mniejsza o deser - odpowiedziała. - Chętnie skosztowałabym tych żeberek.

- Kim pani jest? - spytała Mel prosto z mostu.

- Przedstawicielką rządu.

- FBI? - dociekała Mel.

- Nie.

- To co?

Walker podał półmisek z żeberkami.

- Jeśli ci powie, będzie musiała cię zabić.

- Zabawne - warknęła April. - Bardzo zabawne. - Nałożyła sobie na talerz dużą stertę żeberek. - Pani Buchanan, wolałabym, żeby nie brała pani udziału w rozmowie, którą właśnie mam zamiar przeprowadzić z tymi ludźmi. Jeśli pani nie wyjdzie, wraz ze swoim przyszłym teściem zostanie pani objęta naszą opieką. Zakładając, że wciąż zamierza pani wziąć ślub.

- W walentynki - oznajmiła Mel, wstając. - Za dwa dni.

- Wątpię, by do tego czasu sprawa się wyjaśniła - wyznała

April, biorąc żeberko. - wybór należy do pani.

Mel od początku nie była głodna. Teraz miała jeszcze mniejszy apetyt. Rzuciła swoją serwetkę na stół.

- Cieszę się, że nasza sytuacja tak panią bawi.

Kiedy April uniosła wzrok znad talerza, w jej wyrazistych czarnych oczach nie było wesołości.

- Pozwalając pani wyjść, wyświadczam pani przysługę.

Mogłabym zamknąć panią i pani nie narodzone dziecko jako ważnych świadków w sprawie kryminalnej dotyczącej międzynarodowego przemytu.

- Ona o niczym nie wie - powiedział szorstko Davis.

Przetarł dłonią twarz i skrzywił się z bólu. - Cholera jasna, ona o niczym nie wie!

- Ojciec ma rację - potwierdziła szybko Mel przez ściśnięte

gardło. - Na temat finansów rodziny Montegeau

wiem niewiele, tylko tyle, że przez cały czas tatuś Montegeau mocno trzymał lejce. Sytuacja uległa zmianie ponoć dopiero kilka dni temu.

- Proszę zatem pójść na spacer i pozostać w błogiej nieświadomości

- zaproponowała April.

Wbiła zęby w soczyste żeberko i starannie pogryzła mięso, jakby próbowała porównać południowego grilla z grillem swojej babci z Hunan.

Mel wyszła z jadalni, głośno zamykając za sobą drzwi.

April pracowała nad żeberkiem, póki kość nie była czysta jak uśmiech człowieka wiecznie szczerzącego zęby. Potem

oblizała palce, wytarła je w serwetkę i powiedziała do walkera:

- Proponuję, żebyś zrobił to samo co pani Buchanan.

- Odmawiam.

- Tak dużo zawdzięczasz Archerowi Donovanowi, by ryzykować ochronę federalną?

Faith głośno odłożyła widelec, zwracając na siebie uwagę April.

- Walker nic nie wie na temat pieniędzy Montegeau - oświadczyła Faith.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Trzymała go pani w nieświadomości, czyż nie tak?
April wzięła następne żeberko, wbiła zęby w pikantne, aromatyczne mięso i zaczęła ogryzać kostkę.
- Co to ma znaczyć? - spytała Faith sardonicznie.
- Nosi pani nazwisko Donovan, więc nie może być pani aż taka głupia.
Walker zacisnął pod stołem palce na udzie Faith. Zesztywniała, potem się rozluźniła. W tym geście nie było ani odrobiny intymności. Jej towarzysz jedynie ostrzegał ją, żeby była ostrożna.
April zerknęła na Davisa.
- Nie ma mi pan nic do powiedzenia? - zachęciła.
- Wszystko powiedziałem już FBI...
- Proszę powiedzieć i mnie - zaproponowała chłodno
April. - Proszę mi wyjaśnić, w jaki sposób wszedł pan w posiadanie Serca Północy.
- Myślałem, że to tylko legenda. - Walker kłamał bez najmniejszego trudu.
- Ten kamień jest tak prawdziwy jak krew, która popłynie, jeśli cholernie szybko nie odeślemy go do Rosji - powiedziała April spokojnym głosem, równie spokojnym wzrokiem obserwując Davisa. - W jaki sposób ten kamień trafił w pańskie ręce?
- Znajdował się w przesyłce z inną biżuterią.
- Przesyłce od?
- Marata Tarasowa.
- Często robi pan interesy z rosyjską mafią?
- Tarasów to przedsiębiorca. Przynajmniej tak myślałem.
April sprawnie oblizała palce i bacznie obserwowała Davisa.
- Tak samo jak połowa pozostałych przedsiębiorców z byłego Związku Radzieckiego. A co z Dmitrim Siergiejewiczem Sokołowem? Z nim również robi pan interesy? Jeszcze nim Davis zdążył odpowiedzieć, odnotowała obojętny wyraz jego twarzy. Cholera jasna. Istnieje taka możliwość. Czysta kość stuknęła cicho o talerz.
- Nigdy o nim nie słyszałem - odrzekł Davis. - Czy to jeszcze jeden eksporter?
- Co pan zrobił z Sercem Północy? - spytała April.
Davis spojrzął na talerz. Tłuszcz i sos z grilla wirowały po białej porcelanie jak brzydki eksperyment zwariowanego nowatora. Sałatka płakała mlecznymi łzami. Davis wziął kłuszkę i ugryzł ją. Była delikatna, pachnąca, a mimo to smakowała jak trociny.
- Straciłem go - odparł cicho.
- Iwanowi Iwanowiczowi powiedział pan co innego.
- Komu?
- Człowiekowi z obcym akcentem - wyjaśniła April, sięgając po następne żeberko. - Artyście, który lubi rzeźbić nożem w ludziach, obserwując, jak wykrwawiają się na śmierć.
Davis się zakrztusił. Była to jego jedyna odpowiedź.
- Słyszysz, Faith? - spytała April.
- O co pani chodzi?
- Jeśli nie oddasz mi Serca Północy, jesteś następna w kolejce do tego noża.
- Nie mogę oddać tego, czego nie mam.
April wzruszyła ramionami, wytarła palce w serwetkę i sięgnęła po szklankę wody z lodem.
- Lepiej, żebyś go miała. Uwierz mi. Jeśli mi nie wierzysz, zaufaj swojemu bratu. Archer pierwszy by ci powiedział, żebyś oddała ten cholerny kamień. Prawda, Walker?
- Jasne. Jest tylko jeden drobny kłopot. Faith nie ma tego rubinu. I nigdy go nie miała. - Uśmiechnął się ironicznie, używając słów April. - Uwierz mi. Jeśli mi nie wierzysz, podłącz Davisa do małej czarnej skrzyneczki i spytaj go, czy kiedykolwiek wysłał ten kamień do Faith Donovan. - Ciemnoniebieskie oczy skupiły się na Davisie. - Przyznaj, staruszk,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

wysłałeś wielki rubin do Faith?

- Nie - wyznał Davis zachrypniętym głosem. - Okłamałem Rosjanina, który do mnie dzwonił. Byłem zbyt przerażony, by znaleźć jakieś inne rozwiązanie. Myślałem, że w ten sposób zyskam na czasie i odnajdę kamień. Ale rubin zniknął. Właściwie to nawet nie bardzo wierzę, że kiedykolwiek go miałem.

April wychyliła się do przodu i postukała czystą kością o porcelanę. Nie chciała wierzyć Davisowi.

Jednak wierzyła.

Rzuciła pozostałości z żeberka na talerz, na leżącą tam już kupkę przypominającą kość słoniową na tle śniegu.

- No cóż, chłopcy i dziewczęta, macie cholerny problem.

Iwanowicz szuka tego kamienia i nie uwierzy, że nie wiecie, gdzie jest ten rubin. Na twoim miejscu, Davisie, schroniłabym się pod skrzydełka FBI i trzymała się ich jak smród gówna. Dzięki nim masz szansę na przeżycie. Davis zaniknął oczy.

Czarne oczy April przeniosły się na Faith.

- Szkoda, że tobie nikt nie zapewni takiej ochrony. Jeśli to, co mówicie oboje z Davisem, jest prawdą, Serce Północy przepadło. Przykro mi, ale Iwanowicz ci nie uwierzy. Gdy przez chwilę się tobą zajmie, powiesz mu wszystko, co będzie chciał usłyszeć. Na tym polega problem związany z wszelkimi torturami. Są stanowczo przereklamowanym sposobem poznawania prawdy. Ale tobie będzie to już całkiem obojętne. Tak jak tym żeberkom. Walker krążył niespokojnie po ogrodzie, póki nie zabrakło mu cierpliwości. Potem wszedł do domu i skierował się do jadalni. Faith robiła wszystko, by nie zostać z nim sam na sam. Był już tym cholernie zmęczony. Ponad godzinę siedziała za zamkniętymi drzwiami jadalni i pewnie piła kawę. Otworzył drzwi.

- Czy to gra dla jednej osoby, czy mogą być dwie?

Faith niechętnie oderwała wzrok od przodków rodu Montegeau i biżuterii z krwistoczerwonych rubinów. Dręczyły ją dziwne myśli związane z klejnotami i pozornie bezsensownymi monologami Tigi. Faith nie udało się jeszcze rozwiązać tej zagadki, czuła jednak, że za tym wszystkim coś się kryje, i to coś ważnego.

Jednak wcale nie miała ochoty na rozmowę z Walkerem, który obserwował ją błękitnymi, płonącymi ponuro oczami. Niepotrzebnie wściekała się na niego o to, że nie powiedział jej wprost, iż został wyznaczony przez Donovan International na jej ochroniarza. Przecież to było wyraźnie widać, wystarczyło tylko popatrzeć.

Nie mogła jedynie pogodzić się z myślą, że Walker traktował ich znajomość jak normalną pracę. Niewątpliwie związaną z pewnymi dodatkowymi przyjemnościami, ale jednak pracę.

Najbardziej wszakże doprowadzało ją do szału to, że nawet teraz, gdy wiedziała, iż Walker jest tylko jej ochroniarzem, na samą myśl o ponownym kochaniu się z nim czuła, jak płonie jej skóra i drży żołądek. Faith doskonale pamiętała, jak miękka jest broda Walkera, jak szybki język ma ten facet i z jaką łatwością doprowadza ją do ekstazy, której wcześniej nie znała.

Co gorsza, Faith nie tylko lubiła przebywać z nim w łóżku. Odpowiadał jej jego spokojny uśmiech i inteligencja, łagodność w stosunku do tych, których polubił, i szorstkość w obcowaniu z tymi, którzy nie zasługiwali na miłe traktowanie. Nie mogła długo złościć się na człowieka, którego kochała. Nikt też nie potrafił z większą łatwością zadać jej głębokich ran niż ktoś, kogo darzyła miłością.

- To tylko gra - powiedziała gorzko. - Prawda? Cholerna gra z rubinami i duszami zamiast kart.

- Całe życie jest grą, lecz jeśli się przegra, człowiek umiera.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Walker wszedł do jadalni i stanął blisko Faith, by przy każdym wdechu czuć zapach gardenii i kobiety. Wiedział, że sam skazuje się na tortury, ale tym się nie przejmował.

- Uważasz, że zameldowałem się w twoim łóżku jak w Holiday Inn i że gdy załatwię swoje sprawy, w taki sam sposób się z niego wymelduję - powiedział gwałtownie. Chociaż miała bardzo napięte mięśnie, udało jej się wzruszyć ramionami.

- Jak sam powiedziałaś, to tylko gra.

- Mylisz się, złotko. Chociaż cholernie bym chciał, żebyś miała rację.

- Czy to ma dla mnie jakieś znaczenie?

- Lot traktował życie jak grę. Ciągnął diabła za ogon, po czym uciekał, co sił w nogach. A jeśli nie był dość szybki, ja zajmowałem się demonami. Taki układ się sprawdzał dopóty, dopóki pewnego dnia mój brat nie postanowił pokonać afgańskich przemytników w ich własnej grze. Nim uwolniłem się od ludzi, którzy na mnie napadli, Lot już nie żył. Koniec gry.

Faith wykrzywiła usta w mimowolnym współczuciu.

- Przegrałem tę grę za niego - wyjaśnił Walker spokojnie.

- Nie zasługuję na to, by grać z kimkolwiek innym.

Przechyliła na bok głowę i przyglądała mu się, jakby był niezwykle kamieniem szlachetnym.

- Jeśli dość długo będziesz sobie powtarzał te słowa, złotko, może naprawdę w nie uwierzysz. Mnie w ten sposób nie przekonasz.

- Cholera jasna, Faith. Nie potrafię dać ci szczęścia.

- No cóż, w tym względzie już raz mnie oszukałeś.

- Nie mówię o seksie.

- Ja też.

- Cholera.

- No właśnie. - Uśmiech Faith był niespokojny i pozbawiony ciepła. - Jak powiedziałaaby Hannah: „Nie ma sprawy, koleś”. W końcu jestem dorosła. Sama odpowiadam za własne uczucia i to, co z nimi robię. Ty odpowiadasz za swoje. Dopilnuję więc, żeby Archer nie zwolnił cię za przespanie się z jego młodszą siostrą. Jeśli odpowiednio przedstawię sprawę, może nawet da ci podwyżkę, na którą tak liczysz.

Przez krótką chwilę Walker myślał, że łąda chwila wpadnie w szau.

Faith również. Nie mogła się tego doczekać. Chciała wiedzieć, musiała wiedzieć, że umie zranić go tak mocno i głęboko, jak on ją. Wstała zza stołu i ze złością odwróciła się, by stawić czoło jego złości.

- Czy tak właśnie myślisz? - spytał w końcu Walker łagodnie.

- Że przeleciałem cię, żeby dostać podwyżkę?

Chciała powiedzieć, że tak, by w ten sposób podpalić kipiącą w oboju złość i obserwować wybuch. Była zaszokowana, że próbuje celowo doprowadzić człowieka do szału.

W tym momencie uświadomiła sobie, jak bardzo polega na niezwyklej opanowaniu Walkera.

- Nie - powiedziała przez zaciśnięte gardło. - Przepraszam.

Żadne z nas nie zasłużyło sobie na coś takiego. Mogłabym zwalić winę na ogromne napięcia towarzyszące ostatnim wydarzeniom, ale to byłoby kłamstwo. Bezwiednie

mnie zraniłeś. Chciałam odpłacić ci pięknym za nadobne. -

Niemal się uśmiechnęła. - Podejrzewam, że wcale nie jestem tak dorosła, jak myślałam.

Walker nie wiedział, że zamierza przytulić Faith, póki nie zamknał jej w ramionach. Nie przypuszczał, że chce ją pocałować, póki jej smak nie zadziałał na wszystkie jego zmysły niczym trzydziestoletni bourbon - pałacy, wyrafinowany i mocny.

Nie próbowała walczyć z nim ani ze sobą. Weźmie to, co się da.

- Cholera jasna, złotko - jęknął w końcu. - Co ja mam

z tobą zrobić?

Niespokojnie nabrała powietrza w płuca.

- A na co masz ochotę?

- Pamiętasz tę książkę, o której rozmawialiśmy?

- Kamasutrę!

- Taak. - Uśmiechnął się spokojnie. - Właśnie tę.

- To chyba dobry początek. Tylko...

- Co?

- Czy w tamtych czasach mieli wiktoriańskie wanny stojące na nogach z pazurami?

- Napiszemy nową książkę.

- Dobry pomysł.

Walker podszedł do drzwi, zamknął je zdecydowanym ruchem i podstawił pod kłamkę fotel. Potem zaciągnął zasłony na oknach.

- Mam lepszy pomysł niż wanna.

Faith uniosła kształtne, jasne brwi.

- Ja też. Idę o zakład, że rozbiore cię szybciej niż ty mnie.

- Przyjmuję wyzwanie.

Właściwie wygrali oboje. Rubinowy naszyjnik upadł na podłogę w tym samym momencie co figi Faith.

* * *

Faith leżała na podłodze jadalni z głową wspartą na nagim, muskularnym ramieniu walkera. Leniwie muskała go po żebrach i ponownie przyglądała się portretom.

- Próbujesz mnie łaskotać? - spytał leniwie.

- Nie.

- Cholernie dobrze ci to wychodzi.

- Cierp.

Roześmiał się cicho i próbował wciągnąć ją na siebie. Ku jego zaskoczeniu zaczęła się bronić.

- Zaczekaj! - powiedziała niecierpliwie.

- Co się stało?

- Pamiętasz, co mówiła Tiga?

Walker odsunął się, by móc skupić wzrok na Faith.

- Za którym razem?

- Na bagnach. O, cholera, przecież ciebie tam nie było. -

Faith przyglądała się wiszącym na ścianach portretom. -

Mówiła o szerokiej złotej bransoletce z setkami rubinów.

Walker zmienił pozycję, by patrzeć tam, gdzie Faith.

- Takiej, jaką ma na portrecie ten topór wojenny z haczykowatym nosem?

- Ona wcale nie jest aż taka brzydka.

- Do diabła, oczywiście, że jest.

Faith spojrzała na sąsiedni portret.

- Było też coś o cierniowej koronie z kroplami krwi na czubkach.

- Coś takiego nosi ta podobna do ciebie jasnowłosa piękność po lewej. Ma tiarę z kolcami, a każdy kolec ozdobiony jest rubinem.

- Ona wcale nie jest aż taka piękna.

- Do diabła, oczywiście, że jest.

Faith cicho się roześmiała. Broda walkera łaskotała ją w szyję niczym jedwabna szczoteczka. Gdy delikatnie skubnął ją zębami, zabrakło jej tchu.

- Nie rozpraszaj mnie - poprosiła. - Ciężko pracuję.

- Ja też - odparł, ale przestał ją gryźć.

- „Długi rubinowy sznur, płonąca nienawiść, płonąca nadzieja...” - szepnęła, przypominając sobie słowa Tigi.

Walker bardziej wyczuł, niż zauważył jakiś niespokojny dreszcz, który przebiegł po kręgosłupie Faith. Spojrzał na ścianę i zobaczył portret młodej kobiety. Miała sześciokrotnie owinięty wokół szyi sznur rubinowych koralii, następnie opadający niemal do jej bioder.

- Potem mówiła coś o orzeszkach - wyznała Faith.

- Bzdury, z kilku różnych powodów.

- Nie. To wszystko ma jakiś sens. Pozwól mi pomyśleć.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Faith zmarszczyła czoło. Z łatwością przypominała sobie niesamowitą rozmowę z Tigi na bagnach. Była wówczas przerażona jak dziecko wędrujące w Halloween przez cmentarz.

- Sznur. Mówiła coś o srebrnym sznurze. I duszach - co w języku Tigi oznacza rubiny - wielkości orzeszków wiszących z uszu na srebrnym sznurze. Kołyszących się jak martwi mężczyźni.

Walker burknął coś i rozejrzał się po jadalni.

- Za nami. Spójrz na tę brunetkę z ogromnymi zębami. Faith obejrzała się. Młoda kobieta miała parę kolczyków. Wspaniałe rubiny wisiały na łańcuszkach ze skręcanego srebra.

- „Nie łkają, nie wzdychają, są tak martwi jak wisielec”.

- Faith przypominała sobie zasłyszane słowa.

- Dowodzi to, że Tiga pamięta, co nosili niektórzy z jej przodków. Czy coś z tego wynika?

Faith bezwiednie zacisnęła palce na ramieniu walkera.

- Znajdź króla albo królową - ciągnęła - rubin, który jest „za duży na to, by przełknął go kot lub dziecko”.

Walker rozejrzał się po pokoju.

- Na tych portretach uwieczniono wiele rubinów, ale żaden z nich nie wygląda na tak duży.

- I żaden z nich nie jest otoczony białymi kamieniami. Łzy aniołów. To perły, Walker. Naturalne perły.

- Słodki Jezu! - szepnął. - To znaczy, że ona je widziała. Tiga widziała Serce Północy.

- Nie tylko. Błagała, wręcz kazała mi odszukać resztę dworu królowej.

- Resztę?

Faith rozejrzała się po pokoju, bacznie przyglądając się ustawionym w szeregu przodkom Montegeau odzianym w jedwabie, satynę i rubiny. Portrety zawierały mnóstwo detali, jakby artysta został poinstruowany, co przede wszystkim ma pokazać przyszłym pokoleniom - rubiny, nie ludzi. Trzyście nowych duszyczek dla mnie i czterysta, żebyś mogła się uwolnić, duszyczka tak duża jak twoja słodka mała piąstka. Łzy anioła nad moim niemowlęciem. Kiedy dasz mi tę trzynastkę, obie będziemy wolne.

- Trzyście elementów, trzyście rubinów - powiedziała Faith. - Naszyjnik Mel. Tiga o nim wiedziała.

- Zaczekaj. Davis mówił, że w naszyjniku z Sercem Północy było czterysta rubinów, jeśli nie liczyć największego z nich.

- A w klejnocie Mel tylko trzyście, ponieważ jeden dostałam za wykonanie naszyjnika. Jednak Tiga o tym nie wiedziała. Widziała tylko rysunki.

- To niemożliwe, jeśli Davis, jak mówił, trzymał je zamknięte w sejfie. Zaraz, zaraz. Tiga prawdopodobnie znała szyfr.

- Jest o ponad cztery lata starsza od brata - przypomniała Faith. - Może matka tuż przed śmiercią wyjawiała jej szyfr. Albo Tiga znała go od początku. Nieważne. Starsza pani powiedziała mi, że muszę przynieść jej trzyście dusz, ponie-

I

waż należą one do Błogosławionego Kufra, i że póki ich nie przyniosę, nie będę wolna.

- A ty jesteś jej kochaną dzieciną. Przypomniawszy sobie ból i natarczywość Tigi, Faith, ogarnięta empatią, bezradnie zamknęła oczy.

- „Musisz mi je przynieść, skarbie” - szepnęła. - „Należą do Błogosławionego Kufra, nie będą pętlą wokół twojej szyi. Nie mogę znieść, jak krzyczysz: Puść-mnie, puść-mnie...”

Walker skrzywił się i mocniej przytulił Faith.

- Idę o zakład, że jej dziecko miało na imię Ruby. Z pewnością niemowlę było jasnowłosą dziewczyneczką o zasnutych mgiełką błękitnych oczach. Gdy Tiga po raz pierwszy cię zobaczyła, doszła do wniosku, że jej modlitwy zostały wysłuchane i Bóg oddał jej córkę.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Owoc kazirodztwa - dodała Faith niespokojnie. -
Ale to nie była wina dziecka. Ani Tigi. Tymczasem tylko
one na tym ucierpiały. Mój Boże, Walker. Czy sądzisz, że
matka Tigi naprawdę wyniosła wnuczkę na bagna i utopiła ją?
- Może. Chyba że niemowlę po prostu urodziło się martwe.
Tiga przecież nie wspomniała, że słyszała, by jej dziecko
płakało.
Faith westchnęła.
- Martwe. Tak. Tak właśnie musiało być.
Walker delikatnie, uspokajająco pogłaskał ją po włosach.
Podobnie jak Faith wolał wierzyć w taką właśnie wersję wydarzeń.
- Ojciec Tigi zginął w dniu urodzin dziecka.
Faith cicho burknęła.
- Jaki smutny prezent.
- Tak to bywa - wyznał Walker. - Został zabity, gdy wyjmował
dla niej prezent z Błogosławionego Kufra.
Faith próbowała wzbudzić w sobie współczucie z powodu
śmierci tego człowieka. Bez skutku.
- Może kiedyś dał Tidge na urodziny rubinowy klejnot,
jego żona domyśliła się, kto przyczynił się do ciąży córki.
Walker nie odezwał się. Przypomniał sobie pogłoski, jakie
krążyły, gdy był jeszcze dzieckiem. Ludzie szeptaali, że
córka widziała śmierć ojca i dlatego na zawsze pomieszało
jej się w głowie. Jeśli Tiga rzeczywiście była przy tym obecna,
oznaczało to, że jako ostatnia widziała Błogosławionego
Kufra.
- Ubieraj się, złotko.
Rzucił odzież na brzuch Faith.
- Masz jakiś pomysł?
- Jestem gotów rozejrzeć się po sypialni Tigi. Myślę, że
chętnie mi potowarzyszysz.
- Dobrze myślisz. - Faith zawahała się. - Podejrzewam,
że nie masz zamiaru nikogo prosić o zgodę na tę rewizję.
- Nie ma sensu.
Faith otworzyła usta, potem westchnęła.
- A co z April Joy?
- Nie obchodzi mnie, czy jeszcze kiedykolwiek zobaczę
tę damę, niezależnie od tego, czy będę w ubraniu, czy bez.
Faith parsknęła śmiechem.
- Rozumiem, że próbujemy... hm... jesteście gotowi
utrzymać całą sprawę w tajemnicy?
- Kiedyś jakiś czas temu rozglądałem się po domu, widziałem,
że drapieżna pani Joy słucha sprawozdania FBI
i zeznań Davisa. Biedny stary Davis. Twarz jego prawniczki
miała kolor gotowanych raków. Przypuszczalnie
pani Butterworth nigdy w życiu nie spotkała nikogo podobnego
do naszej April, która nic sobie nie robi z szanownej
pani Sprawiedliwości, a tym bardziej z tej choleralnej
suki Litości.
Walker nieznacznie poprawił swoje spodnie i znajdujący
się w nich cenny ładunek, umieszczając wszystko w stosunkowo
wygodnym miejscu.
- Pani Joy zależy tylko na jednym, na Sercu Północy,
i żadna srebrnoustka prawniczka z Południa nie przeszkodzi
jej w osiągnięciu tego celu. Postanowiłem to uszanować, póki
nie będę miał czegoś w garści zamiast w spodniach.
Faith chciała nawet pomóc Walkerowi w poprawianiu
bielizny. Żeby o tym nie myśleć, sama zaczęła się ubierać.
- A co z Tigą?
- Najpierw zapukam, ale ona i tak więcej czasu spędza
na bagnach niż w domu.
- Zostają jeszcze Jeff i Mel. Myślisz, że nie zauważą, jak
snujemy się po piętrze?
- Drzwi do ich sypialni były zamknięte. - Walker wciągnął
dżinsy i szybko je zapiął. - Idę o zakład, że pocieszają
się tak jak my.
- Pocieszają się? - powtórzyła i wciągnęła bluzkę w taki
sam sposób, w jaki została zdjęta - z połową zapiętych

guzików i przez głowę. - Myślisz, że to było pocieszanie się?

Spojrzał na nią z ukosa.

- Myślę, że to były najlepsze chwile, jakie w życiu mi się zdarzyły. To mnie martwi, złotko. Bez przerwy myślę o kajdankach na nogi.

- Kajdankach? - Skrzywiła się i zapięła dzinsy. - Nic dziwnego, że się martwisz. Tylko kretyn zgodziłby się na życie w okowach. Żadne z nas nie jest aż takie głupie. - Uniosła głowę i spojrzała na niego niebieskimi, zamglonymi i pełnymi przekonania oczyma. - Zapomnij o tym, Walker. Żadnych więzów, żadnych zobowiązań. Mówię szczerze.

Wiedział, że Faith nie kłamie.

Nie miał tylko pojęcia, dlaczego go to martwi zamiast cieszyć.

Sypialnia Tigi znajdowała się na końcu korytarza. Drzwi były uchylone.

Walker delikatnie zapukał.

- Pani Montegeau? Tigo?

Żadnej odpowiedzi.

Ponownie zapukał. Nieco mocniej.

Cisza.

- Pozwól, że wejdem pierwsza - zaproponowała Faith szeptem. - Na widok mężczyzny może się wystraszyć.

Walker odsunął się na bok.

- Tigo? - powiedziała Faith, stając w drzwiach. - Czy możemy porozmawiać?

Walker znajdował się tuż za Faith. Sypialnia była pusta.

Kilka małych żarówek rzucało przydymione światło.

Walker zamknął drzwi. Kiedy zaczął szukać klucza, okazało się, że go nie ma. Był to pokój dziecienny - z nocnymi światełkami, ale bez zamka.

- Stań przy drzwiach - zaproponował. - Ja zajmę się poszukiwaniami.

- To może zająć sporo czasu. Serce Północy jest co prawda ogromnym rubinem, ale są tu setki miejsc, w których dałoby się go ukryć.

- Trudniej schować Błogosławiony Kufer.

Faith mruknęła zaskoczona.

- Naprawdę sądzisz, że znajdziesz go w sypialni Tigi?

- Podejrzewam, że Tiga była świadkiem śmierci swojego ojca. Toteż istnieje spora szansa, że widziała, co się później stało z Błogosławionym Kufrem. Pomyśl, że jesteś Tigą.

Wyobraź sobie, że karmiąc Błogosławiony Kufer rubinami, masz szansę się uwolnić. A teraz powiedz, gdzie włożyłabyś każdy rubin, który wpadłby ci w ręce?

- Do Błogosławionego Kufra. Gdybym go miała. Duże „gdyby”.

- Taak. Ale dotychczas jest to najlepsze „gdyby”, jakie mamy.

- Racja. Przeszukam jej komodę.

Walker zaczął protestować, ale zrezygnował z tego pomysłu.

Im krócej będą przebywać w sypialni Tigi, tym mniejsza szansa na to, że ktoś ich przyłapie.

Szybko otworzył niewielką szafę ścienną i zaczął przeglądać jej zawartość. Zauważył w niej kilka wyblakłych

i zaplamionych sukienek odpowiednich dla dorosłej kobiety, ale znaczna część odzieży była zbyt mała nawet na osobę

tak drobną jak Tiga. Ozdobione koronkami sukieneczki wyszły z mody przynajmniej dwadzieścia kilka lat temu.

W szafie znajdowała się jedna para zabłoconych tenisówek, jakie noszą dorośli, i kilkanaście par dużo mniejszych,

skórzanych bucików, które ze starości zdążyły już popękać i zmatowieć.

Żadnej z owych małych rzeczy nikt nigdy nie nosił.

Część z nich wciąż jeszcze miała metki, jakby właśnie przysłano je z pobliskiego sklepu.

Faith pracowała niemal tak szybko jak Walker. Komoda

była niewysoką, odpowiednią dla dziecka, stojącą na nóżkach szafką z drewna wiśniowego. Cztery pierwsze szuflady nie chciały się wysunąć, a ich mosiężne uchwyty były zmatowiałe, jakby od lat nikt ich nie dotykał. W środku znajdowały się delikatne, małe staniczki, obszyte koronką figi, podkołanówki wykończone koronkami w różnych odcieniach różu, lawendy, mięty i jasnego błękitu, a także delikatne białe dziecięce rękawiczki, zbyt małe na zgrubiałe i zniszczone przez bagna dłonie Tigi. Najniższa szuflada wysunęła się dużo łatwiej. Były w niej cztery pary gładkich bawełnianych majtek, cztery pary bawełnianych skarpetek i dwa sprane białe podkoszulki na ramiączkach. To wszystko. Żadnych staników. Żadnych pończoch. Żadnych perfum. Biżuterii. Ani kosmetyków. Nic, co by sugerowało, że z tej komody korzysta dorosła kobieta. Przypomniawszy sobie używane w dzieciństwie skrytki, Faith wyjęła wszystkie szuflady. Nie było w nich żadnych schowków, a już z pewnością trudno byłoby ukryć tam Błogosławiony Kufer, co innego pojedynczy rubin. Faith sprawdziła wierzch, spód i boki każdej szuflady. Natrafiła jedynie na suche, stare drewno. Ślady upływu czasu i kurz. Zmarszczywszy brwi, Faith zerknęła w stronę szafy. Walker przeglądał pudełka z kapeluszami. Nakrycia głowy, jak większość rzeczy, które Faith widziała, wyglądały na zbyt dziewczęce, by mogła je nosić dorosła osoba. Z pewnością trudno było wyobrazić sobie Tigę w którymś z owych eleganckich, ozdobnych kapeluszy.

Potem uwagę Faith przykuło łóżko. Baldachim był tak delikatny jak staniczki. Jedwabne fałdy i wyblakłe różowe kwiaty. Na koronkowych poduszkach i wymiętej, wyblakłej jedwabnej narzucie pasującej do rozciągniętego nad łóżkiem baldachimem siedziały pięknie ubrane laleczki. Kiedy Faith dotknęła jednej z nich, w powietrzu uniosła się chmura kurzu. Faith cofnęła się i wytarła ręce o dzinsy, jakby próbowała pozbyć się czegoś wstrętnego. Wiedziała, miała wręcz przerażającą pewność, że Tiga nie dotknęła tego łóżka, odkąd po raz ostatni zawlókł ją do niego ojciec.

Faith coś burknęła i zwróciła uwagę walkera. Spojrzeli na siebie. Walker zauważył, że Faith wszystko zrozumiała i że ta świadomość powoduje w jej żołądku taki sam ucisk jak w jego. Przeszukiwali pokój dziewczynki, której życie zatrzymało się w chwili, gdy po raz pierwszy zgwałcił ją ojciec. Był to ciągnący się bez końca, obezwładniający koszmar, od którego Tiga mogła uciec tylko w szaleństwo. Niemniej nie całkiem jej się to udało. Do pewnego stopnia zdawała sobie sprawę. Zawsze. Dlatego jej łóżko było takie zakurzone, a stojąca pod oknem niezgrabna kanapa nosiła ślady zużycia.

- Nie myśl o tym - powiedział walker łagodnie.
- Nie mogę. - To moja wina. Prowokuję swoim zachowaniem.
- Ona wciąż obwinia siebie o brutalną żądzę ojca.
- W takim razie przypomnij sobie, że ten drań został zastrzelony z własnej strzelby.

- Za szybko. Dużo za szybko.
- Taak. Dzięki takim historiom człowiek zaczyna się modlić, żeby piekło trwało wiecznie.

W ponurym milczeniu przeszukali resztę pokoju. Nie znaleźli niczego oprócz kurzu i krzyczącego bezgłośnie ducha małej dziewczynki.

Faith niespokojnie krążyła po oddzielającym obie sypialnie salonie. Palce ją swędziały, żeby sięgnąć po telefon komórkowy, ale już wcześniej przekazała cały plan Archerowi. Teraz tylko od walkera zależało, czy uzyska zgodę jej brata.

- Jesteś pewien, że się na to zgadzasz? - spytał walker Archera. - Nie daję żadnych gwarancji, szefie. Możesz w ułamku sekundy stracić milion w kamieniach szlachetnych.
- Albo uwolnić Faith od tego rosyjskiego mordercy - dodał

Archer. - Taka możliwość warta jest dwa razy więcej.

- Co mówią przeczucia Kyle'a?

- Lepiej nie pytaj.

Walker zawahał się, nie potrafił jednak wymyślić lepszego sposobu na zdobycie Serca Północy.

- W porządku. Jeśli spodoba mi się to, co powie Davis, przystąpimy do realizacji planu.

- Iwanowicz nie dał znaku życia? - spytał Archer.

- Żadnego. Chciałbym się z tego cieszyć.

- Nie spuszczaaj Faith z oka.

- Chyba będzie to konieczne. Twoja siostra boi się małych łódek, a wydaje mi się, że koło północy będę musiał wypłynąć jedną z nich na bagna.

Faith zmarszczyła czoło. Ta część planu najmniej jej się podobała. Na samą myśl o przeciekających łódkach czuła ucisk w żołądku, a wzdłuż kręgosłupa spływał jej zimny pot.

Ale niech ją diabli wezmą, jeśli zgodzi się zostać w tyle. Po prostu będzie musiała wytrzymać i zrobić to, co trzeba.

- Cholera jasna - wymamrotał Archer. - Zupełnie o tym zapomniałem. Zostaw Faith z April Joy. Wolę tego małego rekina niż zawodowego mordercę, którego nigdy nie spotkałem.

Jeśli to ci się nie uda, oddaj Faith w ręce FBI. Po prostu nie zostawiaj jej samej.

- Rozumiem.

Z salonu w przedniej części domu dochodziły odgłosy sprzeczki między prawniczką a przedstawicielami dwóch różnych agencji federalnych. Z bezceremonialnej, typowo prawniczej gadaniny wynikało, że Davisa odesłano i kazano mu czekać na to, co przyniesie los, a wszyscy inni uzgadniali drobne szczegóły dotyczące jego życia.

Faith wydała ciche westchnienie ulgi. Walker nie potrzebował w tym momencie żadnych pomocników, czyli ludzi z odznakami. Ona również. Miała w milczeniu przysłuchiwać się, jak jeden dobry facet będzie przesłuchiwał drugiego dobrego faceta.

Walker i Faith znaleźli Davisa w bibliotece. Był sam. Siedział na zbyt grubo wyściełanym krześle z wysokim oparciem.

U stóp starszego pana leżał cicho pochrapujący Obijacz. Jego lśniąca sierść odbijała błyski płonącego na palenisku ognia. Na stojącym obok Davisa inkrustowanym stoliku płonęła lampka w stylu Tiffany'ego i połyskiwała zmatowiała srebrna taca. Obok karafki z ciemnobursztynowym alkoholem stało kilka pustych kryształowych kieliszków.

Davis trzymał w ręce błyszczący kieliszek niemal w całości wypełniony łagodnym bourbonem z Kentucky. Senior rodu Montegeau nieufnie spoglądał na alkohol, jakby lada chwila miał stanąć w płomieniach.

- Środek przeciwbólowy w płynie? - spytał Walker beztrąsko.

Davis podniósł głowę. Na jego twarzy widać było wiele zmarszczek świadczących o znużeniu i bólu, zdążył jednak się uczesać i włożyć czyste ubranie. W jego oczach czaił się mniejszy strach.

- Zastanawiam się nad tym. Chociaż już mnie tak nie pociąga.

- Może po prostu już się nie boisz, że cię zabiją.

- To rzeczywiście dużo zmienia - przyznał Davis. - Cieszy mnie również, że obaj z Jeffem nie będziemy musieli iść do więzienia.

Walker przytaknął. Tego właśnie się spodziewał. Faith nie wniosła oskarżenia o kradzież biżuterii, a rządowi bardziej zależało na informacjach niż na tym, by wsadzać Davisa za kratki. Jeśli tylko zeznania Davisa umożliwią wniesienie oskarżenia przeciw Salowi i innym, starszy pan pozostanie na wolności.

A dopóki FBI i April Joy będą robić, co do nich należy, Davis pozostanie przy życiu.

- Powiedzieli, że nie muszę obawiać się zemsty ze strony mafii z Atlantic City - dodał Davis. - Sal nie cieszy się zbyt dużą popularnością. Jest zbyt staroświecki, jak twierdzi

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
pani Peel. Natomiast jeśli chodzi o Buddy'ego, no cóż, ten chłopak jest po prostu głupi.

- Zostają jeszcze Rosjanie - przypomniał Walker.
Davis uniósł kryształowy kieliszek do ust.

- Czy April Joy ma w związku z tym jakieś pomysły? - spytał Walker.

- Wiesz, słyszałem, jak jankesi mówili, że kobiety z Południa to stalowe magnolie i tak dalej - wyznał Davis, sącząc mocny alkohol, zamiast pić go ogromnymi łykami. - Ale, słowo honoru, ta kruszyna w salonie bije na głowę każdą damę wychowaną na kaszy i sosie.

- Nie ma zamiaru ci pomóc?
- Jeśli dam jej Serce Północy, zrobi ze mnie świętego.
Jeśli nie, osobiście pomoże mojemu mordercy mnie pogrzebać.

- Oto April Joy, jaką wszyscy znamy i kochamy - wymamrotała Faith.

Obijacz drgnął i cicho szczechnął, śniąc o polowaniu. Davis pochylił się i delikatnie pogłaskał ogromnego psa. Ogar sapnął i się uspokoił.

Walker usiadł naprzeciwko Davisa, na małej kanapie. Klepnął miejsce obok siebie, ale Faith się zawahała. Kanapa była bardzo stara, wykonano ją w czasach, gdy ludzie byli nieco niżsi. Usiadła z ogromną ostrożnością. Znalazła się blisko Walkera. To dziwnie dodało jej otuchy. Dotyk mocnych męskich ud podziałał na nią wyjątkowo uspokajająco.

Fakt, że to dostrzegła i że w ogóle tego potrzebowała, świadczył, iż wciąż była roztrzęsiona po wyprawie w tragiczną przeszłość Tigi. *

Kiedy Walker w milczeniu wyciągnął do niej rękę, włożyła w nią dłoń. Promieniujące od niego ciepło, podobnie jak siła, wносиły niezbędną spokój.

- Prawdopodobnie możemy ci pomóc, jeśli chodzi o ten kamień - zaczął Walker.

- Mówisz o Sercu Północy? - spytał Davis zaskoczony.

Walker przytaknął.

- Podejrzewam, że od czasu do czasu próbowałeś odnaleźć Błogosławiony Kufer.
Davis znieruchomiał.

- Jasne.

Faith odniosła dziwne wrażenie, że to kłamstwo.

Walker również.

- Przewracałeś dom do góry nogami, co? - spytał ze współczuciem.

- Z pewnością robił to Jeffy. - Davis się uśmiechnął, potem się skrzywił, gdyż zabołała go rozcięta warga. - Ten chłopak miał fioła na punkcie poszukiwania skarbów.

- A co z twoją mamą? Czy też szukała? - dociekał Walker.

Davis roześmiał się sucho.

- Przez rok po śmierci ojca ten dom przypominał pobojuwisko. Burzyła ściany, zrywała podłogi, kopała dziury w ogrodzie. Czyste szaleństwo.

- Znalazła coś?
- A jak myślisz?
- Podejrzewam, że jej się nie udało.
- Amen.

Davis upił następny łyk. Kryształ rozbłysnął światłem i odbił płomień.

- A co z Tigą? - spytał łagodnie Walker. - Czy ona też szukała skarbów?
- Nie.
- Jak sądzisz, dlaczego?
Davis upił większy łyk whiskey i odchrząknął.

- Moja siostra ma poważne problemy z głową i zawsze będzie je miała. Lekarze, tabletki... próbowaliśmy wszystkiego.

- Westchnął. - Nie mogę się jednak zmusić do tego, żeby ją gdzieś zamknąć. Jest nieszkodliwa, poza tym kocha bagna.

Walker wiedział, że alkoholik często czuje się dużo swobodniej,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

gdy inni również piją, sięgnął więc po karafkę z bourbonem, wziął kieliszek ze zmatowiałej srebrnej tacy i nalał sobie odrobinę. Poruszył kieliszkiem pod nosem, wdychając zapach starego bourbona, ale nie wypił ani kropli.

- Czy Tiga zawsze była taka jak teraz?

- Nie.

- Czy to się stało po śmierci waszego ojca? - spytał Walker.

- Czy wcześniej, kiedy zaczął ją gwałcić?

Dłoń Davisa drgnęła. Alkohol liznął bursztynowymi płomieniami boki kieliszka. Starszy pan twardo spojrzał na Walkera.

Walker uśmiechnął się łagodnie.

- Słyszałem, że ten Rosjanin naprawdę doskonale posługuje

się nożem. Robi to wolno. Bardzo, bardzo wolno.

- Wszystko się zaczęło, kiedy ojciec ją zgwałcił - wychrypiął Davis. - Zawsze była trochę stuknięta, ale potem...

- Potrząsnął głową.

- Czy byłeś świadkiem śmierci swojego ojca?

- Nie.

- A mama?

Davis zawahał się, pomyślał o rosyjskim zabójcy i odparł szorstko:

- Tak.

- Tiga?

Davis zamknął oczy.

- Tak. Dobry Boże, tak. To ją załamało.

- Która z nich pociągnęła za spust?

- Czy to ma jakieś znaczenie? Ojciec nie żyje!

- Czy wiesz, która z nich go zabiła? - powtórzył Walker spokojnie.

- Nie... nie mam pewności. Tiga krzyczała, że to jej wina i że wszystko przez Błogosławiony Kufer, przez te martwe małe dziewczynki w kufrze i że musi je pogrzebać, żeby nigdy więcej nie sprawiały kłopotu. Miałem osiem lat i nigdy w życiu, ani wcześniej, ani później, nie byłem tak potwornie przerażony. Kiedy mama poszła wezwać szeryfa, wróciłem do łóżka, naciągnąłem kołdrę na głowę i wyszedłem spod niej dopiero wtedy, gdy zrobiło się jasno.

Szeryfowi powiedziałem, że w ten sposób spędziłem całą noc - w łóżku, z kołdrą naciągniętą na głowę. Z Tigi również niczego nie udało mu się wyciągnąć. Dostała jakieś tabletki, dlatego mówiła bez ładu i składu. Mama zadbała o wszystko. Po okolicy krążyły jakieś plotki, ale umarły śmiercią naturalną, gdy Billy'ego McBride'a przyłapano w łóżku z żoną pastora. Ludzie znaleźli sobie nowy temat do gadania.

Obijacz poruszył się i sapnął. Po chwili się obudził i szturchnął kolano Davisa, zaniepokojony pobrzmiwającym w głosie pana poruszeniem. Davis niemal bezwiednie podrapał ogara po długich uszach, pragnąc go uspokoić. Obijacz warknął, po czym z powrotem położył się na podłodze.

- A zatem to Tiga zabrała Błogosławiony Kufer - powiedział Walker.

- Nie wiem.

- Na pewno wiesz - mruknął Walker łagodnie. - Twoja matka zdemolowała dom, prowadząc poszukiwania. Tiga tego nie robiła. Ty również, ponieważ wiedziałeś, że twoja siostra zabrała go na bagna.

- Nie mam pojęcia, gdzie jest ta cholerna rzecz! - Davis wypił duży łyk bourbona, zakaszłał i odchrząknął. - Czy sądzisz, że wchodziłbym w konszachty z Salem, gdybym miał Błogosławiony Kufer?

- Nie. Nie znalazłeś go również przed laty.

- Skąd wiesz? - spytał Davis. - Nigdy nikomu o tym nie mówiłem.

- Nikt nie natrafił na żaden ślad świadczący o tym, że ty albo twoja matka zaczęliście nagle wydawać więcej pieniędzy, niż można było wyjaśnić. Prawdę mówiąc, byliście bardzo

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
biedni po sprzedaży przez mamę rubinowej broszki -
urodzinowego prezentu Tigi od ojca, prawda?

Davis przytaknął i zaklął ze znużeniem.

- Był to jedyny rodzinny klejnot, który w dniu śmierci
taty nie znajdował się w Błogosławionym Kufrze.

- I nigdy nie widziałeś żadnej innej biżuterii? - spytał
Walker.

- Nigdy - odparł Davis ponuro. - Przenigdy.

- Tę ani razu nie pojawiła się z jakimś rubinowym
świecidełkiem?

Davis roześmiał się niepewnie. Odchylił do tyłu głowę
i opróżnił kryształowy kieliszek, a potem spojrzął na walkera
jasnymi, przerażonymi oczami.

- Mój ty Boże, pomyłona siostra z garścią pełną rubinów?

Do diabła, nie, to byłoby zbyt rozsądne. Ona jest
stuknięta. Wywiozła Błogosławiony Kufer gdzieś tam... -

•
pustym kieliszkiem wskazał za okna - ...w ten labirynt mokradeł,
zakopała go, nawet nie próbując zapamiętać gdzie.

- To znaczy, że ją o to pytałeś - zauważył Walker.

- Pytałem, namawiałem, krzyczałem, groziłem. - Davis
ostrożnie położył palce tuż nad nasadą nosa i rozmasował to
miejsce, pragnąc pozbyć się nie ustępującego bólu głowy. -
Bez skutku. Patrzyła na mnie tymi swoimi smutnymi, pełnymi
rozpaczy oczyma i zaczynała mówić jak dziewczynka,
potem krzyczała i zaciskała ręce na swoich ustach, mówiąc:
„Za nic w świecie nie wolno ci krzyczeć. Absolutnie. Dobre
dziewczynki nie krzyczą”.

Faith wbiła paznokcie w dłoń. Nawet tego nie poczuła.

Davis burknął szorstko i zamknął oczy.

- Przestałem pytać. Nie mogłem znieść myśli, że w ten
sposób każę jej wracać w tamte czasy, kiedy żył ojciec,
a ona... - Głos mu się załamał. - Jezu Chryste, jak mężczyzna
może zrobić coś takiego własnej córce?

Nie ma odpowiedzi na to pytanie. Nigdy jej nie było. Nigdy
nie będzie.

Faith na granicy pola widzenia dostrzegła niewyraźny
ruch, dlatego odwróciła głowę w stronę drzwi wychodzących
na korytarz. Walker zacisnął na jej dłoni palce w milczącym
ostrzeżeniu. Nie chciał, żeby w tym momencie coś
odwróciło uwagę Davisa.

- Teoretycznie piorun nie uderza dwukrotnie w to samo

miejsce - zauważył Walker z południowym akcentem. -

Chcielibyśmy zamknąć w twoim sejfie naszyjnik Mel i zostawić
go tam do dnia ślubu.

Davis chętnie by się roześmiał, gdyby tak bardzo nie bolała
go warga.

- Do jasnej cholery, zagwarantuję wam, że Jeff go nie
otworzy. Ja również. Spartaczone włamanie mamy już za
sobą.

- No proszę. - Walker wstał i wyciągnął rękę. - Może
w takim razie otworzysz sejf i popatrzysz, jak wkładamy do
niego naszyjnik. Obijacz, rusz swój leniwy tyłek.

Szturchnięty ogar poderwał się na równe nogi. Obrzucił
Walkera pełnym urazy spojrzeniem, po czym przesunął się
bliżej kominka.

Obolały Davis wstał, korzystając z pomocy walkera i jego

laski, po czym dokuśtykał do sejfu. Gdy wystukiwał

szyfr, Walker honorowo odwrócił się plecami i oddalił o kilka

kroków. Zarówno Faith, jak i Walker pilnowali się, by nie

spojrzeć w stronę drzwi, gdzie - jak mieli nadzieję - nasłuchiwał
duch z krwi i kości.

- Jest otwarty - powiedział Davis.

Walker sięgnął do kieszeni dzinsów i wyjął owinięty w irchę
naszyjnik.

- Przez cały czas miałeś go w kieszeni? - spytał Davis

zszokowany.

- Mniej więcej.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Walker ostrożnie wyjął naszyjnik z opakowania ochronnego. Zażółtły złote ogniwa, przywodząc na myśl skrzydlate anioły. Rubiny błysnęły jak żywe, skupiając światło i zamieniając je w jedwabistą, rozżarzoną czerwień.

Trzyście ogniów, trzyście dusz-
Davis wciągnął powietrze w płuca z gwizdem przypominającym syk bólu.

- Na Boga! Jest tak piękny jak klejnoty, które nosili moi przodkowie.

- Dużo piękniejszy - przyznał Walker. - Dlatego, że zaprojektowała go Faith.

Faith rozpaczliwie chciała obejrzeć się przez ramię, żeby sprawdzić, kto podsłuchuje ich rozmowę, jeśli w ogóle ktoś tam jest. Patrzyła jednak, jak Walker przekazuje naszyjnik. Davis wziął go z czcią, włożył do sejfów i zamknął drzwiczki.

- Wkurza mnie, że muszę go zamknąć. Tylko raz w życiu widziałem piękniejszy klejnot.

- Serce Północy - uściślił Walker.

Davis przytaknął. Zerknął w stronę Faith.

- Zrobiłaś dla Mel piękny naszyjnik. Szkoda, że nie będzie mogła go zatrzymać.

- Czy FBI ma zamiar wykorzystać go jako dowód? - spytała Faith.

- Gównem ich obchodzi rosyjskie kamienie szlachetne.

Federalnym zależy tylko na Salu.

- Dostaną go, i to dzięki tobie - przypomniała.

Skrzywił się i zmienił pozycję, pragnąc zagłuszyć ból, który przy każdym uderzeniu serca przeszywał całe ciało.

- Taak. Mam nadzieję, że porządnie skopią temu złośliwemu draniowi tyłek. Naprawdę porządnie. Natomiast wracając do naszyjnika, no cóż, przypuszczam, że coś do powiedzenia na jego temat będzie miała pani Joy. Podejrzewam, że rzeczy, które dostawałem od Tarasowa, pochodzą, z muzeum albo jakichś innych zbiorów.

Walker miał nadzieję, że uda mu się potargować ze śliczną panią Joy. Zależało mu na tym, żeby Mel mogła zatrzymać naszyjnik - był zbyt piękny, by zniszczyć go ze względu na rubiny. Jednak na głos powiedział tylko:

- W byłym Związku Radzieckim robi się teraz wielkie porządki. Brakuje im twardej waluty.

- To wszystko jest jednak bardzo dziwne - wyznał Davis. - Poza Sercem Północy większość rzeczy, z którymi miałem do czynienia, można było zaliczyć do, no cóż, całkiem zwyczajnych. Takie klejnoty mogła posiadać każda bogata kobieta w osiemnastym lub dziewiętnastym wieku.

- W podziemiach muzeów pełno jest takich zwyczajnych rzeczy - wyjaśniła Faith. - Zwłaszcza muzeów państwowych. Tylko najlepsze eksponaty trafiają na wystawę.

Walkera bardziej martwił rosyjski zabójca niż jakość klejnotów przechowywanych w podziemiach rosyjskich muzeów. Tego wieczoru zostało mu jeszcze kilka spraw do załatwienia. Im szybciej opuści bibliotekę, tym wcześniej będzie mógł zacząć.

- Wyglądasz na człowieka, który chętnie poszedłby do łóżka - powiedział Walker do Davisa. - Pomogę ci wejść na piętro.

Davis zerknął na karafkę z bourbonem, potem zdecydowanie odwrócił głowę.

- Byłbym ci wdzięczny.

Gdy tylko obaj panowie opuścili pokój, Faith zgasiała światło i odsunęła kotary, za którymi znajdowały się przeszklone drzwi prowadzące na werandę. Nie zamykając za sobą biblioteki, spiesznie ruszyła za obydwojema panami. Walker twardo postawił dwa warunki. Po pierwsze, funkcję przynęty miały pełnić prawdziwe rubiny. Tym razem żadnych trików, żadnych sztucznych kamieni.

A po drugie, gdy już pułapka zostanie zastawiona, Faith musi przebywać w zasięgu jego wzroku.

Przez cały czas. „

Walker, ubrany tak, by wtopić się w tło podczas ciemnej, pochmurnej nocy, kucał w gęstych azaliach, kameliach i zdziczałych, zaniedbanych różach, które rosły na obrzeżach ogrodu Montegeau. Ciepły wietrzyk poruszał liśćmi, które ocierały się o siebie z cichym szepczeniem, natomiast trawy i sosny wydawały dźwięki przypominające tancerki w długich jedwabnych spódnicach. W powietrzu unosił się zapach wilgoci, ziemi, słonej wody i tajemnicy.

Ale nawet podczas najciemniejszej nocy zawsze jest trochę światła. Gogle noktowizyjne, które Walker pożyczył od Farnswortha i Peel, wychwytywały każdy jaśniejszy promień i zamieniały go w chorobliwie zielony błysk. Dzięki temu Walker zdumiewająco dobrze widział, co dzieje się wewnątrz biblioteki.

Faith miała noktowizor Peel. Podobnie jak Walker ubrała się na czarno. W przeciwieństwie do niego włożyła również ciemną czapkę, która ukrywała charakterystyczne jasne włosy. Do Faith należało obserwowanie tylnych drzwi domu oraz ścieżki prowadzącej na trzęsawisko i słone bagna. Bez noktowizora przy każdym podmuchu wiatru widziałyby duchy zamiast poruszających się drzew, krzewów i wody. Dzięki temu urządzeniu podskakiwała tylko co drugi raz.

Jeszcze kilka godzin temu nie uwierzyłaby, jak bardzo młode drzewko potrafi przypominać człowieka.

- Bingo - szepnął Walker.

Faith zeszywniała.

- Biblioteka? - spytała tak samo cicho jak on.

- Tak.

- Kto to?

- Nie potrafię powiedzieć. Widzę jedynie ciemną sylwetkę, mającą dwie ręce, dwie nogi i jedną głowę. Nie utyka, więc to nie Davis. On musiałby kuleć.

Faith próbowała nie myśleć o swojej ciężkiej pracy i pięknym naszyjniku znikającym w kieszeni złodzieja.

- Nie martw się - wymamrotał Walker, odgadując jej myśli. - Odzyskam go dla ciebie.

- Powinieneś to zadanie zostawić FBI.

- Rozmawialiśmy o tym dwadzieścia razy. To mieszcuchy, nie bagini myśliwi.

Zagryzła wargę. Walker miał rację. Chociaż wcale jej się to nie podobało.

- Żaden naszyjnik nie jest wart, żebyś ryzykował życie.

Na tle ciemnej brody Walkera błysnęła jasna szczelina.

- Nie mam zamiaru umierać.

- A czy ktokolwiek ma takie plany?

- Ciii... Drzwi się otwierają. Złodziej lada chwila wyjdzie na werandę. Potem może się udać w każdą stronę.

Faith poprawiła noktowizor i obserwowała tyły domu.

Chociaż z dolnej werandy były cztery zejścia - jeśli uwzględnić dziury w siatkach, to nawet więcej - Walker przypuszczał, że złodziej skieruje się w stronę mokradeł, a nie drogi dojazdowej.

Miał rację.

- Widzę go - sapnęła Faith.

- Gdzie?

- Z tyłu, tak jak powiedziałaś.

- Idź do domu - powiedział Walker łagodnie. - Podejdź do April i trzymaj się jej.

- Nie - mruknęła Faith, nie odrywając wzroku od tyłów domu.

- O tym też rozmawialiśmy dwadzieścia razy. Zostaję z tobą.

- Nawet jeśli to oznacza, że będziesz musiała leżeć na dnie przeciekającej, śmierdzącej łódki?

Zawahała się.

- Niezależnie od wszystkiego.

- Tutaj byłabyś bezpieczniejsza.

- Ty również.

- Cholera jasna, Faith - powiedział cichym, pełnym desperacji szeptem. - Nie mogę dać ci żadnej gwarancji, że nie zginiesz.

- Czy cię o to prosiłam?

Walker zacisnął usta. Nie miał czasu na dalsze kłótnie.

Mógł jedynie pójść za złodziejem i modlić się, by Faith nie żałowała, iż powierzyła mu swoje życie.

I by on nie żałował tego jeszcze bardziej.

Postać, która spiesznie podążała ścieżką biegnącą na tyłach domu, byłaby niewidoczna, gdyby nie nowoczesne noktowizory, którymi dysponowali Walker i Faith. Zdając sobie sprawę, że wiatr zagłuszy większość dźwięków, Walker wyłonił się z zarośniętego ogrodu i ruszył ścieżką trzydzieści metrów za ciemnym kształtem.

Faith poszła w jego ślady.

Walker próbował nie oglądać się za siebie i nie sprawdzać, czy Faith jest bezpieczna, niemniej robił to tak często, iż w końcu się potknął. Tylko konieczność zachowania milczenia powstrzymała go przed jakimś paskudnym przekleństwem.

Nie mógł robić dwóch rzeczy jednocześnie i liczyć na to, że wszystko pójdzie jak z płatka. Złodziej poruszał się szybko.

Podmuch wiatru zostawił na wodzie jasnozielonkawę zmarszczki. Przynajmniej Faith widziała jasnozielone zmarszczki. Wokół drzew tańczyły zielone aureole. Można się było poważnie przestraszyć. Chociaż Faith powtarzała sobie, że bez noktowizora niczego by nie widziała, drżała i w głębi duszy marzyła, by jakiś technik czarodziej znalazł sposób na poprawienie koloru.

Nagle Walker ściągnął ją ze ścieżki pod osłonę szepczącej, drżącej na wietrze sosny. Faith poczuła, że żołądek podchodzi jej do gardła, gdy obserwowała, jak ciemna postać zwinnie wsiada do jednej z łódek, odpycha się i zaczyna wiosłować w kierunku bagien.

- To nie Jeff - szepnął Walker. - Byłby większy.

- A więc Tiga. Miałeś rację.

- Nawet zepsuty zegarek dwa razy dziennie ma rację. -

Wyszedł z ukrycia, jakie dawały drzewa, i pociągnął za sobą Faith. - Mam nadzieję, skarbie, że mówiłaś prawdę, jeśli chodzi o łódkę. Teraz nie ma odwrotu. Musiałbym ją zgubić, ponieważ za nic w świecie nie spuszczę cię z oczu.

Faith zagryzła wargę i cicho ruszyła za Walkerem w stronę łódki.

- Usiądź na dnie, odwróć się plecami do rufy i rozsuń pod ławką nogi.

Przyklękła na pomoście i przytrzymała małą łódeczkę tak nieruchomo, jak tylko było to możliwe, jednocześnie obserwując przez ramię, w którą stronę podąża złodziej.

To nie jest mała łódka - wmawiała sobie zrozpaczona

Faith. - To tylko pływająca po basenie tratwa. Zapach, który czuję, to chlor, a nie zepsute ryby.

Faith wbiła zęby w dolną wargę i zrobiła to, co musiała, nie czekając, aż pokona ją strach. Łódka zakołysała się jak szalona. Faith miała ochotę krzyknąć, ale zapanowała nad sobą.

- Nie bój się, złotko - szepnął Walker, równoważąc łódkę.

- Poruszaj się powoli i spokojnie. Na tym polega sekret małych łódek.

Wypuściwszy powietrze z płuc, Faith przesuwiała się centymetr po centymetrze, póki cały ciężar ciała nie znalazł się na środku łódki.

- W porządku - powiedział. - Teraz się nie ruszaj.

Z wprawą, której Faith mogła mu jedynie pozazdrościć, Walker wsiadł do łódki, jakby stała na suchym lądzie. Odepchnął ją i ujął wiosła. Wypłynął na otwartą wodę z prędkością

i zwinnością aligatora, na dodatek równie cicho.

- wychył się powoli w prawą stronę i patrz za mnie - mruknął. - Tyle wystarczy. Widzisz ją?

Faith przytaknęła.

- Daj mi znać, gdy ją zgubisz.

Ponownie kiwnęła głową.

Walker obserwował Faith z irytacją, a jednocześnie aprobatą.

Irytował go jej upór, ale imponowała odwaga. Wiedział, że jego towarzyszką potwornie bała się wsiąść do małej łódki. Prawdopodobnie nawet gdyby zdjął noktowizor, byłaby jasnozielona. Mimo to siedziała z zaciśniętymi wargami i z determinacją wpatrywała się w płynącą przed nimi łódkę.

- Skręca w prawo - powiedziała Faith cicho.

Walker cofnął się pamięcią wstecz. Był przypływ, co oznaczało, że mają przed sobą kilka miejsc, w których mokradła poprzecinane są siecią kanałów prowadzących na otwarte wody.

Tiga mogła wybrać któryś z nich.

- Zapamiętaj jakiś punkt orientacyjny - polecił.

- W jaki sposób? Dla mnie wszystko wygląda tu tak samo.

- W takim razie nie odrywaj wzroku od miejsca, w którym skręciła.

Mniej martwić się hałasem, który robili, niż możliwością zgubienia Tigi, Walker przyspieszył tempo. Łódka wystrzeliła do przodu.

- Tuż przed nami - szepnęła Faith.

Walker rozejrzał się i rozpoznał suchą sosnę, na której w ciągu dnia często przesiadywały kormorany, cierpliwie susząc skrzydła po wielogodzinnym łowieniu ryb. Wiosłował energicznie. Tiga nie obrała kanału prowadzącego w stronę morza. Płynęła w głąb mokradeł.

Pomimo okularów z wbudowanym noktowizorem cholernie łatwo można ją było zgubić.

Uniósł jedno wiosło, machnął ostro drugim i skręcił w miejscu, w którym robiła to Tiga. Znalazł się w atramentowym wąskim kanale możliwym do przepłynięcia tylko podczas przypływu. Karłowata roślinność ustąpiła miejsca suchym, wysokim bagiennym trawom, których cienkie źdźbła grzechotały i drżały na wietrze. Przesmyk był tak wąski, że szorstkie łodygi ocierały się o wiosła. Ledwo wystarczało miejsca na wiosła, ale woda była taka płytka, że w razie potrzeby można się było odepchnąć nimi od dna.

Miał nadzieję, że do tego nie dojdzie. Czasami błoto było tak głębokie, że mogło żywcem pogrzebać człowieka.

- Widzisz ją? - spytał Walker, wychylając się do przodu nad wiosłami.

- Tak jakby. Mamy przed sobą otwartą przestrzeń.

- Chwała Bogu.

Faith zerknęła przez noktowizor na upiorny, lśniący, zielonkawy świat. Kształt płynącej przed nimi łódki zlewał się

z kępami bagiennych traw. Potem jednak oderwał się od tła i wypłynął na otwartą wodę. Tiga nie mogła ich widzieć bez

noktowizora, mimo to Faith czuła się naga i bezbronna. Prowadziła Walkera cichym, lakonicznym szeptem.

Przed nimi nocna czapla z krzykiem poderwała się do lotu

- to Tiga przeszkodziła ptakowi w łowach. Jej łódka bez wahania zmierzała prosto do celu. Starsza pani była przyzwyczajona do przemierzania bagien w nocy.

Faith widziała zostawiane przez Tigę jasnozielone smugi.

Były to rozjaśniane przez światło drobne fale wytworzone przez wiosła starszej pani. Tiga ponownie skręciła.

- Przy pierwszym rozgałęzieniu w lewo - mruknęła

Faith.

Walker wykorzystał wspomnienia i ostatnio poczynione obserwacje. Tiga zbliżała się do granicy Rubinowych Bagien.

Znajdowali się w pobliżu wielopiętrowych dinozaurów dwudziestego pierwszego wieku, wychodzących na plażę

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
domów dla jankesów, którzy byli za starzy, by jeździć na nartach lub prowadzić samochody podczas ostrych na północnym wschodzie kraju zim.

- Tutaj - powiedziała Faith.

Walker obejrzał się przez ramię. Przesmyk wydawał się za wąski na łódkę.

- Jesteś pewna?

- Tak, chyba że podążamy śladami pozostawionymi przez wiatr.

Walker wpłynął łódką w wąski kanał. wiosła były tu bezużyteczne. Bezszelestnie odłożył jedno z nich, po czym odwrócił się i użył drugiego jako drąga, którym popychał małą łódkę do przodu. Zapach i połysk wody powiedział mu, że Tiga robi to samo, przy każdym ruchu wiosłem poruszając ostro pachnący bagienny muł.

Faith przechyliła się w bok. Po twarzy musnęły ją żdźbła bagiennych traw. Zmieniła pozycję. Szorstkie łodygi drapały ją po rękach. Na wprost niej Walker wyglądał jak ciemna kolumna otoczona ruchomą aureolą zielonkawego światła.

- Nie widzę - wyznała.

- Ale ja tak.

- To świetnie - wymamrotała.

Walker nie odezwał się. Przed nimi kończył się krótki kanał, a zaczynała otwarta przestrzeń. Walker przestał wiosłować.

- Zatrzymała się.

Faith wypluła żdźbło trawy, które wiatr zarzucił jej na twarz.

- Co robi?

- Ma zamiar wyciągnąć kosz.

- Co takiego?

- Wyciąga kosz na kraby - wyjaśnił.

Podniecenie pobrzmiwające w jego głosie było tak wyraźne, jak podmuchy wiatru grającego na bagnach w klasy.

- Chcę to zobaczyć.

Zapominając o panicznym lęku przed chyboczącymi małymi łódkami, Faith uklękła.

Walker automatycznie uspokoił łódkę.

- Powoli i spokojnie, pamiętasz? Rozsuń szeroko kolana.

Miała zamiar rzucić jakąś złośliwą uwagę, potem zdała sobie sprawę, że Walker wcale się z nią nie drażni. Ostrożnie rozstawiła kolana. Miał rację. W ten sposób łatwiej było utrzymać równowagę. Lekko wychylając się w lewo, Faith zastosowała się do rady walkera i zrobiła to w nowy sposób - ostrożnie.

Oboje obserwowali, jak krople przypominające jasne, płynne szmaragdy kapią z trzymanej przez Tigę liny. Potem nastąpiła eksplozja zieleni, kiedy starsza pani wciągnęła kosz do łódki. Metal uderzył głośno o drewniane dno. Wiatr uniósł dudnienie na bagna.

- Ile ważą kraby? - szepnęła Faith Walkerowi do ucha.

- Zależy od połowu. Sądząc po odgłosie, jutro mieszkańcy Rubinowych Bagien będą pławić się w smażonych krabach.

- Albo w czymś innym.

- Albo w czymś innym - zgodził się.

Tiga pochyliła się nad koszem. Zasłoniła ciałem widok.

- Co ona robi? - spytała Faith bardzo cicho.

- Nie wiem. Może przerzuci kraby do wiadra i wkłada do kosza świeżą przynętę.

- Albo...

- Mam nadzieję, złotko. Ale nie potrafię ci tego zagwarantować.

- Nie prosiłam o żadne gwarancje, pamiętasz? - spytała Faith.

- A powinnaś.

- Dlaczego?

- Bo jesteś tego warta.

- Ty też, a o nic nie prosisz.

Walker nie wiedział, co powiedzieć, więc w ogóle się nie

odezwał.

Chwilę później kosz cicho plusnął, ponownie wpadając do wody. Błyskawicznie zatonał. Tiga wyprostowała się, wytarła ręce o ubranie i chwyciła za wiosła. Z ogromną wprawą odwróciła łódkę w miejscu i ruszyła w stronę walkera i Faith.

- Cholera! - sapnął walker. - Musimy się stąd zmywać. Zmienił pozycję i wziął wiosła. Nie było miejsca na obrócenie łódki. Wcześniej musiałby się odepchnąć od strony rufy. Byłoby to trudne, zwłaszcza że z tamtej strony siedziała Faith.

- Usiądź i jeśli tylko możesz, spróbuj się nie ruszać - powiedział. Ten jeden jedyny raz nie zadawała żadnych pytań. Usiadła tak szybko, jak było to możliwe bez narażania się na wywrotkę. Walker mocnym ruchem odepchnął łódkę, ale Tiga była coraz bliżej.

W najbliższy główny kanał wpadli kilka sekund przed nią. Walker szybko rozejrzał się dookoła. Dostrzegł jedyną możliwą osłonę - gęstą kępę trawy bagiennej. Ledwo zdążył wpłynąć łódką między trawy, gdy dziesięć metrów od nich wyłonił się dziób łódki Tigi. Zatrzymali się i zamarli w całkowitym bezruchu.

Faith czuła się kompletnie naga. Wstrzymała dech i nasłuchiwała zbliżających się odgłosów wiosł Tigi. Starsza pani przepłynęła zaledwie kilku metrów od nich. Na pewno mogła ich zobaczyć, nawet bez noktowizora. Gdyby tak się stało, pewnie zawróciłaby i nim zdążyliby ją powstrzymać, zabrałaby kosz, by ponownie zniknąć na bagnach - tym razem już na zawsze - z milionem dolarów w kamieniach szlachetnych, plus Bóg jeden raczy wiedzieć, z czym jeszcze.

Jednakże nawet jeśli Tiga zauważyła, że coś jest nie w porządku, jej zachowanie w ogóle tego nie potwierdzało. Spokojnie płynęła w stronę Rubinowych Bagien, jakby wracała do domu po miłym wieczorze spędzonym na wodzie. Gdy Walker nabrał pewności, że Tiga odpłynęła, wycofał łódkę i rozejrzał się dookoła.

Nie zobaczył niczego, oprócz bagien, wiatru i nocy zabarwionej na zielono przez noktowizor.

Uśmiechnął się, błyskając w ciemności białymi zębami.

- Sprawdźmy, co będzie na obiad.

Szybko pokonał wąski kanał i wypłynął na otwarte wody zalewiska. Pływak, który znaczył miejsce kosza na kraby, był tak pokryty mułem i wodorostami, że walker znalazł go dopiero po pięciu minutach szukania. Zastanawiał się, jak Tiga dokonała tego cudu bez supernowoczesnego sprzętu.

Ciemną linę przyczepioną do pływaka pokrywała gruba warstwa błota. Sznur był śliski jak wnętrze ryby i tak samo zimny. Walker owinął linę wokół dłoni i pociągnął. Z nylonowych nici kapały zielone krople wody.

- No i? - spytała Faith po kilku sekundach.

- Nie wygląda mi to na kraby.

- Skąd wiesz?

- Z doświadczenia.

Gdyby miała miejsce, z niecierpliwości zaczęłaby tańczyć. Zapomniała, że boi się łódek, i niemal przewróciła ich do góry dnem, próbując wstać.

- Jesteś gotowa sprawić nam kąpiel? - spytał, nie przerywając rytmicznego wyciągania liny.

Nim Faith zdołała odpowiedzieć, nad powierzchnią wody pojawił się kosz na kraby. Spływały z niego zielone strugi, wpadając z powrotem do bagna.

Walker z burknięciem wciągnął kosz do łodzi.

- Tiga jest silniejsza, niż na to wygląda.

Faith nie odezwała się ani słowem. Patrzyła na czarną skrzynkę, która niemal w całości wypełniała kosz. Nic nie wskazywało na to, że jest to srebro.

- Czy to jest...?

- Błogosławiony Kufer - odparł Walker. - Od początku miała go Tiga.

- Wcale na niego nie wygląda.

- Jesteś w błędzie. Wygląda jak srebro, które przez czterdzieści lat leżało w słonej wodzie.

Zawiasy już dawno temu zdążyły całkiem przerdzewieć.

Zamek był równie bezużyteczny. Walker kilka razy machnął nożem, by rozciąć linę owiniętą wokół skrzynki. Potem automatycznie schował nóż z powrotem do pochwy. Ostrożnie usiadł naprzeciwko Faith z zimnym, ciężkim kuferkim na kolanach.

- Może otworzyłabyś wieko, złotko?

- Jasne. - Delikatnie pocałowała go w usta, po czym lekko musnęła językiem zarys jego ust. - Złotko.

Krew zawrzała mu w żyłach.

- Jesteś gotowa wpakować nas w poważne kłopoty.

- Jasne. Później.

Uśmiechnął się.

- Trzymam cię za słowo.

Szkatułka miała mniej więcej trzydzieści pięć centymetrów na dwadzieścia. Faith dotknęła wieczka, potem się zawahała.

- Co się stało? - spytał.

- Przyszła mi na myśl Pandora - przyznała.

- Wieko pudełka z kłopotami uniesiono już dawno temu.

Teraz zostało już tylko szczęście.

- Mam nadzieję.

Wstrzymała dech, ostrożnie chwyciła przykrywkę kufierka i szarpnęła ją do góry.

Ani drgnęła.

Walker mocniej objął dolną część, która była dużo czystsza niż lina. Głęboko żłobiony wzór pokrywający powierzchnię kufierka umożliwiał zdecydowane uchwycenie.

- Jeszcze raz.

Faith zacisnęła palce na zimnym metalu. Przykrywka zgrzytnęła i się uniosła.

Wśród błyszczących klejnotów, na samym wierzchu leżało otoczone aureolą z pereł Serce Północy.

Walker zdjął gogle noktowizyjne i wyjął ogromny kamień.

Noc okradła rubin z koloru, ale nie zdołała do końca ugasić płomienia. W blasku księżyca lśnił czarno jak świeżo kapiąca krew.

Faith obserwowała, jak Walker bez końca wpatruje się w kamień. W tym czasie wiatr szeptał bagnetom na ucho jakieś sekrety. Na twarzy Walkera malowało się niezwykle zaurczenie i swoista cześć. Trudne do nazwania uczucia chwyciły Faith za gardło. Wiedziała tylko jedno - że oddałaby tysiąc kamieni takich jak Serce Północy, byle Walker spoglądał na nią tak, jak patrzył na ten rubin.

- Można przeżyć całe życie i nigdy nie dotknąć choćby w połowie tak wspaniałego kamienia - powiedział cicho. - Cholera, ależ jest piękny. Trzymam właśnie w dłoni marzenie wszystkich poszukiwaczy rubinów...

Po chwili wyjął z kieszeni irchowy woreczek i włożył do niego Serce Północy. Wstał, rozpiął dżinsy i wsunął rubin do ukrytej kieszonki w swoich spodkach. Spokojnie usiadł, po czym poruszył się, by przesunąć klejnot w bardziej odpowiednie miejsce. Nie było to wcale takie łatwe. Pod wpływem radosnego pocałunku Faith krew napłynęła mu do krocza.

- Potrzebujesz pomocy? - spytała obojętnie.

Zerknął na nią.

- Później.

- Trzymam cię za słowo.

- Liczę na to, złotko. Warto uczcić taką noc.

Uśmiechnęła się, chociaż smutek ścisnął jej gardło niczym sznur rubinów zbyt mocno owiniętych wokół delikatnej szyi.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Walker założył noktowizor i wziął do ręki wiosła. Piętnaście minut później z ciemności nocy wyłonił się pomost przy Rubinowych Bagnach. Kiedy Walker przybijał łódkę do chybrotliwej platformy, w domu wciąż płonęły światła. Obijacz był w środku i ujadał jak szalony. Wyczuł zapach i koniecznie chciał za nim podążyć.

- Wsiadaj, a ja w tym czasie przytrzymam łódkę - zaproponował Walker.

Faith wyszła na brzeg dużo sprawniej niż godzinę temu, gdy wsiadała do łódki. Miała wilgotne i śliskie od siedzenia na dnies łódki dżinsy, za nic w świecie nie wybrałaby się na następną przejażdżkę, ale przynajmniej nie drętwiała już ze strachu na myśl o małej łódce.

«

Cieszyła się. Co prawda pozbycie się dotychczasowego strachu miało sporą wartość, ale nie taką jak Serce Północy, nie wspominając już o miłości Walkera, Faith nie zamierzała jednak z tego powodu wyć do księżyca. Dzięki Tony'emu wiedziała, że nie wystarczy chcieć, by coś się spełniło. Lepiej cieszyć się tym, co się ma, i zostawić marzenia ludziom, którzy jeszcze się nie nauczyli, iż nie warto tego robić.

- Spisz? - spytał Walker.

Z cichym stukotem postawił Błogosławiony Kufer na pomoście.

- Nie. - Faith odłożyła noktowizor i przetarła piekące oczy. - Jestem po prostu zmęczona. Myślę, że dopiero teraz poczułam te trudy.

Ruszyła wąskim drewnianym pomostem w stronę biegnącej wśród karłowatej roślinności ścieżki.

- Powiem April Joy, że jej statek wpłynął do portu.

- Zaczekaj, złotko. Zaczyna się odpływ. Muszę poluzować linę od łódki.

Faith odwróciła się do Walkera i czekała.

Żadne z nich nie dostrzegło sylwetki, która oderwała się od zarośli i prześlizgnęła po pomoście. Żadne z nich nie wyczuło niebezpieczeństwa, aż było za późno. Nagle mocne ramię chwyciło Faith za szyję. Nim zdążyła krzyknąć, na jej ustach zacisnęła się czyjaś dłoń.

- Pani nie walczyć, panno Donovan - powiedział spokojnie Iwanowicz. - Pani się ruszyć, to ja poderżnę pani gardło.

Walker natychmiast się zorientował, że Rosjanin ma nad nimi przewagę. Faith znajdowała się o włos od śmierci. Podobnie jak brat Walkera, Lot, popełniła błąd i obdarzyła zaufaniem nieodpowiedniego człowieka.

Walker poczuł, że ogarnia go lodowata, śmiertelnie niebezpieczna złość.

- Ona nie ma tego rubinu. - Otworzył wieko Błogosławionego

Kufra i opuścił szkatułkę na pomost. - Ja go mam.

- Serce Północy? - spytał Rosjanin.

Używane przez niego okulary z noktowizorem były mniejsze i słabsze niż ich, ale również działały.

- Ty go mieć?

Jedyną szansą było odwrócenie uwagi Iwanowicza od Faith. Walker zanurzył dłoń w zimnej skrzyni i wyjął z niej garść lśniących klejnotów.

- Tak, tutaj.

Wyprostował palce. Kamienie wpadły z powrotem do zmatowiałej srebrnej szkatułki. Iwanowicz zobaczył jedynie spadające przeblęski światła.

- Ty przynieść mi ta rubin - zażądał Rosjanin.

Była to ostatnia rzecz, jaką Walker zamierzał zrobić. Gdy tylko Iwanowicz dostanie Serce Północy w swoje ręce, zabije Faith. Walkera również.

Faith też doskonale o tym wiedziała. Próbowwała wykonać jakiś ruch. Jednak nie mogła. Wystarczyło najlżejsze drgnienie, by zaczęła się dusić. Miękkie buty zupełnie nie nadawały się do użycia jako broń. Nie mogła również łokciem ani

pięścią uderzyć napastnika w krocze. Trzymający ją silny mężczyzna miał, oczywiście, dużo większe doświadczenie niż ona. Przewidywał wszystkie posunięcia i z góry się przed nimi zabezpieczył.

- Nie dostaniesz rubinu, póki jej nie puścisz - oświadczył Walker.

- Ty go przynieść tutaj, bo inaczej ona umrzeć.

- Zabij ją, a sam zginiesz.

Jak wszystko dookoła, również uśmiech Iwanowicza był zielony.

- Ja się ciebie nie bać, mała człowiek. Przynieść mi rubin.

- Wcale nie mam zamiaru cię zabijać - wyznał Walker

z południowym akcentem. - Zatrószczy się o to Marat Tarasów.

Podejrzewam jednak, że wcześniej spróbuje się zabawić.

Na pewno się nie zgodzi, by człowiek, który stracił Serce

Północy, miał łatwą i szybką śmierć.

- Ty przynieść mi go natychmiast!

Walker uniosł szkatułkę, jak człowiek mający zamiar wylać wodę z wiadra.

- Albo pozwolisz jej wrócić do domu, albo porozrzucam

tę biżuterię po rozlewisku. Nic na to nie poradzisz. - Głos

i postawa Walkera były bardzo rzeczowe. - Przy odrobinie

szczęścia mógłbyś znaleźć Serce Północy, ale wówczas będzie

już za późno, by pomogło to tobie i twojemu szefowi.

Liczę do trzech. Jeden.

Pod wpływem wściekłości i strachu Iwanowicz zaczął się trząść.

- Dwa.

I Faith, i Rosjanin widzieli, jak Walker odwraca się

w stronę ciemnej wody, przygotowując się do wrzucenia

klejnotów do rozlewiska.

- Nie! - krzyknął Iwanowicz.

Odwrocił Faith i tak mocno pchnął ją w stronę domu, że

aż się potknęła.

- Ty widzieć? Ona wolny!

Walker nie odrywał wzroku od Rosjanina.

Jedna sprawa została załatwiona, pora zająć się następną.

Ale najpierw musi znaleźć się bliżej Iwanowicza.

- Idź, złotko.

- Ale...

- I to już - rozkazał Walker.

Kiedy Iwanowicz zaczął zbliżać się do Walkera, Faith

odwróciła się i ruszyła pędem w stronę domu. Wiedziała,

gdzie Montegeau trzymają swoją niesławną strzelbę. Minuta,

najwyżej dwie. Następne dwie na powrót. Razem

cztery.

Z pewnością Walker zdoła tak długo utrzymać Rosjanina

na dystans.

Bardzo się jednak bała, że to się nie uda. Iwanowicz był

silny i przerażająco precyzyjny. Dokładnie wiedział, ile siły

trzeba użyć, żeby stłumić, ogłuszyć albo zabić.

Jednym skokiem pokonała prowadzące na tylną werandę

schody i wpadła przez siatkowe drzwi. W kuchni było ciemno.

Światła w korytarzu niemal całkiem oślepiły Faith. Nie

przerwywając biegu, zerwała z oczu gogle noktowizyjne. Wpadła

do biblioteki, gdzie April, Peel i Farnsworth przesłuchiwali

Davisa. Prawniczka dała za wygraną i poszła do domu.

- Co się, do diabła, dzieje? - spytał Farnsworth, próbując

ją złapać.

Wywinęła mu się i chwyciła strzelbę z kołka.

- Zejdź mi z drogi!

Odwracając się, automatycznie uniosła strzelbę, kierując

lufę w stronę sufitu. Co prawda nigdy nie została dobrym

wędkarzem, ale uważnie słuchała, gdy bracia uczyli ją, jak

obchodzić się z bronią.

- Iwanowicz dopadł Walkera na pomoście!

Rzuciła się pędem w stronę drzwi.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Farnsworth nie żądał dalszych wyjaśnień. Ruszył tuż za Faith. Chociaż agent był szybki, Faith miała nad nim przewagę. Wiedziała, dokąd zmierza. Znacznie go wyprzedziła, biegnąc przez dom, pokonując kuchenne drzwi i kierując się na ścieżkę. Oczy Farnswortha musiały dostosować się do ciemności. Faith nie. Jedną ręką z powrotem naciągnęła na oczy noktowizor i wydłużyła krok. wypadła z karłowatych zarośli i znalazła się na początku pomostu w momencie, kiedy rozległo się przypominające czarną mgłę, okropne, mrozące krew w żyłach zawołanie Płaczącej Dziewczyny.

- Walker! - zawołała Faith.

Pomost był pusty, jeśli nie brać pod uwagę leżącej na nim kupki ubrań.

- Walker!

Jedyną odpowiedzią było łkanie Płaczącej Dziewczyny, unoszące się i opadające, przedzierające się przez noc jak czarna woda.

- Walker - powiedziała niespokojnie Faith. - Gdzie jesteś?

Nie stawiała żadnego oporu, gdy Farnsworth wyjmował jej z rąk broń.

Strzelba była ciężka, dwulufowa i załadowana, jak odkrył Farnsworth po szybkim przeglądzie. Dużo skuteczniejsza niż noszony przez niego rewolwer. Odwiódł oba kurki i skierował lufę w stronę końca pomostu.

- Co tam jest? - spytał spokojnie.

Faith bała się, że to Walker.

- Nie chcę tego wiedzieć.

- W takim razie proszę dać mi noktowizor.

Faith go zlekceważyła.

Po raz trzeci rozległ się przerażający krzyk.

- Chryste - wymamrotał Farnsworth. - Zaczynam mieć nadzieję, że w tych okolicach używają srebrnych kul.

Tobołek na końcu pomostu drgnął, potem uniósł się i przybrał ludzką postać. W zielonym świetle noktowizora w ciemności błysnęły jasne, obłąkane oczy kobiety i zmierzwiłone włosy. Gdy ciemna peleryna nieco się rozchyliła, ukazał się jasny ubiór.

- Tiga - powiedziała Faith z niedowierzaniem. - To ciotka Jeffa.

Jakby w odpowiedzi Tiga odrzuciła do tyłu głowę i załkała. Płacząca Dziewczyna ożyła.

- Czy widzi pani kogoś jeszcze? - spytał Farnsworth, przez ramię obserwując ścieżkę.

- Nie. Proszę. - Faith zdjęła z głowy noktowizor i podała go agentowi. - Sprawdzę, czy Tiga coś wie.

Faith ostrożnie ruszyła pomostem, czekając aż jej wzrok oswoi się z ciemnością nocy.

Poczuwszy drganie starych desek, Tiga odwróciła się.

- Ruby? Myślałam, że przepadłaś na zawsze. Twoja dusza również.

Faith spojrział pod nogi Tigi. Na deskach pomostu leżała porzrzucona zawartość Błogosławionego Kufra. Faith rozpoznała trzy zaginione klejnoty, ale nic nie przypominało Serca Północy. Potem dostrzegła na drewnianej platformie kałużę czegoś gęstego, mokrego i czarnego. Nie wyglądało na wodę. Dotknęła tego i zadrżała.

Krew.

- Jestem tu - zapewniła Faith, zmuszając się, by jej głos brzmiał łagodnie. - widziałaś walkera?

Starsza pani opadła na pomost i zaczęła porządkować rodzinne klejnoty. Nawet jeśli widziała krew, nie zwracała na nią uwagi. Była zdecydowana zebrać wszystko z powrotem do Błogosławionego Kufra. Wpadające do zimnego wnętrza srebrnej szkatułki kamienie wydawały ciche, niemal melodyjne dźwięki.

- Tigo? widziałaś walkera?

- Poszli sobie, skarbie.

- Dokąd?

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

Tiga zadrżała, słysząc w głosie Faith ostre żądanie.

- Dokąd? - powtórzyła Faith łagodnie.

- Tam, do innych zmarłych.

Faith spojrzała na jasną, wyciągniętą dłoń Tigi wskazującą Rubinowe Bagna. Zobaczyła tylko noc. Potem nagle zdała sobie sprawę, że do pomostu przywiązana jest tylko jedna łódka.

- Wzięli łódkę - powiedziała do Farnswortha. - Czy widzi pan coś?

- Nie. Ale proszę się nie martwić. Walker jest dużo twardszy, niż na to wygląda.

- Iwanowicz też.

- Taak - przyznał Farnsworth niechętnie. - To fachowiec.

- Fachowiec? w jakiej dziedzinie?

Farnsworth nie odpowiedział. Zdawał sobie sprawę, że nie dodałby Faith otuchy, gdyby jej wyjawiał, że Walker odpłynął z zawodowym mordercą.

Tiga obeszła Błogosławiony Kufer i wsiadła do swojej łódki.

- Pilnuj dla mnie tych dusz, skarbie. Płynę poszukać twojej.

- Jest bezpieczna, Tigo. Nigdzie nie odeszła. Walker zadbał o to, by nic nam się nie stało.

Starsza pani na moment przerwała odwiązywanie łódki.

- Walker? To ten młody mężczyzna, który lubi mój sos?

- Tak.

- Och! - Tiga spojrzała na linę, jakby zastanawiała się, co gruby sznur robi w jej ręce. - Jesteś pewna, skarbie? Nie mogę spocząć, póki jesteś nieszczęśliwa.

- Jestem pewna, Tigo. Idź, odpocznij. Mam wszystko, czego mi potrzeba. Dziękuję.

Tiga westchnęła.

- Jestem zmęczona. Nie zmrużyłam oka od bardzo, bardzo dawna.

- W takim razie idź do domu i prześpij się. Już nikt nigdy cię nie skrzywdzi. Jesteś bezpieczna, ja też.

Na twarzy Tigi pojawił się spokojny, ciepły uśmiech.

- Dziękuję za to, że wróciłaś, kochana Ruby. Bardzo uspokoił mnie twój widok. Wiem, że nie możesz zostać długo. Bóg ma dla swoich aniołów inne zajęcia. Ale nim odejdiesz, koniecznie się ze mną pożegnaj, żebym nie szukała cię po bagnach.

- Obiecuję, Tigo. Dobranoc.

- Dobranoc, skarbie.

Farnsworth obserwował, jak starsza pani znika w ciemności zalewającej ścieżkę prowadzącą do domu. Potrząsnął głową, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy odwrócił się, by spytać Faith, ona właśnie zamykała wieko szkatułki. Zobaczył łzy kobiety na twarzy i postanowił nie zadawać żadnych pytań. Stał więc blisko i spoglądał w noc. Po jakimś czasie spośród bagiennych traw wypłynęła łódka i skierowała się w stronę pomostu. Przez chwilę Farnsworth z napięciem wpatrywał się w maleńką łupinę, chcąc mieć pewność. Już ją miał.

- Proszę osuszyć łzy - powiedział łagodnie. - Wracaj pan facet.

- Walker nie jest moim facetem.

- W takim razie jest cholernym głupcem.

- Nie on jeden - dorzuciła Faith.

Łódka przybiła do pomostu.

- Czemu nieładnie się o mnie wyrażasz, Farnsworth?

- Bo na to zasługujesz - wypalił agent.

- No proszę.

Faith wiedziała, że widać jej łzy. Nie zważała na to.

- Gdzie jest Iwanowicz?

Walker zdjął noktowizor i wytarł pot zalewający mu piekące oczy.

- Gdzieś go zgubiłem.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Musi cholernie dobrze pływać - zauważył Farnsworth bezbarwnie.
- Jak ryba - przyznał Walker. - Jak najprawdziwsza ryba. Farnsworthowi wystarczyło jedno spojrzenie w znużone, ponure oczy Walkera, by dojść do wniosku, że Rosjanin rzeczywiście pływa razem z rybami.
- April Joy będzie bardzo zła.
- Nie, jeśli pokażę jej to - wyjaśnił Walker, sięgając do spodni.
- Na jego dłoni zalśniło Serce Północy - piastka niemowlęcia wśród anielskich łez.
- April Joy wyszła z ukrycia i stanęła na pomoście, żeby lepiej słyszeć rozmowę. Trzymany przez nią w ręce śmiertelny rewolwer wyglądał jak lśniący kawałek nocy.
- Gdzie Iwanowicz?
- Uciekł - odparł Walker.
- Cholera jasna, Farnsworth, idź i pomóż Peel pilnować panów Montegeau. Są w bibliotece.
- Farnsworth przez dłuższą chwilę jej się przyglądał, po czym skierował się do biblioteki, zabierając ze sobą strzelbę.
- Walker jedną ręką przyciągnął do siebie Faith. W drugiej mocno ścisnął Serce Północy. Faith objęła go w pasie i trzymała się go kurczowo. Po obu stronach pomostu zalewisko żyło w swoim, wyznaczanym przez pływy rytmie.
- Nie sądzę, żeby ze strony Iwanowicza coś jeszcze ci groziło - powiedział, lekko przeciągając głoski. - Jeśli chce wypłynąć z mokradeł, będzie musiał nieźle się napracować. Prawdę mówiąc, wątpię, czy w ogóle mu się to uda. W tym mule przepadło mnóstwo dużo lepszych od niego bagiennych szczurów.
- Zabrał Serce Północy?
- Walker potrząsnął głową.
- Ja je mam.
- April przez kilka sekund mierzyła Walkera wzrokiem, potem pogodziła się z tym, co było nieuniknione. Walker wykluczył Iwanowicza z gry. Na zawsze. Trochę tego żałowała - Rosjanin mógł przekazać jej wiele informacji na temat Tarasowa. Ale gdyby miała wybierać między rubinem a Iwanowiczem, osobiście by go zabiła i nakarmiła nim bagienne kraby.
- April zabezpieczyła rewolwer i ukryła go pod żakietem, za paskiem. Nigdy nie udało jej się znaleźć odpowiednio małych szelek. Spojrzała na zegarek, obliczyła, która jest godzina w St. Petersburgu, i uśmiechnęła się. Mają kilkunastogodzinny zapas.
- Daj mi go, spryciarzu - powiedziała. - Na międzynarodowym lotnisku w Savannah czeka Gulfstream G-. Planowy lot do drogiej starej matczki Rossiji.
- Spryciarzu? - spytał Walker. - Myślałem, że tak nazywa pani Archera albo Kyle'a.
- Każdy człowiek, który potrafi wsiąść do łódki z Iwanowiczem i wrócić z uśmiechem na ustach, jest dla mnie spryciarzem.
- Rubin - powtórzyła, wyciągając rękę. - Mamy mało czasu.
- Dlaczego? - spytała Faith.
- April przymrużyła piękne czarne oczy, dokładnie oszacowała Faith i wzruszyła ramionami. Donovanowie mieli swoje wady, ale z pewnością nigdy nie unikali szkoły. Poza tym to wcale nie był sekret wagi państwowej.
- Ermitaż otwiera nowe skrzydło muzealne. Mają być w nim prezentowane przedmioty, które niegdyś należały do carów. Głównie biżuteria.
- Klejnoty zawsze wzbudzają zainteresowanie tłumów - przyznała Faith.
- Na tym właśnie polega zabawa. Żeby przyciągnąć tłumy, zadowolić zwiedzających i sprawić, by wyszli dumni z tego, iż są Rosjanami.

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna

- Mają mnóstwo powodów do dumy - zauważył Walker.
- Spryciarzu, mogą wywodzić się w prostej linii od aniołów albo bryłek gliny. To i tak nie ma żadnego znaczenia. Tu i teraz liczy się tylko jedno - by zdążyć odesłać ten rubin przed otwarciem nowego skrzydła.

- Żeby Tarasowowi nie urwano głowy - dodał Walker z południowym akcentem.

- Raczej ptaszka.

- Czy Sokołów rzeczywiście jest dużo gorszy od Tarasowa?

- spytał Walker.

- Tarasów jest nasz. Sokołów nie. Czy muszę ci coś jeszcze wyjaśnić?

Walker wzruszył ramionami, potem udał, że rzuca Serce Północy w stronę April, nie zwracając sobie głowy tym, iż rubin może wpaść do zalewiska.

Chyba po raz pierwszy w życiu April zadrżała.

Walker uśmiechnął się niemal łagodnie, po czym wyciągnął rękę.

April spojrzała na niego jak na miedziankę. Powoli sięgnęła po klejnot, wciąż jednak spodziewając się jakiejś sztuczki.

Walker przekazał jej kamień.

- Ma pani dług wdzięczności wobec Donovanów. Duży dług. Może zechciałaby pani zostawić naszyjnik Mel, traktując to jako swego rodzaju zapłatę?

- Już spłaciłam swój dług - oświadczyła sucho April. -

Firma Donovan Gems and Minerals będzie miała prawo pierwokupu w przypadku wszystkich klejnotów, jakie w przyszłości zechce sprzedać Tarasów.

- Sprzedać? - spytała Faith. - Czy można sprzedawać kradzione rzeczy?

- Marat Borysowicz Tarasów jest wysokim urzędnikiem państwowym, odpowiedzialnym za „wyprzedaż”

eksponatów muzealnych - wyjaśniła April bezbarwnym

tonem. - Rosja bardzo potrzebuje gotówki. Jednym ze

sposobów zdobycia jej jest selekcjonowanie rzeczy zgromadzonych w muzealnych podziemiach. Nikogo nie szokuje

fakt, że część z tych drobiazgów Tarasów zostawia dla siebie.

- To nie jest kradzież, ponieważ robi to rząd - podsumował Walker. - Czy to pani sugeruje?

- To nie ja ustanowiłam te zasady, spryciarzu. Wolałabym

żyć w świecie, w którym rewolucja oznacza nie tylko

głód, tortury, egzekucje i nowe stado świń przy publicznym korycie. Niestety, świat jest tylko jeden. Troszczę się więc o niego najlepiej, jak potrafię.

- Czy naprawdę musi pani niszczyć klejnot wykonany przez Faith? - spytał Walker.

April zastanowiła się nad jego słowami, potem przypomniała sobie, jak bardzo nie lubi tańczyć pod dyktando rosyjskiej mafii.

- Ten drań prosił tylko o wielki rubin. Tyle mu oddam.

April Joy odwróciła się i zniknęła w ciemności nocy. Minutę

później podmuch wiatru został zagłuszony przez odgłos

potężnego silnika. Żwir prysnął spod kół, gdy samochód

z dużą prędkością wjechał na drogę wyjazdową z Rubinowych Bagien.

Kiedy nie było już słyhać warkotu silnika, Walker odwrócił się do Faith. Wpatrywała się w miejsce, w którym zniknęła April.

- O czym myślisz, złotko?

- Projektuję łyżeczki z naprawdę bardzo, bardzo długimi uchwyty.

Ujął jej twarz w dłonie i odchylił do góry, jakby chciał lepiej ją zobaczyć.

- Wolałabym, żebyś zaprojektowała kajdanki na nogi...

- Mówiłam ci, co sądzę...

- ...ale ponieważ wyraźnie ten pomysł ci nie odpowiada,

Elizabeth Lowell - Rubinowe bagna
poprzestanę na obrączkach. Co byś powiedziała, gdyby
w pierścionku zaręczynowym zamiast brylantu znalazł się
rubin?
Zamarła w bezruchu.
- Zależy od kogo byłby ten pierścionek.
- Ode mnie.
Próbowała rozszyfrować wyraz jego twarzy, ale jej się nie
udało.
- Mówiłeś, że nie chcesz brać na siebie takiego ciężaru.
- Dziś w nocy, wracając do ciebie, dużo o tym myślałem.
Doszedłem do wniosku, że jeśli wybierze się odpowiedniego
partnera, to nie jest to wcale taki ciężar.
Objęła go ramieniem.
- W takim razie, partnerze, jest mi zupełnie obojętne,
czy to będą brylanty, rubiny czy glina.
Walker roześmiał się. •
- Mam na myśli rubin. Bardzo, bardzo niezwykły. Tak
jak ty.
- To niesprawiedliwe. Gdzie ja znajdę kamień podobny
do ciebie?
- Poszukamy go.
- Kiedy?
- Gdy tylko skończysz projektować te łyżeczki.
Koniec książki.